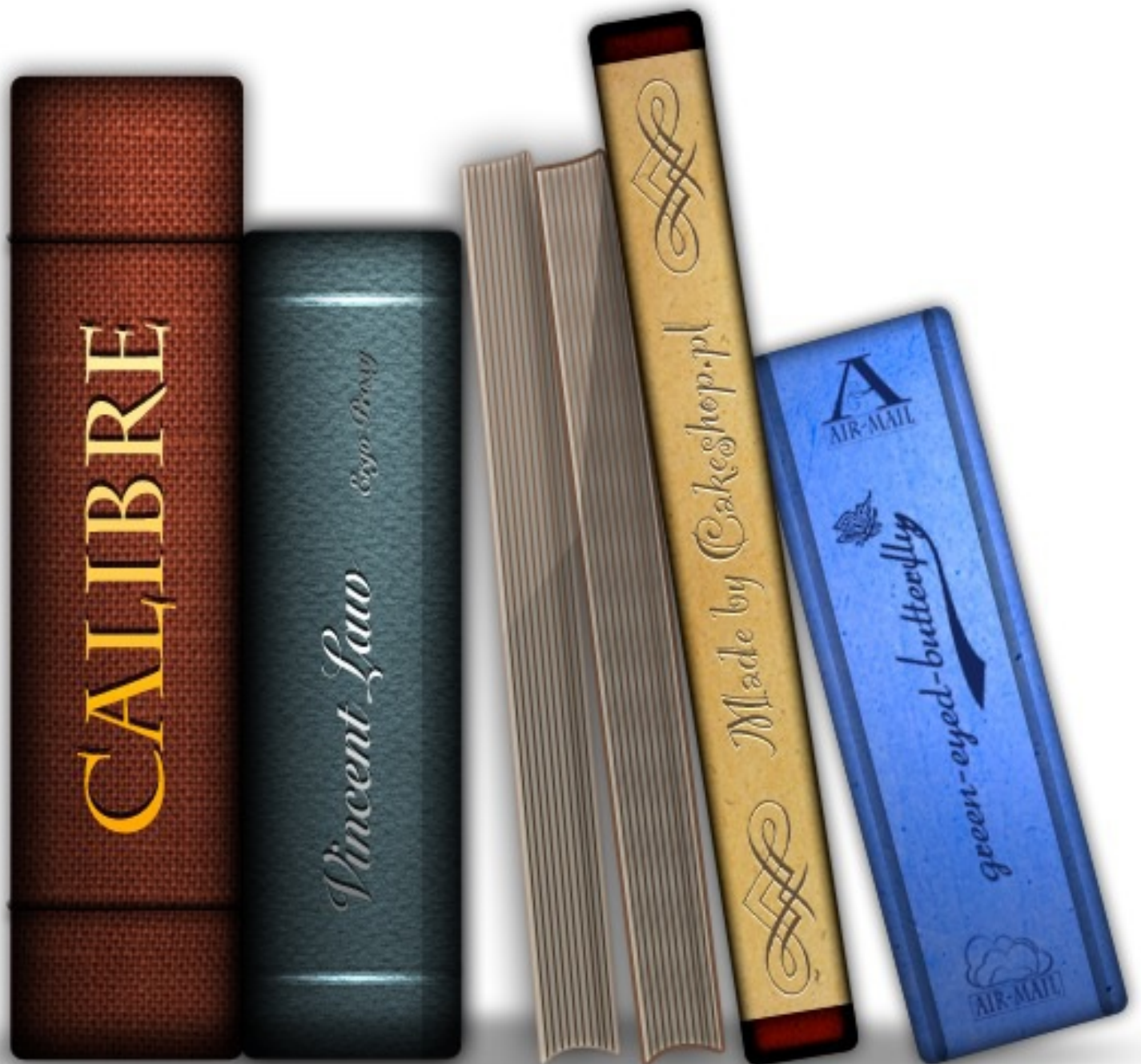


Zguba Elfow

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

ANDRE NORTON,

Zguba Elfow

MERCEDES LACKEY

Tytuł oryginalu: ?e Elvenbane Przelozyla: Dorota Zywno Data wydania polskiego: 1993 Data wydania oryginalnego: 1991 Ksiazka dedykowana bylym, obecnym i przyszłym fanom - Jestem Serina Daeth. - Senna trwała przy swym imieniu, trzymala sie go kurczowo, gdyz byla to jedyna rzecz, ktorej wciaz byla pewna, i nawet slonce nie moglo go z niej wypalic. Slonce, ktore teraz stalo wysoko nad jej glowa i uderzalo w nia, poddajac ja probie odparowania. Goraco. Nigdy przedtem nie bylo jej tak goraco. Trudno bylo myslec, trudno pamietac, ze musi isc dalej. Nie widziala swych stop zaslonietych nabrzmiala bania brzucha, ale czula je, a kazdy krok byl udreka. W gardle i ustach jej zasychalo.

-Jestem Serina Daeth. Jestem...

O bogowie, ze musialo do tego dojsc!

Kilka miesiecy temu byla faworyta lorda Dyrana. Kilka dni temu miala nadzieje, ze uda jej sie ukryc ciaze az do narodzin tego przekletego bachora. Zamierzala pozbyc sie go, a potem wrocic do haremu i dac tej suce, Leydzie Shaybrel, dokladnie to, na co zasluzyła. Nie mogła powiedziec lordowi Dyranowi, co zrobila jej Leyda, ale mogła znalezc jakis sposob, zeby dobrac jej sie do skory. Leyda miala wrogow; wszystkie kobiety w haremie mialy wrogow.

Lecz Dyran wrocil z posiedzenia Rady niespodziewanie, a Leyda czekala...

Przezyje, wroce i znajde sposob, zeby cierpiala...

Ich rywalizacja bawila lorda Dyrana, ktory podsycal ja, obiecujac Leydzie mase rzeczy, ale utrzymujac Serine na czolowej pozycji. Kiedy Leydzie nie udalo sie usunac Seriny ze stanowiska faworyty i kiedy zdala sobie sprawe z tego, iz lord Dyran nie zamierza pozbyc sie Seriny, nie dala za wygraną. Bez watpienia posunela sie do podstepu.

Na pewno, bo jakze inaczej moglabym zajsc w ciaze?

Musiala chyba przez miesiac podmieniac jedzenie Seriny na pokarm dla elfow. To bylo kilka miesiecy temu, tuz zanim lord Dyran udal sie na posiedzenie Rady...

Rada trwala osiem miesiecy. Ach, gdybyz potrwala dluzej! Uwolnilabym sie od tego ciezaru i nikt by niczego nie wiedzial!

Lord Dyran wyjechal, zanim Serina zdala sobie sprawe, ze jest w ciazy. Kiedy tylko dowiedziala sie, wpadla w panike.

Spodziewac sie dziecka lorda elfow, dziecka-mieszanca, bylo rownowazne z wyrokiem smierci, chyba ze pan byl bardzo wyrozumialy. Ale nawet gdyby Dyran nie zabil jej, musialby jej sie pozbyc.

To byloby rownie okropne, jak smierc. Oddana jakiemus podwladnemu albo wojownikowi do rozplodu, albo, co najgorsze - podarowana Leydzie jako sluzaca...

Serina upiela ponownie niesforny kosmyk rudawych wlosow i przyjrzala sie krytycznie swojemu odbiciu w obramowanym srebrem lustrze. Skinela lekko glowa i zajela sie makijazem. Konkurowala z najlepszymi, a to wykluczalo wszelka niedoskonalosc.

Obecnie w haremie lorda Dyrana panowala moda na eteryczny, niewinny i pelen swiezosci typ urody. Narzucona ona zostala przez styl obecnej faworyty. Serina wiedziala bardzo dobrze, na czym wzoruje sie Rowenia, nawet jesli inne dziewczeta jeszcze tego nie rozgryzly. Probowala upodobnic sie do el?i najbardziej jak mogla, nasladujac szlachetnie urodzone panny, ktore pokazywano lordowi Dyranowi w nadziei na przymierze wsparte malzenstwem.

Upodobnic sie do el?i znaczylo miec: bladozlote wlosy, rozpuszczone lub upiete sztucznymi kwiatami wykonanymi z klejnotow, gladka, rozanobiala cere, wielkie dziecinne blekitne oczy, oraz wiotka i wysmukla figure. Serina ani troche nie przypominala tego typu. Jej wlosy mialy plomiennorudy odcien, a oczy kolor tak ciemnego fioletu, ze byly niemal czarne i plonely starannie kontrolowanym zarem. Jej matka nazywala jej figure "obfita", lecz bylo to okreslenie nieadekwatne, nie miescila sie w nim bowiem smukla talia, utrzymywana przez lata cale dzięki lekcjom tanca, i biodra, ktore potrafily rozproszyc uwage nawet zahartowanych gladiatorow podczas cwiczen, no i wreszcie wysokie, sterczace dumnie piersi, ktore rozpraszaly do tego stopnia, ze ojciec zakazal jej pokazywac sie na placu cwiczen od czasu, gdy skonczyla trzynastec lat.

Podczas gdy inne dziewczęta szykowane na nałożnice odbarwiali sobie włosy, posypywały policzki pudrem i głodziły się, by zmieścić się w delikatne spodnice i suknie, jakie lubiła Rowenia Ordone, Serina obnosiła się ze swą odmiennością i nauczyła się ją podkreślać. Odkryła plukanki, które nadały jej włosom jeszcze większy połysk i bardziej intensywny kolor, malowała powieki fioletem i purpurą, by podkreślić kolor swych oczu, a kości policzkowe pudrowała rozem. Nie zrezygnowała z lekcji tanca i ćwiczyła potajemnie, wzmacniając i pojednając kończyny. Wyszukała również nauczycieli, którzy wtajemniczali ją w sekrety loża i prosiła ich o dodatkowe lekcje. Wiedziała, że wcześniej czy później lordowi Dyranowi znudzi się bladeść i zwieźność, niesmiałość i delikatność, wykwinność i płochność. Lord nie słyszał ze stałości. A gdy znudzi go chłodny zefir, Serina miała zdecydowany zamiar omotać go płomieniem.

Starannie poprawiła opuszką palca smugę głębokiego fioleto nad okiem i wstała, wygładzając miękkie fałdy aksamitnej sukni w kolorze wina. Niech Rowenia nadal stroi się w te swoje blade, pastelowe jedwabie, powiewne stroje i koronki, a wszystkie inne dziewczęta wyglądały w tym jak jasnorożowe główki salaty, albo przekwitłe róże stulistne. Już wkrótce lord zazada pieprzu zamiast cukru.

Serina ostrożnie odsunęła stopa taboret przed toaletką, żeby nie podrzec czy pognieść sukni. Nie było zbyt dużo miejsca w tym małym pokoiku; mieściło się tam załedwie jej łóżko, skrytka pod nim na bieliznę, wieszak na suknie, toaletka, zwierciadło i mały taboret. I tak miała więcej przestrzeni niż w ledwie mieszczącej łóżko klitce, jaka dzieliła dawniej z matką. A zamierzała wkrótce mieć więcej.

Wyszła ze swego pokoiku wdzięcznym, kolyszającym krokiem, jakby sam lord jej się przyglądał. A zresztą, ktoż mógłby zaświadczyć, że tak nie było? Władcy elfów byli wszechpotężni i mogło się okazać, iż lord właśnie zechciał podglądać swój harem, gdy nikt się go nie spodziewał. Jej ojciec twierdził, że tak postępował z gladiatorami.

Odsunęła kotarę w swoim pomieszczeniu na znak, że wyszła, i spojrzała na wysoki zegar wodny z zielonego szkła, stojący na środku wewnętrznego dziedzinca. Przez matowe szkło kopuły świetlika saczyły się strugi słońca, a sadzacz po poziomie wskazówki w ogonie szklanego delfina, było jeszcze mnóstwo czasu do pory, gdy lord zwykł składać codzienne wizyty swym nałożnicom. Po prawdzie, większość kotar wciąż zasłaniała wejście do pokojów labedziątek, wskazując, że młodsze konkubiny albo jeszcze spały, albo nie miały ochoty opuszczać swych pomieszczeń. Serina była "labedziatką", dziewczyna o stazu krótszym niż sześć miesięcy. Prawdę mówiąc, rozpoczęła swoją służbę jako nałożnica tydzień temu. Większość dziewcząt nie przetrzymywała początkowych sześciu miesięcy; większość była ignorowana, a po załedwie sześciu tygodniach odsyłano je do rozplodu, aby były żywymi nagrodami dla tych gladiatorów lorda, którzy odnosili największe sukcesy.

Matka Seriny była taką właśnie nagrodą, ale miała szczęście. Jared Daeth był najzdolniejszym z setek wojowników lorda Dyrana, którzy walczyli w pojedynkach. Wygrał tyle pojedynków dla lorda, że przestał je liczyć, a śledzili je tylko ci, którzy notowali zakłady. Ambre dostał w nagrodę, gdy, wciąż niepokonany, wycofał się z aktywnego uczestnictwa, by zostać trenerem. Polubił ją, a ona jego, a lord łaskawie pozwolił im na stały związek.

Większość dziewczyn odrzuconych przez zarządcę haremu trafiało do rąk doskonałych wojowników, którzy wyrażali chęć posiadania kobiety, a niewielu spośród tych mężczyzn było tak łagodnych i dobrych dla swoich kobiet, jak Jared. Serina widywała niektóre z nich następnego poranka: posiniaczone, czasami zakrwawione, zapłakane - a kiedyś, choć nigdy więcej o tym nie wspominało, widziała martwą. Zdarzało się, że dziewczyny raz do roku kierowano do rozplodu z najlepszymi samcami, by przysporzyć nowych wojowników do zastępów lorda. Kiedy minal ich płodny okres - a wcześniejsze częste porody nie usmięrciły ich - zostawały posługaczkami w domostwie pana; prały, szorowały garnki, myły i zmywały podłogi, często nawet w tym samym haremie, w którym kiedyś cieszyły się krótką chwilą chwaly.

Nigdy, przenigdy nie pozwolił sobie nawet na myśl o tym, że mogłaby pójść do rozplodu i być posługaczką. To byłoby równoznaczne z klęską.

Sukces zapewni luksus nie tylko jej, lecz także matce i ojcu. Przy odrobinie szczęścia dostana pozwolenie, by zostać nadzorcami w jednym z odległych gospodarstw hodowlanych Dyrana, z dala od paskich kaprysów i zachcianek.

Szła po wyłożonej dywanem posadzce dziedzinca, dywanem udającym trawę, której już od dawna nie widywała. Bose stopy stąpające po puszystym kobiercu nie wydawały żadnego dźwięku. Wszyscy niewolnicy chodzili boso, z wyjątkiem tych, którzy musieli pracować poza dworem. Kiedy będąc dzieckiem zapytała dlaczego, jej ojciec roześmiał się i rzekł: - Jak daleko uciekniesz boso? Nigdy nie zrozumiała tego żartu.

Dziedziniec labedziątek kończył się wyłożonym podobnym dywanem korytarzem o białych ścianach pełnych drzwi - prawdziwych drewnianych drzwi, nie zasłon - prowadzących do pokojów pełnoprawnych konkubin. Większość drzwi również tu była zamknięta. Nałożnice miały swoje własne łazienki i nie musiały korzystać ze wspólnej łazienki, jaka dzieliła labedziatkę. Serina dbała o to, by wstać, wykapać się, ubrać i być na miejscu dużo wcześniej niż wszystkie inne, a to na wypadek, gdyby lord Dyran obserwował. Poza tym, po pierwsze, lubiła mieć do swojej dyspozycji całą łazienkę. Mogła przebieierać wśród

wyłożonych mydeł i olejków i nigdy nie brakło jej reczników. A po drugie - dlaczego nie miałaby tego robić? Nie miała przecież nic do roboty.

Pojedyncza, migotliwa zasłona ze światła oddzielała pomieszczenia dla nałożnic od wielkiej sali, w której wypoczywał lord Dyran; widoczny znak przypominający o magicznej mocy elfiego władcy. Srebrzysta zasłona była całkowicie nieprzejrysta, pelzały i pływały po niej bezustannie zmieniające się tęczowe odcienie. Ani światło, ani dźwięk nie przenikały tej płynnej, opalizującej ściany, a przechodząc przez nią śmiało, Serina poczuła mrowienie na skórze i nieznaczny opór. Ojciec powiedział jej, że te zasłony można nastawić tak, by ogluzały, lub nawet zabijały, lecz nigdy nie przydarzyło się to za jego życia. Przypuszczała, że zasłona jest po to, by intruzi nie mogli wejść do haremu - nie wyobrażała sobie, by ktoś chciał z niego uciec.

Jak zwykle rano o tej porze Serina była sama w korytarzu. Nie przeszkadzało jej to; między innymi dzięki temu mogła pokrecić się nieco po okolicy i poszukać zmian, jakich być może pan dokonał przez noc. Miał zwyczaj zmieniać otoczenie za pomocą swych sił magicznych, i to bez uprzedzenia. Najgwałtowniejsza zmiana nastąpiła, gdy pewnego razu za jego sprawą w ciągu jednej nocy wyrosła cała dzungla roślin, które pozornie zakorzeniły się w posadzce. Rowenia była zachwycona i wszystkie kobiety w haremie bawiły się w pasterkę przez cały dzień, bo Dyran łaskawie wyczarował nawet jedną, czy dwie owieczki. Następnego dnia rośliny znikły.

Rozejrzawszy się teraz, Serina mrugnęła ze zdumienia. Dzisiaj rano najbardziej rzucała się w oczy jedna zmiana: marmurowa mozaika na podłodze nie była już w kolorze delikatnej, bladej zieleni w pastelowe, kwiatowe wzory. Miała teraz barwę chłodnego, głębokiego błękitu lapis lazuli, bez żadnych wzorów. Poduszki ułożone w stosy na obrzeżach pokoju również zmieniły kolor na żywy, bardziej nasycony. Za to stojąca na podwyższeniu po drugiej stronie pokoju kanapa lorda nie zmieniła się; miękkie obicia w rodowych kolorach, złota i winnej czerwieni były te same, lecz poduszka faworyty obecnie miała również barwę czerwonego wina. Białe, nie ozdobione niczym ściany nie uległy zmianie, lecz kopuła z matowego szkła u góry miała teraz pośrodku witraż w abstrakcyjne wzory w kolorach czerwieni, błękitu, fioletu i szmaragdów. Serina widziała ledwo zauważalne zarysy chmur przesuwających się wśród przejrzystych kolorów i dostrzegła barwny wzór, jaki rzucało światło padające przez witraż na ciemnoniebieską posadzkę ze złotymi żyłkami.

Dotknęła wypukłego wzoru na swej złotej obrzy i rozejrzała się wokół, zastanawiając się, co oznacza ta zmiana. Czyżby lordowi znudziło się wreszcie delikatne piekno?

Czy znaczyło, że jest gotów na pożywniejszy kasek?

Cichy dźwięk powiadomił ją o obecności kogoś jeszcze w pokoju. Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona odgłosem kroków za swymi plecami.

Lord stał na progu przed wejściem na podwyższenie i czekał na jej reakcję. Ubrany był w jedwabną tunikę w rodowych barwach, układaną w wymyślne fałdy. Jedną dłoń opierał na biodrze, drugą trzymał na zdobnej w klejnoty rekojści sztyletu. Jego orla twarz wydawała się spokojna, lecz Serina widziała w jego oczach, że wzbudza w nim ciekawość... może ona sama, lub jej reakcja na zmiany, jakich dokonał.

Natychmiast osunęła się na posadzkę w pełnym wdzięku poklonie, a spodnice ułożyły się wokół niej tak, jakby kłęcząca w sadzawce swej własnej krwi serdecznej. W tej pozycji pozostała nie podnosząc głowy i wpatrując się w aksamitną miękkość swych spodnic, dopóki dźwięk powolnych kroków pana nie powiedział jej, że jest już blisko.

-Możesz wstać, moja labezdico - rozległ się poblazliwy, aksamitny głos.

Moja labezdico! - uradowała się. To oznacza, że awansował mnie, pomyślała.

Wstała posłusznie, równie wolno i z wdziękiem, jak w czasie ukłonu, przesuwając wzrokiem po silnych, muskularnych nogach opiętych skorzanyimi spodniami i zamszowymi wysokimi butami w kolorze czerwonego wina; po niedbale rozpiętej tunice ze złotym haftem polyskującym na kołnierzu. Kiedy już wyprostowała się, powędrowała wzrokiem jeszcze wyżej i wreszcie popatrzyła mu wyzywająco w szmaragdowe oczy, zamiast skromnie spuścić głowę, jak uczyniłaby Rowenia.

-Widzę, że masz ognistą duszę - zaśmiał się lord Dyran, a jego wąskie wargi ułożyły się w kształt uśmiechu. - To mi się podoba. Czy ubierasz się w moje kolory, by mi schlebiac, moja labezdico?

-Czyż nie to jest moim zadaniem, panie? - odrzekła natychmiast. - Czyż moje myśli i moje czyny nie mają na celu jednego, aby dostarczać ci przyjemności?

-Czy rzeczywiście dostarczałabyś mi przyjemności? - Nie czekał na jej odpowiedź, lecz chwycił ją za nadgarstek i przyciął do siebie, przyciskając usta do jej warg.

Serina czekała na ten moment od pierwszej chwili, gdy weszła do haremu. Rowenia odsunęłaby się z udawaną niesmiałością; Rowenia opierałaby się trochę, pozorując skromność. Serina nie uczyniła niczego podobnego. Przygłębła całym ciałem do niego, przesuwając rękoma po jego ciele w sposób, jakiego ją nauczono, i odpowiadając na jego pocałunek równie namietnie. Nie miała pojęcia, co on czuje, ale ona płonęła z pożądania i czuła ogień w łydżwiach, gdy oderwał się od niej i odsunął ją na odległość ramienia.

Miał równie zimny i wyrachowany wygląd, jak przedtem. Wypuściwszy ją, przerzucił przez ramię długie, białozłote włosy ruchem głowy i uśmiechnął się lekko, pocierając kwadratowy podbródek długa, zgrabną dłoń. Po dłuższej chwili powiedział:

-Lord Ethanor zeszłego wieczoru wyraził podczas kolacji swój podziw dla Roweni.

Oddałem mu ją.

Sens tych słów dotarł do Seriny dopiero po kilku uderzeniach serca. Kiedy wreszcie już je rozumiała, wpatrywała się w niego, nie śmiać odezwąć się, przepelniona dzikimi domysłami.

-Taka gorliwość w służeniu mi, jak twoja, powinna zostać wynagrodzona - ciągnął, kiedy dostrzegł, że go rozumiała. Potem wyciągnął do niej rękę. - Chodź, moja łabędzico. Chciałbym, żebyś obejrzała swoje nowe pokoje. A potem... po odpowiedniej przerwie, ogłosimy twoją nową pozycję reszcie stadka. Co ty na to?

Serina zadrżała z podniecenia i niecierpliwości. I trochę z obawy. Powiadano, że lord Dyran ma nieco niezwykle upodobania...

Jednakże przygotowano ją do tego, a w zamian za to, czego ządał, czekało ją życie pełne luksusu i władzy. On nie zrobi krzywdy komuś tak cennemu, jak nalożnica, która łagodzi jego nudo;

Czekał na jej odpowiedź.

-Po odpowiedniej przerwie - odrzekła, podając mu dłoń. - Oczywiście, panie.

Miała Serina przycupnęła na krawędzi ławy wysoko nad areną, w cieniu, gdzie siadali pomniejsi elfowie, gdy pan urządzał widowiska. Sama arena nie była bardzo duża.

Była to ściśle pojedynekowa arena, przeznaczona do rozstrzygnięcia o wynikach wyzwania i niemal do niczego więcej. Utrzymywanie własnej areny było oznaką zamożności lorda Dyrana. Była również znakiem tego, jak wielu pojedyneków był gospodarzem; albo swoich własnych, albo organizowanych przez innych. Tak, jak i inne pomieszczenia we dworze, arena oświetlana za dnia wielkim światłem z matowego szkła umieszczony w suficie.

Siedzenia tuż przy ringu były wyscielane i pokryte skórą, wyżej znajdowały się zwykle drewniane ławy. Mimo to ludzie nigdy nie zajmowali tych miejsc, gdy toczyła się prawdziwa walka.

Dzisiaj jednak na arenie odbywały się tylko ćwiczenia, chociaż walczone przy użyciu prawdziwej, ostrej broni. I to dobrej broni, prosto z kuzni pana.

Jared zabrał dziś córkę na oględziny kuzni, by unaocznic jej, co znaczy być niewolnikiem lorda Dyrana. Ogień, żar, dym i ogromni, muskularni mężczyźni i kobiety, którzy tam pracowali, wywarli na niej odpowiednie wrażenie. Robotnicy z kuzni byli najcenniejszymi spośród niewolników lorda Dyrana i jako tacy traktowani byli z większą uwagą i lepiej nagradzani niż nawet odnoszący sukcesy wojownicy. Żelazo, z którego wytwarzano stalowe ostrza, musiało być czyste. Przetapiano je więc dziesięciokrotnie, by usunąć wszelkie zanieczyszczenia, zanim poddano je ostatecznej obróbce. Kiedy już przeszło taka przemiana, brali się za nie kowale i wytwarzali żelazną bronię, z której słynął lord Dyran. Niemal elfich władców przychodziło do lorda Dyrana po ostrze, a przynajmniej tak powiedział swojej córce Jared.

Dla wojowników z armii elfich panów niewątpliwie wykonywali piękne miecze, ostrza włóczni i toporów oraz małe, ostre jak brzytwa groty strzał, których nie można było wyciągnąć z rany, tylko trzeba było je wycinać. Jednak dla tych, którzy walczyli w pojedynkach, dla gladiatorów i innych wojowników, bronią była zupełnie inna - bronią, której przeznaczeniem było raczej kalectwo, niż zabijanie. Korbacze z lancuchami, maczugi, krotkie, szerokie noże, biczki z metalowymi haczykami, trójceby - wszystko to przeznaczone było do przedłużania walki i wszystko to wymagało wielkiej wprawy w posługiwaniu się.

Dwaj wojownicy, ćwiczący na arenie pod uważnym spojrzeniem jej ojca, uzbrojeni byli w broni gladiatorów. Jeden miał trójcebę, drugi korbacz z lancuchami; obaj byli również uzbrojeni w noże.

Walka wydawała się równa; rudowłosemu olbrzymowi z korbaczem udawało się trzymać poza zasięgiem ostrzy trójceby,

podczas gdy smagły mężczyzna z trojzebem nie dał sobie opłatać drzewca lancuchami korbacza. Serina przyglądała im się szeroko otwartymi oczami, przypominając sobie, że widziała, jak dziś rano z pomieszczenia rudego mężczyzny wyniesiono jedną z rozplodowych kobiet z twarzą całą w sincach.

Wiedziała już wtedy, że i jej przeznaczeniem będzie służyć tym mężczyznom, albo innym jak oni - chyba, że zrobi coś, by uniknąć tego losu. "Twój los spoczywa w twoich rekach - powiedział Jared. - Pamiętaj zawsze o tym, dziewczyno. Troszcz się zawsze o to, by dogodzić twemu panu, bowiem nikt inny nie uczyni nic dla ciebie".

Nadzorca niewolników już wspominał Ambrze, jej matce, że dziewczynka szybko rośnie, i że trzeba będzie wkrótce oddać ją na przeszkolenie. Serina wiedziała, w jakim celu będzie szkolona; Jared wyjaśnił jej to bezpośrednimi słowami; wyjaśnił, na czym polega różnica między nałożnicą a kobietą do rozplodu. I wbil jej do głowy, że jedyna szansa na zmianę jej losu spoczywa w rekach lorda Dyrana i jest uzależniona od tego, jak pilnie będzie się starała.

Przekonała się już, jak prawdziwe były te słowa. W zeszłym roku zabrano jej starszego brata, Tamara, i sprzedano albo podarowano innemu władcy elfów, który zachwyił się jego delikatnym wdziękiem. Jej młodszy brat, Kaeth, uczył się teraz w szkole zbrojników, zabrany tam dwa tygodnie temu, gdy odkryto jego zwinność w czasie okradania drzew owocowych pana.

Plakała, gdy trenerzy zabrali Kaetha, a wtedy matka odprowadziła ją na bok, do swojego własnego pokoju, posadziła na krawędzi łóżka i surowo nakazała jej osuszyć łzy.

-Panowie mają władzę nad wszystkim - powiedziała Ambra bez litości, lecz w jej oczach zabłysły łzy, których, jak czuła Serina, nie osmieliła się uronić. - Mamy szczęście, że nami rządzi lord Dyran. Nagradza nas dobrze za dobrą służbę, a są panowie, którzy nie nagradzają nikogo za nic, a karzą według swoich kaprysów. Jeśli Kaeth spisze się dobrze, zostanie nagrodzony. Zasłużył na karę za kradzież owoców, a zamiast tego, dano mu wspaniałą szansę. Mogli go przecież zabić na miejscu. Taka jest różnica między naszym panem a innymi.

-Ale dlaczego? - krzyknęła. - Dlaczego oni nami rządzą? Kto im pozwolił? To nieuczciwie!

Inny rodzic mógłby uderzyć ją wtedy, mógłby powiedzieć: - Bo tak już jest. - Ale nie Ambra.

-Rządzą nami, ponieważ są silni, potężni i władają magią - powiedziała, a Serina wyczuła pełen rezygnacji smutek w jej słowach. - Jesteśmy słabi, a bogowie nie dali nam magii wcale. Panowie żyją wiecznie, a nasze życie jest krótkie. Jeśli chcemy dobrze żyć, musimy spełniać zachcianki panów, bowiem bogowie kochają ich, a nami gardzą.

-Ale dlaczego? - szlochala Serina.

Ambra tylko pokręciła głową. - Nie wiem. Niektórzy powiadają, że panowie są dziećmi bogów; inni mówią, że są demonami nasłanymi przez bogów, by nas karali albo poddawali próbie. Ja wiem tylko, że ci, którzy zadowolają ich, żyją i są nagradzani, a ci, którzy nie, giną. Teraz zależy już od Tamara i Kaetha, czy zadowolą swych panów.

Tak jak ty musisz zadowalać lorda Dyrana i tych, których ustanowi ponad toba: Nic innego się nie liczy.

Serina zapamiętała to i zapamiętała przelotny widok lorda Dyrana, który tego popołudnia przyszedł zobaczyć, jak postępuje szkolenie jego wojowników. Widziała, jak jej dumny, surowy ojciec schyla się, aż czołem dotyka ziemi, jak inni wojownicy klekają, oddając cześć władcy. I jak lord Dyran wydal jej się istota z baśni; wysoki, pełen pychy, odziany od stop do głów w kremowy i złoty atlas i kremowa skóra, tak elastyczna i miękko wyglądająca, że Serine kusilo, by jej dotknąć. Jak zdawał się Isnic, wchłaniać słoneczne światło i promieniować podwójnie wzmocnionym jego blaskiem. Był tak piękny, że zabrakło jej tchu i pomyślała: on musi być dzieckiem bogów... A kobieta przy nim, sama jak klejnot, sprawiła, że Serine zżerała zazdrość. Kobieta ubrana była w najmniejsze jedwabie, jakie Serina widziała i obwieszona złotymi lancuchami wartymi fortunę. Złote lancuszki tworzyły czapeczkę, która zwieńczała jej złote włosy, złote lancuchy wisiały przy czapeczce i spływały po jej plecach, złote lancuchy otaczały szyję i ramiona i opinały ciasno jej talie w kremowej sukni. Była cudowna, niemal tak piękna, jak pan elfów obok niej, a Serina chciała być ubrana w te suknie i stać na jej miejscu.

Przypomniała sobie, jak lord Dyran wziął niedoskonale wykonany miecz, który jej ojciec przyniósł mu wraz ze skargą i zgwał go w pole, a następnie złożył jeszcze raz na polu zgięte ostrze. Ten pokaz siły zaparł jej dech w piersi i aż przeszedł ją zimny dreszcz. Co też musi czuć ktoś tak silny - albo ta, która obłaskawia taką siłę?

Potem lord Dyran nakazał przyprowadzić płatnerza, który wykonał to ostrze.

Przyjrzał mu się tylko przez chwilę, a potem wykonał lekki gest dłonią - lecz człowiek zgwał się w pole i padł na ziemię krzycząc, tak że trzeba było go wynieść. Nikt nie zaprotestował ani nie unosił reki, aby mu pomóc. Słyszała później, że pan trafił go elfim pociskiem, i że gdyby kiedykolwiek jeszcze wyprodukował niedoskonale ostrze, małego odłamka kamienia elfów, tkwiący w jego piersi, znowu zada mu taki sam ból.

Wznosisz sie sama i upadasz sama. Gdybyz on choc w polowie tak dbal o mnie, jak o doskonalosc swych mieczy - ale ja jestem mniej warta niz miecz, a zastepczyni juz czekala.

Przy kazdym kroku, przy kazdym pelnym udreki oddechu, coraz goretszy ogien plonal w jej myslach. Kiedy lord Dyran znudzi sie nia, bedzie mial z niej mniej pozytku niz z ktoregos ze swych rentierow. Nie obchodzilo go juz, co sie z nia stanie.

Rentierzy - niegdys gardzila nimi; slabi w magii, lub podupadli "wladcy" elfow, ktorzy stracili zbyt wiele w stale odnawiajacych sie pojedynkach. Pojedynki toczyli wyszkoleni gladiatorzy, lecz reprezentowaly one bardzo realne walki miedzy rodami, a straty ponoszone, gdy ich wojownicy przegrywali, byly rownie prawdziwe...

Dwakroc zalosniejsi byli ci elfowie, ktorych magia byla zbyt slaba, by nadawala sie do czegokolwiek, poza samoobrona. Chociaz tym "rentierom" nie mozna bylo zalozyc obrozy, mozna jednak bylo przymuszac ich w inny, subtelniejszy sposob. Czesto sluzyli jako nadzorcy lub glowni kupcy i zajmowali inne poufne stanowiska. Ani nie nalezeli calkowicie do swiata szlachetnie urodzonych panow, ani nie zyli w takich luksusach, jak rozpieszczani i cenieni niewolnicy, tacy jak naloznice i artysci. Serina kiedys litowala sie nad nimi. Nie, lepiej poniesc kleske, pomyslala, niz ciagnac zalosna, nedzna egzystencje, jak oni...

Lepiej rzadzic chocby przez chwile; stac u boku lorda Dyrana i nie odpowiadac przed nikim, procz swego pana... bac sie tylko czysto ludzkich sztuczek. Roznic sie tym od rentierow, ktorych kazdy czyn byl ruchem w grze, ktorej nie rozumieli.

-No tak - powiedzial Dyran, rzuciwszy spojrzenie na czubek glowy drzacego nadzorcy, gdy podwladny elf uklakl przed nim. - Wyglada na to, ze nie mozesz dostarczyc tyle, ile trzeba. - Dzis ubrany byl caly na czarno, a w mlecznym swietle padajacym ze swietlika jego wlosy opadajace na ramiona polyskiwaly jak srebro. Na jego twarzy malowal sie wyraz, ktory Serina znala az nadto dobrze, wyraz, ktory mowil, ze jest w podlym nastroju, sklonny do okrucienstwa, i miala cicha nadzieje, ze rozladuje go na osobie nadzorcy.

-Nie, panie - odrzekl elfi nadzorca drzacym glosem. Nic w jego wygladzie - poza strojem - nie sugerowalo czlowiekowi niezmiernej przepasci społecznej, jaka dzielila go od Dyrana. Jego wlosy, sciagniete zgrabnie w konski ogon, byly rownie dlugie, jedwabiste i w tym samym kolorze bladego zlota. Mial rownie zielone oczy i posture dorownujaca Dyranowi. Obaj mieli ostro zakoncone czubki uszu, typowe dla ich rasy i obaj sprawiali wrazenie wojownikow w kwiecie wieku. Nadzorca odziany byl w skorzany stroj do konnej jazdy; Dyran w piekny aksamit. Jednakze roznic miedzy nimi nie mozna bylo wyczuc ludzkimi zmyslami; roznic, ktore czynily z Dyrana wladce. - Bylo zbyt wielu rannych, panie, by...

-Z powodu twojego niedbalstwa - przypomniat mu jedwabistym glosem Dyran.

Serina domyslila sie, ze wino w jego pucharze sie ocieplilo i podala mu schlodzone.

Nie zwroci na nia uwagi, zbyt zajety swa ofiara.

Nadzorca zbladl. - Alez panie, mowilem, ze lancuchy w kuzni wymagaja...

-Z powodu twego niedbalstwa - powtorzyl Dyran i opadl na oparcie bogato rzezbionego drewnianego krzesla, zlozywszy dlugie, smukle dlonie przed podbrodkiem.

-Obawiam sie, Goris, ze bede musial udzielic ci lekcji dbalosci o narzedzia. Zdaje sie, ze masz corke?

-Tak, panie - szepnal nadzorca. Rzucil szybkie spojrzenie w gore i Serina dostrzegla malujacy sie na jego twarzy wyraz beznadziejnej bezradnosc, jak u zwierzecia schwytanego w potrzask. - Ale ona jest moja jedyna spadkobierczynia...

Dyran machnieciem reki okazal lekcewazenie dla niej. - Wydaj ja za Doriona. Od dawna zawraca mi glowe, zeby znalezc mu zone, a on wypelnil swoje zobowiazania z naddatkiem. Zobaczmy, czy jego rod okaze sie bardziej kompetentny od twojego.

Nadzorca gwaltownie podniosl glowe; szmaragdowe oczy rozszerzyly sie od wstrzasu.

-Alez, panie! - zaprotestowal. - Dorion jest... - Powstrzymal sie i nagle przelknal sline, a jego zrenice zwezil strach.

Lord Dyran nachylil sie w swym krzesle. - Tak? - powiedzial z jadowita lagodnoscia. - Coz takiego chciales powiedziec? - Unosl jedna brew w grymasie dobrze znanym Serinie. Oznaczalo to, ze gotow byl zaatakowac, gdyby go rozgniewano.

Nadzorca zamarl z przerazenia. - Nic, panie - szepnal slabo.

-Jak sadze, chciales powiedziec: "Dorion jest zbocencem" - rzekl gladko Dyran pogodnym glosem, a na jego twarzy

odmalował się spokoj. - Miałes zamiar wyrazić swe oburzenie, iż Dorion woli ludzkie kobiety od nudnych elfich panienek. Jak i ja. No, przypomniales sobie wreszcie?

-Nie, panie - zaprotestował nadzorca, ledwo wykrztusiwszy słowa. Serina zauważyła, że dygotał lekko i zaciskał dłonie, by się nie zdradzić.

Dyran przykuł go swoim spojrzeniem, jak ptaka bezradnego, który znalazł się w zasięgu groźnej zmił. - Nie mylisz się sadząc, że Dorion woli swoje konkubiny od mdłych elfowych dziewczyc. Mimo to, Dorion zamierza wypełnić swój obowiązek i splodzić następcę, choćby miało to okazać się przygnębiające i obrzydliwe. Jak i ja uczyniłem. A ty posiadasz odpowiednią córkę. Dojrzała, w wieku odpowiednim do rodzenia dzieci. No, powiedzmy, ledwo w tym wieku, ale już bardzo blisko. Dorionowi wystarczy, jeśli będzie dojrzała; szczerze mówiąc, sadzę, że nawet wolalby, gdyby nie było to zgodne z jej wola.

Wydasz ją za Doriona, Goris. Dopilnuj tego.

Nadzorcy zbieleły wargi, lecz skinał tylko głową; wstał powoli, z trudem i odwrócił się ku wyjściu.

-Aha, jeszcze jedno, Goris...

Nadzorca odwrócił się jak człowiek uwięziony w koszmarze. Jego twarz była szara ze strachu.

-Sam zajmiesz się tymi łańcuchami w kuzni. Dysponujesz wystarczającą do tego celu mocą magiczną - rzekł władca elfów i uśmiechnął się słodko. - Oczywiście, jeśli to, co mi powiedziałes, jest zgodne z prawdą. Ledwo wystarczająca moc, lecz dostateczna. Jeśli pokazesz, że gotów jesteś podjąć pewien wysiłek dla mnie, może pozwoli twojej córce na rozwód, kiedy już urodzi dziecko.

Dyran wybuchł śmiechem, widząc jak nadzorca zgarbił się i ze spuszczone głową, ciężkim krokiem, ruszył w stronę drzwi. Serina wiedziała, czemu się śmieje. Jeśli Goris dysponuje magią "ledwo" wystarczającą, by naprawić łańcuchy w kuzni, oznaczało to, że przez wiele tygodni po tym będzie przykuty do łóżka z wycieńczenia, a przez następny miesiąc lub dłużej, nie będzie w stanie używać swych czarów bez uczucia strasznego bólu.

Jeśli natomiast chodzi o młodszą córkę Gorisa, nadzorca elfów Dorion bez wątpliwości zaciągnie ją do łoża, kiedy tylko ją posłubi i będzie nawet bez pozorów miłości czynił to tak długo, aż dziewczyna zajdzie w ciążę, a wtedy porzuci ją dla objętych swych namiętności.

Dyran sięgnął po puchar wina i czekał, aż marszałek dworu przekaze mu następną sprawę do rozpatrzenia. Serina napelniała puchar, kiedy tylko wypuszczał go z dłoni.

Nie litowała się nad córką Gorisa. Jeśli dziewczyna chciała odnieść sukces, musiała być równie bezlitosna jak każdy inny elfi władca lub dama. Jeśli tego nie potrafiła, zasługiwała na to, co się z nią stanie.

Goris nie wie, że uszkodzone łańcuchy w jego kuzni to sabotaż. To jedna z korzyści płynących z przebywania stale u boku Dyra; kiedy po raz pierwszy zawiadomiono go o uszkodzeniach, Serina została wtajemniczona w doniesienia i fakt, iż zostały one osłabione przy użyciu magii. Sabotazysta mógł być nawet Dorion, lecz w chwili obecnej Dyran wolał założyć, że było to dzieło kogoś z jego rywali w Radzie. Równie dobrze mogło się to okazać prawdą; ten rodzaj sabotażu był typowy dla członków Rady, jak również tych, którzy chcieliby dopiero zasiąść w Radzie. Był to jeszcze jeden mały ruch w niekończącym się cyklu porachunków i podstępów.

Goris i Dorion być może przyłączyliby się do tej gry, to znaczy gdyby byli w stanie, lecz ich słabe pozycje i równie słaba magia gwarantowała, że zawsze będzie służyć potężniejszemu elfiemu władcy. Tylko jedno powstrzymywało elfich panów od otwartego wymordowania się: narodziny były taką rzadkością, iż para elfów mogła starać się dziesiątki lat, nim urodziło się jedno dziecko, a gdyby rozpoczęły się morderstwa na masową skalę, zleceńodawca znalazłby się na czołowym miejscu listy ofiar wszystkich innych władców.

Mozna by pomyśleć, że mając przed sobą perspektywę splądrowania całego świata, panowie obrabują go i przeniosą się gdzie indziej. Jednakże nawet elfi władcy troszczyli się dość dobrze o swoją własność - Serine aż dziwiła ich niezwykłą powściągliwość. O zasoby ludzkie nie dbali jednak równie starannie. Tylko specjaliści i uzdolnieni byli cenni. "Jeśli chcesz wznieść się, wznieść się sama".

Serina dołożyła wielu starań, by zaliczano ją do "cennych".

Była dumna z Dyra. W ciągu ostatnich kilku miesięcy udało mu się już podkopać władzę lorda Vyshala, rozgłaszając plotkę, że zamysła on rozwieść się ze swoją obecną damą i szykuje inne małżeństwo. Za te wieści zapłacił informacja o nalogach lady Reeany. Udało mu się również wykupić potajemnie cały handel rudą żelazną, co czyniło go jedynym

właścicielem najważniejszego składnika do produkcji stali. Teraz nawet jego konkurencja musi przyjść do niego - albo nadwerezyc siebie i swe zasoby na odkrycie nowych złóż tego mineralu.

Jednakże jego najnowszym sukcesem było małżeństwo, i to zdumiewająco płodne małżeństwo, którego rezultatem było coś niesłychanego - bliźnięta.

Następna sprawa dotyczyła nadzorca gospodarstw rolnych Dyra. Ponieważ Branden był typem potwornie uczciwym, a nic nie mogło być nudniejszego od wysłuchiwanie recytacji na temat pogody i spodziewanych zbiorów, Serina zaczęła błądzić myślami gdzieś daleko i puszczać wodze fantazji. Pomysłała o lady Lyssi... Serina wykrzywiła wargi w lekkim uśmiechu. Lady Lyssia, zaślubiona, a następnie rozwiedziona żona lorda Dyra, nigdy nie stanowiła zagrożenia dla jej pozycji.

W'Sheyl Edres lord Fotren miał córkę imieniem Lyssia. Była niezamezna, pomimo stanowiska ojca w Radzie i majątku, których źródłem było szkolenie gladiatorów, i pomimo tego, że przecież majątek przypadłby jej mężowi. Lyssia spadła z konia w dzieciństwie i na skutek tego wypadku miała tylko tyle rozumu, by jeszcze samodzielnie, ubrać się i bawić w najprostsze gry. Krótko mówiąc, choć jej ciało miało dwadzieścia kilka lat, ona sama pozostała w wieku, w którym spadła z konia: około pięciu lat.

Była niezbyt atrakcyjną partnerką do konwersacji - chyba, że chciałoby się słuchać jej szczebiotania o lalkach.

Z powodu tych ułomności - i ponieważ ci, którzy o tym wiedzieli, często zakładali, że defekt jej umysłu był wrodzony, a nie spowodowany wypadkiem - nigdy nie uważano jej za odpowiedni materiał do małżeństwa. Pozostała jednak jedynym dzieckiem, choć ojciec podejmował wiele prób by spłodzić innego dziedzica, który by te ułomna córkę zastąpił. Ci, w których żyłach płynęła krew elfów żyli długo, lecz nie wiecznie - tak mawiali ludzie. Toteż ojciec Lyssi czując nadchodzącą starość, popadał w coraz większą desperację z powodu córki.

I wtedy właśnie na scenę wkroczył Dyran. Gardził kobietami własnej rasy, woląc szukać miłosnych uciech w wyszukanych i wyszkolonych objeciach swych nalożnic.

Potrzebował jednak dziedzica; co więcej, przymierze z lordem Edresem umożliwiłoby mu organizowanie wielu pojedynek i dostarczanie z absolutną bezstronnością środków oraz broni tym, którzy nie trzymali własnych wojowników.

Przedstawił się jako odpowiedni partner; Pan Edres w tym czasie gotów byłby przyjąć nawet nadzorce dla swojej córki i zaryzykować, iż urodzi mu się wnuk o niewielkiej mocy magicznej. Dyran musiał wydać mu się darem niebios. Uzgodniono, że kontrakt zostanie wypełniony w chwili, gdy urodzi się dwoje żywych dzieci: jedno przeznaczone na dziedzica Dyra, drugie Edresa.

Dyran zamierzał wypełnić warunki tego kontraktu jak najszybciej, a był jednym z tych nielicznych elfów, których magia działała zarówno w skali bardzo małej, jak i bardzo wielkiej. Każdy potężny elfi władca potrafił sciągnąć z nieba błyskawicę; Dyran potrafił spoić kosc, a nawet dokonać czegoś więcej, jeśli miał ochotę. Używszy swych potężnych czarów, by zwiększyć płodność swoją i dziecinnej dziewczyny, leżał z nią z równą obojętnością, co któryś z jego ogierów - gladiatorów. Eksperyment powiódł się nadzwyczaj dobrze, tak iż postanowił utrzymać metodę w tajemnicy, aby zastosować ją kiedyś później. W czasach, gdy większość elfów zadowalała się jednym dzieckiem na dziesięć lat, Dyran spłodził z nią bliźnięta płci męskiej. Jeden chłopiec trafił do domu jej ojca, jako zastępczy dziedzic i ku wielkiej uldze władcy. Drugiego zabrał Dyran, by z całą należytą pompą umieścić go w pokojach dziecinnych. Nie widział chłopca. Wszystkie nianki dziecka były ludzmi, lecz tak starannie zaczarowanymi, że nie potrafiły nawet myśleć bez zapytania pana o zgodę. Równie starannie zauroczeni strażnicy stali na warcie przy wszystkich możliwych wejściach. Dopiero, gdy chłopiec będzie w stanie bronić się sam - co nastąpi w wieku mniej więcej trzynastu lat, jeśli jego moc okaże się tak potężna, jak jego ojca - ochrona zostanie zniesiona.

Tymczasem, każdy moment jego życia będzie nadzorowany, a każda potrzeba zaspokajana. Nie będzie jednak rozpieszczany nadmiernie. Będzie natomiast starannie kształcony, starannie wychowywany, starannie przygotowywany...

I będzie żył w przepychu, przy którym bładł luksus Seriny.

Nie można powiedzieć, żeby to miało dla Seriny jakies znaczenie; jego matka nie mogła rywalizować o kapryśne uczucia Dyra, ani też, w osobliwy sposób, sam syn.

Dyran nie dbał o syna, chyba że jako o swoją własność, dziedzica o wielkim znaczeniu, i na tym kończyło się jego zainteresowanie. Kiedy dziecko przyniesiono do dworu i umieszczono w pokojach dziecinnych, nastąpił krótki okres gorączkowej aktywności, po której wszystko wróciło do normy. Tylko to obchodziło Serinę i nic więcej nie chciała wiedzieć. Dzięki lekom, które były w jedzeniu każdej ludzkiej nalożnicy, ona nigdy nie zajdzie w ciążę, chyba, że na polecenie pana i

tylko z innym człowiekiem.

Mimo to, przyciąganie uwagi Dyrana potrafiło być straszliwie nuzące...

Od niechcenia zaczęła przyglądać się jednemu z doborowej strażnicy Dyrana, przystojnemu, młodemu brunetowi o twardych muskulach, mocnym podbródkiem i szczerych, ciemnych oczach, dość młodemu jeszcze, by nie okazać się zatwardziałą bestią, jak niektórzy gladiatorzy. Ogólnie rzecz biorąc, strażnicy byli miłsi niż wojownicy toczący pojedynki, choć równie dobrze wynagradzani i równie dumni ze swej pozycji.

Podczas nieobecności Dyrana, bywały dni i tygodnie, kiedy czas jej się dłużył, a szczególnie noce zdawały się nie mieć końca. Żaden jednak władca elfów nie zabierał ze sobą w podróż nalożnic; byłaby to obraza dla gościnności gospodarza. Serinie mogło jedynie zdawać się, że dzięki swym staraniom jest niezastąpiona, lecz wyglądało na to, że i ona może okazać się kiedyś zbędna... Może zatem niegłupio byłoby znaleźć sobie młodego, przystojnego ogiera i postarać się, by mu ją przydzielono; z wdziękiem przejść w stan spoczynku... Być może, jeśli wystarczająco zadowolony Dyrana, pozwoli jej samej wybrać partnera, kiedy już będzie nią znudzony. Może takiego właśnie młodzieńca, dość świeżego, by uległ jej życzeniom...

Na demony! O czym ona myśli! Głupia! To najlepszy sposób, by jej miejsca zajęła jakaś inna!

Stanowczo postanowiła nawet nie myśleć o tym, że mogłaby zostać wyparta przez konkurencję. Lepiej byłoby umrzeć, niż pójść do rozplodu. Mnień. Wspomnień, które były litociwsze od rzeczywistości... Na odsłoniętych plecach czuła karzące promienie słońca, próbowała podnieść się i nie zdołała.

Tak łatwo byłoby poddać się, położyć na piachu i czekać na śmierć. Zastanawiała się, dlaczego kiedykolwiek sądziła, że śmierć jest lepsza od hanby i odsunięcia. Śmierć nie jest lekkim osunięciem się w sen - to spieczony ból suchego gardła i ust, pragnienie wody nie pozwalające myśleć o niczym innym, udreka poparzonej i pokrytej pecherzami skóry.

Nie umrę. Nie! Jestem Serina Daeth, przeżyje i zemści się!

Zaczęła więc człapać się z tym samym bezsensownym uporem, który nakazywał jej iść. Gdzieś tam musi być schronienie i woda. Znajdzie jedno i drugie. Ktoś tam musi żyć. Kupi ich pomoc, płacić wszystkim, co będzie niezbędne.

Ale ten żar z nieba...

Rozdział II Nic nie przesłaniało blasku nieba, czystej i nieskazitelnej turkusowej kopuły rozpiętej nad falującymi wydmami pustyni. Na wschodzie płonęło słońce w samotnej chwale. Alamarana opuściła wewnętrzne powieki, chroniąc oczy przed białym odbłaskiem słońca na piachu w dole, rozpostarła skrzydła aż do napieżenia mięśni i rozpoczęła opadanie spirala w prądzie powietrznym, który sobie wybrała. Cel lotu, ruiny dawno opuszczonego osiedla smoczyc legowisk, wyglądał zaledwie jak plamka na posrebrzonym piachu pod jej szkarlatno-złotymi skrzydłami, lecz sadzawka obok niego, odbijająca kolor nieba jak nieruchome, modre oko, była widoczna z każdej wysokości.

Zboczywszy nieco z kursu, skorygowała lot drobnymi zmianami w sieci swych skrzydeł. Kilka miesięcy temu przycisnęłaby do ciała ciasno zwinięte skrzydła i spadła z wysokości w ruiny lotem nurkującym, kończąc pikowanie cudownym łopotem skrzydeł wzbijających chmury piachu podczas hamowania. Nie dzisiaj. Nie, dopóki nosi malenstwo nie będzie zachowywać się lekkomyślnie, jeśli ryzykowałaby życiem dwojga, nie jednej osoby, w czasie swych wyczynów akrobatycznych.

Spędziła przepisową ilość czasu na szczycie góry Ojca Smoka, w fałach pod klifami, które stały na straży Północnego Morza i w glebi wonnych "komnat" z pní drzew pośród nie kończących się cedrów Puszczy Taheavala. W ten sposób połączyła się z powietrzem, wodą i ziemią - a ten ostatni etap jej pielgrzymki reprezentował zespolenie z żywiołem ognia. Nie wszystkie smoki odbywały pielgrzymkę żywiołów, lecz szamanka była do niej zobowiązana na tyle, na ile było to możliwe u smoków.

Zwinęła nieco zagle swych skrzydeł, przechyliła zacięśniewszy spirale lotu, i dryfowała w dół, póki nie znalazła się na wysokości nie większej niż długość jej ciała od ziemi. Była już bliska utraty szybkości. Rozpostarła swe olbrzymie skrzydła na całą szerokość i zagarnęła pod nie powietrze, wisząc w przestworzach jeszcze przez chwilę, zanim opadła na piasek lekko jak ptak.

Uczucie ciepła było cudowne po chłodzie górnych warstw powietrza. Przez moment nie zwijała jeszcze skrzydeł i chłonęła błogosławione promienie słoneczne, przymrużając oczy i z rozkoszą wciskając w rozgrzany piasek wszystkie cztery szponiaste łapy.

Poruszała palcami z przyjemnością, rozkoszując się upałem i siłą, jaką przywracały jej promienie słońca. Malenstwo w jej

wnetrze poruszyło się niespokojnie, objając się o jej zebra. Już wkrótce nadejdzie jej pora, choć jeśli nie będzie zmuszona do jakiegos nadmiernego wysiłku, nie nastąpi ona, zanim Alara nie wyrazi na to zgody. Przynajmniej pod tym względem szamanka mogła panować nad swym biologicznym przeznaczeniem.

Wygrzewała się w słońcu, nie myśląc o upływie czasu, aż słońce stało w zenicie i piasek pod jej ciałem wystygł w rzucanym przez nią cieniu. Wreszcie westchnęła i otworzyła oczy.

Marnuje czas. Im szybciej skończy, tym prędzej znajdzie się w domu. Odwróciła powoli głowę, szukając odpowiedniego miejsca do usadowienia się i rozpoczęcia ostatnich medytacji.

Ruiny były opuszczone od tak dawna, że niewiele po nich zostało. Najbardziej zauważalnym elementem był pojedynczy, długi, niski mur, wznoszący się nad wydmami błyszczącego piachu jak kregosłup weza. Jego gietkie łuki były charakterystyczne dla smoczej architektury. Za nim wznosiło się coś kwadratowego, ledwo widocznego nad powierzchnią, jakby zarysy fundamentów jakiejś budowli skopiowanej od elfów lub ludzi. Sterta różowych kształtów to zwalone, wytarte przez piach kamienie, składające się na coś, co niegdyś było wieżą. Jedyne, co tu rosło, to kilka roślin i watłych traw i pół tuzina drzew wszystkie nie dalej od sadzawki niż połowa długości smoka.

No i oczywiście, obok muru znajdowała się sama sadzawka obramowana kamieniem. Zasilana woda ze źródła, za chłodna na gust jej rasy, była tak czysta, że picie z niej nawet niewielkiej ilości wody było niebezpieczne, przynajmniej dla smoków, które świetnie czuły się wśród alkalicznych słonych sadzawek, trujących dla innych stworzeń.

Nie było to miejsce nawiedzone kataklizmem ani nawet nieszczęśliwym wypadkiem.

Nie znac było śladów przemocy, tylko dzieło czasu i natury.

Od samego początku nierozsądnie było tu się osiedlać, tak blisko ziem elfów...

Określono to miejsce jako legowisko Irilianale. Istniało też powiedzenie: "Impulsywny, jak Iri", i "Bardziej przekonujący niż Irilianale", przez co można było wyrazić całą historię. Iri polubił to miejsce pustynną oazę idealną do wygrzewania się w słońcu, czego domagał się szybki smoczy metabolizm. Choć regularne picie z sadzawki nie było bezpieczne, bo w pobliżu znajdowały się obfite złoża soli metali. A potem Iri odkrył prawdziwy skarb w tej okolicy. I jakimś cudem przekonał dwie dziesiątki skadinał zdrowych na umyśle smoków, aby poszli w jego ślady.

Jednakże bliskość krainy elfów i brak zwierzyny zmusiły wkrótce smoki do odejścia.

Wszystkie zalety tej siedziby, z wyjątkiem jednej można było znaleźć w innym, bezpieczniejszym miejscu. Jedyną pozytywną cechą, która nie powtarzała się nigdzie, znajdowała się pod samą sadzawką, bowiem uskok w ziemi, który pozwalał źródłu wypłynąć na powierzchnię, zaznaczał również miejsce innego "źródła". Tędy wyciekła magiczna energia, mieszała się z wodami i nadawała im niezwykłą czystość, tu, gdzie sześć przecinających się linii magicznych wpływów tworzyło doskonale symetryczną gwiazdę.

Magia, która nie dopuszczała do zanieczyszczenia sadzawki zasadowymi solami, jakimi przesycona była większość wody na Pustyni Mehav, przyciągała tu smoki nawet po tym, kiedy osiedle zostało opuszczone. Było to źródło czystej mocy magicznej, z którym nie mogło równać się nic innego na świecie, więc smoki tu powracały, pomimo iż miejsce to opuszczono, zanim jeszcze narodziła się Alara. Brak zwierzyny łownej można było, jak i gdzie indziej, wyrównać starannym gospodarowaniem. W rzeczywistości jednak zbliżenie się elfów i ich ludzkich niewolników nakłoniło smoki do pozostawienia tego miejsca pustynnym jastrzębiom, rubinowym jaszczurkom i im podobnym.

I to właśnie było powodem największego zatroskania Alary. Jeśli nie chce, by ją wykryto, może przybrać tylko jedną postać. Zamierzała pozostać tu przez jakiś czas i chciała czuć się swobodnie. Po krótkiej inspekcji ruin Alara znalazła idealne miejsce nadające się do objęcia posterunku. Było to zagłębienie osłonięte murem, jakby specjalnie stworzone po to, by pomieścić wygodnie jej nabrzmiałe brzemiennoscia ciało.

Wtulila się w nasłonecznione miejsce i zwinęła w klebek, zgrabnie podwijając czubki skrzydeł i ogon.

Nie ma sensu niepotrzebnie utrudniać sobie przemiane, pomyślała w przypływie wymuszonej wesołości. Ojciec Smok nie bez powodu nazywał ją "leniwa" - chociaż ona sama wolała uważać się za "w miarę aktywna".

Piasek uginał się miękko pod jej luskowatymi bokami i był jedwabisty w dotyku.

Przez chwilę kontemplowała sadzawkę, czerpiąc z jej głębokiej, cichej wody wzór dla swych medytacji. Stopniowo pograzała w niej swój umysł, poprzez zabarwione błękitem wody, do indygowej glebi, do usłanego piaskiem dna, gdzie z ukrytej szczeliny pod piachem wypływała zimna woda. Tam była magia; równie spokojnie jak woda saczyła się z przeciecia

szesciu blyszczacych linii magicznych sil. Ujrzała je swymi powierzchniowymi oczami blyszczacy srebrem ksiiezycyca-na-smoczycich luskach, tym osobliwym odcieniem czystego metalu z opalizujacym smoczycym polyskiem, ulotna teczka wszystkich kolorow i zadnego. W miejscu, gdzie linie spotykaly sie, tryskala jak spiew milczaca fontanna mocy, wznoszaca sie ku mknacym na jej spotkanie promieniom slonca.

Gdyby tylko elfowie wiedzieli... zasmiala sie w duchu Alara. Rasa elfow bardzo zazdrosnie strzegla mocy, gromadzila wszystkie jej zrodla bez wyjatku, a tak chciwie ich pilnowala, jak lakome dziecko cukierka. A jednak elfowie nie widzieli linii magicznych sil i nie mogli skorzystac z potegi w nich zawartej. Tylko smoki potrafily - i ludzie...

Alara nie byla pewna, czemu smoki byly w stanie czerpac obca energie tego swiata. Byc moze dlatego, ze chociaz nie pochodzily stad, ich moc plynela z dostosowywania sie do zycia w harmonii z kazdym swiatem, w jakim sie znalazly. Elfowie, rownie tu obcy, nie potrafili wyczuc ani uzyc tej energii - jak twierdzil Ojciec Smok - nie tylko dlatego, ze nie w mniejszym stopniu niz smoki byli obcy temu swiatu, lecz dlatego, iz nawet nie probowali sie do niego dopasowac. Natomiast wiecznie probowali dostosowac swiat do siebie.

A co do biednych ludzkich istot - ci, ktorym pozostawiono zdolnosc widzenia mocy, mieli niewielkie pojecie o tym, jak jej uzyc, a gdyby ich panowie kiedyś dowiedzieli sie, ze posiadaja taki dar, czekalby ich szybki koniec na arenie lub z rak nadzorcy.

Elfowie nie tolerowali takich talentow wsrod swej sluzby.

A jednak talent ten nie ginal, sama ziemia jakby go potrzebowała.

Interesujaca mysl. Chociaz, nie teraz... Alara schowala ten pomysl na pozniejsze rozwazania i przystapila do tkania wlasnych czarow, czerpiac ze znajdujacej sie w sadzawce magicznej studni sile i moc tak skomplikowanej przemiany. Miala powod, by sie tu znajdowac, a nie przynoszace pozytku rozmyslania o elfach i ludziach moga zaczekac do czasu, gdy osiagnie swoj cel.

Zaczerpnawszy jeszcze mocy ze zrodla, upzedla z niej pajeczka nic, ktorej blysk dostrzegala tylko swym wewnetrznym wzrokiem, i ktora piescila ja aromatycznym i odurzajacym smakiem przypominajac; wina, jakie smakowaly jej w elfiej postaci. Wchloneła te moc i utkala z niej siec obejmujaca cale cialo, az zaczela migotac jak miraz, czubka nosa do konca ogona. W miare spijania energii roslo w niej napiecie, az czula, ze nie utrzyma jej wiecej, ze peknie, jak bukklak napelniony do granic wytrzymalosci. Teraz - pomyslala i poczula ciarki towarzyszace zmianie, rozpoczynajace sie od ogona, przebijajace fala przez cale jej cialo i pozostawiajace po sobie...

Kamien.

Ale nie bylo jaki kamien. Kamien zrodzony z ognia, zmrozony gniew wulkanu, szklista krew z serca swiata. Najblizsza samemu ogniewi rzecz, jaka mogla stac sie zywa istota.

Przemiana dokonala sie w mgnieniu oka. Nie bylo juz blyszczacej w sloncu zwinietej w klebek smoczycy. W jej miejsce pojawila sie wypelnijaca piaszczyste zaglebienie bryla matowego obsydianu, nieco smoczyczego ksztaltu, gladka i wysmagana piachem jak kamienie muru za nia, rozpalona zarem promieni slonecznych i pochlanijaca je swa zakurzona, czarna powierzchnia.

Teraz mogla rozluznic sie i pozwolic myslom bic tam, gdzie chcialy. Cztery razy zmieniala ksztalt: w postac lodowego orla, zwierzecia niemal tak olbrzymiego jak smok i tak zadomowionego wsrod pradow gornych warstw powietrza, ze jadal on i spal w locie; w beztroskiego delfina, tak zjednoczonego z woda, jak lodowy orzel z przestworzami; mocarnego cedru o korzeniach gleboko zapuszczonych w ziemie - i teraz, w postac najtrudniejsza, bo nieozywiona, postac ognistego kamienia. Nie wszystkie smoczycyce musialy udawac sie w taka pielgrzymke mocy, gdy zblizal sie czas narodzin, tylko szamanki jak Alara, aby zaszczepic swemu potomstwu poczucie jednosci ze swiatem w nadziei, ze jedno, lub wiecej z nich, wezmie z kolei na siebie obowiazki szamana, by sluzyc smoczycemu rodzajowi. Rzeczywiscie, az nadmiernie swiadoma byla otaczajacej ja ziemi i plynnej jadra w jej glebi. Tu i tam, w poblizu ruin i blisko powierzchni, wyczuwala zloza soli metalicznych. Starannie zanotowala je sobie w pamieci; ktoregos dnia moga byc potrzebne, gdy wyczerpia sie zloza blizsze legowisku Leveanliren. Lepiej byloby, gdyby zloza w poblizu domu zawieraly czystsze rudy, a jeszcze lepiej, gdyby skladaly sie z soli, jak te. Smoki potrzebowały znacznych ilosci metalu w pozywieniu - w im czystszej postaci, tym lepiej - do budowy szponow, rogow i lusek.

Ruiny usytuowane byly niebezpiecznie blisko jednego ze szlakow handlowych elfow, eksploatacja zloz powinna byc mozliwa dopiero po rozmieszczeniu zwiadowcow w powietrzu.

Alara spochmurniala w duchu, szukajac na szlaku sladow elfich umyslów, lub pustki, ktora oznaczala zakutyh w obroze

niewolników i poddanych. Do tej pory rod był ostrożny i dopisywało mu szczęście. Elfowie nie wiedzieli o ich rzeczywistym istnieniu. Dawni Starzy mieli rację, a Ojciec Smok mylił się, pomyślała. Nigdy nie mogą dowiedzieć się, że smoki istnieją. W pojedynkę, nawet wspierani magią, elfowie nie mogli równać się z kims z rodu... lecz, gdyby elfowie napadli na rod w masie...

Gdyby nie była głazem, kolce na karku stanęłyby jej dęba. Aż za dobrze pamiętała spotkanie z elfami, te chwile, gdy przyłapali ją na ziemi w smoczej postaci. Tylko szybka zmiana w postać elfa i wyjaśnienie efektu złudzeniem ocaliło ją.

Dostrzeganie ich w powietrzu nie stanowiło żadnego zagrożenia; młodsze smoki nawet urządziły sobie taką zabawę - znajdowały odległe miejsca, w którym mógł dostrzec ich tylko jeden elf, szybko przybierały postać smoka i lądowały tam, gdzie nie można było ich zauważyć. Na ziemi znowu się zmieniały; przybierały postać jakiegoś zwierzęcia, albo elfa. Kiedy nadchodził obserwator szukający smoka, elf, który go spotykał, zaprzeczał jakoby widział coś podobnego. Tylko raz smok popełnił błąd, zmieniając się w postać człowieka na czas spotkania.

Alara poczuła, że powraca do poprzedniego kształtu, bowiem gniew odbierał jej zdolność panowania nad swoją postacią.

Shoronuralasea od czasu tego spotkania nigdy już nie będzie dobrze chodzić, lecz jest o jednego elfa mniej na tym świecie.

Kilka takich nieuniknionych starc nauczyło smoki, że elfy, pomimo swej mocy, są wrażliwe w dziwny sposób. Zasady z wód, jakie lubili smoki, odkładały się w woreczkach jadowych w ich szponach - a najdrobniejsze zadrasnienie smoczym pazurkiem, nawet niezatrutym, wystarczało, by wywołać u elfa reakcję wstrząsową.

A gdyby była do tego zmuszona, pomyślała ponuro, lecz z dziwnym zadowoleniem, niechby tylko któryś znalazł się w zasięgu jej łap, albo pomiędzy jej skrzydłami, a nie zostanie nic, co mogłoby odpowiedzieć na pytania.

To skłaniało ją do niecierpliwych myśli. Oczekiwała dziecka z radością, pragnęła go, lecz tyle było rzeczy, na jakie nie mogła się teraz wazyć, na przykład przez cały prawie okres ciąży niepożądana była zmiana rozmiarów, i był ku temu powód.

Pomyślała o Reolahaii, szamanie z legowiska Wawiina. Był długi, zwinny, szczupły - przydymione złoto przebijało spod tęczowego blasku jego łusek - o umyśle szybkim jak błyskawica i dowcipie równie ostrym, co jego szpony. Jednym słowem, stanowił połączenie cech, jakim Alara nie umiała się oprzeć. Pełnił teraz funkcję przywoływacza ognia dla obu legowisk, dopóki malenstwo się nie narodzi, a ona nie będzie mogła ponownie wypełniać wszystkich swych obowiązków. Podwójny obowiązek - dwukrotnie większe niebezpieczeństwo związane z przywoływaniem w tak wielu tancach gromów, lecz również podwójna przyjemność. Jeśli zbieg okoliczności nie zetknie ich ze sobą ponownie, istnieje niewielka szansa, że będą się widywać przy innej okazji, niż przy tancach, a jeszcze mniej możliwe jest, by zostali stałymi partnerami. Ani jej legowisko, ani jego, nie zgodziłoby się obejść bez szamana. Obowiązki szamanskie były zbyt czasochłonne, by często mogli pozwolić sobie na trzy dni lotu, jakie dzieliły ich legowiska. Pozwoliła sobie na chwilę uzalania się nad sobą. Życie szamanki nie należy tylko do niej samej.

Jednakże temperament nie pozwolił Alarze długo uzalać się nad sobą. Obowiązki, owszem, myślała, lecz również przyjemności. Najlepsze z wszystkiego to być przywoływaczem ognia... Z niczym nie dałoby się tego porównać; szukanie najdzikszych wzorów pogody, tłumienie błyskawic aż do przelomowego momentu...

A potem wyzwolenie ich, stu zabojujących piorunów na raz, i pedzenie z ogniem o długość kolca od ogona, pikowanie, spadanie jak kamień z niebios, w dół przez wąską szczelinę ledwo dość szeroka, by się w niej zmieściła, wyłożona ze wszystkich stron starannie rozmieszczonymi klejnotami, drogimi kamieniami, które błyskawica nastroi i naladuje...

Migoczące klejnoty, tęcza gwiazd wprawiona w ściany, sama skala odległa o tchnienie od jej skrzydeł, powietrze rzeczywiście rozdarła przez jej lot i ogień niebios scigający ją aż do samej ziemi i drogocenne kamienie tak płonące po jej przelocie, że rozpadlina za nią jarzyła się setkami barw chwały.

Aż w ostatniej chwili wpadła do podziemnej groty, rozwijała skrzydła z hukiem własnego gromu i koziolkując gwałtownie uskakiwała z drogi, gdy ostatnia z błyskawic strzelała w podłoże jaskini, stapiając piach i skałę w miejscu kontaktu, a zablakane wylądowania trzaskaly nad jej głową podczas lądowania...

Chciała westchnąć, a gdy nie mogła, przypominała sobie, w jakiej postaci i w jakim celu tu się znajduje. Miała kontemplować ogień. Ogień ziemi. Nie sadziła, aby błyskawice się liczyły.

Znowu rozciągnęła swoje zmysły ziemi, zdecydowanie posyłając je w dół. Miała nadzieję, że postępuje prawidłowo. Nie była jeszcze szamanką, gdy nosiła Kemana. A kiedy wyruszała na tę pielgrzymkę, jedyne, co jej powiedział Ojciec Smok to: "Rob, co uznasz za właściwe". Do tej pory nie mogła się pozbyć lekkiej urazy wywołanej jego widocznym brakiem

wspolpracy. Wiedziala, ze czescia zadan szamana bylo nieudzielenie bezposrednich odpowiedzi, lecz uwazala, ze bawienie sie w te sama gre z innym szamanem bylo lekka przesada!

Niemal slyszala, jak Ojciec Smok mowi: "Alez skadze, wcale nie..." Czasami takie droczenie sie dzialalo jej na nerwy, a wtedy ona zaczynala byc nieznosna!

Jednak takie wlasnie bylo jej zadanie. Miala nie pozwolic, by rod usnal; przypilnowac, by nie popadli w samozadowolenie i nie szukali latwych odpowiedzi. Ani frywolnych... Latwe odpowiedzi i samozadowolenie stanowiły wielkie niebezpieczenstwo dla rodu. Od czasu, gdy tu przybyli, nie napotykali wielu przeszkod.

Sama Alara urodzila sie juz tutaj, ale zapamietala kazda opowiesc i kazdy obraz, jaki Ojciec Smok przekazywal mlodszym szamanom. Ojczyzna byla miejscem, do ktorego nikt nie chcial wracac, swiatem dzikich drapiezcow w pelni dorownujacych doroslemu, przebieglemu smokowi; lodowych burz rozpetujacych sie w mgnieniu oka i skazujacych zaskoczzonego przez nie nieszczesnika na zamarniecie w odleglosci chwili drogi od schronienia; swiatem bezlitosnego wzolawodnictwa o pokarm. Ich zdolnosci zmieniania postaci wykula koniecznosc, uksztaltowala konkurencja, a zahartowal glod i strach. Zycie bylo brutalne, bezlitosne, i az zbyt czesto - krotkie. Wtedy, ktoregos dnia jeden z rodu odkryl cos osobliwego w glebi jaskini, ktora badal w celu zalozenia w niej legowiska.

Jedno z przejsc w glownej grocie nie prowadzilo do bocznej jaskini, lecz do innego swiata. I to jakiego! Swiata zielonych, bujnych lasow; swiata dlugiego, rozkosznego lata, obfitosci pokarmu - i wydawalo sie, ze nie bylo tam niczego duzego, lub na tyle drapieznego, by im zagrozic.

Jednak nie wszyscy sposrod rodu zdecydowali sie uciec przez brame po tym, jak Shonsealarni ustabilizowal ja jednym ze swych cennych klejnotow ze skarbcza.

Niektorzy uparcie twierdzili, ze w ojczyźnie jest lepiej. W koncu, byc moze polowa rodu przeszla - i w chwili, gdy Shonsealarni zabral klejnot, brama zamknela sie.

Tymczasem jednak rod nauczyl sie tworzenia wlasnych bram. Niektorzy z nich polubili to miejsce. Chociaz wypadki i morderstwa byly najczestszymi przyczynami skracania zycia wsrod rodu - jesli udalo sie uniknac gwaltownej smierci - smok mogl zyc naprawde bardzo dlugo. W nowym swiecie, ktory nazywali "Pokoje", odkryli, jak dlugo mozna zyc. Odkryli rowniez fakt, iz powszechna udreka dlugowiecznych jest nuda.

Wtedy wlasnie czesc rodu zajela sie skakaniem po swiatach w poszukiwaniu przygod i rozrywek.

Z cala pewnoscia znalazloby sie ich tu pod dostatkiem! Wowczas Ojciec Smok odkryl elfow i ich niewolnikow...

Pierwsza brama najprawdopodobniej byla dzielem elfow, lub kogos w ich rodzaju, albo niedouczzonego maga. Ojciec Smok podejrzewal, ze to rzeczywiscie ci elfowie, w wyniku nieudanej proby polaczenia swiatow, przerzucili most pomiedzy ojczyzna a "Pokoje".

Albowiem kiedy rod napotkal elfow, dowiedzial sie, ze nie pochodza oni z tego swiata, lecz zbudowali brame, by przeniesc sie z miejsca, gdzie grozilo im smiertelne niebezpieczenstwo, tam, gdzie bylby panami. Zakrawalo to na ironie losu, iz rod zostal obdarowany brama i myslal tylko o ucieczce, podczas gdy elfowie, ktorzy ja skonstruowali, mysleli jedynie o podboju. Ojciec Smok, ktory najdluzej ze wszystkich smokow studiowal rase elfow, wysunal przypuszczenie, ze niebezpieczenstwo, jakie grozilo elfom, bylo skutkiem ich wlasnego postepowania. Alara do tej pory nie slyszala jeszcze ani nie widziala niczego, co przeczyloby temu, a wiele zdawalo sie potwierdzac te teorie. Elfowie czasami wspominali na zgromadzeniu Rad o wojnach klanow, zniszczeniu wielkich polaci ziemi, o magicznej wojnie "az do stopienia skal, ktore plynely jak woda", i ogromnej potrzebie zapobiezienia kolejnemu takiemu konfliktowi. Tu nie bylo znac sladow wojny na tak szeroka skale; konflikty pomiedzy klanami badz poszczegolnymi osobami utrzymywano w dajacych sie zaakceptowac granicach.

Wiec byc moze toczyli wojny tak dlugo, az zniszczyli swoj ojczysty swiat. Albo moze przegrali w konflikcie, w ktorym tylko zwyciezcy mogli przezyc. Kolejny powod, by ukrywac przed nimi nasze istnienie...

Tylko ludzie pochodzili stad, lecz jakkolwiek poziom kultury osiagneli przed przybyciem elfow, wszystko uleglo zagladzie na dlugo przed pojawieniem sie rodu. Do tego czasu elfowie zdecydowanie narzucili swiatu wokol siebie swoj porzadek, w ktorym elfowie byli niekwestionowanymi panami, a ludzie poddanyimi im niewolnikami.

A taka sytuacja tworzyła, oczywiscie, zyzny grunt pod intrygi...

Znow odbiegala mysalami od tematu. Byla zla na siebie. Z poprzednimi poradzila sobie stosunkowo latwo. Potrafila skupic sie na swym zywiolu. Co sie z nia teraz dzieje?

Chciała się przeciągnąć; znowu przypomniawszy sobie, że nie może i w złości doszła do przekonania, że to wszystko po prostu z nudy. Jako orzeł nauczyła się całkowicie nowych rzeczy o lataniu, wietrze i prądach powietrznych, bowiem piora zachowywały się zupełnie inaczej niż bloniaste skrzydła. Jako delfin miała przed sobą cały nowy świat do zbadania; bardzo ciężko przyszło jej porzucić tę postać i ruszyć w dalszą podróż. Nawet jako cedr miała wokół siebie las pełen życia i mogła się poruszać, przynajmniej w ograniczonym zakresie.

Tu, na pustyni, oprócz niej samej i magicznej energii sadzawki nie było niczego.

Może gdyby zrobiła coś, zamiast sterczec tu jak kamień! Alara nie widziała jeszcze nawet pięćdziesięciu letnich okresów tego świata - jak na rod z jej leża, była bardzo młoda. Niektórzy twierdzili, że za młoda, szczególnie na szamanke. Niektórzy twierdzili, że za uparta, zbyt przekorna, niezależnie od faktu, że szaman powinien właśnie być głosem niezgody.

Zbyt często postępowała wbrew zwyczajom, aby każdemu było to miłe. Postąpiła wbrew nim, obejmując stanowisko w tak młodym wieku; postępowała wbrew nim zawsze, gdy wydawało jej się, że "obyczaj" to tylko wykretek, by nie zmienić się. Słuchali jej, lecz uważali, że jest lekkomyślna i uparta. Może mieli rację. A może to ona miała rację, a rod uległ pokusie zapadnięcia w długą drzemkę w słońcu, jaka wabił ich ten wygodny świat. Przynajmniej wciąż jej słuchali.

Do tej pory. Zastanawiała się, jak dalece zdoła ich przymusić. Nie mogli odebrać jej stanowiska, ale mogli ją zignorować.

Gdyby inni jednak dowiedzieli się o jej wyprawach na terytorium elfów, byłiby wściekli. Nie dlatego, żeby przybieranie postaci elfa i przysparzanie im kłopotów nie było częstą zabawą rodu - sztuczki tego rodzaju traktowano przychylnie, jeśli było się zwykłym smokiem. Ale tak narazająca się szamanka wprawiliby w przerażenie resztę legowiska.

I to była właśnie część problemu; rod podejmował tylko dające się zaakceptować ryzyko. Od czasu, gdy Shoro został ranny, nikt już nie chciał podejmować dużego ryzyka.

Dlatego też od tak dawna nikt tu nie przybył; nie chcieli ryzykować, że ktoś może ich zauważyć, choć było to mało prawdopodobne. Nie chcieli też igrać z tak potężną energią; mogła obrocić się przeciwko nim.

Z tego też powodu nikt inny, poza drugim szamanem, nie chciał zostać przywoływaczem ognia. Ojciec Smok powiedział, że kiedyś wszyscy z rodu ubiegali się zawzięcie o to stanowisko, lecz teraz, jeśli nie było szamana, nie było tanca gromów i koniec. Czy było to spowodowane tylko lenistwem, a może czymś innym? Coż, w zeszłym roku nie więcej niż pół tuzina członków rodu udało się pomiędzy elfów, a i to były w większości potajemne wyprawy szpiegowskie! Można by niemal pomyśleć, że pozostali bali się iść.

Co do niej samej, to świetnie bawiła się w czasie wypraw do elfów. Szczególnie dobrze udawała się jej ostatnia ekspedycja. Włarn lord Rathekrel Treyn-Tael nie był cierpliwego ducha... A Alara wykorzystała tę niecierpliwość, przedać mu pajeczny kłopot ze zrezygnacją kulistego pajaka...

Dlaczego kwiaty nigdy nie pachniały tak słodko, jak wtedy, gdy umierały?

Alara wyciągnęła rękę do bukietu białego kwiecia na toaletce i pogłaskała lodygę wiodnącej lilii, ożywiając ją dotykiem. Jeszcze raz spojrzała w lustro nad kwiatową kompozycją; jeszcze raz nie dostrzegła usterek w swym przebraniu. Od białozłotych włosów do wąskich, przypominających szpony stop, była wcieleniem ideału szlachetnie urodzonej elfki. Jej włosy spływały kaskadą po plecach aż do końca kregoslupa; szerokie, ukosne oczy błyszczały najbardziej cenionym kolorem błękitnozielonym.

Jej twarz o wysokich kościach policzkowych, szerokim czole, wąskim nosie, pełnych ustach i zdecydowanym podbródku mogłaby być wykuta z najświetniejszego marmuru. Wyciągnęła przed siebie ręce; dziwnie jest ujrzyć długie, smukłe palce; bez pazurów, zamiast pięciu szponów, i równie dziwnie widzieć bladą skórę, półprzezroczystą, jak delikatna porcelana, zamiast tęczowych lusek, spod których opalizującego polysku przeswitywała nasycona czerwień i złoto.

A jeszcze dziwniej chodzić w pozycji wyprostowanej, balansując na dwóch nogach.

Stale miała wrażenie, że zaraz upadnie.

Wybrała tym razem postać kobiecą; udawanie mężczyzny może okazać się niezreczne, szczególnie biorąc pod uwagę niektóre założenia elfich panów w stosunku do ich gości. Kiedyś zaproponowano jej nawet usługi nalożnicy i tylko dlatego udało jej się wykreć z tego, że nie zamierzała zostać na noc.

Nie wiedziałaby nawet, jak zabrać się do spolgowania jako smok rodzaju męskiego, a co dopiero jako któryś z nich!

Istniała jeszcze jedna przewaga, która umożliwiała obecny żart. Będąc w kobiecej postaci - wielce urodziwej, i według

gustów elfów godnej postawie kobiecej postaci - mogła doprowadzić do sytuacji stworzonej na napięciach i założeniach, jakich nie mogli przewidzieć nawet najchytrzejsi elfowie.

Ze swoich studiów nad Rathekrem wiedziała, że jest bardzo podatny na pewnego rodzaju naciski. Mimo iż był niemal geniuszem handlu, na tym kończyła się jego wiedza. Miał wybuchowy temperament, skłonności do folgowania temu temperamentowi, a za sobą długą historię popełniania katastrofalnych błędów w sprawach dotyczących kobiet swego rodzaju.

Alara postanowiła pomóc mu popełnić kolejny. Odwróciła się od zwierciadła w posrebrzanej ramie i powróciła do podejmowania poważnej decyzji dotyczącej wyboru sukni.

Zastanowiła się nad suknią bez dekolty, wykonana z brokatu barwy jesiennych roz, lecz odrzuciła ją, jako zbyt dziewczęca. Stroj z czarnego atlasu, odsłaniający tylko samo co poprzednia suknia zasłaniała, był zbyt oczywisty. Wreszcie zdecydowała się na powiewną szatę z migotliwego jedwabiu w kolorze szmaragdowej zieleni i rękawami zamiatającymi posadzkę, stanikiem, który opinał ją jak druga skóra, a następnie rozszerzał się w obfite spodnice z trenem, w którym mogłyby się ukryć armie karzełków. Mimo iż dekolt był skromny, kroj i obcisłość szaty nad talia nie wymagały wiele od wyobraźni.

Wezwwała służące i czekała biernie, aż ubiorą ją w suknie, uczeszą i ozdobią klejnotami według jej wskazówek. Ludzkie niewolnice miały delikatne, zwinne ręce i pracowały w kompletnej ciszy; łatwo było sobie wyobrazić, że otaczały ją niewidzialne duszki powietrza, a nie gromadka młodych dziewczyn w jednakowych, typowych dla tego domu białych tunikach ze srebrnym pasem.

Dwór Rathekrela nie był największym, jaki odwiedziła, lecz bynajmniej nie był najmniejszym. Posiadał dwadzieścia pięć apartamentów dla samych gości, setki usługujących ludzkich niewolników i utrzymywał dobrą setkę podwładnych elfów. Wnętrze komnaty, w której siedziała, urządzone było zbytkownie, a była to jedna z trzech, z jakich składał się ten apartament - bogaty pokój przeznaczony do toalety, salon i sypialnia, wszystko skromnie zdobione barwami tego domu - bielą i srebrem, z prywatną wanną w kształcie gorącego źródła wśród zasp śniegu. Złudzenie psuły jedynie srebrne kranie w kształcie ryb i sterty puszystych, białych jak szron ręczników obok niej.

Rzeczywiście, prawie wszystko w domu nosiło srebrno-białe barwy. Alara czuła się nieswojo i zimno w takim wystroju wewnątrz. Poznała, że jest to subtelny środek, jaki Rathekrel stosował, by przytłoczyć swoich gości, niezależnie od przyczyny, jaka ich przywiodła.

Mogła się założyć, że komnaty Rathekrela nie wyglądały, jakby królował wśród lodowców.

Nawet meble były odrobine niewygodne. Wykonano je w smukłym, surowym stylu bez ozdób, a wysciółka na siedzeniach była nieco za cienka. Brak zdobienia powodował, że pokryte białą emalią sprzęty zdawały się wtapiać w atlasowobiałe ściany. Łóżko było odrobine za twarde.

Jej jaskrawozielona suknie odcinała się krzykliwie od reszty pokoju, gdy siedziała cichutko na białym stoleczku przed białą toaletką z lustrem, trzymając ręce złożone na podolku, otoczona przez odziane na białą służące.

Rozmyślając nad tym, jakie to szczęście, że nie wybrała ani czerwieni, ani czerni, starała się, by jej szmaragdowe oczy nie straciły mgiełki sennego rozmarzenia, którego ani trochę nie czuła. Czerwień wyglądałaby jak krew na śniegu; czern, jakby wydawała otwartą wojnę jego klanowi. A przecież podawała się za sprzymierzeńca.

Ostatnia ludzka służebnica przyglądała się końcowemu pasmo jej włosów i odsunęła się.

Alara uważnie przyjrzała się rezultatowi, analizując wszystko, co Rathekrel wkrótce ujrzy po drugiej stronie swego stołu przy obiedzie.

Jej bładozłote włosy były teraz mistrzowsko ułożone w masę loków splecionych złotymi lancuszkami i małymi szmaragdami, a w platkach uszu błyszczły dwa większe klejnoty. Na jej polecenie niewolnice niemal w ogóle nie tknęły jej twarzy kosmetykami. W końcu starała się pogłębić wrażenie, iż jest niedoswiadczona dziewczyna. Pozwoliła tylko, by przyciemniły jej rzęsy, musnęły powieki malachitowym pyłem, a policzki przypudrowały sproszkowanymi perłami, co czyniło jej bladą twarz jeszcze bielszą.

Szmaragdowa kolia na jej szyi warta była fortunę, a nie był to podarunek od gospodarza. Już samo to coś mówiło; było bezpośrednim wyzwaniem dla majątku Rathekrela.

Dokładnie tak, jak tego się spodziewała, suknie układała się w zmysłowe faldy, opinając jej mały, wysoki biust i spływając po biodrach.

Aluzja do seksu, nie obietnica. Sugestia niewinności.

Przybyła pod pozorem, iż jest posłancem od jednego ze sprzymierzeńców Rathekrela.

Dala mu jednak wszelkie powody, by sądził, że w swej własnej osobie jest znacznie bezpośredniejsza oferta zawarcia przymierza przez małżeństwo. W jakimz innym celu przysłałby kobiecie poslanca?

Tak przynajmniej pomyślałby Rathekrel.

Wstała, a ludzkie kobiety odsunęły się dobrze wycwiczonym szeregiem, jedna spiesząc, by otworzyć jej drzwi, reszta już przystępując do uprzątnięcia pokoju i zbierania resztek po jej przygotowaniach.

Białosrebrne drzwi zamknęły się za nią, zostawiając ją w białym korytarzu oświetlonym srebrnymi lampami w kształcie labedzi i wyłożonym najbielszym marmurem, jaki Alara kiedykolwiek widziała.

Sunęła po chłodnym kamieniu niespiesznym krokiem, a jedynym dźwiękiem był szelest jej spodnicy muskającej lśniącą czystą posadzkę. Cienkie pantofelki ze skóry jelonka pozwalały jej wyczuć, że w jednolitym marmurze nie było żadnych pęknięć ani spoin.

Wciąż kroczyła majestatycznie, wdzięcznie kolysząc się. Żadna dobrze wychowana elfia paniątka nie powodowała tak pospolitego dźwięku, jak odgłos stapania, ani nie przyspieszała kroku, choćby niej wiem w jak ważnej sprawie.

Biedaczki, pomyślała z litością Alara. Jeśli nie miały mocy, siły ducha i temperamentu, by przeciwstawić się obyczajom, były w równym stopniu pionkami w grze i niewolnicami, co ludzie.

Rasa elfów jako całość ceniła tylko jedno: potęgę. Ci, którzy mieli moc, pilnowali, by reguły stosowały się do wszystkich, z wyjątkiem nich samych. Ci, którzy byli jej pozbawieni, byli zmuszeni do podporządkowania się zasadom ułożonym przez innych.

Reguły te czyniły z elfich kobiet własność mężczyzn z ich klanu. Były całkowicie poddane woli i kaprysom rządzącego mężczyzny i wykorzystywano je jako symbol ubicia targu w skomplikowanym tańcu małżeńskich przymierzy.

Dopiero, gdy panna zademonstrowała, że posiada zarówno potężny talent (do magii, intrygi, lub po prostu bystry umysł) i wolę użycia tego, co ma, wtedy mogła liczyć, że ucieknie przed losem, jaki był przeznaczeniem jej płci.

Alara stapała po gładkim marmurze i wspominała te, którym udało się wymknąć takiemu przeznaczeniu. Były to kobiety stojące na czele klanów; choćby V'jann Ysta er-lord Daarn, która doszła do władzy pokonawszy głowę klanu V'jann w czarnoksiężskim pojedynku, który trwał trzy dni; V'lyse Kartaj er-lord Geyr, która odziedziczyła władzę po śmierci swego brata, a następnie ogłosiła, że to ona kryła się za jego karierę w Radzie; V'dann Triana er-lord Falcion, która po prostu przeżyła wszystkich pozostałych hedonistycznych dziedziców, pokonała pretendentów w tradycyjnych pojedynkach i zabrała się do skracania swego życia wszelkimi nalogami, jakie usmierciły jej krewnych; V'meyn Lysha er-lord Saker, która co poniektórzy podejrzewali o zamordowanie po cichu meza, kiedy tylko wysechł atrament na przysiedze ślubnej... chociaż nic jej nie można było udowodnić.

Kobiety stanowiły aż czwartą część naczelników klanów i traktowano je jako absolutnie równych partnerów w magii i w Radzie. Alara podejrzewała, że jeszcze więcej kobiet zadowala się radzeniem z za pleców meza, lub spokrewnionego mężczyzny.

Lecz reszta spędzała życie w ścisłym odosobnieniu, aż do oddania dziewictwa właściwie dobranemu małżonkowi, a następnie dalej żyła w odosobnieniu, do chwili wydania na świat odpowiedniego potomka. Potem pozostawiano je ich własnemu losowi.

Pomniejsi członkowie klanu zajmowali się handlem, produkcją i dworem. Żony, jeśli nie zdobyły sobie stanowisk, nie miały nic do roboty, ich jedynym zajęciem było odpowiednie prezentowanie się i urodzenie jednego dziecka. Więcej, gdyby zdołały, choć jedno wystarczało. Po dokonaniu tego niektóre pograżały się w niekonczących się grach hazardowych, niektóre oddawały się zamiastom sztuki lub muzyki, inne nie mającym końca przymierzaniem coraz to nowych strojów - a niejedna w zaciszu swych apartamentów pograżała się w ramionach starannie wybranych ludzkich niewolników.

Taka właśnie rolę odgrywała Alara: grała córce klanu, urodziwą dziewczycę obdarzoną magią wystarczającą do rzucania drobnych zaklęć i pozbawioną ambicji. To znaczy, ambicji w dziedzinie magii, wzbudzić zainteresowanie Rathekrela, udawała, że pociąga ją sztuka - lub raczej sztuka przez duże "S". Rathekrel uważał się za znawcę, więc wśród listów polecających znalazło się kilka "jej dzieł". Kiedy dotarła do końca korytarza, kolejne zdobione srebrem i pokryte białą emalią drzwi otworzyły się przed nią, nim zdążyła ich dotknąć. Weszła i znalazła się na progu olbrzymiej sali jadalnej. Sala ta nie

znajdowała się za tymi drzwiami, kiedy Alara przestępowała je ostatnim razem; było to wymiernym dowodem magicznej mocy Rathekrela. Specjalne korytarze podobne do tego, którym właśnie przeszła, mogły prowadzić do dowolnie wybranego przez niego miejsca. W rzeczywistości były małymi bramami, które mógł ustawiać wedle życzenia.

Dopiero po chwili jej oczy przyzwyczaiły się do mroku panującego po drugiej stronie podwójnych drzwi. Czekala na progu, aż będzie w stanie coś zobaczyć...

To dziwne. Wydawało jej się, że czuje zapach jakby... burzy. I morskiego wiatru.

Mrugnęła, zdumiona tym, co ujrzała w dole.

Setki metrów poniżej jej stóp pienili się i ryczały na dzikich skalach fale morza, a nad nią rozposcierało się czyste, nocne niebo usiane większą ilością gwiazd, niż kiedykolwiek widziano nad tym światem. Nad jej głową majestatycznie wznosiły się trzy księżycy, a morze skapane było w ich czystym, srebrnym świetle. Bryzgi morskiej wody strzelały w górę, tworząc pajeczne welony migoczących kropelek, które spowijały ją, lecz nigdy naprawdę jej nie dotykały. Choć zdawało się, że szaleje wichura, łagodny podmuch wiatru, który rozwiewał jej włosy, nie był dość silny, by potargać choćby jedno ich pasmo.

Podniosła wzrok znad fal rozbijających się w dole i spojrzała na, iluzoryczny ocean.

Pośród wzburzonych fal widoczne było przycmione światelko; w niewielkiej odległości z klebiacej się piany wylaniała się wyspa o wyrownanym na płasko szczycie, oświetlona unoszącymi się w powietrzu srebrnymi kulami. Na tej wyspie stał zasłany białym obrusem stół i dwa srebrne krzesła. Jedno z tych krzeseł było już zajęte.

Alara zastanawiała się, co on planuje na bis.

Weszła śmiało na otwarty przestwór, jakby codziennie chodziła w powietrzu nad zębatymi skalami i spienionym morzem. Ten szczególny rodzaj złudzenia był typowy dla potężnych władców elfów, którzy zmieniali wygląd swych "publicznych" pokoi wraz ze zmianą nastroju, czasami kilkakrotnie w ciągu dnia. Tłem tej sali jadalnej równie dobrze mogła być lasna polana, górski szczyt, lub rynek w jakimś egzotycznym mieście.

I rzeczywiście, stopy podpowiadały jej, że stąpa po jakiejś chłodnej, gładkiej powierzchni - prawdopodobnie posadzce z białego marmuru - mimo iż oczy mówiły, że kroczy w powietrzu. Od wejścia wydawało się, że szlachetnie urodzona paniątka zmęczy się, nim dojdzie do tak odległej wyspy, lecz pozorną odległość od stołu była myląca. To kolejne złudzenie, przypuszczała Alara. Nie spieszyła się, starannie stawiała każdy krok, lecz i tak dotarła do swego celu po przejściu nie więcej, niż stu kroków.

Kiedy dotarła już do wyspy i postawiła stopy na twardym, nie iluzorycznym gruncie, schyliła się w głębokim poklonie, ukrywając uśmiech. Rathekrel nie odstępował od swego białosrebrnego motywu, przynajmniej tutaj. Po czarnym morzu, ciemnym nocnym niebie i chłostanej wiatrem wodzie, stół i jego otoczenie było dla kontrastu studium spokoju i ciszy.

Rathekrel posuwał się do śmiałych granic, starając się o reke swego gościa. Rodzaj złudzenia, jaki wybrał, był kosztowny do utrzymania i korzystnie przedstawiał jego potęgę. Jednakże dał jasno do zrozumienia, że to tylko iluzja. Kontrolował efekty z doskonałą precyzją, zadbał o to, by wiatr orzeźwił tylko gościa, lecz nie potargał jej starannie ułożonej fryzury ani nie rozwiał sukni. A chociaż stworzył również dźwięki ryczącego oceanu i huczącego wiatru, służyły one jedynie stworzeniu atmosfery rzeczywistości - nie były dość głośne, by w jakimkolwiek stopniu przeszkodzić mogły zwykłej rozmowie.

Po raz pierwszy ujrzała swego gospodarza twarzą w twarz. W postaci ludzkiej niewolnicy oczywiście rzadko widywała pana, a gdyby osmieliła się spojrzeć mu bezpośrednio w twarz, naraziłaby się na jego gniew. Był dość przystojny, wedle elfich standardów; jego włosy miały odcień bardziej srebrny, niż złoty - co było cechą charakterystyczną wielu klanów, z jego klanem włącznie. Nosił je długie, ściągnięte w ogon na karku i spięte wymyślną srebrną klamrą, pasującą do srebrnej opaski na czole. Miał szerokie czoło i oczy głęboko osadzone pod odznaczającymi się jak skały lukami brwiowymi. Jego kości policzkowe były jeszcze bardziej wydatne niż u Alary/Yssandry. Orli nos i wydłużony podbródek nadawał mu pełen pychy wygląd, a wąskie wargi nie świadczyły o szczodrości.

Lecz kiedy to elfowie byli szczodrzy?

Ona nosiła szmaragdy, bezcenne - i bezużyteczne. On beryl, kamień elfów, wprawione w srebrną opaskę, ozdobną obręcz na szyi i cztery pierścienie na palcach. Zwykle kamienie, dość pospolite, by wprawiać je w obroże każdego niewolnika - w odróżnieniu od swych błyszczących kuzynów zdolne były do zwiększania mocy maga elfiego lub przechowywania zaklęć, jakie w nich umieszczał. Im więcej beryli nosił mag, tym większa moc władał.

Ubrany był w oficjalny strój, który stanowiły: rozpięta pod szyją koszula z wysokim kołnierzem, uszyta z jedwabiu sherris, sztywna od srebrnych haftów na mankietach i przy kołnierzu; wycięta w kwadrat pod szyją tunika z białego aksamitu,

oblamowana srebrem u dołu i wokół szyi; bardzo obcisłe spodnie z jedwabiu sherris i równie obcisłe, bogato zdobione srebrem wysokie buty, które miały za zadanie jak najlepiej zaprezentować jego zgrabne nogi.

Sprawiał ogółem wrażenie eleganckiego, chłodnego blond lowcy; niebezpiecznego, zmiennego i dość fascynującego. Alara nie miała wątpliwości, że wzmocnił swój naturalny wdzięk przygotowanymi wcześniej urokami. Pragnął zdobyć panią i nie chciał ryzykować.

Wątpiła, czy zdolałaby mu się oprzeć w tym momencie, gdyby była prawdziwa elfka.

Całe szczęście, że uroki nie działały na nikogo z rodu.

Podniosła się z pokłonu i podeszła do stołu. Gdy zbliżyła się, puste srebrne krzesło odsunęło się cicho od stołu, robiąc miejsce dla niej. Kiedy tylko usiadła, gładko znow się przysunęło.

Był to kolejny pokaz potęgi: zadni ludzcy niewolnicy nie wykonywali tych zadań.

Zaczęła wtedy podejrzewać, że potrawy zmaterializują się dzięki jego magii i że odesła naczynia w ten sam sposób.

Tak też się stało. Alara odgrywała uważną i pełną podziwu panią - V'Heven Myen lord Lainer, z którego domostwa ponoć pochodziła, nie był potężnym magiem; siłę i wpływ zawdzięczał talentowi do handlu oraz bogatym złóżom miedzi i srebra na swoich terytoriach. Dziecko, za jakie podawała się, nie ujrzałoby tak rozrzutnego zastosowania magii więcej niż raz, czy dwa razy w życiu.

Posilek przebiegał tak, jak się spodziewała; dania pojawiały się znikąd, podsuwały się, po czym znow znikaly. Delikatne potrawy były oczywiście wyborne; zimne dania oszronione, gorące w idealnej temperaturze i żadnego egzotycznego jedzenia, które mogłoby zdumieć niedoświadczoną dziewczynę. Lord starał się być czarujący, mówił jej, że ona potrzebuje jego "wsparcia" we wszystkim i chwalił jej (ledwo dostrzegalny) talent.

A więc, polknął przynętę, pomyślała.

Dla Alary nie było to dużym zaskoczeniem, jako że starannie wybrała ofiarę; ostatni piec zon lorda Rathekrela zmarło w pogoju i bardzo nieliczni władcy elfów w obecnych czasach zgodziliby się narazić swoje cenne potomstwo na śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie niesło nasienie Rathekrela. Alara słyszała pogłoski, że zastanawiał się nad szukaniem żony wśród pieczeniarczy i podwładnych w swoim majątku.

Przy deserze doszło do oświadczeń, które przybrały postać białego labedzia z cukru, jaki przyleciał na jej talerz i podał coś, co skrywał w dziobie. Alara spojrzała pytająco na Rathekrela.

Wez to, moja droga - powiedział, pewien już wywartego wpływu. - Wez ja. Nie jest to moje serce, lecz niech będzie to godne zastępstwo.

Czy on naprawdę tak powiedział? pomyślała zdumiona. Czy nawet ktokolwiek dalby się nabrac na coś tak oczywiście bzdurnego?

Och, coż, pewno tak.

Wyciągnęła dłoń do błyszczącego cukrowego ptaka, który nachylił szyję i upuścił srebrną obrączkę małżeńską na jej podsunietą dłoń.

Przyjęła obrączkę, wsunęła ją uważnie na wskazujący palec prawej ręki, by pokazać, że oświadczenia zostały przyjęte wraz z pierścieniem i spokojnie zjadła ptaka.

Na tym zakończył się posiłek. Pan Rathekrel życzył jej dobrej nocy, starannie ukrywając radość, a następnie samotnie przebyła drogę nad uspokajającym się morzem ku jasnej plamie otwartych drzwi na korytarz.

Znow zajęli się nią ludzie; pozwoliła im rozebrać się, odziać w jedwabną koszulę nocną, zapleść włosy i odprowadzić do łóżka. Nie umknął jej uwadze fakt, że białosrebrne ściany i sprzęty nie były już tak surowe, lecz nabrały delikatnego odcienia ciepłego rozu, ani też to, że odrobina niewygodne krzesło i łóżko były teraz tajemniczo miękkie i przytulne. Ludzie znikli, ostatnia służąca zatrzymała się zaledwie tak długo, by wyszeptać niedosłyszalną przemowę gratulacyjną, i światła same pogasły.

Zaczekała jeszcze, aż ucichły odgłosy domu, a kiedy upewniła się, że nic już nie słyszy, zmieniła kształt i uciekła tymi samymi drzwiami, których użyli ludzie wychodzący z jej pokoju.

Smocza pamięć jest precyzyjna i równie wyraźna, jak rzeczywistość za pierwszym razem. Wyraz twarzy Rathekrela, kiedy odkryje, że jego naręczona znikła, wart był całego zachodu i rocznego przygotowania. Alara zaśmiała się bezgłośnie w duchu - jedno, co wciąż mogła zrobić jako skalka.

Sadził, że ochronił się na wszelki możliwy sposób. Zabezpieczył swe komnaty przed magią elfów i nawet przeciw temu, by inny elf nie przekroczył ich progu, lecz nie przed ludzką służbą krecącą się w pobliżu, i ani mu do głowy nie przyjdzie, pomyślała zarożumiała Alara, by szukać później wśród ludzi, czy jego naręczona nie ukrywa się wśród niewolników.

Niewolnicy byli praktycznie niewidzialni, tak długo, dopóki nie zabrakło któregoś i nie można było wytłumaczyć jego nieobecności. Ktożby szukał ludzkiego niewolnika w pomieszczeniach dla służby? Biorąc pod uwagę tempo, w jakim panowie zużywali służbę, zawsze gdzieś znalazło się puste łóżko, i pusty taboret przy stole, pomyślała z gorącością. Jeśli pojawił się nowy niewolnik, którego nie było na liście, zawsze zakładano, że ktoś kazał go kupić, albo sprowadził z innej części posiadłości.

Wiedziała, że Rathekrel nigdy nie liczy nosów i nigdy nie skojarzy faktu, iż przybył mu jeden niewolnik wraz z zniknięciem przyszłej żony pana z chronionego przed magią pokoju. Ale nie to było najwspanialszą częścią zartu...

Alara stała spokojnie za biurkiem lorda, pod postacią zwykłego, śniadego ludzkiego chłopca pośród innych, odzianych na biało i srebrno służących. Nic nie łączyło ją z zaginioną Yssandra, nawet plec.

Brała nawet udział w rozpaczliwych próbach odnalezienia jej, jako że Rathekrel wysłał każdego, kto się do tego nadawał, by odnalazł zaginioną pannę, albo choć jakąś wskazówkę, gdzie może się znajdować, lub kto mógł ją porwać.

Niemniej jednak dokładne przeszukanie dworu nie przyniosło żadnych wskazówek ani też śladów porwania siła. Alara bardzo starannie zatarła wszelkie ślady po sobie.

To mogło tylko oznaczać, jak szeptała ludźmi, że elfka uciekła z własnej woli. Niezbyt pochlebne dla Rathekrela rozwiązanie. I znaczny cios nie tylko dla jego dumy; po tylu urokach, jakie rzucił na to dziecko, gdy przyjechała jego piersiemi, nie powinna być w stanie wygłosić nawet własnej opinii, gdyby była sprzeczna z jego zdaniem. To, że wymknęła się jemu i jego czarodziejskiemu wpływowi, nie zapowiadało nic dobrego dla jego zdolności postrzegania ani też mocy magicznej.

Władca znalazł się teraz w upokarzającej sytuacji. Był zmuszony zawiadomić rodzinę, że ich córka, jego naręczona, najwyraźniej uciekła.

Alara po cichu przyłączyła się do garstki służących wysłanych do biblioteki; nie było to trudne, ponieważ większość pozostałych młodych ludzi starała się znaleźć sobie inne zajęcie, jakiegokolwiek inne zajęcie, kiedy tylko stało się oczywiste, że Yssandry nie ma na terenie posiadłości. Wiedzieli bardzo dobrze, w jaki humor wpadnie Rathekrel, jeśli panna się nie znajdzie.

Ich założenia okazały się całkowicie zgodne z prawdą. Pan był wściekły i upokorzony, a kiedy pan elfów był zły, najczęściej cierpieli jego ludzie.

Prawdą mówiąc, przepelniona lekkiem pogłoską głosiła, że nim jeszcze zakończy się dzień, może być kilka ofiar śmiertelnych w pomieszczeniach dla niewolników. Rathekrel miał skłonność do szukania kozła ofiarnego, jeśli nie umiał znaleźć winnego.

Biblioteka była ostatnim miejscem, do jakiego człowiek chciałby być teraz wysłany.

Ze swego dogodnego stanowiska Alara zauważyła, że biblioteka była nadzwyczaj nieodpowiednim tłem dla przemocy. Cała była urządzona na srebrno i biało. Barwy rodowe były obecne nawet w prywatnych pomieszczeniach; Alara nie mogła nadziwić się niewiarygodnej dumie klanowej Rathekrela. Jednakże nie przypominały one surowych wnętrz, w jakich umieszcili swego "gościa". Biblioteka była przytulna, z miękkimi, białymi zasłonami, które łagodziły wszelkie ostre krawędzie, białym kobiercem tak puszystym, że nawet ciężkie kroki ludzi nie czyniły dzwiku zakłócającego ciszę, i bezkształtnymi siedziskami otulającymi siedzącego, siedziskami przypominającymi chmury, które zstąpiły na ziemię. Biurko było również tego typu konstrukcją, której górna część wyrównano, aż do uzyskania połyskliwej, płaskiej powierzchni. Pan Rathekrel wpatrywał się w te powierzchnie z napięciem widocznym w zarysie ramion, a jego wąska twarz złościła bruzdy niepokoją.

Alara miała ochotę spróbować dotknąć jego myśli, lecz postanowiła zrobić to bardzo ostrożnie. Nie chciała ryzykować, że władca elfów wyczuje, iż ktoś bada jego umysł.

Wątpiła, czy podejrzewałby ją, lecz nie było sensu tak ryzykować.

Szczególnie teraz, gdy zamierzał użyć czarów i będzie najbardziej wyczulony na sondowanie. Postanowiła zaczekać, aż

bedzie tak zajety, ze najprawdopodobniej nic nie zauwazy.

Tak wiec czekala cierpliwie, jako jeszcze jeden "niewidzialny" niewolnik wsrod innych. Wreszcie wladca przesunal dlonia nad biurkiem, ktorego tworzywo zdalo sie rozpuscic, gasnac raczej, niz roztopiac sie, i na powierzchni blatu pojawil sie przed nim bezdenny, czarny prostokat. Polozyl obie dlonie po obu stronach nowo utworzonej przestrzeni.

Elfowy mag wpatrywyl sie uwaznie w plaszczyzne, a potem odetchnal z sykiem.

Poruszył palcami i wytrysnely z nich blekitne iskry, ktore pelzaly po powierzchni biurka. Niektorzy ludzie niespokojnie przestapili z nogi na noge, a Alarze zdawalo sie, ze pewien mlodzieniec na koncu ma ogromna ochote uciec. Iskry tanczyly i pelzaly jeszcze przez kilka chwil, nim wreszcie zgromadzily sie w obszarze prostokata, az pusta przestrzen miedzy przylozonymi na plask dlonmi Rathekrela ozyla, tworzac swiecacy prostokat.

Rozlegl sie czyjs glos, pozornie znikad. Ludzie drgneli, a jeden z nich ukradkiem rozejrzal sie w poszukiwaniu rozmowcy.

-Lord Rathekrel?

Wladca przesunal sie, by spojrzec w dol na swe dzieło. Alara nie mogla dostrzec samego prostokata, tylko swiatlo padajace z niego i dziwnie oswietlajace od spodu twarz pana elfow. Nadszedl czas, by zapuscic mala sonde.

Rathekrel, z tego, co Alarze udalo sie wyczytac z jego mysli, spodziewal sie natychmiastowego rozpoznania; w koncu Yssandra zostala przyslana jako cicha propozycja przymierza, na ktore, wedle wszelkich praw, powinien byl odpowiedziec.

Lecz, ku jego zaskoczeniu, podwladny byl zdumiony widzac go w telesonie. - Panie, co nasz dom moze dla ciebie uczynic?

-Chce rozmawiac z waszym panem - warknal Rathekrel, a jego mysli zdradzily Alarze, iz podejrzewal obraze w tym, ze odpowiedzial mu podwladny. - Natychmiast!

Czekal z nie ukrywaniem zniecierpliwieniem, a jeden z ludzi stojacych obok Alary zadrzal i widac bylo, jak ze zdenerwowania pot splywa mu po twarzy. Wreszcie rodzaj swiatla dochodzacego spomiedzy dloni Rathekrela zmienil sie i Alara wiedziala, ze ktos inny zajal miejsce podwladnego na ekranie. Po sztywnym skinieniu glowa Rathekrela poznala, ze byl to V'Heven Myen lord Lainer.

-Witam cie, panie - odezwal sie zmeczonym glosem. - Blagam o wybaczenie, ze musiales czekac, lecz mam problem w...

-W twoim domu jest wiecej, niz jeden problem, moj panie - warknal Rathekrel.

-Wydaje sie, iz twoja corka znikla ze swych komnat. Powinienem dodac, ze po przyjeciu mojej propozycji malzenstwa. Mialem lepsze mniemanie o twoim wychowaniu.

Odpowiedzia rozmowcy byl pelen zaskoczenia skowyt. Nie byl to dzwiek, jaki zazwyczaj slyszy sie z ust poteznego pana elfow. - Moim co?

Rathekrel wykrzywil twarz, a czlowiek obok Alary skulil sie. - Twoim wychowaniu, panie! Zadna moja corka nie osmielilaby sie odejsc po zaakceptowaniu oswiadczyn! Co sie dzieje w twoim domu, skoro byle kobieta...

Glos Rathekrela nabieral sily w miare, jak wpadal w coraz wieksza zlosc i widac bylo, ze wprowadza sie w stan, w ktorym wkrótce wystapi mu na usta wsciekla piana. Jednak im bardziej sie wsciekal, tym bardziej rozluzniali sie ludzie wokol Alary, a kilku z nich westchnelo z ulgi. Wiedziala, o czym mysla, choc nie mogla odczytac ich rzeczywistych mysli. Pan znalazl sposob, by zrzucic wine za swe upokorzenie na kogos innego. Och, bez watpienia, zgina ludzie, lecz beda to wojownicy i gladiatorzy w czasie pojedynkow, nie domowi niewolnicy. Oni sa bezpieczni.

-Gdzie ona jest! - zagrzmial Rathekrel, nagle wstajac i walac piescia w biurko. - Gdziescie ja schowali! Nie mogla wydostac sie z posiadlosci bez magicznej pomocy i obaj dobrze o tym wiemy! - Stal wciaz nad magicznie stworzonym sprzetem i spogladal na niego z zarozumialym oburzeniem. Nie spodziewal sie odpowiedzi, jaka otrzymal.

-Panie - rozlegla sie sztywna odpowiedz - nie posiadame corki w wieku, jaki normalny mezczyzna uwazalby za odpowiedni do malzenstwa. Mam troje dzieci: dwoch chlopcow, w wieku trzynascie i szesc lat, i dziesięcioletnia dziewczynke. Sa to Kewan, Shandar i Yssandra.

Rathekrel zamarl z piescia nad blatem biurka. Alara musiala opanowac wyraz swej twarzy, gdy elf zdal sobie sprawe, ze

nigdy nie zadal sobie trudu sprawdzenia wieku "Yssandry" zadowolwszy sie potwierdzeniem, ze ow lord rzeczywiscie ma corke o takim imieniu. Nie chcial oglaszac faktu, ze uwazany byl za nie najbardziej pozadanego partnera, a to na skutek poszukiwania malzonki wsrod nizszego stanu. Mial nadzieje, ze ktos mu ja zaproponuje, aby mogl wtedy sprawiac wrazenie "laskawego". Kiedy "Yssandra" pojawila sie u jego drzwi, myslal, ze jego modlitwy zostaly wysluchane i tak byl zajety zawracaniem jej w glowie, ze nie mial okazji, ani czasu na nic innego. Listy polecajace Alary byly bez zarzutu, wiesci, jakie przyniosla, prawdopodobne. Powinny byc takie; Alara wykradla je z doskonalego zrodla.

-Osmielam sie zasugerowac, panie - ciagnal tamten z nuta zarozumialosci i arogancji, ktora pojawila sie w jego tonie - ze padles ofiara bardzo kiepskiego zartu.

A gdybym byl na twoim miejscu, dziekowalbym losowi, ze zart ten nie skonczyl sie malzenstwem. Ja...

Tego bylo juz za wiele. - Zart? Wedlug ciebie to zart? - Rathekrel wybuchl gniewem. Cofnal sie o krok i jednym magicznym pociskiem zniszczyl teleson wraz z biurkiem i cala reszta.

Niewolnicy rozbiegli sie po katach biblioteki, uchylajac sie przed deszczem odlamkow. Chociaz mysl elfow trudno bylo smokowi rozszyfrowac, jego wscieklosc umozliwila Alarze dosc wyrazne przejrzenie ich. Tylko tego trzeba jej bylo. Nieszczesliwy wybor slowa "zart" wywolal caly ciag zalozen i reakcji, jakich lord Myen zupełnie nie zamierzal wywolywac.

Wiele elfow skorzystaloby na kompromitacji Rathekrela, a lord Myen zajmowal wysoka pozycje na tej liscie. Co wiecej, Myen moglby twierdzic, ze rowniez jemu ten nieznan dowcipnis wyrzadzil szkode, poniewaz to jego imie skradziono dla celow podstepu.

Niemniej jednak ostatnim razem, kiedy ktos tak oszukanczo zadrwil sobie z Rathekrela - i pozornie rowniez z innego pana - winowajca okazala sie ta sama osoba, ktora twierdzila, ze ucierpiala w rownym stopniu...

Zatem, wedlug logiki Rathekrela, Myen byl winny.

A poniewaz to on byl sprawca, zostanie za to ukarany. Lord Myen pozaluje tego zartu. Lord Myen zaplaci za to w sposob, jakiego sobie nawet nie wyobraza.

Prawdziwie zdumiewajaca rzecza bylo, jak kilka zle (albo dobrze) dobranych slow moze skrzesc iskre, ktora podpali sucha hubke kaprysnego humoru Rathekrela.

Odwrocil sie gwałtownie i dopiero wtedy dostrzegl ludzi, gdy jeden z najmłodszych skulil sie, wciskajac w kat i zalkal.

-Precz! - wrzasnal z pobladla twarzy i tak rozszerzonymi zrenicami, ze jego oczy przypominaly czarne jamy wscieklosci, obramowane tylko cienka szmaragdowa obwódka.

Niewolnicy rzucili sie biegiem do drzwi, niezmiernie uszczesliwieni tym poleceniem, a Alara wraz z nimi. Kiedy wyslizgnela sie na korytarz, uslyszala lomot, a po nim straszny huk. Brzmialo to, jakby wyrwano z podlogi wielki blok kamienia i rzucono go w drugi kat pokoju.

Nie zostala, zeby sie przekonac.

Przez jakis czas nie mogla rowniez odejsc. Jej zdolnosci i moc mialy granice, do ktorych wlasnie sie zblizala. Posiadlosc byla otoczona, a przy wszystkich wejsciach do samego dworu staly straze. O ile nie mialaby zadnych trudnosci z przebyciem pierscienia otaczajacego posiadlosc, pozostawala wciaz sprawa wydostania sie z domu. Nie miala zbytniej ochoty zmieniac sie w cos wielkosci, powiedzmy, domowego kota. Dobiegala granic swych mozliwosci, utrzymujac rozmiar istoty ludzkiej. Planowala uciezke droga powietrzna, lecz w postaci wielkiej kani, ptaka, ktoremu rozpietoscia skrzydel mogly dorownywac tylko lodowe orly, i ktory wazyl mniej wiecej tyle, co ludzki mezczyzna.

Byl to poza tym ptak, ktorego pojawienie sie uwazano za szczegolnie zly omen. To powinno przytrzec ostrego nosa Rathekrelowi i potwierdzic przypuszczenia wszystkich, iz opuszcza go szczescie, i to w szybkim tempie.

Tak wiec, czekajac az nadarzy sie okazja, by wyjsc na dach, postanowila stworzyc kolejny odcinek trwajacego od dawna dzieła, w jakie bawila sie od czasu do czasu wiekszosc rodu...

Byly to proroctwa o zbawicielu ludzkosci i zgubie elfow.

Znalazla w kacie kuchni sterte workow, wypchala jeden pozostalymi i poszla do piwnicy.

Jakis czas temu odkryla, ze jesli zachowuje sie tak, jak gdyby wykonywala polecenia i miala cos do roboty w tym miejscu,

ludzie raczej zostawiali ja w spokoju. Musiala tylko unikac elfich nadzorcow, ktorzy zadawali pytania, gdy tylko ktos, lub cos odbiegalo od normy. Tym razem bylo podobnie; przetargala wypchany worek obok kucharza i kuchennego nadzorca, ktory na szczescie byl czlowiekiem, i otworzyla drzwi do piwnicy nie zatrzymywana przez nikogo.

Poniewaz czesto chodzono po schodach i to zarowno w gore, jak i w dol, klatka schodowa i wiekszosc pomieszczen, gdzie przechowywano pospolite rzeczy, byly dobrze oswietlone. Kiedy zbiegala po schodach, uderzylo ja w twarz chlodne, wilgotne powietrze przesiakniete wonia cebuli, czosnku, kielbas i ziemistym zapachem warzyw.

Zaczekala kilka chwil, by upewnic sie, ze jest sama i znow zmienila postac, tym razem przybierajac ksztalt starej, na pozor slepej ludzkiej kobiety. Doskonale widziala przez to, co wygladalo jak mlecznobiale katarakty, lecz nikt ze spogladajacych na nia nie domyslilby sie tego. Odziawszy sie byle jak w szorstki material workow i ukrywajac bialosrebrna tunike, usadowila sie tuz pod swiatlem na samym dole schodow i czekala, az wysla tam po cos nastepnego niewolnika.

Prawde mowiac, nastepny niewolnik schodzacy po schodach okazal sie tak doskonala ofiara, ze lepszej nie moglaby sobie zyczc. Byla to mloda kobieta tak obciazona sterta pustych pudel, ze nic nie widziala i musiala badac kazdy stopien wyciagnieta bosa stopa. Alara zaczekala, az dziewczyna zejdzie na dol i przemowila glosem skrzypiacym jak zardzewialy zawias.

-Slyszalas slowo, dziecko moje?

Dziewczyna pisnela z zaskoczenia i podskoczyla, az pudla rozsypaly sie we wszystkie strony. Przycisnela plecy do sciany, oczy zrobily jej sie okragle ze strachu i zdumienia, a na jedno oko opadly zmierzwiene loki wlosow. Alara siedziala jak posag, wpatrujac sie prosto przed siebie przeslonietymi mlecza blona oczami.

-Na zeby bogow, starucho! - sapnela dziewczyna, przykladajac reke do gardla.

-A tos mnie wystrachala!

Alara nic nie powiedziala.

Dziewczyna odepchnela sie od sciany i przyjrzała Alarze oczami wciaz okraglymi ze strachu. - Jakes sie tu znalazla na dole? Tys nie pana Rathekrelowa...

Alara uniosla jedna reke i wskazala w gore; dziewczyna mimo woli podniosla wzrok, a potem skierowala go na slepe oczy Alary. - Glos prorocstwa nie nalezy do nikogo, ani smiertelnika, ani niesmiertelnego - zaintonowala Alara, robiac co mogla, by brzmiec tajemniczo. - Tylko do wiekow.

Dziewczyna zmarszczyla czolo w zdumieniu. - Ja tam nie znam zadnego pana wiekow. - Zaczela sie odsuwac i rzucila teskne spojrzenie na schody. - Widzi mi sie, ze trza bedzie wezwac kucharza.

-Uslysz prorocstwo! - krzyknela Alara, uprzedziwszy dziewczynie, wstajac z szybkościa nie licujaca z jej pozornym wiekiem i zagradzajac niewolnicy droge do schodow.

-Uslysz i zapamietaj! Zapamietaj, wyszeptaj i podaj dalej! Zapamietaj przepowiednie o zgubie elfow!

Dziewczyna wydalala zduszony pisk i cofnela sie, gdy Alara wstala. Alara zagarnela swe szmaty, jakby byly to jedwabne suknie, ktore jeszcze niedawno nosila i spojrzala prosto w strone dziewczyny surowo i posepnie. Poniewaz wydawalala sie slepa, to dziewczynie jeszcze bardziej wystraszylo. - Nadejdzie dziecko - szepnela Alara - narodzone z ludzkiej matki, lecz splodzone przez demony, obdarzone magia potezniejsza od elfich panow! Po tym poznacie owo dziecko, iz czytac bedzie mysli z wiatru, podrozowac na skrzydlach demonow i opanuje wszelkie czary wladcow, nim jeszcze nauczy sie samo stac! Dziecko to bedzie ksztaltu ludzkiego, lecz miec bedzie oczy demonow; tejze zielonej barwy, co kamienie elfow. Bedzie scigane jeszcze przed narodzinami, lecz ujdzie przed poscigiem. Bedzie sprzedane, lecz nikt go nie kupi. Dziecko to odniesie zwyciestwo, lecz przegra wszystko.

Zwykly proroczy belkot, pomyslala sobie. Gdyby niewolnicy mieli cos wlasnego, zbilaby majatek, prawiac kazania. Mozna bylo im wmawiac wszystko, pod warunkiem, ze brzmialo wystarczajaco tajemniczo i imponujaco, a oni uwierzyliby.

-A w koncu - dokonczyla, wznoszac ton glosu - dziecko to powstanie przeciw panom i zrzuci ich do najnizszego piekla, gdzie sami stana sie niewolnikami piekielnych demonow!

Dziewczyna mimowolnie zrobila krok naprzod, zafascynowana wbrew samej sobie.

Oczy jej blyszczaly mieszanina strachu i podniecenia, a kedzierzawe wlosy zrobily sie wilgotne od potu. Alara spojrzala jej

prosto w oczy i wymierzyła w nią koscisty palec.

-Usłysz słowa proroctwa! - wrzasnęła, aż dziewczyna odskoczyła. - Usłysz i zważ na nie!

-Jena! Co tam się dzieje na dole? - rzędził gruby kobiecy głos z góry schodów.

Jena znów podskoczyła i zbladła ze strachu. - Nn... nic! - odkrzyknęła.

-No więc z kim, do diabła, rozmawiasz?

-Ja... tylko... - Dziewczyna spojrzała z zakłopotaniem na Alare; Alara wciąż siedziała w milczeniu, nieruchoma jak posąg.

-Rusz no tylek, dziewczyno i pedem na górę, ale to już! Jena popatrzyła bezradnie na Alare i pobiegła po schodach tak szybko, jak tylko nogi ją poniosły.

Lecz kiedy dygocząc ze strachu zeszła później na dół z kuchennym nadzorcą za plecami, po tajemniczej staruszce nie było nawet śladu. Prawde mówiąc, nie było śladu nikogo.

Było za to o jedną więcej beczulke wina, gdyby ktoś pofatygował się policzyć...

A wkrótce potem, na oczach dwudziestu, czy trzydziestu świadków, w tym dwóch elfich nadzorców, wielka kania wzbila się znad dachu dworu. Odleciała w krwawy zachód słońca, przesłaniając jego blask wielkimi skrzydłami i głoścąc chrapliwym głosem zgubę klanowi V'Larn.

To była zabawa, pomyślała Alara, nawet jeśli reszta legowiska miałaby dostać apopleksji z powodu ryzyka, na jakie naraziła się szamanka.

Elfi panowie tłumili słowa proroctwa i przesładowali tych, którzy je głosili, kiedy tylko mogli - lecz najlepszym sposobem na rozprzestrzenienie czegoś jest próba zakazania tego. Elfowie właśnie odkryli to ku swej bezsilnej złości. Trudno cokolwiek poradzić, jeśli głoszą je starcy i staruchy, którzy rozwiewają się w powietrzu - a im bardziej karzą tych, co słuchają zakazanych słów, tym bardziej inni chcieli usłyszeć, co było w nich tak groźnego.

Był to kolejny sposób na uprzykrzenie nieco życia elfom. Elfowie nienawidzili i bali się proroctwa, a niemąla zasługą był fakt, iż kryło się w nim ziarno prawdy.

Nie było to powszechnie znane, lecz elfowie i ludzie mogli wydać na świat mieszane potomstwo. Potomstwo takie było stosunkowo rzadkością, nawet bez zazywania środków antykoncepcyjnych, lecz w przeszłości zdarzały się dzieci polkwi. Dzieci te, jak wiele hybryd, obdarzone były zdolnościami przewyższającymi zdolności rodziców.

Dlatego właśnie elfowie kontrolowali płodność swoich niewolników, podając im w jedzeniu środki zapobiegające zajściu w ciąży. Rozmnażanie było dozwolone tylko pod nadzorem.

Ludzie posiadali magię umysłu; zdolności rozmawiania myślami na ogromne odległości, czytania w myślach innych, widzenia rzeczy odległych, lub znajdujących się w przyszłości, czy przeszłości, albo manipulowania i poruszania rzeczami bez użycia rąk. Elfowie dysponowali magią w takim sensie, jak rozumiały ją smoki, bowiem smoki posiadały magiczne zdolności zmiany kształtu i kilka jeszcze pomniejszych czarów. Ci, którzy zostawali szamanami, mieli z reguły umiejętność czytania w myślach, lecz nie w takim stopniu, w jakim potrafili to czynić utalentowani ludzie, lub polelfowie.

Natomiast dzieci mieszanej krwi władały magią zarówno elfów, jak i ludzi, a ludzkie zdolności psychiczne z reguły zwiększały ich możliwości jako magów.

Elfowie nazywali mieszanców czarodziejami i próbowali ich wykorzystać w swoich niekonczących się zatargach. Czarodzieje jednakże nie byli bezradnymi stworzeniami, jak ludzcy niewolnicy i przy pomocy magii uwolnili się od swych panów.

Elfi władcy od razu powinni wtedy powitać ich w swych szeregach, pomyślała cynicznie Alara. Ja tak bym postąpiła. Nic bardziej jak życie w luksusie nie rozmiękcza myśli o rewolucji, to zupełnie jak śnieg w słońcu.

Elfowie jednak tego nie zrobili; wpadli natomiast w panikę i próbowali zniszczyć swe potomstwo polkwi.

Tak zaczęła się wojna czarodziejów, w której po jednej stronie staneli czarodzieje, a po drugiej elfi panowie i ich wojska.

Smoki zjawily się na tym świecie przed wojną czarodziejów oraz ich klęską i wyginieciem, lecz w większości były zbyt

zajęte własnymi problemami związanymi z osadnictwem, by zwracać uwagę na to, co dzieje się po drugiej stronie pustyni. Później, przynajmniej częściowo stali się świadomi owych wydarzeń poprzez zawodne i nieporadne ludzkie ustne przekazy, przez elfie historie, oraz wspomnienia tych nielicznych członków rodu, którzy przykładali wagę do problemów elfów - a w szczególności Ojca Smoka.

W wyniku tej wojny znienawidzono i obawiano się mieszanców, a gdyby przez przypadek tak się stało, że ludzka kobieta nosiłaby w swym łonie dziecko elfiego pana, zarówno ja, jak i dziecko usmiercono by w chwili, gdyby to wyszło na jaw.

Alara nie była pewna, skąd wzięło się proroctwo, czy zostało ułożone przez rod, czy też rod gdzieś je odkrył i postanowił wykorzystać, lecz pewne było, iż napędzało strachu elfom...

W tym momencie - po zniknięciu narzeczonej, ponownym wypłynięciu proroctwa wśród niewolników i pojawieniu się wielkiej kani zwiastującej katastrofę - lorda Rathekrela prawdopodobnie sparaliżowała złość. Wydarzyło się to kilka miesięcy temu, dość dawno, by wieść rozniosła się wśród innych elfich panów i by mieli czas dokończyć swe własne plany jego dotyczące. A tymczasem tuzin innych pośredników w handlu władza bez wątplenia manewrowało w celu uzyskania korzystnej pozycji i miało nadzieję, że poniesie klęskę.

Był najwyższy czas na posiedzenie Rady. Gdyby wyrzucono go ze stanowiska w Radzie za niekompetencję, naruszyłoby to równowagę władzy. Elfowie byłiby zbyt zajęci próbami znalezienia kompromisowego kandydata, by zwracać uwagę na to, co dzieje się na granicach, co z kolei ułatwiłoby polowania przez jakis czas, a pogłoski, że Rathekrel widział smoki, straca całkowicie na wiarygodności...

Co zamierzała powiedzieć rodakom, gdyby kiedykolwiek dowiedzieli się o jej wyczynie. I tak by to jednak zrobiła. Elfowie zasługiwali na trudności, jakie ich nawiedzały. Okropne istoty.

Jednakże fakt ten nie miał najmniejszego związku z medytacjami, jakim powinna się teraz oddawać. Szczerze mówiąc, była tak rozproszona, że zmieniła nieco postać, dopuszczając do poruszenia ogonem o długość pazura. Otrząsnęła się w myślach i spróbowała znowu się skupić.

Cos pojawiło się w najbliższym sąsiedztwie, coś, co nie było smokiem. Czula jego... jej... obecność.

Porzuciła wszelkie myśli o złośliwych zartach i zrezygnowała z udawania medytacji na widok ludzkiej kobiety wychodzącej chwiejnie zza muru i padającej u jej boku.

Alara pośpiesznie zmieniła kształt, pozostawiając tylko cieniutką warstewkę poprzedniej postaci. Wciąż wyglądała jak głaz, lecz miała oczy i uszy, z których ostrożnie skorzystała.

Kobieta, będąca w zaawansowanej ciąży, jęknęła, podniosła się na kolana i opierając na rękach poczołgała do wody. Nie była wedrowcem, jakiego Alara spodziewałaby się ujrzeć na pustyni. Kobieta była młoda, nie oszpecona bliznami, o skorze spieczonej słońcem do czerwoności i pokrytej pecherzami, ubrana w delikatne jedwabie, dobre w buduarze, lecz raczej nie na pustyni. Długie, rude włosy kiedyś nosiła splecione wpek wymyślnych warkoczy, lecz teraz połowa koafiury opadała na twarz, a reszta była zmierzwiiona w kłęb. Podeszwy jej bosych stóp były poparzone i pokaleczone, lecz zdawało się, była już tak otepiała od gorączki, że nie zauważała bólu. Na oczach Alary kobieta znowu upadła, lecz dopiero wtedy, gdy dowiekła się do sadzawki.

Przyczółowała się do brzegu wody, zanurzyła twarz w wodzie i chleptała chłodny płyn jak zwierze. W chwili, gdy dotknęła wody, rozległ się ostry trzask.

Kobieta szarpnęła za coś u szyi i wymyślnie wysadzana klejnotami obroza niewolnicy została jej w reku. Obojętnie wypuściła ją z dłoni i osunęła się na kamienie z wyczerpania.

Uwagę Alary przykuło słońce migoczące w drogich kamieniach naszyjnika. Wszyscy ludzie nosili obroze niewolników, lecz nigdy nie widziała tak ozdobnej. Szeroka co najmniej na długość kciuka, wydawała się być wykonana z litego złota z szmaragdami, szafirami i rubinami ułożonymi w ciąg geometrycznych wzorów. Chciwa dusza Alary zapragnęła jej; żaden smok nigdy nie miał dość klejnotów do swego skarbcza, a ta biżuteria pociągła ją jak żadna dotąd. Pragnęła nie tylko posiadać ją, lecz również nosić.

Owa anomalia ostrzegła ją, zanim w pełni zmieniła się w smoczą postać, by pochwycić przedmiot. Niespodziewanie zaniepokojona, przyjrzała się uważnie obrozy.

Oczywiście, wśród klejnotów, tuż nad zapieciami, znajdowały się trzy małe, nie rzucające się w oczy kamienie elfów. Typ kamieni i ich oprawa były jej znajome. Jeden, by zapiąć obroze na szyi niewolnika, jeden niwelujący wszelką magię umysłu, jaka mogłaby posiadać niewolnik i jeden, najwyraźniej wciąż czynny, zawierający urok, który sprawiał, że każdy, kto

na nią spojrzal, chciał ją nosić. Bezpieczny sposób zapewnienia, że żaden niewolnik dobrowolnie nie rozstanie się ze swą obrozą.

Obroza nagle przestała być aż tak atrakcyjna.

Wtedy, niczym okrzyk, rozległ się w umyśle Alary głos: "Ach, bogowie!" Alara przez chwilę była zaskoczona, a potem poczuła, że jest wciągana do wnętrza umysłu tej kobiety.

Serina Daeth. Nie "ta kobieta". Alarze ledwo udawało się utrzymać przy własnej tożsamości, tak rozpaczliwy był ucisk umysłu Seriny.

Serina była zbyt rozgorączkowana, by myśleć jasno; Alara tonęła pod bezładnie pomieszaną lawą wspomnień, uczuć i emocji.

Ze strasznym wysiłkiem Alara wyrwała się z umysłu kobiety i przez chwilę leżała, czując lomotanie w głowie i straszny ból między oczami.

Ona jest nalożnica, pomyślała zdumiona smoczyca. Nigdy nawet nie zbliżyła się do ktorejs na tyle, by dobrze jej się przyjrzeć, a co dopiero posłuchać jej myśli. Lord Dyran - to musi być V'Kass Dyran lord Hernalth. Był starszym władcą; praktycznie przewodniczącym Rady. W jaki sposób konkubina dostojnego pana znalazła się na pustyni?

Ostrożnie wysunęła psychiczny palec i dotknęła krawędzi umysłu kobiety najdelikatniej jak umiała.

Po cierpliwym przesiewaniu faktów zdobyła kilka informacji; Serina jest była faworytka haremu, dumna ze swej pozycji, statusu i umiejętności współżycia ze swym panem o kapryśnej naturze. Było to prawdą tak długo, poki pan Dyran nie dostał nowej dziewczynki, zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Leyda Shaybrel była tak piękna, jak to zachwalał jej właściciel, i równie bezwzględna, jak urodziwa.

Kiedy Leydzie nie udało się jako faworycie zastąpić Seriny i kiedy zdała sobie sprawę, że lord Dyran nie zamierza odsunąć Seriny, sięgnęła po podstęp.

Było to kilka miesięcy temu, zanim lord Dyran pojechał na Rade - która, dzięki zamieszaniu i wasniom rodowym wywołanym przez ingerencję Alary, miała trwać przez rekordowy czas osmiu miesięcy. Pan Dyran wyjechał, zanim Serina zdała sobie sprawę, że jest w ciąży.

Kiedy tylko dowiedziała się, musiała wpasć w panikę. To śmierć - nawet, gdyby Dyran nie zabił jej, wygnałby ją. Alara była zafascynowana. Oto wejrzenie w świat ludzi, jakiego przedtem nigdy nie miała. Ciekawe, czy uda mi się dotrzeć do jej pamięci? To mogłoby być przydatne...

Może gdybym tylko troszeczkę ją pchnęła we właściwym kierunku...

Zdumiewające, pomyślała Alara wycofując się delikatnie z pamięci. Bardzo trudno było jej uwierzyć w to, co ujrzała przed chwilą: chciwość, samolubstwo, osobowość kompletnie skupioną na samej sobie. Nawet w najgorszym przypadku rod zawsze trzymał się razem!

Te kobiety interesowała tylko własna kariera, a nie to, co działo się z innymi dziewczynami. Poszła do swojego pana nie tylko bez przymusu, ale wręcz chętnie. Tak było z wszystkimi.

O ile Alara potrafiła stwierdzić, wszystkie nalożnice były podobne do niej. Nie było wśród nich nawet śladu niepokorności, czy jedności.

Alara zmrużyła oczy, czując oszłomienie. Podczas ostatnich kilku uderzeń serca dowiedziała się o ludziach i rasie elfów więcej, niż przedtem w ciągu lat. Wspomnienia tej kobiety były bardzo silne - a przyciąganie jej umysłu niemal nieodparte. Mimo to, nie mogła oprzeć się pokusie, by ponownie dać się wciągnąć. Dowiadywała się tak wiele o klasach ludzi, do których rod poprzednio nie mógł się zbliżyć, takich jak nalożnice i gladiatorzy.

Kobieta ta była skarbnicą wiedzy; dzięki temu, co Alara dowiedziała się od niej, rod będzie mógł wnikać w elfie społeczeństwo nie w postaci innych elfów, co czasami było ryzykowne i niebezpieczne, lecz w postaci niezauważalnych...

Najlepiej byłoby, gdyby dowiedzieli się wystarczająco dużo, by podawać się za strażników, wojowników, i tych, którzy walczyli w pojedynkach.

Jej ojciec szkolił gladiatorów, nagle przypomniała sobie Alara. Znalazła to krótkie wspomnienie o pojedynku na arenie, ale

najprawdopodobniej jest ich więcej. Bedzie musiala poszukac...

Serina na wpol wpadla do wody, niemal nie poznajac co to jest, zanim nie zanurzyla w niej rak. Zaglebila twarz w blogoslawiony chlod, pijac az do napecznienia, placzac z ulgi, jaka przynosila zimna woda splywajaca do gardla i ciekna po spierzchnietej, poparzonej skorze ramion i twarzy.

Kiedy nie mogla juz wypic ani kropli wiecej, polozyla sie obok sadzawki z rekoma wciaz zanurzonymi w wodzie, zbyt slaba, by ruszyc sie. Zbyt slaba nawet, zeby myslec.

Nadal bylo jej goraco...

Slonce nad glowa przypominalo jasne swiatla areny, za ostre, by patrzec na nie wprost...

Dzisiaj wladca odziany byl w czysty blekit szafirow, a w glebi jego oczu odbijala sie czesc tego blekitu. Serina pomyslala, ze jest jeszcze przystojniejszy, niz wtedy, gdy ujrzala go po raz pierwszy.

-W bardzo znacznym stopniu zawdzieczam czesc swego powodzenia tobie - powiedzial leniwie Dyran, spacerujac z rekoma zalozonymi na plecach i przegladajac najnowsza stawke gladiatorow dostarczona przez Jareda.

Ludzie stali ustawieni przed nim w zgrabnym szeregu, ubrani w specjalne skorzane zbroje, dopasowane tak, by ulatwic poslugiwanie sie jego - lub jej, jako ze w grupie znajdowalo sie kilka kobiet - specjalna bronia. Stali w pokazowej pozycji spoczynku jak zlowieszcze posagi, a helmy zaslanialy im twarze w takim stopniu, ze tylko czasami blysk oczu zdradzal, iz zyja.

Serina wyjrzala spod oslony starej plachty narzuconej na sterte popsutych zbroi, ktore lezaly na jednej z szaf w magazynie. Nauczyla sie wdrapywac tam, kiedy miala piec, czy szesc lat, a teraz majac dziewiec, ledwo sie miescila. Jeszcze kilka centymetrow i nie zdola sie wcisnac za te sterte. Oznaczalo to, ze pewnie nie bedzie juz wiecej mogla podgladac cwiczen, wiec zdecydowana byla wykorzystac w pelni kazda okazje, jaka teraz sie nadarzala.

-Dzieki ci, panie - odpowiedzial beznamietnie Jared. - Jednakze to ty, panie, wykszaltciles mnie i dopilnowales, bym dostawal odpowiednich przeciwnikow. To ty powierzyles mi szkolenie innych. Mialem tylko surowy talent. Ty postarales sie, by zostal on wyostrzony i wykorzystales go.

-Prawda, prawda... mimo to, jestes niezwyklym zwierzeciem, Jared. Ponad sto pojedynkow i ani jednego niepowodzenia. - Dyran odstepil o krok i przyrzal sie krytycznie swemu niewolnikowi, przechylajac glowe w bok. - Gotow jestem powiedziec, ze wciaz potrafilbys zmierzyc sie z kazdym z tych mlodych ludzi i wygrac. Chcialbys sprobowac? Mam na mysli prawdziwy pojedynek, nie tylko cwiczenie.

Serina znala dostatecznie dobrze swego ojca, by wiedziec, ze propozycja Dyrana wstrzasnela nim do szpiku kosci. Prawdziwy pojedynek - to oznaczalo walke na smierc i zycie. Jared przeciwko jednemu z mlodych ludzi, ktorych sam wytrenowal.

Doswiadczenie Jareda przeciw sile i wytrzymalosci mlodszeo mezczyzny - Jared walczaczy z kims, kto wie, jakie beda jego ruchy, zanim jeszcze je wykona.

-Bylaby to ciekawa propozycja, panie - odrzekl powoli Jared, tak wolno, ze Serina zorientowala sie, jak starannie namysla sie przed kazdym slowem. - Musze jednak zauwazyc, ze mogloby to oznaczac utrate twego glownego trenera. Tak, istotnie, oznaczaloby to utrate naczelnego trenera na miesiac, lub dluzej. Nie jestem juz tak zwawy, bym uchylil sie przed kazdym ciosem, a takze za stary, by szybko wracac do zdrowia.

Serina oczekiwala na odpowiedz Dyrana z zapartym tchem. Elf odchylil glowe do tyłu i wybuchnal smiechem, potraszajac dlugimi wlosami. Zarowno Serina, jak i jej ojciec jednakowo odetchneli z ulga. - Nie chcialbym tego ryzykowac, staruszk - powiedzial, klepiac Jareda po plecach dokladnie w taki sam sposob, w jaki Serina widziala go klepiacego konia po boku; z taka sama duma posiadacza. - O, nie! Nie przy szykujacych sie tylko w tym miesiacu dwoch tuzinach pojedynkow. Sadze ze ograniczymy straty do tych, ktorych da sie zastapic. Do dziela.

Dyran, wciaz smiejac sie pod nosem, odszedl spacerowym krokiem, a Jared odprowadzil swych ludzi z powrotem do koszar.

Jasne swiatla areny... Ile razy stala w nich? Swiatla oswietlaly tak samo bezlitosnie publicznos, jak i walczacych, bowiem elfi panowie przybywali na pojedynki w rownym stopniu po to, by byc widzami, jak i po to, by ich ogladano. Nigdy nie kwestionowali jej obecności, chociaz stalo to w sprzeczności z ich zwyczajami. Widzieli, jak bardzo Dyran zyczył sobie, aby tam byla, a nikt nie osmielilby sie rzucic wyzwania Dyranowi na jego własnym gruncie. Dopielą tego, ze stala sie

nieodzowna, lecz nikt z nich nie domyślał się, ile wysiłku to wymagało, bowiem żadna konkubina nie osmieliła się uczynić tego, co robiła ona...

Nikt, oprócz mnie, szepnęła do siebie, a jej umysł i ciało unosiły się swobodnie gdzieś, gdzie było obco i jasno. Nikt, oprócz mnie.

Serina wczesnie nauczyła się dotrzymać tempa długim, pozerającym gruntu krokom Dyra w taki sposób, by nie sprawiało wrażenia, że się spieszy. Nigdy, przenigdy nie dopuściła do tego, by wyglądała na pozbawioną wdzięku. Jedno potknięcie i ktoś ją może zastąpić.

Stanowiło to ważną część jej planu: zostać stałą nałożnicą Dyra. Towarzyszyła mu wszędzie, gdzie tylko mogła, pod warunkiem, że wyraźnie jej tego nie zabronił. Rowenia nigdy nie opuszczała haremu; Rowenia nigdy nawet nie ruszyłaby palcem dla siebie, nie wspominając już o usługiwaniu Dyranowi.

Tak więc Serina szła wszędzie za Dyranem i obsługiwała mu własnymi rękoma. Nie w sposób pełen uwielbienia, nic - niewidzialnie. Tak, że nigdy nie zauważał, kto mu służy, zanim nie spojrzał prosto na nią. Czynił tak w pierwszych miesiącach po objęciu przez nią stanowiska i był zdumiony, widząc ją tam z pucharem, talerzem, piórem, czy tabliczką. Nigdy też nie dostrzegł, aby patrzyła na niego inaczej, jak wyzywająco i jakby chciała rzec: Zakwestionuj moje prawo, by być tutaj, jeśli się odważysz! Tak, był zaskoczony. Potem rozbawiony jej zuchwałością i sprytem, teraz był uzależniony od niej, od jej umiejętności przewidzenia jego potrzeb, czegoś, czego najwyraźniej przedtem nigdy nie zaznał.

Fakt, że potrafiła zaskoczyć pana elfów, był dla niej stałym źródłem samozadowolenia. Władca taki, jak Dyran widział już niemal wszystko w swym długim życiu, więc umiejętność zaskoczenia go czyni ją tym cenniejszą w jego oczach. Taka przynajmniej miała nadzieję.

Mam pod dostatkiem powodów do dumy, myślała, sunąc jego śladem, bez zastanowienia uważana za jego cień. Usługiwanie, jakiego dobrowolnie podjęła się, jeśli nawet nie służyło niczemu innemu, było dużo zabawniejsze niż przebywanie w haremie i usilne urozmaicanie sobie czasu klejnotami, sukniami i małymi intrygami drugorzędnych nałożnic.

Dzisiaj interesy zaprowadziły Dyra do części posiadłości, w której jeszcze nie była. Było to na zewnątrz, w podobnej do stodoły przybudowce o pobielanych ścianach, z jednym wejściem, bez okien, tylko z wszechobecnymi świetlikami w suficie. Na progu zawahała się na moment i zmrużyła oczy przed ostrym słońcem, do którego nie była przyzwyczajona. Czuliła jak nacisk na swej jasnej skorze i metnie zastanowiła się, jak robotnicy w polu mogli to znosić. Na zewnątrz była może kilka razy w swym życiu - kiedy zabrano ją od rodziców z budynku, gdzie szkolili się i mieszkali gladiatorzy, do pomieszczeń, gdzie kształcono nałożnice, a potem wtedy, gdy została konkubina i przeniesiono ją do samego dworu - lecz w większości tych przypadków popędzano ją w tłumie innych tak, że nie miała czasu rozejrzeć się. Skuliła się wewnątrz na widok tak otwartej przestrzeni. Niebo - nie widziała gołego nieba od czasu, gdy była dzieckiem. Było go... tak wiele. I tak wysoko - nie podtrzymywały go żadne ściany.

Stłumiła uczucie paniki i puste wrażenie leku, jakie ją ogarnęło, gdy spojrzała w gore i w gore, i w gore...

Zamknęła oczy na chwilę, by się opanować, a potem pospieszyła za Dyranem. Nie była pewna, ile zdola jeszcze znieść...

Wkrótce jednak znaleźli się ponownie pod dachem. Serina zatrzymała się za plecami Dyra, gdy czekał przez chwilę w wejściu. Miło było znowu ujrzeć znajomy widok belek pod sufitem i świetlików, oraz łagodne, mleczne światło, saczące się przezeń. Zrobiło jej się słabo z ulgi. Nawet tak bardzo, że początkowo nie zauważyła, w jakim celu przyszedł Dyran, aż do chwili, gdy przestąpił próg i mogła wyraźnie dostrzec następny pokój.

Dzieci? Dlaczego chce widzieć dzieci?

Znajdowała się tam przynajmniej setka dzieci obu płci, w większości w wieku około sześciu lat. Wszystkie ubrane były w przepisowe krótkie tuniki i luźne spodnie z surowego płótna. Był to strój niewolników, którym nie przydzielono jeszcze obowiązków. Taki sam nosiła Serina, zanim zabrano ją na przeszkolenie w wieku dziesięciu lat.

Elf nadzorca ustawił je w nierównych szeregach po dziesięciorko. Stały całkiem spokojnie, w ciszy dziwnej dla dzieci w tym wieku. Niektóre wydawały się zdumione; na puciołowatych policzkach niektórych wciąż znać było ślady łez, inne po prostu zdawały się poddać losowi. Wszystkie jednakże zachowywały się nienaturalnie, niesamowicie cicho i stały, nie krecąc się.

-Mój panie! - Elfi nadzorca o twarzy tak starannie opanowanej, że wyglądała, jakby wykuto ją z marmuru, zaszalutował. Miał na sobie liberie i helm. - Oto uczniowie.

Uczniowie? Teraz Serina była bardzo zdumiona. O czym on, do licha, mówi?

-Wypróbowałeś je? - zapytał od niechcienia Dyran, podchodząc powoli do grupki dzieci, które co do jednego wbili w niego wielkie oczy pełne różnego stopnia obawy.

-Niedobrze byłoby posłać lordowi Edresowi coś, co nie jest najlepsze.

Lord Edres? Co on miał wspólnego z dziećmi?

-Tak, panie - odrzekł nadzorca, wciąż stojąc na baczność. - Refleks, siła, szybkość, pod tymi względami są najlepsze w swojej grupie wiekowej. Powinny być świetnymi wojownikami.

Teraz Serina zrozumiała. Zrozumiała również wzmiankę o panu Edresie.

Sprzymierzeniec i tesc Dyrana szkolił najlepszych wojowników do pojedynków, szkolił gladiatorów i strażników. Dyran sam zaczął hodowlę ulepszającą swoich wojowników, gdy tylko wysechł atrament na kontrakcie ślubnym; bez wątpienia koszt panny młodej miał być w części splacony niewolnikami do szkolenia. Te dzieci były najwyraźniej wynikiem owego programu.

-Sądzę, że są gotowe, panie, jeśli jesteś z nich zadowolony. - Teraz nadzorca odstepił o kilka kroków, jakby chciał odsunąć się poza zasięg czegoś.

-Tak, myślę, że się nadają.

Dyran unosił ręce, strzepnąwszy rekawy i przez chwilę Serina czuła rozproszony strach, jakby w głębi ducha wiedziała, co się stanie i bała się tego.

Dyran klasnął w dłonie i oslepił ją krótki błysk światła, przytłaczający i bolesny - a kiedy przejasniło jej się w oczach, dzieci wciąż stały, lecz wszelki ślad strachu czy nieszczęścia znikł z ich twarzy. Na twarzy każdego malował się senny, zadowolony uśmiech, każde czujnie spoglądało na Dyrana, to na nadzorcę, jakby czekały na polecenie do wykonania.

Drobny fragment pamięci: Serina stoi w szeregu wśród innych dziesięcioletnich dziewczynek. Pan Dyran w jaskrawym szkarłacie unosił ręce. Błysk światła. A potem...

Serina potrzaskała głową i mały okruch wspomnień znikł, jakby go nigdy nie było.

-Dokładniej rzecz biorąc, w jakim celu dzieci mają być szkolone? - zapytał Dyran nadzorcę.

Teraz nadzorca zdjął hełm i Serina poznała go. Miał na imię Keloc i był jednym z nielicznych podwładnych, którym Dyran rzeczywiście ufał.

-Połowa pojdzie prosto na szkolenie dla piechoty; szeregowi żołnierze, panie - powiedział Keloc, odrzucając włosy do tyłu ruchem głowy. - Czwarta część przeznaczona jest na strażników, reszta na wojowników do pojedynków. Pan Edres życzył sobie około tuzina na zabójców, ale powiedziałem mu, że nie posiadamy niczego odpowiedniego.

-Bardzo dobrze - odrzekł Dyran zmarszczywszy brwi. - Jestem lepszym magiem od niego, co nie wyklucza jednak możliwości, że sprzymierzy się z kims równie dobrym jak ja i złamię moje geas. Smutne byłoby, gdyby okazało się, że zabójcy z moim pietnem robią jatke z mojej najlepszej ludzkiej służby.

-Właśnie, panie - odpowiedział nadzorca. - Czy wyczujesz jakis opór? Nie podałem lordowi Edresowi dokładnej ilości, tylko przybliżoną liczbę. Odsiałem, co mogłem, lecz nie jestem takim magiem jak ty.

Dyran rzucił spojrzenie na morze zafascynowanych młodych twarzy. - Nie - powiedział wreszcie. - Nie, nie przypuszczam. Te powinny nadawać się doskonale. Świetna robota, Keloc. Osiągasz lepsze wyniki z nimi niż z konmi.

Nadzorca uśmiechnął się lekko. - Ludzi łatwiej hodować, panie. Jeśli tylko przypilnuje się ich, uszkodzenia w czasie rozmnażania są minimalne, no i zawsze są w okresie rui. Poza tym, zawsze miałeś dobry materiał zarodkowy, panie.

Dyran zaśmiał się cicho z zadowolenia i dumy. - Miło tak pomyśleć. Oby tak dalej, Keloc.

Nadzorca znowu wcisnął hełm na głowę i zaszalutował. - Tak jest, panie - rzekł.

Alara czuła się rozczarowana, chociaż nie z powodu wyrazistości wspomnień kobiety. Doszła do wniosku, że nie będzie można podawać się ani za strażnika, ani za nalożnicę. Doprawdy, wielka szkoda; oba stanowiska idealnie nadawałyby się do zdobywania informacji obszerniejszych od tych, jakimi obecnie dysponował rod. Przynajmniej jedno wyjaśniło się.

Wygladalo na to, ze elfi wladcy zachecali swoich ludzi do rywalizacji, utrzymujac wladze nad nimi dzieki zakleciom - a przynajmniej bylo tak w przypadku ludzi, ktorym pozwalali przebywac w swojej bliskosci. Tak wiec podsycali niechec ludzi do siebie nawzajem, troszczac sie, by ich wiernosc panu pozostala niewzruszona.

Elf wspomnial o geas. Alare ciekawilo, co to naprawde bylo i jak je nakladano. Czy sluzilo tylko do tego, by ludzie nie mogli zdradzic swego pana? A moze to cos bardziej zlozonego? Ojciec i matka Seriny powtarzali, ze "wszystko pochodzi od Pana". Ciekawe, czy to rowniez mialo z tym zwiazek?

Nie mogli to byc niezawodny sposob; Dyran wspomnial cos o oporze. Musialo to oznaczac, ze geas mogli zwalczyc, a nawet przelamac sam czlowiek...

Zastanawiala sie, czy ktos z rodu rowniez potrafilby tego dokonac...

Nawet jesli nie byli w stanie dostac sie w szeregi wojownikow, Alara mogla przynajmniej ujrzec jeden z pojedynekow przez wspomnienia kobiety.

Moze sie to okazac bardzo pouczajace.

Serina unosila sie wsrod oblokow swiatla, zbyt ogarnieta sennoscia, by czemukolwiek sie dziwic. Kilka chwil pozniej stala juz za Dyranem na swym miejscu za jego krzeslem na arenie. Nie byl sam.

Arene ozywialy barwy i swiatla, przepelnial szmer rozmow. Serina podniosla czerwona aksamitna poduszke, ktora spadla z fotela lorda Dyrana. Ogromnie swiadoma tego, ze jest jedyna istota ludzka wsrod widzow, usilowala jak najmniej rzucac sie w oczy.

Poszla z panem Dyranem do areny, chociaz oznaczalo to, ze musiala przejsc pod tym okropnym otwartym niebem. Nie uczynil nic, by ja powstrzymac. Nikt inny tez nie zabronil jej pozostac u jego boku, gdy zajal miejsce w prywatnej lozy wraz ze swymi goscmi, V'Tarnem Sandarem lordem Festinem i V'Kala Alinor lady Auraen. Dama rzucila Serinie bardzo ostre i przenikliwe spojrzenie, gdy ta weszla za Dyranem, lecz kiedy dziewczyna nie rozsiadla sie sama, lecz stanela pokornie, dama najwyrazniej postanowila zignorowac ludzkiego natreta.

Cala trojka elfich wladcow odziana byla w bardzo oficjalne stroje w rodowych kolorach - w wymyslne oponcze sztywne od zlotych sznurow, ha?ow zlota i srebrna nicia, oraz blyszczacych drogich kamieni, z ktorych ulozone byly wzory z motywami ich herbow klanowych. Dyran szczylic sie zlotymi i cynobrowymi sloncami, pan Sandar nosil szmaragdowe i szafirowe delfiny, a lady Alinor bladozielone i srebrne zurawie.

Owe przepiekne stroje wlozono z okazji rozstrzygnięcia sporu miedzy panem Vossinorem a panem Jertainem. Serina nie byla zupełnie pewna, o co poszlo.

Nieporozumienie z pewnoscia dotyczylo spornego szlaku handlowego, oraz kilku obelg, jakie wymieniono na posiedzeniach Rady - i własnie Rada zarzadzila zorganizowanie pojedynku. - ...jesli o mnie chodzi, mam tego serdecznie dosyc - szepnela lady Alinor do Dyrana, z wdziakiem sadowiac sie na swoim miejscu. - Jertain moze rzeczywiscie ma racje tym razem, lecz klamal tak czesto, ze ktos moze byc pewien? Jestem swiecie przekonana, ze on sam juz nie wie, gdzie lezy prawda.

-Rada jest niezmiernie wdzieczna tobie i Edresowi za umozliwienie rozstrzygnięcia tej przekletej sytuacji raz na zawsze - rzekl Sandar z ledwo dostrzegalna nuta rozdrażnienia.

Dyran tylko usmiechnal sie laskawie. - Ciesze sie zawsze, kiedy moze byc do uslug Rady - powiedzial zgrabnie, podajac lady Alinor rozana slivke z tacy, ktora podsunela mu Serina.

Pracowal nad tym od miesiecy, pomyslala zarozumiale Serina, podsunawszy polmisek rowniez lordowi Sandarowi. Dzieki temu Rada jest mu wdzieczna, ze uwolnil ich od nieprzyjemnego klopotu, a zadna ze stron nie moze spodziewac sie, ze opowie sie po czyjejs stronie. Niezaleznie od tego, kto zwyciezy, wygra on. Nie wspominajac nawet o tym, ze inni beda mu winni przysluge za zapewnienie neutralnego miejsca i doskonale dobranych wojownikow.

-A co ze sporem miedzy Hellebore i Ondine? - Sandar zapytal Alinor. - Czy wiadomo juz cos na ten temat?

-Och, tak jak ci powiedzialem, to bedzie wojna - odrzekla od niechcenia. - Rada zbierze sie za kilka dni, by zadecydowac o wielkosci wojsk i miejscu ich spotkania.

Potem wszystko bedzie zalezalo od nich dwoch. Mowilam ci przeciez, ze przy ich sporze o dziedziczenie majatku nie obejdzie sie bez wojny.

-Rzeczywiscie, pani - odpowiedzial Dyran, nachyliwszy sie ku niej z dziwnym blyskiem w oku. - I znow mialas racje. Powiedz mi, jak ty sadzisz, ktory z nich bedzie lepszym dowodca?

Zachowuje sie tak dziwnie w towarzystwie lady Alinor. Rzucila mu wyzwanie w Radzie i nie bylo mu to w smak. Przedtem tez rzucano mu wyzwania, ale nie zachowywal sie tak, jak teraz przy niej. To niemal tak, jakby pozadal jej, pragnal posiadac ja, a ona odtracala go w sposob, ktory tylko utwierdzal go w przekonaniu, ze musi ja zdobyc. Serina zadrzala i uczynila co mogla, zeby tego nie pokazac po sobie. Dyran nigdy przedtem nie mial takiej obsesji na jakims punkcie. Nie byla pewna, co na to poradzic - ani czy zdobylyby sie na taka smialosc.

Lady Alinor rozesmiala sie, a w jej smiechu kryl sie delikatny cien drwiny. - Ondine, oczywiscie... - zaczela.

Pojedynczy, smialy dzwiek gongu przeszyly powietrze, uciszyly pogawedki i sklonil wszystkich do odroczenia glow w strone wejscia na piasek areny. Para wojownikow, z ktorych jeden uzbrojony byl w maczuga i tarcze, a drugi w nietypowa bron - pojedynczy kij, wyszla ramie w ramie na srodek areny. Wojownik z maczuga, ktory mial tarcze i wstazki u helmu w bialo-indygowych barwach pana Jertama, zrobil zgrabny zwrot w lewo i zakonczyl marsz pod jego loza. Drugi, z wstazkami przy helmie i naramiennikami w cynobrowobrazowych kolorach Vossinora, skrecil w tym samym momencie w prawo, by oddac czesc widzom w lozy Vossinora.

Obaj elfi wladcy odpowiedzieli wojownikom podniesieniem reki. Znow zabrzmial gong. Dwaj mezczyzni odwrócili sie twarzami do siebie i czekali z cierpliwoscia automatow.

Dyran wstal powoli, trzymajac w reku jaskrawoczerwona chustke. Spojrzenia wszystkich spoczywaly teraz na nim; bedac gospodarzem, mial przywilej dania znaku do rozpoczecia pojedynku. Usmiechnal sie z wdziekiem i upuscil kwadrat z jedwabiu.

Chustka opadla lekko na piasek i zostala zapomniana, bowiem rozpoczela sie rzez.

W koncu nawet kilku elfow musialo opuscic widowisko, a Serina zaczela odwracac oczy. Nie miala pojecia, jakie obrazenia moga zadac dwa tepe narzedzia.

Natomiast Dyran przygladal sie nadal; nie tak chciwie, jak lady Alinor, ktora wychyliwszy sie do przodu, podkreslala kazdy cios cichym okrzykiem radosci - ani nie ze znudzona cierpliwoscia, jak Sandar. Raczej z obojetnym rozbawieniem, z lekkim usmieszkiem zadowolenia, kryjacych sie w kacicach ust i z niezrozumialym dla Seriny blyskiem w oczach za kazdym razem, gdy spogladal na Alinor.

A kiedy nadszedl koniec - a nastapil on szybko, za szybko dla wielu widzow - kiedy wszyscy inni elfi wladcy wyszli, wtedy uczynil swoj ruch. Ruch w strone Alinor.

Znaczący dotyk jego dloni na jej ramieniu, kilka starannie dobranych slow - jedno i drugie, jak gdyby Seriny tu nie bylo.

Blada od utajonych emocji, udawala, ze jej tam nie ma, ze jest jednym ze sprzetow.

Z cala pewnoscia pani Alinor nie zwracala na nia uwagi.

Dama spojrzala na Dyrana, jakby nie mogla uwierzyc wlasnym uszom - a potem wybuchnela drwiacym smiechem.

-Ty? - zapiala. - Ty? Predzej poszlabym do lozka ze zmija, moj panie! Moje szanse przezycia bylyby znacznie wieksze!

Odrucila jego dlon i zamaszystym krokiem opuscila arene, trzymajac glowe wysoko i cala postawa dajac do zrozumienia, iz nie sadzi, by osmielil sie rzucic jej wyzwanie.

Gdyby to uczynil, musialby powiedziec, dlaczego - a odrzucenie przez dame nie bylo uwazane za wystarczajacy powod do pojedynku.

Dyran zbladl jak Serina; stal jak jeden z milczacych slupow podtrzymujacych sklepienie, a Serina wyczytala w jego oczach gniew tak wielki, ze nie odwazyla sie nawet odetchnac. Jesli przypomni sobie o jej obecności - zabije ja.

Wreszcie drgnal. Z rozmachem wyszedl z areny w kierunku przeciwnym do tego, jaki obrala lady Alinor i udal sie do pomieszczen dla niewolnikow.

Serina uciekla do swego pokoju i skryla sie tam, dygoczac w ciemnosci i modlac sie, zeby zapomnial o niej. Po jakimś czasie uslyszala stlumione wrzaski bolu dochodzace z komnat Dyrana.

Zapomniał o mnie, pomyślała, nieprzytomna z ulgi i radości. Zapomniał o mnie.

Jestem bezpieczna...

Gdybym tylko miała dość odwagi, zmieniłabym postać i odleciała, pomyślała ze wstrettem Alara. Po odegraniu ostatniej sceny z pamięci Senny smoczyca poczuła się bezwładna i chora.

Już pojedynek był okropny. Rod nie miał pojęcia, że coś podobnego działo się w czasie tych pojedynków. Sama brutalność, z jaką dwie rozumne istoty okładaly się, aż jedna z nich wreszcie padła trupem - na chwilę, zanim ta druga również nie padła - była czymś, co Serina uważała za oczywiste. To właśnie wzbudziło wstret Alary, w równym stopniu, co sam pojedynek. Jak ona mogła - nie współczuła ani trochę tym dwóm mężczyznom, po prostu zareagowała na widok krwi i ran. Tak samo zrobiłoby jej się niedobrze, gdyby zobaczyła jak ktoś patroszy kurczaka. Może nawet bardziej. To byli jej współplemięcy, a ona przyglądała się, jak bez zastanowienia zarzynają się po to, by rozstrzygnąć cudzy spor!

A potem jej reakcja, kiedy Dyran wybrał jakąś biedną, nieszczęsną ofiarę, żeby ją torturować - żeby czuć radość, że ofiarą był ktoś inny...

Smoczyca zmusiła się do uspokojenia, zamykając umysł na chwilę przed wpływem kobiety i mówiąc sobie, że to nie ma znaczenia. Oni nie należą do rodu; są obcymi. Nie powinno mieć dla niej znaczenia, co robią ze sobą nawzajem, czy co inni robią im.

Mimo to odrazę budził w niej sposób, w jaki owa kobieta dawała się wykorzystywać, niezależnie, czy była pod wpływem geas, czy nie. Ta ludzka istota była inteligentna, wiedziała co się dzieje i Alara podejrzewała, że kilkakrotnie sama była bardzo bliska złamania swojego geas. Mimo to, nie obchodziło ją nic, co widziała; troszczyła się tylko o swój dobrobyt, o swoje życie w luksusie. Być może kiedyś odczuwałaby coś - lecz ten czas przeminął wraz z jej dzieciństwem.

Nawet wolność nie miała dla niej znaczenia. Tylko przyjemności.

Doprawdy powinnam ją zostawić tu, żeby umarła, pomyślała Alara, czując się, jakby ugryzła coś zgnilego. Nie miała żadnych zobowiązań wobec tej kobiety. Nie należała do rodu. Nie warto było nawet jej ratować. Alara niemal zgadzała się z elfami na temat tych ludzi, jak są przyziemni, jak bardzo zasługują na to, by być niewolnikami. W każdym razie, przynajmniej mogła się zgodzić z opiniami odłamu Dyra.

Alara często dyskutowała o polityce w przebraniu nisko postawionego elfiego pana, lub słyszała, jak o niej dyskutują w obecności jej jako ludzkiego niewolnika. Służąc jako elfi paz przez kilka sesji Rady i podsłuchując innych w wielu postaciach i na wiele sposobów, Alara wiedziała o polityce elfów znacznie więcej, niż Serina, szczególnie jeśli chodziło o traktowanie ludzi. Może to dziwne, ale mimo swego okrucieństwa, Dyran był jednym z lepszych panów. Odłamek, któremu przewodniczył w Radzie, głosił przekonanie, że ludzie są czymś - niewiele, ale zawsze - więcej, niż tylko tepymi zwierzętami. Zezwalał swoim niewolnikom zająć aż do stanowiska nadzorca, jak uczynił to z ojcem Seriny. Najwyraźniej wierzył w to, co służyło jego partii za platformę wyborczą: że można gardzić, a nawet litować się nad ludzkimi niewolnikami, lecz stanowią oni potencjał do wykorzystania. Dopóki będzie trwać ludzka chciwość i elfie czary, ludziom można popuścić nieco smyczy i zezwolić na podejmowanie własnych decyzji. W końcu taka wolność przynosiła korzyści panu - oznaczała, że może mieć mniejszą ilość elfich nadzorców, w których wierność można było powątpiewać i którzy niewątpliwie pilnowali własnych interesów. Ludzie zawdzięczali wszystko swym panom; elfowie mogli postanowić przenieść się gdzieś, gdzie jest lepiej. Ludzie byli nieskomplikowani w swej chciwości, bardziej złożonymi uczuciami elfów trudno było manipulować nawet mistrzowi takiemu, jak Dyran.

Z tego, czego udało się dowiedzieć Alarze, frakcja Dyra stanowiła mniejszość.

Większość Rady należała do innej partii, tej, która uważała, że ludzie są niebezpiecznymi, nieomal wściekłymi stworzeniami, nieprzewidywalnymi i nieopanowanymi.

Byli przekonani, że każdego człowieka należy trzymać pod strażą i jak najściślej nadzorem, oraz zmuszać do pełnienia obowiązków, najlepiej przy pomocy magii, jeśli tylko było to możliwe. Ludzie wykazujący jakiegokolwiek oznaki samodzielnego myślenia muszą być zlikwidowani, zanim rozniosą zarazę wśród innych.

Jak można było się spodziewać, w skład odłamu Dyra wchodziła większość młodszych

elfow, którzy uważali weteranów wojny czarodziejów za reakcyjnych starych głupców tak przerażonych powstaniem, które nigdy nie mogło się powtórzyć, że oglądali się za własnymi cieniami.

Alara była jednak pewna, że Dyran wiedział o czymś, czego nie zdradził innym, urodzonym już po wojnie czarodziejów. Wiedziała, że on wie o tym drobnym fakcie, ponieważ sam niejednokrotnie poruszał te kwestie na Radzie.

Wśród ludzi wciąż pojawiała się ich magia, a elfowie nie wiedzieli, jak to jest możliwe, ani dlaczego.

Większość młodszych elfich władców była przekonana, że ludzka magia znikła po tym, jak zabito ostatnich mieszanców, a ludzkich "magów" rozpoznano i zniszczono.

Było to po prostu nieprawda, co wyraźnie udowodniła owa kobieta imieniem Serina.

Chociaż brakowało jej wykszolenia, miała dość siły, by uwieźć umysł Alary w swoim.

Oczywiście, trzeba wziąć pod uwagę, że zawdzieczała to głównie sile swego strachu i nienawisci, bowiem "naturalna magia" zasilana siłą uczuć, jednak Alara była szamanką rodu i trzeba było nie lada siły, aby pochwycić i zatrzymać ją choćby na chwilę.

Elfowie od wieków starali się wykorzenić "magię umysłu" z rasy ludzkiej przez odpowiednią hodowlę, a mimo to zdolności takie wciąż się pojawiały. Niezależnie od tego, jak starannie studiowali rodowody swoich niewolników, ani od tego, ile dzieci zabijano, kiedy tylko ujawnił się talent, moc wciąż wracała.

Oczywiście, niektóre dzieci były ukrywane, trzymane z dala od nadzorców, dopóki nie nauczyły się ukrywać swojego daru - a kiedy już założono im obroze, i tak już nic nie było wiadomo. Kolejnym problemem był fakt, że pomimo starannego dobierania par, niektórzy przypuszczalni ojcowie nie splodzili naprawdę swoich dzieci. Kwestia ludzkiej płodności zdumiewała elfów od czasu, gdy przejęli na własność ten świat, a ludzka dziedziczność wprawiała ich w jeszcze większe zdumienie. Elfowie dziedziczyli magię w prosty sposób; dwóch silnych magów dawało potężne w magię dzieci, związek silnego maga ze słabym tworzył coś pośredniego, a wynikiem związku dwóch słabych magów (jak Gorisa, Doriona, lub nieszczęsnej córki Gorisa) zawsze byli słabi magowie.

Nigdy nie pojawiała się dziecko potężniejsze w magię niż silniejszy z rodziców. Nigdy silnej parze nie rodziło się słabe dziecko, aby następnie moc pojawiła się ponownie w następnym pokoleniu. Moc po prostu nie można było przekazywać w ten sposób.

Natomiast wśród ludzi taki wzór dziedziczności był czymś częstym, co wprowadzało elfów w stan kompletnego oszolenienia.

Dlatego też w nabijanych elfimi kamieniami obrożach zawsze znajdowały się dwa klejnoty,

jak w obrozy Seriny (i najwyrazniej czasami rowniez trzeci, aby czlowiek na pewno chcial ja nosic) - a jeden z tych kamieni niwelowal dzialanie ludzkiej magii umyslu, dopoki znajdowal sie w bezposrednim kontakcie z czlowiekiem. Kazdy ludzki niewolnik nosil taka obroze od czasu, gdy zabrano go od rodzicow. Zakladano im je natychmiast po rozpoczeciu nauki, od prostego "to jest motyka" - czego zaczynano uczyc najlepszych niewolnikow w wieku lat pieciu, czy szesciu - do trudnego szkolenia naloznic i wojownikow.

Najprymitywniejsze obroze byly ze skory z metalowa klamra. Znak wlasciciela byl wypalony na wyprawionej skorze, a kamienie wstawione w samo zapiecie. Takie wlasnie obroze widywala Alara. Nigdy przedtem nie widziala czegos podobnego do zlotej, wysadzanej drogimi kamieniami, basniowej bizuterii Seriny, dlatego nieomal padla pokusa wziecia jej sobie.

Wspomnienia Seriny potwierdzaly, ze elfowie kontrolowali plodnosc ludzkich naloznic z fanatyczna dokladnoscia. Jednakze Serina nie znala ku temu powodow. Elfowie nie tylko mogli miec potomstwo z ludzmi, ale związki z ludzmi byly znacznie plodniejsze, niz z przedstawicielami ich wlasnej rasy. Co prawda, niezupełnie tak plodne, jak samych ludzi, lecz znalazlo sie dosc mieszancow elfow z ludzmi, by stanowic znaczaca sile w czasach wojny czarodziejow.

Wszyscy elfowie, niezaleznie od frakcji, do jakiej nalezeli, niszczyli takie potomstwo - gdyby im sie takowe przydarzylo - natychmiast po wykryciu ciazy, lub juz urodzone dziecko.

Czarodzieje polkrwi byli bardzo bliscy zgladzenia swych bylych panow, znacznie blizej, niz elfowie chcieli przyznac, nawet w kronikach dziejow. Kiedy na polecenie Ojca Smoka Alara studiowala przebieg wojny, zmuszona byla czytac miedzy wierszami, by dowiedziec sie, jakie zniszczenia rzeczywiscie odniesli. Odnalazla listy zabitych i spisy zniszczonego majatku zamieszczone w sprawozdaniach sporzadzonych po wojnie. Zagladzie ulegly cale klany; wielu, bardzo wielu najpotezniejszych magow dowiedzialo sie zbyt pozno, ze ludzka magia umyslu nie tylko laczy sie dobrze z moca elfow, lecz moze takze wzmocnic czarnoksieska sile, tego ktory nia wlada, od dwoch do czterech razy.

Gdyby nie rozlam w szeregach czarodziejow, elfowie staliby sie niewolnikami i przesladowanymi. Ciekawa byla, jaka pozycje zajmowaliby w tym spoleczenstwie ludzie pelnej krwi. I czy polelfowie zatrzymaliby w poblizu elfow, aby zapewnic ciaglosc swego gatunku? Pewne bylo, ze elfowie zastanawiali sie nad tym, zanim konflikt sie zakonczyl.

Wewnetrzny spor w przededniu zwyciestwa okazal sie jedyna rzecz, jaka ich ocalila.

Majac takie szczescie moze rzeczywiscie mieli prawo uwazac sie za dzieci bogow...

Jek Seriny sklonil Alare do przeniesienia uwagi na to, co dzialo sie na zewnatrz.

Przyjrzelasie kobiecie z rozmyslem. Wedlug wszelkiego prawdopodobienstwa, byla naloznica powinna juz byc martwa - nigdy nie powinno jej sie udac uciec. Gdyby jej panem

nie był Dyran, magiczna moc powalilaby ją natychmiast po tym, jak jej elfi właściciel dowiedziałby się o jej brzemiennosci. Jakims cudem Dyran nie docenił jej - a może uczyniła to jej rywalka. Zanim przyszły po nią strażnicy, Serinie udało się zbiec pomimo bosych stóp, nieodpowiedniego ubrania i leku przed otwartą przestrzenią.

Gdzieś jeszcze tliła się w niej iskra odwagi, echo dziecka, które znalazło sposób na przyglądanie się ćwiczeniom wojowników, cień kobiety, która miała dość siły woli, by sprzeciwić się elfim obyczajom i dochrapać się stanowiska u boku Dyrana. Nikt inny przedtem nie zdobył się na to; Alara nigdy nie słyszała, by ludzka nałożnica tak blisko tańczyła wokół swego pana, niezależnie od tego czy obyczaj na to zezwalał, czy nie. Siła woli i bystry umysł obdarzył ją zarodkiem buntu, a instynkt samozachowawczy pokonał każdą psychiczną i materialną przeszkodę stojącą na drodze jej ucieczki.

Z pewnością nie kierował nią instynkt macierzyński. Myśli Seriny zdradzały, iż uważała dziecko w swym łonie wyłącznie za niebezpieczny ciężar. Wiedziała, że elfowie nienawidzą mieszanców, i że urodzenie takiego dziecka to śmierć, gdyby władcy dowiedzieli się o tym, chociaż nie miała pojęcia dlaczego. Ludzie, nie uczeni nigdy pisania ani czytania, nie pamiętali wojny czarodziejów. Tylko rozpowszechniane przez rod prorocstwo podtrzymywało przy życiu zniekształcone echo tamtych wydarzeń. Przepowiednia ta jednak nigdy nie dotarła do uszu Seriny, bowiem pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, pomniejsi niewolnicy chronili konkubiny przed "skazaniem".

Dzięki pobytowi wśród myśli Seriny Alara wiedziała, że gdyby kobieta ta miała jakies wyobrażenie o pustyni, nigdy by na nią nie uciekła. Nie miała pojęcia o czymś tak prostym, jak zmiana pogody, ani o tym, jak palące słońce może być okrutne dla nieostrożnych. Wymknęła się z dworu i terenu posiadłości i uciekła przez ogrody uprawne na obszar już nie nawadniany ani nie zawdzięczający zieleni magii Dyrana. Zobaczyła bezmiar piachu rozciągający się pod wschodzącym księżycem i pomyślała tylko o tym, że miękki piasek będzie łagodny dla jej bosych stóp. Znała się nieco na tropieniu, bo przysłuchiwała się rozmowom o łowach, jakie Dyran toczył ze swymi gośćmi. Zobaczyła, w jaki sposób wiatr chłodzi wydmy i zdala sobie sprawę, że skryje jej ślady, a ruchome piaski uniemożliwią ogarom odnalezienie jej zapachu. Nie pomyślała ani razu o słońcu, o tym, jak gorąco stanie się w ciągu dnia, gdy nie będzie cienia, ani też gdzie znajdzie żywność i wodę. Po pierwszym dniu brnięcia na oślep po piachu pozalowała swego wyboru, lecz wtedy już całkiem się zgubiła. Tak bardzo była pod kloszem, że nie miała pojęcia, iż słońce codziennie wstaje na wschodzie, a zachodzi na zachodzie, a brak punktów odniesienia w krajobrazie czynił ją bezradną. Burza pierwszej nocy dostarczyła jej wody i odświeżyła ją nieco, a dzięki chmurom, które przesłoniły słońce, mogła iść jeszcze drugiego dnia. Jednak tego trzeciego dnia jej koniec był już bliski. Alara stwierdziła, że nie jest w stanie przeżyć się bardzo, chyba że w sensie ogólnym, tym co może się stać z innymi kobietami spodziewającymi się dzieci polkrwi.

Alara zastanawiała się... jeśli Serinie udało się nieomal utrzymać istnienie tego dziecka w tajemnicy, nawet pomimo rywalki czekającej na jej potknięcie, rzeczywiście możliwe było

istnienie innych jeszcze mieszanców. Okazjonalny gwałt na płodnej robotnicy w polu, błąd w podawaniu środków antykoncepcyjnych, romans młodszego elfa z prostą służącą, albo kobieta do hodowli - musiało być tuzin sposobów, w jakie mogło dojść do zapłodnienia. Ludzkie cechy wypierałyby elfie...

W zależności od tego, jak wyglądaliby mieszanczy. Błada elfia cera i białozłote włosy zdradziłyby ich od razu. Tego nie można ukryć wśród gromady robotników rolnych...

Chwileczkę, coś sobie przypomniała na ten temat.

Ojciec Smok mówił coś o mieszancach. Elfowie nie opalali się na słońcu, ale dzieci połkrwi owszem. Polelfowie dziedziczyli raczej kolor włosów swojego ludzkiego rodzica, lecz zachowywali zielone, elfie oczy o owalnych zrenicach. Dopóty dziecko trzymało głowę spuszczone, dopóki nie nauczyło się maskować koloru oczu magią... a obroże blokowały tylko ludzkie czary, nie elfie. Jeśli już o to chodzi, ponieważ polelfowie z reguły dysponowali silniejszą magią, mogli być w stanie obejść zakazy narzucone przez obroże.

Na czele niektórych klanów stały kobiety... i potrzebowały potomków. Alara zastanawiała się, czy któraś z nich kiedyś nie rozważyła pomysłu zawarcia oficjalnego przymierza, a potem po cichu nie udała się do pomieszczeń dla niewolników. Czy tacy polelfowie wyglądaliby tak samo? Matka dziecka prawdopodobnie od samych narodzin rzuciłaby na nie złudzenie, aby przypominało elfa. Nawet teraz może się okazać, że wśród kobiet elfów są mieszanczy.

Nawet dziecko połkrwi, którego ojcem był elf, miało szansę dożyć dorosłości, jeśli chowało się w szeregach pospolitej służby, albo robotników rolnych. Potem stawało się dorosłe, a to oznaczało obroże i możliwość wykrycia. Zastanawiała się, co zrobiłoby wtedy.

Mogło uciec. Wiedziała, że istnieją "dzicy ludzie", chociaż elfi władcy nie lubili potwierdzać tego faktu. Co najmniej jedno z wielkich polowań w zeszłym roku było na dwunoga zwierzyne. Istniało wiele miejsc, w których mogli się schronić - rod mógł nawet ich nie znaleźć, biorąc pod uwagę, że na pustyni było wiele miejsc, których nie mieli ochoty odwiedzać.

Kobieta uspokoiła się i spała w cieniu muru przy sadzawce, obezwładniona zmęczeniem. Ugasiła pragnienie wodą z sadzawki, której magiczna moc uleczyła jej oparzenia na tyle, by mogła usnąć, lecz sama nieskazitelna czystość wody działała przeciwko niej.

Brakowało jej nie tylko wilgoci, ale i minerałów, jakie utraciła przez pocenie się. Upał wyrządził szkody jej i tak już przeciążonemu organizmowi. Sen, w jaki zapadła, prawdopodobnie wkrótce przejdzie w spiaczkę. Alarze w tym momencie niemal zrobiło się jej żal i tylko wspomnienie bezwzględności Seriny wobec innych ludzi powstrzymało ją od współczucia.

Ona i Dyran byli dla siebie stworzeni, pomyślała cynicznie smoczyca. Miał rację, oskarżając

podwładnego, że uważa go za zboczeńca. Starsi elfi władcy od lat powtarzali, że jego współczucie dla ludzi jest całkowicie wynikiem jego seksualnego uzależnienia od nich. Większość elfów z jego pokolenia trzymało co najwyżej jedną lub dwie konkubiny i to tylko dlatego, że nie mieli zamiaru obchodzić się smakiem, gdy ich damy były niedysponowane. A damy często bywały niedysponowane. Biedactwa. Była to jedyna bron, jaka słabsza strona mogła użyć w radzeniu sobie z partnerami...

Dostojnicy byli jednak dyskretni; nie rozmawiali o nalożnicach, a często nawet nie przyznawali się, że owe kobiety są nalożnicami i trzymali je zamknięte w specjalnych pomieszczeniach. W żadnym przypadku nie chodzili otwarcie w towarzystwie ludzkich kobiet ani nie zezwalali im publicznie usługiwać sobie.

Dla pozostałych dostojników Dyran był mężczyzną, który nie tylko otwarcie spolkuje ze zwierzętami, ale przechwala się swoimi upodobaniami, jakby czekał, czy reszta osmiele się rzucić mu wyzwaniem z powodu jego zachowania. Tylko jego moc magiczna powstrzymywała ich od tego - nie zabiłby nikogo, to było wbrew prawom i obyczajom, lecz na pewno potajemnie wyrządziłby im wiele szkód swoją magią. Jego wojownicy do pojedynków byli najlepsi, a poza tym, zostawała jeszcze kwestia kilku małych, nieprzyjemnych sekretów, jakie zgromadził na ich temat.

Alara zastanowiła się nad wszystkim, czego dowiedziała się o lordzie Dyranie przez wszystkie te lata, nad tymi drobnymi faktami schowanymi na potem. Wymagało to sporego skupienia. Smoki miały doskonałą pamięć, lecz wyciąganie informacji odesłanej do długotrwałego składowania wymagało stanu zbliżonego do transu i dużej dozy cierpliwości.

Nie było wątpliwości, że jest lubiacym dogadzać sobie sybaryta; wystarczyło tylko spojrzeć na jego posiadłość przez oczy Seriny, aby być tego pewnym. Nie oszczędzono wydatków na wygodę i przyjemności. Tacy byli jednakże wszyscy elfi władcy, jeśli tylko mogli sobie na to pozwolić. Kiedy tylko któryś elf wznosił się na jakikolwiek szczybel tulniejszego gniazdka, na jakie było go stac. Handel luksusowymi towarami przynosił zyski wielu elfom i niejeden klan zbil na tym majątek; materiały jedwabne, klejnoty, perfumy, delikatesy, rzadkie korzenne przyprawy i kadzidla, wszystko znalezione, wyhodowane, wydobyte lub stworzone rekoma należących do nich niewolników. Bardzo niewielu elfów potrafiło stworzyć coś z powietrza, tak jak umiał Dyran, kiedy pofatygował się zużyć spora ilość energii, jaka była do tego niezbędna. Większość musiała zadowalać się złudzeniami, wielce przekonującymi złudzeniami, lecz jednak złudzeniami. Chociaż, samo to było kolejnym zyskownym procederem. Istnieli elfowie artyści od złudzeń, a ich usługi były bardzo poszukiwane.

Niemniej jednak ogólnie rzecz biorąc, szczególnie dla wyżej postawionych elfich panów, rzeczywistość zawsze była bardziej ceniona od złudzeń. Elfowie byli chciwi z natury, pragnęli nowych wrażeń i pięknych przedmiotów. Tych elfów, którzy sami pracowali, zżerała stale zazdrość na widok pozornej beczynności dostojnych władców.

Szczytem ambicji dla wielu elfich panów, szczególnie rentierów lub wasali, było osiągnąć

stanowisko, na którym nie musieliby nic robić, chyba że sprawiłoby im to przyjemność.

Ponieważ Dyran był jednym z dostojników, poświęcił na to właśnie dwa lub trzy wieki. Prawdopodobnie dlatego Serina była dla niego tak atrakcyjną własnością - potrafiła go zaskoczyć, co czyniło ją bardzo cenna w oczach istoty tak znudzonej doświadczeniami, jaka stał się Dyran po upływie dziesięcioleci.

Teraz, kiedy już mógł pozwolić sobie na beczynność i wyczerpał możliwości, jakie oferowało leniwość, szukał innych rozkoszy. Jego główną rozrywką, odtworzona w miniaturze w haremie, stanowiło manipulowanie życiem otaczających go istot przez wykorzystywanie ich słabości i emocji. Stąd rywalizacja, a nawet wojny, do jakich zachęcał swoje konkubiny i podwładnych.

Albo to, co zrobił swojemu nadzorczy... Alara drgnęła na tę niemiłą myśl i zdała sobie sprawę, że zajęta własnymi wspomnieniami całkowicie przemieniła się w smoka. Gdyby był tu ktoś, kto mógłby ją zobaczyć, konsekwencje takiego zapomnienia mogły okazać się straszne.

Coż, jedyną istotą była Serina, lecz kobieta była nieprzytomna i prawdopodobnie nie miało to znaczenia.

To, co uczynił Dyran, było tak wyrachowanie okrutne, że nie można tego nawet nazwać okropnym. Zniszczyć człowieka, oddając jego jedyne dziecko nieczulemu potworowi, a potem rozkazać mu wyczerpać swe siły, żeby naprawić coś, co mogli spowodować wrogowie. To było typowe dla postępku Dyrana. Jeśli nie było sposobu, by władać życiem otaczających go istot, tworzył go sobie. nych sobie i podwładnych. Nieraz, będąc w postaci elfa na własnej misji, Alara była wypytywana przez osoby, które później okazały się jego agentami. Zawzięty i cierpliwy, nie ustąpił, aż nie znalazł czegoś na każdego, z kim miał do czynienia.

I jeszcze coś, czego Serina tylko domyślała się, kiedy ujrzała go pokonanego. Był absolutnie bezlitosny, gdy ktoś mu wszedł w drogę. Nawet opętany. Temu opętaniu klęska mogła dać początek incydent z lady Alinor. Alara nie mogła być pewna, lecz podejrzewała, że było to jego pierwsze spotkanie od bardzo dawna z prawdziwym oporem. A to w jego wieku mogło wywrzeć osobliwy wpływ na elfi umysł.

Serina miała szczęście, że był w dobrym humorze, kiedy wrócił do domu i z całą pewnością wiedziała o tym. Gdyby pokonano go, a nawet sprzeciwiano mu się na Radzie, zabiłby ją na miejscu. Gdyby nawet wrócił do domu rozszalony, sparalizowałby ją na tak długo, aż strażnicy odnaleźliby ją, a potem uczyniłby jej egzekucję tak długą i bolesną, jak byłoby to możliwe. Prawdopodobnie uczyniłby również z tego publiczne widowisko.

Natomiast tak się stało, że był dość zadowolony z siebie i postanowił zabawić się, zanim kogos po nią posłał. Tymczasem jej szpiegzy donieśli, że rywalka zdradziła tajemnice jej

brzemienności, i że nad ranem przyjdą po nią strażnicy.

Alara mogłaby się założyć, że Dyran rozkazał strażnikom pilnować obrzeży pustyni, aby upewnić się, że Serina tam zginie. Nie mógł pozwolić jej przeżyć - lecz znowu go zaskoczyła, a jeśli wciąż będzie w dobrym humorze, pozwoli jej zginąć śmiercią naturalną.

Jęk przyciągnął uwagę Alary. Zdawała sobie sprawę, że w czasie gdy zajęta była rozmyślaniami, Serina przeszła ze stanu snu w majaczenie, a wysiłek podróży spowodował wreszcie porod. Kobieta leżała bezradnie na boku, dygocąc i jęcząc, a mięśnie jej brzucha napinały się.

Nie było mowy, by przeżyła ten porod.

Rozdział IV Alare znowu kusilo, żeby po prostu odlecieć. Nie miała powodów, żeby przejmować się tą ludzką istotą. Wszelkie powody były ku temu, żeby się nią nie zajmować. Ona umrze; nie było mowy, żeby mogła przeżyć udreke, jaką przeszła, i jeszcze porod. Poza tym, jej stosunek do współplemięnców był w opinii Alary odstreczający.

Najrozsadniej byłoby zostawić ją swemu losowi. A jednak...

Mówiąc sobie, że głupio postępuje, Alara wsunęła się w umysł kobiety, aby uprzężyć fantazję złożoną z przywidzeń, starych wspomnień i spełniania życzeń...

Serina próbowała rozluźnić się, opadając na miękkie poduszki, które ją podtrzymywały, z przychodzącego i odchodzącego bólu, przygryzła wargi do krwi i uśmiechnęła się do lorda Dyrana, który czule poklepał ją po dłoni. - Grzeczna dziewczynka - powiedział z serdecznością, jaką do tej pory okazywał tylko swojej ulubionej suce, czy klaczy, która łąka moment spodziewała się rozwiązania. Serina uśmiechnęła się słabo, próbując dać mu do zrozumienia, że to tylko przelotna niedyspozycja. Dyran nie cierpiał zamieszania, a jeszcze bardziej histerycznych popisów. - Wkrótce będzie po wszystkim i naprawdę wdzięczny będę, kiedy znowu zasiadiesz u mojego boku.

Jej była rywalka Leyda, odesłana do szorowania posadzki sali porodowej aż do połysku, spojrzała wściekle, ale nie śmiała się odezwać. Kiedy Dyran wytropił ją na pustyni, powstrzymał swą karzącą rękę na dość długo, by jej wysłuchać. Chociaż nie ukarał Leydy cielesnie, to co z nią zrobił, było dużo gorsze. Podarował ją konkubinie Serinie jako jej osobistą posługaczkę.

Co się stało z dzieckiem? - zastanawiała się przez chwilę. To nie miało znaczenia.

Dyran prawdopodobnie pozbył się go, a potem wymazał to z jej pamięci. Potrafił robić takie rzeczy, jeśli miał ochotę.

-Nie wątpię, że ty i ten piękny młody ogier dacie mi silnego chłopca - mówił pan, gdy nadeszła kolejna fala bólów i pot wystąpił jej na czoło. Uśmiechnęła się przez zacisnięte

zeby i pokiwała glowa. - Wlasnie tego bylo mi trzeba na osobistego straznika mojego syna. Jesli dobrze sie spiszesz, moze poprosze cie o nastepnego, co ty na to?

-Tak... panie - wykrztusila, chociaz w tym momencie wolalaby, zeby kazal jej szorowac podlogi, jak Leydzie! Szkoda, ze nie uwazal za stosowne tego wymazac z jej pamieci.

-Grzeczna dziewczynka! - Znow poklepal ja po dloni i wyszedl z wylozonej bialymi kafelkami sali porodowej. Nie cierpial rowniez, kiedy gdzies bylo napaskudzone.

W tej chwili jedyna oznaka nieporzadku byl pot kroplacy sie na czole Seriny; reszta jej ciala byla zawinieta w skrywajace wszystko jedwabne plachty. Wszystko zmienilo sie w chwili, gdy przekroczyła prog i zajely sie nia opiekunki i polozne.

Nie miala nic przeciwko temu, gdy Dyran zazyczyl sobie - nie rozkazal, lecz zyczyl sobie, aby urodzila mu specjalnego straznika. Pragnal czegos bardzo specjalnego, dziecka z najlepszym rodowodem, zeby zapewnilo ochrone jego wlasnemu synowi; bardzo osobistego straznika, szkolonego w tym celu od chwili, gdy zacznie raczkowac i przydzielonego chlopcu, jak tylko stanie sie to mozliwe. Powiedzial jej, ze nie odwazyl sie powierzyc tego zadania nikomu innemu - nikt inny nie sluzyl mu tak wiernie, nikt inny nie troszczylby sie wystarczajaco. Powiedzial jej, ze nie zabraknie jej niczego, ze czeka ja nagroda, jakiej nawet nie wysnilaby sobie.

Nigdy nie powiedzialaby mu, ale ten mlody straznik, ktorego przeznaczyl jej do rozrodu, ten o zamyslonych oczach i pieknej muskulaturze, okazal sie czymś, czego nawet nie wysnilaby sobie. Robil wszystko, co chciala, a poczucie, ze tym razem na odmiane ona jest u wladzy, bylo wrecz upajajace. Rownie upajal ja fakt, ze to ona doznawala rozkoszy, zamiast przysparzac jej komus innemu.

Byc moze poprosi, aby przydzielono go jej na stale, jako czesc naleznej jej nagrody.

Znow wrocily bole. Serina wykrzyknela z bolu i gniewu. Co sie dzieje z akuszerkami? Dlaczego czegos nie zrobia? Czy nie wiedza, jaka ona jest wazna?

Chciala cos powiedziec, obsztorcowac je nalezycie za lekcewazenie, ale nie mogla wykrztusic ani slowa. Kiedy bole zaczely wystepowac coraz czesciej, mogla tylko jeczec, az przyszlo jej wyc bezrozumnie jak zwierze.

Alara doszla do wniosku, ze nie obchodzi ja, czy Serina jest zwierzeciem pozbawionym serca. Nie obchodzi ja, co uczynila w przeszlosci. Byla samica oczekujaca lada chwila rozwiazania, a to apelowalo do najglebszych instynktow smoczycy. Alara musiala jej pomoc.

Nie byla to nawet swiadoma decyzja, Alara po prostu nie mogla sie powstrzymac.

Trzeba bylo podjac pewne srodki ostroznosci, na malo prawdopodobny zreszta przypadek,

gdyby kobieta obudziła się z majaczenia. Był to postępek głupi, sentymentalny i zdecydowanie wbrew literze - jeśli nie duchowi - prawa dotyczącego nieujawniania się. W tym momencie jednakże, po tak długim przebywaniu w myślach Seriny, czuła, że musi wtracić się, choćby tylko po to, by wynagrodzić ją za skradzione wspomnienia.

Jeszcze jedno spojrzenie w umysł ludzkiej istoty, zanim znowu zostały podniesione bariery, dało jej wszystko, czego potrzebowała: postać jednej z dworskich akuszerki.

Szybko sięgnęła po swobodną moc sadzawki i wraz z drgnieciem, jakie przebiegło jej ciałem, przerzuciła większość swej masy na zewnątrz. Dokonała przemiany ostrożnie, żeby nie naruszyć równowagi dziecka w swym wnętrzu, a żeby mieć całkowitą pewność w czasie zmieniania swojej postaci na ludzką, zmieniła również kształt dziecka.

Zajęło jej to sporo czasu: kiedy skończyła, słońce wisiało już nisko nad zachodnim horyzontem, a kobieta, słabnąca z każdym oddechem, łada moment miała zacząć rodzić.

Kleknawszy przy rodzącej kobiecie, aby z łatwością podnieść ją do wygodniejszej pozycji, zobaczyła, że Serina przez chwilę patrzyła na nią rozumnie. W każdym razie wystarczająco rozumnie, żeby poznać za kogo się podaje.

Kobieta otworzyła usta, lecz nie wydała dźwięku. Alara naląła jej do ust strzykawkę wody z dłoni. Potem, pod pozorem podtrzymywania jej głowy, ucisnęła lekko pewne nerwy kręgosłupa w miejscu, gdzie kark łączy się z barkami.

Serina przelknęła i na chwilę rozwarła oczy ze zdumienia, kiedy ból ustąpił. Potem opuściła powieki, żeby nie raziło ją zachodzące słońce i pograżyła się jeszcze bardziej w majaczeniu.

Poród można było nazwać łatwym tylko dlatego, że trwał krótko. Rozmiary obrazów przeraziły Alarę, a kiedy Serina zaczęła obficie krwawić, wiedziała, że nic nie może już zrobić. Po kilku chwilach noworodek leżał na skrawku tkaniny oderwanym ze spodnicy Seriny, w jamie wygrzebanej w piasku, jak w kołysce. Była to mała dziewczynka - tak brzydka, jak potrafi być tylko ludzkie dziecko.

W chwili, gdy dziecko wyslizgnęło się z niej, matka westchnęła głęboko i przestała oddychać.

Alara spojrzała z wstretem na mokre, czerwone, pomarszczone malenstwo i zastanawiała się, co ją podkusiło, żeby ocalić to dziecko.

Na ogień i deszcz! To stworzenie nie było nawet dokonane! Powinna je tu zostawić, żeby umarło wraz z matką; tak byłoby najlepiej. Nawet nie wiedziała dokładnie, jak się z nim obchodzić - prawdopodobnie zabiłaby je przez przypadek. Coż za paskudny mały zwierzak!

I wtedy stworzonko otworzyło malenka buzię - i cisze pustyni przerwało cienie, nieszczęśliwe kwilenie.

Ten placz przeszył pełne macierzyńskich uczuć serce Alary równie celnie, jak pocisk elfów i okazał się równie niebezpieczny... i wiedziała już, że nie może go tak zostawić.

Po tym wszystkim, to niemożliwe. To tylko niemowlę. Powinna umieć domyślić się, jak należy się o nie troszczyć. Nie powinno tak bardzo różnić się od innych szczeniąt i kociąt.

Zanurzyła dziecko w sadzawce na chwilę, tylko żeby je obmyć i zawinęła w resztkę sukienki Seriny. Czysta nie wyglądała ładniej - ale przestała płakać. Choć Alara czuła promieniujące od dziecka nieukształtowane jeszcze fale głodu, dziewczynka tylko wpatrywała się w oczy smoczyca z osobliwą inteligencją, jakby umiała już w tak wczesnym wieku skupiać wzrok.

To tylko moja wyobraźnia.

Na ogień i deszcz, co ja mam zrobić z tym niemowlęciem?

Chyba zabiorę je do domu.

Znow zaczęła czerpnąć energii płynącej z sadzawki. Moc przyplynęła przez nią fala i Alara ponownie przybrała swoją pierwotną postać. Dziecko leżało na piasku, skapane w złotych promieniach zachodzącego słońca i nawet nie pisnęło. Alara zaczęła nieco denerwować to milczenie, oraz fakt, że niemowlę zdawało się śledzić ją wzrokiem.

Szamanka rozpostarła w pełni skrzydła, chwytając w nie ostatki żaru słońca i rzucając długi, czarny cień na piasek i dziecko. Pomyślała, że lepiej już odlecieć, dopóki może jeszcze pochwycić prądy termiczne. Keman ma całkiem małe zoo. Może uda mu się podłożyć małe do wykarmienia kotoremus ze swoich pupilków.

Wczepiła pazury w materiał, którym było owinięte dziecko, bardzo uważając, aby go nie skaleczyć i wzbijała się w kobaltowe niebo potężnymi uderzeniami skrzydeł i łap.

Wiesz, powiedziała sobie w myślach, biorąc namiar według słońca i gwiazdy wieczornej i udając się w kierunku swego legowiska, w proroctwie naprawdę powinno coś się znaleźć na ten temat. Może sama tam to umieścić.

Czyż nie brzmiałoby to imponująco w ustach starej, ślepej, świętej kobiety! "Dziecię smoków, zguba elfów..." Scigająca zachodzące słońce przez pustynię, aż do wysoko położonych równin. W dole stada antylop i stepowych jeleni wychynęły z zarośli, w cieniu których spędziły dzień, i ruszyły ku wodopojom i pastwiskom. Kiedy padał na nie cień skrzydeł, nieodmiennie ogarniał je strach i rozbiegały się w popłochu.

Nie dzisiaj, moje smakowite stworzonko. Nie jestem w tej chwili na łowach.

Poza tym, byłoby to klusownictwo. Ta okolica podlegała zarządowi innego legowiska, leżała Leanalani, jeśli dobrze pamiętała. Nie byłoby uprzejmie wylądować na terytorium należącym do innego leża i polować bez pozwolenia.

Biegnące stada wzbijały mase kurzu, bowiem do tej pory lato było bardzo suche.

W ostatnich promieniach słońca kleby kurzu jarzyły się czerwono i złotoczerwono.

Zewszad rozposcieraly się po pozalaczanych trawach i krzewach fioletowe palce cieni.

Przed nią słońce umierało na krwawoczerwonym i złotym niebie, za nią niebo pociemniało, przybierając barwę indygo. Wąski skrawek księżyca nad jej głową spoglądał na nią blado.

Z dołu dochodził gorący oddech równin przepelniony wonią kurzu i spalonej słońcem roślinności, z odcieniem jeleniego pizma i od czasu do czasu tchnieniem ukrytej wody.

W trakcie lotu na zachód wydało jej się, że coś rozerwało zachodzące słońce na pol wzdłuż dolnej krawędzi, jakas poszarpana czarna linia przecinająca je jeszcze nad horyzontem.

To góry. Już niedaleko...

Za pustynia, której nie przekraczali elfowie, za terytoriami pilnowanymi tylko ze względu na zwierzyne łowna, znajdowało się wtulone w górskie doliny samo leże. Dom nigdy jeszcze nie wydawał jej się tak miły i nawet polelfie dziecko zwisające z jej szponów nie miało większego znaczenia.

Prawde mówiąc, Alara tak bardzo tęskniła do swojego domu, do własnej jaskini, że zupełnie zapomniała o tym, że nie dokonczyła medytacji.

Alara krążyła przez chwile nad leżem, czekając przed wylądowaniem, aż strażnik na warcie rozpozna ją. Trudno się wyzbyć starych przyzwyczajen. Być może smoki już nie musiały się martwić o to, kto i co nadlatuje nad leże, lecz wciąż wystawiano warty i żaden smok nie wylądowałby, nie meldując się uprzednio strażnikowi. Alara była zmęczona, ale nie aż tak, żeby złamać przepisy.

-Kto nadlatuje? - padło rytualne pytanie.

-Alamarana - odrzekła, równie oficjalnie. - Czy mam prawo wylądować?

-Masz prawo wylądować i być nam krewną, na ogień i deszcz. Witaj w domu, starsza siostrze!

Nie rozpoznała głosu, prawdopodobnie dlatego, iż była bardzo znudzona. Z pewnością to ktoś z młodzieży, pomyślała. Unosiła się jeszcze przez chwile nad kilkoma budynkami wbudowanymi w zbocza doliny, aby zorientować się, gdzie jest. Rozciągające się pod nią budowle wszelkich możliwych kształtów i stylów widoczne były zaledwie jako ciemniejsze zarysy na tle jasnych, zerodowanych skal. Nie było widac żadnych światel, co ogromnie zdziwiłoby każdego zbliżającego się elfa, czy człowieka, nawet bardziej niż szalencza różnorodność samych budynków.

Alara wreszcie zorientowała się, dlaczego nic nie widzi; tak była zmęczona, że nie pofatygowała się, żeby przestawić oczy z dziennego wzroku na nocny. Przeklinając swoją głupotę, dokonała drobnych zmian i nagle ujrzała całą dolinę kryształowo wyraźnie.

A oto jej dom, a raczej budynek, który zaznaczał wejście do jej domu. Niektóre smoki rzeczywiście wolały domostwa na powierzchni i skłonne były spędzać dużo czasu w postaciach innych niż smocze. Ich własnością były wielkie, podobne do dworów budowle, chociaż usytuowano je bez zważania na możliwość dotarcia od strony powierzchni, czy dostępu do wody. W ścianie jednego z klifów wbudowano nawet cały olbrzymi zamek, tak blisko, że Alara mogła go dotknąć, przelatując obok.

To coś nowego. Alara była ciekawa, kto skonstruował to okropieństwo. Wyglądało jak coś, co wybudowałby nowo wzbogacony nadzorca.

Inne smoki wolały jaskinie, lecz nie takie, jak głębokie pieczary domu. Wybierały raczej płytkie groty wysoko na zboczach gór, gdzie mogły na polkach skalnych wygrzewać się w słońcu cały dzień, jeśli miałyby na to ochotę. Przelatując obok jednej z nich ujrzała świecące w mroku oczy. Trzy pary oczu, całkiem blisko siebie.

A więc wreszcie udało się Ferilanorze nakłonić swoje potomstwo do wejścia na skałę!

Alara zaczęła już sadzić, że nigdy nie zdoła namówić ich do opuszczenia doliny.

A niektorzy z rodu, jak Alara, najwygodniej czuli się w rozległych, podziemnych legowiskach, takich, w jakich ród mieszkał w domu.

Czuli się wygodniej i bezpieczniej, mając nad głową lita skała, a w pobliżu niezmierną ilość kryjówek i rozlicznych wyjść. Ta społeczność rodu pobłogosławiona została doliną odpowiadającą wszystkim trzem gustom.

Ci, którzy woleli pieczary lub jaskinie, skłonni byli budować przynajmniej coś na kształt budynku, aby zaznaczać wejście do swoich domostw i chronić je przed burzami. Alara skopiowała sobie w kamieniu altankę w skalnym ogrodku V'Sharna Jaemsa lorda Keluma. Zobaczyła ją kiedyś w czasie pewnego otwartego dla wszystkich przyjęcia i uznała za uroczą.

Jednakże nie mogłaby powiedzieć tego o nim samym.

Rezultatem była mieszanina wszelkich możliwych do wyobrażenia typów, stylów i rozmiarów budowli. Piękne altanki sterczały na szczytach wzgórz lub wtulały się w zbocza klifów. Na dnie doliny dwory i fantazyjne zamki kulily się jak smetne kury albo balansowały na szczytach gór lub skalnych polkach. Świątynie dawno zapomnianych bogów tuliły się do zaprojektowanych przez ludzi piramid i burdeli.

Wyglądało to, jakby jakiś straszliwy wichur przeleciał przez pol tuzina miast i resztki porzucił

tutaj.

Okrazala powoli doline, lagodnie wytracajac wysokosc. Niemowle w jej szponach milczalo przez cala droga i gdyby Alara nie wyczuwala dziwnych malych mysli dochodzacych z jego umyslu, pomyslalaby, ze spi, albo umarlo.

Mysli te - albo raczej formy myslowe, jako ze nie byly w zadnym przypadku dosc jasne, by uznac je za mysli - byly calkiem silne. Prawde mowiac, silniejsze nawet od mysli noworodka z rodu.

Jesli to mialo wskazywac, jak silne bedzie, gdy dorosnie, nie dziwilo ja juz, ze mieszancy przysparzali elfom takich klopotow.

W dole widziala reszte swego rodu wylaniajaca sie ze swych pieleszy. Obserwowani z gory stanowili bardzo dziwny widok, zwlaszcza ze widziala ich nocnym wzrokiem, który nie rozrozniat kolorow. Pozbawieni barwnych wzorow, dzieki ktorым mogla ich rozpoznac, i otuleni swymi ciemnymi skrzydlami, sprawiali osobliwe wrazenie na tle skal.

Jednego rozpoznala natychmiast. Jej syn Kemanorel podskakiwal w miejscu, nie mogac ukryc podniecenia.

-Badz ostrozny, kiedy wyladuje, najdrozszy - powiedziala do niego, kiedy tylko znizyla sie wystarczajaco, by upewnic sie, ze jest juz w jego ograniczonym zasiegu.

-Mam cos. Cos, jakby nowe zwierzatko, jak mi sie wydaje. Calkiem male. Bedziesz musial mi pomoc przy nim; ono stracilo matke.

Odpowiedz Kemana zagluszaly wybuchy radosci; gdyby byla na ziemi, z pewnoscia uslyszalaby jego popiskiwanie. Obok niego stal inny smok, ktorego rozpoznala po samych rozmiarach i srebrzystym blysku lusek w swietle ksiezycy: Ojciec Smok.

Zobaczyla, ze kladzie szponiasta lape na grzbiecie Kemana, by powstrzymac niecierpliwego mlodzika od wzbicia sie w powietrze.

Maly spojrzal w gore na Ojca Smoka i nawet z tej odleglosci Alara poczula fale spokoju, jakim promieniowal glowny szaman.

Najbardziej cieszyła sie, ze znow jest z Kemanem. Nawet jesli czasami doprowadzal ja do rozpaczy, pomyslalala poblazliwie. Juz podchodzila do dlugiego i trudnego ladowania.

Trudnego, poniewaz cos niosla, poniewaz byla ciezka i niezgrabna z powodu wlasnego dziecka, ktorego oczekiwala, i dlatego, ze nie znajdowala sie na otwartej przestrzeni pustyni. Dlugie szybowanie przerywala szybkimi uderzeniami skrzydel, zeby wzniec sie troche nad wystajacymi skalami, oraz skretami skrzydel i ciala, by wyminac glazy.

Z pełnym dumy znuzeniem wachlowała skrzydłami, zbliżając się do wyczekującej grupy ciekawskich członków rodu, a potem zgrabnie wylądowała na trzech łapach.

Ostrożnie położyła na ziemi swój ciężar i wtedy po raz pierwszy od chwili narodzin dziecko zapłakało cicho i żalosnie.

-Na ogień i deszcz! - wykrzyknął jeden z przyglądających się. - A co to takiego?

W czasie nie dłuższym niż był Alarze potrzebny na wylądowanie, spokojny powrót do domu zmienił się w rozrastającą się sprzeczke.

Nieważne, że właśnie wróciła po niemal miesięcznym pobycie z dala od domu.

Nieważne, że była szamanka leża i mogłaby spodziewać się choćby odrobiny szacunku. Wszystko to przestało mieć znaczenie w chwili, gdy rod dostrzegł polelfie niemowlę. Pozostałe smoki otoczyły ją, a ich bliskość, choć ani trochę nie tak zatrwazająca dla uskrzydłonej istoty, jak dla istoty przykutej do ziemi, była wystarczająco groźna. Słabe światło księżyca i gwiazd tłumilo ich kolory, nawet te widoczne jej nocnym wzrokiem, lecz i tak łatwo ich rozpoznała. Nigdy przedtem nie odczuwała tak dotkliwie swego młodego wieku, jak teraz, gdy otaczali ją ci, którzy praktycznie rzecz biorąc byli dla niej starszymi. Wyprostowała się w pełni, aby pokazać im, że nie dała się zastraszyć.

-Co cię napadło, żeby przynieść to do domu? - poskarżył się jeden głosno, wymachując ogonem i wzbijając nim kurz za sobą. - Nie dość, że brzydsze jest od nieopierzonego pisklaka, jest nie tylko brzydkie, ale brudne i hałasliwe. Trzeba będzie stale po nim sprzątać, a na dodatek nie ma dość przyzwoitości, żeby kiedykolwiek się uciszyć.

-Machnął ogonem jeszcze mocniej. - Twoje legowisko jest tuż obok mojego. Nie życzę sobie, żeby budziło mnie w środku nocy wycie tego stworzenia, które ma akurat jakiś problem!

-Nie wspominając o tym, że nie będziesz miała z niego pożytku jeszcze przez kilka lat - powiedziała inna, podnosząc pogardliwie głowę. - Będzie wymagało specjalnego pokarmu, specjalnej opieki i ogólnie rzecz biorąc, to strata czasu, który lepiej spożytkowałabys oddając się swoim studiom i obowiązkom. Wystarczająco długo obywateliśmy się bez szamana.

-I nie spodziewaj się od nas pomocy. - Ten głos brzmiał znajomo. Yshanerenal z natury był zgryźliwy i kwasny, jak niedojrzały medlar, a urazy przechowywał przez dziesiątki lat. - Przyniosłaś tego stworza do domu, to się nim opiekuj. A jeśli będzie się naprzykrzał, masz się nim zająć, albo pozbyć się go. - Wcisnął głowę w ramiona i bojowo wznosił skrzydła.

-To nie jest stwor - zaprotestowała Alara, odwracając się do przeciwników i nie zdradzając, że czuje się, jakby rzucono jej wyzwanie. Też uniosła skrzydła i grzebien na grzbiecie. - To jest dziecko, i nie tak bardzo różni się od naszych.

-Moze nie od twoich, moja droga - zamruczala slodko mloda Loriealane, spoglądając wzdluz swego dlugiego, eleganckiego pyska na nizsza szamanke. - My wywodzimy sie od lepszych rodzicow.

Jedno ze starszego rodzenstwa Lori pacnelo ja po glowie skrzydlem, zanim Alara zdazyla zareagowac na te obraze. - Uwazaj, co mowisz, ty nielotna jaszczurko - warknal Haemaena do Lori, ktora zjezyla sie i syczala na niego z gniewu. Walnal ja jeszcze raz, zeby ochlonela. - A moze usilujesz dowiesc, ze nie zaslugujesz na prawo nalezenia do rodu? Jesli szamanke chce trzymac zwierzaka, nawet osobliwego, to jeszcze nie powod, zeby obrazac jej rodowod. - Ton jego glosu tylez samo wyrazal jego poczucie cynicznej wyzszosci, co chec zjednania sobie szamanke. Na swoj sposob bylo to rownie dotkliwe, co jawna obelga Lori. Alara zjezyla sie jeszcze bardziej, lecz jego grzebien grzbietowy lezal plasko, a uszy mial skierowane do przodu. Nie probowal jej obrazic, po prostu uwazal, ze ani ona, ani dziecko nie sa warte tego, by sie o nie klocic.

Nastepne jego slowa potwierdzily to, bowiem zabrzmialy wyjatkowo protekcyjnalnie.

-W koncu przeciez jest w ciazy, a ciezarnym kobietom powinno pozwalac sie na male zachcianki.

Alara musiala sie powstrzymac, zeby jemu nie przylozyc - i przyszlo jej to z duza trudnoscia. Mimo wszystko byl po jej stronie. Tak jakby.

Tuz za Lori stal Keman, a za nim Ojciec Smok, trzymajac opiekunczym gestem lape na ramieniu mlodzika. Keman byl jedynym dzieckiem w tym zgromadzeniu i ze zdumieniem widocznym w kazdym spietym miesniu przygladal sie doroslym obrzucajacym sie zgryzliwymi uwagami i przycinkami. Alarze bylo go przez chwile zal i musiala powstrzymac sie od odeslania go do domu, dopoki sie to nie skonczy.

Maly musi sie kiedys nauczyc, ze rod bynajmniej nie ma jednakowego zdania na wiele tematow. Musi sie tez dowiedziec, jak cyniczna, zimna i nieczula byla wiekszosc starszych smokow i jak bardzo obojetna na nieszczescia istot innych niz nalezace do rodu.

Pod tym wzgledem przypominaja zupelnie elfich wladcow, pomyslala gniewnie, upieraja sie coraz bardziej przy kazdym krytycznym komentarzu, kazdej pelnej urazy skardze. Ich nie obchodzi nic, ani nikt inny, a kazda inna rasa jest dla nich w jakis sposob gorsza. Mimo, iz rod zostal wypiedzony z domu, nie wspolczul istotom, ktore cierpialy z powodu niewolnictwa, jakiemu on sie wymknal. Wszechswiat krecil sie wokol rodu, ktory nie dopuscilby, aby bylo inaczej.

Chodzilo tu o cos wiecej, niz po prostu przygarniecie dziwaczneho zwierzaka, i wiedzialy o tym wszystkie smoki, chociaz nikt tego nie powiedzial na glos. Alara zlamalala bariere tajemnicy, przynoszac istote z innej rasy do leza rodu. Dziecko, niemowle bezbronne i stanowiacie dla nich tak niewiarygodnie nieprawdopodobne niebezpieczenstwo - lecz, mimo

wszystko, znalazło się tu. Nagiela niepisane prawo, jeśli go zupełnie nie złamała. Szamanom wolno było pozwolić sobie na taką swobodę, lecz ona może przekroczyć granice tego, co jest dozwolone, nawet dla szamanów. Czy powinni przestrzegać litery, czy ducha prawa? Większość rodu powiedziała by ducha, lecz większość rodu nie miała do czynienia z dzieckiem polkwi, znajdującym się wśród nich.

Właśnie to kryło się za każdym przytykiem: niemiłe uczucie, że Alara posunęła się za daleko, i że niezależnie od tego, czym się kierowała, należy udowodnić jej, że nie miała racji. To ich samolubne zaslepienie wpędziło Alarę z rozdrażnienia w gniew z domieszka zwykłej, pospolitej zawziętości.

Miała wrażenie, że przerodziło się to w kwestie moralności. Dziecko to dziecko, nieważne, że było dwunogim mieszancem. To dziecko rozumnych istot, w pełni zasługujące na opiekę i schronienie, dokładnie właśnie dlatego, że nie mogło obronić się samo.

W czasie trwania kłotni, gdy słowa zaczęły padać rzadziej, lecz za to były zgryźliwsze, Ojciec Smok przyglądał się tylko w milczeniu i powstrzymywał Kemana za każdym razem, gdy wyglądało, że chce rzucić się matce na pomoc. Jego sylwetka, najciemniejszego spośród smoków, rysowała się na tle usianego gwiazdami nieba jak wielka chmura burzowa, zwiastująca gromy, a jednak z niewytłumaczalnych powodów wstrzymująca się.

Powoli jego milczenie dotarło do Alary. Przyszło jej na myśl, że Ojciec Smok przygląda się wszystkim, lecz najuważniej śledzi ją sama. Zrobiło jej się nieprzyjemnie, że tak mierzy ją wzrokiem; miała wrażenie, że jest poddawana jakiemś osadowi, albo próbie.

Może rzeczywiście obserwuje ją i poddaje próbie, ponieważ ona jest szamanka, a Ojciec Smok, jako główny szaman, zwraca staranna uwagę na jej postępowanie.

Może tak - a może oznacza to zupełnie coś innego. Z tego, co Alara wiedziała, Ojciec Smok zawsze niezmiernie interesował się czynami elfów i ich ludzkich niewolników. Czasami był jedynym, który popierał interwencje w obronie ludzi. Wiele razy w przeszłości domagał się czegoś więcej, niż tylko obserwacji i zachęcał rod do posunięcia się dużo dalej, niż zajmowanie się wyrządzaniem takich szkód i psot, jakie Alara platała elfim władcom.

Mogło to oznaczać bardzo wiele...

Albo zupełnie nic. Alara dobrze wiedziała, że jeśli ona jest przekorna i nieobliczalna, Ojciec Smok jest podwójnie taki. Może po prostu cieszy się z jej zakłopotania. Bez wątplenia cieszył się z zamieszania, jakiego narobiła. Smocza skłonność do robienia złośliwych żartów nie ograniczała się tylko do innych ras.

Ojciec Smok dobrze był znany z platania psikusów swoim pobratymcom.

Alara przestała myśleć o całej tej lamigłowce. Jeśli Ojciec Smok nie zamierza wtrącać się, to nie ma znaczenia. Potrafi sama stoczyć te walki i wygrać ją.

-Zamierzam zatrzymać to dziecko - oświadczyła wyzywająco, rozstawiając łapy, wznosząc głowę i skrzydła, stawiając na sztorc uszy i grzebień na grzbiecie oraz spoglądając każdemu po kolei w oczy. - Będzie dobrym towarzyszem zabaw dla Kemana.

Bedzie mogli nauczyć się naśladowania dwunogów, ludzi i elfów, dużo lepiej, jeśli będzie miał przykład obok siebie. Kto wie, czego nauczymy się, obserwując taki okaz od niemowlactwa! Umysł jej matki nauczył mnie więcej, niż moglibyście uwierzyć.

Rozległ się szmer, odwróciły się głowy. Grzebienie były nastroszone lub opuszczone, w zależności od nastroju ich posiadacza. - Toż to zwierze - syknął Oronaera, zjeżywszy się nieco. - Nie mam nic przeciwko trzymaniu go jako pupilka, ale żeby wychowywać je z naszymi własnymi dziećmi? To zniewaga! Równie dobrze mogłabys przynieść wielkie małpy i delfiny!

Alara zjeżyła się w odpowiedzi, zmrużyła oczy i nadała swojemu głosowi ton grozby. - Być może to nie byłby wcale zły pomysł! - odwarknęła, rysując szponami głębokie bruzdy w twardo ubitej ziemi. - Być może wtedy wy, którzy nigdy nie opuszczacie leża, jak tylko po to, by najść się i wygrzać na słońcu, nauczylibyście się, jaka różnica jest między zwierzętami a tymi, którzy są równi wam pod względem umysłu... a na pewno bardziej od was interesujący! Mac, chwyciła niemowlę za kostkę i podniosła. Przestraszone dziecko zaczęło płakać, a smoczyca pogardliwie zmarszczyła nos. - Szamanko, straciłaś rozum do reszty, a niewiele go miałaś. Przecież to nic innego, jak zwierze do zjedzenia i dobrze o tym wiesz.

Słyszałam, że z tych młodych można przyrzadzić dobrą żupę.

Tu przerwała, ponieważ Alara uczyniła coś niewyobrażalnego, tak doprowadzona do wściekłości, że zdobyła się na akt agresji przeciw innemu smokowi. Lori nie była na to przygotowana, ponieważ Alara nigdy nie atakowała w trudnych sytuacjach, nawet jako dziecko. Prawde mówiąc, było to coś, czego nikt by się po niej nie spodziewał, nawet mimo okazanej przez nią odwagi w tancu gromów.

Stanęła na tylnych łapach, wściekle wymachując ogonem, co oczyściło przestrzeń za jej plecami, ponieważ wszyscy odskoczyli. Wyciągnęła błyskawicznie prawą przednią łapę, chwyciła Lori za bark zanim smoczyca zdążyła się uchylić i mocno scisnęła. Wcisnęła szpony w miękka skóre wokół stawu, aż Lori pisnęła i chciała upuścić dziecko.

-Delikatnie - warknęła Alara przez zacisnięte zęby. - Połóż na ziemi. Nie posiniacz jej, bo inaczej, na ogień i deszcz, pozalujesz każdego śladu na jej skórze, bowiem powiele ci je na twojej skórze, choćbym miała zerwać ci wszystkie łuski, żeby to zrobić!

Lori położyła dziecko na ziemi. Malenstwo przestało kwilić w chwili, gdy poczuło pod sobą twardy grunt. Alara wypuściła Lori, która położyła po sobie uszy, opuściła grzebień grzbietowy na znak poddania i wycofała się. Kilku innych również się cofnęło, niektórzy

rownie poddanczo, jak Lori.

Stanela nad dzieckiem i spojrzala wsciekle na reszte rodu. - Zatrzymam je - powiedziala zdecydowanie. - Wychowam je razem z Kemanem. To dziecko istot inteligentnych i musi miec kogos, kto sie nim zajmie i ochroni je. - Popatrzyla gniewnie dookola, a wszyscy spuscili wzrok i pochylili glowy. - Ono nie bedzie stanowilo dla nas zadnego niebezpieczenstwa. Nie moze nas zdradzic, poniewaz nigdy nie pozna swego ludu, chyba ze uznamy za stosowne zapoznac je z nim. A wtedy, jesli bedziemy traktowac je dobrze, bedzie juz bardziej smokiem niz czlowiekiem. Nie zlamalam tu prawa i dobrze o tym wiecie.

Ojciec Smok, ktory dotychczas nawet nie drgnal, podniosl glowe. - Powinnas zatrzymac to dziecko i wychowac je, Alaro - powiedzial glebokim glosem, przypominajacym dudnienie grzmotu w oddali. - Ono ma wielkie hamenleai. Interesujace rzeczy beda sie dziaz wokol niego i z jego powodu.

Alara otworzyla oczy szeroko z zaskoczenia. Nieczesto szaman mogl przypisac hamenleai, potencjal tworzenia zmian w swiecie, jakiejs konkretnej istocie lub czynowi.

Alara uczynila to raz w ciagu calego okresu, kiedy byla szamanka. Ale zeby Ojciec Smok z tego, co Alara slyszala, nigdy jeszcze sie nie pomyлил, Jej decyzja zostala wlasnie usprawiedliwiona w oczach nie tylko rodu z jej leza, lecz calego rodu wszedzie.

Rozpostarla skrzydla do pelnej rozpietosci; oczy zalasnily jej zwyciesko.

I w tej wlasnie chwili fala skurczow przebiegla jej brzuch. Jeknela i zgarbila sie, czujac pierwsze bole porodowe.

Rozdzial V Keman przygladal sie ze zdumieniem matce broniacej ludzkiego szczenięcia. Nie dlatego, zeby nie rozumial dlaczego go broni, lecz nie mogl pojac, czemu inni tak zawziecie sprzeciwiali jej sie. Widzial ich polozone po sobie uszy, grzebienie na grzbiecie nastroszone lub agresywnie zwinięte, drgajace ogony i spięte miesnie.

Co sie dzieje? - chcial spytac Ojca Smoka. Przeciez to tylko dziecko, tylko szczenię.

Nie moze nikogo skrzywdzic, a z pewnoscia nikogo z rodu! Czemu nie chca pozwolic mamie zatrzymac go?

Inni czasami tez byli okrutni - jak Lori, ktora wciaz odgrazala sie, ze zje na przekaske oswojone dwurogi Kemana, zamiast poleciec i upolowac sobie cos. Moze dlatego sa tacy zlosliwi.

Jego matka sprzeciwila sie im wszystkim, nie miala zamiaru wycofac sie bez prawdziwej walki. Kiedy nieomal wylecial spod skrzydla Ojca Smoka, zeby stanac u jej boku, Ojciec Smok polozyl lape na jego ramieniu i powstrzymal go.

Stal wiec i zloscil sie, az do chwili, gdy Lori usilowala zjesc ludzkie szczenie. Niemal skoczyli wtedy Lori na ogon; wysunal juz pazury, zeby go capnac i gotow byl rowniez gryzc. A wtedy jakims cudem lagodna, malenka matka Keman urosła trzykrotnie i zmusila Lori do poddania sie. Chwycila Lori za ramie w miejscu, gdzie niewielkie luski nie chronily zbyt dobrze i scisnela mocno, tak jak czynily to mlode samce smokow, bawiac sie w walke o przywodztwo. Zaskoczyla Lori i sprawila jej bol - a Lori nigdy nie umiala znosic bolu. Kiedys narobila okropnego krzyku przy wyjmowaniu koscianej drzazgi z lapy. Lori wycofala sie, a inni poszli w jej slady.

Zagrozenie minelo i Keman odetchnal. Przestal zwracac uwage na to, co robia dorosli, duzo bardziej interesowalo go ludzkie szczenie.

Doprawdy jest slodkie, pomyslal patrzac, jak lezy w kurzu i niemrawo wymachuje raczkami i nozkami. Ciekaw byl, w jakim jest wieku. Mama powiedziala, zeby pomogl nim sie zajac - jesli podobne jest do dwurogow, prawdopodobnie potrzebuje mleka, a ona nie wiedziala, jak sklonic dwurogi do przygarniecia malych innego gatunku. Ale on wiedzial jak.

Keman przynosil do domu zwierzatka, od czasu gdy byl na tyle duzy, zeby samodzielnie wyjsc poza osade. Niektore z jego pupilkow okazaly sie pozyteczne - na przyklad rodzina cetkowanych kotow, ktora zagniezdzila sie w ich lezu i tepila wszelkie szkodniki. Albo niezliczone jaszczurki, zajmujace sie owadami zbyt malymi, zeby wzbudzic zainteresowanie kotow. Mial juz pewna slawe wsrod czlonkow rodu, tak ze niektorzy przynosili zwierzeta do jego malego zoo z swych wypraw lowieckich. Na przyklad Ojciec Smok przyniosl mu rzadka lanie jednoroga, wielka jak kon i przypominajaca skrzyzowanie dwuroga z wielkim stepowym trzyrogiem, tyle tylko, ze jej racice przypominaly bardziej szponiaste lapy niz kopyta. Byla ciezarna i urodzila trzy cieleta.

Wszystkie mialy tak samo paskudny charakter jak ich matka i nie dopuszczaly do siebie nikogo poza Kemanem. Wykorzystywal je do pilnowania swoich pozostalych wychowankow. Nawet Lori unikala jednorogow, ktore byly rownie agresywne i zlosliwe, jak dwurogi lagodne i potulne.

Po raz pierwszy jednak ktos przyniosl Kemanowi cos tak swiezo urodzonego i slabego. Opieka nad tym ludzkim szczeniakiem bedzie ciekawa.

Doszedl do wniosku, ze powinna czuc sie dobrze z dwurogami. Gdyby ktoras z samic wulfa karmila wlasnie szczeniaki, bylyby jeszcze lepiej, bo malenstwo bylo raczej miekkie - ale Keman sadzil, ze jesli podlozy ja Hoppy, trzynogiej dwurozycy, nie zostanie nadepnieta.

Mniej wiecej w tym wlasnie momencie jego matka jeknela. Keman z niepokojeni uniosl glowe i zobaczyl, jak smoczyca sie zwija.

Keman setki razy widzial, jak jego zwierzaki rodza, wiec dla niego nie bylo tajemnica, co sie dzieje. Inni jednak cofneli sie, a niektore starsze samice wyskoczily ze swoich jaskin i

otoczyły Alare, patrzac wrogo na Ojca Smoka i Kemana, jakby nie bylo tu dla nich miejsca.

Nikt juz nie zwracal uwagi na lezace cicho w kurzu ludzkie szczenie, jakby przestalo istniec. Nikt nie domyslilby sie, ze bylo przedmiotem takiej klotni jeszcze kilka chwil temu.

Keman podkradl sie blizej do malenkiej, kruchej z wygladu istotki i zastanowil sie, co ma z nia zrobic. Mama powiedziala, ze chce, aby nia sie zajal, ale przeciez tak naprawde ona nalezy do mamy, czyz nie tak? Powinien ja wziac, czy raczej poczekac, az ona cos powie?

Zatrzymal sie, sparalizowany niezdecydowaniem. Wiedzial, ze moze potrwac do switu, albo dluzej, zanim mama wyda na swiat jego nowego brata lub siostry. Jesli bedzie czekac, szczenie moze umrzec. Musi juz byc glodne.

Jakby w odpowiedzi na to nie wypowiedziane pytanie, malenstwo zakwililo i odwrocilo na oslep glowe. Keman wlozyl mu do ust zgiety palec - wydawal sie olbrzymi w porownaniu z jego glowa - dziecko possalo go bezskutecznie, a potem rozplakalo sie.

Keman doszedl do wniosku, ze jesli nie zajmie sie nim, ono umrze, wiec zwrocil sie do Ojca Smoka po rade.

-Jesli wiesz, co trzeba zrobic, Kemanie, musisz to zrobic - zagrmial Ojciec Smok.

-Szczegolnie, jesli wiesz, ze tak nalezy postapic.

Keman wahal sie jeszcze przez chwile. A co, jesli Lori dowie sie, ze zabral szczenie?

Cofnela sie przed Alara, ale na niego nie zwroci uwagi. Jesli bedzie chciala zjesc szczenie - nie bedzie mogl jej powstrzymac.

Ale jesli nikt nie bedzie wiedzial, ze szczenie jest u niego, dopoki Alara nie poczuje sie lepiej - i jesli umiesci jednorogi w tej samej zagrodzie, co Hoppy...

Tak wlasnie robi. Nawet Lori nie odwazy sie wejsc w droge czterem jednorogom.

Podjawszy decyzje nie wahal sie juz. Chociaz nie potrafil jeszcze zmienic sie w cos, co mogloby niesc malenstwo w ramionach, przednie lapy mial juz dosc duze, by wziac szczenie w jedna dlon, i jeszcze zostanie troche luzu. Pod warunkiem, ze uda mu sie tego dokonac bez skaleczenia jej swymi szponami. Nie mial najmniejszego pojecia, jak ja leczyc, jesli ja podrapie, a gdyby zrobil jej krzywde, musialaby zaczekac do wyzdrowienia jego matki, zanimby sie nia zajeto.

Bedzie po prostu ostrozny. Juz przedtem bral na rece mlode zwierzatka.

Nakryl szczenie prawa lapa jak klatka i powoli wsuwal pod nie szpony, po troszeczku, wolac wkopac sie raczej w ziemie pod nim, niz dotknac go. Kiedy wszystkie piec szponow

zetsknelo sie, a pomiedzy kazdym z jego palcow byla odleglosc mniej wiecej wystarczajaca, by zmiescila sie ludzka reka, wtedy powoli uniosl ramie.

Szczenie lezalo bezpiecznie w koszyku szponow, nawet nie drasniete.

Keman westchnal z ulgi i pospieszyl w strone legowiska, kustykajac na trzech lapach.

Raz sie obejrzal, czy Ojciec Smok podaza za nim, lecz szaman znikl po cichu, w czasie gdy on usilowal podniesc malenstwo. Inni juz dawno odprowadzili jego matke.

No i nie szkodzi. Keman doskonale wiedzial, co ma teraz zrobic i doszedl do wniosku, ze bedzie umial bez pomocy doroslych zaopiekowac sie szczeniem.

Jego zwierzyniec mieszkal sobie przy jednym z licznych wejsc do legowiska, a wybiegi dla wiekszych trawozercow znajdowaly sie tuz na zewnatrz. Keman bardzo sie zmeczyl, zanim dotarl przez jaskinie mieszkalne do korytarza wyjsciowego. Nie zdawal sobie sprawy, ze tak ciezko bedzie skakac na trzech lapach. Przedtem nie zauwazal wielu nierownosci, przez ktore trzeba sie gramolic, ani wielu wystajacych skal, ktore trzeba bylo omijac. Zupelnie co innego wesolo skakac sobie przez nie na wszystkich czterech lapach, a zupelnie co innego, jesli nioslo sie cos, czego nie wolno bylo upuscic. Chwytal go juz kurcz w przedniej lapie. Zalowal ogromnie, ze nie jest dosc duzy, by umiec zmieniac ksztalt, albo uzywac smoczej magii. Jego matka potrafila stopic skale, gdyby tylko chcialo jej sie o tym pomyslec. Gdyby umial posluziwac sie czarami, juz oczyscilby sobie droge.

Kiedy maly smok niezdarnie wgramolil sie po skalach na teren zagrody, byl juz bardzo zmeczony. Lagodne, nie umiejace sie broniec dwurogi zajmowaly zagrode najblizsza wejscia do jaskini. Zrobil im tam z kamieni niewielka szope, a caly wybieg rowniez otoczyl kamieniami. Keman byl niezmiernie szczesliwy, mogac polozyc dziecko na slomie obok Hoppy, ktora karmila swoje male, lezac na boku. Hoppy byla bardzo lagodnym dwurogiem, nawet jak na przedstawiciela tak potulnego gatunku, i Keman juz nieraz podkladal jej do wychowania osierocone mlode zwierzeta.

Z ulga poruszal zdretwiala lapa. Przez chwile martwil sie, ze skurcz nigdy juz mu nie przejdzie. Obejrzal szczenie i wydawalo mu sie, ze wszystko jest w najlepszym porzadku. Lezalo sobie na miekkiej slomie, a Hoppy najwyrazniej ignorowala je.

Doskonale, tak wlasnie mialo byc. Wstal i poszedl znow w strone wyjscia, do malej bocznej jaskini, w ktorej przechowywal rzeczy potrzebne mu do opieki nad zwierzetami. Najpierw bedzie mu potrzebny olejki mietowy i szmatka, a potem zabierze Hoppy jej male. Natrze wszystkich troje mieta, zeby Hoppy nie wiedziala, ktore male jest jej wlasne i jesli mu sie poszczesci, wykarmi oboje.

Przedtem udawalo sie. Keman doszedl do wniosku, ze i tym razem powiedzie sie, chociaz to szczenie bylo duzo bardziej bezradne od tych, ktore do tej pory powierzal Hoppy, i z cala pewnoscia nie przypominalo dwuroga.

Male zapiszczalo i tym razem wyraznie slychac bylo, ze jest glodne. Keman odwrocil sie, nagle przejety niepokojem i niepewnoscia, co robi Hopy. Glos tego szczenia zupełnie nie przypominal beczenia jej malego.

Zdumiona Hopy spojrzala na szczenie i postawila uszy. Keman postapil o krok do przodu, gotow polozyc lape pomiedzy szczenie a dwurozyce, gdyby tylko zaczela zachowywac sie agresywnie.

Ale Hopy tylko wysunela pysk i tracila nosem male z ciekawoscia - a potem, zanim Keman zdazyl poruszyc sie, przysunela sobie niemowle, ktore caly czas plakalo z glodu.

Zaniepokojony i przestraszony tak bezceremonialnym potraktowaniem szczenia, Keman zblizyl sie do nich jednym skokiem.

Odkryl jednak, ze szczenie ssalo z zadowoleniem, lezac obok malego Hopy, jakby wszyscy bardzo dobrze wiedzieli, co nalezy robic.

Keman zwabil ostatniego jednoroga do zagrody Hopy slodkim korzonkiem, uwazajac, by nie dostac sie w zasieg ich dlugich, strasznych pazuro-kopyt. Jednorogi tolerowaly go, tak jak tolerowaly czlonkow swego malego stada. Nie darzily go sympatia, ani nie pozwalaly na zadne poufalosci. Przez chwile przygladaly sie Hopy i jej dzieciom z pelna rezygnacji pogarda, a potem rozsiadly sie wokol, by jej pilnowac.

Zignorowaly Kemana, lecz do tego byl przyzwyczajony. Zmeczony, poczlapal z powrotem do legowiska, majac nadzieje, ze matka juz wrocila, lecz zastal taka sama huczaca echem pustke, jak poprzednio.

Nie bylo to bardzo duze legowisko, jak na tego typu siedzibe. Skladalo sie z czesci lancucha wapiennych jaskin, jakie rozciagaly sie pod gora po tej stronie doliny. Groty juz nie laczily sie ze soba, bowiem kazdy smok, ktory mial ochote na podziemne leze, zajal sobie pewna ilosc jaskin, wykopal wlasne wejście, a nastepnie odgradzil swoja czesc od cudzych.

Wewnatrz znajdowaly sie rozliczne narosla wapienne, skalne formacje utworzone przez wode kapiaca ze sklepienia przez setki lat. Alara niektore z nich usunela wedlug wlasnego uznania, inne zostawila po prostu dlatego, ze jej sie podobaly. Skaly wypolerowane do polysku przez spadajace bez konca krople wody, ktore je stworzily, lsnily lekko w przycmionym swietle. Sklepienie w glownej jaskini bylo tak wysokie, ze Alara mogla w niej swobodnie latac. Smoczyca wygladzila i oczyscila tez wiekszosc posadzki pod glowna kopula. Kilka wystajacych skal jednak pozostalo. Najbardziej imponujacy obiekt znajdowal sie na srodku, dokladnie pod najwyzszym punktem sklepienia. Byl to olbrzymi stalaktyt, wciaz jeszcze rosnacy, ktory spotka sie z odpowiadajacym mu stalagmitem za jakies kilka stuleci. Dolna czesc tej pary dziwnie przypominala stylizowana rzezbe gory porosnietej drzewami, ktora fascynowala zarowno Kemana, jak i jego matke, gdy jej sie przygladali. Stalaktyt stal w lustrzanej sadzawce, calkowicie go otaczajacej i tak przejrzystej, ze Keman siegal wzrokiem dna, ktore bylo na glebokosci wiekszej od jego wzrostu.

Jarzace sie zimnym swiatlem szklane kule, ktore wykonala jego matka i zamknela w nich magiczny ogien, oswietlaly kazda czesc legowiska, jaka chciala obejrzec. "Gora drzew" i otaczajaca ja sadzawka zawsze byly oswietlone delikatnym blekitnym swiatlem, a grota, w ktorej sypial Keman, oraz sypialnia jego matki, jarzyly sie stlumiona zielenia. Chwilowo bylo to wszystko, bowiem Alary nie bylo w domu od miesiaca, wiec reszta leza wydawala sie okropnie ciemna i niezbyt przyjazna. Od czasu do czasu cisze przerywal plusk kapiacej wody, albo szelest biegajacych oswojonych jaszczurek Kemana, i to wszystko.

Probował usnac zwiniety w swojej owalnej jaskini, w gniezdzie z piasku i klejnotow ze swego malenkiego skarbu. Okazalo sie to dosc bezcelowa proba. Budzil sie przy kazdym najlzejszym nawet halasie, a potem z otwartymi oczami okropnie dlugo przysluchiwal sie dzwiekom w ciemnosci.

Wreszcie zrezygnowal. Nie mogli juz tak dluzej lezec. Moze moglby cos zrobic.

Kiedy podreptal do swoje zwierzynca, zobaczyl, ze slonce juz wstaje.

Coz, i tak musialby juz wstac, zeby je wszystkie nakarmic, pomyslal i westchnal.

Rownie dobrze moze juz teraz zabrac sie do roboty.

Wiekoszosc trawozercow mozna bylo wypuscic na pole, ktore dla nich ogrodzil, ale nie Hoppy i jednorogi, jesli chce nakarmic ludzkie szczenie i utrzymac je w tajemnicy. Oznaczalo to, ze bedzie musial pracowicie nazrywac trawy, ulozyc ja w sterte na kawalku skory, jaki przygotowal, i zaciagnac ja do zagrody. I tak kilkakrotnie. Ku swojemu zmartwieniu odkryl, ze trawozercy jedza bardzo duzo. Slonce juz stalo wysoko na niebie, kiedy skonczyl prace, glodny i spragniony.

Duzo latwiej przychodzilo mu radzenie sobie z drapieznikami w menazerii. Po prostu szedl upolowac sobie sniadanie i przynosil im dodatkowa zwierzynie. Czasami mial wyrzuty sumienia skaczac na tlustego dwuroga, myslac, ze to samo zwierze mogloby byc jednym z jego podopiecznych - czasami nawet na poczatku lowow trudno mu bylo przelamac sie, zeby je zabic. A potem stado rzucalo sie do uciezki i zwyciezal instynkt. Ani sie nie obejrzal, juz mial w pysku slodkie, delikatne mieso.

Czasem strasznie trudno bylo zwalczyc instynktowny odruch. Sam widok uciekajacego stadnego zwierzecia wystarczal, by Kemanowi ogon drgal z podniecenia i smok gotow byl skoczyc na wszystko, co sie rusza.

W tej chwili tak byl glodny, ze nawet lagodna Hoppy zaczynala wygladac jadalnie.

Lepiej idz cos upoluj! Wspial sie na szczyt skaly, rozlozyl skrzydla i niezdarnie wzbil sie w powietrze. Choc byl juz dosc duzy, by latac, nie szlo mu to jeszcze zbyt dobrze.

Przynajmniej kiepsko szly mu starty i ladowania. Probował robic to na osobnosci, gdzie nikt

nie moglby nasmiwac sie z niego, gdyby spadl na nos. Lopoczac skrzydlami z calych sil, by wzniec sie wyzej, czul coraz dotkliwszy glod.

Postanowil dzis zapolowac na dzikie konie, bowiem w chwili obecnej byl bardzo wzraliwy na punkcie dwurogow. Znalazl prad wznoszac przy wejsciu do swego kanionu i skoczyl wten, pozwalajac mu sie wyniesc przez wszystkie krete szczeliny i koryta wyschnietych strumieni, prowadzace do leza. Wiekszosc doroslych nie miala ochoty na polowanie tak blisko domu, wiec czasem znajdowal tu niezla zwierzynie. Od czasu do czasu dobre wodopoje kusily male rodzinne stadka trawozercow, pomimo bliskosci ogromnych, wiecznie glodnych smokow.

Szczescie mu dopisalo. Zaskoczyl stado krepych, plowych klaczy w slepo zakonczonym kanionie, na koncu ktorego znajdowal sie niewielki strumyk. Dostrzegl taka, ktora nie miala u boku zrebiecia, zdobył sie na odwage i zanurkowal.

Byla zbyt zaskoczona, by nawet sie ruszyc. Uderzyl w nia z calych sil, wbijajac szpony w jej grzbiet i ladujac na niej ciezko. Poczul, jak peka jej kark i kregoslup, gdy zwalila sie pod jego ciezarem bez walki. Czysta robota. Byl niezmiernie dumny z siebie. Poza tym, kon byl znacznie wiekszym zwierzeciem od tych, na ktore zazwyczaj polowal. Ucztowal w zadowoleniu, podczas gdy reszta stada rozbiegla sie w poplochu. Nigdy nie mial ochoty trzymac dzikich koni w swojej menazerii. Byly zbyt glupie, plochlive i uparte, zeby sie nimi przejmowac. Ojciec Smok powiedzial, ze elfom udalo sie w jakis sposob skrzyzowac trzyrogi z konmi i w ten sposob uzyskali jednorogi. Jesli to prawda, w jego mniemaniu krzyzowka odziedziczyla najgorsze cechy obu gatunkow. Jednorogi byly uparte jak konie, agresywne jak trzyrogi i zlosliwsze od obu. Keman mial wrazenie, ze lubily zabijac. Mozna bylo sie spodziewac, ze elfowie wyhoduja cos takiego.

Keman postanowil, ze od tej pory bedzie jesc wylacznie konie i trzyrogi. Wiekszosc smokow i tak nie przepadala za konina, wobec tego wiecej zostanie dla niego do upolowania. Co z tego, ze mieso bylo lykowate i troche czuc je bylo dziczynza? Przynajmniej nie bedzie mu dokuczalo sumienie, a Hoppy nie bedzie spogladac na niego z takim wyrzutem, za kazdym razem gdy wracal z polowania. Moze to tylko jego wyobraznia, ale zdawalo mu sie, ze zawsze wie, kiedy jadal dwuroga. Nie mogl zjesc calej klaczy. Zostal mu jeszcze w nadmiarze miesa do nakarmienia reszty swojego zwierzynca. Jednak z takim dodatkowym ciezarem zmuszony bedzie wspiac sie troche, zanim zdola odleciec.

Zapowiadalo sie mnostwo roboty i Keman zacal w duchu narzekac. Jego zwierzaki moglyby sie nauczyc same zywic.

Wspinal sie po zboczach gorskim, ciagnac za soba po skalach tusze zwierzecia. Kiedy juz wgramolil sie na skalny wystep, byla niezle poobijana, a on sam zdyszany.

A co tam, wulfom nie przeszkadzal wyglad jedzenia.

Musial nieco odpoczac w sloncu, rozwijajac skrzydla, by wygrzac je i nabrac sil.

Wygrzewał się przez dość długą chwilę, zanim poczuł się na siłach chwycić scierwo w szpony tylnych łap i zerwać się do ciężkiego lotu.

Całe szczęście, że do leża nie było daleko. Po całym tym wysiłku i nieprzespanej nocy, czuł się, jakby miał pasc z wyczerpania.

Lepiej byłoby nakarmić wszystkie, zanim padnie, pomyślał gorzko, usiłując podejść do lądowania.

Pomimo całej ostrożności lądowanie i tak było kiepskie. W ostatnim momencie zbrasował za ostro i uderzył w ziemię za mocno, potykając się o swoją zdobycz i padając pyskiem na twarde, wypalona słońcem glinę podłoża. Kurz wzbil się wszędzie.

Keman pozbierał się i skrzywił, czując kolejny sinięć na podbródku.

Zastanawiał się, czy nauczy się kiedyś lądować z takim wdziękiem, jak jego matka.

Na razie nie zanosilo się na to.

Zajawszy się ponownie swoją zdobyczą, rozszarpał ją na części i rozdzielił pomiędzy miesozerców w swoim zwierzynku. Były to tylko jaszczurki, wulfy i cetkowane koty, a spośród tych trzech, tylko wulfy żyły w niewoli. Na jego wołanie wulfy podeszły do ogrodzenia, nastawiając szpiczaste uszy, wywalając z zębatach paszcz języki i merdając ogonami. Wzięły kosa łopatkę wprost od niego i pociągnęły ją na tyły wneki. Wulfy nie potrafiły dobrze skakać, chociaż biegaly jak szare błyskawice, więc do odgrodzenia ich wystarczył jeszcze jeden z wszechobecnych kamiennych murów. Jeden ze stada był ślepy, inny, jak Hoppy, nie miał jednej nogi, a pozostałe dwa były za stare, żeby samodzielnie polować. Były przyjaznymi, małymi padlinozercami, nie mającymi nic przeciwko temu, by Keman przewodził ich stadu.

Cetkowane koty nie zbliżały się do nikogo, ale wiedział, że może zostawić dla nich udzieć tuż za wejściem do jaskini, a z pewnością go znajdą. Zawsze znajdowały. Reszta mięsa, głównie ochłapy, rzucił jaszczurkom, również trzymanym we wspólnej zagrodzie. Zjedzą, kiedy będą miały ochotę. Oczywiście, z wyjątkiem tych, które gniezdziły się we wnętrzu leża i z zadowoleniem pozeraly żyjące tam owady.

Poszedł do strumyka płynącego w kanionie i umył się dokładnie. Nie chciał zbliżyć się do jednorogów, ani do Hoppy, dopóki czuć go było krwią. Nie był pewien, co zrobiłaby Hoppy, ale wiedział, jak zareagowałyby jednorogi - zaszarżowałyby i to nie na żarty. Zapach krwi zawsze wywoływał u nich natychmiastową reakcję. Dobrze wiedziały, jak posługiwać się swym długim, strasznym, spiralnym rogiem. Zdawało się, że jest to wrodzona umiejętność, bowiem nawet cielaki szarżowały na wymyślonego wroga ze spuszczoneym łbem i doskonale wymierzonym niewyrośniętym jeszcze rozkiem.

Ojciec Smok mówił, że elfowie usiłowali hodować jednorogi do walki, lecz większości nie

sposob bylo oswoic, a co dopiero ujezdzic, wiec ze wstretim wypuscili bestie na wolnosc. Wiele z nich wykazalo sie taka agresywnoscia, atakujac stworzenia duzo silniejsze od nich, nawet smoki, ze rasie grozilo wyginiecie z powodu nadmiernej napastliwosci.

Ostroznie wchodzic na teren wybiegu, Keman pomyslal, ze jemu rowniez nie usmiecha sie ich trzymanie. Przysparzaly wiecej klopotow niz pozytku, chyba ze mialy pilnowac stada. To robily dobrze i nie niepokoily dwurogow. Moze domyslily sie, ze zabijanie dwurogow jest za latwe.

Jednorozi wydawaly sie dzis sklonne zaakceptowac go, moze dlatego, ze karmil je wczesniej. Poslaly mu tylko ostrzegawcze, wrogie spojrzenie i wrocily do uwaznego obserwowania terenu za ogrodzeniem. Dwurozi wystawialy straze, lecz jednorozi zawsze staly na strazy i byly czujne.

Naprawde szkoda, ze to takie zlosliwe zwierzaki, pomyslal z lekkim smutkiem, przygladajac sie, jak pozuja na tle czerwonych skal kanionu. Sa takie piekne...

Pojedynczy, dlugi rog, z koloru przypominajacy mase perlowa, wznosil sie spirala z podstawy szerokiej na pazur Kemana i konczyl czubkiem ostrym jak igla. Podstawa wyrastala z czola zwierzecia, dokladnie miedzy jego oczami. Juz oczy wskazywaly na to, ze nie jest to stworzenie, ktore mozna ogolnie uznac za bedace przy zdrowych zmyslach. Jego oczy, o dziwnym, przydymionym pomaranczowym kolorze, byly olbrzymie, a zrenice stale rozszerzone, jakby zwierzecie bez przerwy znajdowalo sie w stanie ogromnego podniecenia. Glowa miala ksztalt konski, byla wdzieczna, a nawet delikatna, lecz oczy zajmowaly tak duza przestrzen, ze nawet Keman widzial, ze nie moglo zostac wiele miejsca na rozum. Długa, wezowo gietka szyja wyrastala z poteznych barkow, a przednie konczyny zakonczone byly czyms, co przypominalo skrzyzowanie rozszczepionych kopyt ze szponami. Zad byl rownie masywny jak klab, chociaz tylne nogi zakonczone byly bardziej racicami niz pazurami. Bestia miala dluga, jedwabista grzywe, ogon z pedzelkiem, maly kosmyk na dolnej szczece przypominajacy brodke i wszystkie cztery nogi obrosniete dluga sierścią. Cale zwierzecie mialo kolor czystej bieli, ktora blyszczala jak nieskalany snieg.

Ojciec Smok mowil, ze bywaly rowniez czarne, ale nigdy takiego nie widzial. Tak jak w przypadku wszystkiego co robili elfi panowie, jednorozi hodowano z mysla najpierw o wygladzie, a dopiero potem o przydatnosc. Najwyrazniej uznali, ze czysta biel i czern robia wieksze wrazenie niz naturalne ubarwienie dwurogow i trzyrogow.

Przynajmniej ich czysto biale lub czarne umaszczenie pozwalalo bardziej nieszkodliwym stworzeniom zauwazyc ich zblizenie.

Akcent stanowiacy ukoronowanie wszystkich cech tego niewiarygodnego zwierzecia ujawnial sie w chwili, gdy otwieralo paszcze, jak czynilo to jedno z nich teraz, ziewajac z nudow. Te delikatne wargi przyslanialy dlugie na ponad dwa centymetry kly.

Jednorogi były wszystkożerne, a Ojciec Smok ostrzegł Kemana, żeby nie przyzwyczail swoich do smaku mięsa - bo inaczej wkrótce same zaczną polować.

Keman trzymał je na ścisłe jaskiej diecie.

Mimo wszystko, doskonale spisywały się jako strażnicy. Niczego nie przepuszcza, tego był pewien.

Keman miał już ponad roczne doświadczenie, jak należy zachowywać się w pobliżu jednorogów. Poruszał się bardzo cicho i bardzo powoli, zbliżając do Hoppy i zagrody na tyłach wybiegu. Bardzo uważał, żeby nie spojrzeć prosto na któregoś z jednorogów, ani nie ustawić się do nich pełnym profilem. To pierwsze potraktowałyby za wstęp do ataku i zaatakowałyby od razu, to drugie oznaczałoby dla nich wyzwanie i też zaatakowałyby od razu.

Udało mu się przebyć teren wybiegu bez wypadku.

W zagrodzie znalazł niezmiernie zadowolona Hoppy z dwojgiem "jej dzieci".

Najwyraźniej dostrzegła jak bezradne jest ludzkie szczenię, bowiem oddzielała własnym ciałem swoje rozbrykane młode od niemowlęcia leżącego w słomie. Mając tylko jedną tylną nogę, zmuszona była karmić swoje młode na leżaco, lecz na oczach Kemana powtórzyła wczorajsze zachowanie, przysuwając ludzkie dziecko pyskiem, aby i ono mogło possać.

Keman nie posiadał się z radości. Od dawna już wiedział, że dwurogi są tak bystre, jak jednorogi głupie, ale naprawdę nie był pewien, czy Hoppy zdoła dopasować swoje zachowanie do potrzeb dziwnej sierotki.

W czasie gdy dziecko ssalo, Keman przykucnął i przyjrzał się, jak Hoppy wylizuje je energicznie. Kolejny kłopot z głowy, dopóki jego mama nie wymyśli, jak sobie z tym poradzić. Przypuszczał, że dziecko będzie wymagało specjalnych zabiegów higienicznych, ale nie miał zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Przynajmniej chwilowo Hoppy zdawała się rozwiązywać ten problem.

Pozostało więc tylko jedno do zrobienia.

-Trzeba cię nazwać - powiedział do malenstwa, które nie zwróciło na niego uwagi. - Nie mogę dalej nazywać cię "szczeniakiem". To nie wypada. Nawet jednorogi mają imiona. Nie reagują na nie, ale je mają.

Zastanowił się poważnie nad tą kwestią, wybierając, a następnie odrzucając przynajmniej z tuzin imion w trakcie tego namysłu. Smocze imiona jakos wydawały mu się nieodpowiednie, ale imiona takiego typu, jakie nadawał swoim zwierzętom, były jeszcze gorsze. Znal troche język elfów, chociaż niewiele imion. Mimo wszystko, mowa elfów wydawała mu się odpowiedniejsza do nazwania jej niż język rodu.

Wreszcie postanowił nazwać ją imieniem oznaczającym to, czym była - sierota.

W języku elfów brzmiało to całkiem ładnie i niemal po smoczemu.

-Masz na imię Lashana - powiedział poważnie do dziecka. - Ale ponieważ jesteś taka mała, wystarczy na razie Shana. Podoba ci się?

Dziecko, które skończyło właśnie jeść, zamachało rączkami i zagulgotało. Keman uznał to za dobry znak i poszedł zdrzemnąć się nieco, przekonany, że uczynił dla niej wszystko, co mógł.

Keman położył głowę na złożonych przednich łapach i westchnął, przyglądając się swojej najnowszej małej podopiecznej, która wymachiwała rączkami i gugała do swojej kosmatej przybranej matki. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał umieścić ją na stałe w słomianym gnieździe, zawsze wysuwała się na słońce - albo Hoppy ją tam wypychała, bo dwurozycy nie chciała zostawić swojej sierotki samej, ale nie miała zamiaru również zrezygnować z porannej drzemki w słońcu. Keman nie był pewien, jak długo Shana może przebywać na słońcu, ale jej jasna skóra nie wroziła nic dobrego.

Widział zwierzęta albinosy poparzone słońcem, a przecież chroniło je futro. Łaczyło się to z kolejnym problemem. Poza tym, że wystawiona była za bardzo na słońce, drapała ją słoma. Hoppy bez większego trudu utrzymywała ją w czystości, ale całe jej ciało pokrywała siatka cienkich, różowych zadrapan ostrych końcami ździebel słomy.

Bez wątplenia trzeba będzie coś na to poradzić. Będzie musiał wymyślić jakieś okrycie dla niej, coś w rodzaju ubrania, jakie nosili dorośli zmienieni w elfich władców czy ludzi. Trzeba je wykonać z czegoś dość mocnego, by ją chroniło, dość miękkiego, by nie skaleczyć jej i odpornego na skutki różnych funkcji ciała, jakich nie opanowała jeszcze w tym momencie.

Musi to być także coś, co nie zaszkodzi Hoppy, nie przestraszy jej, ani nie spowoduje zaprzestania jej opieki nad Shana.

Keman zastanawiał się nad problemem, wymachiwał ogonem i wzbijał kurz za plecami. Wystarczająco często grzebał w magazynach rodzinnych, żeby wiedzieć, co tam się znajduje. Członkowie rodu często przynosili do domu pamiątki, między innymi w postaci materiałów. Leże pełne było rzeczy, jakie Alara kiedyś zebrała, a potem zapomniała o nich. Żadna z nich jednak nie wydawała się Kemanowi zupełnie odpowiednia. Prawde mówiąc, połowa z nich najprawdopodobniej skończyłaby w żołądku Hoppy. Dwurozycy miała niewybredny gust i Keman czasami był zdumiony tym, co uznawała za jadalne.

Rozwazał kilka możliwości, wreszcie wszystkie odrzucił. Żeby nie wiem jak próbował, nie przychodziło mu na myśl co spośród rzeczy w magazynie mogłoby się nadawać. Natomiast będzie już umiał coś dla niej wykonać. Obecnie znacznie lepiej był przygotowany do manipulowania małymi i delikatnymi przedmiotami, niż wtedy, gdy podjął się po raz pierwszy opieki nad Shana. W ciągu ostatnich kilku dni odkrył, że jeśli bardzo się skupi, może nadac

swoim przednim łapom kształt jakby ludzkich rąk.

Musi coś być w ich leżu. Mama zawsze kolekcjonowała wszystko niczym skąpy chomik. Rozmyślając podrapał się po swędzącej kostce. Skóra wokół stawów była spierzchnięta i dokuczala mu od chwili, gdy wszedł do zagrody.

Swędzenie stało się nieznośne, więc podrapał się mocniej. Wreszcie skóra na kostce pękła i rozdarła się wzdłuż rys, jakie zrobił pazurami. Złuszczył ją pasmami, odsłaniając nową skórę z westchnieniem ulgi, po czym lekko podrapał się po delikatnej skorze samymi czubkami pazurów. Nowe łuski dopiero po jakimś czasie stawały się równie twarde, co stara skóra, a tymczasem łatwo było je uszkodzić.

Wyglądało na to, że zaczyna linieć. Nie mógł nawet myśleć w czasie zrzucania skóry, tak go bez przerwy swędziało...

Spojrzał na skrawek metalicznie błękitnej skóry, którą trzymał w pazurach i coś zaczęło mu świtać w głowie. Powoli przyszło mu na myśl, że znalazł odpowiedź na problem związany ze strojem ochronnym dla Shany.

Skóra. Zrzucana skóra. Elastyczna, miękka, a jednak tak mocna, że rozerwał ją dopiero swymi szponami. Ochroni ją przed wszystkim. Hopy jej nie zje i również nie będzie się jej bała. Jednorogi jej nie lubili, ale teraz, kiedy wróciła Alara, znowu były w swojej zagrodzie. Keman nie potrzebował już ich ochrony. Obecność Shany nie była już tajemnicą, a od czasu, gdy uznano ją za własność Alary i Ojciec Smok niespodziewanie wykazał zainteresowanie malenstwem, wydawało się, że nikt nie ma pretensji do niej, ani też nie odgrza się jej, czy Kemanowi.

Skóra, którą dopiero co zrzucił, nie nadaje się do niczego - kawałki złuszczone ze stawów są za małe, a większe fragmenty będzie mógł zrzucić dopiero za jakiś tydzień.

Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ Alara skrzetnie gromadziła nawet tak bezużyteczne rzeczy, jak zrzucana skóra.

Skoczył na równe nogi, przesadził susem ogrodzenie i pośpieszył do ciągu jaskin, mając nadzieję, że Alara zostawiła światło w magazynie na tyłach grotu. Teraz, gdy znalazł już rozwiązanie problemu, nie chciał tylko jednego: wyrwać matki z niespokojnego snu. Nowe dziecko było małym potworem - tak przynajmniej osobście uważał Keman - domagało się jedzenia o wszelkich możliwych porach i marudziło, kiedy nie jadło.

Był świeżo przekonany, że on nie sprawiał Alarze nawet połowy tych kłopotów, jakie sprawiało nowe dziecko. Co więcej, świetnie potrafił zadbać o siebie i leże, kiedy jej nie było i zupełnie bez niczyjej pomocy troszczył się o ludzkie szczenie, które przyniosła!

Jaskiniowe magazyny były oświetlone, ale słabo. Kiedy wydostał się poza zasięg jasnego blasku "gorskiej skały", dostrzegł blade, watle, żółte światelko kulistej lampki - przewodnika,

ledwo widoczne na tle ciemnych skal przed nim. Zazwyczaj to wystarczalo do oswietlenia pomieszczen skladowych. Rzeczy, jakie tam magazynowano, z reguly nalezaly do kategorii tych bezuzytecznych przedmiotow, jakie smoki przynosily z wycieczek do swiata za pustynia. Takich, jak kolekcja materialow Alary. Nie mogla ich uzywac w smoczej postaci, bo luski pocielyby je na strzepy. Byly jednak ladne, a ona lubila czasami zmieniac ksztalt po to, by bawic sie nimi i stroic sie w nie, a nawet spac na wielkich stertach drogocennych tkanin.

Alara postepowala o tyle nietypowo, ze zachowywala kawalki zniszczonej skory, swojej i Kemana. Z mocnej skory mozna bylo zrobic doskonale sakwy, chociaz kawalki nigdy nie byly wystarczajaco duze, by nadawaly sie do czegos, jesli nie zszyto ich. Bedac szamanka, potrzebowała wiele toreb do przechowywania tajemniczych przedmiotow, a jak powiedziala Kemanowi, nic tak swietnie sie nie nadaje, jak jej wlasna skora.

Czlonkowie rodu zrzucali swa blyszczaco metaliczna, wielobarwna skore raz na piec lub szesc lat po osiagnieciu pelnych rozmiarow doroslego osobnika, i co kilka miesiecy, kiedy byli dziecmi i rosli. Nawet niemowleta mialy bardzo gruba i mocna skore, a kiedy nowa skora rosła pod stara, smokom wyrastaly na niej zupełnie nowe luski. Był to jeden z powodow, dla ktorych smoki potrzebowały soli metalicznych. Kiedy rosła im nowa skora i nowe luski, metale odkladaly sie w luskach, czyniac je duzo mocniejszymi niz zwykle luski wezy i jaszczurek, bardzo twardymi, a jednak lekkimi. Z tego powodu zluszczona skora nie tracila koloru nawet po wylince. Keman uwazal, ze jest calkiem ladna, rownie interesujaca, co niektore tkaniny z kolekcji jego matki. Czasami spedzal leniwe popoludnia na układaniu wzorow z niniejszych strzepkow. Jego wlasna skora z ostatniej wylinki powinna byc wystarczajaco miękka dla Shany, pomyslal, idac po omacku po wygladzonej posadzce i majac nadzieje, ze jego matka nie zostawila porozrzucanych jakichs przedmiotow, o ktore moglby sie potknac. Shana bedzie przyzwyczajona do jej koloru i zapachu. Tak samo Hoppy.

Jego wzrok dosc szybko przystosowal sie do slabego swiatla i do momentu, gdy dotarl do samej kuli, widzial juz dosc dobrze. Minal kilka pieczar wypelnionych osobliwosciami, jakie zostaly po podrozach Alary. Gładka, kamienna posadzka zaslana byla tkaninami, ktore mialy dziko intensywne barwy nawet w przycmionym swietle. Obok materialow znajdowala sie nisza wypelniona wykonanymi przez elfy ksiazkami. Dalej rozmaite drobne sprzety: kufry, lampki oliwne, poduszki, pudelka, wszystko poukladane w sterty bez ladu i skladu. Stanowily one rezultat spladrowania karawany, ktora wziala niewlasciwy zakret na pustyni i zginela tam. Nastepna jaskinia byla tak uporzadkowana, jak poprzednia zabalaganiona: tu znajdowal sie magazyn ziol, kosci, muszli i wszelkich innych surowcow niezbednych Alarze do wykonywania swego szamanskiego zawodu. W kolejnej, utrzymywanej w rownym porzadku, przechowywano suszone i zakonserwowane jedzenie na wypadek potrzeby lub glodu. Keman minal je wszystkie, wybierajac sie na zaplecze. Skore przechowywano w malutkiej grocie na samym koncu skladu i dotarlszy tam, Keman zdumial sie widzac, ile zebralo sie tam jego wlasnej skory w kolorze niebieskozielonozlotym.

Zaczal grzebac w stercie strzepkow, ktore byly miekkie i elastyczne, tak delikatne, jak sie spodziewal. Trzeba bedzie jednak troche poszukac, zanim znajdzie kawalki wystarczajaco duze, by zrobic cale ubranko dla Shany, chociaz byla tak malenka. Kiedy skora miala zaczac schodzic, pekala wzdluz fald i blizn, co powodowalo straszne swedzenie.

Wiekoszosc smokow miala tendencje do rozdrapywania jej pazurami, a nastepnie zrywania platami przez nastepnych kilka dni.

Tym razem musi sie postarac o kilka duzych plalow, powiedzial sobie, rozgrzebujac stopy dlugich pasm, z ktorych zadne nie bylo szersze od jego zlozonych dwoch szponow. Bedzie musial uwazac, gdzie i kiedy drapie sie, a potem bardzo ostrocznie zdejmowac platy, kiedy skora juz zacznie sie niszczyc. Och, ale to bedzie swedzialo...

Wreszcie udalo mu sie znalezc kilka szerszych kawalkow, akurat tyle, zeby sklepic cos w rodzaju miniaturowej tuniki. Ochroni ona przed oparzeniami slonecznymi i zadrapaniami przynajmniej tulow Shany, ale rece i nogi beda musialy sie zahartowac.

Spakowal wszystko w tobolek i owinal go koncem ogona - byl to normalny dla niego sposob noszenia rzeczy, jesli nie zalezalo mu na tym, zeby ich nie upuscic - i ruszyl z powrotem do swojej menazerii. W pierwszej chwili kiedy wyszedl na slonce, poczul sie uderzony jego blaskiem jak kamieniem miedzy oczy. Dopiero po kilku chwilach wrocil mu wzrok. Zmartwil sie i mogl jedynie zywic nadzieje, ze Hoppy na zlosc nie nabrala ochoty na kolejna drzemke w sloncu, w czasie gdy on byl zajety. Jesli tak, Shanie moglo grozic powazne poparzenie sloncem.

Przyspieszyl kroku, przechodzac w truchcik i odetchnal z ulga, gdy wyszedl zza zakretu kamiennego ogrodzenia, zajrzal do srodka i zobaczyl dwuroga drzemiacego w cieniu na tylach zakurzonego wybiegu. Polozył swój ciężar obok malej istoty ludzkiej, która spala mocno i nawet nie drgnęła. Hoppy spojrzala na niego, potraszajac leniwie uszami, a potem powieki opadly jej na oczy i dwurozyca pograzyla sie ponownie w dwurogowych snach.

Keman polozył sie na slomie i zaczął przygladac sie swoim przednim lalom, starajac sie ze wszystkich sil poczuc te moc, która istniała, by po nią siegnac, jak mowila jego mama. Skupil sie tak mocno, ze czul zbliżający sie bol glowy. Patrzyl wsciekle na swoje lapy, usilujac nadac im inny ksztalt, a plecy swedzialy go okropnie i oczy palily od suchego powietrza, az mu sie w nich macilo...

Nie, to nie wina jego oczu - to jego lapy powoli zmienialy ksztalt, w sposob od ktorego rozbolaly go oczy...

Stlumil wybuch uniesienia i nie przerywal koncentracji. Powoli szpony wsuwaly sie w palce, palce powoli skracaly sie i pogrubialy. W koncu zamiast swoich lalow ujrzal pare krepkich dloni. Wciaz byly blekitnozielone i pokryte luskami, lecz mogl teraz poslugiwac sie przedmiotami nie niszczac swojej pracy ostrymi pazurami. A wiec szybko teraz, zanim znow

się zmienia... Chwycił kawałki swej skóry oraz rzemyki i zaczął przeciągać długie pasma przez dziurki, które zrobił przedtem. Zesznurował fragmenty na boku i na ramionach, tak że miał teraz coś w rodzaju prymitywnej tuniki, która mogła przeciągnąć Shanie przez głowę. Zawiązał mocno rzemyki, rozmyślając, że nie jest to ładne, ale spełni swoje zadanie.

Jego ręce już znów zmieniały się w łapy. Zanim zdążyły wyrosnąć mu znów pazury, podniósł Shane, której słaba szyjka nie utrzymywała jeszcze głowy, i naciągnął na nią ubranko.

Szpony zaczęły mu rosnąć w chwili, gdy położył ją na słomie obok Hoppy. Dwurozycą traciła nosem nową skórę Shany z zaniepokojeniem, lecz odkrywając znajomy zapach, przestała zwracać na nią uwagę. Gdy tylko łapy wróciły do normalnego wyglądu, Keman przysiadł na zadzie i podziwiał swoje dzieło z usprawiedliwioną dumą.

Prymitywny strój okrywał dziecko od szyi do kolan, ale po bokach był rozcięty do pasa, tak że Hoppy będzie mogła utrzymywać ją w czystości. Shana sama zdawała się doceniać tę nową ochronę. W jej niekształtnych, niemowlęcych myślach była nuta niezadowolenia z powodu klujacej słomy; teraz ten ton całkowicie zniknął i dziecko było zupełnie zadowolone.

I on też.

Keman wszedł do zagrody, rozpostarł skrzydła w słońcu i wyciągnął się w pyle, żeby pogrzać się na słoneczku. Przysłuchiwał się cichutkim psychicznym pomrukiwaniom Shany, które odzwierciedlały jej doznania, mówiły, że mleko smakuje, że odczuwa przyjemne ciepło na skorze i ogólnie czuje się dobrze. "Brzmiały" one bardzo podobnie do myśli jego nowej siostry; były niejasne, lecz mimo to inteligentne. Z każdym dniem uczyła się czegoś nowego, tworzyła nowe skojarzenia, zupełnie jak jego siostrzyczka. Można było to poznać po jej formach myślowych, a jej umysł "brzmiał" zupełnie inaczej niż, na przykład, umysł potomka Hoppy.

Keman musiał się zastanowić, czy przypadkiem jego matka nie pomyliła się. Może matka Shany tak naprawdę była jedną z rodu, tylko utknęła w postaci dwunoga, kiedy znalazła ją jego matka.

Im dłużej myślał o tym, tym logiczniejsze mu się to zdawało. Niesamowicie dobrze wyjaśniało, dlaczego jej myśli ani trochę nie przypominały myśli zwierząt.

Jeśli to prawda, to czemu matka Shany nie powiedziała, czy nie zrobiła czegoś, co wyjaśniłoby mamie, że należy do rodu?

Zamknął oczy i znów opuścił głowę na przedramiona. Strasznie to wszystko skomplikowane. Zmarszczył brwi w skupieniu, rozluźnił zdrewniałą nogę i od niechcienia podrapał się po nadgarstku, usiłując rozwiązać tę zagadkę.

Może utknęła w tej postaci, potem została ranna i zapomniała, że należy do rodu.

A jeśli od dawna była zmieniona, dziecko musiało przemienić się wraz z nią, bo inaczej nie byłoby dla niego miejsca!

Pokiwał głową; wszystko świetnie się zgadzało.

To znaczyło, że mógł zrobić jeszcze coś, kiedy Shana podrośnie, coś, co przywróci jej właściwe dziedzictwo. Kiedy już nauczy się dobrze zmieniać kształty, będzie mógł nauczyć Shana. Ona wtedy będzie mogła wrócić do postaci członka rodu i wszystko będzie dobrze!

Wtedy wszyscy dowiedzą się, jaki Keman był naprawdę mądry, że to wszystko wymyślił. Napuścił się trochę, myślał o zaskoczeniu dorosłych i o tym, że beda wtedy musieli zrozumieć, iż Keman jest równie bystry, co jego matka. Wtedy pozwoli mu rozpocząć szamanskie nauki i przystąpić do tańca gromów przed wszystkimi innymi młodzikami!

Dlatego pewnie Ojciec Smok polecił mu zająć się dzieckiem. Najstarszy szaman domyślił się, ale nikt więcej.

Keman postanowił utrzymać swoje odkrycie w tajemnicy i nie powiedzieć o nim nawet mamie. W końcu powiedziała, że Shana będzie mogła uczyć się razem z Kemanem. Nie zaszkodzi, jeśli pozwoli jej podrosnąć trochę jako dwunogowi. Tym bardziej zaskoczy wszystkich, kiedy nauczy ją przybrać jej właściwą postać.

Usłyszał cichy krzyk, a niemowlęce myśli przybrały ton zadania. Otworzył oczy na chwilę i przyjrzał się dziecku ze swą przybraną matką. Niemowlę odszukało sutek i zaczęło ssać. Uśmiechnął się do niej czule. Po upływie ostatnich kilku tygodni, nie umiał sobie wyobrazić życia bez niej.

Keman machał klejnotem na sznurku nad głową Shany, a dziecko starło się pochwycić błyszczący przedmiot. Doszedł do wniosku, że Shana rozwija się szybciej od jego siostry. Była również bystrzejsza. Myre chciała tylko bez przerwy jeść; Shana chciała się bawić.

Tego był pewien, tak pewien, jak swego imienia. Jego siostra w dniu nazwania otrzymała imię Myrenateli. Oznaczało ono "poszukiwacz mądrości", co jak sądził Keman, nie było szczególnie odpowiednim imieniem, ponieważ jedyną rzeczą, jakiej szukała Myre, był następny posiłek. Między posiłkami spała zwinięta w kłębek w najcieplejszym miejscu swego gniazda, obojętna na wszystko, co działo się wokół niej. Nie była ciekawa, nie była wścibska, była tylko i wyłącznie nienasycona paszcza.

Dzień nazwania miał podobno zaznaczać dzień, w którym smoczątko nabierało cech osobowości, jaka będzie miała po osiągnięciu dorosłości. W chwili obecnej Keman nie zauważył niczego, co by wskazywało, że taka zmiana nastąpiła.

Chyba że jako dorosła będzie równie zachłanna i leniwa, jak jest teraz.

Shana natomiast wykazywała żywe zainteresowanie wszystkim, co działo się wokół.

Zaczynala sie juz czolgac i cale szczescie, ze smocza skora odporna byla na wszystko, z wyjatkiem smoczyc pazurow, bowiem ubranie Shany bylyby juz w strzepach.

Siostra Kemana byla bardzo wymagajacym dzieckiem, a kazda wolna chwila Alara poswiecala swym szamanskim obowiazkom. Nie mogla poswiecic podrzutkowi wiecej niz kilka chwil.

Tak wiec to Keman martwil sie o uczenie dziecka i bardzo mu ulzylo, kiedy zobaczył, jak Hoppy uczy szkraba czystosci, popychajac ja nosem do odpowiedniego miejsca w zagrodzie, kiedy nauczyla sie juz poruszac. Potrafila teraz zupełnie dobrze raczkowac, co wspomagalo wysilki Hoppy.

I to wlasnie Keman, nie Alara, uczyl ja mowic i jesc staly pokarm.

To zaskoczylo nawet jego matke. Shana nie powinna jeszcze mowic, ale mowila. W jej rosnacym zasobie slow znajdowala sie juz spora ich garsc: "Shana", "Keman", "Hop", "zle", "dobrze", i nieuniknione "nie". Ostatnio bardzo upodobala sobie slowo "nie"...

Shana umiala raczkowac z zaskakujaca szybkościa, a nawet stac o wlasnych silach przy kamiennym murku - sadzac po tym, z jaka tesknota spogladala na jego szczyt, Keman byl swiecie przekonany, ze przelezie przezen, kiedy tylko bedzie mogla. Myre natomiast zdawala sie nie miec ochoty na nic wiecej, jak poczlapanie do krawedzi swojej malej jaskini - pokoju dziecinnego, albo do zapasu pogryzionego miesa, jakie zostawila jej Alara. Jesli chciala czegos, co znajdowalo sie poza jej pokojem, siadala na podlodze i wyla tak dlugo, az to dostala. Keman byl pewien, ze pisk smoczecia potrafi strzaskac skaly. Duzo czasu spedzal ze swymi zwierzetami, do tego stopnia, ze czasami nawet spal na zewnatrz. Myre w glebi leza nie odrozniala nocy od dnia i czasami jakby chciala udowodnic, ze nie obchodzi ja, kiedy Keman i Alara chca spac.

Mysli Shany stawaly sie coraz przejrzystsze i bardziej abstrakcyjne. Kemanowi bardzo trudno bylo pamietac o tym, co powiedziala mu matka: "Nie dawaj jej niczego, dopoki nie poprosi o to slowami". Wiedzial bardzo dobrze, ze potrafila slyszec jego mysli i ciezko mu przychodzilo patrzec, jak wykrzywia swa okragla buzie z wysilku, zeby kierowac do niego mysli, a on bawi sie, jakby nie slyszal. Doskonale zdawala sobie sprawe, ze on ja "slyszy", bowiem kiedy budzila sie w srodku nocy z powodu burzy, lub niespodziewanego halasu, zjawial sie przy niej, zanim jeszcze zdazyla otworzyc buzie. Ta nowa "zabawa" strasznie ja frustrowala i bardzo jej nie lubila. kazal jej mowic, czego chce.

Male Hoppy dawno juz zostalo odstawione od piersi, ale Hoppy zdawala sie z latwoscia pogodzic z przedluzonym niemowlectwem sierotki. Wydawalo sie, ze ona rowniez slyszy mysli dziecka, rownie dobrze jak Keman. To bylo doprawdy niezwykle. Chociaz Keman potrafil slyszec mysli zwierzat, jesli bardzo sie staral, nigdy nie udalo mu sie sprawic, by ktoreś uslyszalo jego - ale Shana wyraznie nie miala takiego problemu.

Alara nie uprzedziła go, że coś takiego jest możliwe. Zapytał ją i odpowiedziała, że ogólnie biorąc, rod mógł słabo "słyszec" myśli zwierząt, lecz z wyjątkiem kilku osób, takich jak Ojciec Smok, rod nigdy nie potrafił sklonić ich do "słyszenia" smoków.

Zastanawiał się, czy to tylko Hoppy, czy Shana też umie rozmawiać w ten sposób z wszystkimi zwierzętami. Warto by wypróbować to kiedyś na jednorogach. Oczywiście z drugiej strony ogrodzenia. Gdyby udało jej się naklonić je do posłuszeństwa, mogłoby się to bardzo przydać.

Ze stworzonka o czerwonej twarzy, wyglądającego na nie do końca i mogące rozsypać się, gdyby na nie dmuchnąć, stała się prawdziwie ładnym dzieckiem. Przynajmniej taka była w oczach Kemana, który był równie przyzwyczajony do widzenia swej matki w postaci elfa, jak i smoka. Nie miał wątpliwości, co na jej temat powiedzieliby ci z rodu, którzy zmieniali postać tylko, gdy byli do tego zmuszeni.

Jasna skóra zbrązowiała od stałego przebywania na słońcu, co sprawiało, że jej szmaragdowozielone oczy tym bardziej były uderzające w złotobrazowej twarzy. Keman z zalem musiał przystrygac krótko jej ciemnorude włosy, bowiem spletywały się tak, że nie umiał ich rozczesać, a na dodatek wczepiały się w nie zdzbia słomy. W tej chwili wyglądały raczej nieporządnie. Zeszłego wieczoru próby ich uporządkowania nie powiodły mu się zbyt, a w nocy krzywo na nich spała, tak że z jednej strony sterczały jak przekrzywiony grzebień.

Kiedy przyglądał jej się z bliska, mógł zauważyć, że czubki jej uszu były ostre, a nie zaokrąglone - lecz nie tak szpiczaste zakończone, jak jego własne, czy elfich władców.

Shana skończyła jeść i poklepała Hoppy, siadając znowu na słomie. Nie wydaje się ani trochę zakłopotana różnicami między Hoppy a mną. Hoppy nie jest jej matka, chociaż to ona ją karmi. Wygląda na to, że to ja jestem jedyną namiastką matki, jaka ma Shana...

Nigdy nie myślałem, że matkowanie to tyle roboty!

Shana czekała cierpliwie, podczas gdy wiewiorka ziemna wystawiła sam czubek nosa z rozpadliny kryjącej jej norke. Nigdy by nie uwierzyła, że w tej szparze jest nora ziemnej wiewiorki, gdyby Alara nie przysięgła jej, że to prawda. Rozpadlina była ledwie dość szeroka, by mogła zmieścić w niej dłoń na płask. Alara jednak zapewniała ich, że znajduje się tam na pewno, a skoro przybrana matka tak mówi, Shana wiedziała, że jest to prawda.

Słońce stojące niemal w zenicie prążyło ich wszystkich. Shanie było strasznie gorąco w czubek głowy, a po karku spływały jej struzki potu. Shana wolałaby wyciągnąć wiewiorkę szybciej, ale umysły drobnych gryzoni, takich jak wiewiorki, były zbyt małe i proste, by mieć na nie wpływ, a nawet by je podsłuchiwać. Poza tym, Shana miała wrażenie, że przybrana matka nie byłaby zadowolona z użycia jej mocy do wyciągnięcia wiewiorki na otwartą przestrzeń zanim sam gryzon nie zdobyłby się na to. Mieli nauczyć się czegoś od wiewiorki

- a domyslenie sie, czego maja sie uczyc, bylo rownie wazna czescia lekcji, co sama nauka.

Nieco wieksza czesc wiewiorczego nosa wysunela sie na zewnatrz. Shana siedziala zupełnie nieruchomo, starajac sie nie oddychac. Drgnely wasy i glowa wylonila sie az do oczu. Nie wial nawet najdrobniejszy wiatr mogacy zaniec jej ich zapach, wiec mimo ze byla wyraznie nieufna, nic nie mogloby jej sploszyc.

Wiewiorka rozejrzala sie podejrzliwie wokol. Poruszala nerwowo wasami, przygladajac sie Shanie i Kemanowi, wyraznie nie ufajac im, mimo iz nie poruszali sie.

Glowa wysuwala sie dalej, wlosk po wlosku - a potem, nagle, wiewiorka ziemna znalazla sie nie tylko calkiem na zewnatrz nory, ale w odleglosci kilku dlugosci reki od wejscia do swojego gniazda. Shana mrugnela z zaskoczenia. Nawet nie dostrzegla, kiedy zwierzatko zaczelo sie poruszac. W jednej chwili byla jeszcze w rozpadlinie, cala z wyjatkiem glowy - a w nastepnej zmienila sie w rozmazana smuge, ktora zatrzymala sie pod krzewem sajus, pod wiatr od Keman.

Ledwo ja widziala w cetkowanym, nierownym cieniu krzewu, tak doskonale chronil ja wzor plamek i kresk na jasnobrazowym tle. Wygladala jak brazowy kamyk usiany smugami cienia i slonca. Teraz juz wiem, czemu nie widze ich, dopoki nie wyskocza mi spod nog, pomyslala zastanawiajac sie. Sadzilam, ze przez te paski bedzie ja latwiej zobaczyc.

Teraz rownie oczywiste stalo sie, dlaczego nigdy nie mogla zadnej zlapac. Tylko bardzo przebieglemu lowcy udaloby sie pochwycic wiewiorka tak szybko przemieszczajaca sie z jednego ukrycia do drugiego.

Wiewiorka siedziala zupełnie nieruchomo pod krzakiem, az ich nieprzerwany bezruch przekonal ja, ze nie sa grozni. Dopiero wtedy wysunela sie ostroznie na slonce i zbadala kupke orzechow, jaka zostawili na przynete.

Obwachujac sterte stroszyla krotki, gruby ogonek, zdawszy sobie sprawe, jaki skarb znalazla. Zaczela wypychac sobie nimi policzki tak szybko, jak tylko nadazaly jej male lapki, a wygladala przy tym zupełnie jak Myre z wyjatkowo smakowitym polowem ryb.

Polozyli jej znacznie wiecej orzechow, niz zdolalaby zabrac; torby policzkowe miala juz tak wypchane, ze Shana mogla pod skora odroznic pojedyncze orzechy, a wciaz probowala zmiescic jeszcze jeden.

Nie mogla juz dluzej wytrzymac i rozesmiala sie. Szybciej niz blyskawica wiewiorka przemknela po zoltobrazowej, spalonej sloncem ziemi, mknac do swojej nory.

Przebiegla nawet po nodze Keman, czego na pewno nie zrobilaby, gdyby Shana jej nie wystraszyła. "Wystarczy juz, dzieci" - odezwala sie Alara wyraznie w umysle Shany. Shana wstala jednym skokiem, cieszac sie, ze moze poruszac sie po tak dlugim wymuszonym bezruchu. Szczerze nienawidzila siedzenia nieruchomo, nawet w trakcie lekcji.

-Zalozymy sie, ze bede szybciej od ciebie! - krzyknela do swego przybranego brata i popedzila przez piach. Scigala sie z Kemanem az do leza, probujac wykorzystac swoje male rozmiary i swa szybkoosc, aby wyrownac fakt, ze on mogl przeskakiwac przez przeszkody, ktore ona musiala omijac. Tym razem zwyciezyla, chociaz z niewielka przewaga. Tylko fakt, ze mogla precyzyjnie sie miec dwoma glazami, przez jakie on musial przejsc gora, dal jej przewage niezbedna do pokonania go.

Przybrana matka czekala na nich w cieniu kamiennej altanki. Koronkowe cienie rzucane przez wymyslne snycerki wygladaly bardzo ladnie na blyszczacych luskach Alary. Shana cieszyła sie, ze przybrana matka uczynila altanke wystarczajaco duza, by wszyscy mogli w niej usiasc. Osunela sie na swoja kamienna laweczke. Zabawnie bylo przygladac sie, jak obrabia kamien magia. Shana miala nadzieje, ze sama bedzie potrafila tak ladnie ksztaltowac kamienie, kiedy bedzie wieksza. Za nic nie chcialaby byc jak Ashshlea, ktory umial tylko tworzyc brzydkie, plaskie bloki. Fe! Nic dziwnego, ze mieszka na skalnej polce.

Keman pacnal na zimna podloge obok niej i dyszal. Tracila go stopa, a on klapnal zebami, chcac ja na niby zlapac. Wyszczeryl sie w usmiechu i dopiero wtedy przeniosl uwage na matke.

-A wiec - powiedziala z powaga Alara, wbijajac spojrzenie swych olbrzymich, zlotych oczu w Shana, zeby dziewczynka przestala sie krecic. - Co widzialas?

-Wiewiorka byla bardzo ostrozna - odpowiedziala natychmiast Shana. - Nie wychodzila, dopoki nie byla absolutnie pewna, ze nie grozi jej niebezpieczenstwo.

-Tak - rzekla Alara, kiwajac glowa. - A co zrobila, zeby sie upewnic?

-Najpierw szukala zapachu - odpowiedzial Keman, a koniuszek ogona mu zadrzal. - Jeszcze kiedy byla w norze, sprawdzala, czy nie ma obcych zapachow. Nawet nie rozpoczela rozgladac sie, poki nie byla pewna, ze nikogo nie ma w poblizu.

-Potem wystawila tylko glowe i rozejrzala sie - ciagnela Shana. - Jesli dostrzegla cos nowego, siadala, by przyrzec sie, czy to sie nie porusza. To bylismy my. Poniewaz siedzielismy nieruchomo, musiala wywnioskowac, ze nie ruszymy sie. - Pomyslala przez chwile, obserwujac jasne plamki slonca tworzace negatyw koronkowego wzoru na bialym kamieniu altanki. - Prawdopodobnie lowcy znudziloby sie czekanie i zaryzykowalby skoczenie na nia, kiedy tylko wysunie cala glowe z norki.

-Ale gdybysmy tylko poruszyli sie, zniknelaby w glebi nory w mgnieniu oka - dokonczyl Keman, podnoszac glowe znad przednich lap.

-Czy teraz rozumiecie, dlaczego tak trudno ja zlapac? - spytala Alara. - Nawet chociaz nie jest wybitnie inteligentnym zwierzatkiem?

Keman pokiwal glowa, Shana zacisnela wargi w zamysleniu.

-Nie jest bardzo madra - powiedziala wreszcie - ale jest za to bardzo ostrozna i szybka. To chyba wyrownuje brak rozumu.

-Rzeczywiscie, moze go zastepowac - potwierdzila Alara. - Dorosla wiewiorka ziemna, ktora widzieliscie, jest specjalista od przezycia, bowiem na kazdego doroslego osobnika przypada dziesiec mlodych, ktore nie nauczyly sie dosc ostrozności i padly lupem innych zwierzat. Powinniscie byli oboje przygladac sie tej wlasnie wiewiorce i zobaczyc, w jaki sposob wykorzystuje swoja szybkość i zwinność, by sie bronic, i sprobowac domyslic sie, jak jej zachowanie moze stac sie pulapka. Kemanie, musisz nauczyc sie nasladowac jej zachowanie i unikac pulapek, a ty, Shano, musisz dowiedziec sie, jak ona mysli, aby moc wyczuc jej malutkie mysli i zjednoczyc sie z nia.

Tym razem Keman i Shana oboje pokiwali glowami. Aby nauczyc sie slyszec umysl wiewiorki, bedzie musiala nauczyc sie myslec jak ona. Tego nie wiedziala.

-Skonczylicie juz lekcje nauki jezykow i mieliscie tez juz lekcje z wiewiorka ziemna - powiedziala Alara usmiechajac sie poblazliwie do obojga. - Czy macie jakies pytania do mnie, zanim pojde na obserwacje burz?

Shana za pozno przypomniala sobie o elfiej ksiazce dla dzieci, jaka miala przeczytac.

-Dlaczego nie ma ludzkich ksiazek? - zapytala Shana. - Znam ludzki jezyk rownie dobrze jak elfi, wiec dlaczego nie ma zadnych ksiazek?

W oczach przybranej matki pojawil sie na chwile cien. - Powiadaja, ze elfi wladcy nie chca, by ich ludzcy niewolnicy nauczyli sie czytac i pisac - odrzekla Alara przestajac sie usmiechac. - Uwazali, ze jesli ich niewolnicy beda umieli przekazywac wiedze tylko ustnie, bedzie mniejsze prawdopodobienstwo buntu. Tak wiec nie pisze sie ksiazek w tym jezyku, a powiadaja rowniez, ze i jezyk jest juz martwy. Wiekszosc ludzi mowi mieszanina elfiego i ludzkiego jezyka, a wielu zna tylko czysta elfia mowe.

-Czy istnieja jakies ksiazki napisane przez rod? - dopytywal sie Keman.

-Widzialem plaskorzezby, ale czy mamy prawdziwe ksiazki?

-Tak - powiedziala Alara. - Niewiele i wszystkie napisane recznie przez smoki w innych postaciach. Wiekszosc z nich napisali szamani. Pokaze ci pisemna forme jezyka pozniej, kiedy opanujesz pismo elfow.

Mowa ludzi, elfoludzka, elfia i rodowa. Shana westchnela. Wydawalo jej sie, ze to ogromna ilosc nauki. Jesli chce jednak pojsc w swiat, tak jak przybrana matka, bedzie musiala znac je wszystkie. Keman tez uczyl sie tego wszystkiego, a byl od niej starszy.

Ciekawa byla, jak wyglada czlowiek, albo nawet elfi wladca - czy przypominaja oni czlonkow rodu, czy sa mniejsi, a moze inaczej ubarwieni?

Zaprzestawszy rozmyślań podniosła głowę i dostrzegła, że Alara przygląda jej się uważnie. W przyplywie poczucia winy zaczęła podejrzewać, że Alara wie o tym, że nie przeczytała jeszcze zadanej lekcji. Shana pokiwała głową, chcąc ukryć winę. Lepiej wymyślić jakąś wymówkę, zanim zapyta mnie...

Ale Alara nie zapytała Shany, czy odrobiła lekcje. Powiedziała natomiast: - Na dzisiaj to wszystko. Jutro skupimy się bardziej na nauce języków. A tymczasem, oboje zastanowicie się nad małą ziemną wiewiórką i podzielicie się ze mną tym, czego się dowiecie, dziś wieczorem po kolacji.

Shana uciekła z altanki z wrażeniem odroczenia wyroku.

Alara przyglądała się swej przybranej córce biegnącej po spalonej słońcem ziemi i doznała mieszanych uczuć: dumy i poczucia winy. Dziecko z każdym dniem stawało się coraz ładniejsze - zwinna, szczupła dziewczyna, muskularna i pełna gracji, nadzwyczajne połączenie kruchości i wytrzymałości. Jej gładka skóra nabrała ciepłego brązowego odcienia od stałego przebywania na słońcu, a jaskrawozielone oczy prawie stale iskrzyły się od radości. Po swym elfim ojcu odziedziczyła delikatne kości i twarz o przeslicznych rysach, wysokich kościach policzkowych i zdecydowanym podbródku. Po matce wzięła ciemne, kasztanowe włosy, które w słońcu lśniły jak stara miedź. Jej krótka tunika z latanej smoczej skóry połyskiwała na tle opalonych na złoto konczyn, jakby ubrana była w pancerz z metalowej siatki pokrytej emalią.

Stała się niezbędna Alarze i nawet ci spośród rodu, którzy najbardziej sprzeciwiali się jej obecności, musieli niechętnie przyznać, że była zarówno ładna, jak i użyteczna. Mając tak małe rozmiary i zreczne rece mogła dokonać wielu rzeczy, jakich rod nie mógł, nie zmieniając postaci - a połowa rodu z tego leżała nie chciała zmieniać się w coś tak małego, jak ludzkie dziecko.

Z tego była dumna.

Chociaż byli również tacy, dla których Shana nie chciała niczego robić, Alarze udawało się zwykle przekonać ją, by zrobiła to dla świętego spokoju. Dziewczynka była uparta, ale nie głupia. Dobrze wiedziała, że wśród rodu wciąż są tacy, którzy uważają, że nie ma tu dla niej miejsca - chociaż nie wiedziała dlaczego.

Stąd poczucie winy.

Alara wiedziała, że powinna powiedzieć dziecku... ale nie mogła się na to zdobyć.

Jeśli jednak tego nie zrobi, Shana sama się dowie. Co wtedy Alara jej powie?

Nie miała żadnych wątpliwości, że to dziecko jest równie inteligentne, jak każde należące do rodu. Gdyby Shana urodziła się smokiem, Alara nie wahałaby się oficjalnie uczyć ją na szamanke. Jednakże tak jak sprawy się miały, Alara mogła tylko uczyć swoją wychowanicę

razem z Kemanem i obserwować, dokąd prowadzi Shane jej upodobania. Jedno było pewne - psychiczne zdolności dziecka już były imponujące. Kiedy Shana osiągnie pełną moc poleła po osiągnięciu dojrzałości, Alara zdaje się nie będzie skłonna stawiać wiele na kogoś, kto chciałby się z nią zmierzyć.

Czasami Alara chciałaby moc wymienić Myre na Shane. Teraz jest właśnie jedna z tych chwil, pomyślała wypelzając z altanki w rozjarzone słońce, zgrzytając nieco brzuszными łuskami na kamiennych stopniach. Drugie dziecko przygotowało Alare o taką rozpacz, że już nie wiedziała, co ma z nim zrobić. Myre była leniwa i egoistyczna - nie interesowało ją nic, poza własnym dobrem. Stała się klamała i czuła się zaskoczona, gdy matka przylapywała ją na tym. Co najgorsze, była głupia. Postępowała bez zastanowienia. Myre powinna była urodzić się człowiekiem, byłaby doskonałą nalożnicą.

A Shana powinna była narodzić się wśród rodu.

Zamknawszy krąg rozmyślań, Alara w ten oto sposób wróciła do swego pierwszego smartwienia. Góra nad jej głową zdawała się rzucać cień zarówno na jej myśli, jak i na ciało. Jak ma powiedzieć Shanie, że nie jest smokiem?

Alara zatrzymała się u stóp góry za altanką i upewniła się, czy kryształ do wroźb jest bezpieczny w sakwie na szyi. Przycisnęła skrzydła mocno do ciała, poświęciła chwilę na wydłużenie i wzmocnienie pazurów, po czym rozpoczęła wspinaczkę, wbijając szpony w pierwszą z setek szczelin, z jakich skorzysta w czasie wspinaczki na szczycie.

Setki razy dokonywała tej wspinaczki w przeszłość. Niektórzy szamani woleli wrożyć w glebiach swych legowisk, otoczeni niezliczonymi kryształami, pogrążeni w ciszy jaskin. Alarze dużo lepiej było czytać ścieżki wiatru, gdy znajdowała się najbliżej nieba jak mogła, czując na skórze wiatr i słońce, które ją grzało i napelniało energią.

Wspinała się po skalistym zboczu góry tak łatwo, jak ktoraś z jaszczurek Kemana wdrapujących się po ścianie. Dlaczego nie miałyby? Nauczyła się tak wspinac dzięki obserwowaniu ich. Potrafiła jak jaszczurka wspinac się po niemal pionowych powierzchniach, jeśli tylko były w nich szpary i szczeliny, w które mogła wbijać pazury.

Dzisiaj postanowiła wspinac się, zamiast lecieć, ponieważ dzięki wspinaczce mogła chwilę pomysleć.

Miała masę czasu na to, by powiedzieć dziecku, że nie należy do rodu. Jeśli Alara zaczeka, Shana nie będzie tak zalamana - a nauka medytacji pozwoli jej lepiej znieść złe wieści. Może nawet nabierze filozoficznego dystansu. W końcu jest dzieckiem serca Alary, nawet jeśli nie jej ciała. Alara często to powtarzała dziewczynce. Byłaby taka dobra szamanka...

Tak dobra, jak Keman. On zostanie szamanem, nawet jeśli jego siostra nie. Wyrwała się z zamyslenia na dość długo, by rozejrzeć się i ocenić, jak daleka droga ma jeszcze przed sobą. Znajdowała się mniej więcej w połowie drogi na szczycie i tu musiała zwolnić tempo

wspinaczki, szukając uchwytów dla palców w gładkiej skale. Jakie to dziwne, że dziecko, o które prosiła w medytacjach, nie miało talentu szamanskiego, dziecko, które urodziła w młodości, było utalentowane, ale nie za bardzo, a dziecko, które w ogóle nie należało do rodu, godne było zostać uczennicą samego Ojca Smoka, gdyby tylko urodziło się smoczyca ze smoczej krwi. Alara westchnęła. Coż, powiadają, że żadna nauka nie idzie na marne. Nie ma sensu pozwalać Shanie na uganianie się jak dzikusce, jak jednemu ze zwierzaków Kemana, choćby innym bardzo to odpowiadało. Zmarnowanie tak bystrego umysłu byłoby przestępstwem.

Odłożyła na chwilę wszelkie myśli, bowiem dotarła do szczytu, zahaczyła szponami o ostatnią skalke i wciągnęła się na mały glaz, który stanowił zwieńczenie szczytu. Rozłożyła skrzydła w słońcu, wdzięczna za jego ciepło i energię, bowiem wokół niej huczał zimny wiatr, a nic ją tu nie chroniło przed jego siłą.

Daleko w dole znajdowało się leże, którego największe budowle były teraz wielkości zabawek Shany. Dookoła brunatnozłote skały wznosiły swe wieże w błękitne niebo i zdawały się poruszać wraz z cieniami chmur, które przesuwały się po ich popekanych i chropowatych twarzach.

Alara uwielbiała samotność, która tu znajdowała, a także poczucie całkowitej swobody. Łatwo przychodziło jej zapomnieć o sobie, o kłopotach, wszystkich drobnych zmartwieniach i otworzyć się na szerszy świat.

Może zaczekać z powiadomieniem Shany, pomyślała, wyjmując kryształ z sakiewki i kładąc go tam, gdzie najlepiej będzie odbijał słońce i lśnił w jego promieniach. Kilka więcej dni, czy nawet miesięcy, niczego nie zmieni. Poczekaj, aż Shana będzie starsza i zdoła zrozumieć.

Shana pomyślała przez chwilę o księżce, która czekała na nią w małej pieczarze w legowisku - lecz słońce świeciło tak jasno, a wiatr był taki świeży...

Przeczyta ją później, kiedy będzie za gorąco, by się bawić, uspokoiła swoje nieczyste sumienie. Pobiegła za Kemanem, który ruszył kanionem w stronę szlaku, którym można było opuścić leże.

Keman czekał na nią przy wejściu na ścieżkę prowadzącą do wyschniętego strumienia, w którym często bawili się w chowanego. Gramoląc się przez glaz, podrapała sobie kolano, lecz nie zwróciła na to uwagi, bo spieszyła się, by go dogonić.

Dzisiaj jednak nie był w nastroju do zabawy.

-Chcę ci coś pokazać - powiedział. Ogon mu drgał, jak nieraz, gdy był czymś podniecony lub zdenerwowany. Obejrzał się przez ramię na nią i zamrugł ze zdenerwowania olbrzymimi niebiesko-zielonymi oczami. - Wiesz, że mama zabrała mnie wczoraj, no i pokazała mi, jak zmienić się. Naprawdę zmienić, nie tylko nadać inny kształt łapom, czy coś w tym rodzaju. Jak zmieniać postać i zmieniać rozmiary.

-Tak sadzilam - powiedziala podniecona i zadowolona Shana, podskakujac u jego boku. - Wszyscy w twoim wieku uczą się tego. Dobrze ci idzie? Rovyler nic nie umie. Popisywał się, kiedy cie nie było i wszystko mu się pomieszało. Skonczył jako coś pomiędzy trzyrogiem i podkradaczem, i zupełnie nie mógł wrócić do własnej postaci. Strasznie głupio wyglądał. Myślałam, że się już nigdy nie polapie. Śmiałam się tak, że rozboleły mnie boki.

-Nie wiedział chyba, że go widzisz? - zapytał Keman, a jego głos zdradzał zaniepokojenie. Oczy mu pociemniały. - On mnie nie lubi, a ciebie nienawidzi. Gdyby sadził, że zobaczyłaś jego partactwo, wściekłby się strasznie. Szczególnie, gdyby wiedział, że śmiałaś się z niego.

-Nie widział mnie - zapewniła go Shana pospiesznie, odsuwając pasmo włosów z oczu. - Chowalam się na skalach i postanowiłam przypilnować jego i Myre w czasie twojej nieobecności, na wypadek gdyby chcieli zrobić ci jakiś kawał, albo coś w tym rodzaju.

-Och, świetnie - westchnął Keman. - W każdym razie masz przewagę nad Myre we wszystkim innym. Myślę, że teraz, kiedy już umiem sam dobrze się zmieniać, prawdopodobnie byłbym w stanie nauczyć ciebie, żebyś mogła wrócić do postaci członka rodu. Wtedy Myre nie mogłaby ci już dokuczać. Tu jest dość spokojnie. - Wskazała nosem zacieniony ślepy zaułek i odwrócił się do Shany z malującym się na pysku wyrazem nadziei.

-Naprawdę? - Shana gwałtownie zatrzymała się, a serce zaczęło jej walić z nagłego podniecenia. - Naprawdę sadzisz, że uda ci się mnie nauczyć? Och, na ogień i deszcz! Gdybym umiała zmienić postać, nie musiałabym już chować się też przed innymi! Och, Kemanie!

Zarzuciła mu ręce na szyję, oniemiała z wielkiego podniecenia.

-Załóżę się, że mogłbym nauczyć cie też iskrzenia - powiedział z radosnym zadowoleniem Keman, nastawiając drżące uszy i grzebien na grzbiecie. - Wtedy mogłabys przyłożyć Myre, tak jak jej się należy.

-Mogę się założyć, że umiałabym. - Shana wypuściła przybranego brata i znalazła sobie kamień, żeby przycupnąć na nim. - Dobrze - powiedziała - jestem gotowa. Pokaż mi!

-Coż, pierwsza rzecz jest sama zmiana kształtu. Znajdź to miejsce, które pokazała nam mama, to w samym twoim środku, z którego płynie cała energia. - Zamknął na chwilę mocno oczy i skupił się. - Potem, kiedy już je masz, pomyśl o tym, w co chcesz się zmienić, naciśnij mocno to miejsce, a potem nagle wypuść... właśnie tak...

Na oczach Shany Keman zafalował, a potem rozmył się, jakby oglądała go spod wody. Zrobiło jej się trochę niedobrze od przyglądania mu się, więc zamknęła na chwilę oczy.

Kiedy znowu je otworzyła, na miejscu Kemana znajdował się podkradacz, ale podkradacz ten miał niebieskozieloną skórę porosniętą łuskami, zamiast grubej i szarej.

Znowu zafalował, jakby znalazł się pośrodku chmury rozgrzanego powietrza - i już był odpowiednio szary i skorzasty.

Shana skoczyła na równe nogi i klaskała entuzjastycznie. "Nie mogę dobrze mówić w tej postaci" poskarżył się myślami Keman. - Zdaje się, że będę zmuszony rozmawiać z tobą w ten sposób, dopóki nie zmienisz się. Wiesz, że to trochę męczące, więc nie będę mógł przybrać swojej postaci przez jakiś czas. To trochę tak, jak z wyścigami; nie można natychmiast podskoczyć i stanąć do następnego".

-Nie szkodzi - szybko odpowiedziała Shana. - Nie mam nic przeciwko rozmawianiu z tobą w taki sposób. Więc, co mam zrobić najpierw? Znaleźć ośrodek energii? "Właśnie. Tak jak pokazywała nam obojgu mama, kiedy uczyliśmy się o wymianie myśli. Pamiętasz?" - Tak sadze - powiedziała Shana. - W porządku, znajduje to miejsce, myślę o zwierze, jakim chce być i naciskam.

-Co naciskasz?

Shan i Keman oboje podskoczyli. Keman znowu się rozmyślił i wrócił do swojej postaci, zanim jego młodsza siostra Myrenateli wyszła zza glazu, który zasłaniał ich od strony ścieżki. Nie można było pomylić jej jasnozielonego i żółtego ubarwienia z niczym innym. W całym leżu nie było innego smoczątka o takich kolorach. - Co naciskasz? - znowu spytała rozkapryszonym tonem i z podejrzliwością zmrużyła nieprzyjemnie żółtozielone oczy.

-Nic - szybko odpowiedział Keman, zanim Shana zdążyła wymyślić jakąś odpowiedź dla małej smoczycy. - Nic, Myre. Bawimy się tylko.

Shana skrzywiła się. Na ogień i deszcz, nic gorszego nie można było jej powiedzieć.

Teraz będzie pewna, że coś przed nią skrywamy.

-Jeśli to nic, to jak możecie się w to bawić? - zapytała Myre. - Ja też chcę się bawić! Matka powiedziała, że masz się ze mną bawić! Matka powiedziała, że zupełnie mnie pomija!

Shana była zupełnie przekonana, że jej przybrana matka nigdy nie powiedziała czegoś takiego, ale Keman miał mine winowajcy. Doszła do wniosku, że musi wtrącić się, zanim on nie powie czegoś głupiego i nie ugrzeźna na resztę popołudnia z Myre.

-To taka... specjalna gimnastyka, którą pokazała nam mama - zaimprovizowała Shana, bo jeśli Myre czegoś nie znosiła, to właśnie gimnastyki. - Trzeba tak złożyć dłonie i naciskać...

Złożyła dłonie na wysokości piersi i nacisnęła z całych sił, żeby zademonstrować.

-Dzięki temu twoje ramiona stają się naprawdę silne - powiedział gładko Keman, idąc w ślady Shany. Shana poczuła przyływ gwałtownej wdzięczności dla przybranej matki, która wymyśliła te ćwiczenia i kazała Shanie stosować je. - W ten sposób w czasie

gimnastykowania nie zrobisz sobie krzywdy, bo cwiczysz z sama soba, rozumiesz?

Myre przygladala sie, jak oboje naciskaja i rozluzniają ramiona, az zrobila jej sie ze zdumienia zmarszczka na nosie. Skrzywila sie.

-Powiedziales, ze bawicie sie - poskarzyla sie. - To mi wcale nie wyglada na zabawe. Mysle, ze oboje robicie ze mnie durnia!

-Wiesz, to taki rodzaj zabawy - powiedziala Shana. - Tylko, ze to niezupełnie zabawa. Dlaczego mielibysmy robic z ciebie durnia?

Robisz to doskonale sama, mala kretynko, pomyslala zlosliwie.

Myre potrzasnela glowa i polozyla po sobie grzebien grzbietowy. - Nie rozumiem, o co wam chodzi i uwazam, ze to glupie - parsknela. - Do czego to ma sluzyc? Po co w ogole wam silne ramiona? Zeby cie sprac, jesli bedziesz mi dokuczac, pomyslala Shana, ale mdrze trzymala buzie na klocke. - Zeby... no... moc wspinac sie na skaly z mama - wyjakal Keman, najwyrazniej usilujac wymyslec cos na poczekaniu. Myre nie wygladala na przekonana.

-Ty nie musisz wspinac sie na skaly - mowila zlosliwie Myre. - Mozesz poleciec.

Tylko ten maly szczur musi sie wspinac. Nie wiem zreszta, dlaczego matka chce, zebyscie chodzili na gore, ktorekolwiek z was. To ja mam zostac szamanka. To ja mam wlasciwe imie. Ale nikt nie chce mnie nigdzie zabrac, nigdy nic nie moze zrobic. Matka lubi cie najbardziej, poniewaz jestes starszy. Dostajesz wszystko, co chcesz, bo jestes jej ulubioncem!

-Nieprawda! - odrzekl Keman, wstrzasniety jej niesprawiedliwoscia. - Ja nigdy...

-To dlaczego ty mozesz wejsc na gore, a ja nie?

-Bo jestem dosc duzy... - zaczal Keman, a wtedy Myre przerwala mu okrzykiem zlosliwego triumfu, podskakujac na wszystkich czterech lapach i splaszczajac grzebien na grzbiecie najbardziej, jak tylko mogla.

-Widzisz! Widzisz! Mowilam! Dostajesz wszystko, co chcesz, tylko dlatego, ze jestes starszy! Ty nawet mozesz miec zwierzeta, a ja nie!

-Moglabys miec zwierzatka, gdybys tylko chciala - zaczal nierozwaznie Keman.

Tak jak Shana sie obawiala od samego poczatku, Myre tylko czekala na jego slowo i na nia.

-Doskonale! Chce ja! - Mala smoczyca chwycila Shane za ramie i pociagnela ja wkkladajac

w to zupełnie niepotrzebnie spora doza brutalności, tak że dziewczynka potknęła się i upadła do stóp Myre, siniacząc sobie obie dłonie i rozbijając ponownie otarte kolano.

-Myre! - krzyknął Keman, odpychając smoczątko. - Zostaw ją! Ona nie jest zwierzęciem!

-Właśnie, że jest! - powiedziała złośliwie Myre, łapiąc Shana, która usiłowała wyczołgać się poza zasięg jej pazurów. - Chce ją mieć!

-Właśnie, że nie jest! - odpowiedział Keman z oczami czerwonymi ze złości i znowu odepchnął siostrę.

-Właśnie, że jest! Wszyscy tak mówią, z wyjątkiem takich tepaków, jak ty! - Myre wykreciła piruet, niemal dosiegając szponami Shana, aż Keman przyparł małą smoczyce do skały i nie pozwalał jej się wymknąć, zasłaniając sobą drogę.

-Nie jest! Tylko takie tepaki jak ty tak twierdzą! - warknął Keman, podczas gdy Shana usiłowała podnieść się i uciec przed mającym za chwilę rozgorzeć walką.

-Nazywasz mnie tepakiem, smarkaczu? - Na dźwięk nowego głosu, w którym pobrzmiwało lekceważenie i szyderstwo, wszyscy trzej obrócili głowy w stronę przybysza.

Młody smok był duży, większy niż Keman. Samo to, oraz jego intensywnie czerwone i pomarańczowe ubarwienie powiedziało Shanie, który to był z młodzików - jakby w ogóle mogły zaistnieć jakieś wątpliwości po usłyszeniu tego drwiącego głosu. Był to Rovylern, kompan Myre i największy rozrabiaka w całym leżu.

Rovylern miał tyle samo lat co Keman, ale "bawił" się ze smoczkami w wieku Myre, ponieważ nie miał przyjaciół wśród rówieśników. Nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że dokuczał im tak, aż nie chcieli więcej mieć z nim do czynienia. Od samego początku nie było tak wielu w tej grupie - pięcioro, łącznie z nim samym.

Keman, Asheanala, Lorialeris i Mereolurien. Zainteresowania Kemana trzymały go z dala od Rovy'ego, a pozostała trojka wreszcie złączyła się przeciwko lobuzowi i wykluczyła go ze swoich zabaw, odlatując po prostu gdzieś, gdzie nie mogli ich znaleźć.

Wyzywał się więc na młodszych smoczkach, z wyjątkiem Myre, która pomagała mu wymyślać psikusy, jakie robił innym. Dokuczał również Kemanowi, który był mniejszy i słabszy od niego.

Natomiast z Myre rozumieli się doskonale, jakby urodzili się w tym samym miocie.

Shana uważała, że pasują do siebie idealnie i byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby tylko zostawili ją i jej przybranego brata w spokoju.

Ale to oczywiście było niemożliwe. Tak długo, jak Keman będzie mieszkał w leżu, będzie

obiektem przesładowania - a jak długo Shana będzie "należała" do Kemana, będzie koscia niezgody między nimi.

-Nazywasz mnie tepakiem, kurzy mózdku? - powtórzył lobuz, zbliżając się kołyszącym krokiem i chloszcząc ziemię ogonem. Rozłożył do połowy skrzydła, by wydać się jeszcze większym.

Keman nie cofnął się. - Nie mówiłem nic na twój temat, Rovylerne - powiedział śmiało. - Ci, co podsłuchują, z reguły nie słyszą dobrze, a tego co usłyszą, zazwyczaj nie rozumieją.

Shana skuliła się. Takt nie był najmocniejszą stroną Kemana. Kemanie, to nie było zbyt mądre...

-Chcesz powiedzieć, że jestem i szpiegiem, i tepakiem? - spytał wojowniczo, rozwścieczony Rovy. Położył po sobie uszy, nastroszył grzebien na grzbiecie i wzbijał ogonem straszny kurz.

-Chce powiedzieć, że byś się nie wtracał. Rozmawiałem ze swoją siostrą, a nie z tobą! - Keman wyprostował się, chcąc być jak najwyższy, ale i tak Rovy gorował nad nim o głowę.

-A jeśli nie mam ochoty się nie wtracać? - zapytał zadziornie Rovy, robiąc kilka kroków naprzód. - A jeśli uważam, że Myre ma rację, co? Jeśli chce mieć tego twojego głupiego zwierzęcia, lepiej byłoby, gdybyś go jej dał. - Wyprostował się do pełni swojego wzrostu i wypiał piers. - Zrób to lepiej, głupku, bo inaczej zmuszę cię do tego.

Shana wybrała ten moment na ucieczkę, próbując przeslizgnąć się między Rovyem i Myre, ale nie doceniła długości ramion Rovy'ego. Kiedy przemykała obok, zamachnął się i zdołał zahaczyć szponami o jej tunikę. Mocna smocza skóra tuniki była dość gruba, by ochronić ją przed skaleczeniem, ale i tak złapał ją.

Chwile potem wisiała już w szponach Rovy'ego wysoko w górze, a dran śmiał się i drażnił Kemana, machając nią przed jego nosem, trzymając ją za tunikę. Wrzeszczała i wyrwała się bezskutecznie, serce waliło jej ze strachu i gniewu, żołądek podchodził jej do gardła, a tunika zaciskała się coraz bardziej na jej szyi. Czula jedną łapę tuż nad karkiem, tę, która zahaczyła o wycięcie pod szyją i zaciskała materiał tuniki coraz mocniej. Usiłowała opuścić ręce, żeby uwolnić szyję, ale podciągnięta tunika unieruchomiła ją nad głową.

-Postaw ją na ziemi! - usłyszała, jak krzyknął rozwścieczony Keman. Tunika zacisnęła się jeszcze bardziej, aż zaczęła się dusić i zabrakło jej tchu. Nagle to przestało być już zwykłym dokuczaniem. Przez chwilę mignęła jej twarz Rovy'ego. Wiedział, że brak jej tchu, i że sprawia jej poważny ból - i cieszył się z tego. Nagle ogarnęło ją przerażenie.

Chciała krzyczeć i nie mogła. Zobaczyła iskierki przed oczami, a na obrzeżu pola widzenia pojawiła się szarość. - Kemanie! Dusze się! - zawołała rozpaczliwie.

-Kemanie, pomoz!

Kiedy przed oczami zrobilo jej sie szaro, a ucisk w piersi byl juz nie do zniesienia, mignelo cos niebieskozielonego, a potem nastapil blysk i rozlegl sie wrzask.

Zostala odrzucona konwulsyjnie, tak ze poleciala przez maly kanion. Wcisnela glowe w ramiona, starajac sie skulic jak najbardziej, pewna, ze zlame sobie kark przy ladowaniu. Na szczescie spadla prosto na Myre. W chwili zderzenia mala smoczyca wydalala zaskoczona uf! i padla na ziemie z Shana na grzbiecie, zaplatana w jej skrzydla.

Shana szybko potrzasnela glowa, aby oprzytomniec. Poczula sapanie Myre, ktora znajdowala sie pod nia i ujrzala, ze smoczyca kreci glowa, jakby byla oszolomiona.

Zobaczyla Keman stojacego nad lezacyym Rovylerem, ktory podrygiwal konwulsyjnie - a potem spojrzala w gore na niespodziewany cien. Niebo pociemniadlo od smoczycich skrzydel. Skrzydel doroslych smokow.

Doszla do wniosku, ze najrozsadniej bedzie schowac sie i umknela miedzy skaly, aby skulic sie miedzy dwoma najwiekszymi glazami i obserwowac wszystko z dala.

Nikt z wyjatkiem przybranej matki nie zwrocilby uwagi na to, co ona ma do powiedzenia. Prawde mowiac miala wrazenie, ze jej obecosc przysporzylaby tylko wiekszych klopotow Kemanowi.

Wcisnela glowe w obolale ramiona i czula wstyd, ze opuscila swego przybranego brata. Dorosli otoczyli smoczeta, zblizajac sie do Keman jako glownego winowajcy. Shana nie miala watpliwosci co do tego, co sie wydarzylo - nie mogac mierzyc sie z wiekszym smokiem, Keman posunal sie do "oszustwa". Wytworzyl luk elektryczny miedzy czubkami swych skrzydel i porazil Rovy'ego wyladowaniem o pelnej sile, nie iskra, jakimi byly sie smoczeta.

Gdyby Rovy byl starszy, poradzilby sobie z wstrzasem, ale nie uczyl sie ani w polowie tak dobrze, jak Keman i wyladowanie pozbawilo go przytomnosci.

Dobrze mu tak, pomyslala buntowniczo Shana.

Matka Rovy'ego wyladowala pierwsza, przepelniona checia zemsty; Alara byla jedna z ostatnich.

Shana nie wychodzila z ukrycia i miala nadzieje, ze wszystko dobrze sie skonczy.

Alara milczala, gdy matka Rovylerka, Lori, podniosla swoje ogluszone dziecko i zatroszczyla sie, by wrocilo do przytomnosci. Zastapila jej jednak droge, gdy Lori podniosla lape, zeby uderzyc Keman.

-Przestan, Lori - powiedziała cicho. - Jeśli Kemana trzeba ukarać, obowiązek ten należy do mnie, nie do ciebie. Posłuchajmy, co chłopiec ma do powiedzenia.

-Co ma do powiedzenia? Twój kochany bachor poraził moje dziecko! - wrzasnęła Lori. - On mógł...

-Rovylern jest samochwala i łobuzem, Lori - powiedział jeden z obecnych. Był to Laranel, ojciec Orieany, którego dziecko nie raz padło ofiarą Rovylerna. Laranel ani trochę nie wyglądał na współczującego, więc Alara wiedziała, że przynajmniej jedna osoba jest po jej stronie. Choć było ich prawdopodobnie więcej. Alara po krótkim rozejrzeniu się stwierdziła, że z sześciu obecnych dorosłych troje miało dzieci i z pewnością dobrze znało sprawki Rovylerna.

Laranel odepchnął Lori na bok i schylił się tak, że jego głowa znalazła się na tym samym poziomie, co głowa Kemana. Dalo to Alarze chwilę czasu, żeby podnieść swoje drugie zasapane i biadolące dziecko. - W porządku, synu - powiedział Laranel do Kemana, który wydawał się wystraszony, lecz wciąż niepokorny. - Co tu się dokładnie wydarzyło?

-Myre i ja... - obejrzał się na matkę i spuścił grzebień na grzbiecie - chyba pobiliśmy się. Ja, to znaczy... my pokłóciliśmy się. To właściwie moja wina, bo nie chciałem się z nią bawić. Wtedy Rovy wsadził swój pysk w nie swoje sprawy, no i on... on...

-Co zrobił, synu?

Keman położył całkiem po sobie uszy i grzebień. - On, och... zabrał mi coś, co należało do mnie. Próbowałem mu to zabrać. On chciał to, och... popsuc.

Alara usłyszała wahanie w głosie swego zazwyczaj uczciwego i prostolinijnego syna, zauważyła nieobecność Shany i szybko wyciągnęła wniosek.

Rovy dokuczał Kemanowi z powodu Shany i prawdopodobnie zrobił jej krzywdę.

Ale jeśli Keman wspomni o Shanie, nikt mu wcale nie będzie współczuł...

Powstrzymała oddech na chwilę, mając nadzieję, że Keman jest dość rozsądny, by tego się domyslić.

-To nie powód, by kogoś porazić, Kemanie - rzekł surowo Laranel. - Nawet jeśli ten ktoś jest większy od ciebie. Mogłeś mu wyrządzić poważną krzywdę.

-Och, zostaw chłopca w spokoju! - Wysoki, dzwieczny głos Iridiriny zabrzmiał melodyjnie w małym wyschniętym kanionie. Przesycony był ciężką nutą odrazy. - Jeśli się nie mylę, była to ostatnia kropla. Miał powyżej dziurkę w nosie dokuczania mu i nie miał zamiaru dalej na to pozwalać. Prawda, dziecko?

Keman skinal glowa, wciskajac ja w ramiona.

-Gdybys spytala mnie o zdanie, Lori... - powiedziala Iridirina.

Iri kontynuowala, radosnie lekcewazac ja. - Wydaje mi sie, ze twoj bachor od dawna sie tego dopraszal. Mam nadzieje, ze dostal nauczke, chociaz watpie, czy ja zrozumial.

Mimo to, Kemanie, postapiles bardzo zle, wiesz o tym, prawda? Nie wolno porazic nikogo, z wyjatkiem wroga. Nigdy nie wolno porazic kogos z rodu.

-Tak jest - westchnal ponuro Keman.

-Alaro, sadze, ze powinnas ukarac swojego syna - powiedzial Laranel. - Naprawde powinnas.

Alara westchnela. To niesprawiedliwe, ale jesli ma zapewnic spokoj...

-Kemanie, pojdiesz natychmiast do domu, do lozka - powiedziala. - Zadnej zabawy i zadnej kolacji. Nie opowiem ci dzis wieczorem zadnej historii, a jutro bedziesz mial dodatkowa lekcje. I bedziesz musial upolowac za Myre jedzenie dla niej.

-Przeniosla spojrzenie ze swego marnotrawnego dziecka na pozostalych. - Czy wszyscy sa zadowoleni?

-Nie! - warknela Lori, ale reszta pokiwała glowami.

-Lori, jestes przeglosowana - powiedzial zdecydowanym tonem Laranel.

-A gdyby ten chlopiec byl moim synem, tez nie dostalby dzis kolacji.

Myre kulila sie u boku matki, szlochajac i biadolac, ale nie wtracajac sie nawet slowem. - Chodz, Kemanie - powiedziala Alara, popychajac przed soba Myre i dajac czubkiem skrzydla znak, zeby Keman poszedl za nimi.

-Ale mammo... - Zadnego ale - odrzekla. - Nie ma zadnego wytlumaczenia na porazenie kogos z rodu.

Spusciwszy glowe i powlozczac ogonem poszedl za jej przewodnictwem pieszo do leza. "Przykro mi, dziecko - powiedziala w duchu z westchnieniem. - Wiem, ze to niesprawiedliwe. Mimo tego, wciaz jest to faktem, powinienes byc wdzieczny, ze dostales nauczke w taki sposob. Moglo byc gorzej".

Shana przygladala sie odlotowi smokow z uczuciem olbrzymiej ulgi. Wygladalo na to, ze Keman nie zostanie dotkliwie ukarany - a moglo byc duzo, duzo gorzej, gdyby inni dowiedzieli sie, o co naprawde toczyła sie bojka.

Oparla sie plecami o glaz i osunela po nim, kladac glowe na zlozonych ramionach, a ramiona na kolanach. Musze sie nauczyc, jak sie bronic, postanowila. Ja...

-Hej, ty! - warknal mlody, pelen zlosci glos. Shana odwrocila sie szybko i ujrzala, ze Myre wrocila. Pospiesznie wdrapala sie na sterte glazow, aby Myre nie mogla jej dosiegnac pazurami.

-Czego chcesz? - zapytala gniewnie, czujac sie nieco bezpieczniej na nowym posterunku. - Wpakowalas juz Kemana w klopoty. Malo ci? sie o czymś, szcurze - powiedziala zlosliwie. - Nie wiem, co ci Keman powiedzial, ale wiesz, dlaczego nic nie powiedzial o tobie innym? Dlatego, ze jestes tylko zwierzeciem, ty szcurze. Zwyklym, brudnym, niedorozwinietym zwierzakiem, nie wartym tego, by o nie sie bic. Nie jestes warta nawet jednej luski kogos z rodu. Keman o tym wie. Wie, ze wpakowalby sie w jeszcze wieksze klopoty, gdyby wiadomo bylo, ze pobili sie o ciebie.

-To nieprawda! - krzyknela wsciekla Shana.

Ale Myre tylko sie rozesmiala, zadowolona, ze zadala jej dotkliwy cios. Odwrocila sie i ciezko odleciala.

Rozdzial VII Myre mnie nienawidzi. Shana zadygotala, wspominajac wsciekly, czerwony blask w glebi oczu Myre. Myre naprawde nienawidzila jej. Mala smoczyca byla tak glupia, ze Shana nie przejela sie tym, lecz Myre miala do pomocy Rovy'ego, a to juz budzilo niepokoj. Zeslizgnela sie z glazu i zwinela w klebek w malym, cienistym schronieniu pomiedzy tym kamieniem a poszarpanym fragmentem skaly, ktory byl jeszcze wiekszy.

Myre byla zbyt glupia, zeby sama cos wymyslila, nawet klamstwo, wiec te historie o zwierzeciu musiala uslyszec od Rovy'ego. Shana potarla oczy i posiniaczony kark, nie posiadajac sie ze zlosci. W tej chwili zrobilaby wszystko, zeby tylko odgryzc sie im obojgu. Rovy tez jej nienawidzil, ale glownie dlatego, ze przez Shane mogl dokuczyc Kemanowi. Gotow jest znienawidzic wszystko, co Keman lubi.

Za tym jednak krylo sie cos wiecej. Wyraz twarzy Rovy'ego zdradzil jej, ze delectowal sie kazda chwila bolu, jaki odczuwala. On naprawde chcial mi wyrzadzic powazna krzywde. A teraz, kiedy Keman skrzywdzil go, ratujac mnie, bedzie chcial sie odegrac na mnie. Nie moze wiecznie chowac sie przed nim. Musi znalezc sposob, aby sie bronic!

Zastanawiala sie nad tym problemem i postanowila, ze najlepszym sposobem samoobrony bedzie nauczyc sie, jak wrocic do postaci czlonka rodu. Kiedy przybierze juz postac smoka, znajdzie sie pod opieka wszystkich doroslych w legowisku. Nie troszczyli sie o osierocone zwierzatko, ale osierocony czlonek rodu mial prawo do opieki kazdego doroslego z rodu.

A jesli nie ochronia Shany przed Rovy'm, kiedy juz bedzie wiadomo, ze nalezy do rodu, naraza sie wszystkim innym legowiskom. To poskutkuje.

Odepchnela sie od skaly i wstala, otrzepujac czerwony pyl i piach z nog i rak.

Pozostajac wciaz w ukryciu miedzy kamieniami, wyjrzala ostroznie zza glazu, zeby sie upewnic, czy Myre gdzies nie czai sie w okolicy. Dopiero wtedy wyszla na otwarta przestrzen, czujac, ze ze zdenerwowania wlosy jej staja deba na karku.

W kanionie, ani nawet przy wejsciu do niego nie bylo sladu po malej smoczycy, Shana nie chciala ryzykowac. Zawrocila i pobiegla troche w glab wyschnietego koryta, az dotarla do slepego zakonczenia. Osypisko zwiru na stromym zboczcu wzgorza na koncu kanionu tworzylo sliskie, ale nadajace sie do wspinaczki podejscie do waskiej polki skalnej biegnacej wokol sciany urwiska.

Nie byla to latwa wspinaczka. Na kazde dwa kroki, jakie zrobila, osuwala sie o jeden po luznym zwirze wymykajacym sie jej spod stop. Zanim Shana dotarla do samej polki, byla juz zasapana. Zgrzana, spocona, brudna, z otartymi oboma lokciami i znow rozkrwawionym kolanem siadla na wystepie skalnym, aby chwile odetchnac przed dalsza droga.

Spoglądając na kanion oddychała głęboko i powoli, tak jak uczyła ją przybrana matka. Tam, gdzie Rovy pobili się z Kemanem, grunt był wciąż zryty. Ponieważ nie zanosilo się na deszcz, pewno zostanie tak aż do jesieni. Nie mogła zrozumieć, co kierowało Rovym. Dlaczego chciał robić krzywdę ludziom? Dlaczego zawsze musiał być największy i dostawać wszystko najlepsze? Już był silniejszy od wszystkich pozostałych w swojej grupie. Jego matka dawała mu wszystko, czego sobie zazyczył. Dlaczego więc musiał pastwić się nad pozostałymi dziećmi?

Wytarła czoło nadgarstkiem i spojrzała na smugę błota na rece. Zlizwała pot z górnej wargi. Miał słony smak i były w nim ziarenka piachu. Pomyslała z zalem, że gdyby była duża i silna, nikt nie odwazyłby się jej skrzywdzić. Może nawet chcieliby się z nią przyjaźnić. Pozwoliliby jej bawić się z nimi, a ona namówiłaby ich, żeby pozwolili też Kemanowi. Rovy mogłoby mieć wszystko, gdyby tylko nie próbował zabierać im tego.

Odsapnęła wreszcie, wstała zatem i próbowała nie zwracać uwagi na to, że szczypia ją lokcie i boli kolano. Zmrużyła oczy, spoglądając w czyste, niebieskie niebo i usiłowała ustalić porę dnia. Będąc pod ścianą urwiska, nie mogła dostrzec słońca, ale sadząc po cieniach, było już późne popołudnie. Powinna mieć jeszcze masę czasu na powrót do ulubionej kryjówki i opanowanie umiejętności przemiany jeszcze przed kolacją. A nawet jeśli nie zdąży, coż, w swojej sypialni schowała kilka korzonków na wypadek, gdyby przybrana matka zapomniała coś dla niej zostawić, albo uważała, że powinna ponieść karę razem z Kemanem. Nie po raz pierwszy wysyłano ją z Kemanem spać bez kolacji i najprawdopodobniej nie po raz ostatni.

Biedny Keman. Nawet nie ma koci do obgryzienia. Westchnęła, żalując, że nie jest większa. W żaden sposób nie zdolalaby przynieść czegoś wystarczająco dużego, żeby Keman się najadł, nawet gdyby wiedziała, jak polować.

Potem rozchmurzyła się i ruszyła wzdłuż polki skalnej. Kiedy już nauczy się zmieniać, będzie mogła pójść na polowanie i będzie wtedy dość duża, żeby przynieść zdobycz Kemanowi. Coś takiego, jak dwurog, albo może stepowy biegacz. Nie byłyby zbyt duże do dzwigania, gdyby była wielkości Kemana. Gdyby udało jej się wślizgnąć ze zdobyczą tylnym wejściem, przybrana matka nigdy by się nie dowiedziała, jak ona to zrobiła. Musi po prostu nauczyć się zmieniania kształtu, to wszystko. Jeśli Rovy to potrafi, nie może być takie trudne.

Shana nigdy nie zaprowadziła Kemana do swojej ulubionej kryjówki. Znalazła ją, kiedy była zaledwie tak duża, że dopiero zaczęła samodzielnie wspinać się po wzgórzach, i dosłownie wpadła w nią. Nie chodziło o to, że nie chciała podzielić się odkryciem, ale problem z pokazaniem jej przybranemu bratu polegał na tym, że Keman prawdopodobnie nie zmieściłby się w wąskim przejściu. Następnym kłopotem był fakt, że gdyby Keman zmieścił się, byłoby im w środku razem bardzo ciasno.

Był to jeden ze ślepych zaułków, leżał w polowie zbocza wzgórza. Z góry wyglądał jak bardzo wąski komin, ale rozpadlina poszerzała się tuż za wejściem i była dość obszerna, by

Shana mogła poruszać się swobodnie na dole. Ponieważ zwrócona była w stronę zachodu, przez większość dnia zaglądało do niej słońce. Gromadziło się tam dość deszczu i rosy, by dno porastała spreżysta trawa i nawet zamieszkiwały tam drobne zwierzęta. Na ścianach zrobiły sobie gniazda jaskółki, a Shanie udało się dostrzec przynajmniej jedną rodzinę ziemnych wiewiórek, jedną krowkę i mnóstwo jaszczurek.

To był jej sekret i jedyne miejsce, gdzie czuła się bezpieczna, nawet od smoczatek. Za nic nie zgodziłyby tu wejść, nawet gdyby wiedziały, gdzie to jest. Było to idealne miejsce do schowania się wówczas, gdy Keman był zajęty, a przybrana matka gdzieś daleko i nie miał jej kto ochronić.

Zaczęła tam gromadzić swój skarb klejnotów: garść drogocennych kamieni, które dostała od Kemana, wzbogacona o to, co znalazła w opuszczonych leżach i pojedynczy wypolerowany woda agat, który znalazła w korycie strumienia. Przechowywała je w woreczku ze smoczej skóry w glebi rozpadliny, z dala od niewielkiego zresztą wpływu żywiołów docierających na dno.

Miała wielkie nadzieje związane z tym małym skarbem.

Wspinając się do rozpadliny, policzyła w myślach klejnoty. Słońce prążyło ją w plecy, a cień wspinał się obok niej jak wydłużony bliźniak. Niektórzy czasem wykorzystywali klejnoty w jakiś sposób do wspomagania przemiany. Keman mówił, że drogie kamienie pomagają skupić moc.

Przełazła przez głaz wrosnięty w zbocze, by dotrzeć do wejścia do kryjówki. Tak właśnie ją odkryła - spadła z glazu i potoczyła się do rozpadliny. Dojrawszy słońce padające na coś zielonego w glebi, zeszła na dół, ogarnięta ciekawością. Szpara w gorskim zboczu była niemal niedostrzegalna z dołu, bowiem dzięki przypadkowi wejście do rozpadliny przypominało zwykły cień rzucony na ścianę przez wystający fragment zbocza.

Rozpadlina była jednak zupełnie prawdziwa i dość głęboka. Shana zsunęła się w nią bokiem, ufając, iż głaz zasłoni jej ruchy przed oczami wścibskich na dole.

Kiedy znalazła się już kilka kroków poniżej wejścia, szpara poszerzyła się znacznie.

Kilka następnych kroków i mogła już rozłożyć szeroko ramiona, ledwo dotykając ścian czubkami palców.

Przez szparę u góry za jej plecami syczało światło, tworząc wąską smugę na skale i padając na dywan z trawy na dnie. W powietrzu zawsze unosił się kurz, a słońce wpadało szeroką strugą przypominającą jasny miód, pełną tańczących drobinek i świecąca przez każde źdźbło trawy tak silnie, że na tle ciemnych ścian jarzyły się niczym małe włocznice ze szmaragdu. Shana usadowiła się na miękkiej trawie w pełnym słońcu i wyjęła woreczek z drogimi kamieniami z zagłębienia, jakie wygrzebała na tyłach rozpadliny. Woreczek zrobiony był ze skóry Kemana i miała nadzieję, że przyniesie jej szczęście.

Jego luski same migotały w słońcu jak małe klejnoty, szmaragdy i szafiry, a każdy przyproszony był złotem. Jej tunika była zbyt zakurzona, by błyszczeć, lecz kiedy była czysta, większe luski mniej przypominały drogocenne kamienie, a bardziej emaliowane płytki metalowe, bardzo podobne do niektórych dzieł elfów, jakie widziała Shana.

Wysypała klejnoty na dłoń, skupiła na nich wzrok i skoncentrowała się na tym, co powiedział jej Keman. Najpierw znajdzie osrodek, miejsce z którego płynie wszelka moc.

Przybrana matka mówiła, że jest to również miejsce równowagi, a to wiem, gdzie jest...

Wpatrywała się w plamę światła i koloru na dłoni i usiłowała odnaleźć ten trudno uchwytny punkt równowagi. Klejnoty jarzyły się światłem, jakby każdy ożył, aż wreszcie zamknęła oczy i poszukała tego samego blasku w swoim wnętrzu. Wydaje mi się... że to tutaj...

Tuż nad jej pepkiem znajdowało się miejsce, które wydawało się pulsować żywym blaskiem, jaki zdawała się widzieć w klejnotach. Pomyślała bardzo mocno o tym miejscu, "naciskając", jak powiedział jej Keman i została nagrodzona wyraźnym wzmocnieniem blasku. Coraz trudniej przychodziło myśleć, albo raczej przekładać myśli na słowa. Czy to dobrze, czy źle?

Nacisnęła mocniej. Teraz czuła moc w innym miejscu, przenikająca ją drobnymi dreszczami. Wydawało się, że pochodzi z kupki rozgrzanych słońcem klejnotów w jej dłoni. Pełna nadziei zachęcała ten przepływ i rzeczywiście, nasilił się.

Zrezygnowała z prób przekładania myśli na słowa, bowiem przypominało to próbe pływania w błocie. Skupiła się natomiast na obrazach i uczuciach. Zaczęła teraz wyobrażać siebie taką, jaka powinna być: wysoka, silna, młoda smoczyca, tak wysoka, jak Rovyler, lecz znacznie zwinniejsza, pokryta fioletowymi i błękitnymi luskami niczym ametysty i lapis lazuli, które trzymała w reku.

Ujrzała siebie oczami duszy, widziała wznoszące się ku niebu skrzydła i ogon niczym chłostający bicz. Zgromadziła wszystkie szczegóły, aż do najmniejszej luski i przez cały czas nie rozluźniała nacisku na osrodek mocy, aż do chwili, gdy poczuła, że za chwilę eksploduje z napięcia. Wtedy wypuściła je całe z takim wybuchem mocy, że przez chwilę jej wewnętrzne oczy były oslepione. Otworzyła prawdziwe oczy, w pełni przekonana, że zobaczy klejnoty w zagłębieniu łapy o fioletowych luskach.

Ujrzała je spoczywające wciąż w bardzo ludzkiej dłoni.

Zachodzące słońce zalewało rozpadlinę szkarłatnym światłem, jakby Shana siedziała w sercu wielkiego rubinu. Słońce wpadało zza niej i oświetlało cały tył groty, tak że jej czarny cień wyglądał jak wytrawiony w jarzających się czerwienią skalach. Był to piękny widok, lecz Shana nie miała teraz serca do piękna. Czuła się wyczerpana, ręce jej drżały z wysiłku, a jedynym pragnieniem było tylko położyć się i odpocząć. Po czole ściekał jej pot, perlil się na górnej wardze, spływał też po karku.

Od godzin probowala zmienic sie z czlowieka w smoka, nie osiagajac lepszych rezultatow, niz za pierwszym razem. Posiadala moc, czula ja za kazdym razem, gdy rozpoczynala. Robila wszystko jak trzeba.

A jednak nic sie nie dzialo po uwolnieniu mocy.

Spojrzala na dlon, w ktorej sciskala swoje klejnoty, na zbielale kostki drzacej reki i nagle naszlo ja przeswiadczenie, ze chocby nie wiem jak sie starala, nigdy nie bedzie mogla dokonac przemiany. To nie byla kwestia zbyt mlodego wieku, ani braku mocy.

Miala moc i umiala rozmawiac myslami duzo wczesniej niz inni w jej wieku. Miala wszystko, co bylo jej potrzebne - albo raczej, prawie wszystko.

Bowiem Myre i pozostali mieli racje. Byla zwierzeciem.

Wszystkie obelgi, jakimi obrzucali ja Myre i Rovy przypomnialy jej sie z wyrazistoscia nienawisci, jaka je zrodzila.

Myre: - Alara wziala cie jako zwierzatko dla Kemanu. Matka znalazla twoja umierajaca dwunoga matke i zrobilo jej sie zal ciebie.

Rovy: - Alara przynosila Kemanowi mnostwo zwierzakow. Jedyna roznica miedzy toba a nimi jest to, ze ty nie chcesz przyznac sie, ze jestes jego pupilka!

Myre: - Bestia. Dwunog! Zwierze! Jestes niczym wiecej, jak szczurem, wielkim, ogromnym szczurem!

Szczur! Szczur! Szczur!

Obelgi rozbrzmiewaly w jej glowie, az Shana wyrzucila klejnoty z krzykiem, ciskajac nimi o kamienie rozpadliny. Zastukaly o skale jak kropelki deszczu. Prawie ich nie slyszala.

Za bardzo byla pograzona w swych posepnych i gorzkich rozmyslaniach o faktach, ktore dopiero teraz zaczynala skladac.

Przybrana matka nigdy nie chciala jej opowiedziec o jej prawdziwej matce. Alara powiedziala tylko, ze ja znala i ze matka Shany umarla na pustyni. Zmieniala temat natychmiast, gdy Shana zaczynala pytac o jej wyglad, albo o to, jaka byla osoba. Alara rowniez nie chciala wtedy na nia patrzec. Przybrana matka zachowywala sie, jakby miala cos do ukrycia.

Myre natomiast znala mnostwo szczegolow - szczegolow, ktore do tej pory Shana lekcewazyla jako klamstwa.

Reszta rodu tez traktuje mnie, jakbym byla zwierzeciem. Keman powiedzial, ze to dlatego,

ze Shana utkwila w postaci dwunoga, lecz jesli to jej prawdziwa postac...

...w takim razie jestem dla nich zwierzeciem.

Przypomniala sobie niezliczone razy, gdy dorosli rozmawiali z Kemanem o niej, jakby jej nie bylo tam, albo nie rozumiala ich, a kiedy juz odzywali sie do niej, czynili to tym samym tonem glosu, jakim Keman przemawial do swoich wulfow.

Alara nigdy nie traktowala jej w taki sposob - ani tez Ojciec Smok. Stanowili jednakze jedyne wyjatki sposrod rodu. Shana zawsze sadzila, ze to sie zmieni, kiedy bedzie potrafila sie zmienic. W koncu latwo myslec o niej jako o zwierzeciu, dopoki nosi postac zwierzecia.

Przybrana matka uczyla ja tak samo, jak Kemana - lecz kiedy mowila o rodzice, nigdy nie powiedziala, ze Shana nalezy do niego. Do Kemana nie mowila w taki sposob...

Tylko do mnie...

A wiec nie jest to tylko zlosliwa plotka. Przybrana matka wiedziala o tym. Dlatego uczyla Shane w nieco inny sposob niz Kemana.

Nie jestem jedna z rodu. Nigdy nie bede. Jestem brzydkim dwunogiem. Czyims obiadem, gdyby ten ktos nie byl zbyt glodny... Lzy stanely jej w oczach, kiedy zacisnela dlonie w piesci, wbijajac paznokcie w wnetrze dloni. Pociekly po jej policzkach, wypalajac sobie droge przez mieszanine kurzu i potu. Tymczasem zagasly ostatnie promienie slonca i swiatlo opuscilo mala grote Shany zostawiajac po sobie tylko blekitny blask zmierzchu.

Czula bolesny ucisk w piersi, sciskalo ja w gardle, a po pierwszych lzach poplynely w milczeniu nastepne. Czula sie oszukana w jakis sposob, albo zdradzona.

Dlaczego mi nie powiedzieli? Dlaczego mi nie powiedzieli? Jesli Myre wiedziala, czym jestem, Keman tez wiedzial, musial wiedziec - dlaczego pozwolil mi myslec, ze naleze do rodu? Dlaczego przybrana matka mi nie powiedziala? Znalazla mnie przeciez! Znalazla prawde od poczatku!

Plakala w milczeniu, a szloch wstrzasal jej drobnym cialem. Objela sie ramionami, daremnie probujac nie dopuscic do tego, by bol ogarnal ja cala. Ramionami, ktore nigdy nie porosna luskami, ani nie beda zakonczone dlugimi, strasznymi pazurami! Nigdy nie bedzie latala w tancu gromow, nigdy nie bedzie szamanka jak przybrana matka.

Nigdy.

Dlaczego mi nie powiedzieli?

Pytanie to spowodowalo dziwna zmiane. Uraza zmienila sie w gniew, a lzy, choc wciaz plynely, byly gorace i mniej czeste.

Nie powiedzieli jej, ponieważ nie obchodzila ich. Byli tacy sami, jak reszta! Nie obchodzila ich, ponieważ byla tylko zwierzeciem i nie byla wazna.

Znow zaczęło w niej narastać to poczucie napięcia, jakie usiłowała stworzyć w nadaremnych próbach zmiany kształtu. Przycisnęła ramiona do piersi i kolysała się w bezsilnej wściekłości. To wszystko ich wina. To ich wina! Nie obchodzi ich i to ich wina!

Pokaze im!

Poczuła, że coś w niej peкло. Zaczęła walić pięściami w podłozę i wyc z wściekłości.

Nagle wszystkie kamienie w zasięgu ręki wzniosły się w powietrze i uderzyły w ściany rozpadliny, niektóre z taką siłą, że rozpadły się na dwie, lub więcej części.

Shana była tak rozwścieczona w tym momencie, że nawet jej to nie zaskoczyło.

Chwyciła po prostu większy kamień leżący w pobliżu i cisnęła go w ślad za pozostałymi - rzuciła nim do celu, który dostrzegła wysoko na ścianie. Kamień wznosił się wysoko w powietrze, uderzył w występ skalny przypominający nieco smoczą głowę i na oczach Shany pocisk wraz z celem znikły w lawinie drobiny skały i piachu.

Wiewiorka ziemna zamieszkująca w grotcie wyskoczyła ze swej nory. Podskakiwała w złości z podniesionym sztywno ogonem i skrzeczała na nią gniewnie.

Wywołało to równie wielką złość w dziewczynie.

Shana nawet nie pomyślała. Kamień leżący obok jej prawej ręki po prostu wznosił się i poszybował przez rozpadlinę.

Nie rzuciła celniej kamieniami niż inne dzieci, jeśli ciskała je ręką. Celność tej psychicznej broni była zabożcza i doskonała.

Kamień poleciał z taką szybkością, że aż zaswiszczało, trafił małego gryzonia w głowę i zabił go na miejscu.

Ciałko sturlało się z kopca i spoczęło na trawie, jak bryłka błota w kolorze wiewiorczego futra w błękitnym świetle zmierzchu.

Słowa przybranej matki, nie prośzone, rozległy się w jej myślach. "Przyjrzyj się wiewiorkę ziemnej, abys mogła zjednoczyć się z nią..." W rozpadlinie zapanowała straszliwa cisza. Shana wróciła do siebie, opamiętawszy się po tym, co uczyniła. Często wesoło rozmawiała z Kemanem o zabijaniu zwierzyny, ale w rzeczywistości nigdy nie zabiła, ani nawet nie skrzywdziła żywego stworzenia.

Az do tej chwili.

Nigdy przedtem tak bardzo nie pragnęła odwrócić tego, co uczyniła. Nigdy przedtem nie było to bardziej niemożliwe.

Nie było sensu oglądać wiewiorki. Po sposobie w jaki leżała, widac było, że złamała jej kark i kręgosłup. Mimo tego podczołgała się na kolanach i podniosła małe ciałko, tuląc je w dłoni. Ciało było jeszcze ciepłe, futerko miękkie, małe łapki wisiały bezwładnie.

-Tak mi przykro - szepnęła ochryple, znowu czując lzy w oczach. - Tak mi przykro. Nie chciałam, naprawdę, nie chciałam. Tak mi strasznie przykro...

Wiewiorka szybko stygła jej w dłoni i sztywniała. Nie ożyła magicznie. - Miałam się o tobie uczyć. - Szlochając, płacząc już na serio. - Miałam się uczyć o tobie, a zabiłam cie! Ja...

Położyła ciałko w zagłębieniu, w którym przechowywała swoje skarby i nakryła je kamieniami. Chciała w tym celu użyć swej nowo odkrytej mocy - wydawało się to najodpowiedniejsze - lecz moc wydawała się niknąć wraz z gniewem. Wybudowała więc kopiec rekoma, płacząc przy tym z głębi serca.

Kiedy wreszcie udało jej się przestać płakać, było już zupełnie ciemno i musiała schodzić ze wzgórza przy świetle księżyca. Schodziła powoli, ostrożnie, uważnie stawiając stopy i dłonie i badając grunt, zanim powierzyła mu ciężar swego ciała.

Miała mnóstwo czasu do zastanowienia się.

Poszukała oparcia dla palców stóp i spojrzała na księżyc i gwiazdy, chcąc ocenić, jak daleko zaszła. Nie chciała jej zabić. Ale zrobiłam to, zrobiłam to używając swej mocy.

Na pewno dlatego utraciłam ją. Ponieważ nią zabiłam.

Nie wiedziała, czy ma znowu wybuchnąć płaczem, czy - o dziwo - poczuć ulgę.

Moc zawróciła jej w głowie, kiedy jej używała, lecz teraz, gdy pomyślała o tym, przeraziła ją.

Ostrożnie zsunęła się na wąską polkę, przyciskając mocno całe ciało do chropowatej skały. Jeśli wciąż ma tę moc, posiada coś, czego nie ma nikt inny. Jednak przez to nie stanie się jedną z rodu. Pozostali prawdopodobnie pomyślał teraz, że jest niebezpiecznym zwierzęciem.

Gdybym ją miała, mogłabym nie dopuścić, żeby Myre i Rovy skrzywdzili mnie.

Użyła jednak swej mocy do zabicia. A jeśli zabije ich? Nie chciała ich pozbawić życia, chciała tylko, żeby zostawili ją w spokoju!

Dotarła wreszcie do stosunkowo równego gruntu, gdzie mogła już normalnie iść.

Wlokła się do domu ze spuszczonej głową, jednak nie aż tak zamysłona, by nie patrzeć pod nogi. Każdy krok w dół wzgórza oznaczał te same myśli, krążące po jej głowie: litania, która wkrótce stała się częścią wspinaczki. Kiedy zeszła już ze wzgórza i stanęła na płaskim gruncie, poczuła, że chwieje się z wyczerpania i jest jej okropnie niedobrze.

Była spocona i jednocześnie zziębnięta, miała wrażenie, że nie utrzyma się dłużej na nogach. Musiała oprzeć się o wysoką skalną kolumnę, żeby dojść do siebie.

Skala była jeszcze ciepła od popołudniowego słońca, więc przytuliła się do niej z ulgą. Nagle poczuła się tak zmęczona, że nie była w stanie nawet myśleć, a gdyby nie było to tak niebezpieczne, osunęłaby się na ziemię u stóp kamiennego słupa i usnęła.

W nocy jednak grasowały wulfy i gorskie koty, a jedne i drugie polowały stadami.

Poza tym były jeszcze weże i skorpiony, które może zwabić ciepło jej ciała i które mogą ukąszyć ją, gdy poruszy się. Będzie musiała jakos trafić do domu.

Kiedy sądziła, że już może iść dalej, podniosła głowę i natychmiast ogarnęła ją fala zawrotów głowy, po której poczuła się słaba i roztrzęsiona. Tuliła się do skały i bardzo chciała, żeby cały dzisiejszy dzień stał się faktem niebyłym.

Znow zakreśliło jej się w głowie. Zapomniała o poczuciu winy i o mocy. Chciała teraz tylko znaleźć się w łóżku, w bezpiecznym miejscu.

Odsunęła się od skały i ruszyła chwiejnym krokiem, prawie na oślep, po nierównym gruncie zalanym światłem księżyca. Potknęła się nie raz i przewróciła, kalecząc jeszcze bardziej swoje biedne, rozbite kolano. Była to najdłuższa podróż jej życia. Rozplakała się w milczeniu z radości, gdy wyszła zza wzgórza i dotarła do zagrod, w których Keman nadal trzymał swoje zwierzęta. Nie miało już dla niej znaczenia, że jest jednym z nich.

Ważne było tylko, że jest w domu i że może się położyć.

Musiała zatrzymać się i oprzeć o kamienie otaczające staw wydry, bo znow zrobiło jej się niedobrze i zakreśliło jej się w głowie. Kiedy opieranie się nie pomogło, siadła na skalnej krawędzi sadzawki i nachyliwszy się nad wodę, zaczęła jej garsć i chlusiła sobie w twarz.

Wtedy straciła przytomność i równowagę - i znalazła się w stawie.

Chłodna woda oprzytomniła ją. Wypłynęła na powierzchnię, plując wodą i czując, że znow przejaśniło jej się w głowie, choć wciąż była słaba. Trzymała się skały przez jakiś czas, a tymczasem wscibka wydra wyszła ze swojej nory i zaczęła ją obwachiwać, pływając wokół i tracając ją nosem.

Dopiero po długiej chwili wyciągnęła się na brzeg. Leżała na boku, dysząc ciężko, a wydra

uznała ją za beznadziejnie nudną i znowu poszła spać.

Niespodziewana kąpiel przynajmniej pod jednym względem jej pomogła. Była teraz przynajmniej czysta, nawet jeśli wciąż posiniaczona i podrapana po popołudniowych przygodach.

Suche powietrze wchłonęło wilgoć z jej skóry, tak że zanim dowiekła się do łóżka, cała była sucha, z wyjątkiem włosów. Bardzo cieszyła się, że jej posłanie jest najbliżej wejścia, bo nie była pewna, czy umiałaby powiedzieć coś sensownego na temat swojej nieobecności po zmroku.

Mimo to czekała ją długa wędrówka po kamiennej posadzce ciągu jaskin. Więcej niż wystarczająco długa, by była wpolprzytomna i rozdygotana, zanim dotarła do bezpiecznego portu swej małej grotki. Dosłownie upadła na posłanie ze skradzionych przez Alare tkanin, już śpiąca, głucha i ślepa na wszystko, co działo się dookoła.

Shana spojrzała na magicznie wygładzony sufit swej jaskini i zmrużyła zaspane oczy.

Kiedy zbudziła się, była zdziwiona, dlaczego czuje się taka obolała i dlaczego ma tak porozbijane kolana i łokcie. Potem przypomniła sobie - i nie mogła uwierzyć własnym wspomnieniom.

To musiało mi się przysnić, pomyślała wreszcie. Nikt nie może rzucać kamieniami po prostu myśleć o tym. Nawet przybrana matka tego nie potrafiła. Umiała tylko poruszać skały, formować ją rekoma, a nie kazać jej latać w powietrzu.

Im więcej Shana rozmyślała o dniu wczorajszym, o wszystkim, co sądziła, że zrobiła, tym wydawało jej się to mniej prawdopodobne. Wszystko, z wyjątkiem historii z Myre i Rovym - since i stłuczenia na jej ciele stanowiły wystarczający dowód, że przynajmniej to było zupełna prawda.

Kiedy nie udało jej się zmienić kształtu, poczuła się strasznie zmęczona i płakała tak długo, aż usnęła i wszystko jej się przysniło.

Nie miała pojęcia, jak długo spała, ale nie czuła się kompletnie wypoczęta - głowa jej pulsowała stałym, tęnym bólem, od którego mdliło ją trochę. Nie bolało ją w skroniach, jak od przepracowania, lecz głęboko w środku, gdzieś za oczami.

Lepiej już wstać, pomyślała. Zanim ktoś zacznie mnie szukać.

Wysunęła się ze spletanego gniazda z tkanin i zdjęła tunikę. Po wczorajszym złym traktowaniu trzeba będzie ją naprawić, by nadawała się do noszenia.

Wyciągnęła inną. Miała ich razem pół tuzina, większość własnoręcznie wykonanych.

Alara pokazała jej, jak się szyje, ale niezmiennie uważała, że powinna nauczyć się sama robić sobie ubranie.

Teraz wiedziała już dlaczego. Ponieważ będzie musiała nosić ubranie, pomyślała posepnie, przeczesując palcami potarganą gestwinę włosów, usiłując nadać im jakiś porządny wygląd. Wreszcie zrezygnowała, doszedłszy do wniosku, że to robota głupiego, i poszła poszukać Kemana.

Musiał już wstać, a kara już się skończyła. Może razem wymyślimy, co mam zrobić.

Nie gniewała się już na swojego przybranego brata i matkę - nie mogli nic na to poradzić. Gdyby powiedzieli jej prawdę, i tak by w nią nie uwierzyła. Zajrzała do małej sypialni Kemana - tylko pięć razy większej od jej własnej - ale nie było go tam. Nie mogła się zdecydować, czy wyjść frontowym wejściem, czy sprawdzić, czy Keman nie ma na tyłach, przy jego zwierzętach.

Przedtem znalazła ją Alara.

Szamanka spotkała ją w połowie drogi między jej małą jaskinią sypialną, a tylnym wyjściem na zewnątrz. Strasznie przeraziła tym Shane. Alara, kiedy chciała, potrafiła poruszać się w całkowitej ciszy, więc kiedy pojawiła się po drodze przed Shaną bezgłośnie i niespodziewanie, dziewczyna odskoczyła o krok, tłumiąc krzyk.

-Myre powiedziała mi, że nie było cie w domu po zmroku - rzekła Alara bez wstępów opanowanym i beznamietnym tonem głosu, który powiedział Shanie, że wpadła w poważne kłopoty.

Jeśli skłamię, ona pozna, pomyślała z rezygnacją Shana, zakładając ręce do tyłu i spoglądając przez mrok słabo oświetlonej jaskini w kierunku głowy przybranej matki.

Alara popatrzyła na nią z góry, z bardzo wysoka. Dorosłe smoki były dość duże, by unieść Shane na grzbiecie, gdyby miały na to ochotę, i lecieć bez większej pomocy magii. To oznaczało, że były rzeczywiście wysokie, a Alara dobrze umiała wykorzystać każdy centymetr swojego wzrostu, by uzyskać przewagę.

-Tak, przybrana matko - powiedziała ze smutkiem Shana. - Nie chciałam, ale byłam tak nieszczęśliwa po walce Kemana, że poszłam się ukryć. No i zrobiło się ciemno, zanim... zdążyłam wrócić do domu.

Alara mrugnęła. Jej oczy przypominały bliźniacze elipsy koloru księżyca. - Czy to o ciebie pobili się Keman i Rovy? - spytała spokojnie. - Nie widziałam cie tam, ale Keman nie chciał mi powiedzieć, gdzie jesteś i domyśliłam się, że mogłaś być przyczyną kłotni.

-Tak, przybrana matko - odrzekła Shana i podniosła wyzywająco podbródek.

-Myre dokuczala mi, a na dodatek Rovy wepchnal tam svoj pysk. Rovy chcial mi zrobic krzywde, omal mnie nie udusil. Mam na szyi since, jesli mi nie wierzysz...

Zaczela odciagac tunike pod szyja. Alara przerwala jej, lecz nie odpowiedziala ani slowem. Shana czekala, az powie cos, a kiedy niczego nie uslyszala, postanowila sama wszystko powiedziec.

-Moze nie jestem jedna z rodu - rzekla glosem drzacym z gniewu - ale nie jestem rowniez zwierzeciem! Nie jestem domowym zwierzakiem, ktorego Rovy moze dreczyc, kiedy ma ochote! Keman chcial mnie broniec, probowal z calych sil. To byl powod, dla ktorego porazil Rovy'ego, jedyny sposob, w jaki mogl zmusic Rovy'ego do wypuszczenia mnie.

Nie zadala pytania, ktore wciaz rozbrzmiewalo w jej myslach: Gdzie bylas, kiedy potrzebowalismy cie? Dlaczego nie obronilas mnie przed pozostalymi? I dlaczego pozwolilas mi trwac w przekonaniu, ze jestem jedna z rodu?

Alara tylko westchnela, chociaz spuscila nieco glowe. - Wiem, ze nie jestes zwierzeciem, Lashano - powiedziala cicho, a jej glos nie byl juz tak chlodny i obojetny. - To wszystko nie twoja wina. Nie jest grzechem nie nalezec do rodu, chociaz wiecej niz jeden smok powiedzialby, ze oszalalam mowiac ci to. Nie obwiniam cie za walke. Jestem bardzo zadowolona, ze Keman sprzeciwil sie temu lobuzowi.

Shana westchnela z ulgi. Jej ulga jednakze nie miala potrwać dlugo.

-Mimo to, bylas nieposluszna zostajac na dworze po zmroku - ciagnela Alara - i bede musiala ukarac cie za to. Jesli tego nie zrobie, Myre pomysli sobie, ze ona tez nie musi mnie sluchac i bedzie latac z Rovylernem przez cala noc. I bez tego wpada w dosc klopotow.

Shana podupadla na duchu. Byla tylko jedna kara, jaka mogla wymierzyc jej przybrana matka, biorac pod uwage, jak kocha otwarte niebo i wzgorza.

-Zostaniesz w lezu, albo w jego poblizu, tak dlugo, dopoki nie uznam, ze wystarczy - zakonczyla Alara, przypieczetowujac obawy Shany. - Sadze, ze to powinna byc dla ciebie stosowna nauczka.

-Tak, przybrana matko - powiedziala nieszczesliwym tonem Shana. - Ale...

-Ani slowa. Slyszalas, co powiedzialam. - Alara wyprostowala sie, a jej oczy zajarzyly sie w blekitnym blasku swiatel przy sciezce.

-Tak, przybrana matko. - Przygniebiona Shana wbila wzrok w ziemie i zalozyla rece na plecach.

Uslyszala cos, co zabrzmialo niemal jak zduszony smiech. - Znajdziesz Kemanu przy stawie

z wydrami. On również tymczasem nie może opuszczać leża. - Kiedy Shana podniosła głowę i ze zdumieniem spojrzała na przybraną matkę, Alara odwróciła się zwinnie i znikła w mroku jaskin, idąc w stronę nieoświetlonych pomieszczeń, gdzie tylko ona chodziła.

Shana poweselała nieco, westchnęła i potarła oczy, które wciąż ją bolały od wczorajszego płaczu. Przynajmniej jeśli ma być zamknięta, nie będzie osamotniona!

Powłokła się ścieżka do drzwi na tyłach. Nie było to już tajne zapasowe wyjście, bo tyle tam się działo, szczególnie z powodu zwierzaków Kemana, że nie sposób było ukryć faktu, iż tam się znajdowało. Shana była już w zasięgu wzroku od wyjścia, kiedy wpadła na Myre. Mała smoczyca czaiła się we wnęce obok przejścia, czekając na kogoś.

Prawdopodobnie na Kemana, bowiem spoglądała raczej na zewnątrz, niż do środka.

Shana nie zauważyła jej do chwili, kiedy na nią wpadła. Myre zapiszczała i podskoczyła z zaskoczenia, kiedy Shana nadepnęła jej na ogon.

Shana sama odskoczyła o krok, czy dwa, a humor jej się nie poprawił, kiedy Myre odwróciła się i spojrzała na nią wściekle, wykrzywiając pogardliwie górną wargę. Shana zacisnęła pięści i miała ogromną ochotę uderzyć ją. Na niewiele by się to zresztą zdało - prawdopodobnie skaleczyłaby sobie tylko rękę. Może wykrecić jej skrzydła, albo zawiązać ogon w supeł...

-Powiedziałam matce, że nie było cie przez całą noc - powiedziała złośliwie Myre cienkim, plakliwym tonem. - Powiedziałam jej, że uciekłaś i nie wróciłaś przez całą noc. Powiedziałam, że jesteś tylko dzikim zwierzęciem, i że powinna mieć dla ciebie smycz, na której uwiązywałaby cię na noc.

Mówiła zupełnie jak Rovy. Czyżby Myre dowiadywała się teraz wszystkiego stamtąd? Shana powstrzymywała się od złości i udawała, że nie zwraca uwagi na smoczyce.

Popatrzyła obok niej przez chwilę, a potem mrugnęła oczami, jakby wyrwała się właśnie z zamyslenia.

-Mówiłaś coś? - zapytała. - Przez chwilę wydawało mi się, że słyszałam Rovylerne i zastanawiałam się, w jaki sposób on tu się znalazł.

W czasie gdy Myre stała z otwartym ze zdumienia pyskiem, Shana ruszyła do wyjścia, chcąc ją wyminąć, lecz Myre zastąpiła jej drogę.

-Miałas nie wychodzić z leża! - zasyczała Myre. - Matka tak powiedziała! Kazała ci zostać w leżu i kazała też zostać Kemanowi! Zaraz powiem matce!

-Dobrze, idź, skarżypyto - fuknęła Shana ze złością, czując, że robi się na twarzy czerwona. - Idź natychmiast i posłuchaj, co ona powie!

-Dobrze, pojde! - Myre pobiegła truchcikiem w głąb jaskini, wołając jeszcze przez ramię: -
Pojde! Zebys wiedziala, ze pojde! Jeszcze zobaczysz! Pozalujesz wtedy!

Shana zawrzala gniewem, który wreszcie wykipiał. Oddychając z trudem, zacisnęła pięści tak mocno, że aż rozbolały ją kostki palców. Nigdy nie pragnęła niczego tak bardzo, jak uderzyć teraz tę małą zarazę.

Od ściany oderwała się z trzaskiem skala wielkości jej pięści. Przemknęła obok i poleciała w głąb mrocznego leża jak nurkujący sokoł. - rozległo się oskarżycielskie skomlenie. -
Uderzylas mnie! To boli! Powiem matce!

Powiem, powiem! Dostaniesz za to, mały szczurze!

Plama cienia kulila się, jakby spodziewała się następnych ciosów, a potem rozległo się zgrzytanie pazurów po kamiennej posadzce, gdy smoczątko ruszyło biegiem. Myre znikła z pola widzenia Shany za zakretem.

Shana stała nieruchomo na środku ścieżki, nie mogąc ruszyć się przez chwilę z powodu niedowierzania. Ten kamień - oderwał się od ściany i poszybował w stronę Myre równie celnie, jak wczoraj.

Udalo mi się! - pomyślała ze zdumieniem i serce zabiło jej mocniej. Udalo mi się, naprawdę udalo; to nie był sen, ani nic podobnego. Nie straciłam mocy! Muszę znow spróbować!

Przelotne poczucie winy zatrzymało ją, bowiem przypomniała sobie wiewiórkę ziemną.

Nie, muszę mieć ją, muszę potrafić się nią posługiwać. Nie mogła dopuścić do tego, żeby Rovy znow groził jej, czy Kemanowi. On jest za duży i za groźny, i nie wiem, do czego jest zdolny po tym, co wydarzyło się wczoraj.

Skierowała myśl ku podobnemu kamieniowi leżącemu luzem przy ścieżce. Jednakże teraz, niezależnie od tego, jak mocno myślała o tym, ani jak mocno naciskała, nic się nie wydarzyło. Usiadła przy drodze, czując, że cały jej entuzjazm wywietrzył. Zwalila się po prostu na chłodną skalę i starała się domyślić, co zrobiła źle.

Przed chwilą udalo mi się. Wiem, że udalo mi się. Nie mógł tego zrobić nikt inny, tylko ja. Mimo iż myślała bardzo intensywnie, nie mogła znaleźć rozwiązania tej zagadki. Najpierw miała moc, potem jej nie miała - w czym była różnica?

Potarła bolącą głowę i pomyślała z niechęcią, jak Myre zawsze zdaje się wszystko psuć. Ta głupia Myre, ona doprowadza mnie do takiego szalu - pakuje mnie w tarapaty, pakuje Kemaną w tarapaty, wyzywa mnie i jej nigdy nic się nie przydarzy! To niesprawiedliwe! Tak bym chciała przyłożyć jej solidnie...

Garsc zwiru oderwała się od ścieżki, znikając w mroku. Ponownie zaskoczenie rozładowało

gniew Shany. Tym razem, ponieważ szukała przyczyn, znalazła brakujący związek.

Kiedy złość się - potrafię miotać przedmiotami. Kiedy nie, nie potrafię. Na deszcz i ogień! To odwrotność tego, co dzieje się z Kemana i pozostałymi. Im bardziej są rozwścieżeni, tym mniej są w stanie...

Wstała na równe nogi, nie mogąc się doczekać, kiedy znajdzie Kemana i opowie mu o swoich nowych zdolnościach. Pobiegła, a podniecenie dodawało jej szybkości - lecz zatrzymała się przy samym wyjściu, bowiem coś jej przyszło do głowy. Zostałym. To im się może nie spodobać. Mogą uznać Shane'a za niebezpiecznego. A jeśli nie powie nikomu, będzie mogła robić rzeczy, o których nie będą wiedzieli. Będzie mogła obronić się, gdy Kemana nie będzie w okolicy.

Lepiej tego nie robić. Bardzo nie chciałabym trzymać tego w tajemnicy, ale lepiej tego nie robić. Lepiej nie, jeśli chce być bezpieczna.

Ponownie ruszyła na poszukiwania przybranego brata, lecz już spokojniejszym krokiem.

Rozdział VIII Shana przykucnęła nad wydrzym stawem i zmrużyła oczy, skupiając się. Wydra znajdowała się w swojej norze, ale nie spała. Dziewczyna poznawała to po prostu "wyczuwając" jej umysł. Wyciągnęła delikatnie ku niej psychiczną dłoń i wyobraziła sobie, że jest wydra; poczuła jak skraca ją jej się kończyny, ciało wydłuża, skóra porasta sierścią...

Zmiana, jakiej uległa, nie przypominała dosłownej przemiany Kemana, lecz dotyczyła psychicznego obrazu jej samej. W chwili, gdy poczuła, że jest wydra i stanowi z nią jedną, nawiązała kontakt z myślami pogodnego zwierzęcia. "Ciepłe słońce, ciepła woda". Wydra przyglądała się temu, co znajdowało się za podwodnym wejściem do jej nory, przewróciła się na grzbiet i podrapała po nosie. Miała pełny żołądek i była wyspana. Nie miała ochoty na kolejną drzemkę. Wnętrze gniazda słabo oświetlało słońce, które wpadało przez wodę i odbite docierało do nory. "Spać nie - pomyślała. - Teraz baw się".

Shana wyczuła wydre zślizgującą się do wody, zanim jeszcze dostrzegła jej smukłe ciało mknące nad dnem stawu.

Nie wiedziała, czy właśnie to przybrana matka miała na myśli, mówiąc jej, by "zjednoczyła się z wiewiórką ziemną". Nie obchodziło ją to wiele, bowiem od chwili, gdy nauczyła się "słyszeć" myśli najdrobniejszych nawet zwierząt, otworzył się przed nią cały nowy świat. Tyle mogła powiedzieć Kemanowi o swoich nowych zdolnościach. Jej przybrany brat spodziewał się, że nauczy się wyczuwać myśli zwierząt, chociaż on sam tego nie potrafił. Ostatecznie Alara uczyła ją z myśla o tym właśnie.

A ponieważ nie podejrzewał niczego, nie był zaskoczony tym, jak dalece sięgały jej umiejętności.

Wydra spojrzała przez wodę, zauważyła dziewczynę na brzegu i wystrzeliła z wody, aby ją

powitac. Shana bawila sie z wydra trzymajac kamyczki w powietrzu tuz nad powierzchnia wody, zeby zwierze moglo je tracac. Potem zanurzyla gladkie kamyki w wodzie i pozwolila wydrze scigac je po calym stawie. Oboje swietnie sie bawili, chociaz dziewczyna nieco sie zmeczyla. Znow sie czegos nauczyla: takie "czarowanie" bylo prawdziwa praca i mocno ja wyczerpywalo. Nie mogla sobie wyobrazic, jak Alara moze radzic sobie ze swoja praca i nie pada ze zmeczenia.

Shana nie musiala juz wpadac w wscieklosc, zeby posluziwac sie swoim rodzajem magii, wystarczylo, ze pomyslala w specjalny sposob, pragnac czegos tak bardzo, ze angazowala sie emocjonalnie - chociaz im bardziej byla rozgniewana, tym silniejsze byly czary. Uczucia najwyrazniej odgrywaly duza role, im silniejsze, tym lepiej.

Odkryla rowniez inny talent, chociaz nie miala pojecia, do czego moze on jej sie przydac. Potrafila znalezc wode, kierujac sie tylko uczuciem pragnienia. Kiedys wyruszyła z Kemanem na jedna z jego wypraw badawczych i zapomniala wziac manierke z woda. Zanim jeszcze nastalo poludnie, byla na wpol oblakana z pragnienia - i w tym momencie poczula dziwne targanie za nadgarstek, jakby cos chwycilo ja za reke i usilowalo gdzies zaprowadzic.

Zaciekawiona, poszla tam, dokad prowadzil sygnal i natknela sie na kepe krzewow sajus i jodlowej trawy, ktora zaznaczala "podsiek". Troche kopania pod korzeniami krzewu i po kilku chwilach cierpliwosci mogla sie napic. Gdy ugasila pragnienie, targanie ustalo.

Byl to interesujacy talent, lecz w chwili obecnej duzo zabawniejsza oraz uzyteczniejsza byla zdolnosc poruszania rzeczy. Udalo jej sie nawet raz czy dwa poklocic Myre i Rovy'ego, obrzucajac ich malymi kamykami, aby pomysleli sobie, ze to jedno dokucza drugiemu.

Udalo jej sie takze przekonac Rovy'ego, ze kryje sie wsrod wzgorz, podczas gdy w rzeczywistosci przebywala w poblizu leza. Nasladowala dzwieki kogos biegnacego na dwoch nogach po sciezce i spuszczala lawiny zwiru ze zbocza wzgorza. Dal sie na to nabrac tak kompletnie, ze ruszyl ta sciezka az do miejsca, gdzie stala sie zbyt waska, by mogl dalej isc. Gdyby nie byl taki leniwy, moglby zejsc na skaly i wspinac sie, lecz Shana dobrze ocenila jego usposobienie. Sciganie jej w tym momencie wymagaloby za duzo wysilku. Rovy byl rozrabiaka, ale wolal nie przemeczac sie, co udawalo sie Shanie i Kemanowi obracac na swoja korzysc.

No i oczywiscie, dzieki swej magii mogla bawic sie z wydra i innymi malymi stworzeniami, ktore byly zarowno wscibskie, jak i wesole. Byly tam nocne ptaki, ktore uwielbily stada ciem, jakie Shana wabila do siebie, tak ze krazyly dookola niej, nawolujac sie i chwytajac cmy w locie. Byl rowniez rodzaj dlugonogiego ptaka - biegusa, ktory bawil sie w aportowanie, pod warunkiem, ze nie ruszala sie.

Rozesmiala sie i wywijala kamyczkiem petle i korkociagi. Tak przechytrzyla wydre, ze scigala kamyk, ktory scigal jej ogon. Wydra podwoila wysilki w pogoni za blyszczacym

kawalkiem i oboje bawili się wspaniale, nie zwracając uwagi na resztę świata.

Alara uniosła głowę znad przednich łap, słysząc w myślach dźwięk przypominający tręł jayee, który na krótko przerwał jej przegląd stanu pogody w promieniu wielu kilometrów od leża.

Dźwięk znów się rozległ. Spojrzała ze szczytu urwiska na leże, poświęciła chwilę na to, by się skupić i zidentyfikować źródło, po czym uznała, że nie warto poświęcać mu uwagi. To dziecko bawi się z wydra. Dopóki sprawia jej to przyjemność i już tak się nie smuci tym, że nie jest jedna z rodu, co może być w tym złego?

Ponownie spuściła więc łeb na skrzyżowane przednie łapy, zamknęła oczy i wróciła do zadań związanych z wzywaniem pogody. Równiny, po których wędrowały stada tego leża, były wyschnięte i bardzo spragnione dobrego, ulewnego deszczu. Lato przyniosło nie więcej niż połowę oczekiwanych opadów deszczu, a teraz, kiedy nastąpiła jesień, deszcze ustąpiły zupełnie. Zazwyczaj Alara nie ingerowałaby w stan pogody o tej porze roku, poza wzywaniem burz do tanca gromów, lecz nie miała wyboru i musiała zadziałać, jeśli sytuacja miała wrócić do stanu normalnego. Musi wtrącić się do pogody, ponieważ elfi władcy już to uczynili, wypaczając przepływy burz tak, że nie przypominały ani trochę normalnych jesiennych systemów.

Musi teraz przywrócić ich funkcjonowanie, bo inaczej stada będą głodować i padnie wiele zwierząt, zwierząt niezbędnych, jeśli leże ma przetrwać zimą. Kto wie, jakie jeszcze problemy mogły zostać spowodowane tymi zakłóceniami? Obserwowała tylko terytorium leża, gdzie indziej mogą wystąpić kolejne susze lub powodzie, a nie wszyscy szamani zajmowali się pogodą.

Przynajmniej mogła działać wiedząc, że ci, którzy wywołali owe zmiany, będą przeswiadczeni, że zlikwidowanie skutków ich ingerencji jest dziełem któregoś z rywali.

Oczywiście, w tym celu będzie zmuszona ponownie opuścić leże, przybrawszy postać młodego elfiego posłańca i dostarczyć przemyślnie ułożoną, anonimową wiadomość władcy odpowiedzialnemu za to idiotyczne i nieostrożne manipulowanie pogodą.

To również należało do jej obowiązków, mimo iż odrywało ją od dzieci. A Myre ostatnio sprawia tyle kłopotów...

Będzie martwić się tym, kiedy nadejdzie właściwa pora. Na razie wystarczy naprawić szkody.

Znów pograżyła się w transie, wysyłając umysł w nieboskłon i jednocząc się ze światem wokół niej. Wzniosła się znad ziemi, na której spoczywała, w niebiosy i wzniosła ręce ku wiatrom i chmurom, wołając je łagodnie do powrotu na ścieżki, jakimi powinny krążyć. Rozpraszała również wszelkie czary, które posłały ją i zatrzymywały w nieodpowiednich miejscach.

Kolejny trel musnal powierzchwie jej umyslu, lecz teraz, gdy wiedziala, ze to czary Shany, latwo bylo go zignorowac. Niemal calkowicie. Zawsze po czesci czula sie najpierw matka, a dopiero potem szamanka.

Mimo to wolalaby, aby dziecko zachowywalo sie nieco ciszej. Wolny od zajec kacik jej umyslu niepokoil sie sila tych zaklocen. Nie mogla powstrzymac sie od zastanowienia, kto jeszcze moze uslyszec dziecko i czy wiedza, kto tak halasuje.

Odpedzila te mysl, poniewaz zaczela przeszkadzac jej w pracy. Nic sie nie stanie Shanie w tej chwili. Kazdy smok bedacy w stanie uslyszec ja, jest jednoczesnie jednym z seniorow leza, a ci zwroca sie do szamanki przed zadzialaniem.

Naprawianie tego, co wypaczyli elfowie, przypominalo rozplatywanie kilku motkow oblakanczo poplatanej welny. Alara wpadla w dosc powazna zlosc, zanim zakonczyla.

Niejedno zaklecie tam sie znalazlo, nawet liczne ich warstwy, a wszystkie oddzialywaly na siebie, niektore w dosc osobliwy sposob.

Czyzby nigdy nie zwazali na konsekwencje przed podjeciem sie czegos, pomyslala z uraza. A moze po prostu czekali na katastrofe, a potem wpychali wszystko na miejsce brutalna sila?

Zaczynala miec wrazenie, ze prawda jest to ostatnie, przynajmniej w przypadku potezniejszych wladcow. Pomniejsi raczej zdawali sie tworzyc nielad podobny do tego.

Ukladali zaklecia jedno na drugim, az cala konstrukcja walila sie, lub wypaczala w cos, czego nikt nie zamierzal tworzyc, wywolujac calkowicie nieprzewidywalne skutki uboczne.

A wtedy, oczywiscie, musieli wkraczac potezni magowie.

Pod warunkiem, ze rod nie uczynil tego wczesniej, pomyslala nieco zarozumiale.

Zabrala sie do rozplatywania i rozwijania, chcac wykonac robote wlasciwie, co wymagalo czasu i energii. Naprawienie wszystkich szkod zajelo jej wieksza czesc popoludnia, a zanim deszcz spadl (tak jak powinien byl) na wyschniety step, Alara byla glodna i w zlym humorze. Siedziala w swojej pustelni przez caly dzien, a przed rozpozeciem pracy poscila, wiec w tej chwili miala ochote tylko na ladnego, tlustego trzyroga, albo nawet dwa. Zawsze latwo wpadala w zlosc, kiedy byla glodna, a humoru nie poprawil jej fakt ujrzenia po zejsci na dol trojga sposrod najstarszych smokow leza, czekajacych na nia w kamiennej altance. Dwie zwinely sie w klebek we wnetrzu marmurowej budowli; jedna ulozyla sie na szerokich, kamiennych lawach otaczajacych wnetrze, druga wyciagnela sie na posadzce. Trzeci znajdowal sie, prawde mowiac, na progu wejscia do jej leza, i wygrzewal sie w sloncu tak usadowiony, ze uniemozliwial jej powrot do domu.

Watpila, czy byl to przypadek.

-Alara! - zawolala ta na podlodze z niewinnym wyrazem twarzy, w ktory Alara nie wierzyła ani odrobine. - Czekalismy na twoj powrot. Wiedzielismy, ze bedziesz glodna, wiec Anoa zabila dla ciebie trzyroga i zostawila w twojej jaskini.

-Pomowmy teraz o tej twojej dwunogiej wychowanicy - zaczela z wahaniem Orolanela, wznoszac leb znad lawy na widok zblizajacej sie Alary. - Ona...

-Co? - warknela niecierpliwie Alara, ani troche nie ulagodzona lapowka.

-Sadzilam, ze po wypadku z Rovylernem zgodzilismy sie wszyscy, ze zostawicie ja w spokoju, dopoki nie bedzie wywoływala klotni wsrod mlodziezy!

-Wiem, ale ona halasuje, szamanko - odrzekla cierpliwie Anoahalo. - Halasuje magia. Wiesz, co mam na mysli. My ja slyszymy i prawdopodobnie rowniez slysza ja niektorzy inni. Po prostu jeszcze nie domyslili sie, kto tak zakloca spokoj. - Przeciagnela sie ostrzac pazury na chropowatych skalach przy wejsciu do jaskini. - Poniewaz wiekszosc z nich uwaza ja za zwierz, prawdopodobnie nigdy nie skojarza sobie tego, ale nigdy nie wiadomo. A jesli dowiedza sie, ze wlada czarami? Coz, nie potrafie powiedziec, co moga wtedy pomyslec. Albo zrobic. Szczegolnie Lori.

Alara westchnela, zalujac, ze nie ma rak, aby rozmasowac sobie obolala glowe. Potarla skron kostka palca i miala nadzieje, ze to zlagodzi bol. - Czy ona sprawia wam jakies klopoty? - spytala wreszcie. - Malo mnie naprawde obchodzi, co Lori mysli, czy robi, jesli tylko nie przeszkadza wam, seniorom.

-Nie, wlasciwie nie - odezwal sie leniwie ten trzeci, Keokeshala, nie wstajac z podlogi w altance. Ziewnal delikatnie i usmiechnal sie. - Interesujacy efekt, ten trel.

Prawde mowiac, milo jej posluchac, jesli lubi sie ptaki. Nie chodzi o to, ze przeszkadza, ale o to, ze w ogole go wydaje. Nawet nie pomyslelismy o tym, kiedy mowilismy, ze zostawimy ja w spokoju. Chcemy dowiedziec sie natomiast, co zamierzasz z nia zrobic.

-Nie zamierzam niczego z nia robic, przynajmniej nie w tej chwili - powiedziala stanowczo Alara, zwijajac sie wokol nagrzanego sloncem kamienia i wystawiajac rozpostarte skrzydla na ostatnie promienie wieczornego slonca. - Sadze, ze zupełnie dobrze sobie radzi w tej chwili. Nie wyrzadza nikomu krzywdy, nie szuka klopotow, a dzieki tym malym sztuczkom bawi sie dobrze. Co chcecie, zebym w tej sprawie zrobila?

Keoke rozesmial sie i usmiechnal jeszcze szerzej. - Nic, prawde powiedziawszy, przynajmniej w tej chwili. Dosc przyjemnie przygladac sie jej, gdy odkrywa, co potrafi i wodzi za nos Rovylerna. Wiesz, ona jest strasznie bystra. Mozna by wziac ja za kogos z rodu, gdyby nie wiedzialo sie, ze to nieprawda.

Anoa chrzaknela uprzejmie i potrzasnela glowa, na wpol unoszac grzebien na grzbiecie. - Coz, ja nie posunelabym sie tak dalece - rzekla z powatpiowaniem - ale stwierdzam, ze

dysponuje wielkim potencjałem. Prawde mówiąc, Alaro, zastanawialiśmy się nad tym. Przez cały ten czas bawiliśmy się prorocstwem, ale przyszło nam do głowy, że twoja mała wychowanka może być Zguba elfów. Chciałam powiedzieć, że moglibyśmy uczynić z niej Zgubę elfów, gdybyśmy tylko pokierowali nią odpowiednio.

Ma wszystkie zaświadczenia, że tak się wyrazi. Jeśli kiedykolwiek dowie się kim jest, dowie się o swojej matce i ojcu, może okazać się nieco kłopotliwa. Gotowa jestem założyć się, że będziesz miała trudności z zatrzymaniem jej tutaj.

Orola zaśmiała się i wyciągnęła szyję, by spojrzeć Alarze prosto w twarz. - Równie dobrze możemy przestać już owijać w bawełnę. W rzeczywistości chcielibyśmy, żebyś powiedziała jej o jej matce i ojcu, o elfich władcach, ludziach i w ogóle o wszystkim.

Szczerze mówiąc, Alaro, kiedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, że Shana włada magią, pomyśleliśmy, że okazja jest zbyt dobra, żeby ją zmarnować. Chcielibyśmy wysłać ją w ich świat i zobaczyć, co potrafi zrobić.

Keoke przewrócił oczami i wyszczerzył się w uśmiechu, machając lekko ogonem.

-Powinna wywołać cudowne zamieszanie, zanim ją złapią - powiedział zadowolonym tonem.
- A gdyby ktoś z nas poszedł z nią, aby mieć na nią oko, moglibyśmy przypilnować, żeby uciekła znowu, albo żeby nie mogła opowiedzieć o nas elfim władcom.

Pragmatyczny ton głosu Keoke zmroził krew w żyłach Alary. Bardzo dobrze wiedziała, co miał na myśli. Jeśli... nie, lepiej powiedziawszy kiedy Shana zostanie schwytana, jeden z nich postara się, żeby zginęła, zanim ujawni sekrety smoków. Oni po prostu chcą się nią posłużyć, jakby była dwurogiem, którego się głaszczą, a potem zjada w razie potrzeby, albo narzędziem, którego używa się aż do złamania.

-Sądzę, że to trochę za wiele, Keoke - sprzeciwiła się łagodnie Orola, opuszczając powieki.
- W końcu to przecież dziecko. Nie należy do rodu, ale nie wyrzadziło nam żadnej szkody, a może dostarczyć nam doskonałej rozrywki, jeśli bardzo dobrze nim się zaopiekujemy. -
Zwracając się do Alary rzekła: - Zgadza się, że powinniśmy wypuścić je między elfów, ale uważam, - że powinniśmy też zapewnić mu bezpieczeństwo.

Do tego w pewnym sensie zobowiązuje nas honor. Przygarnęliśmy dziecko, więc naprawdę jesteśmy trochę odpowiedzialni za jego bezpieczeństwo. Pozwolic mu rzucić się wprost w niebezpieczeństwo jest, no, czymś wstretnym. - Orola zwinęła nieco język, jakby ugryzła coś gorzkiego. - To tak, jakby... no... zjeść kolesa ze zwierzątek twojego Kemana. Nie wychowuje się czegoś w ufności do siebie, a potem zdradza.

-Hmm. - Keoke przechylił głowę na bok, rozmyślając nad jej słowami. - Prawda.

To pachnie czymś, co mogłaby zrobić Lori, a wszyscy wiemy, że Lori jest nieodpowiedzialna.

Orola pokiwała głową, a tymczasem Alara panowała nad złością i utrzymywała pełen spokój wygląd.

-Chocby nawet to - ciągnęła Orola - nie mamy pojęcia, jak długo żyją te mieszance. Jeśli ono pożyje choćby nawet dwa razy krocej od elfów i przez cały czas będzie się uczyć, wymyśli prawdopodobnie mnóstwo chytrych sztuczek, jakie można im splatać. I będzie miało najwspanialszą w świecie motywację do tego.

Alarze bardzo nie podobało się, że Orola mówiła o Shanie "ono", lecz Orola przynajmniej miała jakieś poczucie honoru, choćby tylko poczuwała się do obowiązku zaopiekowania oswojonym zwierzątkiem. Nie zamierzała wyrzucić dziecka w świat bez żadnej opieki i zabić Shanie, gdyby została schwytana. Keoke, z drugiej strony, zdawał się mieć bardziej cyniczne podejście do sprawy. Najprawdopodobniej rozważał los Shany tylko i wyłącznie z punktu widzenia jej wartości rozrywkowej i mógł wciąż jeszcze nakłonić pozostałych do podzielenia jego poglądów. Chyba, że zdołałaby wcześniej skłonić Keoke do zmiany zdania.

Alara zaczerpnęła głęboko tchu, aby się uspokoić i zaczęła układać plany, myśleć tak szybko, jak podczas tanca gromów. Musiała nakłonić ich, nawet Orolę, do ujrzenia w Shanie osoby i przekonać wszystkich, że Shana godna jest opieki, jaka otoczona byłaby, gdyby należała do rodu. Przyszło jej na myśl, że najlepszym sposobem będzie przekonać ich, że Shana jest bardzo cenna dziewczynka.

-Ona jest jeszcze dzieckiem - przypomniawszy im wszystkim Alara, starała się, by zabrzmiało to spokojnie trzeźwo. Zwinęła skrzydła i wsparła podbródek na kamiennej poręczy altanki. - Nawet nie zaczęła jeszcze rozwijać swoich mocy. Spśród nas wszystkich tylko Ojciec Smok wie, do czego są zdolni polelfowie, a wątpię, czy wie o wszystkim. Trudno powiedzieć, co ona może, a czego nie. Po prostu nie wiemy. Sądzę, że może nam się bardziej przydać, niż sądzimy w tej chwili.

-Samo to jest wystarczająco zabawne - przyznała Anoa, drapiąc się w zamysleniu po obłazce skóry. - Przyglądanie się jej, jak odkrywa co jeszcze potrafi, przypomina otwieranie pudełka, lamigłówki. Nigdy nie wiadomo, co będzie dalej. Nie miałam pojęcia, że będzie w stanie dotrzeć do umysłów ciem, ani też, że ptaki biegusy umieją się bawić. Nie uważam, że powinniśmy wypuszczać ją w świat już teraz. Za nic nie chciałabym przegapić, co się stanie, kiedy odkryje następne możliwości, a nie sądzę, że byśmy już dotarli do dna tego worka.

-Racja - zgodził się Keoke i kiwnął głową. - W porządku, sądzę, że powinniśmy zatrzymać ją jeszcze, dopóki nie nabierze większego doświadczenia. Może nawet do osiągnięcia dorosłych rozmiarów. - Odwrócił się do Alary, mrużąc oczy, które przystosowywały się do gestniejacego mroku. - Ale co wtedy? Chyba nie zamierzasz trzymać jej w leżu przez całe jej życie, prawda, Alaro? Uważam, że byłoby to trochę okrutne, jak zamykanie sokoła w klatce.

-Tak naprawde... nie myslalam o tym - przyznala niechetnie Alara. Nie lubila myslec o tym, ze jej dzieci dorosna i beda chcialy odejsc. Shana byla w rownym stopniu jej dzieckiem, co Keman. Wchlonawszy w takim stopniu nauki Alary, Shana byla dzieckiem Alary bardziej niz Myre.

-A ja mowie, zeby je wypuscic - ponaglala Orola, krecac sie niespokojnie i zgrzytajac luskami po kamiennej lawie. - Jak tylko dorosnie, trzeba je powiadomic o jego pochodzeniu, pokazac mu, co tam sie dzieje i dac szanse na wywołanie nieco zamieszania. Badzmy przygotowani na ocalenie go w razie niebezpieczenstwa, ale pozwolmy mu wyzyc sie troche. Nie wyrzadza sie przysluzi malemu nie pozwalajac mu na pierwsze polowanie, Alaro.

-Ja naprawde uwazam, ze Shana moze okazac sie duzo wazniejsza dla nas, dla rodu jako calosci - odrzekla ostroznie Alara. - W niej jest cos niezwyklego, cos, czego nie potrafie dokladnie okreslic. Pamietacie, co powiedzial Ojciec Smok, kiedy przynioslam ja do leza? - Ze ma wielkie hamenlai - powiedziala Anoa po chwili zastanowienia. - Nie pomyslam o tym. - Oczy starej smoczycy zalsnily srebrzyscie w blasku wschodzacego ksiezycy. - Mozesz miec racje. Rzeczywiscie, zapomniałam o tym.

-Ja nie - odparla Alara, odnoszac wrazenie, ze wreszcie dotarla do najwyzszego punktu pradu cieplnego tej dyskusji. - Pamietalam o tym przez caly czas, gdy ja wychowywalam. Jest zbyt wazna, by uzyc jej do chwilowej zabawy. Keoke, sam to powiedziales, ona pasuje do przepowiedni o Zgubie elfow. A jesli proroctwo, ktore glosilismy przez tyle lat, jest prawdziwe? Co bedzie, jesli wszystko, co uczynilismy, stalo sie po to, by rozglosic prawdziwa przepowiednie przyszlego losu? Co, jesli Shana jest prawdziwa Zguba elfow? Czy nie rozumiecie, jak niewiarygodna zmiane uczyni to w calym swiecie?

Wszyscy troje poruszyli sie niespokojnie. Alara wyczula budzace sie wokol niej ozywione emocje. Ukazala im potencjal Shany; teraz, gdyby tylko dostrzegli rowniez jej wartosc.

-Rozumiem cos innego, Alaro - szepnela Orola, otwierajac oczy szeroko z niepokoju i zdumienia. Przygryzala czubek jednego ze swych pazurów, co czynila tylko wtedy, gdy byla zdenerwowana. - Nie wiem, czy bralas to pod uwage. Masz racje, nie wiemy, co ono potrafi - a jesli jest przedmiotem prawdziwej przepowiedni, nie wiemy, kim ono sie stanie, jaka moc bedzie posiadalo i jaki bedzie jego swiatopoglad. W koncu, Zguba elfow z proroctwa nie wyglada na bardzo mila istote. Widze, ze moze stanowic powazne zagrozenie dla nas, i to nie tylko zdradzajac nas elfom. Nie mamy pojecia, co moze zrobic nam jej moc, ani tez jak wielka moze byc.

Alara podupadla na duchu. Miala nadzieje, ze ta szczegolna mozliwosc nie nasunie im sie na mysl.

-Innymi slowy - odezwal sie Keoke w ciszy, ktora nastapila - ona moze okazac sie nie tylko Zguba elfow, lecz takze zguba smokow. Moze wywolac spustoszenie wsrod nas, zanim

ujrzy swój prawdziwy lud.

Alara postanowiła zmienić tok dyskusji, zanim naprawdę namówia się i zechce pozbyć się dziecka.

-Po pierwsze, tylko przypuszczamy, że jest Zguba elfów. Zapominacie o tym. Po drugie, nawet jeśli jest, właśnie tym kłopotem starałam się zapobiec! - wykrzyknęła Alara, okazując wreszcie irytację. - Jeśli wychowam ją wśród nas, jako jedno z naszych dzieci i sprawię, że poczuje przynależność do rodu, wtedy nigdy nie obróci swoich zdolności przeciwko rodowi jako całości. Nie gwarantuję jednak, że nie zrobi niczego pojedynczym osobom. Gdybym była w jej skorze, a Rovy pastwiłby się nad mną, prawdopodobnie urwałabym mu głowę oraz ogon i zamieniła je miejscami, gdybym tylko dowiedziała się, że to potrafię.

Zapadła ponownie cisza, w której Alara poczuła opadające emocje. Pozostała trojka smoków uspokoiła się.

Keoke pokiwał głową. - To ma sens - przyznał. - Jeśli dwurozyca wychowa wulfa, będzie przekonany, że jest dwurogiem. Muszę również zgodzić się z wami, że Rovy stanowi osobny problem.

Alara zdążyła powstrzymać się do pogardliwego parsknięcia. Nie był to dobry sposób, żeby zdobyć poparcie pozostałych. - W tym jest coś więcej - rzekła najrozsadniej, jak mogła. - Próbuje nauczyć ją, że w gruncie rzeczy jesteśmy bardzo podobni, jej rodzaj i nasz. Usiłuje nakłonić ją do tego, by poczuła przynależność do czegoś, a nie wyobcowanie. Próbuje pokazać jej, co znaczy być częścią rodu i świata, aby, gdy będzie dokonywać zmian, pomyślała najpierw o ich konsekwencjach. Mam nadzieję, że kiedy skończy jej naukę, nie uczyni niczego, co choćby w najmniejszym stopniu wywarło niekorzystny wpływ na ród. Kocham zmiany tak samo, jak wy, lecz chce, aby przyniosły korzyści. Chce też, abysmy mieli nad nimi kontrolę.

Wszyscy troje pokiwali głowami; nikomu nie trzeba było przypominać, do czego może doprowadzić niekontrolowana zmiana. - Sądzę, że nie ma wątpliwości co do tego, że ona wywoła zmiany - powiedział wreszcie Keoke. - Jeśli jednak będziemy w stanie zapanować nad kierunkiem zmian...

Zamyslił się i na jego twarzy odmalował się wyraz zadowolenia. - Nie mogę przestać myśleć o tym, co mogłaby zrobić, żeby zająć uwagę elfich władców. Wystarczy, że będą podejrzewać jej istnienie, a zaczną uganiać się za zwidami na każdym kroku!

-Byłaby znacznie lepszym działaczem wśród ludzi, niż ktorekolwiek z nas - przypomniała mu Alara. - Pomyśl o tym, czego mogłaby dokonać! - Wyraziła możliwość, która zaczęła dopiero rozważać, sądząc, że warto ją im przedstawić. - Być może będzie potrafiła nawet obudzić moc w ludziach, którzy dysponują magią, lecz nie są jej świadomi. Pomyślcie, z czym wtedy panowie elfów będą mieli do czynienia.

Orola bardzo powoli skinęła głową. - Musimy jednak dopilnować, aby ta moc nigdy nie została użyta przeciwko nam. Alaro, będziesz musiała uważać na to stworzenie tak bardzo, jakbyś latała w tancu gromów. Potencjał zmian jest zbyt wielki, aby pominąć go milczeniem, ale to stworzenie stanowi groźbę, groźbę dla nas.

-Uważam na nią, Orola - przypomniała jej zgrzyliwie Alara. - Czyżbym nie wyraziła się wystarczająco jasno? Znam niebezpieczeństwo równie dobrze, jak wy. Wiem również, co możemy zyskać i sadzę, że warto zaryzykować.

-Zgadza się - zdecydował wreszcie Keoke. - Jesteś jedna z najlepszych szamańek rodu. Jeśli ktokolwiek umiałby powstrzymać ją od wyrwania się spod kontroli, to tylko ty.

-Dziękuję, Keoke - odrzekła Alara. Była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co ma powiedzieć. Pochwały nieczęsto padały z ust Keoke. - Wiesz, że zawsze czynię wszystko co w moich siłach dla dobra rodu.

Keoke podzwiągnął się na nogi, a dwie smoczyce poszły w jego ślady. - Uważaj tylko na dziecko, Alaro - powiedział. - Spraw, aby nigdy nie miała okazji zwrócić się przeciwko nam. To wszystko. Jeśli zajmiesz się tym, my dopilnujemy, aby reszta nie wchodziła ci w drogę lotu i nie zakłócała twoich prądów cieplnych.

Alara westchnęła i skłoniła głowę w geście wdzięczności. - O tyle tylko zawsze prosilam - odrzekła. - Dziękuję.

Keoke spojrział w nocne niebo, a potem niespodziewanie wzbił się w powietrze, z trzaskiem rozposcierając skrzydła, by pochwycić wznoszący podmuch wiatru. - Nie ma za co - zawołał. Orola i Anoa poszły pieszo do swoich legowisk, zostawiając Alarę stojącą samotnie przed swoją jaskinią. - Nie rób tylko ze mnie durnia.

Będzie równie usilnie starać się sama nie wyjść na durnia, pomyślała kwasno i pomachała mu na pożegnanie, zanim nie zeszła do legowiska poszukać trzyroga, którego zapach czuła. Pomimo zmartwień i powatpiewan w siebie, czuła, jak slinka jej cieknie.

Głód jednak nie mógł zagłuszyć innych myśli. Keoke, mój przyjacielu, mam dużo więcej do stracenia. Reputację, szacunek dla siebie... i... moje dzieci. Szczególnie to o zaledwie dwóch nogach.

Shana leżała w cieniu wielkiego głazu tak cicho, że malenka jaszczurka przebiegła po jej nodze i zatrzymała się na udzie, żeby pogrzać się w słońcu, jakby była niczym więcej, jak wyjątkowo miękka skala. Shana nawet nie drgnęła. Właśnie odkryła coś dziwnego i wspaniałego, nowy sposób patrzenia na rzeczy. Gdyby zauważyły ją teraz smoki, które podglądała, zmarnowałyby nadzwyczaj rzadką okazję wyprobowania w praktyce tego, czego się właśnie nauczyła. Na dole trzy młode smoki - już nie smoczeta, bowiem wkrótce miały już osiągnąć dorosłe rozmiary - ćwiczyły zmienianie kształtów. Nie było to dla niej niczym nowym; Shana widziała, jak Keman zmieniał postać setki razy w ciągu ostatnich

pieciu lat. Rzadko jednak miała szansę ujrzeć inne smoki w trakcie ćwiczeń, a bardzo chciała sprawdzić, czy to, co odkryła dziś, przyglądając się Kemanowi, dotyczy tylko jego, czy może posłużyć do wykrywania innych smoków w zmienionej postaci.

Gdyby tak było, nie musiałby już nigdy martwić się, że Myre, czy Rovy mogą podkradnąć się do niej w postaci dwuroga lub czegoś równie niegroźnego. Albo, co gorsza, że zaczają się na nią, udając skale.

Rozproszyła spojrzenie i rozluźniła się w ten sam sposób, jak wtedy, gdy miała zapas w trans, lecz nie zamknęła oczu. Potem, gdy młodzik tuż pod nią znajdował się wciąż w swej zmienionej, dwunogiej postaci, popatrzyła nieco w bok od niego. Oczywiście, w dziwny sposób, który był jednocześnie widzeniem i nie-widzeniem, dostrzegła cień otaczający jakby tęczowego smoka, cień widzialny tylko kątem oka.

To tak, jakby mogła wyrzucić na zewnątrz, pomyślała zastanawiając się. Jakby widziała, gdzie znikła jego reszta.

Keman powiedział jej, że kiedy smok zmienia rozmiary, przetrzuca większość siebie do czegoś, co nazywali "zewnetrzem". Była to ciężka praca i wymagała sporego skupienia. Nie wszystkie smoki były w tym równie wprawne; na przykład Rovy nie potrafił poradzić sobie z niczym mniejszym niż połowa jego wymiarów.

Utrudni mu to okropnie zmianę w coś praktycznego, kiedy już osiągnie pełną dorosłość, pomyślała Shana drwiąc. A jeśli pożyje dość długo, by stać się tak duży, jak Ojciec Smok, nie uda mu się nigdy zmienić w nic mniejszego od małego wżgorza. Wątpiła, by ktokolwiek uwierzył w istnienie dwuroga wielkości długonosa.

Młodzi na dole radzili sobie jednak zupełnie dobrze jak na swój wiek i potrafili w pełni przybrać postać dwóch odmian dwunogów. Dorosli bardzo nalegali, by dzieci nie mieszały tych dwóch postaci - chociaż Shana nie widziała między nimi wielkiej różnicy. Jedna postać była nieco wyższa i nieco szczuplejsza. Ubarwienie było niezmiennie - bardzo biała skóra, blade złote włosy, zielone oczy. Drugi typ występował w kilku kolorach, z których żaden nie był tak wyblakły. Pierwsze z tych form przypominały Shanie jaskiniowego pajaka, którego kiedyś widziała, nadzwyczaj starego i wielkiego. Blade postacie miały takie same wydłużone kończyny, ten sam wyblakły wygląd, czaiła się w nich ta sama ospała groźba.

Nie miało to większego znaczenia. Shana nie widziała zresztą, żeby ktokolwiek przybierał taką postać, poza smokami. Przydawały się do prac wymagających siły, albo tam, gdzie potrzebne było ciało mniejsze od smoczego.

Zamysliła się smutno nad tym, skąd ona się wzięła. Może moja prawdziwa matka i ja byśmy dwiema ostatnimi - jak jednorogi, z wymierającej rasy. Alara wciąż nie miała wiele do powiedzenia o narodzinach Shany, ani o jej rodzaju. Powtarzała zawsze, że Shana dowie się, kiedy będzie na to gotowa.

Wiec kiedy bedzie gotowa? Tego Alara jej nie powiedziala. Rozgryzanie starego problemu sprawilo, ze zapomniala, co usilowala zrobic. Kiedy tylko przerwala koncentracje, cien smoka znikl i wszystko znow wygladalo zupełnie normalnie.

Do licha! Probowala znow go wywolac, lecz juz nie wrocil. Na dole widziala teraz tylko trzy mlode dwunogi, z dwunogimi cieniami na ziemi u swych stop, i ani sladu widmowych smoczycych ksztaltow unoszacych sie za nimi.

O, do licha! Poruszyla sie nieco i jaszczurka czmychnela do rozpadliny, zbiegajac z jej nogi. Malutki umysl stworzenia byl przepelniony lekiem. Za duzo skupienia, nie warto sie wysilac, pomyslala. Wieksza korzysc przynosi przysluchiwanie sie Rovy'emu i Myre i przylapywanie ich po zmianie ksztaltu w ten sposob. Nie mogli ukryc swoich mysli. W kazdym razie nie przed Shana. Keman nie slyszal ich, ale on nie slyszal rowniez wiekszosci zwierzat.

Dopiero wtedy przyszlo jej do glowy, zeby zastanowic sie, gdzie moze byc Keman.

Powinien wlasnie przylaczyc sie do tej grupy, natychmiast po zakonczeniu lekcji z Alara.

Nagle, ona - i mlode smoki na dole - zgieli sie wpol pod oguszajacym ciosem widmowego bolu, po ktorym rozlegl sie krzyk przeslanego mysalami cierpienia.

Keman! Wyczula jego osobowosc nawet w pozbawionym slow myslowym krzyku.

Rozpoznajac go poslyszala, ze znow krzyczy z bolu - tym razem wsrod wzgorz zabrzmial bardzo slyszalny wrzask.

Grupa zaskoczonych mlodziow w dole wskoczyla z powrotem w smocze postaci, straciwszy koncentracje, lecz Shana nie miala zamiaru marnowac na nich uwagi ani energii. Wstala i pobiegla przez gorski grzbiet tak szybko, jak ja drobne dwie nogi poniosly.

Z poczatku, gdy stanela na szczycie wzniesienia, zobaczyla na dnie wawozu tylko Rovylerna, ktory lopoczac skrzydlami, bijac ogonem i zwijajac szyje spogladal na cos w dole. Potem poznala, na co on patrzy, bowiem kolejny krzyk wydobyl sie spod niego i zadzwieczal echem wsrod skal. Rovy przydusil swoim cialem Kemana i wbijal pazury przednich lap w cienka i wrażliwa skore w miejscu, w ktorym przednie lapy i skrzydla Kemana laczyly sie z tulowiem. Shana musiala zagluszyc dochodzace od niego fale bolu; nie potrafilo sobie wyobrazic, ze ktos moglby cierpiec tak bardzo i swiadomie to lekcewazyc.

-Powiedz to jaszczurko! - zasyczal Rovy do swojej ofiary. Zmruzył oczy z zadowolenia, nastroszył grzebien i wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu radości. - Mów!

Nazwij mnie panem! Powiedz: "Zrobie dla ciebie wszystko, Wielki Rovylerne!" Zrob to, bo inaczej przekonasz sie, ze do tej pory bawilem sie tylko z toba!

-Wsadz sobie ogon w... - Reszta obelgi zagluszyl wrzask bolu, spowodowany

wzmocnieniem nacisku. Keman nie zamierzał poddać się i ulec Rovylernowi, ale zamiary te nie mogły długo potrwać.

Zabije go! Oskrobie z lusek! Ujrzawszy to, Shana nawet nie była w stanie jasno myśleć. Zawrzała gniewem, a świat zaweział się tylko do jednego celu. Straszliwe ciśnienie, niczym płynna lawa wypełniło jej piersi, oczy zaszły czerwona mgła, a z gardła wyrwało się warczenie rozwścieczonego wulfa.

Keman wrzasnął i wtedy eksplodowała moca. Trzy kamienie wielkości jej głowy wyrwały się z ziemi, w której były częściowo zagłębione i w mgnieniu oka pomknęły w stronę lobuza.

Shana zachowała na tyle przytomności umysłu i opanowania, że nie celowała w głowę. Wszystkie trzy pociski natomiast uderzyły z łomotem w tułów Rovylerna poniżej kregosłupa, tuż za zębami.

Uderzony nimi stracił równowagę, a impet zrzucił go z grzbietu Keman i ogłuszył.

Rovy upadł na bok, wijąc się jak oszalali i ledwie mogąc wydać głos. Wymachiwał w powietrzu luznym skrzydłem, a tymczasem Keman podnosił się na nogi, Shana natomiast zeszła po zboczu w lawinie piasku i kamyków, by wylądować obok swego przybranego brata. Nie ulagodziły bynajmniej jej gniewu. Rovy wreszcie niezgrabnie stanął na nogi i gapił się na nich z tepym zdumieniem, zbyt zaskoczony, by nawet się ruszyć.

Shana jednak nie była zbyt zaskoczona, by zadziałać. Dopiero rozpoczęła napasc.

Wszystko, co Rovy zrobił jej, czy Kemanowi, zapłonęło w jej pamięci i była gotowa zemścić się za to. - Lajdak! - wrzasnęła, używając mocy do ciskania w jego głowę kamieni wielkości pięści, tak że zmuszony był uchylać się stale przed nimi. - Tchorz! Poczwaro! Jesteś przejawem uwstecznionych cech gatunku! Jesteś niczym innym, jak ogromnym, głupim jaszczurem! Kurzy mózdek! Lajza! Zajęcze serce! Szczurza mordą! Szczęniak uganiający się za własnym ogonem!

Podskoki Rovy'ego, który usiłował uchylać się przed gradem spadających kamieni, były naprawdę zdumiewające. Shana jednak była od niego szybsza. Wreszcie nie zdążył się uchylać i jeden z kamieni trafił go tuż nad okiem tak, że aż wrzasnął z bólu.

-Podoba ci się? - wykrzyknęła Shana, ciskając po kilkanastu kamieni naraz. Rovy cofał się pod zbocze wzgórza przed idącą za nim Shana, która nie dawała mu szansy na ucieczkę. - Mam ich jeszcze sporo! Spróbuj raz bić się z kims, kto nie jest od ciebie mniejszy, Rovy, ty poczwaro! Ty wielki byku, pokaże ci, co to znaczy, gdy ktoś się na ciebie uweźmie! Zbiję cię na kwasne jabłko! Zobaczysz, co...

Shana!

Shana skupiła uwagę na Rovy'ach tak bardzo, że nie zważała na nic innego, więc wydało jej

się, że głos dobiega znikąd. Była tak zaskoczona, że kilka ostatnich kamieni spadło w połowie lotu. Ogromna łapa zacisnęła się na ramieniu Shany - za duża, jak na łapę Kemana.

Wyrwana z napadu wściekłości dziewczyna podniosła głowę i spojrzała prosto w przerażoną twarz Alary.

A za Alara nadlatywały, lub pospiesznie wylaniały się zza grani wszystkie smoki leza.

Pierwsza była Lori, matka Rovy'ego, która wylądowała obok swego poszkodowanego potomka i opiekunczo nakryła go skrzydłami, odwracając głowę z najdziwniejszym wyrazem twarzy, jaki Shana kiedykolwiek widziała. Rozwarła szeroko oczy ze złości, nastroszyła grzebien na grzbiecie i odsłoniła wszystkie zęby aż do ostatnich w szczecie.

-A widzicie! - wrzasnęła z całych sił przenikliwym głosem. - Wiedzicie! Mówiłam wam wszystkim, ale wy mnie nie słuchaliście! Ten stwor jest niebezpieczny, jak wściekły, nie można mu ufać!

-Zaczekaj chwileczkę, Lori - zaczął Keoke, stając pomiędzy nią i Shaną, kiedy zdawało się, że Lori zamierza rzucić się na dziewczynę. Nioń gniew Shany. - Nie będziemy więcej czekać! Jest zbyt groźny, by mógł żyć!

Zabijcie go! Zabijcie go natychmiast!

Rozdział IX Tylko jedno pomieszczenie w legowisku było wystarczająco duże, by pomieścić zgromadzonych mieszkanców: ogromna jaskinia, od której odchodziły wszystkie inne. Była teraz pełna, bowiem niemal setka członków rodu tłoczyła się na podłodze, lub siedziała na skalnych występkach czy skalach, które znajdowały się pod ścianami, a także wznosiły bezpośrednio z podłoża. Spiralna pieczara jarzyła się wielobarwnym blaskiem, którego źródłem były po części magiczne światła zapalone przez mistrzów magii rodu, a reszta tworzyła olśniewająca tęczowa poświata odbita przez tysiące kryształów wprawionych w górna część ścian i sklepienie.

W jaskini grzmiało echo wzburzonych głosów, bowiem doprawdy nieliczni byli przedstawiciele rodu, którzy nie mieliby opinii na obecny temat. Echo podwajało i potrajało ilość głosów, czyniąc je tym trudniejszymi do zrozumienia. Alara zachowywała spokój i trzymała nerwy na uwiezi, pozwalając innym wykrzyczeć się. W chwili obecnej wyklócenie się z najbardziej wystraszonymi i najbardziej fanatycznymi członkami rodu nie miało sensu. Większość z nich aż do tej chwili nie miała pojęcia, że Shana jest czymś więcej niż osobliwym zwierzątkiem domowym. Zdolności dziewczyny, a w szczególności jej siła, zaszokowały ich straszliwie.

Jeśli chodziło o pozostałych, wśród tych, którzy wiedzieli, kim jest Shana, panowały podzielone zdania, które wyrażano podniesionym głosem. Choćby Lori, która od rozpoczęcia zebrania leżała wrzeszcząc co sił w płucach. Alara miała nadzieję, że zaczęła działać na nerwy nawet swoim poplecznikom.

Do tej pory powinna już przynajmniej zachrypnąć. Alara pomyślała litosciwie o biednej Shanie, zamkniętej w ślepej odnodze jaskini na koncu głównej pieczary.

Wejście blokował głaz zbyt duży, aby go mogła podnieść. Zostawili ją tam sama w ciemności, a tylko obecność Alary i Keoke powstrzymała Lori od rozszarpania jej na miejscu. Keoke skorzystał ze swojego stanowiska najstarszego smoka obecnego przy uwięzieniu i przypomniał, że głaz, jakim przywalili wejście do jaskini, był tak wielki, że nawet Ojciec Smok nie poruszyłby go.

Dzięki temu pozostali dali się przekonać, że i dla Shany był za duży, szczególnie biorąc pod uwagę rozmiary kamieni, jakimi obrzuciła Rovy'ego. Alara nie była tego zupełnie pewna. Całe zajście z Rovyem świadczyło według niej o opanowaniu, a nie bezmyślnej przemocy.

Alara zastanowiła się nad stosunkowo lekkimi obrażeniami, jakich doznał lobuz.

Rovy miał jedno złamane zebro, rozcięcie nad okiem i wstrzas mózgu. Shana mogła trafić go w głowę którymś z większych kamieni, a wtedy już by nie żył. Nawet smok nie przeżyłby uderzenia w czaszkę czymś tak dużym, szczególnie gdyby Shana dobrze wymierzyła. Mogła wybić mu oko tym kamieniem, który go tylko skaleczył. Złamane zebro nawet nie znajdowało się z tej strony, w którą został uderzony, lecz w bok, na który upadł. Prawdopodobnie złamał je upadając. Na ogień i deszcz, gdyby naprawdę była okrutna, z łatwością mogłaby połamać mu skrzydła tymi kamieniami i pozbawić możliwości latania na wiele miesięcy.

-To wściekle zwierze złamało zebro mojemu dziecku! - wrzasnęła przenikliwie Lori, co najmniej po raz setny. Jej głos odbił się echem od sklepienia groty, sprawiając, że ci, którzy znajdowali się najbliżej, skrzywili się. Alara dostrzegła z nadzieją, że nawet zwolennicy Lori zaczęli mieć znudzone miny. - Nie będzie mógł podnieść się z posłania przez co najmniej tydzień! Mówię wam, ono się wściekło i jeśli wy go nie zabijecie, ja to zrobię!

Lori wreszcie zachrypla, szum w grocie przycichł znacznie, a Alara doszła do wniosku, że to najlepszy moment, by odezwać się. Wybrała sobie wcześniej miejsce na szczycie jednej ze skal, ale ponieważ leżała na niej, stosunkowo nie rzucała się w oczy. Natomiast gdy wzniosła głowę i rozłożyła skrzydła, wszyscy zwrocili głowy w jej stronę.

-Twoje najukochansze dziecko, które nie jest dzieckiem, według definicji rodu, napastowało przybranego brata Shany, który wciąż jest dzieckiem wedle tej samej definicji - powiedziała chłodno i wyraźnie, wygłaszając swe oskarżenie wśród ogólnej wrzawy.

Natychmiast zapadła cisza; nawet Lori była zaskoczona i gapiała się z otwartym ze zdumienia pyskiem. - Przez Rovy'ego Keman nie będzie mógł latać przez kilka tygodni, a nawet chodzenie sprawia mu ból. Proponuję wam, członkowie rodu, abyscie zastanowili się nad tym! Rovy'ern wywołał awanturę, Shana tylko przyszła z pomocą swemu przybranemu bratu.

-Alez...! - wykrzyknęła stłumionym głosem Lori.

Alara odezwiała się nie zważając na jej słowa i starając się, by to co mówiła, zabrzmiało spokojnie i rozsądnie. - Keman wazy jedna trzecia mniej, niż Rovy. Shana wazy, być może, jedna setna tego, co Rovy. Czy to według was wygląda na uczciwe szanse?

-Ale... ale ono dysponuje magią! - zapiszczała Lori. - Użyło magii przeciwko Rovy'emu! Mogło go zabić! Nawet ty nie wiesz, co ono może zrobić! To mieszaniec, nikt nie wie, do czego oni są zdolni i nawet ty nie możesz twierdzić, że jest inaczej!

Alara skinęła głową. - Tak, posiada magiczną moc polełfów. Nie, nie wiem, co może zrobić przy ich pomocy. Sadzę jednak, że biorąc pod uwagę okoliczności, wykazała godne podziwu opanowanie.

Lori ucichła z obrażoną miną, a w jaskini zapadła cisza tak przejmująca, że aż bolały uszy. Keoke przemówił w tej ciszy, przerywając ją łagodnie. - Problem w tym, Alaro, że nie wiemy, czy było to opanowanie, czy przypadek. Mamy tylko jej słowo na to, że bron była wymierzona, a nie trafiła w przypadkowy cel. To po prostu nie wystarczy.

Po jego przemowie wystąpiła Orola, kaszlnawszy najpierw. Wszyscy spojrzeli w jej kierunku. Wykorzystując fakt, że uwaga pozostałych była skierowana na nią, wstała, gorując nad wszystkimi. - Lori, twój syn dostał dokładnie to, na co zasłużył - powiedziała zdecydowanie. - Chciałabym, żebyś dowiedziała się, że właśnie leciałam, aby mu osobiście spuścić łanie. Mogę jeszcze to zrobić, jeśli okaże się, że się niczego nie nauczył.

Usłyszałam większość tego, co powiedział i zgodnie z wszelkimi zasadami powinien zostać za to ukarany. Żaden smok nie będzie innego nazywał panem. To wszystko zostawiliśmy za sobą i nie będziemy tolerować żadnych prób wprowadzenia tego ponownie.

Uradowana niespodziewanym wsparciem najdostojniejszego ze smoków leżała, Alara ponownie nabrała nadziei na wydostanie Shany z kłopotów.

Jednakże te nadzieje zdruzgotaly następne słowa Orola.

-Keoke ma rację, Alaro - ciągnęła, przenosząc na nią spojrzenie swych łagodnych, złotych oczu. - Wiem, że darzysz uczuciem tego mieszańca i wiem, że Keman uważa je za swą przybraną siostrę, ale ono nie jest jednym z rodu i obie o tym wiemy. Prawdziwy problem polega na tym, że nie wiemy, czy rzeczywiście pokierowało swoją mocą tak jak twierdzi. Jeśli mówi prawdę, to dobrze; wykazało opanowanie w pełni godne podziwu.

Lecz jeśli nie, to następnym razem, gdy będzie rozwścieczone, może zabić. Nie możemy podejmować takiego ryzyka, Alaro. Po prostu nie możemy.

Nie... nie, to nie może być tak, to niesprawiedliwe!

-Zabic je! - warknela Lori. - To wściekle zwierze! - Przeciagnęła wysuniętymi pazurami po kamieniu, wywołując zgrzyt, który usłyszeli wszyscy obecni w jaskini.

Anoa wtraciła się, zanim Alara zdążyła na to odpowiedzieć. - Nie ma mowy o zabijaniu - powiedziała stanowczo, a dwoje pozostałych seniorów pokiwało głowami.

-Bez względu na to, co ty, Lori, i niektórzy pozostali możecie sadzić, to dziecko nie jest zwierzęciem. Przybierałam postać elfich władców oraz ich ludzkich niewolników i dość często przemierzałam ich świat, tak jak Alara, by się o tym przekonać. Ty, Lori, i ci, którzy cie popierają, nie uczynili tego i nigdy nie uczynią. Nie macie albo zdolności, albo chęci, a nikt, kto nie był tam, nie ma żadnych podstaw do osadu.

Smoki, które przybierały inne postaci, pokiwały żywo głowami. Lori patrzyła wściekle, pozostali odwrócili spojrzenia.

Anoa zaczęła chwile, a potem kontynuowała cichym i rozsądnym głosem.

-Mówię z doświadczenia. Ludzie są równie inteligentni, lub równie głupi, jak najlepsi i najgorsi spośród rodu. Nie są zwierzętami. Elfowie są potężni, bardziej potężni, niż sobie wyobrażacie, a powodem istnienia niepisanego prawa zakazującego ujawnienia przed nimi naszej egzystencji jest fakt, iż mogliby zniszczyć nas, gdyby zechcieli. Mimo to historia mówi nam, że mieszkańcy byli bardzo bliscy unicestwienia ich. - Anoa przerwała, aby jej stwierdzenia wywarły pełny wpływ. - Nie, Lori, takiego potencjału zniszczenia nie znajdziesz wśród zwierząt. Masz jednak rację pod jednym względem: potencjał ten jest niezmiernie niebezpieczny i sadzę, że nie jesteśmy już w stanie zapanować nad tym dzieckiem.

Widok smoków kiwających głowami potakująco ze wszystkich stron zgromadzenia zakończył nadzieję Alary na zdobycie poparcia dla swego stanowiska. Zamierzali wyrzucić Shane w świat, o którym nic nie wiedziała, w ręce tych, którzy zabiliby ją, gdyby dowiedzieli się, kim jest. Co może zrobić? Coż mogłaby uczynić?

Gdy Anoa znowu położyła się, wstał Keoke. - Alaro, wydaje mi się, że będziesz musiała usunąć zagrożenie nam niebezpieczeństwo, pozbywając się tego dziecka. - Alara zerwała się na nogi, strosząc grzebień grzbietowy, lecz Keoke spojrzeniem nakazał jej usiąść. Usadowiła się ponownie, okazując niechęć i podnosząc skrzydła. - Nie twierdzę, że powinnas ją zabić, ale po prostu nie może dłużej zostać ani tu, ani nawet w pobliżu leża. Będziesz musiała pozwolić nam wypuścić ją w świat. Jeśli jest choćby w połowie tak nadzwyczajna, jak twierdzisz, poradzi sobie doskonale.

Ależ ona nie jest gotowa! - chciała wykrzyknąć Alara. Nie powiedziałam jej niczego o tym świecie! Ona nawet nie wie, że istnieje jakieś inne prawdziwe dwunogi poza nią!

Nie powiedziała jednak niczego takiego. Gra toczyła się o coś więcej, niż tylko o los Shany - gdyby zaprotestowała, straciłaby twarz przed wieloma spośród członków rodu.

A to bardzo poważnie odbiloby sie na szacunku dla niej jako szamanki. Ostatecznie nie przyniosloby to zadnej korzyści Shanie. Rod zadecydowal, ze wygna dziecko - bez wzgledu na to, co powie, czy uczyni w obronie dziewczynki. Pohamowala gniew, lecz trudniej bylo opanowac rozpacz... - Ojciec Smok powiedzial, kiedy przynioslas ja nam, ze ona ma wielkie hamenlai - ciagnal Keoke wymachujac nerwowo ogonem, tak ze najblizsi odsuneli sie z dala od niego. - Sluszenie przypomnialas nam o tym niedawno. Damy jej szanse, aby to udowodnila. Sadze, ze powinniśmy zabrac ja na pustynie, w poblize szlakow karawan i zostawic ja tam. Znam prawo, ale nie sadze, by to co powie ludziom mialo znaczenie. Kiedy ja znajda ludzie, jesli ja odnajda, wszystko co powie o rodzice, uznaja za majaczenie istoty chorej od zaru slonca. Ona potrafi znalezc wode.

Jesli jest czymś wiecej, niz tylko byстрыm zwierzeciem, uratuje sie, a jej potencjal dokonywania zmian zostanie dobrze wykorzystany posrod ludzi.

-A jesli jest zwierzeciem, jak twierdzi Lori - przerwala sucho Anoa - nie uratuje sie i szkoda nie zostanie wyrzadzona.

-Czy to nie powinien byc moj obowiazek? - zapytala rozpaczliwie Alara, goraczkowo szukajac okazji, zeby przekazac Shanie niezbedne informacje, zanim porzuci ja na pastwe losu, jakikolwiek ja spotka. Bedzie nim smierc, pomyslala posepnie Alara, jesli odkryja, kim ona jest w rzeczywistosci...

-Nie! - krzyknela Lori, zanim ktos walnal ja skrzydlem, aby sie uciszyla.

Keoke pokrecil glowa, sprawiajac ze swiatlo splynelo po jego szyi plynnyimi falami.

-Lori ma pod tym wzgledem racje, Alaro - powiedzial do szamanki. - I tak poswiecilas az za duzo czasu temu mieszancowi. Doprawdy przesadnie wiele czasu, biorac pod uwage twoje obowiazki. Masz zadania i powinnosci, a sa posrod nas tacy, ktorzy uwazaja, ze czas, jaki poswiecilas na opiekowanie sie ta swoja wychowanka, zamiast wypelniac obowiazki, mogli okazac sie zmarnowany. Nie, my sie zajmiemy dzieckiem. Ty zajmij sie swoim wlasnym synem i corka, oraz swoim urzedem.

Alara spuscila pokornie glowe. Miala ochote wrzasnac w gniewnym protescie, ze rola szamanki polega na sprzeciwie - lecz teraz juz wiedziala, ze istnieje cienka linia pomiedzy krnabrnoscia, a sprawianiem wystarczajaco wielu trudnosc, by zostac uznanym za zagrozenie.

Na tym praktycznie spotkanie zakonczylo sie. Trwala jeszcze przez jakis czas dyskusja - glownie podtrzymywana przez Lori, ktora nie byla zadowolona z ustalen narady, ani tez z krytyki, jakiej poddany zostal jej syn. W koncu jednak wyszla pokonana i niezadowolona.

Alara powrocila do leza i do Kemana z ciezkim sercem. Nie pozwolono jej nawet pozegnac sie z Shana.

Stala w sloncu przed wejsciem do domu i przygladala sie odlotowi Keoke, który trzymal cos malego w prawej przedniej lapie. To cos bylo jej wychowanka, która nie miała przy sobie nic, z wyjatkiem tuniki, w która była ubrana.

Alara z trudem przygladala sie temu - a jednak nie mogła odwrócic oczu. Zakazano jej nawet rozmawiania myslami z dziewczynka, więc poslala Shanie milczace, smutne pozegnanie, czujac, jak pieka ja oczy, a zoladek sciska zal i tesknota.

Moje malenstwo - moje biedne, niewinne malenstwo...

Odprowadzala ich wzrokiem dlugo po tym, gdy Keoke znikl w blekitnym blasku bezchmurnego nieba, z calego serca zalujac, ze niczego nie mogła zrobic, aby temu zapobiec.

Potem zeszla w chlodna glebie jaskini, zastanawiajac sie, jak powie o tym Kemanowi.

Przez wiekszosc czasu, jaki spedzila w niewoli, Shana plakala, zarowno z gniewu, jak i ze strachu. Gniew z powodu calej tej niesprawiedliwosci - i strach przed tym, co moga jej uczynic.

Jaskinia, w jakiej ja zostawiono, była chlodna i nie dokonczona. Nawet nie zrobili swiatelka. Nie pozwolono Alarze zbliczyc sie do niej i nikt nie chcial jej powiedziec, gdzie jest Keman, ani chocby, jak sie czuje.

To takie niesprawiedliwe! Rovy byl ciezszy od niej i Kemana razem wziawszy - byl znanym lobuzem i rozrabiaka i nie bylo takiego mlodego smoka (z wyjatkiem moze Myre), który nie ucieszylby sie na wieśc, ze ktos wreszcie dal mu lupnia.

Rovy popelnil znacznie wieksze wykroczenie niz Keman te piec lat temu - zadal mlodszemu smokowi okaleczenia, które z latwoscia mogly okazac sie nieodwracalne.

A mimo to uwieziono ja, jakby to ona zrobila cos niegodziwego!

Nie to jednak bylo najgorsze w tej niesprawiedliwosci. Slyszala przenikliwe okrzyki Lori domagajacej sie jej smierci - Lori była nastawiona do niej wrogo od samego poczatku, a wsrod rodu bylo wielu, którzy zgadzali sie z nia. Shana nie przypuszczala, aby przybrana matka pozwolila im zabic ja...

Sama mysl o tym wystarczyla, by plakala ze strachu jeszcze dlugo po tym, gdy zlosc jej przeszla.

Nie mogła doslyszec, co mowiono w wielkiej jaskini. Echo za bardzo zniekształcalo glosy. Od czasu do czasu wychwytywala swoje imie, imie Rovy'ego i Kemana, lecz nic poza tym.

Wreszcie wrzawa ucichla; slychac bylo tylko szepty. Czekala, az ktos przyjdzie i powie, co

sie z nia stanie. Zdawalo sie, ze uplynela wiecznosc, w ktorej siedziala skulona na zimnym, nagim kamieniu w niemal calkowitej ciemnosci, rozproszonej zaledwie odrobina swiatla przedostajacego sie szparami wokol glazu, jakim przywalono wejscie do jej wiezienia.

Objela sie ramionami i zadygotala, nie tylko z chlodu. W koncu uslyszala stukanie szponow o posadzke i szmer dwoch glosow. Rozlegl sie zgrzyt kamienia o kamien.

Wielki glaz odtoczył sie powoli na bok, wpuszczając więcej swiatla przez poszerzający sie otwor, a wtedy dostrzegła ciemny, pajeczy zarys szponiastej lapy odsuwajacej kamien.

Uwazala, ze powinna stawic im czola stojac. Podniosla sie z posadzki powoli i niezdarnie, czujac wszystkie since i zadrapania, jakie odniosla podczas przeprawy przez gran. Miesnie miala obolale i sztywne z zimna. Wytarla oczy wierzchem dloni i mrugnela w zoltych blasku swiecajacej kuli, ktora unosila sie nad glowa Keoke. Towarzyszyła mu Orola, lecz odeszła po odsunieciu glazu.

Keoke przygladal jej sie nieufnie przez chwile, jakby oczekiwal, ze cisnie kamieniem w jego glowe. Prawde mowiac, jego niestrzezone mysli wyraznie powiedzialy jej, ze czeka wlasnie na to. "Szkoda, ze nie wiem, o czym ona mysli" - uslyszala jak mowi w myslach, przygladajac sie jej. Ujrzala siebie w jego oczach: nie byla mala, wybrudzona, bezradna istota, jaka sie czula, lecz czymś obcym i niezrozumialym, nie mniej niebezpiecznym niz smok, mimo malych rozmiarow. "Skorpion jest maly - uslyszala - i dlugozęby pajak.

Oba potrafia zabic. Moglaby wyrzadzic krzywde nawet mnie, gdyby zechciala. Moglaby trafic mnie kamieniem w glowe rownie latwo, jak tego chlopca".

Troche jakby zaluje, ze nie moze... Czula sie kompletnie wyczerpana po uzyciu swych mocy przeciw Rovy'emu. Gdyby tak bardzo nie byla przerazona i zaniepokojona, pewno usnelaby w swym malym wiezieniu.

-Mam nadzieje, ze nie spodziewasz sie, ze przeprosze - powiedziala ponuro - poniewaz nie uczynie tego. Zrobilabym to jeszcze raz. Rovy jest parszywym draniem i uwazam, ze wszyscy jestescie wstretni, pozwalajac, aby uszlo mu na sucho znekanie sie nad nami przez tak dlugi czas.

Ku jej zdumieniu, Keoke zasmial sie smutno. - Nie, nie spodziewam sie przeprosin, dziecko, a gdybym byl na twoim miejscu, zaryzykowalbym stwierdzenie, ze mialbym takie same odczucia.

Potarła dloni ramiona, usilujac rozgrzac sie, lecz nie ruszyła sie z miejsca. Keoke strzegł teraz swych mysli, wiec nie mogła czytac w nich, nie zdradzajac mu, ze to czyni.

Poniewaz nie wiedziala, o czym mysli, nie wiedziala, co planuje i nie miala zamiaru ruszac sie, poki sie nie dowie.

-Czemu wiec zamkneliscie mnie pod ta skala, jak mysz zachowana na kolacje? - spytala, nie probujac nawet ukryc gniewu. - Jesli nie uczynilam niczego zlego, dlaczego karzecie mnie?

Keoke westchnal i opuscil grzebien. - Dziecko, reprezentujesz cos nowego i obcego. Uczynilas cos, czego my nie potrafimy. Wszystko, co zyje, boi sie obcosci, Shano, nawet rod. Uwielbiamy zmianę, ale tylko wtedy, gdy nad nia panujemy, i szczerze mowiac, tylko wtedy, gdy materialnie nie ma wplywu na nas. Byc moze glupota jest obawiac sie malego dziecka, ktore wiekszosc z nas moglaby zgniec jedna lapa, ale boimy sie. - Spuscil glowe i skierowal wzrok nieco na bok, jakby wstydzil sie. - Przykro mi, Shano, ale to co zrobilas Rovy'emu, nie byloby niewlasciwe, gdybys nalezala do rodu.

Zaslugiwal na to i powiedzialas nam, ze moglabys wyrzadzic mu znacznie wieksza krzywde, niz to uczynilas. Ale...

-Ale nie naleze do rodu - odrzekla glosem pozbawionym uczuc. W jakis sposob wiedziala od dawna, ze wszystko na tym sie skonczy.

-Wlasnie. Niektorzy z rodu nawet sadza, ze jestes zwierzeciem, ktore rzucilo sie na swych panow, jak jednorogi. - Mrugnal oczami i wyczulal, ze jest zaklopotany.

-Udalo nam sie przekonac pozostalych, ze to nieprawda, lecz nie mozesz tu zostac dluzej, Shano. Przykro mi. Bede musial zabrac cie daleko od leza, na tyle daleko, bys nie mogla wrocic, i tam cie pozostawic.

Slowa spadly na nia jak kamienie, ktorymi obrzucila Rovy'ego i ogluszyly ja w rownym stopniu. Wpatrywala sie tylko otepiale w Keoke, nie mogac ruszyc sie, ani nawet odezwac sie slowem. Mysli rozpaczliwie biegaly po jej glowie malymi kolkami, niczym mysz schwytana do sloika.

Zabierze mnie? Gdzie? Co ja zrobie? Co sie ze mna stanie?

Tak byla wstrzasnieta, ze nie dostrzegla ruchu Keoke. Nie miala pojecia, co uczyni, az do chwili, gdy objal ja wielka lapa w pasie i wyniosl z wiezienia.

A wtedy, oczywiscie, bylo juz za pozno na cokolwiek, nawet na lzy.

Keoke wyrzucil ja - doslownie - gdzies na pustyni. Nawet nie wyladowal na dosc dlugo, by ja zostawic; zawisl po prostu w powietrzu, wzbijajac skrzydlami wielkie chmury piasku, rozwarl palce i zrzucil ja. Nie byl to upadek z wysoka - z odleglosci nieco wiekszej od jej wzrostu - lecz za to niespodziewany.

Ladujac rozluznila miesnie i poturlala sie, przewracajac przez ramie, by nie zrobic sobie krzywdy w momencie zetkniecia z gruntem. Przez chwile lezala na goracym piasku, by wrocic do siebie po wstrzasie. Zanim podniosla sie, Keoke byl juz zaledwie punkcikiem na

turkusowej misie bezlitosnego, blekitnego nieba.

Otrzeplała się z piachu, rozejrzała po pustkowiu, na jakim ją zostawiono i miała ochotę wpasć w histerie. Placz i krzyk niczego jednak nie zmieniłyby.

A więc wzięła się w garść i oceniła swoje położenie.

Mogłaby wybrać gorsze miejsce, aby mnie zostawić, pomyślała po sobie.

Po drodze było wiele gorszych miejsc. Lecieli nad płaską, słoną równiną, która ciągnęła się kilometrami, potem nad pustym obszarem piachu i małych kamieni wygładzonych nieustającym wichrem, a potem nad piaszczystą przestrzenią, gdzie nie rosło nic, z wyjątkiem kaktusów, i to nielicznych.

Tu przynajmniej krajobraz usiany był krzewami sajus, a gdzieś tam sterczały skały otoczone krzakami. Było ich dość, by zapewnić jej schronienie przed słońcem na resztę dnia. Znała się na pustyni wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie wytrzymałaby długo w pełnym żarze słońca, i że musi podróżować nocą.

Jeśli będzie miała dokąd pójść...

Zdusiła łzy, które groziły wyrwaniem się spod kontroli i opanowała się. Ta kepa zarosli oraz skał była zbyt zachęcająca i bez wątpliwości już udzielała schronienia innym stworzeniom. Jedne podzieliłyby się z nią tym schronieniem bez oporu, inne nie.

Jedyny sposób, by dowiedzieć się, kto "jest w domu", to zajrzeć.

Na początek rzeczy najważniejsze. Musi znaleźć cień, zanim nie padnie z udaru słonecznego. Już teraz zdawało jej się, że słońce wciska ją w ziemię, jak wielka łapa. Załowała każdej łzy, jaką uрониła w jaskini, jako zmarnowanej wody. Na kolanach podczołgała się ostrożnie do mizernego cienia rzucanego przez najbliższy krzew sajus.

Mimo iż cień był tak skąpy, istniała ogromna różnica temperatury między ocienionym piaskiem pod galeziami a odsłoniętą przestrzenią kilka kroków dalej.

Shana wyciągnęła się na brzuchu i położyła podbródek na złożonych przed sobą dłoniach. We włosach miała wplątane kawałki gałązek sajus. Pod krzakiem było zaledwie trochę cienia, by mogła zmieścić się cała. Wykorzystując do uspokojenia się metody, jakich nauczyła ją Alara, oddychała powoli i głęboko, zmuszając się do rozluźnienia.

Dyscyplina, którą Alara wpoila jej, zadziałała równie skutecznie, co zwykle, pomimo wysiłku, strachu i mnożących się problemów, które były przed nią. Po chwili zdolowała już pograć się w lekki trans i zacząć poszukiwanie śladów życia w okolicy.

Pustulka w skalnym zagłębieniu okazała się pierwszym żywym stworzeniem. To dobrze, jej

obecność oznaczała brak myszy i niewiele dużego robactwa. U stóp skały spoczywał ptak-biegus - to jeszcze lepiej! Wokół biegusów nigdy nie znajdowano węży, chyba, że w ich żołądkach...

Rozglądała się dalej, posyłając umysł głębiej, szukając jeszcze drobniejszych żywych istot. Znalazła je i rozpoznała dokładnie, gdzie się znajdują, zaznaczając ich obecność na myślowej mapie, aby je spamiętać, gdy wyjdzie z transu.

Skorpionów było mnóstwo, chociaż jedynymi pajakami znajdującymi się w pobliżu były zwykle pajaki łowcze, które nie będa jej niepokoić. Cała masa jaszczurek, w większości tych małych, rozmiarów jej najdłuższego palca. Gniazdo mrowek, a tych trzeba było unikać za wszelką cenę. Za to nie było os, co prawdopodobnie wyjaśniało istnienie zdrowej populacji łowczych pajaków, ponieważ pustynne osy polowały na pajaki i składały swe jaja w ich wnętrzu przed zamurowaniem sparalizowanego ciała w jamę gniazdową.

To byli już wszyscy mieszkańcy suchej kępy roślinności. Nie było tu nic, co potrzebowało wody do picia. Nie było żadnych ssaków, a obu ptakom wystarczała wilgoć zawarta w ich ofiarach. Oznaczało to brak wody, do której Shana mogłaby się dokopać.

Nie ma wody - zwalczyła przyływ strachu, który jednakże wyrwał ją z transu.

Otworzyła oczy, przed którymi rozciągał się ten sam widok piachu i nagich galezi i oblizła spierzchnięte wargi. Wiedziała, że na razie nic jej nie grozi - to znaczy tak mówił jej rozsadek. Przekonanie o tym bezrozumnej części jej osoby było czymś zupełnie innym.

Najpierw rzeczy najważniejsze, powiedziała sobie. Potrzebowała schronienia i odpoczynku, i to już wkrótce.

Teraz, kiedy wiedziała już, gdzie znajduje się każde stworzenie, łącznie z kolonią mrowek, mogła unikać popełnienia błędów o potencjalnie śmiertelnych skutkach - jak położenie ręki na skorpionie. Znowu zaczęła czolgac się na kolanach pod galeziami sajusa w stronę grupki skał pośrodku, promieniując spokojem do biegusa tak usilnie, jak tylko mogła bez przerywania ruchu. Im bliżej uda się podejść do ptaka, tym lepiej dla niej. Jego obecność nie tylko zagwarantuje, że w pobliżu nie będzie węży, ale prawdopodobnie przepłoszy również skorpiony. Nigdy nie widziała, żeby któryś z nich zjadł skorpiona, lecz widywała, że zabijały jadowite owady.

Zbliżywszy się do podnoża skały, ujrzała ptaka, który siedział spokojnie, przyglądając się jej zbliżaniu błyszczącymi, czarnymi oczami. Usadowił się pod samym spodem głazów w najgłębszym cieniu, a jego cętkowane szarobrazowe pióra zlewały się z piachem i kamieniami. Mrugnął oczami i przechylił głowę na bok, jakby chciał lepiej się jej przyjrzeć, lecz nie wyglądał ani trochę na zaniepokojonego jej zbliżaniem się.

Przecisnęła się przez ostatnie galezie, tak że od ptaka dzieliła ją odległość nie większa od wyciągniętej ręki. Nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Ptak wciąż przypatrywał jej się,

lecz nie podniósł czubą i nie zmienił spokojnej postawy. Zwinęła się w kłębek tuż obok niego, przyciskając plecy do skały - chropowaty kamień był chłodny, a przynajmniej chłodniejszy od ziemi pod sajusem. Ptak przechylił głowę w drugą stronę, a ona, zdobywszy się na wielką śmiałość, wyciągnęła do niego rękę i zaczęła delikatnie drapać go po piórach czubą. Nigdy nie była tak blisko ptaka-biegusa; długi, ostry dziób miał długość przynajmniej jej dłoni i wyglądał groźnie - lecz jeśli uda jej się zaprzyjaźnić z tym ptakiem, nie będzie musiała obawiać się zasnąć w jego pobliżu.

Ptak wtulał się w jej dłoń, przymykając oczy z zadowolenia. Drapała go, dopóki nie odsunął się, a kiedy cofnęła rękę, znowu zmierzył ją spojrzeniem swych błyszczących oczu. Nastroszył nieco pióra i podniósł czub na chwilę, a potem znowu się usadowił, wyglądając na wielce zadowolonego.

Dziewczyna położyła się obok ptaka, wsparła głowę na ramionach i zamknęła na chwilę zmęczone, piekące oczy.

Przynajmniej zamierzała zamknąć je tylko na moment.

Gdzieś pomiędzy podjęciem decyzji o zamknięciu ich i decyzją o ponownym ich otwarciu, zapadła w sen.

Kiedy Shana zbudziła się, ptaka-biegusa już nie było. Miało brakowało, a rozplakałaby się. Ptak ten stał się dla niej niemal przyjacielem na tym dzikim pustkowiu pełnym piachu i kamieni.

W czasie gdy spała, zapadła noc; pustynna noc, pełna dźwięków i zapachów. Cykały owady, syczał piasek przysypywany wiatrem. W oddali wyło stado wulfów, lecz nie był to głos wołający na polowanie, a stadne wycie - wyłącznie dla wzmocnienia więzów w grupie.

Shana żałowała, że nie są bliżej; polubiła wulfy, które trzymał Keman. Zawsze byłoby to jakieś towarzystwo, nawet jeśli nieco ograniczone umysłowo. Gdyby udało jej się znaleźć stado wulfów i przyłączyć do niego, nie musiałaby już się martwić o znajdowanie pokarmu czy wody.

Keman... nawet nie zdołała pożegnać się z nim, ani z Alara. Zapamiętała go takim, jakim widziała go po raz ostatni - z krwawymi śladami na muskulach ramion i skrzydeł, utykającego, odchodzącego pod opieką kilku dorosłych. Pamiętała, że odwrócił się przez ramię i chciał coś powiedzieć, ale popędzono go. Scisnęło ją w gardle i znowu o mało co nie rozplakała się.

Placz w chwili obecnej był czymś gorszym niż zwykłym bezsensownym - placz oznaczał utratę cennej wilgoci. Stłumiała łzy i starannie wytarła palcem te dwie, które się wymknęły, zlizując je do sucha. Ślona ciecz tylko wzmogła pragnienie.

Spojrzała przez galezie sajusa na olsniewające gwiazdy, starając się określić czas.

Prawdopodobnie jest niedługo po zmierzchu, więc nie zmarnowała na sen wiele czasu przeznaczonego na podróżowanie.

Oparła się plecami o skałę i znowu pogrążyła w transie - było to niezbędne, ponieważ najprawdopodobniej od czasu gdy usnęła, wszystko, co wcześniej zauważyła, z wyjątkiem gniazda mrowek, zmieniło położenie. Skorpiony stanowiły równie duże zagrożenie po zmroku, jak i za dnia. Szczerze mówiąc, nawet większe, gdyż prowadziły raczej nocny tryb życia.

Większość z nich zgromadziła się przy resztkach zdobyczy, która musiał zostawić biegus; na wpol pozartym wezu po drugiej stronie skały. Zajęte były odcinaniem małych kawałków mięsa szczypcami i kłoceniem się o lepsze miejsca przy padlinie.

Było to niespodziewane błogosławieństwo - aż Shana zaczęła się zastanawiać, czy biegus nie porzucił tam ścierną świadomości, by odciągnąć od niej jadowite owady.

Potem doszła do wniosku, że prawdopodobnie był to przypadek. Chociaż trudno było wyczytać prawdziwe rozmiary martwego weza z małych umysłów skorpionów, zdawało się, że to prawdziwy potwór. Z pewnością biegus stwierdził, że nie jest w stanie pozrec go całego i zostawił resztki w miejscu, gdzie nie zwabilyby padlinozerców w pobliżu jego miejsca spoczynku.

Niezależnie od przyczyn, dzięki rezultatowi Shana mogła wypelznąć z zarosli na otwartą przestrzeń stosunkowo bezpiecznie i za to była niezmiernie wdzięczna.

Kiedy już znalazła się na nogach poza tymczasowym schronieniem, rozejrzała się dookoła, czując ogarniające ją uczucie coraz większej rozpaczki. Na północy, południu, wschodzie, czy zachodzie rozciągał się identyczny krajobraz. Srebrny piasek zalany olsniewającym światłem księżycy i usiany ciemnymi kepkami sajusa i skal. Podmuch wiatru nie przynosił śladu niczego nowego, tylko wiecznie obecna won sajusa. Każdy kierunek był jednakowo dobry. Doprawdy nie wydawało się, by udanie się gdziekolwiek miało sens - chyba, że w poszukiwaniu wody. Teraz nie tylko miała suche wargi, ale zaschło jej w ustach tak, że z trudem mogła zwilżyć język śliną. Musi wkrótce znaleźć wodę. Bez niej nie wytrzyma dłużej niż kilka dni.

Zamknęła oczy na plonące gwiazdy i wezwęła zmysł wody, lecz w najlepszym przypadku udało jej się wyczuć słaby i odległy ślad na wschodzie.

Coz, lepsze to niż nic.

Odwrociła się plecami do niewielkiej kępy krzaków i wyruszyła przez piach bez żadnego innego celu. Światło księżycy wystarczająco oświetlało jej drogę, by mogła iść bez zbytniego potyknięcia się i była przekonana, że dopóki nie zejdzie z otwartej przestrzeni, nie powinno jej się nic stać. Wkrótce już wiedziała, że zgubiła się - a przynajmniej nigdy już nie uda jej się odnaleźć tamtej grupy skal i zarosli. Wulfy znowu zawyły, lecz z większego

oddalenia. Nie miała zadnego sposobu, by ustalic roznicę pomiędzy miejscem, gdzie była poprzednio, a tym, gdzie znajdowała się teraz, z wyjątkiem tego, że słabe wyczucie wody było teraz nieco silniejsze.

Czyżby chodziła w kolko? Taka możliwość z pewnością istniała, ponieważ w krajobrazie nie było znaków charakterystycznych, umożliwiających jej rozpoznanie drogi.

Gdyby jednak miała się tym martwić, równie dobrze mogłaby od razu zrezygnować.

Skupiwszy się na stawianiu jednej stopy przed drugą, trzymała się otwartej przestrzeni, by umknąć węzom i skorpionom, i starała się skoncentrować na wrażeniu zapowiadającym wodę. Udało jej się lepiej niż przypuszczała, gdyż po jakimś czasie zmieniła się w chodzącą maszynę, powtarzającą bezustannie kroki. Jej umysł pograżył się w jakby mgłę otepienia, gdzie sensowne myśli po prostu nie były możliwe. Świat dla niej zawężał się do konieczności kontynuowania marszu i tej dalekiej obietnicy wody.

Raz, czy dwa, przebudziła się i zauważywszy, że niewiele się zmieniło, popadała ponownie w apatyczny trans. Tuż przed switem wyczuła w powietrzu coś, co sprawiło, że zatrzymała się i wszystkimi zmysłami zaczęła szukać niebezpieczeństwa.

Odnalezienie go nie zajęło jej dużo czasu.

Niebezpieczeństwo przybrało postać ciemności na wschodnim horyzoncie, która zaciemniła blask przedświt, syczącego huku i nieruchomego powietrza wokół niej.

Ciemność rozrastała się z magiczną szybkością, wznosiła coraz wyżej i za każdym oddechem zasłaniała coraz większe połacie nieba.

Burza piaskowa!

Nie było mowy, aby zdołała jej uniknąć. Dostrzegła ją zaledwie dość wcześnie, żeby zdążyć schronić się w cieniu skały. Wykopała jame u jej podstawy najszybciej jak mogła, a następnie, słysząc już ryk zbliżającej się burzy, zaciągnęła wokół siebie galezie krzewu, zostawiając tylko trochę miejsca pomiędzy swym ciałem a skałą, by móc oddychać czystym powietrzem.

Wtedy dopędziła ją burza i wszechświat zawężał się do niewielkiej, ciemnej przestrzeni między nią a głazem. Głos burzy swiszczal, wyl i ryczał, a po kilku pierwszych chwilach huk stał się tak przeraźliwy, że przestał mieć znaczenie. Wiatr z piachem chłostał tył jej tuniki, jej ręce i nogi tak, że rozpaczliwie próbowała zakryć jak najwięcej nagiej skóry, czując ukłucia, które w każdej chwili mogły zmienić się w ból, jeśli się nie zasłoni.

Potem był już tylko mrok, huk i walka o zaczerpnięcie tchu.

Była pewna, że zginie.

Przez jakis czas, dopoki glos pustulki wolajacej kli-kli-kli nad jej glowa nie przekonal jej, ze burza piaskowa minela, Shana byla pewna, ze albo ogluchla, albo rzeczywiscie zginela w burzy. Powoli podniosla sie do pozycji siedzacej, a piasek osypywal jej sie z ramion, drazniac otarta skore. Zmruzyła oczy i spojrzala w oslepiajaco biale, poranne slonce.

Po burzy piaskowej, ktora o malo co nie zabila jej, nie zostalo sladu, z wyjatkiem sterty piasku, w ktorym byla na wpol pogrzebana, i faktu, ze z krzewu sajus, ktorym sie zaslonila zostaly zerwane wszystkie listki.

Powietrze juz ocieplalo sie. Niewielka pustulka przemknela obok i spadla na cos po drugiej stronie skaly, wznoszac sie ponownie z mysza w szponach i krzyczac radosnie kli-kli-kli.

Wyschniete usta i jezyk byly dla Shany meka.

Wydostala sie ze schronienia, wygrzebujac sie ze sterty piachu, ktora wokol glazu siegala jej do pasa, az wreszcie stanela, oparlszy sie jedna reka o skale.

Nie baczac na slonce, musi znalezc wode - wode, albo miejsce, gdzie moglaby przeczekac upal dnia, albo jedno i drugie. Jesli nie uda jej sie wkrótce znalezc wody...

Potrzasnala glowa, by przepedzic te mysl, zaczerpnela gleboko tchu i wyruszyła w kierunku wschodnim na miekkich nogach, ktore sprawialy wrazenie, ze za chwile uguna sie pod nia. Jej umysl po prostu nie funkcjonowal, a kazda mysl, zanim wylonila sie, dlugo przebijala sie przez mgle znuzenia. Dopiero po wleczeniu sie naprzod przez pol poranka, przyszlo jej do glowy, zeby poszukac wody.

Natychmiast gdy to zrobila, calym jej ciałem wstrzasnelo uczucie bliskosci wody, jakby znajdowala sie w jaskini, w ktorej zaryczal smok, tak ze wszystko zatrzeslo sie od powracajacego echa.

Wschod. Prosto na wschod. W slonce...

Nogi niosly ja same; najpierw zataczala sie niezdarnie, potem sztywno szla - a potem, nie mogac sie powstrzymac, rzucila sie do niezgrabnego biegu, potykajac bez przerwy. Biegla, choc oslepial ja zar slonca, choc padala na kamieniach i musiala wstawac z tuzin razy, albo i wiecej. Biegla, az wreszcie upadla, potknawszy sie o cos, co nie bylo skala, cos co wystawalo z piasku na wysokosc jej kolan, az upadla na twarz i nie mogla zaczerpnac tchu.

Lezala przez chwile dyszac, dopoki nie przejasnilo jej sie w glowie i gwiazdy nie przestaly jej tanczyc przed oczami, az wreszcie zdolala odetchnac pelna piersia.

Kiedy juz uczynila to, podniosla sie znad twardo ubitego piasku i zobaczyla, ze znajduje sie posrodku jakichs ruin.

Potknela sie o resztki niskiego muru; wszedzie wokol rozciagal sie cos, co przypominalo

pozostalosci budynkow. A tuż przed nią, chłodna i spokojna, pod niebem, które było równie jak ona błękitne, znajdowała się rzecz niemożliwa.

Woda; cała sadzawka wody.

Shana nawet nie próbowała wstać; podczołgała się na kolanach i rzuciła na kamienną krawędź otaczającą sadzawkę. Zaczepiła w dłoń zimnej, czystej cieczy i wypila ją łapczywie, a potem ochlapała twarz i kark, śmiejąc się przy tym do siebie i belkocząc histerycznie.

Wreszcie zaspokoili pragnienie i wyczerpała histeryczną energię. Odturlała się od krawędzi sadzawki i powoli usiadła.

A wtedy stwierdziła, że patrzy wprost na trupa. Trupa dwunoga.

W każdym razie na to, co z niego zostało.

Nie było tego dużo. Pustynne powietrze i piach z mumifikowały to, czego nie pożarły owady i ptaki. Kilka strzepów jedwabiu; wybielone słońcem resztki kości.

-Zdaje się, że nie dotarłeś tu wystarczająco szybko, prawda? - powiedziała Shana na głos, przyglądając się dziwnie zaokrąglonej głowie i palcom bez szponów. - Ciekawe, od jak dawna tu jesteś? Może od stu lat, a może zaledwie od dziesięciu. Szkoda, że nie możesz mi powiedzieć. Coż, przykro mi z twojego powodu, ale teraz muszę zająć się sobą. Ciekawa jestem, czy miałeś coś przy sobie?

Zaczęła przeszukiwać piasek wokół sadzawki, czy nie ma w nim niczego, co mogłoby przynieść ten nieznan. W tej chwili, nawet wydrazona tykwa byłaby czymś więcej niż posiadała. Przeczesała piasek palcami i wkrótce natrafiła na coś twardego o dziwnym kształcie.

Wyciągnęła przedmiot z piasku i westchnęła na jego widok. W dłoni trzymała coś w rodzaju paska z gietkiej, złotej siateczki wysadzonej szlifowanymi klejnotami, które lśniły w słońcu tysiącami punkcików wielobarwnego światła. Nigdy w swoim życiu nie widziała czegoś równie pięknego i natychmiast po jego ujrzeniu wiedziała, że musi to mieć.

Przez chwilę nie wiedziała, jak go nieść, lecz wreszcie wpadła na pomysł, żeby zwinąć pasek, robiąc małe zawiniatko ze strzepów jedwabiu, który wciąż łopotał na szkielecie nieszczęsnego dwunoga i zawiesić je sobie na szyi, chowając bezpiecznie pod tunikę.

Kiedy już ukryła je tam bezpiecznie, poczuła się dużo lepiej, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Może dlatego, że należało do dwunoga, potrafi skupić jej moc kształtu. Jeszcze może okazać się jedną z rodu, kto wie? Może potrzebne jej są tylko odpowiednie klejnoty...

Mrugnęła oczami, zaczynając odczuwać zawroty głowy z powodu prazacego słońca.

Trzeba lepiej poszukać miejsca, gdzie mogłabym przespac dzień, postanowiła wreszcie. Padnę, jeśli tego nie uczynię.

Pod ścianą jednej z ruin znajdowało się zagłębienie wyłobione przez piach i wiatr, miejsce, gdzie nie docierało słońce, chociaż stało dokładnie nad głową. Shana spróbowała wejść w trans, by sprawdzić, czy nie ma tam węży i skorpionów, lecz czuła takie zmeczenie i zawroty głowy, że wreszcie zrezygnowała.

Pogrzebała w jamie jedna z kości nogi szkieletu, a kiedy nie wypłoszyła niczego poza jedną płaską ropuchą pustynną, wtoczyła się w cień schronienia i natychmiast usnęła.

Keman, palając wrogostwa, wpatrywał się w Keoke tak długo, aż Dostojny spuścił wzrok. Keoke już dawno opuścił grzebien, lecz Keman nie zamierzał ustąpić przed nim ani odrobiny, choćby sprawa była beznadziejna. Jeśli może wywołać okropne poczucie winy w Keoke i swojej matce, zrobi to. - Rovy chciał zrobić mi rzeczywiście krzywdę, i wy o tym wiecie - powiedział gniewnie młodzik głosem pełnym nieskrywanej pogardy. - Znecał się nad wszystkimi mniejszymi lub młodszymi od siebie i o tym też wiecie. Pozwalalście mu na to. A teraz, kiedy Shana potraktowała go tak, jak sobie na to zasłużył, karzecie ja, a jemu puszczaćcie to płazem, nawet nie skarciwszy go! Czy to jest sprawiedliwe?

-Lashana nie należy do rodu, Kemanie - powiedział Dostojny, spoglądając zawzięcie w przestrzeń za ramieniem Kemana. Keman domyślił się, że pewnie po to, by uniknąć spojrzenia mu w oczy.

Mam nadzieję, że czujesz się podle, pomyślał wściekle do starego smoka. Mam nadzieję, że czujesz się parszywie. Mam nadzieję, że do końca życia będą ci przesładować koszmary o Shanie.

-Ale ja należę, a ona tylko broniła mnie! - upierał się. - Gdyby była jednym z moich wulfów i ugryzła Rovy'ego, gdy wyrzadzał mi krzywdę, czy ukaralibyscie ja?

-To co innego - powiedział niezrecznie Keoke. - Jesteś zbyt młody, by to zrozumieć, Kemanie, ale to co innego...

-Dlaczego? - przerwał Keman. - Bo ona jest dwunogiem? Dlaczego miałoby to coś zmieniać? Mama wychowała ją jak jednego z nas, wpajając ten sam kodeks honorowy. Ona okazała się go godna, a Rovy nie! To niesprawiedliwe i wiecie o tym!

-Kemanie! - powiedziała ostro jego matka, wkładając w to dość siły, by przeniósł spojrzenie z Keoke na nią. - Ty wciąż jesteś jeszcze młody, a Keoke należy do starszyny. Sytuacja jest bardzo skomplikowana. Chodzi tu o coś więcej niż tylko dobro Shany.

To powiedziała na głos, lecz myślami dodała: "Jeśli dalej będziesz zachowywał się tak

bezczelnie, bede zmuszona zrobic cos, co nie spodoba sie zadnemu z was. Nie moze ci teraz tego wyjasniac. Ktoregos dnia zrozumiesz".

Keman wcisnal glowe w obolale ramiona i spuscil pokornie grzebien na grzbiecie, ale mruknal buntowniczo: - To niesprawiedliwe. Wiesz, ze to niesprawiedliwe. I zebys nie wiem co mowila i tak bedzie to niesprawiedliwe.

Dorosli wymienili spojrzenia, ktore przejrzal bez trudu. Poirytowanie, wspolne poczucie winy, niecierpliwosc, cos na ksztalt: "znasz-przeciez-dzieci-kiedys-zrozumie".

Powlokł sie do swojej jaskini, czujac, jak wrze w nim zlosc.

Niczego teraz nie pragnal bardziej, jak zacisnac szpony na gardle Rovy'ego. To Rovy byl odpowiedzialny za wszystko, on i jego glupia matka. To niesprawiedliwe! Nie powinni byli zrobic tego Shanie. Ona nic nie wie o dwunogach. Mama nigdy jej nie opowiedziala. Shana znalazła tylko ich jezyk i pismo. A teraz wypędzili ja i przytrafi jej sie cos zlego. Tego Keman byl zupełnie pewien.

Chcial rozszarpac cos, gryzc cos, wykrzyzc swa zlosc ze szczytu gor. Juz urzadzil jeden atak hysterii, gdy zapytal, gdzie jest Shana, a matka musiala powiedziec mu, co sie z nia stalo. Nic przez to nie osiagnal. Sadzil, ze osiagnie sprawiedliwosc, jesli zmusi ktoregos ze starszyzny do zobaczenia, co mu zrobiono. Domagal sie wiec zobaczenia z Keoke, natychmiast jak tylko mogl ustac bez nadmiernego bolu. I oto wlasnie rezultat owego spotkania.

Chcial wykazac Keoke, jak bardzo sie mylil i w jak wielkim stopniu Shana byla bohaterka, a Rovy czarnym charakterem. Potem, gdy Keoke juz skapituluje, mial zamiar zazadac, by Dostojny poszedl poszukac Shany i przyprowadzil ja z powrotem. Nie zaszedl dalej, niz do upierania sie, ze bylo to niesprawiedliwe. Keoke odmawial przyznania, iz podjal niewlasciwa decyzje, opieral sie na fakcie, ze Shana nie nalezala do rodu.

Niesprawiedliwosc byla terminem nie dotyczacym jej, podobnie jak honor, czy prawo, i na tym koniec.

Do niczego nie dojdzie rowniez ze swoja matka, tego byl pewien. Popierala Keoke; nie wiedzial dlaczego, ale widac bylo wyraznie, ze nie zamierzala pomoc mu, ani Shanie.

Wiec jesli ktos ma uratowac Shane, musi to byc on sam. Rob, co uwazasz za wlasciwe, tak brzmiala pierwsza rada Ojca Smoka na temat Shany. Coz, wiedzial, ze to co czyni, jest wlasciwe. Jesli ja maja wyrzucic gdzies na pustyni, sprawiedliwie bedzie, jesli uda sie z nia na wygnanie. W koncu znalazla sie tam z jego powodu. Tylko tyle, ze teraz nie mogl latac... co powaznie utrudni mu poruszanie sie.

Potrafie poradziec sobie z tym problemem, pomyslal gniewnie, zazdrosnie skrywajac swoj maly sekret. A mama nie wiedziala, ze on potrafi. Myslala, ze nie bedzie mogl podniesc sie

z posłania przynajmniej przez tydzień.

Ostrożnie położył się na legowisku, przepelnięty ogromnym uczuciem buntu. Ja jej pokaze. Pokaze im wszystkim.

Ułożył ostrożnie swe obolale kończyny i pograził się w medytacji niezbędnej do zmiany kształtu. Był to dla niego dość zwykły stan umysłu; ćwiczył go kilka razy w ciągu dnia. Jednakże tym razem nie zamierzał niczego przemienić, a naprawić.

Ze wszystkich postaci, które znał, najlepiej znane mu było jego własne ciało, co było dość zrozumiałe. Musiał być. Musiał wiedzieć, od czego rozpoczyna przemianę, aby to zmienić. Jak wszystkie smoki wprawne w zmienianiu kształtów, wiedział dokładnie, jak każdy mięsień powinien wyglądać, pracować i jakie dawać odczucia. A więc, żeby wyleczyć obrażenia, jakie zadał mu Rovy, wystarczyło zająć się uszkodzonymi mięśniami i zmieniać je, dopóki nie staną się ponownie zdrowe. Tylko, że...

Pomysł ten przyszedł mu do głowy, kiedy zauważył, że najwprawniejsze smoki nigdy długo nie były ranne. Nie miał pojęcia, że zastosowanie tego w praktyce będzie tak bolesne. Zmienianie kształtu przecież nic nie boleło.

Po upływie kilku uderzeń serca mięśnie barków rozboleły go, jakby wylał na nie płynna skała. Mięśnie skrzydeł dygotały dziko i za każdym razem, gdy to czyniły, plecy przeszywał mu podobny do błyskawicy ból. Przerwał natychmiast i starał się domyslić, gdzie popełnił błąd.

Zrozumiał wreszcie, że nigdzie. Wszystko robił prawidłowo. Po prostu dokonuje prawdziwych zmian, skłaniając swój organizm do szybszego wyzdrowienia. Wszystko boleło go, bo wszystkie nerwy były żywe i boleły tak, jakby wracał do zdrowia, tylko szybciej.

Zaczął ponownie, mając nadzieję, że teraz będzie lepiej.

Nie było.

Przynajmniej tuzin razy gotów był już poddać się i pozwolić naturze zagoić jego rany w zwykłym tempie - lecz za każdym razem widział Shane dzielnie stawiającą czoła Rovy'emu i wymyślającą mu, podczas gdy nicpon wrzeszczał i uchylał się przed kamieniami, którymi go obrzucała.

Ogarnął go wstyd. Ona była gdzieś na pustyni, bez schronienia, bez wody i bez przyjaciół, którzy pomogliby jej. To, co on przeżywa, to drobiazg. Jeśli szybko nie odzyska zdolności lotu, ona może zginąć.

Natychmiast wrócił do uzdrawiania siebie.

Nagle, po upływie dni, jak mu się zdawało, ból ustąpił.

Szybko otworzył oczy i ze zdumieniem poruszał ramionami i skrzydłami.

Funkcjonowały doskonale; nie było śladu bólu ani zesztywnienia. Nie mógł zobaczyć swojego grzbietu, ale nie czuł, żeby skóra była naciągnięta od blizn. Udało mu się uleczyć siebie - i nikt w całym leżu nie wiedział, że jest zdrow i znowu może wzbic się w powietrze.

I nie dowiedza się, aż będzie za późno.

Wysunął się z lozka i zakradł do jaskini, czekając, obserwując i nasłuchując. Kiedy nie dostrzegł, ani nie usłyszał niczego, przeszukał leże, skradając się ścieżkami po cichutku, szorując brzuchem po kamieniu i chowając się w cieniu za każdym razem, gdy wydawało mu się, że posłyszał coś więcej niż stały plusk kropli wody. Mimo iż przejrzał każdy możliwy kąt legowiska, nigdzie nie znalazł śladu Alary. Znalazł tylko Myre zwiniętą na swym posłaniu i śpiącą tak mocno, że nie zbudziłaby jej nawet lawina.

Doskonale. Droga wolna.

Przeslizgnął się do tylnego wyjścia, zatrzymawszy się tylko po to, by wypuścić wszystkie swoje zwierzęta nawet jednorogi.

Ich nie było mu za bardzo żal; ostatnio tylko Shana mogła się do nich zbliżyć.

Wydawało się, że nawet polubiły ją - na tyle, na ile jednorogi mogły kogokolwiek lubić.

Na Kemana szarżowały za każdym razem, gdy zbliżał się do wybiegu, tłukąc głupimi łbami w kamienne ogrodzenie. Nigdy się tego nie oduczyły.

Trudniej było mu uwolnić dwurogi. Były tak łagodne, że ich spokojne towarzystwo i błazenstwa ich młodych sprawiały mu przyjemność. Biedna stara Hoppy dawno już wykarmiła swoje ostatniej młode, lecz jej potomkowie pomknęli radośnie za dzikimi kuzynami na swobodę pastwisk poza leżem.

Wulfy równie chętnie pobiegły na wzgorza. Nigdy nie przyzwyczały się w zupełności do zamknięcia i Keman już od jakiegoś czasu rozważał ich uwolnienie. Może to i dobrze, że zmuszony był teraz to uczynić.

Jedynym zwierzęciem, którego Keman nie wypuścił od razu, była wydra. Przywabił wesołe zwierzę do siebie i schwytał w sieć, gdy tylko znalazło się w zasięgu jego rąk. Po bezskutecznej próbie uwolnienia się, zapiszczała z uraza z glebi sieci. Żałował, że nie umie jej powiedzieć, że gdy wyruszy tropem Shany, po drodze zanieś ją nad rzekę, lecz nie mógł nawiązać kontaktu z jej umysłem. Mogł tylko mieć nadzieję, że wydra poradzi sobie, kiedy już dowie się, że jest wolna.

Potem wraz z siecią wzbil się ciężko w nocne niebo i opuścił leże z wydra zwisająca z jego przednich łap.

Przynajmniej tyle wydusił z Keoke, pomyślał ładując w miejscu, w którym - jak miał nadzieję - Dostojny zostawił jego przybraną siostrę tuż przed switem. Piec skał, w tym jedna wysoka z gniazdem pustulki w zagłębieniu blisko szczytu i krzewami sajusa dookoła. Keoke podał mu te szczegóły sadząc, że dzięki nim nie będzie się tak martwić o Shane. Dostojny zakładał, że obecność takiej obfitości sajusa i gniezdzącej się pustulki oznacza, że woda znajduje się stosunkowo blisko powierzchni, tak że Shana zdołała ją znaleźć i dostać się do niej.

Shana po prostu miała pecha, że w jej przypadku okazało się to nieprawda. Sajus miał długie korzenie, które potrafi zapuścić na głębokość równą dziesięciu, a nawet dwudziestu smoczych długości, by dostać się do wody, a pustulkom wystarczała woda zawarta w ich ofiarach. Wszystkie te zarosła oznaczały tylko, że jest tu woda. Gdzieś.

Zbyt głęboko pod powierzchnią, żeby pomóc Shanie, a jesień była jeszcze zbyt wczesna, żeby o świcie na skalach zbierała się rosa.

Nie mógł prowadzić poszukiwań z powietrza, bo Shana mogła się ukrywać, spać, lub nawet leżeć nieprzytomna gdzieś pod krzakiem. W każdej chwili mogła zmienić kierunek wędrowki. Poza tym znajdował się blisko szlaków karawan i nie chciałby się narazić na to, żeby ktoś go zobaczył.

Potrzebny mu był jakiś inny kształt. Dobry tropiciel o czułym węchu, czujący się bezpiecznie w takim terenie.

Keman usiadł na chwile i zastanowił się nad postaciami, które były mu znajome.

Najlepszym rozwiązaniem wydawał mu się wulf - potrafiłby wywieszyć trop w podmuchu wiatru. Jednak wulfy były niewielkie i miały skłonność do podrozowania stadami dla bezpieczeństwa. Zmianie się w coś tak małego, jak wulf wciąż przychodziło mu z trudem, a poza tym potrzebował czegoś, co samo mogłoby się obronić.

Jednorog, zdecydował z niechęcią. Wiedział, że są dobrymi tropicielami; potrafiły tygodniami iść czymś śladem, nim zrezygnowały z poscigu. Będzie musiał tylko zmodyfikować go, żeby nie zatrzymać jego paskudnego charakteru, instynktów i tego łba.

Zajmie mu to nieco czasu...

Nic jednak nie osmieliłoby się zaczepić jednoroga. Nawet inny jednorog. Mogły odżywiać się niemal wszystkim, nawet sajusem i pozyskiwały wodę z pokarmu niemal tak samo dobrze jak pustulki.

Istniała jeszcze jedna korzyść: Jeśli Shana dostrzeże go, nie wystraszy się. Nie potrafił rozmawiać myślami ani w polowie tak dobrze jak Shana. Ona będzie umiała porozumieć się z nim, ale on nie będzie w stanie powiedzieć jej, że jest w postaci zwierzęcia, dopóki nie podejdzie dość blisko. Keman nie słyszał, żeby komukolwiek udało się oswoić jednoroga lepiej niż Shanie, więc może dostrzeże w jednorogu wierzchowca i obronę.

Teraz cieszył się, że zatrzymał się po wypuszczeniu wydry, żeby upolować i zjeść dwie nieszczęsne antylopy. Czuł się zmęczony już w chwili, gdy rozpoczynał ten długi lot, a jednoczesna zmiana kształtu i rozmiaru będzie go kosztowała sporo sił.

Zablokował stawy, żeby nie upaść, zamknął oczy i rozpoczął medytację.

Kiedy już zagłębił się we wzorach, powoli przerzucił większość swej masy na zewnątrz, zostawiając tylko tyle, by starczyło na naprawdę dużego jednoroga.

Wtedy wyobraził sobie dokładnie postać, jaką chciał naśladować i zaczął ją kopiować od strony skóry do środka.

Poczuł niechętnie przepływające mięśnie, które przyjmowały narzucony im kształt; poczuł, jak kości wydłużają się i przyjmują inne pozycje. Czuł, że grzebien na grzbiecie mięknie, ogon skraca się i porasta włosiem - a na końcu wyrasta mu z czoła perłowy róg, dzgający agresywnie niebo.

Wybaluszył jedno oko, by spojrzeć na siebie i dostrzegł gładkowłosa, jedwabista, zielona nogę.

Tak nie mogło być. Skupił się jeszcze trochę i na jego oczach noga poczerniała. Zaraz słońca natychmiast uderzył go z taką siłą, że upadłby, gdyby nie zablokował sobie przedtem stawów.

To chyba nie najlepszy kolor na pustynie.

Odwrocił proces i przyglądał się, jak jego skóra i włosy nabierają koloru czystej, nieskazitelnej bieli.

Od razu poczuł się dużo chłodniej. Zadowolony otworzył oczy całkowicie i podniósł nos, by zaweszyć w słabym wietrze.

Nie było wątpliwości, Shana była tu. Zapamiętał jej zapach z czasu, gdy przybrał postać trzyroga. Osobliwa mieszanka smoczego pizma (z jej tuniki) i zapachu dwunoga była tak charakterystyczna, że nie mogli się pomylić. Nawet gdyby w okolicy znajdowały się jakies inne dwunogi - choć było to wielce nieprawdopodobne - nie byłoby ich jednocześnie czuć smokiem.

Keman spuścił głowę i okrzyknął grupę skal. Natychmiast odkrył ślad Shany; znalazł miejsce, gdzie wczłogała się w krzaki, by przeczekać upał, i to, gdzie wyszła. Jej ślady, zredukowane do płytkich zagłębień w piasku, były wciąż widoczne. Teraz, kiedy już wiedział, czym są, dostrzegł, że prowadzi wyraźna linia na wschód.

Potrzaskał łbem i grzywą, spuścił nos ku ziemi i ruszył po tropach.

Radził sobie doskonale do chwili, gdy rozszalała się burza piaskowa, a było to gdzieś około południa.

Na szczęście, instynkt jednoroga, choć głęboko pogrzebany, okazał się dość czuły, by ostrzec go wystarczająco wcześnie i dać dość czasu na ukrycie się. Szedł śladami Shany z zawziętością i kompletnym skupieniem, jakiego wymagało od niego tropienie na pustyni,

kiedy nagły chłód sprawił, że szarpnął głowę ku górze i otworzył szeroko oczy.

Przed nim wznosiła się ku słońcu, jak ściana od ziemi do nieba, ciemnobrazowa chmura, która z każdą chwilą rosła i stawała się coraz wyższa. W mgnieniu oka zaciemniała słońce całkowicie, a do czułych uszu Kemana dotarł odległy huk.

Burza piaskowa! Nigdy przedtem nie przeżył takiej burzy, ani nawet jej nie widział, chyba że z daleka i z góry.

Tylko jedno mógł zrobić - schować się, i to szybko. Było już za późno, aby jej uniknąć.

Przypomnił sobie, że widział jakiś czas temu kilka głazów, skalny polokrag, który powinien ochronić go przed najgorszymi uderzeniami wiatru i niesionego jego podmuchami chłuszczącego piasku. Mógł również uczynić coś, aby przetrwać te burze, czego nie byłby w stanie dokonać żaden prawdziwy jednoróg: mógł zmienić postać. Nie potrafił jeszcze zmienić się w skałę, tylko w żywe istoty. Natomiast potrafił przekształcić swój nos, aby znalazły się w nim błony, dzięki którym mógł oddychać, mógł wzmocnić swą skórę, a nawet pokryć ją ponownie łuskami.

Najpierw musi jednak znaleźć stosunkowo bezpieczne schronienie.

Określił się na tylnych nogach i położywszy po sobie uszy, z rozwianą grzywą i ogonem pogalopował co sił w nogach z powrotem ku zapamiętanym skalom. Za nim unosiły się chmury piachu wzbitego jego szerokimi, rozszczepionymi kopytopazurami.

Obejrzał się przez ramię; brazowa ściana za nim jeszcze urosła. Burza doganiała go.

Zaczął szybciej przebiegać nogami. W trakcie biegu zmienił kształt kopyt, nadając im postać płaskich poduszek z dwoma szeroko rozstawionymi palcami, które w zderzeniu z gruntem nie zapadały się w piasek i dawały mu oparcie. Znowu się obejrzał. Zdawało się, że burza nie zbliżyła się, lecz wiatr zdecydowanie wyl głośniejszy.

W tym momencie skrzydła nie zdadza mu się na wiele, a opóźnienie mogłoby nawet stać się przyczyną jego śmierci, gdyby zatrzymał się na dość długo, by zdążyły mu one wyrosnąć. Mógł wskoczyć w swą smoczą postać, lecz to również zajmie mu cenny czas.

Poza tym nie sądził, by mógł lecieć prędzej niż galopował. Smocza postać nie była zbyt szybka w locie, chyba że w locie nurkowym.

Istniały jeszcze inne powody, sprawy, przed którymi go przestrzegano. Gdyby leciał, mogłby zostać zassany przez prąd powietrzny - i rozszarpany na strzępy, a piasek niemal natychmiast zdarłby do cna jego błony skrzydeł.

Spojrzał przed siebie, rozpaczliwie szukając wzrokiem czegoś oprócz krzaków, które nie dadzą mu osłony.

Skaly! Wreszcie dostrzegł je w odległości zaledwie kilku długości smoka. Gwałtownie rzucił się do galopu z szybkością, jakiej już się po sobie nie spodziewał, pospiesznie obiegł skały do wejścia i zanurkował pod ich osłone położył się z głową wciśniętą między kolana.

Zmienił się tak szybko, że nawet nie podejrzewał, że to możliwe. Miękką skórę zastąpił swymi własnymi łuskami, wyhodował specjalną membranę na nozdrzach i uszach, aby piach ich nie zatkał i utkawszy z grzywy baldachim twardej, łuskowatej skóry, rozpostarł go nad głową, kurcząc róg na tyle akurat, by podtrzymywał zasłone z dala od jego twarzy. Wcisnął głowę w szparę między dwoma oczami i zrobił, co mógł, żeby błona ta zasłoniła wszelkie szczeliny. Miał jeszcze dość czasu, by zastanowić się, czy to, co zrobił, wystarczy, by go ochronić. Wtedy rozszalała się burza.

Poprzednio tylko słyszał o sile burzy piaskowej. Pomimo dość dobrej osłony skal, szybko doszedł do wniosku, że całe szczęście, iż zamienił sierść na łuski. Piach szorował jego grzbiet z taką siłą, że czuł to nawet przez imitację swej smoczej skóry.

Powinien polecić burze piaskowej tym z rodu, którzy wściekali się od swędzenia w czasie zrzucania skóry, pomyślał kwaśno. Jeden poranek i będzie po wszystkim.

Doszedł również do wniosku, że bardzo dobrze postąpił, nie przybierając pełnej postaci smoka. Dość że niewielki fald skorny, osłaniający mu twarz, uległ poważnym uszkodzeniom; błony jego skrzydeł rzeczywiście zostałyby rozdarte w mgnieniu oka.

Nagle pomyślał o Shanie, o tym, że utknęła w burzy bez żadnej ochrony poza swym sprytem i krotką tuniką ze smoczej skóry. Aż zbyt łatwo przyszło mu wyobrazić sobie, jak wiatr i piasek zdzierają do cna jej delikatną skórę.

Na myśl o tym miał ochotę zerwać się i zaszarżować wprost na burzę, aby jej szukać, i tylko zdrowy rozsadek powstrzymał go od uczynienia tego.

Musiał wciąż sobie powtarzać, że jeśli wybiegnie ze schronienia, nie zdoła jej pomóc, a sam może zostać ranny, lub nawet zginąć. Była gdzieś przed nim, więc jeśli wpadła w burzę, stało się to już dawno, burza piaskowa bowiem nadchodziła ze wschodu, kierunku, w którym Shana się udawała. Albo przeżyła ją cała i zdrowa, albo została ranna, albo nie przeżyła wcale. Niezależnie od rezultatu, już to się stało. Żadna z tych możliwości nie była mu pociechą w trakcie przeczekiwania najgorszej fazy burzy.

Burza minęła równie szybko, jak się zaczęła. Keman wysunął się ze swej kryjówki, kiedy piach jeszcze wzbijał się wokół skal.

Rozejrzył się i serce mu się scisnęło z rozpaczą. Burza zasypała wszelkie ślady Shany, a gdy zaweszył, poczuł na wietrze jedynie ostrą won zgniecionego sajusa, pyłu i wiecznie obecny zapach rozgrzanego piasku. Na ogień i deszcz! Jak ją teraz odnajdzie? Nigdy nie zdołam już znaleźć jej tropu! Poczuł się zlamany i chciał tylko położyć się i rozplakac.

Nie wolno mu poddawać się. Nie wolno. Miała tylko jego. Zmusił się do przemiany w czystą postać jednoroga. Zawieszyl na wietrze, usilujac pochwycic chocby slad zapachu Shany, ale bez powodzenia. W porzadku, powiedzial sobie, czujac sciskanie w gardle i zoladku, musze to przemyslec. Wiedzial, ze udawala sie na wschod. Jesli jeszcze zyje, pewnie wciaz podaza w tym kierunku. Musial tylko wyznaczyc mozliwa trase jej wedrowki, biorac za punkt wyjsciowy to miejsce. Potrafi tego dokonac, potrafi ja odnalezc, po prostu bedzie go to kosztowalo troche wiecej wysilku.

W poludnie slonce bezlitosnie prazylo jego i pustynne pustkowcie, na ktorym teraz nie bylo juz nic, poza kepkami zarosli. Nawet ptaki znikly. Nigdy przedtem krajobraz nie wydawal sie tak martwy.

Zacisnal zeby zawziecie, zdecydowany nie ulegac rozpaczcy i ruszyl przed siebie w bialym zarze slonca.

Szedl zygzakiem po pustyni, wykorzystujac obecność wyrozniajacych sie skal i wrodzony zmysl kierunku, weszac wysoko wzniesionym nosem i w kazdym oddechu szukajac sladu zapachu Shany. Nawet kiedy zakrecilo mu sie w glowie od upalu, kiedy bialy piasek zaczal mu uginac sie i falowac przed oczami, nie zatrzymal sie. Okolo popoludnia zaczal go dreczyc inny problem: glod. Zuzyl mase energii na zmiany ksztaltu, a wysilek nie pozostal bez konsekwencji. Nie bylo tu jednak niczego, z wyjatkiem sajusa i to w dodatku suchego. Przechodzac obok skubal go troche, lecz nie zaspokoilo to za bardzo jego glodu, a pragnienia ani troche.

O zachodzie slonca glod i pragnienie doprowadzily go niemal do obledu. Wtedy wlasnie napotkal jedno duze, zywe stworzenie: prawdziwego jednoroga, jeszcze mlodego.

W tym momencie byl tak straszliwie glodny, ze gotow byl rzucic sie na wszystko, co wygladalo na jadalne. Jednorog wygladal na cos bardzo jadalnego - wyzwolil w nim instynkt, ktorego nie mogl w zaden sposob pokonac rozsadek.

Zabic!

Wydawalo sie, ze jednorog wyczul jego nastroj i kiedy tylko dostrzegl go, rzucil sie do ucieczki.

To mu wystarczylo. Wrocil do postaci smoka i wzniosl sie wysoko w niebo, unoszac sie coraz wyzej, a nastepnie spadajac na nieszczesnego jednoroga morderczym lotem nurkowym, wspolnym smokom i jastrzebiom akcipiterom. Podobnie tez jak akcipiter, gdy jednorog skryl sie w zaroslach, Keman zanurkowal za nim, zaslepiony glodem tak totalnie, ze nie widzial nic poza swa zdobycza i nie myslal nawet o mozliwosci uszkodzenia skrzydel. Ujrzawszy, ze jednorog zatrzymal sie i odwrocil do ataku, Keman wrzasnal z wscieklosci. Przed oczami mial czerwona mgle; glod zawladnal nim calkowicie.

Ofiara zawrocila, zarzala i uderzyla go rogiem. Byl to pojedynczy cios, lekki i z latwoscia

zatrzymany przez luski, lecz wystarczyl, by doprowadzic Kemana do bezrozumnego szalu. Wrzasnal i rzucil sie na zwierze. Chwyciwszy je szponami i klami, zlamal mu kark jednym szarpnieciem glowy, a potem, dla pewnosci rozszarpal mu jeszcze gardlo.

Rozdarl w gniewie bezwladne cialo jednoroga na strzepy i lykal wielkie kawaly krwawego miesa, pozerajac stworzenie do gołych kosci w ciagu tych kilku chwil, jakie dzielily zachod slonca od zmierzchu. Nigdy przedtem nie czul sie w taki sposob, nie czul takiego bezrozumnego szalu, tej zadzy krwi. Oszolomilo go to dziko i sprawilo, ze jeszcze dlugo po tym, jak po jednorogu zostala tylko sterta obgryzionych kosci, czul przyspieszone bicie serca, wznosil gniewnie skrzydla i jezyl grzebien na grzbiecie. Nie potrafil nawet myslec jasno, czul tylko, a jedynym uczuciem byla wscieklosc.

Gdzies daleko zawyl wulf. Keman podniosl glowe znad tego, co zostalo ze zwierzecia i zjezyl sie na widok ksiezycyca. Po chwili dotarlo do niego, ze ksiezyc nie jest jego wrogiem i nie wykradnie mu zdobyczy. Dopiero wtedy wreszcie odzyskal pelnie zmyslow i przypomniał sobie, co go tu sprowadzilo.

Jeszcze przez chwile Shana nie wydawala mu sie wazna. Wazny byl dziki wiatr w swietle ksiezycyca, smak swiezej krwi w ustach i swoboda czynienia wszystkiego, na co mial ochote...

Potrzasnal glowa, ochlonawszy tak szybko, jak pustynne niebo zmienia sie o zachodzie slonca. Czul do siebie wstret. Co mi sie stalo? O czym ja mysle? Czyzby oszalez?

Kaszlnal i znow pokrecil glowa. Czul sie bardzo dziwnie. Krecilo mu sie w glowie, jakby przez chwile byl kims lub czymś innym. Nigdy nie podejrzewal, ze jest w stanie czuc cos takiego...

Jak jakis prymityw. Jak Rovy?

Nie, chyba nie. Po prostu zdziczal i to tylko na chwile. Kierowal nim glod, a nie chec wyrzadzenia krzywdy. Nie jest taki, jak Rovy; Rovy jest zly i okrutny.

Zaczerpnal bardzo gleboko tchu, zeby sie uspokoic. Nic mi nie jest. Bylem po prostu - glodny. Teraz juz wiedzial, ze nie nalezy odkladac posilkow na dlugo. Nigdy juz tego nie zrobie. Nigdy, nigdy, nigdy! Przysiegam. Wzial sie w garsc, pozbieral mysli i odszedl od sterty kosci, nie chcac na nia patrzec. Musi wrocic na trop Shany. Ona jest gdzieś tam, zupełnie samotna, moze ranna, wiec musi ja odnalezc.

Oddalil sie nieco, uspokoil sie i skupil, siegajac po moc niezbedna do przemiany.

Znow przybral postac jednoroga, co przyszlo mu duzo latwiej niz za pierwszym razem i ponowil poszukiwania.

Noca bylo duzo lzej. Jego nocny wzrok funkcjonowal dobrze, a glod, pragnienie i upal juz mu

nie dokuczaly. Kilka razy juz sadzil, ze znalazl trop, lecz wkrótce gubil won. Mimo to, fakt, ze w ogole cos wywieszyl, dodawal mu nadziei.

Tuz przed switem poczul zapach wody - i Shany. Oraz niemal setki innych istot, dwunogow i zwierzat razem, znajdujacych sie gdzies za szczytem wzgorza, na ktore sie wspinal. Na ogien i deszcz? Co...

Szybko zastanowil sie. Wiedzial, ze jest w poblizu szlakow karawan, co oznaczalo obecność dwunogow. Nie wolno mu sie pokazac.

Czy znalezi Shane? A moze tylko znajduja sie w poblizu? Poruszajac sie cicho i ostrożnie, dotarl na szczyt wzniesienia i stwierdzil, ze spoglada na znajdujace sie w dole ruiny, ktore otaczaly sadzawke z kamiennym brzegiem, pelna idealnie przejrzystej, bledkonej wody. Z naprzeciwka zblizala sie karawana dwunogow, kupcow, sadzac po ich obladowanych zwierzetach. Warstwa pyłu na zarowno ludziach, jak i zwierzetach swiadczyła o tym, ze ich dogonila burza piaskowa, ktora opoznila jego poszukiwania.

Dzieki szczesciu, czy wiedzy, jakos udalo im sie odnalezc te oaze - lecz tylko najgorszy pech moglby sprowadzic ich akurat teraz.

Keman skryl sie, nadajac sierści nierownomierna barwe plowego brazu, w chwili gdy wlasnie dostrzegl, jak odlegla postac, ktora mogla byc tylko Shana, wypelza z ruin i czeka na przybycie nieznanomych.

Cos wyrwalo Shane z mocnego snu osoby wyczerpanej. Zmruzyla oczy, uslyszawszy nieznanome dzwieki, wrzawe glosow i porykiwanie obcych jej zwierzat.

Czula sie chora i slaba z glodu. Siadajac przylozyla dlon do czola, zeby powstrzymac zawroty glowy. Nie jadlo juz od tak dawna... czy to jej sie przysnilo, a moze to prawda?

Halas wciaz trwal, a nawet sie zblizyl. Shana nie otwierala oczu, dopoki nie przejasnilo jej sie w glowie, a potem podczolgala sie troche i ostrożnie wyjrzala ze swojej kryjowki. Kiedy rzucila spojrzenie spod wiszacej polki zwietrzalej skaly, pierwsza rzecza, jaka ujrzala, byl wielki, lecacy smok koloru miedzi, lsniacy we wschodzacych sloncu.

Natychmiast wpadla w panike. Mogla pomyslec tylko o jednym. Czyzby postanowili scigac ja? Czyzby Lori zdecydowala sie zaryzykowac, iz rod ja potepi za nieposluszenstwo wobec starszyny i postanowila ja zabic?

Strach przebiegl jej po plecach. Wpatrywala sie w smoka z taka sama fascynacja, z jaka mysz przygladala sie jastrzebiowi. Jego wielkie skrzydla falowaly i lopotaly na wzbierajacym wietrze. Prawde mowiac, cale jego cialo falowalo, szybujac nad piaskiem.

Wyrwala sie z tego przerazonego transu. To - nie wyglada, ani nie brzmi prawdziwie...

Znow mrugnęła i przetarła oczy - i dopiero wtedy ujrzała wyraźnie, że smok jest zaledwie obrazem wykonanym jakas miedziana substancja na kawalku niebieskiego jak niebo plotna, przyczepionego do kija i lopoczacego na wietrze.

Strach rozwił się, zostawiając po sobie osłabienie i dezorientację. Shana zamierzała już znowu schować się, przestawszy interesować się wrzawą, lecz wydawało jej się, że malowany smok przyzywa ją w sposób, którego nie rozumiała.

Wypelzła spod osłony skal, żeby popatrzeć na niego zafascynowanym wzrokiem.

Kij był w jakiś sposób przyczepiony do jakiejś konstrukcji, która z kolei przypięta była do grzbietu zwierzęcia, jakiego Shana przedtem nigdy nie widziała. Miało ono długie, chude i niezgrabne nogi, płaskie stopy przypominające wielkie, wygładzone woda kamienie, krepce ciało i długa szyja zakończona najbrzydszym łbem, jaki Shana kiedykolwiek widziała. Całość pokrywała usiana brodawkami szara skóra, dokładnie taka, jak na płaskoropusze. Skąd się wzięły te stworzenia? Po co ktoś miałby umieszczać obraz smoka na kawalku materiału? Chyba że - są z innego leża rodu. Przybrana matka mówiła, że niektóre leża miały inne zwyczaje.

Za pierwszymi zwierzętami szły następne, a połowy z nich dosiadały...

Dosiadały... Potrząsnęła głową, aby jej umysł zaczął pracować. To nie mogą być dwunogi. Ona była jedynym istniejącym dwunogiem na świecie. To muszą być smoki w postaci dwunogów. Ale dlaczego?

Shana mrugnęła i potarła skronie. Usiłowała dostrzec smocze cienie, ale była tak oszłomiona, że nie miała pewności, co widzi. Znowu spróbowała i tym razem wydało jej się, że dostrzegła migotanie cienia, dziwna, rozmyta aureole wokół każdego z nich, która mogła przypominać smoczy kształt.

Więc to były smoki. Ale dlaczego znalazły się tutaj i dlaczego w taki sposób?

Czemu to robią? Czy to jakaś gra? zastanawiała się ze zdumieniem, opierając się jedną ręką o skałę. Musieli przybyć z innego legowiska, bo nie rozpoznała żadnego z nich. Ta rzecz - może to był wizerunek ich seniora? W jej leżu nie było żadnego dostojnego smoka koloru miedzi. Na pewno tak jest - musieli przybyć z innego leża. Czyżby przechodzili jakąś próbę? Albo może to coś jak taniec gromów - albo może to lekcja...

Właśnie wtedy, gdy stała tak, czując lekkie zawroty głowy z głodu, jeden z nich zauważył ją, wskazał i krzyknął coś. Ku swemu zdumieniu rozpoznała jeden z tych innych języków, jakich uczyła ich Alara, ten, którego opanowanie przyszło jej dość łatwo.

Pozostali odwrócili się i wbili w nią spojrzenia. Ich wielobarwne szaty łopotwały na wietrze. Ten pierwszy podał sznury swojego zwierzęcia któremus z tamtych i ruszył do niej długimi krokami przez piasek. Nie ruszała się z miejsca, częściowo dlatego, że za bardzo kreciło jej

sie w glowie, zeby mogla isc, a czesciowo dlatego, ze usilowala odgadnac, ktory z nich jest nauczycielem.

Nie widze nikogo dosc starego, aby byl nauczycielem, pomyslala nieco zdumiona.

Chyba ze nauczyciel jest bardzo mlody. Moze to ktorys z tych tylko przygladajacych sie. Jesli to lekcja, moze byc to lekcja przebywania w innej postaci. Keman mial straszne trudnosci z utrzymaniem postaci dwunoga...

-Dziecko... dziewczynko - powiedzial nieznajomy, kiedy tylko podszedl tak blisko, ze nie musial juz krzyczec. - Kim jestes? Co tutaj robisz?

Konce zaslony, ktora mial na glowie, wsunal za opaske przytrzymujaca ja na miejscu.

Spojrzala na niego i zastanowila sie nad odpowiedzią, a w zoladku czula takie skurcze, ze okropnie trudno bylo jej myslec. Jesli powie im, ze Keoke wypedzil ja z leza, moga ja tu zostawic. Jesli pomysla jednak, ze zabladzila, moze zabiora ja ze soba i pewno nakarmia. Zdola im uciec, zanim beda mieli okazje polecic jej, zeby wrocila do swej smoczej postaci.

-Nazywam sie Shana - powiedziala, wymawiajac starannie slowa. - Sadze, ze... ze sie zgubilam. Bladze juz od dawna, jestem okropnie glodna. Prosze, czy moglabym dostac cos do jedzenia?

Nieznajomy popatrzył na nia z nadzwyczaj osobliwym wyrazem twarzy, a potem rozesmial sie, chociaz nie powiedziala niczego szczegolnie smiesznego. Przygladala mu sie ze zdumieniem i rozcierala sobie skron. Oprocz bolu brzucha, zaczela dokuczac jej takze glowa, a przed oczami miala mgle. W tej chwili widziala smocze cienie nawet za kaktusem.

-Zabladzila! - Zwrocil sie teraz do pozostalych i zawolal: - Ona twierdzi, ze zabladzila! Mozecie w to uwierzyc! To dziecko jest w samym srodku pustkowia i twierdzi, ze sie zgubilo!

Oni rowniez rykneli smiechem. Shana miala wrazenie, ze czegos jej nie powiedziano i zastanawiala sie posepnie, co oni widzieli w tym takiego smiesznego. Coz rod zawsze mial specyficzne poczucie humoru.

Wtedy przypomniala sobie jedna z dziwniejszych rozrywek rodu, zabawe, w ktorej ani Keman, ani Myre nie mogli brac udzialu, bowiem byli za mlodzi. Gra ta byla po czesci opowiescia, po czesci zagadka, w ktorej kazdy mial role do zagrania. Wyzwanie glownie polegalo na tym, aby przypadkowe spotkania wykorzystac jak najlepiej w ramach tworzonej historii. Ci, ktorzy potrafili improwizowac najlepiej i najbardziej tworczo, wygrywali ci, ktorzy gubili sie w zawilosciach, opowiesci, przegrywali.

Oni rzeczywiscie zachowywali sie tak, jakby brali udzial w jakiejś zagadce, albo grze z odgrywanymi rolami. To musialo byc rozwiazanie. Odgrywali jakas scene, a jej pojawienie

sie dalo im jakas wskazowke. Lepiej bedzie, jesli przylaczy sie do gry i wplecie w scenariusz. Kiedy juz to uczyni, zabieraja ze soba, a gdy znajdzie sie w miejscu, gdzie bedzie mogla radzic sobie sama, wymknie im sie.

-Zagubione dziecko, kim jest twoj lud? - zapytal nieznajomy, kladac jej reke na ramionach przyjacielskim gestem i pociagajac w strone reszty grupy. Shana poszla za nim bez oporu. Dopoki sprawial wrazenie przyjaznie nastawionego, byla zadowolona.

-Rod, oczywiscie - odrzekla rozsadnie. - Prosze, jestem strasznie glodna...

Rzeczywiscie, miala uczucie, ze zaraz zemdleje z glodu. Pozostali spojrzeli na nia w bardzo dziwny sposob, jakby powiedziala cos bez sensu. Dostrzegla te niespokojne spojrzenia i zmarszczyla czoło, usilujac zglebic ich znaczenie.

Moze nie powinna byla wspomnac rodu. A moze to inne leze nie nazywalo siebie rodem. - Wiecie, rodzina. - Wskazala na smoka na materiale i natychmiast znow ujrzala usmiechy.

Westchnela z ulga. Odpowiedzialam wlasciwie...

-Coz, jesli zgubilas rodzine, dziecko, musimy oczywiscie pomoc ci - powiedzial usmiechniety mezczyzna. - Mowisz, ze jestes glodna? Chodz, damy ci jesc. A gdzie - na jego twarzy odmalowala sie teraz dziwna pozadliwosc - gdzie znalazlas ten stroj, ktory nosisz?

-Stroj? - spytala, znow zaklopotana. - Moja tunika? Zrobilam ja. Dostalam...

Teraz poczula sie zaklopotana, gdyz nie wiedziala, jak w tym innym jezyku wyjasnic "zluszczona skora". - Znalazlam strzepki i zrobilam ja sobie - dokonczyla niezdarnie, spogladajac na swe stopy i majac nadzieje, ze pomyslnie przejdzie probe, bo niepowodzenie oznaczalo, ze porzuca ja rownie szybko, jak ja przygarneli. Gry potrafily byc takie. Widziala ich wystarczajaco duzo, zeby sie o tym przekonac.

-Masz, dziecko, jedz! - Wcisnieto jej w dlon cos suchego, brazowego, o ksztalcie kamienia. Przyjrzala sie temu podejrziwie, zanim ugryzla na probe.

Ku jej zaskoczeniu, rzecz owa miala twarda, lecz smaczna skorke i jeszcze smaczniejszy miasz. Pozarla ja entuzjastycznie, wypila metalicznie smakujaca wode, ktora jej podali i usmiechnela sie niesmialo spod rzes do swoich nowych przyjaciol. Tloczyli sie wokol niej, poruszajac sie ostroznie, jakby byla dzikim zwierzeciem, ktore bali sie sploszyc.

-Masz na imie Shana? - powiedzial mezczyzna, ktory pierwszy zaprzyjaznil sie z nia. Pokiwala glowa, a on zblizyl sie, spogladajac na jej tunike, lecz nie dotykajac jej.

-Shana, to, co masz na sobie... czy nie zamienilabys tego na... z takiego materialu, jak plocienny smok. Wygladala dokladnie tak samo, jak te, ktore oni wszyscy nosili. Wszystkie z jednego kawalka i w jednym kolorze, zupelnie niepodobne do jej latanej tuniki ze zrzuconej

skory. Pragnęła ją mieć, niemal tak samo mocno, jak wtedy tej opaski z klejnotami. Ledwo mogła uwierzyć, że chce jej ubranie w zamian.

Wydawało jej się, że nie jest warte takiej zamiany. Może po prostu chce być dla niej dobrzy i wymieniają się z nią, żeby nie było jej przykro przyjąć coś od nich. Na pewno tak właśnie jest. Albo może musi ubrać się tak, jak oni, żeby wziąć udział w grze. Tak też może być. A co tam, nie dba o to, jeśli tylko dadzą jej tę nową tunikę.

-Proszę? - powiedziała, a mężczyzna rozesmiał się i podał jej szatę. Chciała już zdjąć starą tunikę, gdy mężczyzna zaniepokoił się i powstrzymał ją.

-Tam - powiedział, wskazując na budowlę zrobioną z płotna. W czasie gdy ją oglądali, inni postawili ją w mgnieniu oka. - Idź tam, zdejmij stare ubranie i nałóż nowe.

Popatrzyła na niego z ustami otwartymi ze zdumienia, lecz on nalegał. Usłuchała, chociaż wciąż zastanawiała się, w co oni mogą grać. Z pewnością w jakąś bardzo osobliwą grę.

Kiedy zdjęła starą tunikę i naciągała nową, jedwabne zawiniątko z opaską wysadzana klejnotami stuknęło ją w mostek i wtedy nagle pomyślała, że to całe szczęście, że grają w tak dziwną grę. Jeśli to zobaczą, zapragną tego. Nie może pozwolić, żeby je zobaczyli. Jeśli je zobaczą, zabiorą ją do swoich skarbców, tak samo, jak tamci zabrali sobie klejnoty, które dał mi Keman...

Pospiesznie naciągnęła nową tunikę i ukryła zawiniątko za pazuchę, upewniając się, że niczego nie widać.

Powinno wystarczyć. Wyszła z płociennego budynku i oddała swą starą tunikę czekającemu nieznanemu, który wziął ją, zdradzając wszelkie oznaki uradowania.

-Nie jesteś zmęczona? - spytał bardzo troskliwie.

Chciała powiedzieć, że czuje się świetnie, a wtedy przyłapała się na ziewaniu. To pewno z powodu jedzenia. Chciała jej się spać. Ziewnęła raz jeszcze, a mężczyzna zaśmiał się cicho.

-Wejdz do środka, w cień. Spij. W środku jest bardzo wygodnie. - Gestem dał jej znak, żeby znów weszła do płociennego budynku.

-Ale, zaraz... - Uważała, że powinna okazać chociaż symboliczny sprzeciw. - Czy nie powinnam czegoś zrobić?

-Nie, dziecko - powiedział i uśmiechnął się. - Zgubiłaś się, ale znów jesteś wśród przyjaciół. Oczywiście, jesteś zmęczona. Musisz spać tak długo, jak tego potrzebujesz.

Popchnął ją łagodnie w stronę budynku z materiału i posłuchała go bez dalszych sprzeciwów.

Było tu coś w rodzaju gniazda z materiału, w którym można było się zwinąć w kłębek.

Sprawiało wrażenie jeszcze wygodniejsze, niż to, które uwila sobie w leżu Alary.

Skoczyła na nie i odkryła, że kilka kawałków materiału było wypchanych czymś niewiarygodnie miękkim i puchatym, i że pod wszystkimi tymi tkaninami znajdował się jeszcze jeden większy, bardziej płaski kawałek materiału, też z czymś takim miękkim w środku. Był cudowny w dotyku. Wyciągnęła się na nim swobodnie, po raz pierwszy w życiu znalazłszy się w miejscu, w którym nic jej nie uwierało i gdzie nie musiała leżeć na czymś twardym i nieustępliwym.

Kiedy już położyła się, stwierdziła, że nie jest w stanie powstrzymać się od zamknięcia oczu. Próbowала, lecz powieki same jej opadały i przysypiała. Teraz to już nieważne. Jest wśród przyjaciół, tak powiedział ten nieznajomy. Bada ją karmić i opiekować się nią.

Nieważne, w jaką dziwną grę się bawia.

Zamknęła oczy i zapadła w sen.

Rozdział XI - Uwierzyłbyś w nasze szczęście? - rozesmiał się Kel Rosten. Przywódca karawany poglądził dziwną tunikę, w jaką ubrana była dzika dziewczyna. Przelewający się przez jego stwardniałe, brązowe dłonie stroju, błyszczał w słońcu jak tysiąc drogocennych kamieni. Nie umiał sobie wyobrazić, z czego mogła być wykonana. Oczywiście z jakiegoś rodzaju skóry, że skóry jakiegoś gada, ale nie przypominała niczego, co widywał przedtem. Gady te musiały być bardzo małe, bowiem tunikę zrobiono z wielu starannie pozszywanych latek. Natomiast kolory były zdumiewające - połączony cyrber, fiolet z błękitnym połyskiem, srebrzysta zielen...

W ciągu całego swojego życia, które spędził jako kupiec pracujący dla Ktrenna lorda Berenela Hydathy, nigdy czegoś podobnego nie widział. Gdyby udało mu się dowiedzieć, skąd pochodzą te cudowne skóry...

-Panowie wręcz rzuca się na to - powiedział jego zastępca, dotykając tuniki palcami i nie mogąc wyjść z podziwu. - Na potomstwo demonów! To ci dopiero skóra!

Wyobrazasz sobie w tym damę Berenela? Albo i młodego paniczka? Przechadzaliby się w tym jak te pawie, a jusc. A pewnie z połową innych panów będzie zebrac, żeby i im coś się dostało.

-Pan Berenel zbije na tym fortunę - zgodził się Kel - a jeśli on na tym zrobi majątek, my będziemy żyli wygodnie!

Berenel uważał, że zadowolony człowiek to człowiek przynoszący zyski - w odróżnieniu od co poniektórych, zauważył w myślach Kel. Kiedy jego niewolnicy spisywali się dobrze, nagradzał ich przepychem. Ludzie pana Berenela krótko rozprawiali się z macicielami i

czynnie dokładali staran, aby powiększyć majątek swego władcy.

Oczy Ardana przysłoniła mgła radosnego wyczekiwania. - Wino - szepnął.

-Kwatera w Wielkim Domu. Dobre zarcie, dobre napoje, konkubiny, jakie chcesz...

-To wszystko i jeszcze więcej, moim przyjacielu - zgodził się serdecznie Kel, klepiąc swego zastępcę po plecach. W duchu gratulował sobie znalezienia człowieka, który jednocześnie potrafi dowodzić i nie ma za grosz ambicji.

Ardan miał proste marzenia i gusty: życie w umiarkowanym przepychu i dość wolnego czasu, by móc oddawać się swojemu ulubionemu zajęciu, dzięki któremu miał zostać znawcą win. A ponieważ był wyższy co najmniej o głowę od każdego innego mężczyzny w karawanie i potrafił zreć i szybko posługiwać się zarówno pięściami, jak i nożem, który zawsze nosił, nikt mu się nigdy nie sprzeciwiał. Był mężczyzną o muskulaturze odpowiedniej do swego wzrostu i przebiegłych, brązowych oczach, które obiecywały spokój tym, którzy go zachowywali i kłopoty tym, którzy tego nie czynili. Wolał narzucić na swą karmazynową tunikę nie rzucające się w oczy szare szaty, w odróżnieniu od krzykliwego smoczego szkarlatu głównego kupca, a styl ubierania się oddawał jego ulubiony sposób życia.

-Pan Berenel jest łaskawym panem i ma w zwyczaju dzielić się swym szczęściem - ciągnął Kel. - Jeśli dowiemy się, skąd to pochodzi, da nam coś więcej niż pozwolenie na przebieganie wśród konkubin. Przenieś nas w stan spoczynku. Nigdy więcej karawan i lekkie życie do końca naszych dni! Pomyśl o tym! Od tej pory najbardziej będziemy się pocić wtedy, gdy posła nas do rozplodu!

-Nigdy więcej karawan! Nigdy więcej burz piaskowych! - Ardan wyszczerzył się w uśmiechu, błyszcząc białymi zębami w czarnej brodzie. - Ta ostatnia zupełnie mi wystarczyła! Na oczy demona! Jużem myślał, że cały konwoj przepadł. Jeśli kiedy jeszcze zobaczę taką burzę i tak będzie za wcześnie.

-Z ust mi to wyjaśles. - Kel ostrożnie zwinął tunikę, nie mogąc wyjść z podziwu, że tak łatwo dała się złożyć w mały pakunek. Posłuchał przez chwilę pod drzwiami namiotu, a potem podniósł zasłone wejściowe i dostrzegł, że woda z narkotykiem wreszcie uspiła dziką dziewczynę. Gestem kazał Ardanowi wejść za sobą.

Odsunął na bok kilka tobołów i schował tunikę w tajnym dnie jednego z koszy.

-Zapamiętaj, gdzie jest schowana, na wypadek, gdyby coś mi się stało - powiedział Ardanowi, który pokiwał głową. - Musi trafić do pana, niezależnie od tego, co się stanie.

-Nie ma obawy - odrzekł Ardan, znów się uśmiechając. - Będę jednak strzec twoich pleców na wypadek, gdyby komus coś strzeliło do łba. - Uczynienie z niego mego następcy było najsmardzejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem, pomyślał.

-Dobry z ciebie chlop - powiedzial Kel, klepiac Ardana przyjaznie po ramieniu. Podeszedl ponownie do wejscia i zawolal jednego z chlopcow, zeby przyniosl jedzenie i wode. Nie obawial sie juz, ze zbudzi dziewczynę. Dodal tyle czarnego maku do jej wody, ze mozna by zwalic z nog jucznego greła.

-Siadaj, stary - powiedzial, wskazujac na jedna ze stert poduszek. - Dziewczyna nie obudzi sie co najmniej do zmierzchu. Nie mam ochoty opiekowac sie dzikusiem, jesli bedzie chciala uciekac, ani tez uszkodzic dobrego, zdrowego towaru. Zamierzam pilnowac, zeby byla stale otepiala, dopoki nie dotrzemy do Anjes.

-Kel, chyba nie ma mowy, zeby dziewczyna mogla byc podstawiona, co? - powiedzial Ardan, marszczac nagle czolo. W tej samej chwili jeden z czeladnikow, chudy, nerwowy chlopiec, odsunal kotare i wniosl buklak swiezej wody z sadzawki, chleb i kozi ser. - Pan ma mase poteznych wrogow. Czy to nie dziwne, ze znajdujemy te dziewczynę sama na pustkowiu, twierdzaca, ze sie zgubila?

Kel odgryzl kawalek chleba i zastanowil sie. Pomimo tego co sadzili inni, Ardan bynajmniej nie byl glupi, a rzeczywiscie mogla to byc jedna z tych pokretnych pulapek, jakie wymyslaja elfi wladcy...

Wstal, podeszedl do dziewczyny i przyjrzel jej sie w zamysleniu. Ani troche nie wygladala na narzedzie spisku. Zaplatana w poduszki i jedwabne nakrycia sprawiala wrazenie jeszcze mlodszej, niz byla w rzeczywistosci. Przypuszczal, ze miala czternascie lat; w tej chwili, z twarza rozluzniona we snie, wygladala na najwyzej jedenascie.

Dostrzegl jej spracowane dlonie, twarde, zylaste muskuly, zadrapania, blizny i na wpol zaleczone skaleczenia. Bose stopy byly twarde jak podeszwy butow. Na ramionach, karku i z tylu nog znac bylo liczne otarcia - znak, ze i ja dogonila burza.

-Coz - rzekl po chwili przygladania sie - jest podrapana, ma odciski i stwardniala skore jak kobieta pracujaca w polu. Sadzac po jej wygladzie, przezyła te burze. Nikt nie mogl wiedziec, ze tam trafimy, chcialem powiedziec, iz to miejsce jest na mapie. Nie znaczy to jednak, ze woda musi byc zawsze tam, gdzie wskazuje mapa.

-Elfi wladca mogl przypedzic nas tu burza. Dziewczyna mogla pracowac w polu.

Na tunike moze byc rzucony urok.

-Szczerza prawda. Mam jednak sposob na jego wykrycie, pamietasz? - Kel wrocil do kosza, w ktorym trzymal swa zdobycz i ponownie ja wyciagnal. Wyjal ze sakwy przy pasie zawiniatko z jedwabiu i starannie rozwinal je, odslanjajac wisior z dziwnego, matowego metalu o zielonkawym polysku. W jego srodku znajdowal sie czarny kamien.

Przylozyl kamien do tuniki, uwazajac, by nie dotknac go golymi palcami.

-Widzisz? - powiedział triumfalnie, gdy kamień nadal był polyskliwie czarny, a tunika nie zmieniła wyglądu. - Gdyby tu był jakiś urok, już nie zostałoby po nim śladu.

Ardan pokiwał głową w zamysleniu. - Dziewczyna zachowuje się całkiem jak dzika, to ci przyznam. Biorąc wszystko pod uwagę, gotów jestem założyć się, że to dzikie dziecko, a wiesz, że nie tracę pieniędzy na niepewne zakłady. Po prostu muszę myśleć i o tym.

To moja praca, Kel.

-I bardzo się cieszę, że ją wykonujesz. - Kel schował tunikę do kosza, a wisior do sakiewki. - Skoro więc gotów jesteś założyć się, że jest dzika, przyjmuję twoją opinię, jakby była kupieckim złotem. A teraz, powiedz mi, co sądzisz o tej dziewczynie? Myślisz, że warto ją będzie sprzedać?

Ardan przechylił nieco głowę na bok. - Aha. Tak myślę. Najpierw musi nam powiedzieć, skąd wzięła ten materiał, jeśli wie, i jeśli jest na tyle rozgarnięta, żeby pamiętać.

U niektórych z tych dzikich szwankuje pamięć. - Ardan podrapał się po boku przez tunikę i zjadł kawałek sera. - Są tacy niewolnicy, co zbiegli, albo i jakies wyrodki, biegają ci oni jak te dzikusy i niemal zawsze przymierają głodem, albo jedzą robaki, czy coś innego. Maja dzieciaki, te wyrastają na takich samych i mają trudności z myśleniem o wszystkim, co nie ma związku z zarcim.

-Nie wyobrażam sobie, żeby jedzenie robaków dobrze im robiło na rozum - przyznał Kel. - Rozum jednak nie jest bardzo potrzebny, szczególnie dziewczynie. Nie trzeba rozumu, żeby poscielić łóżko, ani żeby się w nim położyć, no nie? - Rozesmiał się, a Ardan wraz z nim. - Znasz się na ciałach, Ardan, co jeszcze myślisz o niej?

-Skoro już pytasz mnie o opinię, powiem ci, że piękna to ona nie jest, ale dostaniesz niezłą sumkę. - Ardan wykrecił nieco szyję, żeby lepiej przyjrzeć się spiacej dziewczynie. - Te rude włosy są ładne, szkoda tylko, że obcięła je tak paskudnie krótko. Możesz też wystawić ją jako wojowniczkę. Na arenie też nie trzeba mieć rozumu, tylko zdrowa chęć przetrwania i dobry refleks. Z tych dzikusów można zrobić niezłych wojowników, jeśli tylko złapie się ich wystarczająco młodo.

-To jest myśl - powiedział zadowolony Kel. Szkoda, że nie można jej sprzedać i schować całej sumy dla siebie. Z pewnością ktoś doniosłby o tym, to jasne jak słońce na niebie. Lord Berenel nie był złym panem, ale nie ma mowy, żeby pozwolił na coś takiego. Gdyby Kel go oszukał, powiesiłby sobie na ścianie jego skóre.

Jednak sprzedać ją i zatrzymać sobie część zysku, szczególnie jeśli dostanie dobrą cenę - to zupełnie coś innego. Berenel nie miał nic przeciwko drobnemu podskubywaniu, tym bardziej, że towar spadł im iscie z nieba...

Ardan wstał i podszedł do Kela, który przyglądał się spiacej dziewczynie. Jak Ardan

powiedział, nie była pięknoscia, ale nie była też brzydka. Atrakcyjna, uznał Kel. Słowo to dość dobrze określało jej wygląd. Ciemnorude włosy w zmierzwionych splotach zasłaniających uszy i sięgających do ramion, opalona na złoto skóra, przyzwrotna figura. Ładna twarz - wznoszące się hakami brwi, wydatne kości policzkowe i ostry, mały podbródek, który nadawał jej wygląd lisicy.

Atrakcyjna, zdrowa i wytrzymała. Powinien dostać za nią przyzwrotną cenę; więcej, niż przyzwrotna, jeśli zdoła wmówić kupującemu, że jej dzikosc jest zaleta, jak sugerował Ardan.

Czasami Ardan nie wiadomo skąd brał doskonale pomysły.

-Nieźle - rzekł Ardan po dłuższym przyjrzeniu się. - Wiesz, gdyby ubrać ją w taką krotką, skorzaną tunikę, żeby pokazała te długie nogi, zapuścić jej jeszcze trochę włosy i wystawić na arenie, byłaby niezłą ciekawostką. Tym lepsza, jeśli umie się bić.

Uważam, że trzeba kazać handlarzom tak ją zachwalać.

Uwagi Ardana dotyczące handlu, choć nieczęste, nigdy nie zawodziły. Kel pokiwał głową i postanowił podzielić się zyskiem po równo ze swym zastępcą.

-Czy nie sędzisz, że utrzymywanie jej w stanie uspienia, dopóki nie dotrzemy do miasta, może być ryzykowne? - zapytał.

Ardan potrząsnął głową. - E, tam. Nie możemy marnować czasu na szarpanie się z dziećmi. Nie jesteśmy przygotowani do handlu niewolnikami. Widzi mi się, że jeśli będziemy mówić jej, że jesteśmy przyjaciółmi, którzy zabierają ją w bezpieczne miejsce i nie przestaniemy poić ją wywarem makowym, lepiej na tym wyjdziemy.

-Jesteśmy jakieś trzy dni drogi od ziemi lorda Dyrana, a trochę więcej niż tydzień drogi od miasta. Jak sędzisz, czy podawanie jej maku przez tak długi czas nie spowoduje żadnych problemów? - Kel miał nieco doświadczenia z uzależnieniem od makowego narkotyku; jego obecne zapasy pochodziły od poganiacza, który nie mógł bez niego żyć.

Kiedy Kel mu go odebrał, wpadł w taki szal, że Ardan musiał go zabić.

Szkoda, ale co było robić. Demony jedne wiedzą, skąd go wziął i jak w ogóle się od niego uzależnił.

-Tydzień, dwa tygodnie, nie będzie z tym żadnych kłopotów. Oprócz tego łatwiej dowiemy się od niej czegoś sensownego o tym, skąd pochodzi ta skóra. - Ardan znalazł się na narkotykach i ich działaniu lepiej od Kela. Dodatkowo spełniał w karawanie rolę zielarza leczącego proste przypadłości i nastawiającego złamanie. Kel był żywym dowodem na to, że znalazł się na swoim rzemiosle. Ardan załatał niejedno jego skaleczenie.

-W takim razie myślę, że dostał nam się niezły kasek, co nie? - Kel uśmiechnął się do

wysokiego mezczyzny, na co Ardan odpowiedzial rowniez usmiechem.

Obaj powrocili na wygodne poduszki. Kel czul sie nadzwyczaj zadowolony i niczym nieskrepowany. Saczyl zimna wode, podziwiajac jej czystosc i slodycz. W trakcie prowadzenia karawany ani on, ani Ardan nigdy nawet nie tkneli kropli alkoholu, ani nie brali zadnych narkotykow, chyba, ze byly konieczne - jak wywar makowy po ciezkim zranieniu. Zawsze uwazal, ze przywodca nie moze sobie pozwolic na chocby chwile braku czujnosci. Ardan nie tylko w pelni podzielal poglad Kela, ale i szedl w jego slady, nawet wtedy, gdy widac bylo, ze ma ogromna ochote sprobowac kieliszek tego czy innego nowego rocznika wina.

-No wiec, jak? - spytal, siegajac po kawalek chleba. - Czy wciaz uwazasz, ze wszystkie burze piaskowe sa zle? - Rozesmial sie z wlasnego zartu, podajac wiekszemu mezczyznie drugi kawalek chleba.

Ardan zasmial sie cicho. - Nie, jesli przywiewaja nam taki piasek - odrzekl.

-Prawde mowiac, gdyby czesciej to robily, jeszcze moglbym je polubic!

Keman schowal sie w zrujnowanej wiezy i obserwowal ludzi zza jej watlej oslony. Nigdy nie potrafil czytac w myslach za dobrze, nawet w myslach czlonkow rodu, a ci wszyscy ludzie mieli cos, co nie pozwalalo mu wydobyć z ich umyslow nawet najprostszych informacji. Przypomniat sobie, ze jego matka wspominala cos o obrozach - a poniewaz wszyscy zdawali sie nosic na szyjach metalowe, albo skorzane obroze, zakladal rozsownie, iz te obroze byly za to odpowiedzialne. Skulil sie w cieniu i usilowal przybrac jego barwe, przyciskajac sie brzuchem do piachu i skupiajac na podsłuchiowaniu slow ludzi, skoro nie mogl podsłuchac ich myśli.

Obawial sie po nich absolutnie najgorszego. Codziennie, zwykle rozmowy z latwoscia mogly byc przykrywka dla zlych zamiarow. Juz stracil z oczu Shane; zwabili ja do swego namiotu i prawdopodobnie zalozyli jej jedna ze swych obroz, poniewaz nie slyszal nawet jej myśli. Zoladek mu sie wywracal jak wiatroziele, a kazdy miesien w calym ciele bolal od napiecia. Pragnal rzucic sie prosto na nich i uwolnic Shane z ich lap - ale nie mogl tego zrobic. Nie wiedzial, gdzie ona dokladnie sie znajduje, ani tez, czy nic jej sie nie stalo.

Poza tym, w zaden sposob nie mogl przeciez spasc prosto z nieba i porwac ja. Po pierwsze, nie byl wcale pewien, czy zdolalby. Nigdy przedtem nie probowal latac niosac ja. Po drugie, nie bardzo wiedzial, jak ja wydobyć z tego namiotu.

Pozostawalo wiec pytanie, jak zblizyc sie do niej?

Nie mogl pojawic sie jako smok, to bylo niedozwolone. Nie mogl przybrac postaci jednoroga, bo zastrzeliliby go z jednego z tych malych, mocnych lukow, jakie widzial u kilku z nich. Prawde mowiac, kazdego czworonoga dowolnych rozmiarow na pewno powitalby grad strzal.

Jesli nie pomysla, ze jest zagrozeniem, uznaja go najprawdopodobniej za danie obiadowe.

Nie mogli rowniez probowac zakrasc sie jako czlowiek. W tak malej grupie wszyscy sie znali, a obcy natychmiast zostalby uznany za wroga. Szczegolnie przez ludzi z karawany kupieckiej.

Musi jednak jakos przylaczyc sie do nich. Musial stac sie czyms, co beda chcieli miec, lecz czyms, co nie bedzie dla niego zagrozeniem.

Potarl suche oczy zgietyim palcem i westchnal. Byl juz niemal zmierzch, a przez wiekszosc dnia przebywal w upale. Przebywanie tak blisko wody i niemoznosc napicia sie jej byla prawdziwa meka. Ze szczerza zazdroscia przygladal sie jednemu ze zwierzat jucznych, ktore zblizylo sie niespiesznie do sadzawki, by napic sie do syta. Gdyby on tak mogl...

Ha! Nagle przyszedl mu do glowy sposob wejścia do obozu. Dlaczego nie moglbym tego zrobic?

Zmiana postaci zajela mu zaledwie chwile uwagi. Kiedy chwila ta minela, w miejscu, gdzie byl Keman, stal tylko jeden z paskudnych, obsypanych brodawkami jucznych greli.

Zszedl truchcikiem do oazy, idac wprost ku wodzie, jakby mu w glowie nie bylo nic innego i wmieszal sie wsrod inne zwierzeta przy wodopoju.

Spuscil leb i siorbal jak pozostale. Na chwile ugiely sie pod nim nogi z ekstazy, jaka dostarczyła mu chlodna woda splywajaca po jego suchym, spierzchnietym jezyku.

Ledwo mogli powstrzymac sie, zeby sie nie nazlopac wody i nie ochwacic.

Dopiero po chwili jego obecność - poprzez fakt, ze dziesiec jucznych zwierzat stalo tam, gdzie jeszcze przed chwila bylo ich dziewiec - zostala zauwazona przez ludzi.

Kiedy juz go dostrzegli, powitali jego przybycie z chciwoscia i radoscia. Otoczylo go czterech poganiaczy. Podniosl leb i lagodnie mrugnal do nich. Wymienili usmiechy, a jeden z nich podszedl do niego i wyciagnal reke. Keman wtulil w nia pysk na chwile, usilujac nie marszczyc nosa z powodu ostrego, niemilego zapachu czlowieka, a nastepnie znow spuscil leb do wody. Pozwolili mu przynajmniej skonczyc pic, zanim nie nalozyli mu uzdy i nie poprowadzili do miejsca, gdzie uwiazano pozostale zwierzeta. Tam, w towarzystwie dziewieciu innych okazow urody, Keman zamknal oczy i sprobował z calych sil skontaktowac sie z umyslem Shany. Tak sie wysilal, ze rozbolala go skron bolem pulsujacym wraz z biciem jego serca. Bez skutku.

Probował jeszcze co jaki czas, a tymczasem wokol niego krecili sie ludzie, rozpalajac ogniska i gotujac kolacje. Jeden z nich przyszedl z miarka ziarna dla kazdego greła, a Keman pozarl swoja porcje rownie szybko, jak kazdy prawdziwy greł. Zblizal sie juz zmierzch, a Shana wciaz nie wyszła z namiotu. Keman zaczął podejrzewac, ze stalo jej sie

cos straszego. Naciagnal do granic mozliwosci linke, na ktorej byl uwiazany, probujac zblizyc sie do namiotu i probujac nie wyobrazac sobie wszystkich tych okropnych rzeczy, jakie mogly jej sie tam przydarzyc. Nie mogli jednak powstrzymac sie; wciaz widzial ja zwiazana, zakneblowana, torturowana...

Wreszcie znalazl odpowiedz na pytanie, dlaczego Shana nie pojawila sie, kiedy jeden z dwoch ludzi, ktorzy zdawali sie dowodzic grupa, duzy mezczyzna w szarym pustynnym plaszczu narzuconym na szkarlatna tunike, przeszedl obok miejsca, gdzie Keman stal uwiazany, odmierzajac kilka szczypt jakiegos proszku do buklika swiezej wody.

Narkotyki... W chwili, gdy mezczyzna odsunal klape wejsciowa namiotu i wszedl do srodka, Keman zmienil swe uszy tak, by moc uslyszec nawet oddech komara.

Wtedy uslyszal glos Shany. Brzmial tak, jakby byla oszolomiona i spiaca. - Czees - powiedziala niewyraźnie. - Jes... tem strasznie zmeczona. Przepraszam.

-Nie przepaszaj za znuzenie, dziecko - odrzekl ten drugi mezczyzna. - Musisz spac tak dlugo, jak bedziesz potrzebowala. Ale najpierw napij sie. Pustynne powietrze jest suche, musisz czesto pic.

-Dzieki... - powiedziala Shana, a potem nie odezwala sie wiecej. Obaj mezczyzni wyszli, bardzo zadowoleni z siebie. Drugi mezczyzna odziany byl caly w szkarlat, a jego ubranie ozdabial szkarlatny pleciony sznur, lecz poza tym nie wyrozniat sie niczym szczegolnym. Mial brazowe oczy i wlosy, krotka brode i byl o glowe nizszy od tamtego pierwszego. Przechodzac obok uwiazanych greli zasmial sie cicho, jakby do siebie.

Keman nie mogl sie opanowac. Klapnal zebami, chcac ugryzc przechodzacego mezczyzne, lecz ten po prostu wyciagnal reke i walnal piescia mocno Kemana w nos.

Ajiiii! Jego ryk zabrzmial rownie glosno, co krzyk bolu w jego myslach. Jedyny raz, kiedy Keman odczuwal podobny bol, byl wtedy, gdy Rovy siedzial mu na plecach i wbijal szpony w jego barki. Mlody smok osunal sie na kolana, wciaz ryczac donosnie z zaskoczenia i bolu, a mezczyzna poszedl dalej, nie zwrociwszy na to uwagi.

Och - pomyslal ze lzami bolu w oczach, jeczac mimo woli. Na ogien i deszcz, ale to zabolalo! Sadzil, ze ma zlamany nos.

Lecz kiedy bol ustapil, stwierdzil, ze mezczyzna nie wyrzadzil mu krzywdy. Nos byl w najlepszym porzadku, nawet nie krwawil. Wlasnie odkryl jeden slaby punkt grela.

Tego nie zapomni tak szybko.

Uwiazane zwierzeta zostaly same w ciemnosci, a Keman znow zostal sam ze swymi myslami i obawami.

A wiec ci mezczyzni oszolomili Shane narkotykami, zalozyli jej obroze i caly czas trzymali w odurzeniu. Dlaczego ona sie nie boi, zadawal sobie pytanie, z tesknota spogladajac na namiot. Dlaczego nie zdziwilo jej, ze nie moze juz slyszec cudzych mysli?

I teraz domyslil sie. Nie miala powodu podejrzewac, ze ci ludzie sa niebezpieczni - ani, ze w ogole sa ludzmi. Miala wszelkie powody, zeby przypuszczac, iz sa kolejnymi czlonkami rodu, prawdopodobnie bawiacymi sie w gre z odgrywaniem rol.

Mama nigdy nie powiedziala jej, ze elfi wladcy i ludzie wciaz istnieja. Prawde mowiac, mama dala jej wszelkie powody ku temu, by myslala, iz albo wygineli w wojnie czarodziejow, albo mieszkali tak daleko, ze rod nigdy ich nie ujrzy. Nikt z innych doroslych nigdy z nia nie rozmawial, a jedynymi smoczetami, ktore opowiadaly jej o ludziach, byly te, ktorym nigdy by nie uwierzyla - Myre i Rovy. Nauczyla sie pisac z ksiazek, ktore rod napisal w jezyku elfow, lecz nie byly to historie mowiace o kimkolwiek innym, jak o rodzie.

Trzymali ja w nieswiadomosci. Nawet gdyby podejrzewala, ze ci ludzie nie naleza do rodu, byla teraz tak oszolomiona, ze prawdopodobnie nie myslala juz o tym. Nie chciala, zeby rod dowiedzial sie, co potrafi, ze na przyklad umie czytac w myslach. Moze nawet nie pofatygowala sie, zeby sprobowac czytac w myslach. Pewno nie, skoro byla oszolomiona narkotykiem.

A nawet gdyby sprobowala - powiedziala kiedys Kemanowi, ze jej moc zmalala troche po tym, jak zabila wiewiorke ziemna. Mogla pomyslec, ze jej moc znow przygasla.

Co ja mam zrobic? Jak mam nas stad wydostac, skoro nawet nie moge ostrzec jej, ze jestem tu?

To byla dluga noc, spedzona glownie na czuwaniu.

Slonce wstalo, posrebrzajac wszystko, czego dotknelo jego pierwsze promienie.

Dlugie, niebieskie cienie rozciagaly sie po plaskich piaskach. Rozlegl sie krzyk ptaka, lecz Keman nie potrafil go rozpoznac. Byl to jedyny dzwiek przerywajacy cisze.

Keman czul sie wyczerpany. Nigdy przedtem nie spedzil bezsennej nocy. Ziewnal i niespokojnie przestapil z nogi na noge, zastanawiajac sie, co teraz sie wydarzy.

Jeden z ludzi wyszedl z namiotu znacznie mniejszego od tego, w ktorym znajdowala sie Shana. Rzucil kazdemu grelowi nastepna porcje ziarna, a potem znow schylil sie, by zarzucic mu na grzbiet juczne siodlo.

Keman drgnal, a potem bez zastanowienia zrzucil je.

Czlowiek sprobowal raz jeszcze, a on wierzgnal rownie mocno, co poprzednio. Tym razem, kiedy siodlo wylecialo w powietrze, wyladowalo dosc daleko od uwiązanych zwierzat.

Człowiek mruknął coś pod nosem i poszedł po niego. Przyciągnął je do zagrody i zarzucił Kemanowi na grzbiet, po czym wszystko powtórzyło się od początku.

Trwało to przez jakiś czas. Wreszcie, kiedy Keman zaczął naprawdę dobrze się bawić, do chłopca podszedł inny mężczyzna, starszy. Ten popatrzył na niego przez chwilę, a wtedy Keman zauważył, że człowiek zaciska dłoń w pięść.

Natychmiast stał się wzorem potulności bez skargi pozwolił chłopcu zaciągnąć wszystkie rzemienie, a potem przyklakł i zezwolił ludziom na załadowanie mnóstwa tobołów i koszy z towarami na swój grzbiet. Dostał już nauczkę i nie widział szczególnego powodu, aby powtarzać te lekcje.

Do tego czasu obładowano już wszystkie inne zwierzęta, więc Keman znów wstał.

Kiedy zdążył właśnie uchwycić równowagę pod swym ciężarem, wrócił zwiadowca.

Jechał na koniu z ptakiem na specjalnej zerdce przy leku. Wkrótce po tym odsunęły się klapy wejściowe namiotu i dwaj mężczyźni, którzy byli w środku, wyprowadzili Shane między sobą.

Kemanowi przewracało się w żołądku z obawy. Dziewczyna była czysta, ubrana w nową, szkarłatną tunikę i nosiła obroże, tak jak pozostali. Potykała się bardziej jednak, niż szła o własnych siłach i miała zamglone oczy. Była oszolomiona i wyraźnie tylko częściowo docierało do niej to, co działo się wokół.

Dwaj mężczyźni pomogli jej wsiąść na siodło zwierzęcia, którego ładunkiem został obdarowany Keman i przywiązali ją tam. Grele ustawiono i związano jeden za drugim w drugi szereg. Shana znajdowała się na końcu, tylko trzy zwierzęta za Kemanem. Tak blisko - a jednak niczego nie mógł zrobić ani w jej sprawie, ani zmienić położenia. Był w równym stopniu uwięziony, co ona, ponieważ nie chciał odejść bez niej. A nie mógł jej pomóc.

Kiedy poganiacze popędzili zwierzęta - łącznie z nim - zaryczał wraz z nimi.

Jednakże jego powody ryku były równie odmienne, jak odmienny był jego umysł od tych, które do nich należały.

Z tego, co powiedział poganiacz, Keman dowiedział się, że karawane dzielił nie więcej niż dzień od celu podróży, od bram handlowego miasta, gdzie Shane mają dalej przesłuchiwać, a następnie sprzedać.

Wciąż nie udało mu się jej uwolnić, ani nawet porozmawiać z nią.

Kroczył ciężko po zakurzonej drodze, wdychając pył wzbity przez grele przed sobą i sam wzbijając kurz, którym oddychali ludzie idący za nim. Otaczały go leżące odłogi pola lorda Berenela, pola, które kiedyś uprawiali liczni niewolnicy odziani w szkarłat. Według

poganiaczy, było tak, zanim władca nie urządził małej wojny; teraz pola miały leżeć odlego przez następne dziesięciolecie. Kiedy ciała - ludzkie ciała - zmienia się w żyzną, czarną glebę, a kości będzie można wyorac i zmielić na nawóz, pan Berenel znowu kazał je obsiać. Wiedział, że teraz jego pola wydadzą dziesięciokrotnie większe plony, niż przed stoczeniem na nich wojny.

Bedzie musiał odejść. Bedzie musiał zrobić to bez Shany. Kiedy znajdzie się w tym mieście...

Nie wiem, może tam łatwiej będzie mi ją uwolnić, może gdybym przybrał postać elfa, mogłbym nakazać ją wypuścić...

Była to jednak płonna nadzieja i wiedział o tym. Nisko postawiony elfi władca był tylko nieznacznie lepszy od wysoko postawionego człowieka, a nikt ze służby Berenela nie uwolni tego szczególnego więźnia na słowo jakiegos obcego elfiego młodzieńca.

Wciąż nie udało im się uzyskać od Shany zrozumiałej odpowiedzi na pytanie, skąd pochodzi jej tunika. Po pierwsze, brakowało jej słów w tym języku. Jednakże, co ważniejsze, najwyraźniej była przekonana, że jej "przyjaciele" należą do rodu i nie mogła zrozumieć, czemu ciągle wypytywa o te tuniki. Myślała, że pytają ją, czyja to skóra.

Powiedziała im. Powiedziała to wielokrotnie.

Oni byli przekonani, że belkocze bzdury i zaczęli traktować ją jak kretyńkę.

Keman wciąż nie wiedział, co zrobić. Musiał coś zrobić, ale co?

Wtedy, w chwili pomiędzy jednym oddechem a drugim, decyzja przestała należeć do niego.

Bezchmurne, błękitne niebo nad jego głową przeszył nagle potężny ryk, nie przypominający niczego, co do tej pory słyszał. Podobnie jak wszystkie żywe istoty w karawanie, podniósł łeb w górę.

Z nieba spadała lotem nurkowym, wrzeszcząc przy tym jego matka. Poznał ją natychmiast, jakżeby nie? Nietrudno było ją rozpoznać. Była w czystej, nie zmienionej postaci smoka.

Z trzaskiem błoniastych skrzydeł w ostatnim możliwym momencie powstrzymała upadek i przeleciała tuż nad głowami jeźdźców na grzelach. Szybko wzbijała się, przygotowując do kolejnego ataku. Tego dnia Keman szedł niemal na samym koncu.

Znieruchomiał ze szczerego zdumienia i stanął jak wryty - lecz poza nim nikt inny w karawanie nie uczynił tego.

W chwili, gdy Alara zawracała, by znowu zanurkować, wszystkie grele, co do jednego, zdecydowały się na masową ucieczkę w poplochu. Keman, który stał jak skamieniały, był

zupelnie nie przygotowany na to. Podczas gdy on zaparl sie wszystkimi nogami, greł przed nim skoczyl w poplochu - linka lacząca je pekła z trzaskiem przypominajacym strzał z bata - i Keman zostal zupelnie sam na srodku drogi. Sam, poniewaz ludzie rowniez uciekli gdzie pieprz rosnie; niektorzy rozpierzchli sie po polach, szukajac schronienia, inni pobiegli za sploszonymi grełami. "Mamo! - zawolal Keman, gdy rozpoczela drugie podejscie. - Mamo, przestan!

Mamo, musisz..." Albo go nie doslyszala, albo nie zamierzala zwazac na jego slowa. W kazdym razie, skutek byl ten sam. Kiedy leciala w jego strone, dostrzegl jej wyciagniete lapy i zauwazyl, ze byly miekko wyscielane.

Za pozno sprobował uciekac.

Zderzyła sie z nim z wystarczajaca sila, by zabraklo mu tchu, a potem pochwycila go w tylne lapy jednym plynny ruchem. Trzymajac go mocno w lapach, zaczela wzbijac sie coraz wyzej i coraz bardziej oddalac, zabierajac go coraz dalej od Shany i ignorujac calkowicie jego protesty.

Shana byla posiniaczona od stop do glow. Okazalo sie, ze grele nie maja plynneho chodu. Shana podskakiwala na grzbiecie swojego wierzchowca tak, ze byla przekonana, iz nigdy wiecej nie bedzie mogła wygodnie usiasc. Kiedy karawana zatrzymala sie, by mogli ja dogonic ludzie idacy pieszo, rozejrzala sie wokol, mocno zdziwiona. Alara tak naprawde nie uczynila nikomu krzywdy - przypuscila tylko zartobliwy atak na karawane, no i porwala jedno z jucznych zwierzat. Posrod czlonkow rodu byl to pospolity psikus. Mimo oszolomienia nie mogła zrozumiec, dlaczego tak szczerze przerazili sie zwyklego smoka w locie nurkowym i napadu na niby.

W czasie, gdy zmeczeni i zasapani ludzie powracali, zaczela szarpac sie z mocujaca ja uprzeza. Im bardziej zmagala sie z pasami z miekkiej skory, tym czula sie przytomniejsza. Wreszcie uwolnila sie z wiezow i zeslizgnela z grzbietu greła. Szukala wzrokiem Kela, albo Ardana, lecz zobaczyla tylko poganiaczy, ktorzy siedzieli na ziemi, albo lezeli na niej w pozach krancowego wyczerpania.

Oni jej nie pomoga.

Chciala odejsc, majac nadzieje, ze znajdzie kogos, kto jej wszystko wyjasni.

Wtedy wlasnie jej przyjaciele, Kel i Ardan, nagle zjawili sie, ale jakby odmienieni.

Zlapali ja, zanim zdazyła odejsc, jakby obawiali sie, ze im ucieknie. Kiedy usilowala wyslizgnac im sie, Kel ja uderzyl.

Oddala mu, a na dodatek kopnela go i ugryzła. To wystarczylo, by rozpoczac bijatyke na calego. Wrzeszczala, drapala i kopala z calych sil, lecz oni byli od niej wieksi. Caly czas usilowali przyprzec ja do ziemi i nie odzywali sie ani dzwiekiem, chyba, ze kopnela ktoregos

wyjątkowo mocno.

Była przekonana, że Kel i Ardan postradali zmysły.

Wreszcie pokonali ją, podstawiając jej po prostu nogę i siadając na niej.

Cały czas, gdy walczyła, przyciskali ją do ziemi. Teraz zaczęli rozmawiać, choć to, co mówili nie miało sensu. Kel wyjął sznur, którym związał jej ręce, a następnie wrzucił ją na grzbiet grela i przywiązał jej ręce do siodła, a nogi do strzemion, cały czas mamrocząc coś o "potworze", który ich zaatakował.

Wyczerpane biegiem grele uspokoiły się. Shana siedziała żalostnie uczepiona do siodła, a karawana ruszyła naprzód - lub raczej powlokła się - ku bramom miasta widocznego w oddali. Na widok tego miasta, jego wysokich murów i tysięcy mieszkańców, straszna i przerażająca myśl zaswilała jej w głowie. Skoro nie było tak wiele smoków na całym świecie, mogło to oznaczać tylko jedno.

Oni nie należeli do rodu.

Co znaczyło, że są dwunogami. Prawdziwymi dwunogami, obu rodzajów.

Są dwunogami. Takimi, jak ona. Dlatego przybrana matka nie została. Z pewnością zobaczyła Shane z nimi i pomyślała, że jest w dobrych rękach.

Ale nie była. Kiedy tylko dostrzegli miasto, jej "przyjaciele" zaczęli popędzać biednego grela do straszliwie trzesącego klusa. Teraz aż nadto widac było, że jest ich więźniem. Ale dlaczego?

Tunika! - zrozumiała nagle. Dlatego tak ciągle mnie o nią wypytywali. Chcieli wiedzieć, skąd wzięłam te strzępki.

Skoro nie widzieli, znaczyło to, że nigdy przedtem nie widzieli smoka. Jeśli nigdy nie widzieli smoka, to musi istnieć ku temu dobry powód. Smoki muszą nie życzyć sobie, aby dowiedzieli się o ich istnieniu.

Gdyby powiedziała im, skąd naprawdę wzięła skóre, spróbowaliby zdobyć jej więcej.

Zadygotała, wyobrażając sobie dokładnie, do czego by to doprowadziło. Zaczeliby polować na członków rodu i zabijać ich dla ich skór. Gdyby im powiedziała, wina spoczywałaby na niej. Nie miałyby nic przeciwko ujrzeniu skóry Rovy'ego na czyimś grzbiecie - ale Kemana, albo przybranej matki?

Na ogień i deszcz, co ja mam zrobić? Co oni ze mną robią? Bramy miasta zbliżyły się coraz bardziej, a im bliżej były, tym wydawały się większe. Shana nigdy przedtem nie widziała tyle obrobionego kamienia. To ją przerażało jeszcze bardziej. Giczna, żeby coś

takiego zrobic...

Karawana przejeżdżała pod murami miasta. Mury były grube, szersze od długości greła, zbudowane z zimnego, wilgotnego kamienia, dziwnego i wrogiego. Shana zadrzała w cieniu rzucanym przez mury, ale nie z chłodu, lecz z obawy. Karawana czekała teraz, a niektórzy ludzie z karawany rozmawiali długo z jakimiś innymi, którzy wszyscy ubrani byli jednakowo, w zielonoszare tuniki i nogawice.

Wreszcie karawana ruszyła dalej, wychodząc na słońce.

Mniej więcej wtedy miasto ukazało się Shanie w całej pełni. Było to dla niej jak uderzenie w twarz.

Kiedy mineli bramy, Shana zaatakowała wrzawą tysięcy głosów, porykiwanie tysięcy zwierząt i upał, jaki się tam gromadził, ponieważ okolice wybrukowano, nie zostawiając ani odrobiny zieleni. Intensywny upał pogarszał tylko wonie. Smród odchodów, surowego mięsa, gorącej oliwy, potu ludzi i zwierząt, zapachy perfum, kwiatów i rzeczy, jakich Shana nie umiała nawet nazwać, wszystko to kłociło się ze sobą. Wszędzie otaczały ją kolory i ruch; setki, tysiące ludzi obu rodzajów dwunogów. Przepychali się, bili, plotkowali, przyglądali różnym rzeczom - ubrani w wszelkie możliwe stroje, od prostych lachmanów do noszonej przez jedną z tych białych, wysokich istot zdumiewająco wymyślnej sukni, która zmieniała kolor przy ruchu właścicielki.

Shanie zakreciło się w głowie, tak że cieszyła się z przytrzymujących ją w siodle pasów. W tej chwili były bardziej dla niej oparciem, niż wierzami. Nigdy nie wyobrażała sobie, że na świecie może być tylu dwunogów!

Po chwili coś zaczęła zauważać. W pobliżu muru, który właśnie mineli, znajdowała się ogromna, kwadratowa przestrzeń otoczona budowlami. Niektóre z nich dzieliły tunele lub wąskie kaniony. Karawana posuwała się powoli przez tę otwartą przestrzeń, wśród tłumu ludzi. Wydawało się, że celem jest jeden z tych tuneli pomiędzy dwoma budynkami. Słońce prażyło ich z góry, od dołu wznosił się duszny upał, a ludzie pchali się na grele, nie oglądając się nawet na to, kogo czy co potracają. Zdawało się, że minęła wieczność, nim przebyli tę przestrzeń.

Szli teraz pojedynczymi krokami, często przystając, żeby ludzie ustapili im z drogi. Shana starała się nie rozchorować i bardzo chciała znaleźć się już po drugiej stronie tego tajemniczego tunelu, gdzie nie byłoby tylu ludzi.

Lecz kiedy wreszcie dotarli tam, Shana pozalowała swego wcześniejszego życzenia.

Wreszcie w domu.

Harden Sangral zsiadł ze swego greła, przytrzymał wodzę krnabrnego zwierzęcia, aby mu nie uciekło i ukradkiem poklepał przód sakwy przy swym pasie.

Wciaz tam bylo, to ciezkie, niewielkie, jedwabne zawiniatko, ktore wypadlo zza tuniki dzikiej dziewczyny w czasie, gdy walczyła. Ani Kel, ani Ardan nie zauwazyli tego, ale Harden tak. Podniosl je szybko i schowal, aby pozniej dokladniej mu sie przyjrzec.

Zbyt wiele w tej dziewczynie bylo rzeczy dziwnych, a jednym z zadan Hardena bylo zauwazanie osobliwosci.

Na podworcu karawanseraju znajdowali sie tylko oni sami i ich zwierzeta, chociaz po swiezych odchodach zmiecionych do kata Harden poznal, ze przynajmniej jeszcze dwie karawany przybyly tego dnia. Skrzywil sie ponuro; oznaczalo to, ze beda musieli na wszystko czekac. Gdyby nie ta burza piaskowa, byliby w miescie juz dwa dni temu.

Jeden ze sluzacych z karawanseraju pojawil sie, zeby zabrac jego grela w chwili, gdy nadszedl zarzadca karawanseraju z lista w reku. Harden z wdziecznoscia pozbyl sie grela i stanal w kolejce wraz z pozostalymi, aby otrzymac nowe polecenia. Katem oka dostrzegl Ardana odprowadzajacego dziewczynie do pomieszczen dla niewolnikow.

Uczynil to w sposob bardzo prosty, biorac ja na plecy i zanoszac tam.

Od czasu walki na szlaku byla pograzona w jakims szoku, ale to obudzilo ja szybko.

Pomimo iz miala zwiazane rece i nogi, udawalo jej sie wierzgac i wrzeszczec, jak jaszczurka dortha w okresie godowym. Nie zazdroscil Ardanowi ani tez nadzorcom niewolnikow.

Zarzadca karawanseraju, bardzo nisko postawiony elfi wladca, trzymal w rekach nadzwyczaj dluga liste, kiedy Harden dotarl do niego. Wojownik przygotowal sie na najgorsze - nie po raz pierwszy posylano go do pilnowania karawany natychmiast po powrocie z poprzedniego zadania.

-Imie? - spytal elfi wladca o zaszczutym wygladzie. Pot przyklejal mu jasne wlosy do czola.

Kazdy elfi pan, jakiego Harden widzial w swoim zyciu, byl piekielnie przystojny. Byla to chyba cecha wrodzona rasie, poniewaz nawet ci najnizsi ranga, ktorzy obdarzeni byli tylko slaba magia, wygladali jak odpowiedz na modlitwe dziewczicy, lecz ten tu wydawal sie nieco zuzyty. Moze powodem byl upal, a moze po prostu biedak byl przepracowany.

-Harden Sangral, panie - odpowiedzial natychmiast. W stosunku do elfich wladcow nie mozna bylo byc zbyt uprzejmym ani zbyt poslusznym. Nigdy nie bylo wiadomo, ktory z nich ma dosc mocy magicznej, zeby uczynic tve zycie pieklem na ziemi przez nastepnych kilka oddechow.

-Harden, Harden - powtorzyl pod nosem elfi wladca, przegladajac liste. - Aha, tu jestes. Masz szczescie, chlopcze. Zadnych obowiazkow przez nastepne dwa dni. Idz do srodka, umyj sie, znajdz sobie prycze i cos do jedzenia. Jesli sa dzis jakies wolne dziewczyny, wez sobie jedna. Pamietaj, tylko na jedna runde, a potem masz ja odeslac z powrotem do

roboty.

-Tak, panie - odrzekł z wdzięcznością Harden. - Dzięki ci, panie. Zyski dla lorda Berenela.

-Tak jest, zyski dla lorda Berenela - odrzekł w roztargnieniu przepracowany urzędnik. -
Następny?

Harden pospieszył do gościnie rozwartego wejścia. Różnica temperatur pomiędzy wewnątrz budynku a podworcem była niewiarygodna. Nie dziwił się, że zarządcy karawanseraju tak się spieszyło. Gdyby Harden musiał tkwić na jego miejscu, też wykonywałby swą pracę w pośpiechu, żeby czym prędzej wrócić do chłodu. Stał przez chwilę jeszcze w wyłożonym białymi kafelkami wejściu, zauważając, że jedynym okienkiem do którego nie było kolejki, było to, gdzie przydzielano pokoje. Westchnął i z rezygnacją przygotował się na spędzenie dnia na wyczekiwaniu.

W odróżnieniu od wielkiego domu, w karawanseraju były wielkie, przeszklone okna, przynajmniej na parterze. Za wejściem znajdowały się trzy pary drzwi; te na lewo prowadziły do sali jadalnej, pośrodku były drzwi do pryszniców, a na prawo korytarz prowadzący do pokoi oraz okienko z wyglądającym z niego zarządcą o znudzonej minie.

Harden stanął w kolejce mężczyzn (i kilku kobiet) czekających na prysznic. Po dojściu do przebieralni rozebrał się, rzucił swoją brudną tunikę i spodnie na stertę podobnie wybrudzonych ubrań i zabrał ze sobą rzeczy osobiste. Kolejka prowadziła przez wąskie pomieszczenie z rurami, z których leciała woda, najpierw mydlana, a potem czysta. Wraz z pozostałymi przeszedł pod wszystkimi rurami, zadowolony, że może pozbyć się kurzu podróży i potu wywołanego strachem. Jak pozostali, trzymał swój pas z sakwą i nożem z dala od rozprysków wody, przekładając go z ręki do ręki w czasie mycia.

Kiedy znalazł się na drugim końcu pomieszczenia z prysznicami, wziął szorstki ręcznik z czystej sterty, wytarł się nim i zostawił go na stosie używanych ręczników.

Pogrzebał w stercie czystych tunik i spodni w kolorach lorda Berenela, znalazł ubranie swojego rozmiaru i nałożył je, przepasując się swoim wilgotnym, skorzanym paskiem.

Wrócił do wejścia i stanął w następnej kolejce, tym razem do stolówki. Kiedy dotarł do końca ogonka, otrzymał miske gęstego, smacznego gulaszu, kawał świeżego, gorącego chleba ociekającego masłem i kufel zimnego piwa. Poszukał sobie miejsca przy jednym z wielu prymitywnych, drewnianych stolów i zabrał się do jedzenia.

Kiedy wytarł miske do czysta ostatnim kawałkiem chleba i przelknął ostatnią kroplę piwa, wstał od stołu, a jego miejsce natychmiast zajął inny wojownik, tym razem kobieta. Nie pofatygował się nawet, żeby ponownie na nią spojrzeć. Była wojowniczką, a nie tego rodzaju dziewczyną, jaką polecił mu wziąć sobie zarządcą karawanseraju.

Zaniósł pustą miske i kubek do kuchennego okienka, a potem wrócił do frontowej części

karawanseraju. Tam podszedł do człowieka, który ze znużoną miną stał za kontuarem postawionym przed polką pełną kolorowych drobiazgów z wypalanej gliny.

-Imię? - zapytał bezbarwny osobnik.

-Harden - odrzekł wojownik.

Człowiek przesunął palcem po liście zawieszonyj na ścianie, poruszając wargami w trakcie bezgłosnego czytania nazwisk. Wreszcie znalazł to, którego szukał i sięgnął po glinianą figurkę.

-Harden, aha, tutaj. - Odwrócił się i podał wojownikowi czarny kwiatek o trzech płatkach. - To twój pokój, parter, dalej przy tym korytarzu. Jeszcze przez jakiś czas nie będzie żadnych wolnych dziewcząt; może byś odpoczął trochę i wrócił w okolicach kolacji? Kolacje podajemy przez cały prawie wieczór, więc jeśli przeczekaś pierwszy tłok, zastaniesz prawdopodobnie kilka wolnych dziewczyn. Nie wiem jak ty, ale ja wole mieć wybór. Nie lubię, kiedy jestem zmuszony brać pierwszą dostępną.

-Jasne. Dzięki za radę - odpowiedział Harden, biorąc swoją figurkę. - Tak zrobię.

Wszedł na wyłożony białymi kafelkami korytarz, po którego obu stronach znajdowały się drewniane drzwi. Szedł zgodnie z wskazówkami, sprawdzając, czy symbol namalowany na drzwiach zgadza się z jego kwiatkiem, aż dotarł do tych, które miały taki sam czarny znak. Otworzył drzwi pchnięciem i ujrzał, jak można było się spodziewać, wąski pokój wyłożony drewnem, ledwo dość duży, by pomieścić posłanie na podłodze. Pomieszczenie oczywiście nie miało okien. Oświetlenie było magiczne, zapewnione przez jednego z magów - budowniczych lorda Berenela. Gasło każdego wieczoru o tej samej porze i budziło wszystkich w karawanseraju, zapalając się rankiem.

Biorąc wszystko pod uwagę, był zadowolony, że jest wojownikiem. Wojownikom przysługiwał luksus osobnych pomieszczeń; pospolicci niewolnicy musieli zadowalać się posłaniem w barakach.

Szczerze mówiąc, był równie zadowolony z tego, że nie było w tej chwili żadnej dostępnej dziewczyny. Naprawdę nie mógł już powstrzymać się od checi sprawdzenia na osobności, co jest w tym małym, ciężkim zawiniatku.

Zamknął drzwi i usiadł na łóżku, odwróciwszy się do nich plecami. Wyciągnął paczuszkę z sakwy, a potem także noż i oselkę i położył je obok siebie tak, że gdyby ktoś mu przerwał, mógł obie rzeczy wziąć do ręki. Ostrożnie rozwiązał supły zawiniatka, przeklinając jedwab za oporność.

Wreszcie rozplątał ostatni węzeł i jedwabny pakiecik otworzył się, odsłaniając cud bogactwa i barw.

Zaparlo mu dech w piersiach. Nic dziwnego, ze bylo takie ciezkie. Nigdy w zyciu nie mial w reku tyle zlota...

Byla to obroza, obroza niewolnika, ale z litego zlota, wysadzana we wzorki klejnotami, ktorych rozmiary wahaly sie od tak drobnych jak ziarnka piasku, do wielkich jak paznokiec jego malego palca.

To musiala byc obroza naloznicy. Przedmiot ten nie mogl byc niczym innym.

Jednakze co robila obroza naloznicy u dzikiej dziewczyny?

Podniosl ostroznie przedmiot i obrocil go w dloniach. Tuz nad zapieciem dostrzegl znak, co do ktorego nie mogli sie mylic - feniksa wygrawerowanego w zlocie z malenkimi rubinami w miejscu oczu.

Lord Dyran! Znal ten symbol tak, jak znal wlasne imie, i nic w tym dziwnego. Mogl pilnowac karawan lorda Berenela, ale to Dyran byl jego prawdziwym panem.

Powoli przemyslal wydarzenia ostatnich kilku dni, aby upewnic sie, ze o niczym nie zapomnial. Najpierw rozszalala sie burza piaskowa, ktora zepchnela karawane z szlaku i zmusila do szukania wody. Znalezi ja. Potem pojawilo sie tam dzikie dziecko, dziewczyna w tunice zrobionej z czegos, czego nikt nie umial rozpoznac. Dziewczyna, ktora miala przy sobie obroze naloznicy. Nie wiadomo skad pojawil sie dodatkowy grel.

Potem byl magiczny atak na karawane, atak przeprowadzony przez cos, co wygladalo jak najlepsze zludzenia Berenela, jak iluzoryczne smoki, podobne do tych, ktore elfi wladca postawil przy bramie do swej posiadlosci. Cos tu sie dzialo. Harden nie mial pojecia co, ale nie bylo tym, na co wygladalo.

Zastanowil sie nad obroza, ktora trzymal w obu dloniach. Czy ta dziewczyna mogla byc podstawiona? Czy mogla zostac tam umieszczona, aby ktorys z innych elfich wladcow dowiedzial sie, gdzie bedzie karawana i mogl wyslac zaczarowana bestie, zeby napadla na konwoj? Ale dlaczego? Zeby rozproszyc karawane, sploszyc grele i udaremnic misje? Gdyby to byla prawda, atak powinien sie wydarzyc w czasie, gdy byli jeszcze na pustyni lub w oazie. I dlaczego zostal porwany tylko jeden grel? Chyba, ze - chyba, ze ow grel niosl cos waznego.

Tak wlasnie moglo byc. Panowie nie zwierzali sie swoim podwladnym, a ci nie zwierzali sie tym, ktorzy byli jeszcze ponizej nich. Demony tylko wiedza dokladnie, co wiozla karawana. Nawet Kel i Ardan mogli nie znac calej prawdy. Karawany juz przedtem wozily tajne ladunki i ludzie gineli z ich powodu. Byla to czesc ryzyka, jakie podejmowali wojownicy, dlatego tez wojownikow traktowano specjalnie. A wiec przypuszcmy, ze najmocniejszy grel niosl cos specjalnego. Agenci lorda dopilnowali, aby to cos znalazlo sie na grzbiecie tegoz wlasnie grela jeszcze na poczatku drogi. Kazdy grel dzwigal ten sam ladunek przez cala podroz - lecz kiedy pojawila sie dzika dziewczyna i dodatkowy grel, Ardan zgodnie z logika powinien

posadzić dziewczynę na najmocniejszym zwierzęciu w karawanie, a jego ładunek przenieść na nowe zwierze.

Tak więc smok wiedział dokładnie, które zwierzę porwać, a dziewczyna ani trochę nie wyglądała na to, że się przestraszyła potwora. To zdawało się wskazywać, że spodziewała się podobnych wydarzeń.

To zdecydowanie miało sens. Problem w tym, że nie istniało zbyt wielu elfich panów, którzy dysponowali wystarczająco potężną mocą, aby stworzyć coś podobnego. To dość poważnie zawezowało listę możliwych sprawców.

Mogło to okazać się dziełem nawet jego własnego pana. Działaniom tym brakowało subtelności planów lorda Dyrana, lecz on z pewnością miał dość czystej, nieokiełznanej energii, by stworzyć coś takiego, jak smoka. Tworzył je już wcześniej; smoki i rzeczy jeszcze większe. Wielkie twory rzadko istniały dłużej niż pół dnia, zanim nie rozwiewały się, lecz z reguły nie były dłużej potrzebne.

Wreszcie doszedł do wniosku, że nie ma to znaczenia. Ktokolwiek był za to odpowiedzialny, jego to nie dotyczy. Jeśli to dzieło lorda Dyrana, kiedy mu o tym doniesie, pan przekona się, że Harden dobrze mu służy. A jeśli nie, elfi władca będzie wiedział, na kogo zwrócić uwagę i co zrobić w tej sprawie.

Ogólnie rzecz biorąc, Harden był raczej zadowolony, że zaklecie rzucone na jego obroże udaremniało oddziaływanie na niego wszystkich innych czarów, nawet pana Dyrana, chyba, że pan specjalnie w tym celu je zniwelował. Miał uczucie, że na bizuterii tej spoczywał jakiś czar skłaniający właściciela do checi noszenia jej - co spowodowałoby nie kończące się kłopoty.

Och, już się widzę wyskakującego stąd na ulicę, z tym cackiem na szyi! Wtedy już bym wpadł na całego! Istnieją przepisy zakazujące każdemu, kto nie jest nalożnicą, noszenia obroży oznaczającej wysoką rangę. Wolalbym ich nie łamać.

Wziął obroże i schował ją do małej, skórzanej torebki, zamykając brzegi przez zacisnięcie ich razem. Teraz już nikt nie zdoła otworzyć sakiewki z wyjątkiem pana Dyrana, lub kogoś z jego zaufanych powierników.

Wstał z posłania, opuścił pokój, a następnie wyszedł przez frontowe drzwi karawanseraju na plac, z miną kogoś, kto idzie przespacerować się. Spacer zaprowadził go poza plac i daleko poza obszar rządzony przez lorda Berenela, gdzie wszystkie ulice oznaczone były tuż za skrzyżowaniem ceglami w czerwono-miedzianą kratę. Udał się do tej części miasta, która znalazła się doskonale i gdzie wszystkie skrzyżowania oznaczone były ceglami w kolorze złota i czerwieni.

Kiedy już dotarł na miejsce, poszedł kreta uliczka do dzielnicy, gdzie zbierali się wojownicy, którzy chcieli wydać zetony nagrodę na mocniejsze trunki, osobliwsze jedzenie i dziksze

kobiety, niż te, jakie mogli im dostarczyć karawanseraj. Wszystko, oczywiście, należało tutaj do lorda Dyrana, lecz zapewniało wojownikom coś, o co mogli się ubiegac, coś, czego nie mogli mieć wszyscy inni. Coś, co przynajmniej miało pozór owocu zakazanego i pozłote słodczy prawdziwego przepychu.

Harden odszukał przybytek pod szyldem przedstawiającym feniksa w trakcie uprawiania anatomicznie nieprawdopodobnego aktu z niewiarygodnie wyposażona przez naturę młodą, rudowłosą, dziką pięknoscia. Do środka lokalu, którego pilnował wielki, dobrze uzbrojony osobnik, dostał się opowiadając strażnikowi w drzwiach pozornie bezsensowny i raczej dziwny dowcip. Tak pomysleliby przechodnie; w rzeczywistości podał strażnikowi nie jedno hasło, lecz całą ich serię. Strażnik wprowadził go do głównej sali. Stał na najwyższym z trzech stopni, które prowadziły do środka i miał chwilę czasu, żeby się rozejrzeć, zanim dostrzegli go bywalcy tego lokalu.

Niewiele się zmieniło; czerwone jedwabne draperie na ścianach były nowe, a kadzidło, którego zapachem ciężko przesiaknięte było powietrze, miało tym razem won jasmину, a nie orchidei. Reszta była taka sama; rozszczebiotane dziewczyny ubrane w coś, co bardziej przypominało ozdoby niż stroje, spoczywały na poduszkach posrodku pokoju, a z sufitu padało delikatne, bursztynowe światło. Ściany zasłaniały jedwabne kotary, które, jak Harden wiedział, zakrywały wejścia do małych pomieszczeń, podobnych do tych w karawanseraju, z tym tylko wyjątkiem, że posłania były bardziej miękkie, pokoiki nieco większe, a w każdym znajdował się także stojak na przyrządy związane ze specjalnością młodych dam. Na przykład: olejki do masażu - albo instrument muzyczny - albo coś zupełnie innego.

A dla tych, którzy woleli całkowite odosobnienie i mieli specjalne wymagania, na pietrze znajdowały się pomieszczenia dzwiekoszczelne.

Nie był to lokal, do którego zazwyczaj uczeszczały ludzie. Przychodzili tu nisko postawieni, którzy nie mieli własnych konkubin, przychodzili też młodzi elfi władcy szukający rozrywki w dolnym mieście, oraz bardzo rzadko któryś z panów wysokiej rangi, który miał ochotę na odmianę, lecz nie odczuwał aż tak nagłej potrzeby, aby powiększyć swój harem w celu zaspokojenia tej przyjemności. Ludzie, którzy już tu trafiali, z reguły byli wojownikami nagrodzonymi za specjalną służbę. Harden miał właściwy wygląd do odegrania tej roli.

Zszedł do sali i natychmiast został otoczony przez młode kobiety, które nie miały wiele wspólnego z damą na szyldzie, poza tą samą plcią, ogólną atrakcyjnością i rudymi włosami.

-Czy Marty jest zajęty? - zapytał pierwsza, która ujęła go pod ramię, wiedząc, jaka będzie reakcja. Mimo iż z przyjemnością zabawiłby się z tą dziewczyną, wiedział, jaka czeka go kara, jeśli uczyniłby to bez wyraźnego pozwolenia. Wypuściła go natychmiast, a wyraz przerażenia i paniki zmienił natychmiast jej twarz w oblicze wystraszonego dziecka. Reszta dziewcząt znikła równie szybko, jak się pojawiła.

-Nnn... nie - wyjakala, najwyrazniej majac nadzieje, ze nie kaze jej odprowadzic go. Przez chwile bawil go ten pomysl; dziewczyna tak byla przerazona, ze mogloby to okazac sie zabawne, poniewaz jednak nie byl z natury okrutnym czlowiekiem, postanowil tego nie robic.

-Zmykaj - powiedzial, klepiac ja po prawie kompletnie gołych posladkach, az pisnela i podskoczyla. - Sam trafie.

Poszla w slady swych "siostr" i uciekla do jednego z licznych zaslonietych pomieszczen, znikajac za kotara w takim tempie, jakby byl demonem. Harden nie zwrocil na nia uwagi i poszedl w kierunku jedynych prawdziwych drzwi w tym pokoju. Byly to masywne, nie rzezbione wierzeje z zelaznego drewna, ktorego brazowoczerwone sloje stapialy sie z czerwienia draperii z malowanego jedwabiu. Zapukal raz i wszedl.

To samo bursztynowe swiatlo padalo na drewniana boazerie i podloge wylozona karmazynowym dywanem. Kiedy Harden zamknal drzwi za soba, Marty podniosl spojrzenie znad biurka, jedynego mebla w pokoju. Marty - byl kims niezwyklym. Nie wazyl chyba wiecej niz polowe tego co Harden, byl wysmukly jak galazka wierzbowa i mial delikatna, a nawet slodka twarz. Prawde powiedziawszy, przypominal dziewczyne z wasami. Byli tacy mezczyzni, ktorzy te urocza twarz wziali za oznake tego, jakich partnerow preferuje Marty.

Mezczyzni ci nie mieli juz nigdy wiecej okazji popelnic podobnego bledu; nie zyli, zanim jeszcze ich ciala upadly na podloge. Marty byl jednym z doskonale wyszkolonych zabojcow lorda Dyrana. Byl rowniez glownym agentem Dyrana w miescie, zastepujac kontakt, dla ktorego Harden pracowal przez dwa lata. Tamten agent byl juz starym czlowiekiem. Harden wiedzial, ze odeslano go do jednej z posiadlosci Dyrana, aby szkolil mlodszych agentow. Wiedzial, ze tak jest, poniewaz on sam jeszcze byl. Gdyby ow czlowiek zdradzil elfiego pana, Dyran oprócz zdrajcy zlikwidowalby rowniez kazdego agenta, ktory mu donosil.

Harden darzyl mlodziencza pewna sympatia; demony wiedzialy, ze nie mial wielu innych przyjaciol. Dziewczyny baly sie go panicznie i to, o ile Harden wiedzial, bez zadnego powodu. Moze mial nieco bardziej wyszukane upodobania, nawet jak na ich gust.

Moze tylko z powodu tego, co reprezentowal...

Moze dlatego, ze jako zarzadca tego domu, mial nad nimi wladze zycia i smierci.

A smierc z rak wyszkolonego zabojcy potrafila byc bardzo przedluzona i bardzo nieprzyjemna.

-Harden, milo mi cie ujrzec - powiedzial serdecznie mlody czlowiek, wstajac, by zaproponowac swe krzeslo Hardenowi. Harden potrzasnal glową na widok gestu oznaczajacego propozycje gosciny.

-Nie moze dlugo zostac - powiedzial. - Powinienem wziac dziewczyne w porze kolacji, a

poniewaz bylem w drodze przez kilka tygodni, jesli sie nie pokaze, bedzie to podejrzenie wygladalo. Prosze. To musi trafic do naszego pana.

Rzucil na biurko skorzana sakiewke. Marty przyjrzel jej sie z ciekawoscia, lecz nie dotknal jej.

-Posluchaj, skad sie wziala - powiedzial Harden i wyjasnil najzwiezlej i najkrocej, jak potrafil, wydarzenia minionych kilku dni. - Wiec, kiedy dziewczyna zaczela stawiac opor, to jej wypadlo. Musialem poczekac ze zbadaniem zawartosci, az dotre do miasta. To obroza ze zlota i klejnotow, i wyglada mi na obroze konkubiny. Jest na niej pieczec lorda Dyrana.

-Pieczec lorda Dyrana na obrozy naloznicy. I to w posiadaniu dzikiego dziecka!

-Marty przechylil nieco glowe na bok. - Coz, najprostszym wytлумaczeniem jest, ze znalazla ja. Juz przedtem karawany pana ginely na pustyni, a wsrod nich i te, ktore wiozly wysoko postawione naloznice.

Harden skrzywil sie, rozgoryczony faktem, ze nie pomyslal wczesniej o takiej mozliwosci.

-Ale - ciagnal Marty - musze przyznac, ze napad potwora na karawane mocno poddaje w watpliwosc fakt, ze byl to zbieg okolicznosci. Wziawszy wszystko pod uwage, pozwolimy panu rozstrzygnac te sprawe, w sposob jaki uzna za stosowny. Swietnie sie spisales, Harden. Jesli nawet nic innego z tego nie wyniknie, zwrociles przynajmniej panu Dyranowi cenny klejnot. Ludzie Berenela z pewnoscia nie pofatygowaliby sie.

Oznaczalo to koniec dyskusji, co do tego nie bylo watpliwosci.

-Wracam do karawanseraju - powiedzial szybko Harden. - Jesli cos uslysze, dam ci znac.

-Chcialbym jeszcze, zebys czegos sie dowiedzial - rzekl Marty w chwili, gdy Harden kladl juz dlon na klamce.

Harden natychmiast sie odwrocil.

-Byla taka konkubina, ktora uciekla pietnascie lat temu, ciezarna faworyta bliska rozwiazania. Zbiegla wlasnie w te okolice pustyni... - Marty nie rzekl juz nic wiecej, lecz Harden wiedzial wiecej niz dosc, aby domyslac sie reszty. Duzo wiecej, niz wiedzialaby wiekszosc ludzi.

Jesli rzeczywiscie byla w ciazy z lordem Dyranem - jesli pozyla dosc dlugo, zeby urodzic tego szczeniaka... Mieszaniec byl czymś zakazanym, absolutnie zakazanym, a to dziecko bylo akurat w takim wieku, ze moglo okazac sie tym mieszancem...

-Dziewczynka ma rude wlosy i jakies dwanascie, moze czternascie lat - stwierdzil. - Nie widzialem tez, zeby uzywala dzikiej magii, a sadze, ze gdyby nia dysponowala,

zauwazylybym to w czasie jej walki z Kelem.

-Byla oszolomiona narkotykiem - przypomniał mu Marty. - No, a ten potwor?

A jeśli wyczarowała go po to, by odciągnąć waszą uwagę i zbiec w tym czasie?

-Nie próbowała uciekać - odrzekł Harden, a potem zastanowił się chwilę. - Oczywiście, sploszony gręł pogalopował wraz z nią, a ona mogła nie umieć zapanować nad nim. Wydaje mi się jednak, że ktoś, kto potrafi stworzyć potwora, powinien umieć odzyskać panowanie nad gręłem.

-Masz rację - przyznał Marty. - Ale lepiej miej ją na oku, jeśli możesz. Sądzę, że uważanie jej za dziecko tej nalożnicy jest naciąganiem faktów, ale lepiej pozwólmy panu Dyranowi zdecydować, co chce zrobić w tej sprawie. W każdym razie, jeśli tylko cokolwiek będzie wskazywało, że jest polelfem, przyjdź natychmiast do mnie, a ja dopilnuję, żeby dowiedzieli się o tym namiestnicy lorda Berenela. Jeśli pod jakimś względem elfi władcy zgadzają się, to tylko pod tym, że mieszanców należy tepić, jak tylko pokażą się.

Harden pokiwał głową. Ponieważ nie zanosilo się na nic więcej, otworzył pchnięciem drzwi i wyszedł.

Shana kulila się w kacie pomieszczenia, do którego wrzucono ją, jak jakiś smiec.

Zadygotała, tyleż samo z zimna, co z wstrzasu. Ostatnie pół dnia było najbardziej przerażającym doświadczeniem jej życia. Nawet oczekiwanie w leżu na wyrok, co się z nią stanie, nie było tak okropne.

W leżu przynajmniej wiedziała, że ma kilku przyjaciół. Tu nie miała nikogo i nic, i nie wiedziała, co się stanie potem.

Kiedy weszli do cichego tunelu, Shana zauważyła, że jest znacznie krótszy niż ten pod murami. Prowadził do kwadratowego, pustego miejsca otoczonego murami ze wszystkich czterech stron. Duży mężczyzna zdjął ją z grzbietu zwierzęcia, na którym jechała i zaniósł do drzwi w pustej ścianie po drugiej stronie placu, choć wrywała się jak mogła, mając związane ręce i nogi. Tam oddał ją w ręce trzech mężczyzn, równie wielkich, jak on sam. Skutecznie ją unieruchomili i wtedy zorientowała się, że jej magia przestała działać. Nawet nie miała uczucia, że coś stawia opór jej mocy; po prostu było tak, jakby nigdy nie posiadała zdolności, które wykorzystwała przeciwko Rovy'emu.

Zabrali ją do białego pokoju wypełnionego parą, rozebrali do naga i wrzucili pod strugi ciepłej wody, cały czas mocno związana. Potem wyszorowali ją jakimś piaskiem, aż zaczęła ją piec skóra, a następnie wyciągnęli na zewnątrz i rozwiązali na tak długo, by wcisnąć ją w prostą, brązową tunikę. W tym momencie była już tak wyczerpana i przerażona, że ledwo miała siły stawiać im opór. Trzej nieznajomi zdawali się wiedzieć o tym, bowiem dwóch wyszło, zostawiając jednego, który wepchnął ją do tego wielkiego, bladorożowego

pomieszczenia o pustych scianach, od ktorych odbijalo sie echo.

W pomieszczeniu tym znajdowali sie rowniez inni ludzie w takich samych tunikach, jaka miala na sobie, a na podlodze byly plaskie, materialowe rzeczy, podobne do tych, ktore widziala w plociennym domu Kela, tylko pokryte taka sama tkanina, z jakiej wykonane bylo jej ubranie i nie grubsze od jej kciuka.

Zamkneli drzwi, ktore nie dawaly sie otworzyc od jej strony i zostawili ja w pomieszczeniu pelnym obcych dwunogow, ktorzy gapili sie na nia, ale poza tym zostawiali ja w spokoju.

Ostroznie posuwala sie dookola pokoju, przyciskajac plecy do sciany, az dotarla do kata najbardziej oddalonego od drzwi. Podniosla glowe, ale nie zobaczyla nieba, tylko swiecace sklepienie, ktore oswietlalo cale pomieszczenie bursztynowym blaskiem nie rzucajacych cieni. Skulila sie tam, wciaz przycisnieta plecami do sciany, i otoczyla kolana rekoma, dygoczac ze strachu, opoznionego wstrzasu i chlodu, jaki ciagnal od kamiennej posadzki przez jej cienka tunike.

Chciala wrocic, chciala, aby to sie nigdy nie wydarzylo. Chciala, zeby okazalo sie to snem. Gdyby snila, moglaby sie obudzic, a wtedy bylaby we wlasnym lozku i bylaby z nia przybrana matka i Keman... Lzy pociekly jej po policzkach, tak ja sciskalo w gardle, ze nie mogla przelknac sliny, palily ja oczy i bolal zoladek.

W domu przynajmniej wiedziala, co sie dzieje. Rozumiala rod, wiedziala, jak nie narazac sie, wiedziala, co moze, a czego nie moze robic.

Przynajmniej wydawalo mi sie, ze znam rod.

Moze naprawde nie znala. Przybrana matka opiekowala sie nia tak samo jak Kemanem, ale kiedy przyszlo co do czego, Alara pozwolila pozostalym wypedzic ja na pustynie. Alara mogla przyjsc jej z pomocą, kiedy wszyscy w lezu pomysleliby juz, ze Shana odeszla na dobre, ale nie uczynila tego. A kiedy Alara pojawila sie nad karawana, zignorowala swa przybrana corke. Porwala po prostu jakies zwierzce i nie zwrocila na nia uwagi, jakby Shana dla niej nie istniala. Alara nawet nie odezwała sie do niej myslami. Mogla chociaz powiedziec jej, jak sie czuje Keman.

Mysle, ze Keman przyszedlby mi z pomocą, gdyby tylko mogl...

Mocniej objela kolana i ukryla twarz, a po policzkach splywaly jej gorace, ciche lzy i kapaly na tunike, zostawiajac dwie, wielkie, ciemne plamy na jasnobrazowym materiale na piersi. Oddawala sie rozpaczy jeszcze przez chwile, a potem inna mysl przyszla jej do glowy. W koncu Alara pokazywala im obojgu, jak zwierzecy rodzice wysylaja swe potomstwo w swiat, kiedy nadchodzil czas, aby wydoroslalo.

Moze Alara uznala, ze nadeszla pora, zeby Shana odeszla. Pozwalala na to, zeby Shanie stala sie krzywda, jesli sadzila, ze takiej lekcji dziewczynka potrzebowala, aby sie czegos

nauczyc. Moze to ma byc wlasnie taka lekcja.

Pokazywala im obojgu, jak ptaki zostawiaja swe mlode bez pokarmu, dopoki te nie opuszcza gniazda, i jak zwierzeta nawet przepedzaja swoje male ze swoich terytoriow, kiedy te sa na tyle duze, by radzic sobie samodzielnie. Rod tego nie robil - ale moze tak postepowaly dwunogi. Moze Shana powinna byc juz wystarczajaco dorosla. Moze powinna umiec juz sama sie o siebie zatroszczyc...

Moze to mialo wyjsc jej na dobre.

Nie czula sie jednak tak, jakby mialo jej to wyjsc na dobre. Przygryzla warge, zeby nie wybuchnac glosnym szlochem na oczach wszystkich tych obcych i lzy pociekly jej jeszcze szybciej.

Jesli mialo to byc dla niej dobre, dlaczego ci ludzie krzywdza ja i zamykaja? Skoro przybrana matka wiedziala, co zamierzaja zrobic i jacy sa, dlaczego nie ostrzegla jej w jakis sposob? Dlaczego nie uprzedzila Shane, ze istnieja jeszcze inne dwunogi? Dlaczego nie powiedziala jej, jacy oni sa? Jesli Alara chciala upewnic sie, ze Shanie nic sie nie stanie, czemu przynajmniej nie naklonila Keoke, aby powiedzial jej, czego powinna sie wystrzegac, zanim porzucil ja na pustyni?

Odpowiedz zdawala sie byc jedna: Alara nie dbala o nia. Dla niej Shana byla zwierzeciem, tak samo, jak dla pozostalych czlonkow rodu. Nie uwazala jej za nic wiecej, jak za wyrosniete zwierzatko nalezace do jej syna.

Rovy i Myre mieli racje.

I to najbardziej bolalo.

Kel czekal cierpliwie na wyscielanym stolku przed biurkiem swego pana, podczas gdy nadzorca karawan odwijal skorzana tunike, ktora nosila dzika dziewczyna. W magicznym, bursztynowym swietle biura wygladala jeszcze lepiej niz w sloncu.

Kolory byly subtelniejsze, a barwy kazdego kawalka ujawnily tonacje i perlowe odcienie, ktorych obecności nawet sie nie domyslal w ostrym blasku slonca.

Wartosc tego nowego odkrycia moze wyrownac strate grela i jego ladunku porwanego przez potwora. Za to mogl jeszcze zostac pociagniety do odpowiedzialności...

Nadzorca, lysiejacy czlowiek w srednim wieku, wywrocil szate na druga strone szorstkimi, stwardnialymi dlonmi i przyjrzel sie szwom, a nastepnie znow wywrocil na prawa strone i obejrzel dokladnie kazdy fragment.

-Coz - rzekl wreszcie, podnoszac glowe - wyglada na to, ze naprawde znalazles cos niezwyklego, Kel.

-Niezwykłego i cholernie cennego! Chyba że się źle domyślam - odrzekł śmiało przywódca karawany. - Wydaje mi się, że panowie ustawiliby się w kolejce po stroje zrobione z czegoś takiego.

Nigdy nie widziałem czegoś o takim wyglądzie, chyba żeby było zaklęte.

Nadzorca obrócił tunikę w dłoniach i powoli pokiwał głową, a potem potarł dłońmi łysinę. - Zdaje się, że masz rację, Kel. Chyba sprawdziłeś, czy nie rzucono na nią uroku, zanim mi ją przyniosłeś, prawda?

-To była pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałem - zapewnił go Kel. - Absolutnie żadnego śladu magii. To coś jest zupełnie prawdziwe, co do tego nie ma wątpliwości.

Nadzorca roześmiał się i zwinął szatę. - Pozostaje pytanie, prawdziwe co? Jak mamy to nazwać? Jaszczurcza skóra? Nie brzmi za bardzo jak coś, w co chciałbym się ubrać.

Kel zastanowił się nad tym przez chwilę, a potem uśmiechnął. Właściwie, dlaczego nie? To coś mogło okazać się o tyle cenniejsze od skradzionego ładunku, że potwora można by wziąć za dobry znak. Nie taki powód jednak zamierzał podać.

-Pan Berenel ma w herbie smoka - przypomniał nadzorca. - Może byśmy nazwali to "smocza skóra"?

Nadzorca roześmiał się serdecznie. - Czemu nie? - zgodził się. - To dobra nazwa i brzmi frapująco, a niektórzy mogą okazać się tak głupi, że rzeczywiście w to uwierzą!

Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, wie, że nie ma czegoś takiego jak smoki.

-Każdy - przyznał szybko Kel, czując ulgę, że wcześniejsza strata już została zapomniana. - Każdy, kto ma trochę oleju w głowie.

Lord Berenel pogłaskał tunikę ze smoczej skóry, nie mógł wyjść z podziwu na widok perłowej gry świateł na barwnych łuskach, tego jak w krawędzi każdej łuski odbijają się wszelkie odmiany podstawowego koloru, i jak powierzchnia łuski rozprasza światło, tworząc subtelne tęczę. Tunika spoczywała na czarnym, marmurowym blacie jego biurka jak sterta drogocennych kamieni, i o ile się orientował, miała dużo większą od niej wartość.

Była nie cięższa od skórzanej tuniki tej samej wielkości i grubości, lecz dużo elastyczniejsza. Szkoda, że niewprawną robocizną zmarnowała krawędzie skrawków, z których ją składano. Gdyby zszyto je doskonale, byłaby czymś, czego nie powstydziliby się założyć jego własna dama.

To znaczy, gdyby zechciał jej ją podarować. Na razie nie zamierzał wypuszczać tuniki z rąk. Jak na ironię losu jego podwładni postanowili nazwać ów materiał smocza skóra, właśnie w chwili, gdy trzymał w ręku coś, co uważał za namacalny dowód na to, iż jego trwające całe

zycie poszukiwania miary sie zakonczyc sukcesem.

Kiedy byl jeszcze mlodym wladca, tuz po wojnie czarodziejow, Berenel ucierpial z powodu serii napadow na jego stado rasowych koni, ktore wypasal w poblizu wielkiej pustyni. Nie mogac zaufac swym podwladnym, ktorzy przeszli w jego rece po klесce jednego z rywali, sam zastawil pulapke, aby zlapac winnego na goracym uczynku.

Naprawde byl przekonany, ze napady byly dzielem innego elfiego pana i mial wszelkie podejrzenia, iz odkryje dzialanie magii. Zamiast tego, wkrótce po tym, jak zasadzil sie w ukryciu, uslyszal tetent sploszonych koni i smiertelny kwik jednej ze swych klaczy.

Wyskoczyl z ukrycia - i niemal nadzial sie na swa wlasna bron, gdy doslownie wpadl na pozywiajacego sie smoka.

Bestia zjezyla sie i wytworzyla cos na ksztalt blyskawicy, ktora wystrzelila z czubkow jej skrzydel i pozbawila go przytomnosci. Kiedy ocknal sie, nie bylo sladu po smoku ani klaczy. Zostal tylko troche krwi i stratowanej trawy.

Nikt mu nie uwierzyl po powrocie. Panowala ogolna opinia, nawet wsrod jego stronnikow, ze rzeczywiscie natkнал sie na dzialalnosc rywala, potezniejszego magia, niz on sam, zostal pokonany i pozbawiony przytomnosci. A jego wizja smoka byla niczym wiecej, jak wlasnie wizja, zludzeniem stworzonym przez nieznanego przeciwnika. Po jakimis czasie zamiast wciaz narazac sie na drwiny, postanowil uczynic przedmiot chluby z tego, co inni uwazali za jego "glupote" i wzial sobie smoka za herb.

Od tego dnia potajemnie szukal dowodu na to, ze to, co ujrzal, istnialo naprawde. Ze smoki naprawde sa na tym swiecie. Ze nie byl glupcem, wierzacym we wlasne przywidzenia.

Teraz dowod tego znajdowal sie w zasiegu jego rak.

Zacisnal tunike w dloni i popatrzył na stolnika, uprzejmego i poslusznego pomniejszego elfiego pana, ktory czekal poslusznie po drugiej stronie biurka na jego rozkazy.

Mlodzieniec nalezal do nielicznych osob, jakim mogl zaufac, bowiem wlasnorecznie wychowal i wyszkolil tego chlopca.

-Ci dwaj, ktorzy pierwsi znalezli dziewczynie...

-Kel Rosten i Ardan Partel - odpowiedzial stolnik, spojrzawszy na notatki, ktore trzymal w prawej dloni.

-Zwolnic ich ze sluzby w karawanach. Przydziel im cos zyskownego, ale nie meczacego zbytnio.

Niewolnicy to niewolnicy, mimo wszystko, i powinni pracowac, lecz Berenel mogl sobie

pozwolic na danie im posad, ktore nie beda wygladaly na prace.

-Kel Rosten od wielu lat przemierza szlaki karawan - powiedzial stolnik. Pomiedzy jego ledwo zarysowanymi brwiami pojawila sie zmarszczka zamyslenia. - Zawsze byl czlowiekiem, ktory potrafil zarobic i ktory umial wyczuc, ze malo prawdopodobne przedmioty moga okazac sie wartosciowe. Byc moze jest to cecha dziedziczna, albo wyuczalna. W pierwszym przypadku powinniśmy skierowac go do rozplodu, w tym drugim przydzielic do nauczania mlodych.

-Zrob jedno i drugie - powiedzial Berenel, zapominajac juz o czlowieku. - A ten drugi?

Stolnik usmiechnal sie. - Och, z tym bedzie latwo. Z osobistego doswiadczenia wiem, gdzie najlepiej przysluzylby sie. Ardan zna sie na winach, jak nikt inny wsrod kupcow, i jemu to zawdzieczasz wiekszosc rodzajow wina, jakie ozdabiaja twoj stol, panie.

-Czy przypadkiem moj podczaszy wlasnie nie zmarl? - powiedzial Berenel, przypominajac sobie, ze cos podobnego mowiono jakis miesiac, czy dwa temu, i jak wtedy skarzyl sie, ze nie warto przydzielac tym krotko zyjacym ludziom waznych stanowisk.

Przeciez ten czlowiek ledwo piastowal swoj urzad przez dwadziescia lat! - W jakim wieku jest ten Ardan?

-Rzeczywiscie, twoja pamiec jest niezawodna, jak zwykle, panie - odrzekl z pochlebnyim usmiechem stolnik. - Uprzedziles takze moja sugestie. Ardan bedzie doskonallym podczaszym, a jako ze jest mlodym mezczyzna, nie majacym jeszcze dwudziestu pieciu lat, powinien sluzyc ci piecdziesiat lat, jesli wykluczmy wypadki.

-Niech tak bedzie - rzekl Berenel, zadowolony, ze interesy zostaly tak pozytywnie zalatwione. Nie zaszkodzi miec wsrod niewolnikow slawe pana, ktory nagradza dobra sluzbe i premiuje inicjatywe. Teraz, kiedy juz uporad sie z drobnymi sprawami, spiesznie i pewnie przeszedl do czekajacych go wazniejszych kwestii? - A co do tej dziewczyny, to moze rzeczywiscie jest niedorozwinieta umyslowo. Tak jest z wieloma z tych dzikusow. Wysluj kogos, zeby ja przesluchal i dowiedz sie, czy uda sie stwierdzic, czy znalazla te skore, czy zabila zwierze, z ktorej ona pochodzi, albo czy wie, gdzie znalezc jej wiecej. Nie marnujcie jednak za wiele czasu. Powiedzmy, gora jakies dziesiec dni, a potem sprzedajcie ja. Mamy za malo czasu i trenerow, zeby marnowac ich na dzikie dziecko. Tymczasem chce, zeby wyslal oddzial na pustynie, znalazl te oaze i sprobował wytropic, skad dziewczyna przyszla. Wez... hmm, pana Quellena. Jego magia powinna byc akurat wystarczajaca do tego zadania. Wyposaz ich, sam przekaz im polecenia i dopilnuj, zeby z nikim nie rozmawiali przed odjazdem, nawet z zonami i partnerkami.

-Tak, moj panie - odpowiedzial stolnik, klaniajac sie. - Czy cos jeszcze, panie?

-Wezwe cie, jesli przyjdzie mi cos do glowy - rzekl Berenel, znów glaszczac tunike. W jego myslach rozbrzmiewala stlumiona nuta radosci. - To wszystko.

Stolnik sklonił się i wyszedł, a Berenel znow zbadal tunike, pod względem zarówno materialnym, jak i magicznym, szukając kolejnych wskazówek, co do jej pochodzenia.

Cały czas słyszał w myślach słowa brzmiące jak wezwanie do broni: Już wkrótce.

Wkrótce.

Shana zadygotała na swym posłaniu, wyrwana nagle ze snu przez zapalające się niespodziewanie światło, tak samo, jak przez ostatnie piec poranków. Miała już nieco lepsze wyobrażenie o tym, jak sprawy się mają w tym nowym świecie. Nie ułatwiło jej to zresztą życia, po prostu pomagało przewidzieć najgorsze niebezpieczeństwa.

Ci bladej to "elfi panowie" z zapisków, posiadacze magii i władcy wszystkiego. Każdy osobnik o bladej cerze, zielonych oczach, bladzielonych włosach i spiczastych uszach zwiastował kłopoty - i miał władzę nad życiem i śmiercią każdego dwunoga tego drugiego rodzaju. Ci drudzy byli "ludźmi", do których i ona musiała się zaliczać, ponieważ elfi panowie traktowali ją w ten sam sposób, co reszta znajdujących się tu ludzi. Ci, jak już wiedziała, byli "niewolnikami" i wszyscy nosili jednakowe brązowe stroje niewolników, takie w jaki odziano ją przymusem, gdy tylko przybyła.

Byli także inni ludzie, którzy nie byli niewolnikami, tacy jak Kel i Ardan, reszta ludzi w karawanie i inni, którzy wydawali polecenia. Ci byli "podwładnymi" i zwykle nosili szkarłatne tuniki i spodnie, które oznaczały, że służyli najwyższemu elfiemu panu, temu, którego nigdy nie widziała, i który rządził wszystkimi tutejszymi elfimi władcami - lordowi Berenelowi.

Dni płynęły teraz w sposób łatwy do przewidzenia. Pojawiało się bursztynowe światło. Potem, kiedy wszyscy już się przebudzili, przychodził nadzorca. Osobnik ten zapędzał ich wszystkich do pomieszczenia, gdzie ze ścian lala się gorąca woda. Wszyscy zdejmowali tuniki, kapali się i dostawali nowe ubrania. Prowadzono ich do następnego pokoju, gdzie dostawali po kawalku chrupiącego czegoś, co dawał jej Ardan - nazywali to "chlebem", i miske czegoś, co mieli zjeść z tym chlebem. Smak tego czegoś zmieniał się każdego dnia. Następnie wybierano niektórych i wyprowadzano. Ci nie wracali już więcej. Shana dowiedziała się, że szli do nowych panów, ale co się tam z nimi działo, mogła się tylko domyślać. Reszta wracała do dużego pomieszczenia i spędzała czas na pogaduszkach, bezsensownych grach hazardowych i przesładowaniu tych, którzy dawali się łatwo zastraszyć.

Wracali wszyscy, z wyjątkiem Shany. Ja zabierano do małego pokoju, gdzie bez końca wypytywano ją o tunike ze smoczej skóry.

Dzięki temu, w jaki sposób potraktowali ją pierwsi przesłuchujący, wpadła na pomysł, żeby zachowywać się jakby była bardzo głupia. Im idiotyczniej się zachowywała, tym mniej uwagi przywiązywali do tego, co mówiła.

Częściowo robiła to ze strachu przed tymi, którzy ją uwięzili, jednakowo przed elfimi panami

i ludzmi. Elfich władców obawiała się bardziej niż ludzi. Jeden z nich, niezadowolony z czegoś, co uznał za brak respektu, zrobił jej coś - coś, co sprawiło, że padła na podłogę wrzeszcząc z bólu. Dotknął jej tylko - lecz całym jej ciałem wstrząsnęły konwulsje, jakby została porażona przez smoka i do końca dnia nie mogła mówić.

Dygotała więc ze strachu i kulila się przed nimi - nie musiała tego udawać, bała się ich panicznie. Udawała głupotę; to było łatwe, ponieważ większość dnia spędzała w tym małym pokoju nieprzytomnie przerażona.

Każdego dnia budziła się zastanawiając, czy dziś zdradzi im prawdę. Każdego dnia, zanim znów stawała przed przesłuchującymi ją, dochodziła do wniosku, że nie wolno jej tego uczynić.

Jeśli bowiem zdradzi smoki, ci których wciąż kochała, będa bez wątpienia przesładowani i zabici. Elfi panowie wyrazili to jasno tonem swych pytań, chociaż prawdopodobnie nie zdawali sobie z tego sprawy. Myśl o tym, że ktoregos dnia mogłaby zobaczyć skóre Alary zdobiąca grzbiet elfiego pana, wystarczyła, żeby milczała jak głaz.

A w chwilach największej słabosci, gdy elfi władca groził jej znów cierpieniem, myślała o czymś jeszcze. Rod przyjmował postać dwunogów, elfów i ludzi, a Shana wiedziała już, że nie czynili tego dla zabawy. Nie, bez wątpienia krazylili wśród tych ludzi w przebraniu. A jeśli - nie, kiedy ktorys z nich dowie się, że ich zdradziła, znajda ją i zabija w sposób, przy którym najgorsze, co mogą jej zrobić elfi panowie, wydawało się przyjemne. W to nie wątpiła. Tacy, jak Lori, którzy uważali ją za wściekle zwierze, dopilnują już tego.

Drżała więc na swym cienkim, brązowym posłaniu, aż do chwili, gdy ją zabierali, a potem wytrzymywała przesłuchania w cichej desperacji, udając, że ich nie rozumie i że po prostu znalazła te strzępki skóry.

Podstęp zdawał się skutkować. Coraz częściej zdawali się traktować przesłuchania w sposób pobieżny, jakby jej odpowiedzi nie były już ważne. To była ta dobra strona, zła było to, że zaczęli uważać, że codziennie lamala jakiś przepis. Oznaczało to bicie, a wraz z biciem opis tego, czego może się spodziewać, kiedy pan kupi ją na aukcji - opisy, które nie pozostawiały żadnych wątpiwości, iż bicie, jakie znosiła tu codziennie, jest niczym w porównaniu z tym, co ją czeka. Niemal z ulgą witała pojawienie się przesłuchujących: oznaczało to jeszcze jeden dzień, w którym nie czekało ją obce, przerażające doświadczenie bycia sprzedana.

Może dzisiaj nie przyjdą po nią, pomyślała, nie czując prawdziwej nadziei. Siadła powoli i przetarła oczy. Zielone oczy, które nauczyła się skrywać dzięki jedynej przyjaciółce, jaka tu spotkała.

Nachyliła się i łagodnie potrząsnęła Megwyn za ramię. Pełna wdzięku starsza kobieta nie budziła się wraz z zapaleniem świateł. Powiedziała ponuro Shanie, że przespala kiedyś

trzesienie ziemi. Sposrod wszystkich niewolnikow tylko Megwyn okazala sie zainteresowana czymkolwiek poza wlasnym dobrobytem. Pierwszego poranka, po tym jak Shane tu uwieziono, jeden z innych niewolnikow usilowal ukrasc jej poranna porcje chleba i zupy. Wysoka, czarnowlosa kobieta o blyszczacych, brazowych oczach i przepieknym usmiechu, ktora siedziala przy stole naprzeciw, wstala niespodziewanie i uderzyla napastnika w skron.

Nadzorca, ujrzawszy bojke, zblizil sie pospiesznie. Shana skulila sie, lecz Meg wyjasnila okolicznosci rozsadnym tonem, zanim zbir zdazyl wymyslic wymowke.

Rozrabiacza zabrano do innego stolu, a Meg zostala obronczynia Shany.

Istnialy trzy rodzaje niewolnikow, jak wyjasnila pierwszego dnia Meg: beznadziejni, bezradni i wulfy. Wulfy zyly kosztem pozostalych, jak twierdzila. Zrozumienie tego przyszlo Shanie bez trudu. Beznadziejni to ci, ktorzy byli zbyt przerazeni, ze ktos ich wykorzystal, zeby przyjaznic sie z kims, a bezradni zrezygnowali juz z wszystkiego.

-A do jakiego rodzaju ty налеzysz? - zapytala Shana starsza kobiete.

Meg rozesmiala sie. - Do zadnego - odpowiedziala. - Nie jestem niewolnica.

A przynajmniej nie bylam. Bylam podwladna.

Wtedy Shana dowiedziala sie o roznicy, jaka oznaczal kolor tuniki. Dowiedziala sie tez wtedy o konkubinach.

Bowiem Meg Karan byla kiedys konkubina. - I do tego dobra - powiedziala z duma. Lecz inna kobieta, zazdrosna rywalka, oskarzyla ja o kradziez cennego klejnotu nalezacego do jej elfiego pana, jednego z poddanych Berenela i podrzucila skradziony przedmiot pod jej lozkiem. Odsunieta od lask Meg poniosla najgorsza kare, jaka mogla spotkac naloznice - zostala wyslana na aukcje, jak pospolita niewolnica.

-I to mnie spotkalo za to, ze bylam mila dla tej suki - rzekla z gorycza Meg i nie powiedziala juz nic wiecej.

Bez wahania powiedziala Shanie, co sprawilo, ze postanowila ja obronic. - Twoje zielone oczy - powiedziala. - Gdyby popatrzec naprawde z bliska, masz jakby szpiczaste uszy. Lepiej ukryj jedno i drugie, chyba ze chcesz wpasc w tarapaty. Jesteś mieszancem, dziewczyno. Nie mam pojecia, jak ci sie udalo ujsc ich uwadze do tej pory, ale jesteś mieszancem.

Meg opowiedziala jej wszystko o mieszancach i to, co wiedziala o wojnie czarodziejow. Kiedy Shana ostroznie powiedziala jej, jaka moc kiedys miala, Meg znacząco pokiwalala glowa. - Tak, to moc czarodziejow - rzekla. - Jesli uda ci sie odzyskac ja, bedziesz mogla zabrac stad nas obie. Potem mozemy uciec do lasu. Ludzie powiadaja, ze tam sa

czarodzieje. Jesli bede z toba, jesli moze powiesz, ze jestem twoja matka, mnie tez przygarna.

Jesli kiedykolwiek sie wydostana! Jesli Shana odzyska kiedykolwiek swoja moc. Jesli przetrzyma nastepny dzien przesluchan...

Znow potrzasnela Meg i tym razem kobieta otworzyla oczy - i w tym samym momencie, nie jeden, a kilku nadzorcow weszlo przez otwarte drzwi pomieszczenia.

-Shana! - zawolal jeden, a Meg szybko usiadla, jakby wywolano jej imie. Spojrzala przez ramie na nowo przybylych i popatrzyła na Shane, marszczac czolo.

-Nie odpowiadaj, dziecko - szepnela z lekkim drzeniem w glosie. - Niech beda zmuszeni sami do nas podejsc. To nie sa ludzie lorda Berenela, nie maja powodu, zeby tu sie znajdowac.

-Ktora z was to Shana? - warknal najblizszy, chwytajac niewolnika za ramie i potraszajac nim. Niewolnik wskazal reka, a nadzorca podniosl glowe i wykrzywil sie wsciekle.

-Nadchodza - mruknela Meg, kladac dlon na ramieniu Shany. - Nie ruszaj sie.

Masz prawa jako wlasnosc pana Berenela. Bede przy tobie.

Shana nie moglaby sie poruszyc, nawet gdyby chciala. Sparalizowal ja strach. Zнала ten zadziorny sposob chodzenia, ten wyraz oczu - tak wygladali pewni swej bezkarnosci ludzie lubiaczy znecac sie nad innymi.

Wraz z kazdym ich stapieniem chowala sie glubiej w siebie, bowiem kazdy krok zdawal sie ladowac wprost na jej sercu.

-Ktora z was to Shana? - zapytal najwyzszy mezczyzna, brodaty blondyn o bezlitosnej twarzy i dziwnych, bezbarwnych oczach. Spojrzal na nie obie, jakby byly czyms, co zobaczyl na ulicy i zastanawial sie, czy odtracic to kopnieciem, czy nie.

-Ta Shana to dziewczynka, pamietasz? - powiedzial ciemnowlosy czlowiek po jego prawej stronie. Pogardliwie machnal reka w strone Meg. - To nie moze byc ta stara wiedzma.

Drugi mezczyzna, przysadzisty, czarnowlosy czlowiek, odepchnal Meg na bok i szarpnieciem postawil Shane na nogi. Jego palce bolesnie wbijaly sie w jej ramie. - To musi byc ta, ktorej szukamy, Ran. - Shana zwisala bezwladnie w jego rekach, sparalizowana strachem. Meg wstala tymczasem.

-Zaczekaj no, chlopcze - powiedziala wyniosle, roztaczajac taka atmosfere wladczosci i dumy, jakiej Shana nigdy u niej nie widziala. Uniosla podbrodek i spojrzala na niego z gory tak, jakby to on byl czyms nieprzyjemnym, w co wlasnie wdepnela. - Nie jestescie ludzmi

pana Berenela. Jakim prawem wchodzicie tutaj i zajmujecie sie jego niewolnikami?

Na chwile wszyscy czterej mezczyzni cofneli sie o krok i nawet mezczyzna o zawzietej twarzy wygladal, jakby mial watpliwosci - lecz potem, gdy jednemu z niewolnikow wyrwal sie histeryczny chichot, wzeli sie w garosc.

Mezczyzna o bezlitosnym wygladzie znow zrobil krok do przodu, uniosl reke i uderzyl Meg w twarz wierzchem dloni. Trzask policzka zabrzmial echem w pomieszczeniu, sprawiajac, ze i tak juz milczacy niewolnicy skulili sie pod scianami. Sila uderzenia byla taka, ze Meg az odskoczyla glowa. Kobieta upadla na podloge, ogluszona ciosem.

-Takim prawem, suko - warknal blondyn, a okrutny usmiech wykrzywil lekko jego waskie wargi. Rozcieral sobie poczerwieniala dlon druga reka.

Meg starala sie znow wstac, zawziecie nie ustepujac przesladowcom z drogi. Shana nie mogla zrozumiec dlaczego i probowala wyrwac sie chocby na chwile, lecz mezczyzna, ktory ja trzymal, potrzasnal nia tak mocno, ze zadzwonily jej zeby, wiec znow zwisla bezwladnie.

-Wydaje mi sie, ze trzeba ja nauczyc, co to wladza, Ran - powiedzial ciemnowlosy mezczyzna. - Sadze, ze ich wszystkich trzeba tego nauczyc.

Blondyn wzruszyl ramionami i machnal reka. - Jak chcesz - powiedzial. - Daj jej nauczke. Ja moge poczekac.

Ciemnowlosy mezczyzna pchnal Shane w silne, zimne rece blondyna, a jego dwaj towarzysze, o niewyrozniajacym sie niczym wygladzie, postawili Meg na nogi. Dwaj podwladni trzymali ja wyprostowana pomiedzy soba, a ciemnowlosy mezczyzna spojrzal jej w oczy.

-Na tym polega roznica pomiedzy mna a toba, niewolnico - powiedzial i wymierzyl w jej policzek, tak jak przedtem blondyn. Glowa jej znow odskoczyla, lecz tym razem Meg nie mogla upasc na podloge.

-I na tym. - Trzask. - I na tym.

Bil ja z wyrachowaniem i systematycznie, rozpoczawszy od twarzy i schodzac stopniowo nizej, zadajac straszliwe ciosy, po ktorych braklo jej tchu i rozpaczliwie usilowala zaczerpnac powietrza do pluc.

Meg na poczatku wrzeszczala i szarpala sie, lecz nie pomoglo jej to bardziej niz Shanie. Kiedy blondyn upuscil Shane, zaslonila glowe ramionami, nie mogac patrzec, i skulila sie u jego stop jak embrion. Wkrotce krzyk Meg zmienil sie w skowyt, a potem w jek, lecz tepy dzwiek uderzen wciaz rozbrzmiewal glucho w cichym poza tym pomieszczeniu.

Skrzypienie drzwi zabrzmialo wystarczajaco glosno w tej ciszy, by nawet ciemnowlosy

mezczyzna zatrzymal sie. Shana podniosla glowe.

Pozalowala, ze to uczynila, spojrzala bowiem prosto na Meg. Meg wygladala jak zniszczony, zakrwawiony przedmiot, zwisajacy bezwladnie w ramionach swych oprawcow. Miala zapuchniete oczy, a z dziesiatkow rozciec na twarzy i z kacika ust ciekly struzki krwi.

Dzwiek krokow w drzwiach sklonil Shane do spojrzenia, kto idzie i przez chwile miala nadzieje, ze Meg jest uratowana, bowiem byl to jeden z odzianych na czerwono nadzorcow Berenela.

Nadzorca rzucil tylko pobieznie okiem na Meg i zwrocil sie do mezczyzny o okrutnej twarzy. - Chcesz z nia porozmawiac, czy nie? - spytal, tracajac Shane czubkiem buta.

-Chce - powiedzial blondyn. - Ta kobieta po prostu odwrocila moja uwage. Zle wychowana, chlopcze. Nie zna swego miejsca.

Nadzorca jeszcze raz przyjrzal sie Meg, a potem machnal reka w strone drzwi. - Ja sie tym zajme - powiedzial. Weszlo dwoch innych mezczyzn w czerwonych tunikach.

Wzieli Meg od tych, ktorzy ja trzymali i wyniesli, ciagnac miedzy soba, jakby byla workiem bezuzytecznych smieci.

Do tego czasu Meg oprzytomniala na tyle, by wiedziec, co sie dzieje. Shana ostatni raz widziala i slyszala ja, kiedy wyciagano ja wyjaca za drzwi. Na podlodze zostala po niej smuga rozmazanej krwi.

Shana spojrzala w gore na jasnowlosego mezczyzne, a potem pospiesznie spuscila oczy, gdy popatrzył na nia. Nie probowala nawet stawiac oporu, gdy zlapal za material na plecach jej tuniki i postawil ja na nogi.

Jednego byla pewna, gdy pchnal ja przed soba tak, ze poslizgnela sie na jednej z plam krwi na podlodze. Nie bedzie musiala udawac, ze nie jest w stanie odpowiedziec na jego pytania. Byla zbyt przerazona, zeby wykrztusic chocby slowo.

W malym przedsionku Kel stanal twarza w twarz z agentem pana Revenela, a byl tak wsciekly, ze zamierzal pod najdrobniejszym pretekstem kazac wybatozyc go i wypedzic z domu. Nie dosc, ze ten Ran tak przerazil dzika dziewczynie, ze stracila te nedzne resztki rozumu, jakie jeszcze miala, ale wszedl do baraku niewolnikow, jakby byli jego wlasnoscia, pobil na smierc byla konkubine, a reszte niewolnikow wprawil w taki poploch, ze teraz zaden nie bedzie chcial miec nic wspolnego z Shana.

Praktycznie polozyl to kres nadziejom Kela, ze dziewczyna zdradzi jakas wskazowke ktoremus z pozostalych niewolnikow. Mial nadzieje, ze naloznica wydobedzie cos z niej - a znal dobrze takie, jak Megwyn. Obietnica zabrania jej z baraku dla niewolnikow wystarczylaby, aby naklonic ja do rozmowy z nim. Przysiega, ze uczyni ja swa stala partnerka - a obiecano mu taka - sprawilaby, ze zdradzilaby wszystko, co uslyszala z ust dziewczyny.

Do tego byla sliczna, a co wiecej, byla wyszkolona. Nieczesto taki podwladny, jak Kel mial okazje dostac wyszkolona naloznice, przynajmniej nie jako stala partnerke. A ten idiota zmarnowal caly jego plan.

-Chcialem uslyszec co masz do powiedzenia - powiedzial wojowniczo do blondyna o kamiennej twarzy. - Zabiles cenna cudza wlasnosc, a druga zniszczyles. Pan Berenel kazal nam pilnowac tej dziewczyny, ty idioto! Nie kazal nam straszyc jej tak, zeby postradala zmysly! Miales prawo przesluchac ja. Przesluchac i nic wiecej. Jesli przedstawiciel twojego pana kupi ja na aukcji, wtedy mozesz sobie robic z nia, co chcesz, ale do tego czasu jest wlasnoscia lorda, do jasnej cholery!

Mezczyzna wzruszyl ramionami. Blekitny material tuniki opinal muskuly rownie potezne jak u Ardana. - Dziewczyna cos wie - powiedzial. Napial miesnie szczeki.

-Mowie ci, ona cos wie. Ona tylko udaje idiotke.

Kel szybko zastanowil sie. Nie byl pewien rangi mezczyzny - ale prawdopodobnie byla wyzsza od jego wlasnej. Konflikt nie przyniesie nic dobrego.

Moze jednak jeszcze uda sie wyciagnac jakis zysk z tej katastrofy. Dopoki mezczyzna jest przekonany, ze dziecko ukrywa jakies informacje, moze przekonac o tym innych.

A to podbije jej cene, ktorej czesc trafi do niego. - Moze to prawda - burkнал. - Ale ty i tak

nie miałes prawa nawet jej tknąć. W dodatku zabiłeś wykwalifikowaną niewolnicę, nałożnicę! Co masz zamiar zrobić w tej sprawie?

Ran uniósł sceptycznie brew. - A co wykształcona nałożnica robiła w baraku dla niewolników?
- mruknął, najwyraźniej nie wierząc słowom Kela.

-Była złodziejka - odpowiedział krótko Kel, wtykając mężczyźnie w ręce spis osób. - Sam zobacz. Megwyn Karan, wykształcona konkubina, własność samego lorda Berenela, подарowana panu Jondarowi, przysłana tutaj za kradzież. Zarzut kradzieży jednak nie umniejsza wykształcenia tej kobiety, ani też jej wartości. Prawde mówiąc, upodobałem ją sobie.

Tak jak się domyślał, mężczyzna nie umiał czytać. Blondyn rzucił okiem na listę, którą trzymał do góry nogami, i znów wzruszył ramionami, tym razem przepraszająco.

-Nie wiedziałem - rzekł krótko. - Zachowywała się, jak jedna z tych niewolnic domowych, którym czasem się wydaje, że są podwładnymi. Ile była warta?

Kel bezczelnie podał sumę dwukrotnie większą od prawdziwej ceny Megwyn.

-Wiesz co, dam ci dwa razy tyle - powiedział Ran, ścisząc głos i wypowiadając słowa poufnym tonem. - To powinno ci wszystko wynagrodzić. Powinno ci się udać sprowadzić skądś inną wykształconą dziewczynę, może nawet z aukcji lorda Dyrana na drugim końcu miasta. Powiesz jej, że jej imię zostało zmienione na Megwyn Karan, a twój pan nawet nie zauważy różnicy.

Kelowi przez moment zakreciło się w głowie - i przez chwilę kusił go, żeby schować sobie pieniądze do kieszeni... Pan Berenel jest jednak przyzwoitym panem. A jeśli powie panu o przekupstwie, nadzorca Berenela dopilnuje, aby on nie stracił na transakcji.

-Tak zrobię - rzekł, rozluźniając nieco postawę. Ran rozciągnął wargi w grymasie, który miał być prawdopodobnie uśmiechem i podsunął mu ciężką sakiewkę.

-Dzięki, przyjacielu - powiedział. - Cieszę się, że rozumiesz, jak to jest.

-Coż, mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego nie mogę cię więcej dopuścić do dziewczyny - powiedział Kel. - Nie powinienem pozwalać nikomu rozmawiać z nią więcej niż dwa razy, ale po tym jak przeraziłeś ją na śmierć...

-Jasne, rozumiem - rzekł blondyn, chociaż z ociąganiem. - Poleciałaby twoja głowa. To znaczy, że nie będzie drugiego przesłuchania.

-Mniej więcej. Nie smuć się, zawsze zostaje ci jeszcze aukcja. - Teraz, kiedy udało się wszystko załatwić, Kel bardzo chciał się pozbyć tego mężczyzny. Jego blade jak woda oczy przyprawiły go o zimne dreszcze, a chłodny, pozbawiony wyrazu zarys twarzy również nie

wzbudzał zaufania. Miał niejasne odczucie, że gościł mordercę. Mordercę, któremu zabijanie sprawiało przyjemność.

Wyglądało jednak na to, że Ran miał zamiar pogodzić się z porażką z filozoficznym spokojem.

-Szczera prawda - odrzekł bez wyrazu. Mężczyzna odwrócił się, a niewolnik przy drzwiach szybko mu je otworzył. Oczy chłopca były szeroko rozwarte z przerażenia.

Ran uśmiechnął się i chłopiec nieomal zemdlał.

Chłopiec musiał słyszeć, co się przydarzyło tej kobiecie. Kel z trudem powstrzymał się, żeby nie wypchnąć Rana za drzwi.

Ran obejrzał się przez ramię. - Dziękuję - powiedział szorstko.

-Zysk dla twego pana. - Kel nie mógł się zdobyć na to, by życzyć powodzenia mężczyźnie.

Ran zdawał się nie zauważyć niedociągnięcia. - I dla twego. - Zniknął za drzwiami, i jak Kel miał nadzieję, znikł również z jego życia.

Kel zaczął czekać kilka chwil, aby Ran opuścił korytarz, a następnie udał się prosto do własnego nadzorca.

To powinno bardzo podbić cenę dzikuski, pomyślał zarożumiałe.

A jeśli doniesienie o łapówce i wszystkim innym nie przyniesie mu własnej, wyszkolonej dziewczyny, to nic innego tego nie uczyni.

Zaczynał już zapominać o Megwyn. Pograżył się w marzeniach, w których pojawiały się zachęcająco wspomnienia konkubin, które eskortował na szlakach kupieckich.

Pewno będzie mógł sobie nawet wybrać, jaką chce. Zawsze podobały mu się te malenkie, czarnowłose istotki, te które tak dobrze tancyły. Uśmiechnął się, nie mogąc już się doczekać. Albo może jedna z tych, które mają włosy jak elfia dama i skóre jak śnieg.

A może mała, ruda kocica...

Być może, mimo wszystko, dzisiejszy dzień pracy nie skończy się wcale tak źle!

Olbrzymia, różowa sala aukcyjna przypominała misę, na której dnie znajdowała się Shana. Z sufitu padało światło w kolorze róż, takie samo światło bez konkretnego źródła, jak we wszystkich miejscach, w których była do tej pory. W ciągu ostatnich dwudziestu dni ani razu nie widziała słońca.

Stała zupełnie sama na podwyższeniu, a serce waliło jej tak głośno, że niemal nic nie

slyszala, na wpol zemdlona ze strachu. Nad nia i wszedzie dookola widziala setki okrutnych twarzy, niektore z nich nalezaly do ludzi, inne do elfow, ale wszystkie przygladaly sie jej bezlitosnie. Tymczasem prowadzacy aukcje opisywal jej pochodzenie i przypisywal jej umiejetnosci, jakich posiadania nawet sie nie domyslala.

-Przyjrzyjcie sie jej dobrze, panowie i wladcy! Silna, zwinna, walczy jak pustynny wicher, lecz reaguje jak dobrze wytresowany pies! Klejnot piaskow, wymaga znawcy, ktory wydobedzie ogien drzemiacy pod jej powierzchnia! Spojrzcie na te miesnie, te rzezbione kosci, nie ma grama tluszczu na tej dziewczynie, ani niczego, co niemile dla oka! Wyobrazcie ja sobie zauroczona, jako wasza osobista strazniczke! Wyobrazcie sobie, jak wojuje i zwycieza na arenie, wykazujac sie talentami urodzonej pustynnej morderczyni!

Walka? Morderczyni? Ja? Ale...

Prowadzacy aukcje popchnal ja i Shana niechetnie poruszyla sie. Nie miala gdzie sie skryc przed tymi wbitymi w nia spojrzzeniami. Zadrzala z zimna, a potem zaczerwienila sie z goraca, podczas gdy sprzedawca oprowadzal ja po platformie, kontynuujac przygotowana mowe.

W tlumie bylo kilka twarzy, ktore poznawala; przede wszystkim jasnowlosy mezczyzna o okrutnej twarzy, ten, ktory przygladal sie, jak jego towarzysz zabijal Meg.

Znajdowal sie w drugim rzedzie miejsc siedzacych, wsrod najbogatszych nabywcow.

Czekal cierpliwie, jak skorpion w poludnie, stojac tuz za elfim panem w blekitnym stroju, podobnym do jego wlasnego, tylko bogatszym i obficie zdobionym srebrnym sznurem. Wpatrywala sie jak zahipnotyzowana w te bezbarwne, zimne oczy.

Prowadzacy licytacje zakonczyl mowe. Wstrzas spowodowany pierwsza oferta, ktora padla z ust wladcy okrutnego mezczyzny, otrzewil Shane. Odwrocila glowe, czujac, ze jej serce wali, kreci sie jej w glowie i sciska ja w gardle.

Nastepne oferty posypaly sie szybko. Shana na poczatku miala trudnosci z sledzeniem ich. Wydawalo sie, ze wiekszosc ludzi przyszla na aukcje po to, zeby licytowac sie o nia. Wykrzykiwano liczby, jedna wieksza od drugiej, a czasami dwoch lub trzech mezczyzn wolalo jednoczesnie.

Nie ma tu zadnych kobiet. Dlaczego nie ma zadnych kobiet? Wsrod tlumu nie bylo ani jednej przyjaznej twarzy. Kazda twarz, ludzka czy elfia, wydawala sie chlodniejsza i bezlitosniejsza od poprzedniej. Przesuwala wzrokiem od mezczyzny do mezczyzny, sledzac oferty i ludzac sie nadzieja, ze dojrzy slad chocby litosci, lecz nie dostrzegala niczego procz chciwosci, podniecenia lub zimnego wyrachowania.

Wyjatek stanowil okrutny mezczyzna. Teraz zaczal cos po sobie pokazywac. Elfi pan, ktory byl z nim, licytowal zawziecie i wktrotce przelicytowal wszystkich innych. Kiedy licytacja

zwolniła tempa i coraz mniej chętnych reagowało na wezwania prowadzącego aukcję, okrutny mężczyzna oblizal wargi, jakby nie mogąc już doczekać się smaku czegoś przyjemnego.

Shana przyglądała mu się z przerażeniem i fascynacją. Spojrzył jej prosto w oczy.

Kiedy dostrzegł, że patrzy na niego, z premedytacją oblizal wargi i znowu się uśmiechnął.

Na widok tego uśmiechu niemal upadła na podwyższenie. Serce jej zamarło i wydawało jej się, że oddech zamarł jej w piersi. Był to najbardziej sadystyczny uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała.

Ten sam uśmiech malował się na jego twarzy, gdy jego podwładni zakatowali biedną Meg na śmierć. Każdy jej krzyk przywoływał na jego twarzy mgnienie tego uśmiechu.

Pozostali licytujący wypadali z gry jeden po drugim, a on uśmiechał się coraz szerzej.

Wreszcie odpowiedzia na ostateczną ofertę jego pana była cisza. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

-Po raz pierwszy!

Shana zamknęła oczy i usiłowała umrzeć, tu na miejscu. Nie może trafić do niego.

Nie może, to będzie gorsze od śmierci, wole już umrzeć...

-Po raz drugi!

Znajdzie noż, odłamek skały, coś ostrego i zabije się, zrobię to, zrobię!

Wtedy rozległ się czyjś inny głos.

-Trzysta!

Shana raptownie otworzyła oczy, a tłum odwrócił się z pomrukiem ku jasnowłosemu człowiekowi, który, nie rzucając się w oczy, siedział w jednym z wyższych rzędów i teraz wstał, żeby pokazać, że to on licytował.

A była to oferta przewyższająca ostatnią o sto sztuk złota.

Szmer tłumu przeszedł we wrzawę. Prowadzący licytację zmarszczył czoło. - Będzie musiał potwierdzić, że masz tyle, poddancze - zaczął - a wtedy mężczyzna wysunął się bardziej w krąg światła, pokazując swoją liberie. Prowadzący aukcję zbladł.

-Proszę mi wybaczyć - wybelkotal. - Człowiek lorda Dyrana może oferować taką cenę, jaka mu się podoba.

-Proponuje trzysta - powiedział zimno mężczyzna. Człowiek prowadzący licytację, wyraźnie już spocony, zwrócił się do elfiego pana - okrutnego mężczyzny. - Panie Harrlyn?

Elfi władca rzucił spojrzenie na człowieka w górnym rzędzie i wzruszył ramionami.

Jego złote włosy zamigotały przy ruchu. - Daleki jestem, ja i mój pan, od tego, by odmawiać lordowi Dyranowi przyjemności. Zdobycz należy do niego.

Usiadł. Okrutny mężczyzna usiadł chwilę później. Jego twarz stała się zimna i zacięta. Shana jednak dostrzegła wyraz jego oczu, a to co w nich ujrzała, sprawiło, że poprzysięgła sobie, iż nigdy, przenigdy nie pozwoli, by miała wpaść w jego ręce.

-Po raz pierwszy? - Prowadzący aukcję umilkł na chwilę, lecz nie usłyszał innych ofert w jedenastej godzinie licytacji. - Po raz drugi... po raz trzeci! Sprzedana, człowiekowi lorda Dyrana! A teraz, panowie i władcy, komplet bliźniaczych tancerzy, mężczyzna i kobieta! Poczekajcie tylko, aż ujrzycie występ tych piękności!

Jeden z podwładnych podszedł do podwyższenia i sprowadził Shana z niego. Kiedy tylko zeszli ze schodów, przyczepił do jej obrozy sznur.

To ja otrzewiło.

Oprzytomniała jeszcze bardziej, kiedy podwładny podał sznur mężczyźnie, który ją kupił, w zamian za ciężką sakiewkę, którą ten rzucił od niechcenia młodemu człowiekowi. Po raz pierwszy przyjrzała się dobrze mężczyźnie i podupała na duchu.

Mężczyzna miał dumny, hardy wyraz twarzy, pasma siwizny w piaskowego koloru włosach i zmarszczki na kwadratowej twarzy pasujące do siwizny. Nie były to jednak zmarszczki wyryte przez uśmiech, a raczej przez ponure spoglądanie, a krótkie łapki w kącikach jego brązowych, nieprzenikniętych oczu sprawiały, że przypominał Shanie jaszczurę w złym humorze.

Jego liberia była bogatsza niż strój elfiego pana, cała z jedwabi i aksamitów, w barwach złota i karmazynu, a na jego obrozy migotały prawdziwe klejnoty. Zupełnie jak w obrozy, którą znalazła, tylko jego nie była taka ładna.

-Chodź, dziewczyno! - Pociągniecie za smycz sprawiło, że poleciała o krok do przodu, objając sobie bosy palec u stopy. Mężczyzna wykrzywił pogardliwie wargi, drwiąc z niej i z jej niezdarności. - Nigdy nie zrozumieję, po co mojemu panu takie coś - rzekł poufnym tonem do młodego podwładnego. - Nie wygląda na szczególnie użyteczną. Nie kwestionuje się jednak poleceń.

Młody człowiek nieufnie pokiwał głową i popchnął lekko Shana w kierunku, w jakim ją ciągnęto. - Idź z nim, dziewczyno - powiedział szorstko, jakby cieszył się, że nie będzie miał już z nią do czynienia. - Należysz teraz do lorda Dyrana.

Meczczyna ponownie szarpnął za smycz, a potem odwrócił się gwałtownie i ruszył szybkim krokiem w głąb tunelu prowadzącego pod podwyższeniem aukcyjnym.

Pospieszyła za nim, żeby znowu jej nie pociągnął. Kiedy wyszli na główny korytarz, rozmasowała kark otarty obrożą, zastanawiając się, czy nie zamieniła złego losu na jeszcze gorszy.

Dyran musi być elfim władcą tak potężnym, że inni nie chcieli się z nim licytować.

To znaczyło, że był od nich silniejszym magiem.

Dlaczego chciał ją mieć?

Z pewnością pozada sekretu smoczjej skóry. A jeśli jego magia jest rzeczywiście o tyle lepsza...

Zaczęła drzeć, chociaż meczczyna, który trzymał jej smycz, nie zwrócił na to uwagi.

Po prostu szedł dalej, obejrząwszy się raz na nią.

Wyszli przez drzwi na końcu korytarza na słońce.

Shana spojrzała w górę na słońce, na piękne, błękitne, otwarte niebo nad budynkami, na wolność świata, jaką brała za coś oczywistego. Myślała o wszystkich chwilach, które spędziła pod tym samym słońcem i niebem, chwilach, których nawet nie uważała za wolność, bowiem były czymś oczywistym. Bolało ją serce i gardło.

Kemanie - och, Kemanie, co ja mam zrobić?

Nie mając nawet takiego zamiaru, rozplakała się.

Meczczyna szarpnął mocno za smycz, tak że poleciała do przodu, chociaż nie upadła. Kaszlnęła i zacharczała zdławiona obrożą, na co meczczyna skrzywił się wściekle.

-Chodź już, dziewczyno, nie mam całego dnia! - warknął i znowu pociągnął ją naprzód. Potem ruszył tempem, któremu Shana ledwo mogła dorównać, bo miała po prostu krótsze nogi. Potykając się, podążała za nim, nic nie widząc przez łzy i odciągając obiema rękami obroże od gardła, żeby się nie udusić.

Przeszli szybko przez pusty dziedziniec - tak szybko, że ledwo odzyskała równowagę w chwili, gdy dotarli do tunelu prowadzącego na wielki plac miejski. Meczczyna nie zatrzymał się ani na chwilę. Przeciągnął ją przez tunel i wypchnął we wrzawę i zamęt zatłoczonego, oslepiająco upalnego placu przed bramami miasta.

Wmieszawszy się w tłum nie mógł już iść tak szybko, co dało Shanie szansę odetchnięcia. Prowadził ją przez jakiś czas, dopóki ktoś nie spróbował wepchnąć się między nich, dusząc

ja i grozac wyrwaniem mu smyczy z rak. Wtedy chwycił ją pod reke i popychał przed sobą, aby tłum ich nie rozdzielił.

Po drugiej stronie placu, tuż za wejściem do tunelu prowadzącego pod murami miasta, stał mężczyzna z dwoma koniami. Oba zwierzęta były obwieszane paskami skóry i miały na grzbietach coś w rodzaju poduszek. Szli prosto do mężczyzny, który machnął do nich ręką, dostrzegłszy spojrzenie właściciela Shany.

Zastanawiała się poważnie, dlaczego konie tak były wystrojone - strasznie trudno byłoby wyplatać zwierzęta z tej skomplikowanej uprzęży, żeby je zjeść, chociaż taki rzad może służyć do tego, żeby nie mogły się szarpać w trakcie zabijania...

-Jakies trudności? - spytał jej zdobywca, kiedy już dotarli do tego drugiego człowieka. Rzecz to tak cichym głosem, że Shana dziwiła się, że tamten w ogóle coś usłyszał.

-Jeszcze nie - odrzekł tamten, chudy mężczyzna o ciemnych włosach opadających na czoło jakby rozczochrana grzywa. Obejrzał się przez ramię nerwowo. - Zaczynałem się jednak niepokoić.

Drugi mężczyzna spochmurniał jeszcze bardziej. - Im szybciej stąd odjedziemy, tym lepiej. Jeśli ty się niepokoisz, ja też powinienem. - Ku kompletnemu zdumieniu Shany mężczyzna zaciągnął ją do jednego z koni, podniósł, a następnie przerzucił przez przednią część poduszki na konskim grzbiecie.

Co oni robią? Chca, żebyśmy jechali na koniu, jakby to był grzeł? Ale...

Z trudem przeniosła nogę przez kark konia i usiadła wyprostowana w chwili, gdy mężczyzna włożył stopę w uchwyt z boku poduszki. Przerzucił nogę nad konskim zadem, tak że teraz siedziała przed nim. Przymocował koniec jej smyczy do poduszki, a potem skinął głową do pośpiesznie patrzącego towarzysza i popędził konie klusem przez dudniący echem tunel ku otwartej przestrzeni. Wkrótce znaleźli się tak daleko od murów miasta, że ludzie na ich szczycie przypominali zaledwie kropeczki. Samo miasto malowało szybko za nimi; konie poruszały się szybciej niż Shana przypuszczała.

Jechali w kompletnej ciszy, przez długi czas zakłocanej tylko stukaniem konskich kopyt o twardo ubitą powierzchnię góscinca. Kiedy wyjeżdżali, słońce stało nad ich głowami - było około południa - lecz nie zatrzymali się nawet, żeby odpocząć. Jechali tak aż do chwili, gdy słońce dotknęło horyzontu. W tym czasie krajobraz zmienił się z równinny w górzysty i przeszedł z leżącej odlegiem ziemi w pola uprawne, a wreszcie w teren zalesiony. Był to las gęsty i dziko wyglądający, a Shana miała nieodparte wrażenie, że nie jechali szlakiem zbyt często używanym. Wrażenie to popierał fakt, iż droga wkrótce zmieniła się w wąską ścieżkę między drzewami.

Gdy się już zatrzymali, Shana była mocno obolała. Jazda na koniu nie przypominała jazdy na grzele, bowiem grzeł nie szedł łagodnie jedynie wtedy, gdy wpadał w przerażenie. Konie

namiast przestawaly biec klusem tylko wtedy, gdy ludzie sciagali im wodze. Klus, jak sie dowiedziala, byl chyba najbolesniejszym chodem, do jakiego kon byl zdolny - przynajmniej dla jezdzca. Dodac do tego nalezalo fakt, ze nie wiedziala, jak sie jezdzi konno i kazdy ruch, jaki czynila, aby ulzyc sobie w czasie jazdy, wydawal sie niewlasciwy. Bez przerwy byla wytracona z rownowagi i stale podskakiwala, a dotkliwa, powodujaca bole miesni niewygoda sprawila, ze Shana zapomniala zupełnie o porannym strachu.

Dwaj mezczyzni sprowadzili konie z glownego szlaku na przecinajaca go sciezke zwierzyny. Jechali dalej ta wezsza droga przez jakis czas, az dotarli do strumienia. Tam sie zatrzymali, a Shana czekala, znow pelna leku - nie wiedziala, czego sie spodziewac i samo to bylo przerazajace.

Cisza lasu nie byla az tak kompletna, jak Shana poczatkowo sadzila. Kiedy konie zatrzymaly sie, poslyszala drobne szelesty w poszyciu lesnym i ruchy ptakow w galeziach drzew nad glowa. Dzwieki jakze inne od tych ze suchych zarosli krzewow otaczajacych leze, lecz dziwnie takie same.

Obaj mezczyzni zsiadli z koni, glucho dudniac butami o trawe, a wlasciciel Shany krotkim gestem dal jej do zrozumienia, ze tez powinna zeslizgnac sie. Nawet nie przyszlo jej do glowy, ze moglaby nie posluchac - w koncu nie miala pojecia, jak kierowac zwierzeciem, na ktorego grzbiecie siedziala i prawdopodobnie dawno spadlaby z niego, gdyby mezczyzna jej nie przytrzymywal.

Udalo jej sie przeniesc zbolala noge nad konska szyja i zsunac sie na ziemie. Cale szczescie, ze na dole czekal wlasciciel, zeby ja zlapac, bo nogi nie chcialy jej utrzymywac. Wpadla mu w ramiona, czujac sie tak, jakby zamiast nog miala jeden wielki supel porazonych skurczem miesni. Przygryzla wargi az do lez i wysilkiem woli nakazala im rozluznic sie.

Mezczyzna postawil ja na starych lisciach, ktore pozostaly po zeszlorocznej jesieni - i chwycil ja za gardlo. Pissnela z zaskoczenia, a potem z naglego strachu. Zanim zorientowala sie, co czyni, rozpial jej obroze i wyrzucil ja, wraz ze smyza, gdzies w krzaki, a na jego twarzy odmalowal sie taki sam wyraz, jak u kogos, kto wlasnie pozbyl sie zmii.

I wtedy, po raz pierwszy od czasu oazy, uslyszala mysli. Jego mysli! "Spokojnie, dziecko. Jestes juz wsrod przyjaciol. Przykro mi, ze musialem byc dla ciebie taki niedobry, ale nie moglem zdradzic sie przez lagodnosc".

-Nazywam sie Rennis Draythorn, moje dziecko - powiedzial na glos. Kiedy mowil to, jego twarz raptownie zmienila sie. Wlosy i budowa ciala byly ogolnie takie same, lecz gdyby Shana nie widziala przemiany, nie poznalaby nigdy, ze to ten sam czlowiek, ktory kupil ja na licytacji.

Wygladalo to, jakby jego rysy na chwile rozmyly sie, a potem wyostrzyly, ale byly juz inne.

Jego twarz stała się młodszą, oczy zrobiły zielone, a czubki uszu wydłużyły się i nieco zaostrzyły. Największa zmiana jednak dotyczyła jego wyglądu i ubrania, jakie nosił. Wyraz twarzy złagodniał i stał się weselszy, a bogata liberia całkiem znikła, zastąpiona przez zwykłą, brązową koszulę i spodnie z prostym, skórzanym paskiem.

W sumie stał się absolutnie inną osobą. Osoba, która natychmiast polubiła, tak samo mocno, jak nie lubiła i bała się człowieka, który ją kupił.

-K... k... kim jesteś? - wyjąkała, a jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

Na dźwięk loskotu i brzęku uprząży spadającej na ziemię drgnęła i obejrzała się za siebie, na drugiego mężczyznę. - To oczywiście czarodziej - warknął mężczyzna, odsuwając nogą uprzaz na bok. - Jak i ja. Jak i ty będziesz, jeśli pozyszesz dość długo.

Shana popatrzyła uważnie i zauważyła, że rysy drugiego człowieka uległy podobnemu przekształceniu, co u Renniego, chociaż jego ubranie pozostało takie samo.

W końcu on nie był ubrany w liberie.

Były właściciel poklepał ją niezdarnie po głowie. - Wszystko w porządku, dziecko. Z nami jesteś bezpieczna. Zawsze wyszukujemy poleńców. Dowiedzieliśmy się o tobie i udało nam się znaleźć sposób, żeby cię wykupić, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. - Rennis uśmiechnął się, rzuciwszy towarzyszowi ostre spojrzenie. - Żałuję, że nie mogłem ci ostrzec, że chcemy cię uwolnić, ale obroże niewolników blokują nasze czary. Gdybyś miała kiedyś pokazać się publicznie, tak jak my, dostaniesz pustą obrozę, taką, która wygląda jak te należące do nich, ale pozbawiona rzuconych na nią zaklęć.

W ten sposób będziesz mogła stworzyć złudzenie wyglądu człowieka pełnej krwi i pracować jako nasz agent. Jeśli, oczywiście, będziesz tego chciała. Po tym, jak nauczysz się kontrolować swoją moc, od ciebie będzie zależało, co chcesz robić. Prawde mówiąc, niewielu opuszcza cytadela.

-Dlaczego pomogliście mi? - spytała, myśląc jednocześnie: "To jest jak bajka, nie jak prawdziwe życie. Pomoc nie przychodzi znikąd w ostatniej chwili. Tak nie powinno się stać, to nie ma najmniejszego sensu. Czy ja śpię i wszystko mi się sni?" "Nie sni ci się, dziecko". Rennis przekazał jej to bezpośrednio myślami, tak jak czyniła to przybrana matka. "To dzieje się naprawdę. Nie jesteś pierwszym dzieckiem obdarzonym czarodziejską mocą, jakiej kupiliśmy na licytacji i nie będziesz ostatnim. Jedyną różnicą polega na tym, że bardzo niewiele innych kosztowało tak dużo, co ty!" Mrugnęła oczami, kompletnie oglupiała. - Ale...

-Ledwo udało nam się cię uratować - ciągnął, nie zwracając uwagi na jej osłupienie. - Prawdziwy wysłannik lorda Dyrana przybył, żeby cię kupić. Przejeżdżaliśmy go w gospodzie; ja wziąłem jego twarz i jego złoto - a on obudził się w samą porę, by pospieszyć na aukcję i dowiedzieć się, że zniknęłaś. Prawdopodobnie również wtedy odkrył, że ma dużo złota w kieszeni. Będzie się musiał głośno tłumaczyć swemu panu.

Oni czegoś chcą, pomyślała podejrzliwie. Nikt nie zrobiłby tego, nie chcą czegoś w zamian. Dość się jednak nauczyła w barakach niewolników, żeby nie wychylać się z tym odkryciem. Czegokolwiek chcą, wkrótce się o tym dowie. O ile tylko nie jest to tajemnica smoczej skóry...

-Co znaczą te plotki o smoczej skórze? - zapytał Rennisa jego towarzysz. - Całe miasto o tym mówiło. Mówili, że ma przynieść majątek panu, którego podwładni znaleźli smoki. Gdyby nie to, że nie wolno mi było wypaść z roli, śmiałybym się tak, że odpadłyby mi kejałki. Nigdy nie słyszałem w życiu większej bzdury!

Rennis wzruszył ramionami. - Zapytaj dziewczynę, Zed - powiedział krótko, wracając do pracy nad uprzedzą swego wierzchowca. - Słyszałem mniej od ciebie, a nie chciało mi się czytać w myślach Tarna, zanim go uspiłem.

Zed poświęcił jeszcze chwilę na zajmowanie się swoimi pakunkami, a potem niechętnie zwrócił się do Shany. - No więc - rzekł protekcjonalnym tonem - jak to było z tą smoczą skórą?

Postanowiła skłamać i przekonać się, czy uda jej się. Jeśli ci ludzie cały czas czytają w jej myślach, będa wiedzieli, że kłamie. Ale jeśli nie - albo ona jest silniejsza od nich - nie będa mieli pojęcia. To dobry test, ponieważ dzięki temu dokładnie zorientuje się, jak bezpieczne są jej myśli.

-Znalazłam na pustyni takie małe jaszczurki - powiedziała śmiało. - Mają przepiękne kolory, pewno dlatego, że są tak jadowite, że potrafią zważyć z nog w pełni wyrosniętego jednoroga.

-Mogą zabić alikorna? - Zed był szczerze zafascynowany. - Sądziłem, że nic nie może ich otruć z wyjątkiem ich własnej złości! To ci dopiero paskudne jaszczurki!

Shana poważnie pokiwała głową, zachęcona jego reakcją. Najwyraźniej, przynajmniej Zed, nie był w stanie, albo nie chciał badać jej myśli. - To zabawne, ale na pustyni wszystko co jest rzeczywiście groźne, wygląda naprawdę pięknie.

Rennis spojrzał na nią znad swej pracy i uśmiechnął się. - To dlatego, że natura stworzyła je w taki sposób, by ogłaszały innym stworzeniom swą groźbę kolorami.

Shana pokiwała głową. Dokładnie to samo mówiła przybrana matka, chociaż nie tymi samymi słowami. Większość jadowitych stworzeń jest jaskrawo ubarwiona, ponieważ nie potrzebują ochrony kamuflażu. A czasami ich piękne kolory zwabiają głupich i nieostrożnych, którzy stają się ich obiadem.

Kontynuowała zmyślanie opowieści. - W każdym razie, ponieważ były naprawdę jadowite, łatwo było je zabić, pod warunkiem, że robiło się to z oddali. Nie poruszały się zbyt szybko i lubiły spędzać dużo czasu na słońcu. Zaczęłam je zabijać, ponieważ nie chciałam mieć ich w

poblizu miejsca, gdzie spalam. Calkiem dobrze mi szlo trafianie ich kamieniami. Uwazalam, ze tylko zabijanie ich byloby marnotrawstwem - a nie moglabym ich zjesc, bo byly rowniez trujace, wiec zaczelam zdzierac z nich skory i zrobilam sobie z nich tunike. Ludzie, ktorzy mnie znalezli, nazwali ja smocza skora. Nie wiem, dlaczego. Nie chcieli mi uwierzyc, kiedy mowilam, skad sie wziala.

Zed parsknal pogardliwie i potrzasnal glowa tak, ze grzywka zaslonila mu oczy.

-Elfowie! Zawsze musi byc jakis sekret, ktos musi zawsze cos skrywac. Nie umieliby wlasnym matkom opowiedziec czegos, nie oklamujac ich przy tym i nie wierza tez, ze ktos inny moglby.

Z jakiegos powodu dzieki tej historyjce Zed stal sie nieco przyjazniejszy, a w kazdym razie przestal patzyc na nia krzywo. Zaczal nawet troche jej wyjasniac sytuacje, rozpakowujac przy tym cos, co wygladalo na trzy poslania.

-Spedzimy noc w lesie - rzekl, wyciagajac metalowa miske i kilka rzeczy, jakich Shana nie rozpoznawala, z jukow, ktore przywiazal za soba na czas jazdy. Spojrzal na Shane i podniosl brew powatpiewajaco. - Nie bedzie ci to chyba przeszkadzalo, co? To dosc prymitywne obozowisko. Nie ma prysznicow, prawdziwych lozek, ani wiele do jedzenia...

Teraz ona spojrzala na niego sarkastycznie. - Wiekszosc zycia spedzilam na wzgorzach suchszych od tej okolicy - pokazala reka. - Mialam mniej okrycia i mniej sciolki dzielilo moje cialo od skal. Spalam z ptakami-biegusami i dwurogami na piasku.

Sama lapalam pozywienie. Przezylam burze piaskowa.

Mlodszy mezczyzna mrugnal oczami i otworzyl usta ze zdumienia. - Och - westchnal cicho Zed, nieco zaskoczony. - Ty naprawde jestes dzikim dzieckiem, prawda?

Wzruszyla ramionami. - Skoro tak malo wiedzieliscie o mnie, dlaczego uratowaliscie mnie? - spytala, wypowiadajac pytanie, ktore dreczylo ja od czasu, gdy Rennis powiedzial, ile zlota i wysilku kosztowalo ich jej uwolnienie.

-Z powodu twojej mocy, dziecko - odezwal sie Rennis z drugiej strony polany, gdzie rozpakowywal tobolki i znow wlaczyl sie do rozmowy. Wstal i podszedl do niej.

-Magia jest, powiedzmy, halasliwa. Wytwarza cos w rodzaju psychicznego dzwieku; im wiecej magii, tym wiecej halasu, chyba ze jestes bardzo, bardzo dobra - dosc dobra, zeby zamaskowac ten dzwiek. Im wiecej mocy, tym wiecej halasu. To prawda, ze twoja obroza udaremniala dzialanie twoich czarow, lecz potrzebowala do tego mocy, a wiec wytwarzala dzwiek. W twoim przypadku bardzo glosny dzwiek, ktory powiadomil tych z nas, ktorzy umieli go poslyszec, ze twoja moc jest rzeczywiscie ogromna. Dlatego przybylismy, aby cie uratowac. Twoja potencjalna moc jest olbrzymia, a przez to warta ryzyka. A teraz, moze bys cos zjadla? ich pakunkow i zaczal je przeszukiwac. Przygladajac mu sie i rozcierajac

sobie stopy, Shana pomyslała o czymś jeszcze. Nie zadała jednego jeszcze pytania.

Dlaczego potrzebny im jest ktoś o wielkiej mocy - i to tak bardzo potrzebny, żeby sami ryzykowali dostaniem się do niewoli?

Rennis wrócił i podał jej kawałek owocu, trochę suchego chleba i odrobine suszonego mięsa. Podziękowała mu, a ponieważ wciąż ją bolą nogi, nie ruszyła się z miejsca, gdy Renni wraz z Zedem rozbijali obozowisko.

Zastanawiała się, do czego jest im potrzebna. Ale nie otrzymała odpowiedzi.

Na niebie klebiły się ciemne chmury, a pomruk odległych grzmotów stanowił tło kłotni.

-Nie! - krzyknął Keman, wymachując ogonem. - Nie wierze ci, mamo! Shana jest moja siostra; jest moja siostra bardziej niż ten złośliwy kawal lenia, który wszyscy nazywają moją siostrą! Grozi jej niebezpieczeństwo, a ty zabralas mnie, zanim zdołałem jej pomóc! Zamierzam wrócić i nic, co powiesz, nie powstrzyma mnie!

-Kemanie! - Jego matka obejrzała się niespokojnie przez ramię. Kłócili się na środku doliny leża, a jego krzyki zaczynały ciągnąć tłum gapiów.

-Powiedziałem, że wracam i nie zatrzymasz mnie! - powtórzył, z przykrością zauważając, że głos mu się załamywał z wrażenia, co psuło wrażenie dorosłości i pewności siebie, jakie chciał roztaczać.

-Może ona nie jest w stanie cię powstrzymać - zadudnił ostrzegawczo jakiś głos z tyłu - ale my możemy. Ona została wypędzona, Kemanie, i na tym koniec.

Keman zdołał powstrzymać się od chęci natychmiastowego odwrócenia się i pokornego skulenia przed Keoke. Czas na pokorę już minal, a fakt, że Keoke był w randze dostojnego, miał bardzo niewielkie znaczenie w tej sprawie. Keoke nie miał racji, a Keman postanowił w czasie lotu do domu, kiedy był niesiony haniebnie w szponach matki, że nie będzie już pokornie poddawał się niesprawiedliwości, nawet jeśli będzie to decyzja samego dostojnego.

-Shana została ukarana, mimo iż powinien być ukarany Rovy, i ty wiesz o tym, mamo! Nie mam zamiaru stać i przyglądać się, jak wasze tchórzostwo krzywdzi ją...

Uderzenie skrzydłem od tyłu przewróciło go, aż koziolkując uderzył o skałę i niezgrabnie rozciągnął się u stop klifu.

Keoke stanął nad nim z oczami czerwonymi z gniewu, lecz skierował swe słowa do matki Kemana, nie do niego samego.

-To przekracza wszelkie granice, nawet jak na twojego syna, szamanko - warknął Keoke. -

Sugeruje, aby nie wypuszczać go z jaskini, aż nauczy się dobrych manier i odrobiny troski o rod, zamiast przykładać tak wiele uwagi do swojego szczególnego wyobrażenia o sprawiedliwości.

Alara zwiesiła głowę, gdy reszta smoków wokół mruknęła popierająco. Keman wstał, potrząsnął głową, żeby mu się w niej przejasniło i stwierdził, że jest tak ciasno otoczony, że nie może nawet rozłożyć skrzydeł. Nie miał wątpliwości, że gdyby spróbował, inni schwytaliby go, no i coż, to jego problem, jeśli przy okazji porwali mu błony skrzydeł.

Został odprowadzony do leża pod eskortą i przez całą drogę do domu był nachmurzony. Matka szła za nimi na koncu.

Każdy z nich ma zakuty łeb i kamień zamiast serca, pomyślał gniewnie, nie wysilając się, żeby zasłaniać swe myśli i nie dbając o to, czy ktoś je posłyszyci. Za głupi, żeby się zmienić i zbyt pogrążeni w samozadowoleniu, żeby tego pragnąć. Gdybyśmy byli w ojczyźnie, prawdopodobnie nie zgodziliby się na użycie bramy! Gruboskorni, przekarmieni, rozleniwieni, nieudolni, samolubni, uprzedzeni, nierozsadni, uparci! "Dostę tego, Kemanie - powiedziała ostro jego matka. - Jestem pewna, że już wszyscy w leżu znają twoją opinię". "Doskonale - pomyślał. - Świetnie, niech mnie też wypędzą. Zasługuje na to tak samo, jak Shana. Nie ukorzyłem się przecież wystarczająco przed Rovym, a więc to oczywiste, że sprowokowałem go do uzasadnionego ataku na..." "Powiedziałam, dostę, Kemanorelu" - przerwała mu matka. Ostrzeżony jej tonem Keman przycichł, aż oboje znaleźli się w glebi leża. Eskortą została taktownie na zewnątrz.

Alara zatrzymała się, Keman nie. Przeszedł obok niej, zwiesiwszy głowę i powłócząc ogonem, idąc ku wątpliwemu schronieniu swej małej jaskini.

-Kemanie - rzekła niepewnie.

-Czego? - odpowiedział niegrzecznie, kipiąc ze złości i nie starając się nawet tego ukryć.

-Kemanie, znajdzie Shane i zabiorę ją gdzieś w bezpieczne miejsce - powiedziała.

-Zrobię, co w mojej mocy...

Odwrocił się i spojrzał jej prosto w oczy. - Mamo - powiedział chłodno i wyraźnie - ja ci nie wierzę.

Powiedziawszy to, wbiegł do swej jaskini, zgasił światło i zwinął się w ciemności, odwróciwszy plecami do wejścia.

Czekał, podczas gdy Alara stała tuż na zewnątrz, przestępując z nogi na nogę.

Wreszcie odeszła bez słowa.

Echo grzmotu dotarło w głąb leża przez wejście, aż ziemia zatrzęsła się, nawet tak głęboko pod ziemią. Zapowiadała się burza o straszliwej sile... a to całkowicie odpowiadało planom Kemana.

Keman zaczął chwilę, żeby zobaczyć, czy jego matka nie wróci, ale nie było po niej śladu. Zamiast podczołgać się do wyjścia ze swojej jaskini i rozejrzeć się, wyciągnął się na swoich skarbach, położył podbródek na przednich łapach i zamknął oczy.

Ostrożnie, delikatnie sięgnął na zewnątrz myślami. Nie próbował nawiązać kontaktu z umysłami tych, których obecność wykrył w pobliżu, chciał tylko dowiedzieć się, kim są, i co ważniejsze, gdzie się znajdują.

W korytarzu prowadzącym do tylnego wyjścia stała nadęta poczuciem własnej ważności Myre. Tuż za nią, już na zewnątrz, czaił się Rovy. Jak można było się spodziewać, dran przyczaił się nad wejściem, aby skoczyć Kemanowi na plecy, gdyby próbował tamtędy wyjść. Przed frontowym wyjściem leżała jego matka, a jej umysł promieniował posepnością poczucia winy.

A więc wydawało im się, że go unieruchomili. Wydawało im się, że zastawili wszystkie wyjścia. Żadne z nich jednak nie towarzyszyło Shanie w czasie jej wycieczek krajoznawczych i żadne z nich nie wiedziało, że ściana na tyłach jaskin magazynowych, która dzieliła leże należące do Alary od pustego leża, nie była już zbyt mocna.

Keman wyslizgnął się ze swojej jaskini, czolgając się brzuchem po ziemi i dopasowując kolor łusek do błękitnoszarej barwy kamienia wokół. Kiedy tylko wydawało mu się, że słyszy lub czuje coś, zamierał bez ruchu. Nikt by go nigdy nie dostrzegł, nie wiedząc dokładnie, czego ma szukać.

Do magazynów dotarł bez trudności, a tymczasem grzmoty wciąż toczyły się echem po długich korytarzach leża, przypominając tylko o wściekłości burzy na zewnątrz.

Nie spiesząc się, wyjmował kamienie jeden po drugim, aby nie zagrzechotały i nie zaalarmowały Myre albo jego matki. Zastanawiał się nad zabudowaniem jej ponownie od środka, ale postanowił tego nie robić. Tej drogi ucieczki nie będzie już nigdy więcej potrzebował. Miał wszelkie zamiary postarać się, aby jego spojrzenie nigdy więcej nie spoczęło na kims z rodu.

Następne leże było małe i w kiepskim stanie. Pioruny dudniły w nim, odbijając się echem od każdej ściany tak wyraźnie, jakby stał pod gołym niebem. Towarzyszyły im kapryśne przebliski światła nie pochodzące z żadnego konkretnego źródła. Szedł ostrożnie po usianej kamieniami posadzce, czasami zahaczając łapą o zablakany kamień, lub obijając sobie bolesnie palec u nogi. Na szczęście wraz z Shana kiedyś dokładnie zbadał te małe kryjówki. Gdy dotarł do przeciwległej ściany, zobaczył to, na co czekał: migoczący błękitny ogień błyskawicy, który oświetlił sufit i dziurę kominową w środkowej kopule leża.

Ta dziura stanowiła jego droge ucieczki, przez która wydostanie się pod osłoną burzy ponad głowami wszystkich, którzy go pilnowali.

Musiał tylko dosięgnąć jej.

Westchnął i zmienił swe łapy w coś znacznie bardziej nadającego się do wspinaczki po skałach. Pazury pogrubiały, wyprostowały się i zmieniły w krótkie, twarde kolki, a łapy upodobniły się do dłoni i pokryły twarzą skórą. Keman wbil wszystkie cztery łapy w ścianę i rozpoczął wspinaczkę.

Na zewnątrz nie było widać nic, z wyjątkiem porośniętego drzewami wzgórza. Nie widać było śladów, żeby ktokolwiek tu mieszkał.

Shana stała przy wejściu do jaskini, odwrócona plecami do migoczącej, czarodziejskiej zasłony i gapiała się bez zawstydzenia. Gdyby ktoś ją ujrzał, narodziłaby się zupełnie nowa moda! Budynek wewnątrz jaskini - a ten chyba był większy nawet od tego, w którym ją wzięto. Wciąż nie mogła uwierzyć.

-To jest cytadela - powiedział Rennis, machając ręką w kierunku odległego budynku. - Oczywiście, nie możesz jej zobaczyć dalej; starzy czarodzieje wykorzystali również mnóstwo tuneli i grot poza samym budynkiem. Dzięki temu rozmiary części zamieszkałej były trzykrotnie większe, przynajmniej za czasów świetności. Oto więc cytadela, nigdy nie odkryta, nigdy nie zdobyta, nawet gdy sami czarodzieje ponieśli klęskę.

Nawet w ruinie budynek z fasadą rozsypującą się ze starości i resztkami tynku usianymi plamami grzyba stanowił imponujący widok. Sklepienie grot było ukryte, jak w budowlach elfich panów, za delikatnym, bursztynowym blaskiem. W odróżnieniu od małych świetlnych kulek tworzonych przez smoki, to magicznie wyprodukowane źródło światła oświetlało wszystko dokładnie w głównej jaskini. Zaklęcie - tarcza na wejściu, które przepuszczało tylko tych, do których było dostrojone, skutecznie ukrywało rzeczywistość cytadeli za złudzeniem płytkiej, nieciekawej, kamienistej jamy w zbieżności wzgórza, wysypanej suchymi liśćmi i piaskiem i gószącej jednym, czy dwoma pajakami.

Jaskini tej nie wypłukala woda, jak smocze leża - albo, przynajmniej, nie było znac w niej reki natury. Posadzki, ściany i sklepienie stanowiły gładkie powierzchnie czystej skały. Płytki klatki schodowej, również wykuta w żywej skale, prowadziła na dół.

Całe wzgórze wydrazono magią, której pozostałości wciąż wibrowały słabo w murach. Masywne, a jednak pełne wdzięku budowle dominowały pod przeciwległą ścianą, a sztucznie hodowane rośliny i drzewa rosły aż do samych schodów u ich stóp. Małe stadka białych owiec pasły się w głębi jaskini, zupełnie nie przejmując się faktem, że grzbiety ogrzewała im magia, a nie naturalne słońce.

Do budynku wiodła wybrukowana kamieniem droga, która biegła przez szorstki, wyskubany przez owce trawnik. Cytadela zbudowana z tego samego żółtego kamienia, z którego

składala sie jaskinia, w sposob jednak tak odmienny od palacow elfich panow, jak tylko bylo to mozliwe. Budynek mial wiele pieter i praktycznie cala powierzchnia scian, ktore nie byly scianami nosnymi, przeznaczona zostala na okna wychodzace na sztuczny park.

Zniecierpliwiony Zed przepchnal sie obok nich, mamroczac cos. Zolty kamien oblozono tynkiem, aby budynek blyszczal czysta, nieskazitelna biela.

Musial wygladac wspaniale, kiedy byl nowy, pomyslala Shana, zalujac, ze nie mogla go wtedy zobaczyc. Na pewno lsnil w otoczeniu swego malego parku jak ksiezycowy kamien na aksamicie.

Dzis wiekszosc okien przypominala czarne, puste oczodoly. Tynk odpadl z kamienia, odslanjajac wielkie plamy zolci. Same kamienie popekaly, a sciezke zarosla trawa.

Drzewom i krzakom pozwolono rozrastac sie bez przeszkod, a zarosla byly geste i zaniedbane, z wyjatkiem miejsc, gdzie wyskubaly je owce.

Mimo to, wciaz jeszcze stanowila imponujacy widok. Z pewnoscia jako calosc, budowla cytadeli wraz z jaskinia, ktora ja goscila, stanowila najwspanialsze dzieło ludzkich rak, jakie kiedykolwiek Shana widziala. Pod wieloma wzgledami mogla konkurowac z elfim miastem, poniewaz miasto zostalo wybudowane w wiekszosci ludzkimi rekoma, nie elfia magia. Cytadela byla dzielem wylaczenie polelfow i zostala zbudowana calkowicie magicznymi srodkami.

Fakt, ze stala jeszcze po tylu setkach lat, byl nastepnym swiadectwem potegi owych starych czarodziejow. Musieli byc tak bardzo potezni...

-Chodz juz, Shano - powiedzial Rennis, klepnawszy ja po ramieniu i zaskoczywszy tym. - Masz wiele rzeczy do zrobienia, zanim bedziesz mogla sie tu osiedlic.

-Podszedl do schodow i zaczal po nich schodzic, ostroznie prowadzac konia, zeby nie potkнал sie.

-Naprawde? - spytala, idac w jego slady. Zed szedl sztywno przed nimi, prowadzac juz konia sciezka wiodaca do cytadeli.

-Oczywiscie - odrzekl poblazliwie Rennis, obejrzawszy sie przez ramie na nia.

-Bedziesz musiala pojsc na spotkanie ze swoim panem, zobaczyc, gdzie jest twój pokoj, nauczyc sie, gdzie wszystko sie znajduje...

-Poczekaj! - powiedziala Shana, zatrzymujac sie gwałtownie na srodku sciezki, zaniepokojona slowem "pan". - Wydawalo mi sie, ze powiedziales, ze tu nie ma niewolnikow!

-O co ci chodzi? - Rennis odwrócił się do niej, a na jego twarzy malował się wyraz kompletnego zdumienia. - Oczywiście, że tu nie ma niewolników...

Shana rozstawiła szeroko stopy i wzięła się pod boki. - To dlaczego mam mieć pana? - spytała, unosząc zadziornie podbródek.

Ku jej zdziwieniu - i złości - Rennis wybuchnął śmiechem. Ostatnio wystarczająco dużo śmiano się z niej, pomyślała z gniewem. To nie jej wina, że nie rozumie, o co tu chodzi! Bardzo chciałaby zobaczyć, jak on radziłby sobie, gdyby zrzucono go nagle w sam środek leża!

-Bardzo mi przykro, dziecko - powiedział Rennis, chociaż jego głos nie wskazywał, aby w najmniejszym stopniu było mu przykro. Wytarł oczy wierzchem dłoni i dorzucił: - Ciągle zapominam, jak niewiele o nas wiesz. Twoim panem od magii, czyli mistrzem, będzie starszy czarodziej, Denelor V'yrthan, a jest panem tylko w tym sensie, że opanował po mistrzowsku magiczne zdolności i będzie twoim nauczycielem, a ty będziesz jego uczennicą. Oczywiście, wraz z kilkoma innymi młodymi czarodziejami.

Ale pamiętaj, do twoich obowiązków będzie należało sprzątanie i gotowanie dla niego, a także robienie za niego kilku jeszcze innych rzeczy. W ten sposób właśnie uczniowie płacą za naukę. Kilku innych jeszcze młodych ludzi będzie dzielić się z tobą obowiązkami.

-Och - westchnęła Shana, bowiem wydawało jej się, że powinna coś odpowiedzieć. - W takim razie, dobrze. Ale nie potrafię gotować.

-No tak, racja - odrzekł Rennis w zamysleniu. - W takim razie, powinnas się nauczyć. Jak inaczej będziesz przygotowywać sobie posiłki, kiedy udasz się w podróż?

Oczywiście zjadłaby wszystko na surowo, pomyślała z drwiną. Co w tym złego?

-Na początek najważniejsze sprawy - powiedział Rennis, ruszając ponownie w stronę budynku. - Zajmijmy się mieszkaniem dla ciebie...

Shana odniosła wrażenie, że życie wśród czarodziejów będzie bardzo przypominać życie między członkami rodu.

Dowiedziała się, że pod pewnymi względami miała rację, ale w większości przypadków myliła się całkowicie.

Smoki rzadko musiały sprzątać, z wyjątkiem Kemana, który musiał czyszczyć zagrody swoich zwierząt, czasami codziennie. Były to jednak proste czynności, polegające na wygarnięciu nawozu i wrzuceniu do środka czystej słomy, albo piasku.

Kiedy Shane wieziono w barakach niewolników, również tam nie trzeba było sprzątać. Niewolnicy niczego nie posiadali, ich posłania były zabierane co jakiś czas i wymieniane na

nowe, tuniki codziennie zmieniane, a oni sami myli się każdego dnia.

Czarodzieje natomiast mieli rzeczy i tworzyli następne, robiąc przy tym bałagan.

Różne rzeczy trzeba było czyścić, na przykład pościel, ubrania, talerze, mieszkania.

Rzeczy trzeba było odnosić na właściwe miejsca: ubrania, książki, materiały pismienne, przedmioty osobistego użytku.

Z nowym sposobem życia wiązały się także inne kwestie. Niewolników raz dziennie "chlustano wodą", jak określił to Zed. Dwunogi nie będące w niewoli, nie zawsze miały ochotę myć się w taki sposób, jak czynili to niewolnicy. Niektórzy, szczególnie starcy o zeszywniałych stawach i młodzi sybaryci, woleli długo wylegiwać się w głębokich baliach z gorącą wodą - baliach, które trzeba było potem szorować do czysta.

Czarodzieje mieli wolny czas i swobodę korzystania z niego. Oznaczało to zainteresowania i inne zajęcia umilające życie, a skutkiem tych zwykle był bałagan. Na podłogach zbierał się brud, więc trzeba było je zmywać.

A poza tym, jedzenie! Mieszkając wśród rodu, Shana zawsze jadła wszystko na surowo, a jako niewolnica jadła to, co jej podano. Tutaj posiłki trzeba było gotować, co oznaczało, że nie tylko musieli zmywać naczynia, z których jedli, ale również przeróżne narzędzia i naczynia kuchenne, których używano do przygotowania posiłku.

Było to skomplikowane życie, a większość ciężkich i nieprzyjemnych obowiązków spadała na uczniów.

Jako najnowszej uczennicy Denelora i jedynej, która nie umiała gotować, ani też nie miała pojęcia, jak należy robić porządki, Shanie przypadła większość rzeczywiście nuczających, albo nieprzyjemnych obowiązków, a te w większości polegały na czyszczeniu czegoś. To obsesyjne przywiązanie dwunogów do rzeczy stanowiło dla niej stałą zagadkę. Gdyby mniej posiadali, ich życie byłoby zdecydowanie mniej skomplikowane.

Musiała jednak przyznać, że pod pewnymi względami życie rodu nie mogło się nawet równać z życiem dwunogów. Gotowane posiłki - prawdziwe posiłki, nie to mdłe, wodniste jedzenie, jakim karmiono niewolników - okazały się dla niej zaskoczeniem i prawdziwą przyjemnością, na którą niecierpliwie czekała. Starszy uczeń Denelora, który najczęściej zajmował się gotowaniem, podawał jedzenie o takim smaku i kombinacji smaków, o jakich Shanie nawet się nie sniło.

Z nowym życiem łączyły się również inne przyjemności - na przykład, gorące kąpiele, a także cudowna, miękko wymoszczona sypialnia. Miała swój własny, prywatny pokój, który był zawsze ciepły i suchy, i w którym znajdowało się jedno z tych miejsc do spania, nazywane "łóżkiem" oraz skrzynia, w której mogła trzymać swoje rzeczy. Nigdy nie nauczyła się przywiązywać takiej wagi do strojów i ozdób, jak niektórzy inni, lecz miło było mieć cały

czas czyste spodnie i tuniki, nawet jeśli sama musiała je prac.

Muzyka była kolejną cudowną niespodzianką. Smoki nigdy nie śpiewały; najbliższe temu było recytowanie eposów. Shana oczywiście z przyjemnością słuchała śpiewu ptaków, lecz kiedy po raz pierwszy usłyszała, jak Denelor śpiewa, wtorując sobie na katarze, niemal wybuchła z podniecenia. Ku swemu niezmiernemu rozczarowaniu, wkrótce odkryła, że sama nie ma talentu w tej dziedzinie. Zasięg jej głosu obejmował mniej więcej trzy tony i nie posiadała wycucia niczego poza rytmem. Mimo to, mogła czerpać przyjemność z popisów innych - i czyniła to z wielkim entuzjazmem.

Inni jednakże nigdy nie zapomnieli, że jest obca, a i ona o tym pamiętała. Większość z nich przyniesiono tu albo jako małe dzieci, porwane zanim założono im obroże, albo jako niemowlęta, porzucone na zboczach wzgórz przez przerażone matki, aby tam umarły. Kara za urodzenie dziecka mieszanej krwi była śmierć zarówno dla dziecka, jak i matki, co było przyczyną ukrywania takiej ciąży, skoro już do niej doszło, oraz zmuszało matki do pozbywania się niemowlęcia przy pierwszej możliwej okazji po jego urodzeniu. Niektóre, z powodu okoliczności, nie mogły podrzucić mieszanców, póki były niemowlętami; te, które same nie zabiły dzieci, żyły w strachu - aż do dnia, gdy dziecko wyszło pobawić się i nie wróciło, lub znikło ze swego łóżka. Wtedy mogły odetchnąć z ulgą i zameldować nadzorcę o zaginięciu dziecka.

Porzuconych dzieci czarodzieje szukali na wzgórzach i prowadzili uważny nasłuch w celu wykrycia "halasu" wywołanego niewprawnym użyciem magii, by odnaleźć dzieci, które uniknęły podrzucenia. Te albo kupowali na licytacji, jak Shane, albo porywali przy użyciu swej magii, co było dość bezpieczne, ponieważ ludzkie dzieci rzadko pilnowano uważnie. Shana była pierwszą osobą od bardzo dawna, która przyłączyła się do nich już jako niemal dorosła i pierwszą, dla której zdobycia podjęto tak znaczący wysiłek.

Miała niewielu przyjaciół, chociaż młody czarodziej Zed natychmiast odtajał, kiedy tylko dotarli bezpiecznie do cytadeli. Shana bała się dopuścić kogokolwiek do siebie zbyt blisko, nauczona przykrym doświadczeniem utraty Kemana i Megwyn. Po prostu nie chciała ryzykować zbyt głębokiego zaangażowania się w przyjaźń, a większość uczniów zdawała się uważać ją za zbyt obcą, by nawiązać coś więcej, niż powierzchowną znajomość.

Poranki wypełniała jej praca, kiedy bowiem nie sprzątała po swoim mistrzu, albo sobie, wypożyczano ją innym czarodziejom, którzy nie mieli żadnych uczniów, albo tylko jednego, czy dwóch. Po południu wraz z połową uczniów Denelora brała udział w lekcjach magii.

A to samo w sobie było rewelacją.

Skonczyła zmiatać podłogę tuż po planowanym rozpoczęciu lekcji. Cisnęła fartuch w kąt i pobiegła po schodach do komnat Denelora, spodziewając się nagany, kiedy już tam dotrze. Kiedy jednakże zapukała do drzwi i przyłączyła się do grupy, ku swemu zdumieniu dostrzegła obecnych wszystkich sześciu uczniów Denelora, zamiast tylko połowy.

Siadła na podłodze, z tyłu komnaty. W pokoju były tylko trzy krzesła, z czego jedno zajmował Denelor. Na pozostałych dwóch siedział najmłodszy uczeń, Kyle i druga dziewczyna, Mindi. Shanie to nie przeszkadzało: podłoga pokoju Denelora była wyłożona czymś miękkim i ciepłym, dużo miłszym od kamiennych posadzek jaskin i kafelków baraku dla niewolników.

-Dobrze, dzieci, teraz kolej na zaopatrywanie - rzekł gruby, łagodnie mówiący Denelor, zebrałszy wokół siebie uczniów na zwykłą o tej porze popołudniową lekcję.

Jak zazwyczaj, lekcja odbywała się w komnatach Denelora, w pomieszczeniu, które nazywał "pokojem posiedzeń", która to nazwa wprawiała Shanie w niezmiernie zdumienie.

W końcu, tak sobie rozumowała, czy nie można posiedzieć sobie gdziekolwiek? Po co przeznaczac cały pokój wyłącznie do siedzenia?

Najstarszy uczeń, drobniutki chłopiec, który tak przypominał swojego ojca elfa, że matka już w godzinę po jego urodzeniu udala się do "lasu czarodziejów", żeby go tam zostawić, westchnął dramatycznie. - Myślałem, że teraz jest kolej Umbry - poskarżył się. - Wiem, że jej uczniowie napracowali się bardzo przy wydobywaniu złota z tej kopalni, ale nie słyszałem jeszcze, żeby zmieniono reguły dotyczące rotacji, tylko dlatego, że ktoś popracował trochę dodatkowo...

Denelor potrząsnął głową, a jego pogodne, zielone oczy rozszerzyły się z rozbawienia. - Umbra wykonała, co do niej należy w zeszłym tygodniu, zgodnie z planem, a plan jest wywieszony, jeśli jeszcze o tym nie wiesz. Teraz uczeniwi przypada nasza kolej, Lanet. Chyba, że ty wolisz jeszcze baranine z soczewicą przez następnych kilka dni...

Lanet wzdygnął się teatralnie. - Raczej nie, mistrzu Denelorze. W takim razie, zaopatrujemy.

Shana czekała cierpliwie, tak jak nauczyła się od chwili przybycia, na wyjaśnienie co znaczy zaopatrywanie. Denelor może będzie, pamiętał, że jest nowa - ale równie dobrze może zapomnieć. Jeśli pamięta, wyjaśni, a jeśli nie, sama się dowie, jeśli nadstawi ucha.

Denelor zaśmiał się i podał uczniowi kawałek wybrudzonego papieru. - Masz wybór, chłopcze. Tym razem, głównie jedzenie, ale nadchodzi zima, a wielu nowych uczniów nie ma zimowego ubrania, a jeszcze więcej jest takich, którzy ze swoich wyrosli...

Zdawało się, że to mu przypominało o obecności Shany, więc poszukał jej spojrzeniem spośród innych. - Zaopatrywanie polega na tym, moja droga, że za pomocą magii podbieramy elfim panom wszystko, co nam jest potrzebne - powiedział nad głową Laneta. - Wszyscy mistrzowie i uczniowie zajmują się tym po kolei, po sześć dni za każdym razem, z czego pracujemy naprawdę tylko trzy. To dlatego, że to bardzo wyczerpujące zajęcie, a następnego dnia po tym, kiedy wypracujemy swój przydział, nie będziesz nadawała się do niczego więcej, poza spaniem i jedzeniem.

Shana zauwazyła, że zaprzestał już w stosunku do niej używania takiego tonu i prostych zdań, jakby zwracał się do bardzo małego dziecka.

Kiedy wezwala błyskawice, musiała go przekonać, że nie jest niedorozwinięta umysłowo. Ten mały wypadek mógł być przyczyną pojawienia się kilku następnych siwych włosów w piaskowobrazowej czuprynie Denelora.

Lanet rzucił okiem na listę i westchnął z przesadą. - Doprawdy wydaje mi się, że powinienem zostawić drobiazgi dla Shany, bo to jej pierwszy raz. Coż, w takim razie, zimowe ubranie. Uff. To znaczy, że będę musiał jeszcze go poszukać.

Lanet wyjął z kieszeni kamień wroczebny, ruchem głowy odrzucił zasłaniające mu oczy białobłond włosy i położył wypolerowany kawał szmaragdowego berylu na dywanie przed sobą. Przez długą chwilę wpatrywał się w jego kryształową glebie i wreszcie przemówił. - W magazynach lorda Dyrana, na obrzeżu jego posiadłości jest sporo zgromadzonego ubrania. Watpie, czy zauważy brak jednej czy dwóch par spodni i tunik dla niewolników.

Denelore jednak natychmiast pokręcił głową. - Nie, na to nie mogę pozwolić.

Robienie czegokolwiek w pobliżu Dyrana jest zbyt niebezpieczne. Może nie osłania swoich magazynów, lecz jego posiadłość jest na pewno chroniona magicznie, a nam nie wolno ryzykować, że dowie się o naszym istnieniu.

Shana poruszyła się niespokojnie. Znowu to ich prawo. "Nigdy nie dacie się odkryć".

Nigdy nie zrobiliby niczego, jeśli tylko przez to ryzykowaliby, że jakiś elfi władca domysli się, że czarodzieje znowu istnieją. Musiały być setki dzieci, których nie uratowali.

Czasami nawet nie wracali po swoich własnych agentów, którzy wpadli w kłopoty, właśnie z powodu tego leku. Dziwicie się naprawdę, że w ogóle mnie wyratowali. Na ogień i deszcz, wcale nie są lepsi od rodu...

Rod - i nagle cała seria domysłów ułożyła się na właściwym miejscu, jak fragmenty układanki. Och! Och!

A jeśli właśnie to był powód, dla którego przybrana matka nie pomogła jej - nie dlatego, że nie chciała, lecz dlatego, że inni jej nie pozwolili, obawiając się, żeby elfowie nie dowiedzieli się o istnieniu smoków? Z tego, co zauważyła, rod tyle samo powinien się obawiać elfich władców, co i mieszanców...

Lanet przerwał jej rozważania. - Coż - rzekł takim tonem, jakby już był zmęczony - wóz wyladowany czymś jest w drodze do majątku Altara. Nie wiem, czy są w nim zimowe ubrania, ale pełno w nim pakunków, a na nich znak Redrelu.

-A ponieważ specjalnością Redrelu jest produkcja ubrań dla niewolników i podwładnych,

możemy zaryzykować, bez większej szansy wykrycia - powiedział z satysfakcją Denelore. -
Wątpię, żeby zauważono brak jednej, czy dwóch pak, dopóki nie będzie za późno. Czy wóz
jest zakryty, czy otwarty?

-Oczywiście, że zakryty - odrzekł Lanet z wyraźnym rozdrażnieniem. - Nie fatygowałbym się
donosić o odkrytym wozie, bo do naszych celów nie nadają się zupełnie.

-Szczera prawda, chłopcze. Nikt nie zauważy braku pak, dopóki nie rozładują wozu.
Doskonale, to świetny cel, Lanet.

Lanet nie odpowiedział, po prostu podniósł ręce nad głowę i spojrzał na miejsce na dywanie
tuż za kamieniem wrozebnym. Pozostali uczniowie odsunęli się, żeby miał pod dostatkiem
miejsca. Po upływie jednej, czy dwóch chwil zaczęło się wydawać, że jego ręce świecą. Po
następnej chwili Shana dostrzegła, że to nie jego ręce świecą, lecz rozana mgła światła
otaczająca je.

Teraz, kiedy już nauczyła się nasłuchiwać, zauważyła, że przejawowi zaklecia towarzyszył
hałas. Niezbyt dużo hałasu, bowiem Lanet dość dobrze radził sobie z wygłuszaniem swojej
magii, ale zdecydowanie w skład jego czarów wchodził element dźwięku.

W porównaniu z Lanetem, Shana robiła huk porównywalny z wiosenną burzą z piorunami,
czym natychmiast poczuła się głęboko zawstydzona, kiedy tylko dowiedziała się o tym.

Magia Shany czasami brzmiała jak muzyka, a czasami jak grzmoty. Magia Laneta miała
dźwięk leciutkiego deszczu, ledwo słyszalnego cichego plusku.

Wkrótce po tym, jak wokół rak Laneta utworzyła się świecąca mgła, nad miejscem, w które
się wpatrywał, pojawiła się mała, rozana iskierka światła. Zwiększała rozmiary, aż nad
dywanem zawisła kula rozowej mgły, kula dość duża, by pomieścić dwie paki takich
rozmiarów, w jakie zwykle zwijano ubrania.

We mgle zjawiał się widmowy obraz czegoś brązowego, pekatego i mającego kształt pudła.
Stawał się coraz mniej przejrzysty, aż przestał być obrazem, a wydawał się prawdziwym
pakunkiem. Do tego dołączył wkrótce następny, sprowadzony tą samą drogą.

-Lepiej, żeby dwa wystarczyły - rzekł Lanet słabym głosem - bo były dalej, niż się
spodziewałem. To wszystko mistrzu Denelore.

Klasnął w dłoń i rozane światło znikło. Paki spadły na dywan z łomotem, a po nich Lanet,
który osunął się na ziemię ze zmęczenia.

Mindi nachyliła się i ostrożnie rozciąła szorstkie płótno okrywające jeden z pakunków,
odslaniając kawałek dymnopomarańczowego materiału, który przypominał wełnę. - To nie
są ubrania dla niewolników - powiedziała - bo są barwione. Ale to mogą być koce.

-Obojetnie czy sa to ubrania dla podwladnych, czy koce, doskonale nam sie przydadza - powiedzial Denelor z zadowoleniem. - Jesli to koce, mozna je pociac i przerobic na cieple wierzchnie tuniki. Wystarczy, Lanet; swietnie sie spisales, dziekuje.

-Lepiej, zeby wystarczylo - zabrzmiala stlumiona odpowiedz - bo wiecej mozesz sie po mnie dzis nie spodziewac.

Teraz kiedy Shana juz wiedziala, co ma zrobic - uzyc takiego sposobu dalekowidzenia, jakim umiala sie poslugiwac, a potem uzyc zaklecia transportujacego, aby sprowadzic pozadany przedmiot do pokoju Denelora - uwazala, ze prawdopodobnie da sobie rade ze swoja czescia pracy. Narobi przy tym jednak halasu - co oznaczalo, ze jesli ma nie dac sie wykryc elfim panom, powinna skrasc cos, co znajduje sie daleko od poteznych magow. A to moze okazac sie troche trudne.

-Ja wezme make - mowil Denelor, podajac liste Mindi. - Ma najwieksza objetosc, wiec dla was, mlodych, bedzie najtrudniejszym zadaniem. Dla was zostana latwiejsze produkty zywnosciowe.

-Maslo - powiedziala Mindi, rzuciwszy okiem na liste. - I ser. Moja matka pracowala w mleczarni w majatku Altara. Mleczarnia jest prawie po drugiej stronie posiadlosci od wielkiego domu. Wiem, gdzie wszystko skladuja i powinno mi sie udac zwedzic troche jednego i drugiego bez stworzenia zbyt wielkiego zamieszania.

-No, nie wiem - wymamrotal z powatpiowaniem Kyle, podczas gdy Shana rzucila okiem na liste, zagladajac mu przez ramie. Kiedy ujrzala czwarta rzecz na liscie, nagle wpadla na pomysl.

-Mistrzu Denelorze, czy ktos mialby cos przeciwko miesu widloroga, to znaczy, jelenia? - spytala najstarszego czarodzieja.

-Nie sadze - odrzekl, chociaz wygladal na zdezorientowanego. - Czemu pytasz?

Co masz na mysli?

-Wiem, jak szukac zwierzat, jak znajdowac je na odleglosc - stwierdzila z pewnoscia siebie. - Wyszukiwalam je mojemu przybranemu bratu. - Nie klamala, istotnie bardzo czesto bowiem znajdowala Kemanowi zwierzynie do upolowania. Nie umiala wtedy jeszcze wrozyc. Nie widziala zadnego powodu, dla ktorego teraz nie moglaby znalezc kazdego rodzaju zwierzecia. - Wiem, ze w tej chwili nie potrafie zmaterializowac niczego zywego tak, zeby przezylo podroz, ale to nie ma znaczenia, jesli chcemy tylko miesa. Moglabym znalezc zywego widloroga i sprowadzic go juz gotowego do opracowania.

-Zgrabnie obeszlas svoj problem robienia halasu - rzekl Denelor, serdecznie ja chwalic. - Doskonaly pomysl, Shano. Chociaz ja uwazam, ze proba sprowadzenia calego wyrosnietego jelenia moze okazac sie nieco ponad twoje sily. Jesteś pewna, że nie

zechcialabys zadowolic sie stadkiem kaczek, albo kilkoma krolnikami? Moglabys lapac je pojedynczo.

Nic nie odpowiedziala; po prostu pozwolila mu myslec, ze zgadza sie z nim. Potem wyslala umysl na dalekie poszukiwania widloroga. Im wiekszego, tym lepiej.

Natychmiast znalazla to, czego szukala, byka, ktory juz mial za soba najlepsze lata.

Byk ten krecil sie na obrzezach stada, a na jego skorze widnialy swieze blizny po stoczonych walkach. Bylo to znakiem, iz stracil stado na rzecz mlodszego, silniejszego samca.

Wedle praw natury, byl juz niepotrzebny, wiec zmarnieje przez zime i zdechnie na wiosne.

Chyba, ze ona sie wtraci.

Uniosla rece, zamknela oczy i rozpoczela materializacje.

Tak byla pograzona w zakleciu, ze doprawdy nie slyszala, co sie dzieje w komnacie.

Wiedziala tylko, ze nadszedl kluczowy moment, gdy (martwy juz) jeleni byk zmaterializowal sie w pelni i mogla zakonczyc zaklecie. Osunela sie i spuscila podbrodek na piers, czujac, jak ogarnia ja fala wyczerpania.

W pokoju panowala martwa cisza.

Kiedy nikt nawet glosniej nie odetchnal, podniosla wreszcie glowe - i dostrzegla spojzenia szesciu par okraglych ze zdumienia oczu.

Spojrzala na byka zajmujacego wiekszosc wolnej przestrzeni na podlodze. Ladny, choc moze nieco wiekszy niz widlorogi, do jakich byla przyzwyczajona. Powinien zapewnic mieso dla calej cytadeli na mniej wiecej caly nastepny tydzien.

Shana obejrzala sie na Denelora. Temu zdecydowanie odebralo mowe. Mrugnal oczami i chrzaknal. Prawde mowiac, musial chrzacknac trzy razy, zanim zdolal wykrztusic chocby jedno slowo.

-Dzie... dziekuje ci, Shano - powiedzial ostroznie. - Sadze, ze mozesz wziac wolne na reszte tygodnia. Zrobilas znacznie wiecej, niz no... niz do ciebie nalezalo.

Kiedy Shana nie sprzatala i nie miala lekcji, lubila badac nie uzywane korytarze i tunele za cytadela. Od czasu gdy nauczyla sie tworzyc swiatlo, spedzala tam tyle czasu, ile tylko mogla. Czula sie troche jak w "domu", w lezu, chociaz tutejsze tunele byly zbyt regularne. Mimo to, dopoki przebywala w opuszczonej czesci, mogla przycmic swiatlo i wyobrazac sobie, ze jest w domu z Kemanem i bawi sie w chowanego wsrod grot.

Od czasu do czasu miała wrażenie, że smoki mogły mieć udział w budowie cytadeli, szczególnie zespołu tuneli. Zauważała wiele znajomych elementów w sposobie wykuwania i położenia tuneli, które przypominały jej leze, szczególnie staranne tworzenie warstw i obecność rozlicznych wejść i wyjść. Wykorzystanie budynku jako oznaczenia początku tuneli może być zbiegiem okoliczności, lecz to również była cecha charakterystyczna dzieł rodu.

Kiedy Denelore zwolnił ją z zajęć, nawet nie wróciła do swojego pokoju. Poza chwilę wyczerpania, czuła się doskonale - mimo iż poruszyła tyle samo materii, co Lanet, a Laneta trzeba było odprowadzić do łóżka.

Ona nigdy nie czuła się tak naprawdę zmęczona, pomyślała, przyglądając się, jak jeden z uczniów Rennisa pomaga Lanetowi wrócić do swojego pokoju. W każdym razie, nie w taki sposób, jak inni. Czy Rennis to miał na myśli, mówiąc, że ona ma ogromną moc? A może po prostu Lanet zużywał dużo więcej energii niż ona na wyciszenie swoich czarów? Czy znaczyło to, że kiedy nauczy się zachowywać naprawdę cicho, będzie tak samo wyczerpana, jak on w czasie rzucania zaklęć?

W takim razie niezbyt warto zachowywać się cicho... Bez względu na przyczynę, nie czuła jeszcze potrzeby odpoczynku, kiedy Denelore pozwolił jej odejść. Więc zamiast wrócić do pokoju, skreśliła korytarzem w stronę nie używanej części tuneli i stworzywszy światło, które podążyło za nią, ruszyła do miejsca, w którym zakończyła ostatnio swe eksploracje.

Przez chwilę szła po własnych śladach zostawionych w kurzu, aż dotarła do miejsca, w którym narysowała X kredą na ścianie. Starła znak i przygotowała się do zbadania nowego terytorium. Znajdowała się w zdecydowanie najstarszej części cytadeli; posadzki pokrywała gruba warstwa nietkniętego kurzu, a kamienne ściany nie były tak doskonale wykonane, jak w części mieszkalnej. Sale miały wygląd magazynów; każde drzwi, za które zaglądała, prowadziły do pomieszczeń pełnych polek, chociaż to, co zdobiło niegdyś owe polki, znikło już. Na drzwiach do ostatniego pomieszczenia, które odwiedziła, podobnie jak na kilku innych w tym korytarzu, znajdował się wyrzeźbiony napis: MAGAZYN. Ostatnim razem, kiedy tu była, zabrakło jej czasu i musiała zawrócić. Głęboko zajrzec dalej, korytarz skreślił gwałtownie w prawo. Wyszła za róg, spodziewając się ujrzeć następny korytarz i zamiast tego, natknęła się na ślepe zakończenie. Ku jej rozczarowaniu, korytarz kończył się kolejnymi ciężkimi, drewnianymi drzwiami z wyrzeźbionym na nim słowem.

Zamiast zawrócić, poszła jednak naprzód i odkryła na drzwiach zupełnie inne słowo.

Było wyrzeźbione w drzwiach grubszych od poprzednich i częściowo zatarte od dotyku wielu rąk.

Brzmiało ono: ARCHIWUM.

Poczuła dreszcz podniecenia. Odsunęła zasuwę i pchnięciem otworzyła drzwi.

Podobnie jak wszystkie pozostałe pomieszczenia, pokój nie był zamknięty na klucz, lecz w

odroznieniu od reszty, w tym pokoju cos bylo. Nawet dosc sporo. Przeszedl ja nie dajacy sie pomylic z niczym innym dreszcz magii... Magii, jakiej musiano uzyc do zabezpieczenia zawartosci tego pokoju.

Rzeczywiscie bylo to archiwum. Ksiegi, zwoje i sterty luznych kartek papieru. Cienkie metalowe plytki, na ktorych wyryto slowa, welin poczernialy ze starosci i pozolkly pergamin. Rzed za rzedem, polka za polka, caly pokoj wypelniony zapisami. Dopiero po chwili dotarlo do niej, na co sie natknela.

Archiwum dawnych polelfow, tych, ktorzy rozpoczeli wojne czarodziejow! Na ogien i deszcz - nikt ich nigdy nie szukal, powiedzieli jej, ze wszystkie zapisy ulegly zniszczeniu, lecz to nieprawda, caly czas tu byly!

Jej pierwszym odruchem bylo pobiec z powrotem do zamieszkałej czesci i sprowadzic swego nauczyciela, Denelora. Druga mysl jednak zatrzymala ja, zanim jeszcze zdazyla sie odwrócic.

Nie wiedziala jeszcze, co sie tu dzieje. Moze to zapisy, ktore wszyscy chcieli odnalezc. Moze tylko kopie tego, co juz posiadali. A moze tylko sterta bezuzytecznych smieci. Lepiej najpierw samemu przekonac sie, co tam jest, zanim wpadnie w zbyt wielkie podniecenie.

Wybrala cos na chybil trafil; masywna, recznie pisana ksiege, ktora wygladala na wazna, gdyby kierowac sie waga. Zakrecilo jej sie w nosie od kurzu, ktory posypal sie z ksiegi, gdy ja podniosla. Byla tak ciezka, ze musiala polozyc ja na podlodze, zanim zdolala otworzyc ja i przeczytac pierwsza strone.

Z Pelugianskich kronik Laranja, bylego poszukiwacza prawdy z cytadeli: "W piecsetnym dniu po tym, jak wielka zaraza bestii o mrocznych sercach, zwanych elfami, rozpoczela rzady nad pustynna dzicza, zwana niepewnymi piaskami (choz nie calkowicie, bowiem nigdy nie zapanowali nad wedrowcami w pelni ludzkiego pochodzenia, zwanymi grelowymi jezdzcami) piora tak ludzi, jak i polelfow zanotowaly jedno z tych nieprzewidywanych zdarzen, jakie czasem zmienia rownowage miedzy zarowno tym, co widzialne i tym, co niewidzialne. ktorych moc jest najpoteczniejsza i ktorych magia zda sie nie miec granic - widzialy w pustyni niepokojaca i drazniaca zagadke, ktora zdawala sie istniec tylko po to, by bezustannie dokuczac im i irytowac wydelikacone i subtelne gusty ich oswieconego rodzaju. Po prawdzie, grelowi jezdzczy nie maja organizacji, o ktorej warto wspomnac, a fakt ten jest skutkiem ich wyjatkowo niepokornej natury, niemoznosci rzadzenia takim obszarem pustkowia, dziedzicznej nienawisci, z jaka kazdy klan jednego pochodzenia wita kazdy inny klan, i samej pustyni, z jej krancowym upalem i chlodem, jadowitymi stworzeniami, brakiem wody i nieprzewidywalna pogoda. Wobec czego, elfi panowie pozwolili koniecznosci uczynic cnote z tego, czego nie dalo sie uniknac i zezwolili grelowym jezdzcem nie tylko zachowac wladze nad obszarem pustyni, lecz takze utworzyc bezprawne oazy handlu na obrzezach swych posiadlosci, czesto ze szkoda dla swych wlasnych stad i pokoju oraz dobrobytu swych podwladnych. Grelowi jezdzczy byli bowiem ostatnimi

buntownikami i jedynymi przedstawicielami ludzkiej rasy, którzy nie popadli w uzależnienie od elfiego rodzaju. Jednakże z powodu niegasnącej nienawiści do wszystkich, którzy nie żyli na pustyni, uważali oni resztę ludzkości za takich samych wrogów, jak elfich władców.

Szukając sprzymierzeńców, buntownicy na ziemiach elfów wysłali przedstawicieli do jeźdźców, jednakże bezskutecznie, a trzy na wpol obłąkane siostry nawet wyruszyły na poszukiwanie trzyczęściowego talizmanu wśród ruin miast zniszczonych przez elfich panów, talizmanu, o którym powiadano że jest ostatecznym środkiem obrony ludzkości przed wszelkimi wrogami. Zginęły straszna śmiercią i..." ??? Shana mrugnęła i zamknęła księgę. - Coż to ma znaczyć? - spytała inne księgi otaczające ją. - Placili mu od słowa, czy co? - Potem spojrzała znowu na grubość księgi.

-A może od wagi?

Przez chwilę przyglądała się księdze w zamysleniu. Wreszcie popchnęła ją pod drzwi, które wciąż groziły zatrzasnięciem się. Wspaniale nadawała się do ich podparcia.

Prawde mówiąc, w tym celu mogła zostać stworzona.

Uśmiechnęła się i odwróciła ponownie ku polkom - pomijając wszystko, co było za ciężkie, by unieść.

Rozdział XV ...nie mogę zrozumieć, jakie szalenstwo nas ogarnęło. Byliśmy o krok od zwycięstwa; elfi panowie byli obleżeni w nielicznych umocnionych posiadłościach, ich wojska zredukowane do ułamka poprzedniej liczebności, podwładni zbuntowani, a szeregi ich samych przerzedzone. A jednak nasi przywódcy zatrzymali się przed ostateczną rozgrywką i zwrócili się przeciwko sobie nawzajem. To obłęd, a jeśli elfi panowie nie skorzystają z tego szalenstwa, mogłbym się następnie spodziewać, iż zamiast jednego księcia wjeżdża trzy. 4 Drugiego Tygodnia, Miesiąca Wiosennego Księcyca. Stało się to, czego się obawiałem; elfi panowie przerwali obleżenie i teraz przepędzają z kolei nas. Nie należałem do żadnego konkretnego stronnictwa; zależało mi tylko na tym, by wybić te diabły w pięknej postaci tak, jak oni wybili tyłu niewolników. To był cel mojego działania i dlatego nadal działam, chociaż sytuacja wydaje się już naprawdę beznadziejna. Elfowie odzyskują wszystkie terytoria, jakie utracili, a z każdym dniem opuszcza nas coraz więcej ludzi. 7 Trzeciego Tygodnia, Miesiąca Wiosennego Księcyca. W czasie, gdy Jasen wyklócał się o taktykę z Lornem Haldorfem, a Mormegan posprzeczał się o ziemię z Atregalem, elfi władcy nie próżnowali. Pokonali Lorna magia, a w następnej chwili trafili Jasena ta potrojnie przeklęta strzała elfów. Nie minął tydzień, jak Mormegan wyzwalał Atregala na pojedynek na noże, w którym obaj zginęli. Czterech naszych przywódców zginęło w przeciągu niespełna miesiąca! Obawiam się, że najgorsze jeszcze przed nami. Rozproszone wojska elfich panów przegrupowują się, a nasi dowódcy są zbyt pochłonięci własnymi sporami, by zauważyć kolejne klęski... ??? Shana przebrnęła przez usiana kleksami, poplamiona księgę z niewyraźnymi, ukosnymi zapiskami na marginesach. Była podekscytowana i pełna współczucia dla autora. Odkryła ten dziwny dziennik, zapisany na marginesach nieciekawego traktatu o hodowli świń, w trakcie

przeglądania ksiąg w archiwum. Większość z tych, które znalazła do tej pory, stanowiły spisy zawartości magazynów, lub bardzo nudne zapisy historyczne dotyczące tych ziem przed przybyciem elfów, a czasami kroniki pierwotnego podboju ludzkości przez elfich władców. Podporka pod drzwi była tego przykładem;

Shana trzy razy bezskutecznie próbowała przebrnąć przez labirynt jej prozy. Jedyne, co wyniosła z tej lektury, to fakt, iż autor potajemnie podziwiał elfich władców, bez względu na to, jak bardzo protestował przeciwko temu - często odnosiła wrażenie, że jego zdaniem elfi panowie wywierali wpływ cywilizacyjny na barbarzyńska ludzkość.

Jeśli był typowym przykładem wykształconego polelfa, nic dziwnego, że elfowie od tak dawna dzierżą władzę. Miała zawsze ochotę umyć ręce za każdym razem, gdy odkładała tę księgę i bynajmniej nie z powodu rzeczywistego brudu. Była całkowicie przekonana, że gdyby spotkała autora tego dzieła, byłby dla niej tak samo odrażający, jak jego poglądy.

Ale to... to nie była kronika napisana przez jakiegoś wymuskanego skrybę siedzącego na miękkiej poduszce i przyglądającego się czynom innych z dystansem cynowego bożka. To był osobisty dziennik, opisujący dzień po dniu, ostatnie chwile wojny czarodziejów, napisany przez kogoś, kto nie bardziej niż Shana mógł pojąć, dlaczego ponieśli klęskę tak blisko zwycięstwa.

Znajdowała coraz więcej wskazówek co do tego "dlaczego" - a "w jaki sposób" było oczywiste...

A jeśli elfowie wykorzystali zdrajców, ludzi lub polelfów, którzy mieli wywoływać niesnaski? Przypuszcmy, że użyli polelfów, którzy zdolnościami swego umysłu mogli dosłownie manipulować myślami przywódców strony czarodziejów, aby wzbudzić w nich wzajemną zazdrość, uczynić ich tak pewnymi zwycięstwa, że byli przekonani, iż mają czas na pozbycie się rywala... albo i dwóch... a może i trzech.

Właśnie to zaczął sugerować ten dziennik, przynajmniej jej. Niesnaski wewnętrzne, ale wywołane przez elfich władców. Ta możliwość najwyraźniej nie przyszła do głowy autorowi nabażgranych notatek; on nie wyobrażał sobie, aby ktos ludzkiego, czy polelfiego pochodzenia z własnej woli opowiedział się po stronie elfich władców, a nie czarodziejów.

Tak musiało się stać: Skądże by inaczej wiedzieli dokładnie, gdzie za każdym razem trafić dowodce w zamęcie wywołanym ich własnymi sporami?

Stanowczo brzmiało to sensownie, szczególnie jeśli zdrajca posiadał moc ludzkiej magii, umożliwiającej wywieranie wpływu na cudze umysły. Była to jedyna rzecz, przeciwko której czarodzieje nie zabezpieczyli się, ponieważ elfowie nie umieli czytać w myślach, ani też wpływać na nie. Nigdy nie przeszło im nawet przez myśl, że ktos spośród nich może przejść na stronę wroga.

Jedno imię wciąż się powtarzało - nie potężnego przywódcy wojsk elfich, lecz władcy, który

zawsze znajdował się we właściwym miejscu i we właściwej chwili, usuwając czarodzieja za czarodziejem przez zaskoczenie. Imię to Shana słyszała już przedtem i zaczęła się go obawiać.

Lord Dyran.

Sądząc po wszystkim, co wiedziała i czego się dowiedziała jeszcze w ciągu tych kilku minionych tygodni, Lord Dyran był władcą, z którym trzeba było się liczyć.

W odróżnieniu od pozostałych panów, w pełni doceniał inteligencję ludzi (oraz, jak można podejrzewać, polelfów). Nie był znany ani jeden przypadek, aby nie docenił siły wroga, a jego spiski zawsze zawierały plany na nieprzewidziane okazje. Bystry, chytry, całkowicie pozbawiony skrupułów. Jakie to do niego podobne, pomyśleć o przecignięciu jednego z czarodziejów na swoją stronę. Imię to właśnie znów pojawiło się w dzienniku. 6 Drugiego Tygodnia, Miesiąca Jednoroga. Widziano lorda Dyrana jeżdżącego konno po obrzeżach lasu, który udzielał nam schronienia i obawiałem się wtedy najgorszego.

Najgorsze nadeszło właśnie. Ostatni spośród nas szukali schronienia tu, w cytadeli, sądząc, że być może uda nam się ukryć i przetrwać w spokoju, dopóki elfi panowie nie przestaną nas szukać. Odnalazł nas jednak inny wrog i choć nie mam dowodów, przeczuwam, że pan Dyran miał coś z tym wspólnego.

Zaraza.

Rozprzestrzeniła się wśród nas straszliwa, wyniszczająca gorączka. Atakuje bez ostrzeżenia, bez objawów choroby, a po upływie godziny lub mniej, chory mający trawiony gorączka. Och, wiem, co powiadają, że Leland Ander stworzył te choroby, i że w jakiś sposób wymknęła mu się. Prawda, zajmował się zarazą w nadziei stworzenia broni, która można by użyć przeciwko elfim panom z oddali. I prawda jest także, że pierwszy padł jej ofiarą. Nie wyobrażam sobie jednak, że mógł być aż tak nieostrożny, by zaraza ta mogła wymknąć mu się spod kontroli. Nie, przeczucie mi mówi, że to musiała być robota lorda Dyrana. 6 Czwartego Tygodnia, Miesiąca Jednoroga. Nadeszła pora na mnie. Tak jak inni zaraził chorobą, zamknąłem się w swoim pokoju, podczas gdy pozostali uciekają przede mną, albo unikają mnie. Byliśmy tak bliscy, tak bliscy zwycięstwa. Nawet strzały elfów, te przeklęte pociski, które zabijają lub paralizują przy najmniejszym zetknięciu, nie mogły uratować elfich władców. Nic nie mogło powstrzymać nas - aż do chwili, gdy sami powstrzymaliśmy siebie. Piše to w nadziei, że któregoś dnia inny polelf przeczyta te słowa. Strzeż się elfich panów! Strzeż się ich podstępów i spodziewaj się przekupionych zdrajców w waszych własnych szeregach! A szczególnie strzeż się pana Dyrana, bowiem zna on drogi do słabości, ścieżki wiodące do wypaczenia duszy. I użyje ich. ? ? ? Shana odwróciła stronę, lecz było to już wszystko, co się zachowało. Nie znalazła nawet imienia autora, tym bardziej nie wiedziała, czy przeżył zarazę, czy nie.

Zatrzasnęła księgę z bezsilną złością i poszła szukać wśród polek następnej osobistej

kroniki, lecz nic nie znalazła. Przynajmniej nic piora tego nieznanego autora dziennika, ani żadnych innych opowieści tego rodzaju. Wreszcie w nadziei przynajmniej dowiedzenia się czegoś więcej o dawnych czarodziejach, zaczęła sortować księgi według kategorii, odkładając na polki z tyłu wszystkie, które w jakimkolwiek stopniu nie dotyczyły historii.

Księgi historyczne pozostały na frontowych polkach. Nie było ich aż tak wiele, jak by sobie życzyła. Znalazła natomiast kolejne kroniki wojny, napisane ze znacznie większym naciskiem na szczegóły, jeśli nawet z mniejszym uczuciem.

Dzięki nim dowiedziała się o niektórych taktykach, jakich użyli czarodzieje - i o niektórych rodzajach broni, jakimi się posługiwali. Albo były to sztuczki, jakich dzisiejsi czarodzieje zapomnieli, albo nie uznali jeszcze Shany za wystarczająco godną zaufania, aby ją ich nauczyć. Raz za razem, zdolności dawnych czarodziejów wprawiały ją w podziw i zdumienie. Nie raz, a tuzin razy potwierdziły się jej domysły, że czarodzieje zostali pokonani przez zdradę wśród nich samych - spowodowana przez elfów.

Kiedy wyczerpały się już zasoby sali zwanej archiwum, Shana zagłębiła się dalej w labirynt tuneli w poszukiwaniu kolejnych śladów tych ostatnich dni. Na zewnątrz zimowa pora kontynuowała swój powolny marsz ku wiosnie. Zima znaczyła nieco mniej bałaganu; ludzie raczej zostawali w swoich pokojach albo krecili się bez celu, niż wychodzili na mroz. Oprócz tego, w obliczu brudu, z jakim musieliby się pogodzić przynajmniej na trochę, czarodzieje również sprzatali po sobie odrobine regularniej. Dzięki temu miała czas na wyprawy badawcze i korzystała z każdej jego chwili.

Znalazła tuzin tuneli ewakuacyjnych, w większości nie znanych obecnym mieszkańcom cytadeli, z których kilka było tak długich, że nigdy nie chciało jej się sprawdzać, dokąd prowadziły. Chodziła kretymi korytarzami, przy których były tylko małe wnęki sypialne i szafy, spodziewając się dojść do następnych pomieszczeń mieszkalnych lub składów, lecz napotykała tylko ślepy koniec. Otwierała drzwi do czegoś, co jak myślała, było szafa magazynowa, odkrywając, iż prowadzi do zespołu sal. Im głębiej schodziła w trzewia cytadeli, tym osobliwsze i bardziej zawile stawały się układy pomieszczeń.

Było to w bardzo smoczym stylu... Nie sama struktura, lecz skomplikowany sposób, w jaki ją zbudowano.

Alara stworzyła takie właśnie ślepo zakończone tunele i takie pomieszczenia wewnątrz pomieszczeń w swoim leżu. A w żadnym przypadku nie można by jej zaliczyć do najzaciętszych budowniczych. Rod był stanowczym wyznawcą zasady przykładania uwagi do ochrony przed najeźdźcami przy konstruowaniu domów. Ktokolwiek wtargnąłby do smoczego leża, nie miałby pojęcia, jak się po nim poruszać. Wydawało się, że ta sama zasada funkcjonuje tutaj. Żadne dwa prywatne leża nie były do siebie podobne, ani też żadne dwa leża grup rodów nie były do siebie podobne. Cytadele zbudowano na zasadzie leży wewnątrz większego leża, ze wspólnym terytorium, po którym stosunkowo łatwo było się poruszać, oraz prywatnymi kwaterami w głębi wzgórz, które były wręcz jego

przeciwnostwem. Każda miała własną drogę ucieczki i własny system obronny. Shana zaczęła podejrzewać, że nawet jeśli większość prac budowlanych wykonali czarodzieje, jakiś smok przynajmniej maczał w tym palce. Zaczęła więc, oprócz następnych starych dokumentów, szukać śladów potwierdzających jej teorie.

Pewnego dnia, w najpóźniejszym środku zimy, Shana natknęła się na kolejny ślepy zaułek i zawróciła, ogarnięta znużeniem i poczuciem bezsilności. To nie był dobry dzień.

Mistrz Denelor przeziebł się i położył do łóżka. Oznaczało to, że nie będzie lekcji, natomiast będzie więcej pracy przy sprzątanii po nim. Nie był potulnym pacjentem i kiedy był chory, wymagał wiele od swoich uczniów. Shana miała już dość parzenia herbaty, czytania nudnych ksiąg historycznych, podgrzewania mleka, zmieniania poscieli, warzenia lekarstw, prania poscieli i znowu parzenia herbaty. Wreszcie Lanet przyszedł zająć jej miejsce, a jej udało się wymknąć i kontynuować wczorajsze poszukiwania.

Natknęła się jednakże tylko na kolejny ślepy zaułek. Zawróciła, by wrócić po swoich śladach - gdy światło rzucane przez jej magiczną kulę padło w dziwny sposób na skalną ścianę tunelu. Wydawało się, że w płowej ścianie jest idealnie prosta szpara, nieco przed miejscem, w którym się znajdowała. Zatrzymała się, a kula, której poleciła lecieć za sobą w pewnej odległości, aby światło padało zza jej ramienia i nie oslepiało jej, również znieruchomiała. Odwróciła się, ale powoli i z rozmysłem. Światło kuli zalsniło na błyszczącej powierzchni - która psuło doskonale proste, regularne pęknięcie. Biegło od posadzki do wysokości nieco ponad jej głowa, a potem...

Przesunęła palcami po ścianie, śledząc zarys drzwi dotykiem. W chwili, gdy dotarła do miejsca, w którym powinna być klamka, poczuła, że kamień nieco ustąpił, przesuwając się trochę pod jej palcami.

Plotki mówiły o tajnych komnatach i przejściach w cytadeli - jakby sama budowla nie zbijała z tropu wystarczająco - lecz Shana nigdy przedtem nie znalazła żadnego, ani też nie rozmawiała z żadnym uczniem, któremu się to udało. Jeśli tajne miejsca naprawdę istnieją, zupełnie rozsądnie przypuszczała, że starsi czarodzieje zachowaliby dla siebie ten drobny fakt...

Pchnęła miejsce, które przesunęło się - i w murze pojawiło się wklęsnięcie tworzące klamkę. Wyglądało na to, że wreszcie udało jej się znaleźć jedno z tych tajnych przejść.

Teraz zaczęła się zastanawiać, ile z owych ślepych korytarzy kryło podobną tajemnicę.

Serce jej waliło z podniecenia; nie mogłaby się powstrzymać nawet, gdyby ktoś jej powiedział, że po drugiej stronie drzwi czeka głodny jednorożec. Wsunęła palce we wklęsnięcie i pociągnęła.

Drzwi otworzyły się gładko. Weszła do pomieszczenia, które otworzyło się przed nią.

Pomieszczen. Na przeciwległej ścianie były kolejne drzwi, a przez nie ujrzała róg łózka. Nie to jednak wzbudziło jej podniecenie. Kiedy przestąpiła próg, poczuła mrowienie na skórze, które oznaczało proste zaklecie rzucone na pokój. Sądząc po nieskazitelnym stanie pomieszczenia, podejrzewała, że było to zaklecie konserwujące, takie jakie działało w sali archiwum. Właśnie w tym tygodniu Denelor nauczył ją rzucania go, tuż zanim się rozchorował. Wsuwając dłoń w pole jego czarunku, czuła dokładnie takie samo mrowienie jak to, którego właśnie doświadczyła.

Pokój sprawiał wrażenie wciąż zamieszkałego. Na gładkich, szarych ścianach nie było śladu starości ani kurzu. Posadzka, wyłożona szarobiałą mozaiką, była równie czysta. Na stole były książki, pióro i kalamarz, czekały obok czystego papieru, na kominku leżały bierwiona gotowe do rozpalenia.

Shana drgnęła na dźwięk zatrząskiwanych drzwi i odskoczyła, przywarłszy plecami do ściany, niemal spodziewając się ujrzeć za sobą właściciela pokoju, który zaraz zapyta o powód wtargnięcia... Była jednak zupełnie sama. Panowała niewiarygodna cisza; nigdy przedtem nie była w miejscu, gdzie byłoby tak cicho.

Ostrożnie zbliżyła się do pokrytego czarną laką stolika, zwabiona tam księgami.

Panował na nim zaskakujący u czarodzieja porządek. Denelor miał skłonność do składania rzeczy na stos, aż przewalaly się. Z tego, czego dowiedziała się rozmawiając z innymi uczniami, większość jego kolegów miała podobne zwyczaje.

Śa leniwi i tyle, doszła do nagłego wniosku, dostrzegając staranne ułożenie wszystkich przedmiotów na biurku. Maja uczniów, którzy po nich sprzątają, więc nie martwia się, czy coś im spadnie na podłogę, czy nie. W dawnych czasach wszyscy coś robili i nie było uczniów. Każdy czarodziej musiał sprzątać po sobie.

Podrapała się po głowie i zmarszczyła nos. Dobrze by im zrobiło, gdyby coś takiego wydarzyło się teraz. Utrata wszystkich uczniów mogłaby nauczyć ich lepszych obyczajów.

Sięgnęła po pierwszą z ksiąg starannie ustawionych rzędem między dwoma ciężkimi kawałkami surowego, nieoszlifowanego kryształu. Niezupełnie miała wygląd czegoś "oficjalnego", jak kronika, albo księga zakleć. Miała nadzieję, że zawiera osobiste notatki, albo coś w tym rodzaju, a kiedy ją otworzyła, odkryła po przeczytaniu kilkunastu słów, że nie była to nawet księga czarodzieja...

Był to prywatny dziennik - taki jak ten nabazgrołony na marginesie książki o hodowli świń. Nie marzyła nawet o tym, że coś podobnego może tu istnieć - bowiem był to dziennik smoka w zmienionej postaci, napisany w mowie rodu, tej rzadkiej, pisemnej formie, która wraz z Kemanem nauczyła się odczytywać pod opieką Alary.

Oszolomiona, wyciągnęła rękę i chwyciła za oparcie krzesła, zanim nogi się pod nią ugięły, jakby były z waty. Wciąż wpolprzytomna, usadowiła się na szarej, pokrytej skórą poduszce

i zaczęła czytać.

Wrocila do siebie, gdy zaczęło jej burczec w brzuchu, i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, jak jest późno. Na szczęście, nikt nie będzie jej szukał do rana - ale musi być już późny wieczór, a ona ledwo zaczęła pierwszy z siedmiu tomów opisujących przygodę młodego smoka Kalamadei. Rozpoczął te przemiany jako test, kolejny przykład smoczego wtracania się w życie ludzi, elfów i mieszanców. Jego dziennik jasno stwierdzał, jak często to czyniono, chociaż członków rodu na tym świecie wtedy było znacznie mniej niż obecnie.

Shana czuła się nieco oszłamiona tym wszystkim. Nie podejrzewała, jak bardzo rod był - albo jest - zaangażowany w życie tych, których studiowali. Chciała już wstać i zawahała się. Nie chciała wychodzić - ale musiała. W końcu nie może tu zostać. A książki jej nie uciekna. Gdyby zabrala je ze sobą i ktoś natknąłby się na nie w jej komnacie, dowiedzieliby się o istnieniu rodu... Co gorsza, dowiedzieliby się o ingerencjach rodu i od jak dawna to trwa. Kalama był bardziej szczery w swym dzienniku niż jakikolwiek inny członek rodu, o jakim słyszała. Ani trochę nie kłamał, opowiadając o fakcie swojej zmiany postaci, ani o tym kim jest i skąd pochodzi, ani dlaczego przeniknął w szeregi czarodziejów...

Gdyby ktoś je przeczytał, sekrety smoków zostałyby wyciągnięte na światło dzienne - czarodzieje zaczęliby szukać ich, a może nawet próbować zabijać je. A gdyby czarodzieje dowiedzieli się o rodzie, mogliby przekazać informacje elfim władcom, żeby dać wrogom inny cel łowów.

Wystarczyłoby, żeby otworzyli książki i zaczęli czytać w dowolnym miejscu, aby zrozumieć, do czego dążyły smoki od stuleci i jak ingerowały bez wzbudzania nawet cienia podejrzania co do ich egzystencji. Wystarczy jedno spojrzenie na księgę napisaną dziwnym pismem...

W tym momencie zaczęła się śmiać z własnej głupoty. O czym ja myślę? Wystarczy tylko tyle? Oczywiście nie byłoby to wcale proste zadanie! Jasne, że czytelnik mógłby dowiedzieć się o istnieniu rodu - gdyby umiał czytać pismo smoków!

Nikt oprócz mnie nie umie tego przeczytać! Nawet nie wszyscy z rodu potrafili czytać pisaną postacią swojego własnego języka. Alara uczyła Kemana, ponieważ prawdopodobnie miał zostać szamanem, a Shane dlatego, że wykazywała pewne zdolności w tej samej dziedzinie. Ale Myre nie chciała się uczyć, ani też większość innych młodych rodu.

Można było spokojnie założyć, że każdy, kto potrafił przeczytać te księgi, już wiedział o rodzie wszystko, co można było wiedzieć. Prawde mówiąc, sądząc z tego, co Shana już przeczytała, zupełnie spokojnie można było założyć, że każdy, kto potrafił przeczytać te słowa, był smokiem w zmienionej postaci, ukrywającym się wśród czarodziejów z powodów znanych tylko rodowi. Być może po to, by pilnować jej...

Zgarnęła narecze książek i zaniósła je do drzwi. Nie ma żadnego rozsądnego powodu, dla którego nie miałyby zabrać ich ze sobą i przeczytać w wolnej chwili. Z całą pewnością nikt

inny nie potrafilby.

Jestem sam w cytadeli. Pozostali albo nie żyją, albo odeszli. Być może przeżyłem zarazę z powodu tego, kim jestem. Pewne jest, że nikt inny, kto zachorował, nie wyszedł z tego z życia. O tym wiem. Przyznaje, że nie mam pojęcia, co zdarzyło się po tym; kiedy położyłem się do łóżka, ani nawet, co działo się poza jaskinią cytadeli.

Całe szczęście, że rod przygotowany jest na obywatelstwo bez jedzenia przez dłuższy czas, pod warunkiem, że pozostajemy beczynni. Kiedy już rozeszła się wieść o mojej chorobie i kiedy zamknąłem drzwi na korytarz, żadna żywa dusza nie zechciałaby pomóc mi. Nie winię ich za to, biorąc pod uwagę procent śmiertelności w owej chorobie.

Kiedy już oprzytomniałem po długim, gorączkowym śnie, znalazłem się w świecie ciszy. Zebrałem resztki sił i poszedłem szukać magazynów, wystarczająco głodny, by zjeść własne księgi, a tak słaby, że nie mogłbym przezuć ich kartek!

Znalazłem jedzenie, nawet więcej niż dość zapasów podróżnych, by starczyło mi na kilka pierwszych dni powrotu do zdrowia. Zaciągnąłem je - dosłownie, gdyż nie byłem w stanie ich unieść, ja, który niegdyś latałem z całym widlorogiem w szponach - z powrotem do swojej komnaty. Nie miałem nawet dość sił, żeby zmienić kształt!

Trzy placki twardego podróżnego chleba właśnie namakają. Ledwo się powstrzymuję, żeby natychmiast nie pochwycić ich i spróbować zjeść. Spróbować, bowiem tylko tyle mogłbym zrobić; jestem zbyt słaby, by nawet odłupac kawałek i poścacać go.

Podparłem drzwi, żeby stały otwarte, mając nadzieję, że usłyszę kogoś poruszającego się w głębi cytadeli, lecz nic nie usłyszałem. Przypuszczalnie powinienem być zadowolony, oznacza to bowiem, że elfi panowie nie znaleźli sami - ani nie pokazano im - naszego ostatniego schronienia. Nie mogę jednak cieszyć się, wciąż bowiem myślę o moich wszystkich towarzyszach, którzy zorganizowali tę rebelię ze mną, i którzy pozostali wierni swym idealom, kiedy wszyscy inni padli ofiarą ambicji i chciwości.

Co się z nimi stało? Lasen Orvad, Jeof Lenger, Resa Sheden, gdzie jesteście?

Czy żyjecie, czy pokonała was choroba, jak tak wielu innych - a może uszłiscie przed zarazą tylko po to, by wpasć w ręce naszych wrogów?

Tak, naszych wrogów, moi przyjaciele. Chociaż nie jestem waszej krwi, i chociaż przyłączyłem się do waszej sprawy zamierzając tylko zabawić się, uwierzyłem w nią i w was. Kiedy nazywałem was moimi przyjaciółmi, mówiłem to szczerze. Wasi wrogowie są moimi tak długo, jak będę żył, a będzie to rzeczywiście długo trwało. Nie pozwolę, aby wasze marzenie przepadło, jeśli tylko wolno mi będzie kontynuować.

Trzy dni później: nie znam nawet prawdziwej daty, ponieważ nie mam pojęcia, jak długo leżałem powalony gorączką. Sądzę, że bardzo długo, bo na wszystkim leżała warstwa

kurzu, a chleb podróżny był czerstwy. Niektórzy moi przyjaciele uszli z życiem, teraz już wiem, bo znalazłem mowiace o tym notatki w ich pokojach. Nie wiem jednakże, co się stało z nimi, kiedy już opuścili bezpieczne schronienie w cytadeli.

Ja również stąd ucieknę, kiedy tylko będę w stanie. Obawiam się, że każdy polelf, który wrocilby tu i zastał mnie, przypuszczałby, że jestem zdrajca. Wszyscy wiedzieli, że zachorowałem, a sadze, że każdego, kto przeżyłby zarazę, podejrzewano by, iż jest na usługach i pod opieką elfich władców. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł ją przeżyć - bez magii - albo smoczego zdrowia.

Mogę skorzystać z trzech tuneli. Sprawdzę je wszystkie i użyję najlepszego z tych trzech. Jeśli dopisze mi szczęście, wyjde gdzieś w dziczy, gdzie będę mógł przybrać swą naturalną postać i powrócić do rodu. Jeśli nie... O tym nie będę myśleć. Któregoś dnia, jeśli będę mógł, wróce i zabiorę swój pamiętnik czasów wojny. Jeśli nie, będzie on zagadką dla tego, kto go odnajdzie. Z pewnością pomyśla, że jest zaszyfrowany. Życze im powodzenia w odcyfrowaniu go!

Tu kończyła się strona, a reszta siódmej i ostatniej księgi była pusta. Cokolwiek dalej stało się z smokiem-czarodziejem, nie zapisał już tego w swojej księdze.

Shana zamknęła książkę z uczuciem frustracji, odłożyła ją na kufer obok łóżka i położyła się, wpatrując w sufit i rozmyślając. Kulka magicznego światła jarzyła się równym blaskiem, bez migotania, tak jak światełka, które Alara umieszczała w ich lezu, i jak rozświetlone sufity elfich władców, w odróżnieniu od ognia, świec i latarni, na jakie skazani byli ludzie.

Jak bardzo mieszkańcy podobni byli do swych elfich ojców, a jak mało podobni do swych ludzkich matek, przynajmniej pod względem mocy? I jak bardzo podobni do rodu.

Dokuczalo jej pytanie, co się stało z Kalama. Miała wrażenie, że w jego losie tkwił klucz do jej przeznaczenia. Gdyby tylko wiedziała przynajmniej, co się stało z nim, po tym kiedy zamknął swe książki i po raz ostatni opuścił swój pokój!

Coż, teraz z całą pewnością wiedziała, dlaczego rod zmieniał kształty. Wydawało się, że główną ich rozrywką było manipulowanie elfami i ich ludzkimi niewolnikami, aby zobaczyć, jak zareagują. Tak właśnie Kalama rozpoczął swą karierę.

W głowie jej się kreciło na myśl o tym, w jak liczne sposoby rod mógł wtracać się - i bez wątpienia czynił to - w życie elfów, a przez to i ludzi pod ich rządami.

Niektórzy czynili to dla czystej rozrywki. Inni, aby sprawdzić się.

A niektórzy - jak Kalama - zaczęli dla zabawy, lecz kontynuowali, ponieważ dostrzegli wielką krzywdę, jaką wyrządzano i postanowili pomóc coś w tej sprawie uczynić.

Pomyślała, że prawdopodobnie polubiłaby bardzo tego Kalame, gdyby tylko mogła go

spotkac. Przypominal tak bardzo Kemana, z jego wyobrazeniami o tym, co jest dobre i sprawiedliwe. Przyznał w swym dzienniku, że kiedy zaczynał te przygode, był przekonany, że manipulowanie życiem tych "niższych istot" będzie zabawne, lecz wkrótce już przejął się niezmiernie ich sprawą. Po prostu nie mógł siedzieć spokojnie i pozwolić, aby zło, które widział, szerzyło się dalej. Nie mógł powstrzymać się od wtracania się, tym razem jednak w pozytecznym celu.

Tak więc przyjął postać polelfa i przyłączył się do dopiero co zawiązanego powstania. Pomógł wybudować cytadele i zaproponował wiele istniejących tam systemów obronnych. Walczył w wojnie czarodziejów jako jeden z uczestników, nie obserwator - i również niejako przywódca, lecz jako jeden z pomniejszych czarodziejów, który wyszedł na zewnątrz, by zająć miejsce w pierwszym szeregu walczących.

Dowiedziała się wiele o tych dawnych czarodziejach, nie o mocy, jaką władali, lecz raczej o nich osobście. Przez jego oczy ujrzała czarodziejów, którzy byli dla niej niczym więcej niż imionami; wodzów, którzy wygrali i przegrali powstanie. Stali się dla niej ludźmi - dowiedziała się, jak ich zwykle kłótnie przerodziły się w nienawiść, wrogość, która dobiła wojnę. Nabrała przekonania, podobnie jak i on, że to elfowie przyczynili się do ich kłopotów.

A teraz kronika dobiegła końca. Shana nie dowiedziała się niczego więcej o czarodzieju w zmienionej postaci. Miała dziwne uczucie straty. Zastanawiała się, co się z nim stało, chociaż teraz wiedziała już, że to on znalazł zabazgrołoną książkę o hodowli świń w pokoju ofiary zarazy i odniósł ją do sali archiwum w nadziei, że ktoś inny ją tam odnajdzie i przeczyta.

A może wyzdrowiał zupełnie i odszedł, albo jeden z mieszanców wrócił, pomyślał, że jest wrogiem i zabił go. Powiedział przecież, że gdyby znaleźli go przy życiu, mogliby pomyśleć, że jest zdrajca.

Miała nadzieję, że udało mu się uciec. Tak jak czarodzieje, których opisywał, stali się w jej oczach ludźmi, tym bardziej on ożył w jej myślach. Miała uczucie, że go zna, że nawet jest kims w rodzaju przyjaciela. Jeśli uciekł, równie dobrze może jeszcze żyć gdzieś, w jakimś innym leżu. A ponieważ zainteresował się kiedyś sprawami polelfów, może to uczynić jeszcze raz. Może jeszcze go kiedyś spotkać. Zastanawiała się, jak zareagowałby, gdyby przedstawiła mu się w języku rodu.

Obrocila się na bok i gestem odesłała kulę światła, która skurczyła się do punkcika, a potem znikła, pograżając ją w kompletnej ciemności, jaka można znaleźć tylko w podziemiach.

Bedzie zmuszona milczeć o tym, postanowiła po chwili namysłu. Skoro przedtem byli zdrajcy wśród polelfów, mogą być i teraz. Ona z całą pewnością nie będzie umiała ich poznać. Pan Dyran czasami prowadził bardzo subtelne gry. Jeśli doszedł do wniosku, że warto utracić kilkoro dzieci, które i tak musiałby zabić, mógł postanowić zostawić

mieszancow w spokoju, dopoki nie wychodzili z ukrycia i nie okradali go. Czego nie zrobiliby. Jesli Denelor nie zrobilby tego, nikt inny tez nie odwazylby sie. Okradali natomiast wrogow Dyrana, co powinno cieszc go.

Mysl, ze Dyran moze wiedziec o nich, mrozila krew w jej zylach. Postanowila wydostac sie z cytadeli, jak tylko bedzie dosc wycwiczona i sprawna, by czarowac po cichu.

Jesli choc jeden z elfich wladcow zna to miejsce, nie jest juz schronieniem, a pulapka. To tylko kwestia czasu, zanim stanie sie zetonem przetargowym w ich nie konczacych sie grach. A byl to zeton, jakiego zaden elfi pan nie zawahalby sie postawic i przegrac.

Postanowila wrocic do pokoju i odniesc ksiazki. Nie chciala, zeby ktos jeszcze je znalazl, nawet jesli nie mogli ich przeczytac. Potem pojdzie rozejrzec sie, czy Kalama nie zostawil po sobie skarbu. Elfowie i ludzie mogli wydac potomstwo, moze rowniez mogli ludzie i smoki w zmienionej postaci, albo elfowie i smoki. Moze ona jest kims wlasnie takim. Albo moze mieszcacy mogli uzywac klejnotow w taki sposob, jak czynil to rod, do wzmacniania swej potegi; moze magia polelfow jest wystarczajaco bliska smoczej, aby klejnoty dzialaly rowniez dla nich. Warto bylo sprobowac. Wszystko bylo warte sprobowania, jesli tylko pomoze jej szybciej sie stad wydostac.

Absolutnie wszystko.

Przez nastepne kilka dni szla sladami slabo widocznych osobistych znakow wrytych na scianach korytarzy w tej czesci cytadeli. Byl to krety znak przedstawiajacy imie Kalamadea w polaczeniu ze znakiem Tancerza Gromow, co oznaczalo, ze byl nie tylko zmiennokształtnym, lecz takze szamanem. Zostawil je tu prawdopodobnie w czasie budowy, wyskrobujac je szponem, kiedy nikt nie patrzyl, albo rzezbic przy uzyciu swych zdolnosci ksztaltowania kamienia. Jego kroniki byly podpisane oboma znakami, a kiedy Shana zajrzala za drzwi do jego leza, znalazla ten sam znak niewyraźnie odcinajacy sie na tle skaly. Znajdowal sie tuż za drzwiami i byl tak duzy, jak ona sama. Szukajac teraz takich znakow, odnalazla kilka skladow, teraz pustych, ktore wygladaly, jakby dokonywano w nich magicznych eksperymentow. Byc moze probowal nasladowac niektore ze zdolnosci demonstrowanych przez czarodziejow.

Po niemal tygodniu bezowocnych poszukiwan, jej nieustepliwosc wreszcie oplacila sie. Odnalazla znak we wnetrzu jednego ze skladow, ktory juz przeszukala wczesniej.

Wskazywal on na nastepny, znajdujacy sie na pustej scianie, na ktorej nie bylo nawet stojakow magazynowych. Przylozyla dlon do znaku na scianie, tym razem otoczonego kolem i nacisnela, jednoczesnie obracajac w kierunku zasugerowanym przez znak.

Trzask obwiescil jej zwyciestwo; czesc sciany nieco wieksza od jej dloni poluzowala sie z jednej strony. Podwazyla ja i otworzyla jak malenkie drzwi.

We wnetrzu odkrytej wnęki dostrzegla blask drogocennych kamieni, iskry czerwieni i zieleni,

przeblysk blekitu.

Nie był to duży skarb; prawdopodobnie w rzeczywistości nie był to główny skarbiec Kalamy. Najprawdopodobniej był to zapasowy schowek w rodzaju tych, jakimi Alara usiała całe leże i jego okolice, który zawierał drugorzędne kamienie, jakimi mogła się posłużyć, gdyby z jakiegoś powodu nie mogła dotrzeć do podstawowego skarbcza.

W tym znajdowało się jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt drogich kamieni, głównie polszlachetnych. To nie przeszkadzało; polszlachetny kwarc i turkus służył Alarze równie dobrze, jak rubiny i szmaragdy. Wartość i rzadkość nie miały znaczenia, dopóki kamień współdziałał z magią.

Problem stanowiła sama ilość klejnotów. W żaden sposób nie pomieści ich w kieszeniach, a gdyby przyniosła je w podolku tuniki, bez wątpienia ktoś by ją zauważył i zażądał udziału, albo wszystkiego. Shana przyszła jednak przygotowana. Miała ze sobą kwadratową chustę akurat odpowiedniej wielkości, aby nieść w niej klejnoty. Siegnęła do wnęki i wyjmowała kamienie po kilka naraz, a następnie zawiązała chustę w tobolek.

Wroczyła do swej komnaty bez kłopotów i schowała je pod ubranie do swojego kufra. Już dwa razy odebrano jej skarb; nie miała ochoty, żeby wydarzyło się to po raz trzeci.

Tego dnia nie miała już okazji zrobić nic więcej, lecz kiedy następnego dnia zakończyła prace domowe i lekcje, udała się wprost do swego pokoju i wyjąwszy swój mały tobolek, otworzyła go, siadając na łozku ze skrzyżowanymi nogami.

Wysypała jego zawartość na podolek, usiłując naśladować sposób, w jaki smoki leżały na swych klejnotach, kiedy chciały ich użyć, i pograżyła się w stanie spokoju przypominającym trans.

Keman, pomyślała sennie, kiedy już osiągnęła taki stan. Najpierw musiała spróbować porozmawiać z Kemanem. Zamknęła oczy i skoncentrowała się na wspomnieniu obrazu przybranego brata, budując go luska po lusce. Kiedy już sadziła, że ma go, kiedy wydał jej się dość rzeczywisty, by go dotknąć, siegnęła po niego z całych sił.

Próbowała już tego przedtem, lecz po prostu nie miała dość siły, by wysłać myśl poza granice lasu. Tym razem wydawało jej się, że usłyszała coś w odpowiedzi, bardzo słabo i z bardzo daleka - lecz było zbyt słabo słyszalne, by coś zrozumieć, a z pewnością nie wystarczająco wyraźne, by zagwarantować, że rzeczywiście nawiązała z nim kontakt.

Tak blisko... Nie mogła się oprzeć; próbowała sięgnąć jeszcze troszeczkę dalej, lecz ostre ukłucie bólu między brwiami wyrwało ją z transu i skłoniło do porzucenia tego jako złego pomysłu.

Westchnęła, otworzyła oczy i spojrzała na migoczące klejnoty na podolku. Może problem polegał na tym, że usiłowała użyć ich wszystkich na raz, pomyślała wreszcie.

Może gdyby spróbowała po jednym, udało by jej się sklonić je do działania. Jednakże miała przed sobą pięćdziesiąt, albo sześćdziesiąt klejnotów, a każdy inny. Każdego mogłoby to odstraszyć.

No i co z tego, pomyślała z rezygnacją. Co innego miała poza czasem?

Tak więc wysypała resztę z powrotem do chusty, wzięła do ręki pierwszy, beryl o szlifie kaboszonowym, położyła go we wgłębieniu dłoni, i spojrzała w jego głąbie i skupiła się...

Alara szła za słabą wonią smoka w rozrzedzonym, zimnym powietrzu, wkładając całą siłę w każdy wymach skrzydeł w trakcie wznoszenia się coraz wyżej nad gorami na zachodnim obrzeżu terytorium rodu. Tak trudno było latać w rozrzedzonej atmosferze, że dyszała z wysiłku, a nawet po przemienieniu płuc, aby to nadrobić, wciąż miała trudności z utrzymaniem tempa w tak cienkim powietrzu.

Kemana nie było od wczesnej jesieni. Był już środek zimy, a Alarze wciąż nie udało się go odnaleźć. W lezu panował zamęt - połowa smoków domagała się, by sprowadzić go, a jeśli znajdzie potrzebę, również poleć - a druga połowa zadawała, by wydziedziczyła go, albo zlikwidowała jego i Shane.

Sama była bliska hysterii. Z pewnością Keman nie miał więcej lat niż ona, gdy po raz pierwszy udała się na wyprawę w głąb ziem elfów, lecz nie była sama. I nie szła tropem mieszanka - istoty, która, jeśli zostanie wykryta, może zgubić ich oboje.

A co do Shany... Na ogień i deszcz, pomyślała, że boli ją serce z cierpienia, wyrzutów sumienia i poczucia straty. Bol był tak ostry, jakby zupełnie świeży. Kochała to dziecko. Może nie była z krwi rodu, lecz sercem przynależała do niego, była dzieckiem duszy Alary i miała lepsze wyczucie honoru rodu niż większość mieszkańców leza. Nigdy nie powinni byli tak potraktować Shany.

Zaciśnęła zęby z gniewu. Niezależnie od tego, co inni twierdzili, była to najgorsza decyzja, jaką rod kiedykolwiek podjął. Powinni byli wypędzić tego małego drania Rovylerna, albo wysłać go do innego leza, żeby nauczył się posłuchu. W każdym razie teraz, kiedy nie było już Kemana ani Shany, zachowywał się jeszcze gorzej niż przedtem.

Lori, jego matka, zachęcała go tylko i nieomal skradła córkę Alary, pieszcząc ją i pozwalając na wszystko. A ponieważ Alara była szamanka, nie mogła nic w tej sprawie zrobić, ani powiedzieć. Jeśli dzieci postanawiały opuścić swą rodzoną matkę i pojsć do innej, samodzielnie wybranej przybranej matki, prawa rodu zezwalały na to. Gdyby Alara złamała te prawa, lepiej byłoby, gdyby miała do tego powód. Bardzo dobry, logiczny powód. W tej chwili istniały tylko przyczyny emocjonalne.

Istniała jednak jeszcze jedna wyższa instancja, do której mogła się wciąż odwołać, a rozpacz pchnęła ją do odszukania jej. Ojciec Smok, jeśli uda jej się odnaleźć go, mogłoby użyć swego autorytetu jej sprawie.

Nielatwo było go znaleźć. Dawno temu wyrzekł się własnego leża, urosłszy do rozmiarów tak olbrzymich, że nie mieścił się wygodnie w żadnej jaskini poza największymi. A ponieważ uważał się za wiernego nie jednemu leżu, lecz całemu rodowi, podróżował często.

Jego śladami zaledrowała z leża Ladaranao do leża Peleonavande, a następnie tutaj.

Przeszukiwała teraz same góry, tropiąc go dzięki swej wiedzy o tym, jaki on jest, gdzie najczęściej przesiaduje, co uważa za interesujące do obserwacji, oraz dzięki słabym powiewom wiatru, który przynosił jej chłodny śnieg.

Obecnie zapach był już czymś więcej, niż tylko słabym wrażeniem, a krajobraz rozciągający się pod nią składał się ze skalnych iglic wśród zagajników sosen lub lak. Leciła nisko nad zboczami gór, szukając jego śladu. Taka okolice Ojciec Smok lubił najbardziej.

Tygodniami mógł obserwować życie zwierząt na jednej polanie.

Cos poruszyło się w dole; słońce zalsniło na błyszczącej powierzchni, która można by wziąć za bryłę lodu, gdyby nie ten ruch. Zwinęła skrzydła i bez zastanowienia zanurkowała, rozkładając błony skrzydeł dosłownie w ostatnim momencie. Wylądowała obok tego miejsca, wzbijając kleby sypanego śniegu i kryształków lodu.

Ojciec Smok powoli odwrócił głowę. Rozjaśnił swe łuski do barwy czystej bieli, by wtopić się w śnieg i lód dookoła, lecz nie zamaskował się w żaden inny sposób. Co prawda, był tak niemalże niewidzialny na tle bieli śniegu i białego lodu, że prawdopodobnie nie musiał robić nic więcej.

-Alaro - przywitał ją. - Sprawiasz wrażenie poruszonej. Co cię sprowadza do mojej pustelni?

-Potrzebuję twojej pomocy, szamanie - rzekła pośpiesznie, mówiąc głośno, a jej głos rozszedł się echem wśród skał w zimnym, rozrzedzonym powietrzu.

Spojrzał na nią tylko z chłodnym wyrazem twarzy, który powiedział jej bez słów: "Sadziłem, że jesteś zbyt rozsądna, żeby prosić o pomoc".

Poczuła, że twarz ją szczypie z zaskoczenia.

Szaman nie prosi o pomoc, upomniała siebie. Szaman znajduje rozwiązania. To była głupia prośba. Powinna wiedzieć, że nie należy prosić o pomoc.

-Potrzebuję twojej rady, Ojciec Smoku - powiedziała, spuszczaając nieco głowę.

-Jestem w strasznym położeniu i nie widzę z niego wyjścia. W naszym leżu panuje zamek. Gdybym wrocila z twoja rada...

-Czyżby już nie ufali twoim radom?! - łagodnie zagrzmiął Ojciec Smok.

Znow ja zaszczypala twarz, lecz pogodzila sie ze wstydem i zaklopotaniem. - Nie - odparla - juz nie. Obawiam sie, ze stanowie czesc problemu.

Opowiedziala cala historie o tym, jak sytuacja wyglada teraz, rozpoczynajac od tego, jak Rovy dreczyl Kemana i Shane, a konczac na ponownej ucieczce Kemana. Ojciec Smok mial oczy zamkniete w czasie jej opowiadania, lecz Alara nie odnosila wrazenia, ze ignoruje ja. Raczej czula, ze skupia sie na kazdym jej slowie. Czekala z wolno bijacym sercem i marznacymi lapami.

Siedzial w milczeniu przez dlugi czas, po tym gdy skonczyla swa opowiesc, a tymczasem słońce rozpoczelo wedrowke ku horyzontowi, a powietrze zauwazalnie sie ochlodzilo. Milczal nadal, gdy spomiedzy drzew wylonily sie jelenie, by rozgrzebywac snieg i pozywic sie zmarznieta trawa. kala, az przemowi. "Dzieci przedstawiaja soba wieksza zmiane, niz rod byc moze gotow jest przyjac" - odezwal sie nagle w jej myslach, tak ze az podskoczyla. Jelenie obejrzaly sie na nia w poplochu i jeden pozostal na strazy, podczas gdy pozostale ponownie spuscily lby ku trawie. "Nie moge skierowac cie rada na ktorakolwiek ze sciezek. Sama musisz zadecydowac, czy gotowa jestes pogodzic sie z tak wielka zmiana, a jesli inni zechca pojsc w twe slady, niech i tak sie stanie. Rod pchnal Shane na jej sciezke, a Keman najwyrazniej rowniez ja wybral. Zdecydowal sie uczynic to bez twojej opieki i przynajmniej w tym przypadku nie mozesz uczynic nic innego, jak pogodzic sie z tym".

Odpowiedziala w ten sam sposob, czujac sie zbity z tropu. "Ale - co ja mam zrobic w tej sprawie? On jest gdzies tam, narazony na schwytanie, a to dotyczy calego rodu". "Rod utracil juz ochrone swej niewidzialnosci - odrzekl natychmiast. - Nic, co zrobisz, albo nie zrobisz, tego nie zmieni. Swiat jako calosc stoi na progu odkrycia ich istnienia. A moim zdaniem - to bardzo dobrze".

Alara zadrzala, widzac obrazy, jakie przywolaly na mysl jego slowa; gniew elfich wladcow w pelni mocy i ich straszliwe czyny, jakich byla swiadkiem. "Jakze to moze byc dobre? - zapytala. - Elfi panowie sa potezni i okrutni, a kiedy dowiedza sie o naszym istnieniu, nie dadza nam spokoju". "I to jest wlasnie dobre". Otworzył jedno oko, zeby przyjrzec sie jej zgryzliwie. "Od chwili przybycia tu rod rozleniwil sie. Poczatkowo, tak, bylo nas niewiele, a elfi wladcy mogli nas zniszczyc. Nie jestesmy juz nieliczni, nie jestesmy juz slabi, a elfi wladcy nie sa juz niepokonani. Okolicznosci zmienily sie, a my nie. A teraz, gdy zabraklo wyzwania, czlonkowie rodu stali sie samozadowoleni, opasli i niechetni do zaangazowania w cokolwiek. Jedyne, co ich sklania do jakiegokolwiek dzialania, to okazja do platania figli. Teraz nie beda mieli wyboru. Teraz beda zmuszeni czynnie zajac sie obrona swojego zycia, a byc moze nawet poszukac sprzymierzencow poza rodem. Nie spodoba im sie to".

Znow zamknal oczy i wcisnal sie nieco glebiej w snieg. Alara widziala wyraznie, ze powiedzial juz wszystko, co mial do powiedzenia.

Czekala, podczas gdy słońce zachodzilo i ozlaczalo snieg bladym rumiencem, znizajac sie ku horyzontowi. Czekala, gdy wstal ksiezyc i nad ich glowami rozblysko milion gwiazd, bolesnie

jaskrawych w przejrzystym, rzadkim powietrzu wysokich gór.

A wreszcie, gdy jelenie przestały się pasc i wrocily ostroźnie pod oslone drzew, zrezygnowala. Zalopotala skrzydlami i wzniosla sie w niebiosa, machajac skrzydlami tak mocno, ze znow wzbila chmure sniegu, z czego wiekszosc obsypala ogromny, bialy ksztalt Ojca Smoka.

Nie dal po sobie poznac, czy w ogole to zauwazyl.

Nawet drgniecia czy mysli. Ojciec Smok rownie dobrze mogl byc olbrzymim, pokrytym sniegiem lodowym posagiem. Nie tylko nie zamierzal rozwiazac za nia jej problemu, ale rowniez nie mial zamiaru dac jej wiecej wskazowek, niz juz miala.

Odleciala na wschod, z powrotem do leza, a bezsilna zlosc wystarczala, zeby ogrzac ja w czasie dlugiego lotu do domu.

Rozdzial XVI Bardzo dziwnie bylo stac na dwoch nogach, zamiast na czterech, ale Keman przyzwyczail sie do tego.

Natomiast nie mogl sie przyzwyczaić do samych dwunogow. Do ludzi, upomnial siebie. Oni byli ludzmi. Nie dwunogami. Niemniej jednak pelno ich bylo wszedzie, gdzie tylko poszedl, czy rzucil okiem.

Miasto roilo sie od nich jak mrowisko. Mial wrazenie, ze jest w mrowisku, zatloczonym i ciasnym, w ktorym kazdy czlowiek szedl gdzies w jakims celu. Elfow mozna bylo uwazac za trutniow. Dbano o nich i dogadzano im, choc sami nie ponosili zbyt wielkich trudow. Nawet najmizerniejszy z elfow mial przynajmniej garstke ludzkich niewolnikow, ktorzy sluzyli mu... wiekszosc posiadala wiecej niz garstke. Ludzie byli tani, bylo ich pod dostatkiem i ciagle sie mnozyli.

Keman wyrzal przez okno swego pokoju na drugim pietrze, spojrzal na tlumy na dole, plynace ulica po drugiej stronie muru wokol willi i probowal przekonac siebie, ze zadanie, ktorego sie podjal, nie bylo niemozliwe. Czasami zastanawial sie nad tym, czasami kusilo go, by natychmiast zawrocic i uciec do matki.

Przybyl do miasta w przebraniu mlodego elfiego pana, takiego ktory ma dosc mocy magicznej, by traktowac go z naleznym mu szacunkiem, ale nie wystarczajaco duzo, by stanowic zagrozenie, ani nawet szczegolnie kogos interesowac. Jednakze od chwili, gdy udalo mu sie dotrzec do miasta okrezna droga, by zmylic wszystkich, ktorzy poszliby jego tropem, uplynelo juz sporo czasu i byla juz jesien, a Shany juz od dawna tam nie bylo.

Stwierdzil, ze miasto huczalo od plotek i roilo sie od szpiegow wszystkich wiekszych elfich wladcow, o ktorych wspominala jego matka. W gospodzie nie bylo wolnych pokoi, nawet gdyby mial pieniadze, a przemiana w postac ludzkiego podwladnego za bardzo krepowalaby jego ruchy. Krecil sie po ulicach przez kilka dni, opuszczajac miasto noca na

polowanie i próbował znaleźć sposób, jakby dostać się do kregów tych, którzy coś wiedzieli.

Równie ważne było znalezienie miejsca do zamieszkania, przynajmniej na jakiś czas.

Stracił już nadzieję na znalezienie mieszkania, ale postanowił postąpić jak młody elfi władca i zaryzykować wszystko jednym śmiałym posunięciem. Ku jego zdumieniu, poskutkowało. Dostał mieszkanie w willi pana Alinora stając po prostu pod jego drzwiami i oświadczając, że został tu przysłany. Nie sprecyzował, kto go wysłał, ani w jakim celu, a nikt go nigdy nie zapytał o to. Elfi podwładni pana Alinora byli zbyt zajęci sprawami ważniejszymi niż obecność czy nieobecność jednego młodego gościa, a ludzcy podwładni zakładali, że elfowie wiedzą, po co on tu przybył.

Dano mu jeden mały pokój - mały przynajmniej według jego przyzwyczajen - z oknem wychodzącym na ulicę. Szybko zorientował się, jaki jest jego przypuszczalny status. Zbyt wysoki, by umieścić go w pokojach dla służby, lecz nie wystarczająco wysoki, by dać mu apartament na parterze lub pierwszym piętrze. Nie był tu także jedynym młodym elfim panem, a większość z nich zdawała się mieć tyle samo do roboty, co on.

Większość czasu spędzał na ulicach, w postaci elfiej lub ludzkiej, słuchał każdego, kto chciał z nim rozmawiać, stawiał wino tym, którzy mieli długie języki, podtrzymywał znajomości w domu pana Alinora i czasami uprawiał hazard - nigdy dwukrotnie z tą samą osobą; tyle się domyślił - i zawsze wygrywał. Pracując z Shana, dowiedział się, że smocza magia nadaje się do manipulowania kostkami i kośćmi, nawet jeśli nie potrafił podnosić kamieni i rzucać nimi na odległość. Na początek postawił kilka klejnotów ze swojego skarbu. Teraz miał dość monet w kieszeni, by stawiać w karczmach podwładnym i pomniejszych elfom, którzy sprawiali wrażenie osób wiedzających coś, i żeby zabawić innych młodych elfów, kiedy z nudów opuszczali dom. Zazwyczaj potrafił odegrać wszystko, co na nich wydał, zanim jeszcze zakończył się wieczór. Miało to swoje dobre strony, bo nikt nie podejrzewał oszustwa z jego strony. Po prostu miał wygląd osoby zbyt młodej i naiwnej. Poza tym, magia elfów nie działała w taki sposób. Każdy, kto dysponował magią dość potężną, żeby oszukiwać w kości, nie fatygowałby się, żeby oszukiwać.

Po pierwszych kilku tygodniach zastanawiał się, czy nie przenieść się do gospody - lecz te były wciąż przepelnione, a ludzcy i elfi agenci, którzy zajęli pokoje, byli nieufni wobec wszystkich i wszystkiego. Przede wszystkim jednak musiał pozostać niewidzialny. Niektorzy agenci mogli być członkami rodu w zmienionej postaci, a gdyby dowiedzieli się, kim jest, mogliby go zapakować i odesłać do domu do Alary.

Udało mu się wiele dowiedzieć w ciągu kilku minionych tygodni, w większości o Shanie, lecz nie sądził, by któraś z tych informacji doprowadziła go do niej.

Dziwna była to historia. Podwładny lorda Dyrana kupił ją na licytacji; szafował złotem samego pana, i został rozpoznany przez przedstawicieli kilku innych elfich władców.

Potem ten sam mężczyzna przybiegł podobno zadyszany i tak rozgniewany, jak wolno było podwładnemu, pod sam koniec aukcji. Przysięgał, że nie kupił dziewczyny; przysięgał, że usnął w swoim pokoju w willi pana, usnął na stojąco. Potem jeden z niewolników Dyrana znalazł go na podłodze, gdzie upadł. Obudzono go i zabrano na aukcję, gdzie dowiedział się właśnie, że dziewczyny już nie ma i że ponoc to właśnie on ją kupił!

Istniało wyjątkowo małe prawdopodobieństwo, jak głosiła powszechna wieść, żeby człowiek ten skłamał. Mogło to tylko znaczyć, że został zaczarowany, a ktoś inny zajął jego miejsce, żeby kupić dziewczynę. Ale kto? I co ważniejsze dla Kemana, dlaczego?

Był niemal całkowicie przekonany, że nie był to inny poddany lorda Dyrana, choć tak mówiła jedna z plotek. Gdyby to była prawda, podwładny, który zgubił dziewczynę, zniknąłby bez śladu. Jego miejsce zająłby sługa, który rzeczywiście ją zakupił.

W rzeczywistości podwładny został przesłuchany i zdegradowany, lecz wciąż żył i służył panu Dyranowi. Również we włościach pana Dyrana nie nastąpiła zmiana na stanowiskach u władzy.

Tak mówił najgodniejszy zaufania i najrozsadniejszy informator Kemana, inny młody elfi pan, cyniczny i nie darzący zbyt dużym uczuciem swego ojca. Może miałby jakieś ideały, gdyby nie widział, jak dorośli handlują honorem, wiernością i prawdą, jak każdym innym towarem. Przynajmniej Keman tak przypuszczał. Młodzienc wiele mówił o tych sprawach, lecz wciąż traktował ludzkich niewolników jak niewidzialne maszyny pozbawione uczuć.

Keman westchnął i odwrócił się od okna, by położyć się na łóżku i pomyśleć.

Najbliższy odkrycia tajemnicy, gdzie zniknęła Shana, był złożony skrawek papieru, który trzymał pod poduszką. Jego młody przyjaciel dostał go od szpiegów swego ojca i przepisał go dla Kemana przed przekazaniem panu Alinorowi. Takie właśnie było podstawowe zajęcie V'derna Iridelana lorda Kedrisa: pobierać wybrane informacje i przekazywać je sprzymierzeńcowi ojca. Czynił to może raz na cztery czy pięć tygodni, a resztę czasu poświęcał na własne przyjemności. Iridelan był jednym z nielicznych młodych elfich panów, którzy posiadali starszego brata: el-Pana, czyli dziedzica. I co w tej sytuacji miał robić. Nieprzydatny był do celów przymierza przez małżeństwo - chyba, że jego ojciec znalazłby rodzinę z samymi córkami - i niegodny tego, by powierzyć mu władzę nad włościami i majątkiem, których jego brat strzegł tak zazdrośnie.

Kemanowi było go nieco żal. Przypadek Iridelana był niezmiernie smutny.

Młodzienc nie był głupi, miał zadatki na kogoś porządnego - mógł robić wiele rzeczy. Nawet z pszczelego trutnia jest jakiś pożytek - ale nie z Iridelana. Wydawało się, że wyczuwał, jak jałowe jest jego życie - lecz nie wiedział, co zrobić, żeby je zmienić, ani jak. Keman przekonał Iridelana, że sam miał kłopoty z rodzicami i tylko wykazanie się inicjatywą - jak na przykład wysledzenie dziwki, o której wszyscy zdawali się opowiadać -

ocali go od przekazania go na wychowanie szczególnie odrazajacej ciotce. Pomysl ten zaczerpnal z jednej z ksiazek, jaka Alara przyniosla z ktorejs ze swoich podrozy swoim uczniom do przeczytania.

Siegnal pod poduszke i znow wyciagnal kartke, chociaz jej tresc znal juz na pamiec.

Obroza znaleziona przy dziewczynie miala pieczec Dyra i zostala rozpoznana jako obroza naloznicy, ostatni raz noszona przez Senne Daeth, niewolnice, ktora zbiegla na pustynie z wyrokiem smierci za urodzenie mieszanca. Niewolnice uznano za niezyjaca.

Dziewczyna prawdopodobnie znalazla obroze, jako ze nie wspominala o Sennie.

Tak niewiele, a jednak mialo taka wage.

Keman dawno temu porzucil fantazje, iz Shana rzeczywiscie nalezy do rodu. Nie wiedzial jednak dokladnie, co to znaczy mieszaniec.

-Dziecko z ludzkiej matki i elfiego ojca. To mit - wyjasnil mu - zeszlej nocy Iri, kiedy mlody elfi pan popil sobie co najmniej solidnie. - Tak samo, jak te tak zwane smocze skory, w ktore byla ubrana dziewczyna. Mieszancy sa mitem. Ponoc wywolali wojne zwana wojna czarodziejow. Dlatego wlasnie to smierc pozwolic ludziom mieszac sie z elfimi wladcami. Wojna czarodziejow rozegrala sie naprawde i spowodowala zaglade niemal trzech czwartych najwyzszych magow, ale nie sadze, by miala cos wspolnego z mieszancami. Ponoc sa fantastycznymi magami. - Parsknal na mysl o tym.

-Jesli niewolnicy nie maja sily magicznej, a nawet gdyby mieli, obroze i tak ja powstrzymaja, i nawet tacy magowie, jak Dyran musza probowac dziesiatki lat, nim trafi mu sie dzieciak o takiej samej mocy, jaka on ma - to skad niby ci mieszancy maja miec dosc magii, zeby dac nam lupnia?

-A wojna czarodziejow? - zapytal niepewnie Keman.

-Bajki dla dzieci. Bzdury, ktore maja przeslonic rzeczywiste wydarzenia. Wiesz, co ci powiem, wedlug mnie, w wojnie czarodziejow wielu elfich panow bylo po obu stronach. Pewno nie mialo to zupełnie nic wspolnego z mieszancami. Najprawdopodobniej po drugiej stronie znalazla sie banda typow, ktorym znudzilo sie juz siedzenie przez caly czas na dnie, wiec sie wzeli do kupy, a zwyciezcy zrzucili cala wine na mieszancow, zeby ich dzieciakom cos nie wpadlo do lba. - Iri gestykulowal, wymachujac pucharem, az w nim chlupalo wino. - Wiesz, co ci powiem, dostojnym panom przydaloby sie troche mlodej krwi w Radzie! Przydaloby im sie, zeby ktos znow nimi potrzasnal!

Iri rozpoczel znow swoja ulubiona tyrade o tym, jak to starzy gnebia mlodych, potezni gnebia slabych, i jak to byloby dobrze, gdyby kazdy elfi wladca byl naprawde wladca, z jednym prawem glosu, i zeby wszystko bylo rowno dzielone, niezaleznie od tego, kto jest poteznym magiem, a kto slabym. Keman powstrzymal sie od zapytania: "a co z ludzmi?",

bo poprzednie doświadczenia nauczyły go, że Iri spojrzalby na niego tak, jakby spytał: "a co z dwurogami?". Iri, mówiąc o równości, miał na myśli równość elfich panów. Kobiety należało rozpieszczać i chronić. Ludzie byli bydłem.

Ta historia o mieszancach i wyroku śmierci dała mu wskazówki, jakich potrzebował, by przeszukać bibliotekę Willi, w której obaj się zatrzymali, i wiedział już dokładnie, w jakich opalach znajdowała się Shana. Wiedział także trochę więcej o wojnie czarodziejów i przepowiedni o Zgubie elfów.

Shana była mieszancem, córka Dyrana i jego konkubiny, a do tego czasu wszyscy, którzy chcieli ją dostać w swe ręce, przynajmniej domyślali się, kim może być. Keman nie umiał sobie wyobrazić, jak udało jej się odnaleźć obroże swojej matki - ale z pewnością dlatego właśnie nie mógł porozmawiać z nią myślami. Znowu ten przeklęty pech... gdyby jej nie znalazła, prawdopodobnie nikt nie domyśliłby się, kim jest. Ponieważ jednak już ją odnalazła, musiało przynajmniej przyjść im to do głowy.

Prawdziwi fanatycy zabiliby ją na miejscu, kierując się choćby przypuszczeniami, że jest mieszancem. Panowie tacy, jak Dyran, wzieliby ją, próbowali dowiedzieć się czegoś o smoczycach skorach, a dopiero potem zabili ją.

Jedyną, co podtrzymywało go na duchu, to fakt, iż nikt, ale to nikt, nie wyjaśnił sekretu smoczej skóry. To przemawiało za faktem, że wpadła w ręce kogoś innego...

Wszelkie dowody wskazywały, że mogły być to smoki z innego leża.

Nic tu nie działo, stwierdził raptownie i podał kartkę na strzepy. Czas opuścić to miejsce, zanim ktoś wykryje go. Może szczęście mu dopisze, kiedy wyjedzie z miasta.

Nie potrzebował zabierać ze sobą niczego, poza tym, co miał przy sobie. Wystarczyło tylko wyjść. Wystarczyło tylko znać cel.

Posiadłość lorda Dyrana! Tak postanowił, zabierając płaszcz i zamykając za sobą drzwi pokoju gościnnego. Tam miało ją zabrać. Może czegoś się dowie po drodze.

Przecież nie mogła zapasać się pod ziemię. ??? V'kass Valyn el-lord Hernalth, dziedzic rozległej posiadłości swego ojca, lorda Dyrana, siedział na krześle tak cicho i nieruchomo, jakby był marmurowym posagiem.

W szkarłatnym gabinecie jego ojca panowała kompletna cisza, jak we wnętrzu krypty.

Draperie i obicia miały barwę krwawego szkarlatu. Białe ściany, czarne meble, ramy wyrzeźbione z onyksu, równie zimnego i nieublaganego, co gniew Dyrana.

Wczoraj pokój był cały zielony. Miał barwę jadeitu, dokładnie taka, jak oczy Dyrana. "Zdaje mi się, że mój pan ojciec jest w złym humorze. Ale to nie chodzi tylko o mnie.

Cos ukladalo sie nie po mysli lorda Dyrana - i to na mnie skupia sie jego niezadowolone".

Valyn zacisnal wargi, by pohamowac swa zlosc i czekal.

-Nie jestem z ciebie zadowolony, V'kass Valynie - rzekl lord Dyran po dluzszym milczeniu, ktore mialo zastraszcyc jego niepokornego syna, ale nie wywarlo takiego skutku. Valyn juz kiedys bral udzial w podobnej grze. - Zupelnie nie jestem z ciebie zadowolony.

-Przykro mi, panie - szepnal Valyn, spuszczac glowe gestem, ktory jego zdaniem byl wystarczajaco przekonujaca imitacja pokory. Mialo to jednak znaczc: "Zaluje, ze nie zdolalem zabrac Cienia, zanim sie do niego dobrales. Jeszcze bardziej zaluje, ze nie jestem dosc dorosly, by rzucic ci wyzwanie".

Ktoregos dnia wyzwie jednak swego ojca na pojedynek, gdy lord Dyran bedzie sie tego najmniej spodziewal. Dyran jeszcze o tym nie wiedzial, ale magia Valyna byla silniejsza od jego wlasnej. Dyran natomiast mial doswiadczenie, ktorego brakowalo Valynowi, oraz dluga historie podstepow i sztuczek za soba.

-Nie wystarczy, ze ci przykro, V'kass Valynie, - Dyran wstal, otulony swa moca jak plaszczem, pyszniac sie nia przez tworzenie delikatnego poblasku wokol siebie. Ta sztuczka nie zadzialala jednak na Valyna. Widzial ja juz zbyt wiele razy.

Poza tym, on rowniez umial lsnic. To dziecinna sztuczka. Potrafil otoczyc sie blaskiem niemal od chwili, w ktorej nauczyl sie chodzic. Przodkowie wiedzieli, ze wystarczajaco czesto straszyl nia nianki.

-Nie, po prostu nie wystarczy, ze jest ci przykro. - Dyran wyszedl zza swego czarnego, onyksowego biurka i stanal dokladnie naprzeciw swego syna, tak ze Valyn musial spogladac do gory. - Juz przedtem bylo ci przykro. Nic, co powiedzialem, czy zrobilem, nie zdolalo cie przekonac, ze ludzie nie sa i nigdy nie beda warci czasu i wysilku, jaki im poswiecasz. To sa narzedzia, Valyn. Nic wiecej. Wyjatkowo inteligentne narzedzia, ale nic ponadto. Nie potrafia nawet sami sie zatroszczyc o siebie, jesli nikt im nie powie, co maja robic.

Nie byl przekonany o tym, czytal bowiem kroniki historyczne, wiedzial, jak wyglada prawda, a jak klamstwa, jakie sobie mowili. Istniala kiedys kwitnaca cywilizacja i kultura ludzi. Elfi wladcy zniszczyli ja tak dokladnie, ze ludzie nawet juz nie znali imion swych dawnych bogow.

Dyran zmarszczyl brwi. Valyn musial opanowac sie z calych sil, zeby nie skrzywic sie.

-Za bardzo przywiazales sie do tego swojego pupilka, Valynie, a na to nie pozwole.

Czas juz, zebys zobaczyl prawdziwy swiat i poznal, jak wygladaja te zwierzaki, kiedy nie sa odpowiednio wytresowane i uwarunkowane. - Dyran wybral zloty kolor na rozmowe z

synem. Blask i odbicie swiatla padajace z jego szat sprawialy, ze trudno bylo spojrzec na niego bezposrednio, co, jak Valyn dobrze wiedzial, wlasnie bylo jego zamierzeniem.

-Tak, ojczy? - rzekl, poniewaz Dyran zdawal sie czekac na jakas odpowiedz.

-Oddaje cie na wychowanie jednemu z moich wasali, V'kass Cheynar sur Trentilowi - powiedzial szorstko Dyran, odwracajac sie znienacka i zajmujac miejsce za biurkiem. - Nie wiem, czy jest ci wiadome, ze hoduje on pospolitych robotnikow.

Sadze, ze napatrzysz sie tam do syta, i powinienes nabrac odpowiedniego stosunku do nich. Wydaje ci sie, ze znasz ludzi, ale znasz tylko tych nielicznych, ktorzy sa dosc rozumni, by wytresowac ich do sluzby w domu. Kiedy po raz pierwszy ktoras z tych bestii rzuci sie na ciebie, zrozumiesz, ze od samego poczatku mialem racje.

Valyn skrywal rozpacz najlepiej jak potrafil. Pan Cheynar zlozil jedna czy dwie wizyty w ich posiadlosci, zostawiajac po sobie pobite ciala i okaleczone umysly. Mimo, iz jego majatek opieral sie hodowli prostych robotnikow, traktowal ludzi z pogarda graniczaca z nienawiscia. Gdyby tylko mial najdrobniejszy pretekst, wymordowalby wszystkich ludzi w swoich wlosciach...

-A Cien? - spytal cicho.

-Zostanie tutaj. To moje ostatnie slowo, Valynie. Wysylam go do mojego nadzorcy Peledena, zeby sie nauczyl, gdzie jest jego miejsce.

Tak, Peleden gustowal w ladnych, mlodych chlopcach. Na przodkow! Cien bedzie sie bronil - a Peledenowi sprawi to przyjemnosc... jak rowniez karanie go za to. Valyn nie mogl ukryc swej konsternacji, gdy to uslyszal. Plonal z wscieklosci, ze ojciec przyjal jego widoczna reakcje z rozbawieniem.

Dyran usmiechnal sie jeszcze bardziej. - Idz sie lepiej spakuj, Valynie. Wyjedziesz najszybciej, jak mozna. Ostrzez tez swego pupilka, ze jesli nie chce zasluzyc na gorsza kare niz te, ktora ja mu wymierzylem, ma bardzo poslusznie robic wszystko, czego bedzie od niego chcial Peleden. - Dyran przeniosl uwage na jakies papiery na biurku, dajac swemu synowi i dziedzicowi jasny i oczywisty znak, ze nie jest juz tu potrzebny.

Valyn wstal, poruszajac sie cicho i zwinnie, tak samo zwinnie, jak jego ojciec, i wyszedl... zanim moglby sie zapomniec i probowac udusic tego starego lajdaka.

Zaczekal, az drzwi sie zamkna za nim i pospieszyl do swych komnat, gdzie wciaz czekal na niego Mero Jenner. Jego "pupilek", jak Dyran nazywal chlopca, przydzielony mu osobisty sluzacy. Jego jedyny przyjaciel w tym domu, jedyna osoba, ktorej mogl zaufac i... co najbardziej niebezpieczne dla wszystkich zainteresowanych, jego kuzyn polelf.

O czym nikt nie wiedzial, z wyjatkiem Mero, matki Mero oraz Valyna.

Zdarzyło się to w dziwnych okolicznościach. Kiedy Valyn miał cztery, a może pięć lat, jedna z nałożnic Dyrana, Delia Jenner, przestała brać leki powstrzymujące płodność w ramach przygotowania do rozrodu z jednym z gladiatorów Dyrana. Była to dość normalna procedura, szczerze mówiąc, rutynowa. Tyle tylko, że w czasie pierwszego tygodnia jej płodnego okresu - ale jeszcze w czasie pobytu w haremie - brat Dyrana, V'kass Treves sur Hernalth, zjechał do włosci swego brata podczas jednej z jego częstych nieobecności. Treves nigdy nie przybywał, gdy Dyran był w majątku. Jedną z przyczyn, dla której to Dyran był głową rodu, a nie jego starszy brat Treves, był fakt, iż Dyran jest i zawsze był ambitny. Treves nie. Treves był zadny przyjemności, tak jak jego brat władzy - a kiedy nie starczało mu rozrywek w jego własnym małym majątku, czasami korzystał z rozleglejszych zasobów swego brata. Delikatna, ciemna uroda konkubiny Delii przypadła mu bardzo do gustu. Tak bardzo w niej zagustował, że w ciągu tego tygodnia co noc kazał ją doprowadzać do swych pokoi.

Wyjechał przed powrotem swego brata, jak można było się spodziewać. Delie wysłano do gladiatorów zgodnie z planem, i w odpowiednim czasie powiła pierwsze ze swego liczego potomstwa. W dziewięć miesięcy, dokładnie co do dnia, po pierwszym dopuszczeniu.

Dziecko było równie ciemnowłose i delikatne, jak ona, lecz obdarzone leciutko szpiczastymi uszami, blada cera i oczami zielonymi jak liście. Na szczęście położna była na pół ślepa i nie zauważyła zdradliwych oznak mieszanej krwi.

Valyn wciąż nie mógł nadziwić się odwadze i śmiałości Delii, bo matka dziecka zdołała jakimś cudem trzymać go w ukryciu aż do chwili, gdy osiągnął wiek jedenastu lat.

Gdy przychodzili nadzorcy, posługiwała się różnymi podstępami - kazała mu płakać, aż oczy mu zapuchły od łez, zaczesywała mu długie włosy na uszy, albo twierdziła, że cierpi na jakąś dziecięcą chorobę, aby mogła go trzymać w łozku w zaciemnionym pokoju, gdzie udawał, że śpi. A później, kiedy już dorósł, poleciła mu zawsze trzymać wzrok spuszczoney, chować uszy i siedzieć na słońcu, dopóki nie zbrązowieł jak mały posazek z terakoty. Nadszedł jednak dzień, gdy nie mogła już odsuwać dłużej dnia założenia obrozy Mero - a wiedziała, że kiedy ujrza go nadzorcy, oboje zginą.

Wtedy też zdobyła się na największą śmiałość. Przedostała się potajemnie wraz z Mero do komnat Valyna i ujawniła przed nim całą historię.

Od dawna wiadano, że Valynowi nie jest obce współczucie dla niewolników i podwładnych swego ojca - kiedy dowiedział się, jaki jest ich los, często potajemnie starał się ocalić ich przed pobiciem i innymi karami. Kiedys nawet interweniował w obronie Delii, chociaż nie pamiętał tego. Nie pozwolił oddać jej w ręce wyjątkowo brutalnego gladiatora. Może uwrażliwił go wcześniej fakt, iż posiadał tylko ludzkie nianki, a może miało to coś wspólnego z jego pierwszymi nauczycielami - również ludźmi - którzy uzmysłowili mu, że są mu równi intelektem, a nie zaledwie nadajacymi się do tresury zwierzętami, jak myślał o nich jego ojciec. A może po prostu zamiast radować się cierpieniem innych, jak wielu z jego rasy,

budziło ono w nim odrazę. Kiedy tylko był już na tyle dorosły, by stosować podstęp lub magię w obronie ludzi, zaczął to czynić. Wiedział, że są mu wdzięczni, lecz nie wiedział, że aż tak mu ufają. Odwołanie się zarówno do jego rycerskości, jak i współczucia, okazało się nie do odparcia. Tej samej nocy, pod nieobecność ojca, sam ogłosił, że rozkazuje szkolic chłopca na swego słuzącego, a nadzorca, nie widząc potrzeby interwencji w tak błahej sprawie, zgodził się bez oporu. Valyn sam skonstruował obrożę - lecz zamiast berylu, który negował rozwijającą się magię chłopca, znalazły się w niej iluzje nadające mu wygląd czystej krwi człowieka.

Przez ostatnie pięć lat Mero stał u boku Valyna, do tego stopnia, że najpierw ludzie niewolnicy, a potem elfi członkowie dworu, zaczęli nazywać go "Cieniem Valyna". Teraz już prawie nikt nie pamiętał jego prawdziwego imienia. Nawet Dyran znalazł go tylko jako "Cienia".

Valyn zatrzymał się, nim otworzył drzwi do swojej komnaty. Będzie musiał spojrzeć w twarz swemu Cieniowi i powiedzieć mu, że rozdzieli ich, że Mero ma zostać wysłany do kogoś jeszcze bardziej sadystycznego niż władca klanu. Lepiej byłoby, gdyby miał jakiś pomysł, który pozwoliłby ominąć plany lorda Dyrana, jeśli nie chce, żeby Mero uczynił coś, przez co zginie.

Mero leżał na brzuchu w swym łóżku w komnatach Valyna, ponieważ całe plecy miał pocięte smagnieściami, których sprawcą był tenże władca klanu - a kiedy go wnoszono, poprzysiągł, że drugi raz nie da się już ukarać w taki sposób.

Valyn myślał pośpiesznie. Gdyby tylko istniał jakiś sposób, żeby zamienić miejscami Mero i sługę, którego mu przydzielił na tę podróż - bo, oczywiście, ktoś taki będzie mu towarzyszył. Nie ma mowy, aby jego ojciec oddał swego syna i dziedzica w ręce podwładnego, który nie byłby wyszkolony i uwarunkowany na dworze Dyrana - nawet jeśli ten, do którego wysyłał Valyn na wychowanie, był jego własnym zaprzysiężonym wasalem i jednym z najstarszych sprzymierzeńców.

Jednak wszyscy tu znali Cienia...

I wtedy znalazł rozwiązanie. Wszyscy tu znali Cienia. Ale po drodze będzie wiele przystanków.

Polecono mu nie spieszyć się i szukać schronienia tylko w domostwach wasali i sprzymierzeńców. W jednym z takich miejsc, gdzie nikt nie zna Mero, można będzie dokonać zamiany. Szczególnie, jeśli jego słuzący rozchoruje się, w związku z czym będzie zmuszony albo zawrócić, albo zagarnąć sobie nowego sługę...

Plan ocalenia rozwiązał się wspaniale, zanim jeszcze Valyn otworzył drzwi.

Dyran zakończył rozmowę z panem Cheynarem i gestem rozwiązał zaklecie komunikacyjne. Skrzywiona, posepna twarz fanatycznego władcy znikła z powierzchni biurka, zostawiając w błyszczącym kamieniu tylko odbicie twarzy Dyrana. Dyran westchnawszy potarł grzbiet

nosa jednym palcem, zdając sobie sprawę, że zużywa ostatnio na magię dużo więcej energii, niż zwykle dotychczas. Czuł się zmęczony i wyczerpany, i niczego tak bardzo teraz nie pragnął, jak udać się do haremu na odrobinę dobrze zasłużonych pieśczęt. Wiadomość, którą przesłał, zakończyła przygotowania do oddania syna na wychowanie. Powinien już zapomnieć o chłopcu i całym epizodzie, który spowodował owe wydarzenia. Nie był jednak w stanie. Incydent irytował go w niewytłumaczalny sposób, zupełnie niewspółmiernie do jego wagi. Gestem przyćmił światła, zapalił lagodzaca trociczka od poprzedniej i przyjrzał się własnemu niewyraźnemu odbiciu. Szkoda, że nie mógł uważnie obserwować i silniej kontrolować chłopca. Nie miał pojęcia, skąd chłopcu przyszły do głowy te dziwne wyobrażenia o tym, jak powinno się traktować ludzi, ale na pewno nie nauczył się od swego pana ojca. Jeszcze większa szkoda, że niewolnicy obdarzeni zdolnościami czarodziejów, których kiedyś posiadał, wciąż lamali zmuszające zaklęcia, które rzucał na nich. Gdyby miał jeszcze któregoś z nich, mógłby w każdej chwili zajrzeć do umysłu Valyna - a nawet zmienić jego decyzje. Jednak, nie. Stanowili zbyt niebezpieczny zestaw narzędzi, by ich zatrzymać, mimo ich przydatności. Dobrze postąpił niszczyć ich i nakazując swoim agentom postarać się, by inni panowie nie dysponowali podobnymi narzędziami.

Tam, gdzie byli niewolnicy obdarzeni zdolnościami czarodziejów, zawsze istniała szansa, że urodzi się następny mieszaniec, a to mogło oznaczać katastrofę. W żaden sposób nie można było ograniczyć mocy mieszanców, ani też w żaden sposób utrzymać nad nimi prawdziwej władzy. Wcześniej czy później, byli w stanie zerwać każdy przymus i każde złudzenie. A wtedy, bez wyjątku, zwracali się przeciwko swym panom.

Ta sama nienaturalna moc dawała im przewagę, z którą mogło sobie poradzić niewielu elfów. Na myśl o mieszancach ogarnęła go wściekłość i odraza, która płonęła w głębi jego serca i niszczyła zwykły spokój. Robiło mu się niedobrze na myśl o nich.

Ohydne stwory, wślizgujące się w umysły swych ofiar - taka moc jest nieczysta i powinna zostać starta z powierzchni ziemi...

Z trudem zdusił narastającą wściekłość i powrócił do kwestii swego syna i jego przywiązania do pupilka człowieka.

W dużej mierze przyczyną problemu był fakt, iż Dyran sam zaniedbał syna. Ścisłejszy nadzór zapobiegłby jego sentymentalnemu przywiązaniu do człowieka i zagwarantował odpowiedni stosunek do niewolników w ogóle.

Niewolnicy są po to, żeby służyć. Robią to, co im się każe, kiedy im się każe i na tym koniec. Nie odmawiają wykonania polecenia.

Powinien był poświęcić nieco czasu na dopilnowanie, by Valyn otrzymał odpowiednie wykształcenie. Teraz, kiedy już było dużo za późno, widział, że popełnił błąd, oddając to w ręce innych. Do tej pory nigdy naprawdę nie liczył na to, że Valyn ma własną wolę - zawsze uważał chłopca za coś w rodzaju przedłużenia siebie. Prawde mówiąc, niewiele w ogóle

myslał o nim. Natomiast umacniał władze. Zostawił całą kwestię wychowania chłopca w rekach osób, które uważał za zdolne. Wciąż jeszcze umacniał władze. Plany, które przygotował pod koniec wojny czarodziejów dopiero teraz zaczęły wydawać owoce. Nie. Wtedy nie miał wyboru. Zachowanie Valyna mogło być spowodowane wadą wychowania, lecz równie dobrze mogło być wada odziedziczona po matce.

Przed wypadkiem była sentymentalnym dzieckiem, a Dyran często miał również wrażenie, że te same łagodności można było wyczuć w jej ojcu.

Poczuł ogarniająca go słabość, podczas której oczy zaszyły mu łzami, tak że obraz jego odbicia przygasł na czas jednego czy dwóch uderzeń serca. Zastanawiał się, czy nie polecić, aby przyniesiono mu jeden z przedmiotów, w których gromadził moc na czas potrzeby - a następnie odrzucił pomysł. Nie było jeszcze potrzeby, to tylko chwilowe osłabienie. Nocny odpoczynek szybko wróci mu zdrowie.

Nie była to również oznaka niczego poważnego. To tylko syn tak bardzo go zdenerwował i skłonił do rozrzućnego używania magii.

Nie powinien był darować Valynowi tego pupila tak wcześnie - albo trzeba było dać chłopcu konia, albo psa. Dzieci tak przywiązują się do swoich podopiecznych, a ten człowiek zafalszował mu obraz tego, jakie naprawdę są ludzkie stworzenia.

Potarł skronie, czując początki migreny, ostry ból tuż pod palcami. Cały ten kłopot został spowodowany przez taki drobiazg... Nie umiał nawet sobie przypomnieć, czym rozgniewał go ów niewolnik. To nawet nie miało znaczenia. Był niewolnikiem, a niewolników należy bić od czasu do czasu. Dzięki temu nie zapominali, gdzie jest ich miejsce.

Być może przyczyna nie miała znaczenia, lecz reakcja Valyna z pewnością tak.

Sprzeciwił mi się. Ten szczeniak poprzysiągł, że jeśli Dyran znowu tknie jego niewolnika, pozaluje tego. Znowu zastanowił się nad ich kłótnią - i kącik ust drgnął mu lekko w górę. Nie była to całkowita katastrofa. Dowiedział się czegoś, o czym przedtem nie wiedział; tego, że Valyn ma własne zdanie i do tego dość tupetu. W chłopcu było też coś z Dyrana. Kiedy w początkach skonstruowano bramę, jego własny ojciec dowiedział się, że Dyran nie żartuje, jeśli o czymś mówi.

Ciekawe, czy żaluje, że nie poszedł za mną na drugą stronę bramy.

Ciekawe, czy jeszcze żyje. Evelon nie jest gościnnym miejscem - albo raczej nie był, kiedy odchodziłem...

A co do tutejszej okolicy, to obecnie była dość przyjazna. Niewielu elfów przyznałoby się do tego, że mało brakowało, a straciliby ją. Ludzie...

W każdym razie, po starannej reedukacji, chłopiec z pewnością nauczy się widzieć

prawdziwy świat takim, jaki jest w rzeczywistości, a nie takim, jakim chciałby go ujrzeć.

Być może w końcu będzie nawet wdzięczny, że elfowie są tu, a nie na Ewelonie.

Dyran przeglądał w myślach listę spraw. Valyn otrzymał już polecenia. Miał zabrać ze sobą swoje rzeczy, jednego słuzącego i swoje myśliwskie ptaki. W czasie podróży miał zatrzymywać się u wasali i sprzymierzeńców. Żadnych obozowisk w lesie ani zwiadów, o jakich opowiadał. Było to coś, czego Dyran po prostu nie mógł zrozumieć, to pragnienie prymitywnego sposobu życia, ta obsesja na punkcie przyrody i zmagania się z nią ciałem i duchem. Szukanie przygod było niebezpieczne, nawet na ziemiach, na których jego klan był zwierzchnikiem. Na Valynie spoczywał obowiązek kontynuowania rodu, z czego powinien wreszcie zdać sobie sprawę. Prawde mówiąc, był już najwyższy czas, żeby miał nareszcie jakieś obowiązki.

Wydawało się, że wszystko jest pod kontrolą. Łącznie ze starannym wyborem Cheynara na opiekuna, co stanowiło sens tego przedsięwzięcia. Znowu drgnął mu kącik ust. Nigdy nie czyni czegoś tylko z jednego powodu. To było motto, które nieraz przyniosło mu zysk i władzę. Cheynar rzeczywiście był fanatykiem, jeśli chodziło o ludzi.

Poza tym jednakże był sprzymierzeńcem, któremu Dyran zlecił dowiedzenie się, czy za pogłoskami o smoczej skorze kryje się jakaś prawda. Cheynar stracił dziewiczość, ale miał skrawki skóry - albo przynajmniej tak twierdził. Valyn może sprawdzić oba fakty.

Poza tym Cheynar milczał od czasu zameldowania o porażce i sukcesie. Być może nie miał nic do zameldowania. A może ukrywał jakieś informacje. A może działał na własną rękę, albo dla kogoś innego...

Jak zawsze, istniały różniczne możliwości. Jednak gdy Valyn będzie na miejscu, nie tylko otrzyma potrzebna mu bardzo edukacja, ale także zapewni przebieg informacji od Cheynara, niezależnie od tego, czy będzie zdawał sobie sprawę z odgrywanej roli, czy nie. Dyran znał swego syna dość dobrze, by wiedzieć, że będzie zadawał właściwe pytania i dużo się dowie z odpowiedzi na nie. Znał także wystarczająco dobrze Cheynara, aby wiedzieć, co te odpowiedzi mogą znaczyć, poza ich oczywistym sensem.

Tak, wszystko było tak, jak powinno być. Nawet wysłanie pupila do ogólnych pomieszczeń dla niewolników na czas oczekiwania na przeniesienie. Szczerze mówiąc, Dyran nie był całkowicie zdecydowany na to. Groźba przeniesienia może dać mu większą władzę nad Valynem, niż rzeczywistość.

Dyran westchnął. Spełnił swoje obowiązki. Wszystko, czego można było dopilnować, zostało dopilnowane. Nadszedł czas, by oddać się w utalentowane i wyszkolone ręce swych nałożnic, żeby masażem usunęły jego piekielny ból głowy.

Odsunął się od biurka i wstał. Światła pojaśniały, gdy wyprostował się. Szybko przebył te kilka kroków, jakie dzieliły go od biurka do drzwi haremu. Milo będzie odpocząć, a jeszcze

miej, kiedy beda mu nadskakiwac. W koncu, nalezalo mu sie. Niezle sie dzis spisal.

Valyn przyniosl swieza liberie z szafy Mero, rozmyslajac ironicznie o tym, jak jego ojciec zbladlby, gdyby ujrzal swego syna bawiacego sie w sluzacego czlowieka.

-Mozesz dosiasc konia? - spytal zaniepokojony Valyn, gdy Mero podniosl sie z lozka stlamsiwszy przeklenstwo. Plecy chlopca zostaly obandazowane i opatrzone wszystkimi mozliwymi srodkami jakie byly dostepne w majatku, lecz uplynie jeszcze kilka dni, nim zagoja sie, i chyba z pol dnia nim bol wyraznie zmniejszy sie.

-Nie mam przeciez wyboru, prawda? - powiedzial Mero przez zacisniete zebry.

-Albo pojade, albo zostane wyslany do tego... - Valyn zrobil ostrzegawczy gest i Mero ochlonal.

Musial jednak ostrzec Mero wyrazniej. "Nigdy nie wiadomo kiedy ktos moze podslychiwac", pomyslal z calych sil, wiedzac ze Mero bedzie w stanie uslyszec, co on pomyslal. Ten akurat talent ujawnil sie dwa lata temu i Mero doskonalil go cwiczeniami.

Mero skinal glowa.

-Nie wiem, co rzec, Cieniu. Bede zwlekal w podrozy, ile tylko zdolam - powiedzial Valyn. - Sadze, ze uda mi sie zyskac kilka dni. Powinno wystarczyc ci na dotarcie na miejsce. Jestes przekonany, ze uwierza, iz jestes wojownikiem w trakcie szkolenia?

-Pogodzilem sie juz z tym - rzekl z rezygnacja Mero. Palcami jednak dawal znaki prywatnego kodu, jaki opracowali sobie, a skupiony wyraz twarzy powiedzial Valynowi, ze szukal niedostrzezonych sluchaczy. "Uwierza we wszystko, co napisales w tym liscie.

Poza tym, widzialem kilku zabojcow twojego ojca; nie sa wieksi ode mnie. Nie martw sie o to, czy ich przekonam. Martw sie tylko, zeby dac mi kilka dni na to, by poczuli sie zmeczeni i zdenerwowani moja obecnościa. Bede potrzebował dość czasu, zeby przekonac ich, ze woleliby raczej pozbyc sie mnie, i to w sposob nie az tak dokuczliwy, zeby dostac nastepne lanie". - Zal mi, ze odchodzisz. - Bylo to dosc szczere. Valyn martwil sie o Cienia. Setki rzeczy mogly przytrafic mu sie po drodze. Istniala mozliwosc, ze zemdleje i spadnie z konia. Nie byl jeszcze w tak dobrym stanie, by jechac konno, a co dopiero jechac tak forsownie, jak bedzie zmuszony.

-Nie jestem za bardzo uszczesliwiony wyjazdem. Przekazales mi jednak polecenia lorda Dyrana. Uwazam, ze lepiej miec to juz za soba. Trzeba rozpoczac od zrobienia dobrego wrazenia posluszenstwem. Moze to zrownowazy slady chlosty, ktore nosze.

Taka historyjke wymyslil Valyn, zeby wyjasnic znikniecie Mero. Przyjal w dobrej wierze rozkazy swego ojca, jak kazdy posluszny syn powinien, i wyslal Mero natychmiast w droge.

Jesli Mero nie dotrze do celu, moze zostanie wyslany za nim poscig - a moze nie.

Znajda konia - bez jezdzca, ale z nie naruszonymi jukami. Zaloza, ze Mero rzeczywiscie stracil przytomnosc i spadl z konia. Nikt nie pomysli, ze niewolnik moze zbiec, zostawiajac tak cenna wlasnosc, jak konia, jesli zamierzal uciekac. Chociaz wlosci byly patrolowane, zawsze trzeba bylo brac pod uwage dzikie zwierzeta, najazd dzikich ludzi lub wrogich elfich wladcow, oraz stada zdziczalych psow. Jesli cialo nie zostanie natychmiast odnalezione, nikt sie specjalnie nie przejmie. Jeden niewolnik wiecej, czy mniej, nie mial wplywu na funkcjonowanie majatku, szczegolnie jesli tym niewolnikiem mial sie okazac Mero.

I to bylby koniec problemu, jesli chodzilo o Dyrana. Prawdopodobnie nawet ulzy mu, jesli w ogole pomysli o tym zniknieciu.

W rzeczywistosci Mero mial pojechać droga, która rano ruszy Valyn. On wycisnie z siebie i konia resztki sil, podczas gdy Valyn bedzie sie ociagal. Kiedy dotrze do dworu starego pana Ceinaora, elfiego nadzorcy jednego z olbrzymich gospodarstw Dyрана, porzuci konia i zamelduje sie u nadzorcy pana z listem napisanym przez Valyna, lecz zaopatrzonym w pieczec Dyрана. Przedstawial on Mero jako mlodego zaboijce i gladiatora, ktorego przyslano tu, by wyleczyl sie z ran. Pan Ceinaor nie bedzie wiedzial, co ma o tym sadzic; Dyran nigdy przedtem nie przysylal ludzi na rekonwalescencje do jego gospodarstwa - lecz Dyran byl nieobliczalny. Moze wyprobowuje wiernosc swego wasala, chcac zobaczyc, czy Ceinaor usluCHA doprawdy osobliwego rozkazu. Czlowiek ten mogl zostac przyslany jako pogrozka. Czlowiek ten moze byc szpiegiem. Albo moze wracac do zdrowia po nieudanym, lub czesciowo udanym zamachu na czyjegos podwladnego, a Dyran uznal, ze powinno sie to odbywac w tajemnicy.

Zblizywszy sie do majatku, Valyn uzyje swojej mocy... i znajomosci ziol, ktorej nabył od Delii - zeby pilnujacy go sluzacy tragicznie rozchorowal sie. Kiedy dotrze juz do dworu, ujrzy Mero i zarekwiruje go sobie na miejsce swego chorego sluzacego.

Plan byl w polowie Valyna, a w polowie Mero. To Valyn wpadl na pomysl, zeby zastapic swego sluzacego Mero w jakims miejscu, gdzie mlodzieniec nie byl znany. Mero wymyslil, w jaki sposob tego dokonac. "Wiesz, moglbys byc naprawde niebezpieczny, gdyby tylko dac ci szanse" - pomyslal Valyn, pomagajac przyjacielowi ubrac sie w liberie. "To przychodzi z doswiadczeniem, Valynie" - odparl Mero gestem dloni. "Zawdzieczam to praktyce i faktowi, ze nie pozwoliles, bym zostal uwarunkowany jak pozostali. Potrafie myslec za siebie. Wiekszosc ludzi jest pozbawiona tego luksusu." Valyn nie odpowiedzial na to; doprawdy niewiele moglbys powiedziec. Po prostu wygladzil tunike Mero i odszedl o krok.

-Wez - powiedzial, podajac Mero pozornie jeden list, lecz w rzeczywistosci dwa.

Drugi byl adresowany do pana Ceinaora, pierwszy do sluzby stajennej. Pierwszy mial podpis Valyna, na drugim widniala pieczec Dyрана. Valyn posiadal pol tuzina pustych kartek, juz z pieczeciami, trzymany na wszelki wypadek. - Zanies go do stajni, a dadza ci

konia. Powodzenia, Cieniu. Bede za toba tesknil.

Mero wziął obie kartki i schował je do kieszeni. - Życz mi, żeby nikt inny nie zatesknął za mną - powiedział zartobliwie, aż Valyn skrzywił się. A potem dodał: - Nikt nas nie obserwuje, nawet magicznymi środkami. Sprawdziłem. Twój czcigodny ojciec dostaje właśnie kociokwiku w objeciach przeslicznej i utalentowanej Katriny. Jest zbyt zajęty, żeby przejmować się takimi drobiazgami, jak my.

Valyn znów się skrzywił, a potem zaczerwienił. Najnowsza ulubiona nałożnica ojca była raczej egzotyczna. I kompletnie bezwstydna. Nawet jemu złożyła propozycje, i to taka, która wprowadziła go w zaszewienie. Nie mógł powiedzieć, że brak mu było doświadczenia z kobietami, ale to... Nie chodziło o to, co powiedziała, ale w jaki sposób!

I co robiła, mówiąc o tym! Bieć to, czego bardzo pragnął od chwili, gdy się na to zdecydowali. Wyciągnął ramiona i - ostrożnie - uściiskał swego stryjecznego brata.

-Uważaj na siebie, braciszku - powiedział głosem nieco zachrypniętym.

-Chciałbym ujrzeć twą paskudną twarz wśród sług starego Ceinaora i zobaczyć, jak spoglądasz na mnie spośród łbów.

Mero odplacił mu z nawiązką, serdecznie go obejmując. - Będzie tam - rzekł zalamującym się z wrażenia głosem. - Nie pozbedziesz się mnie tak łatwo.

Wypuścił z objętych ramion Valyna i poszedł sztywno do drzwi. - Niech szczęście dopisuje nam obu, bracie - zawołał za nim cicho Valyn, nie wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

Mero odwrócił się i wyszczerzył w krzywym uśmiechu. - Szczęście i pomysły wiatry dla mnie! A dla ciebie wiatr w oczy! - Powiedziawszy to, znikł.

Zatrzasnęły się za nim drzwi. Drzwi i ściana były tak świetnie wykonane, że Valyn nawet nie słyszał kroków Mero idącego ku schodom.

Nigdy przedtem nie czuł takiej pustki w swych komnatach. Nigdy nie było dźwięku takiej pustki. Przez ostatnie kilka lat Valyn zawsze przebywał w czyimś towarzystwie - zazwyczaj Mero. Nawet w czasie starannie nadzorowanych wypraw do haremu. Był przecież dziedzicem; kwestia jego bezpieczeństwa była sprawą najważniejszą dla służby Dyrana, która wiedziała, że jeśli cokolwiek mu się przydarzy, wszyscy zapłacą za to życiem. Teraz po raz pierwszy został zupełnie sam.

Valyn opanował odruch, by pójść za swym "braciszkiem" i wrócił do własnego pokoju, żeby się spakować. Potem udał się do łóżka, ale budził się za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że coś słyszy, a potem leżał nieskonczenie długo, jak mu się wydawało, wbijając wzrok w niewidzialny sufit, dopóki znów nie zasnął.

Chciałbym móc okazać mu naprawdę, jak bardzo go kocham, pomyślał, dopiero teraz żalując wszystkich rzeczy, jakich nie powiedział przez wszystkie te lata. Nie potrafię, nie wiem jak. Przez całe życie byłem karany za każdym razem, gdy okazywałem uczucia, a teraz - teraz nic już nie ma. Czuje, lecz nic nie przedostaje się na powierzchnię. Nie płakałem od czasu, gdy miałem dwa lata... nie śmieje się też zbyt często. Po prostu - nic we mnie nie ma. Jakby to, co jest wewnątrz i to, co na zewnątrz, należało do dwóch różnych ludzi.

Przelknął ślinę i obrócił się na bok. Miał suche oczy. Mam nadzieję, że on rozumie, o jak wielu rzeczach mu nie mówię. Mam nadzieję. A jeśli nie powiesz się... jeśli coś mu się stanie...

Do switu było bardzo daleko.

Shana utrzymywała stan transu jedynie siłą woli. Patrzyła przez oczy kogoś innego, utalentowanego czarodziejsko dziecka, którego obowiązkiem było nadzorowanie wyżywienia pozostałych w pomieszczeniach dla niewolników. Nie chciała temu się przyglądać, a jednak nie mogła oderwać oczu. W tej zagrodzie znajdowała się młoda kobieta, jeszcze prawie dziecko, tak przypominająca Meg, że Shana zadrzała na jej widok. Śledziła życie tej dziewczynki przez większość popołudnia, gromadząc informacje przez uszy młodego czarodzieja i podsłuchując rozmowy strażników.

Dziewczynka kulila się w kacie zagrody dla niewolników. Była zwykłym ludzkim dzieckiem, nie obdarzonym mocą czarodziejów. Po prostu miała to nieszczęście, iż zawiodła nadzieję, jakie wzbudziła jej wczesna uroda. W wieku lat szesciu była zdumiewająco piękna, mając lat dwanaście zaledwie słiczna. A w wieku czternastu lat, w połowie szkolenia na nalożnice, zaczęła nagle gwałtownie rosnąć. Rysy pogrubily jej się, kończyny wydłużyły. Teraz była zaledwie atrakcyjna.

Na konkubinę to już nie wystarczało. Konkubina musiała być nieziemsko piękna. Lagodnie wychowywana dziewczynkę, na którą nigdy nawet nie podnoszono głosu w złości, a co dopiero rekę, wysłano do ogólnych baraków jako materiał rozplodowy.

Strażnicy, którzy rzadko widywali dziewczyny tak niezepsute i atrakcyjne jak ona, zakładali się o to, komu jako pierwszemu ona przypadnie. Jednakże w czasie, gdy Shana przyglądała się wszystkiemu potajemnie przez oczy swojego nosiciela, decyzja przestała należeć do nich.

Do pomieszczenia wszedł mężczyzna, którego pamiętała aż nazbyt dobrze; wysoki, jasnowłosy, o okrutnych oczach. Strażnicy też zdawali się znać go. Przerwali rozmowę i powoli cofnęli się przed nim. Nosiciel Shany zamarł w miejscu, lecz nie po tego chłopca przyszedł koszmar z przeszłości Shany...

Mężczyzna chłodno rozejrzał się po pomieszczeniu i jego spojrzenie spoczęło na

dziewczyne. Wskazał na nią.

-Ta - powiedział, uśmiechając się blade. - Weźme te.

Jeden ze strażników zrobił ruch, jakby chciał zaprotestować, lecz jedno spojrzenie jasnowłosego mężczyzny sprawiło, że znieruchomiał. Strażnik wzruszył ramionami i odwrócił się. Jeden z pozostałych strażników przepchnął się przez resztę oczekujących niewolników, chwycił dziewczynę za ramię i szarpnięciem postawił na nogi. Nie chciał na nią patrzeć, po prostu pociągnął ją za sobą na drugi koniec pokoju i pchnął w ramiona blondyna.

Dziewczyna spojrzała w twarz temu, który ją trzymał i zbladła na widok tego, co tam ujrzała lub wyczuła.

Jasnowłosego mężczyzna rozesmiał się i na oczach zdrewniał z przerażenia Shana naciągnął dziwną, nabijaną kolcami rekawicę i uderzył nią dziewczynę w twarz, przewracając ją na ziemię. Kiedy dziewczyna padała, Shana dostrzegła na jej twarzy kilka płytek, równoległych rozcięć, z których płynęła krew.

Mężczyzna spojrzał na pozostałych niewolników. - Ktoś tu jest macicielem - oświadczył obojętnym tonem. - Taki los czeka wszystkich macieli.

Potem postawił dziewczynę na nogi i zaczął ją bić, zaczynając od twarzy... Tak samo, jak Meg...

Shana umknęła z umysłu swego nosiciela, przysięgając przez łzy, że ostatni raz beczynn timer przyglądała się jak elfi władcy, albo ich słudzy znow drecza i mordują. Ktoregos dnia - już wkrótce - będzie dość potężna, żeby poradzić sobie z nimi.

A czarodzieje już podjęli decyzje w tej sprawie.

Shana miała ochotę wyc z bezsilnej złości. Poprosiła nauczyciela o prywatną rozmowę, lecz rozmowa potoczyła się źle, a nawet dużo, dużo gorzej, niż mogła spodziewać się.

Zacisnęła dłonie na poręczach fotela i spróbowała jeszcze raz.

-Musimy coś zrobić - powiedziała uważnie. - Mówiłam ci, jak tam jest; powiedziałam, że według mnie elfowie są zbyt zajęci skakaniem sobie do gardła, żeby zauważyć nas, jeśli nie będziemy się wtracać w zbyt widoczny sposób. Mistrzu, tam każdego dnia mordują ludzi, dobrych ludzi! Nie możemy tak po prostu siedzieć i pozwalać na to!

Denelor potrząsnął głową. - To niemożliwe, Shano - rzekł. - Po prostu nie możemy nic zrobić. Ludzie będą musieli radzić sobie jak potrafią, tak jak zawsze. Jeśli chcą wolności, będą musieli nauczyć się sami walczyć.

Racja. Niewolnicy mają walczyć sami, kiedy nałożono im obrozę i oduczono nawet

samodzielnego myślenia! - Ale dlaczego my nic nie robimy? - krzyknęła buntowniczo Shana. - Nigdy nie było nas zbyt wielu, z wyjątkiem czasów przed wojną czarodziejów! Nie musimy wywoływać kolejnej wojny, ale moglibyśmy przynajmniej zrobić coś, zamiast chować się jak wystraszone myszy!

Denlor poczerwieniał trochę i odwrócił głowę. - Shano, ty po prostu nie rozumiesz! Sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje. Zbyt wiele czynników trzeba wziąć pod uwagę. Co dobrego wyniknie z tego, że pomożemy garstce polelfów, albo ludzi, jeśli tym samym zdradzimy miejsce naszego pobytu? Ciekawe, co byś powiedziała, gdyby elfowie odkryli cytadela? Dokąd byś poszła? Z powrotem na pustynię?

-Dlaczego mielibyśmy odnaleźć cytadela? Przedtem tak się nie stało - zauważyła Shana, wciąż zaciskając dłonie na poręczach fotela i potrząsając włosami w oburzeniu. - A było to przecież w samym środku wojny czarodziejów, kiedy elfowie wiedzieli, kim jesteśmy i co potrafimy! Nawet Dyran nie wie o naszym istnieniu i ty o tym wiesz!

Dlaczego miałoby się to stać teraz? Nasze szeregi są teraz dużo bardziej zwarte, bo nikt nie chce ryzykować kolejnego rozłamu, jak ten, przez który przegraliśmy wojnę! Co cię skłania do przypuszczeń, że coś podobnego może się wydarzyć?

-Ponieważ, ponieważ może... - Denlorowi zabrakło słów. - Cytadela nie jest niewidzialna, wiesz o tym. Możemy zostać wykryci, gdyby tylko elfowie wiedzieli, czego mają szukać. Jest to dwukrotnie bardziej prawdopodobne, jeśli zaczniemy pomagać ludziom.

-Nie rozumiem dlaczego... - zaczęła Shana.

-Czy sądzisz - przerwał jej - że wszyscy przywitają nas z otwartymi ramionami i przyjmą wolność z wdzięcznością? Jeśli tak, to żyjesz w świecie marzeń, moje dziecko.

Opadł na oparcie swego fotela, odzyskawszy pewność siebie, a Shana wyczuliła, że przewaga wymyka jej się z rąk.

-Pozwól, że cię oświecę. Większość ludzi znajdujących się tam nawet nie myśli o sobie jako o niewolnikach, ponieważ nie uważa się za niewolników. Elfi panowie uwarunkowują ich tak, by byli posłuszni i traktowali innych ludzi za wrogów, rywali. To nie elfi władcy budzą ich niepokój, lecz nadzorca, który najprawdopodobniej jest człowiekiem, oraz ludzie, którzy pracują obok nich. Polowa z nich nigdy nie widziała żadnego z panów i nieszczególnie obchodzi ich to, czy kiedykolwiek kogoś zobaczą. Obchodzi ich natomiast to, jakby zagarnąć pracę nadzorca... i jego przywileje. Interesuje ich tylko najbliższa przyszłość.

Uśmiechnął się w afektowany sposób, a Shana zaczerwieniła się ze złości.

-Taka jest różnica między nami i nimi, dziecko - stwierdził banalnie. - Nie sięgają wzrokiem poza swój nos, ku odległym horyzontom. Jeśli zagroźmy odebraniem im tych małych przywilejów, na które tak ciężko pracowali, a damy im tylko wątpliwą wolność w zamian,

nie podziękują nam za to. Dla nich wolność to: aby przymierać głodem, dygotać na chłodzie, utracić pewność regularnych posiłków i gwarantowanego schronienia, oraz pewnych nagród, jeśli będą potulni i będą robić to, co im się kaze. To oni właśnie zdradziliby nas, ci sami ludzie, którym chcesz pomóc - bowiem nie dalibyśmy im niczego, czego pragną, czy potrzebują. Bylibyśmy wrogami, ponieważ zagrazalibyśmy ich sposobowi życia.

On tak sobie tylko mówi, pomyślała Shana nieco pogardliwie. Jej też nie byli za bardzo potrzebni ludzie, ale nie oni stanowili problem. Problemem byli elfowie. To elfowie wydawali rozkazy, ludzie tylko byli posłuszni. Nie mogła zrozumieć, dlaczego czarodzieje chowali się za murami cytadeli - tak jak powiedziała, jak wystraszone myszy.

Nie było powodu, dla którego nie mogliby pomagać ludziom potajemnie - albo ratować dużo więcej polelfich niemowląt i dzieci, niż teraz. Większość dzieci mieszanej krwi było rezultatem związków z przypadkowo płodnymi nalożnicami, lub kobietami zarodowymi i większość z nich wyeliminowano natychmiast po urodzeniu. Podstawienie czarodziejów zamiast akuserek nie wymagałoby dużego wysiłku, podobnie jak podmienienie żywego dziecka na złudzenie martwego.

Poszła do swego nauczyciela z propozycją zrobienia czegoś z sensem w świecie na zewnątrz jaskini; żeby czynnie pomóc znajdującym się tam polelfom - i interweniować także na rzecz ludzi obdarzonych czarodziejskimi zdolnościami. Zbyt wyraźnie pamiętała, co się działo w pomieszczeniach dla niewolników, szczególnie w długie, bezsenne noce.

Denel w czasie rozmów z uczniami sprawiał wrażenie współczującego, lecz po tej rozmowie Shana przekonała się, że nie różni się od innych starszych czarodziejów.

Bedzie działać tylko dopóki nie narazi go to na żadne niebezpieczeństwo. W chwili, gdy zaistnieje najmniejsze choćby prawdopodobieństwo, że jego działalność może poinformować elfów o ponownym istnieniu czarodziejów - a tym samym zagrozić jego wygodnemu życiu - będzie tylko się przyglądał i nic nie robi. Zupełnie jak ludzie, o których tak pogardliwie myślał. Nie należał jednak do najgorszych w swoim typie spośród obecnych tutaj...

Denel zakończył swój wykład i przyjrzał jej się wyczekująco. Potrząsnęła głową i spróbowała jeszcze raz. - Tak nie można, mistrzu - powiedziała uparcie, ludząc się nadzieją, że ta ostatnia prośba skłoni go do zastanowienia się nad jej argumentami.

-Po prostu tak nie można. My mamy moc; czyż nie oznacza to, że również spoczywa na nas odpowiedzialność? Wobec kogo jesteśmy odpowiedzialni, jeśli nie wobec tych, którzy są bezradni?

-Jesteśmy odpowiedzialni przede wszystkim wobec siebie, Shano - odrzekł po chwili wahania. - Nie możemy niczego uczynić, jeśli będziemy obleżeni przez elfów.

Pomyśl o wszystkich polelfach, którym nie będziemy mogli pomóc, jeśli władcy dowiedzą

sie o naszym istnieniu. "Pomysl o wszystkich tych, ktorym teraz nie pomagasz, poniewaz sie boisz", odpowiedziala Shana, lecz tylko w myslach i za bardzo silna oslona.

-Robimy co mozemy, lecz aby to czynic, musimy istniec - powiedzial tonem konczacym dyskusje. - Wiem, ze trudno sie z tym pogodzic, ale fakt, ze tak nie mozna postupowac, nie czyni go przez to mniej prawdziwym. - Przerwal na chwile, a potem wreszcie znowu spojrzal na nia, tym razem z zatroskaniem. - Shano, mam nadzieje, ze nie mowilas o tym nikomu. Prawdopodobnie nie powinienem tego mowic, ale niektorzy ze starszych czarodziejow czuja sie... hm, zaniepokojeni twoja osoba. Jestem przekonany, ze nie jest dla ciebie niespodzianka fakt, ze posiadasz spora moc. Zaskakiwalas mnie nia, i to czesciej niz chcialbym przyznac. Niektorzy z moich kolegow po fachu obawiaja sie tej mocy. Niektorzy z nich nie ufaja ci; sadza, ze mozesz byc szpiegiem elfich wladcow. Wiekszosc z nich nie moze zrozumiec, w jaki sposob dziecko tak male jak ty, bez formalnego wykształcenia, moglo osiagnac taka potege i sprawnosć, jaka ty posiadasz. - Teraz zmierzyl ja wzrokiem, jakby sam cos podejrzewal. - Sa tacy, ktorzy uwazaja, ze podstawili cie elfi panowie, albo ze mozesz nawet byc pelnej krwi elfem.

Shana rozwarla oczy i powiedziala na swoja obrone: - Mowilam przeciez, ze musialam sama sie nauczyc wszystkiego tylko po to, zeby przezyc! Czy sadzisz, ze zycie na srodku pustyni jest latwe? Poza tym mam zdolnosci psychiczne i ty wiesz o tym. To ty mnie szkoliles. Nikt pelnej krwi elfiej nie ma zdolnosci psychicznych, a ja mam.

-To prawda - przyznal Denelor, nieco uspokoiony. - A tych nie mozna nasladowac magia. Niemniej jednak, wciaz mozesz byc szpiegiem, mieszancem wychowanym i wyszkolonym przez elfow w celu przenikniecia w nasze szeregi.

Shana sciagnela brwi. - Jak moge byc szpiegiem, skoro elfowie nie wiedza o naszym istnieniu? Poza tym, probuje naklonic wszystkich do zrobienia czegos w sprawie elfow, do walki z nimi, a gdybym byla przez nich podstawiona, dlaczego mialabym to robic?

Denelor pokrecil glowa. - Dziecko, wlasnie dokladnie to wzbudziloby w nich jeszcze wieksze podejrzenia. Skad elfowie dowiedzieliby sie, gdzie jestesmy, jesli nie zaatakujemy, lub nawet nie rozpoczniemy aktywniejszej dzialalnosci skierowanej przeciw nim, w czasie gdy sa przygotowani na szukanie zrodla owej aktywnosci? Prosze, Shano, uwazaj bardziej na to, co mowisz. Wytracasz ludzi z rownowagi, a to odbiera im jasnosć myslenia.

Shana westchnela i poddala sie, uwazajac sprawe za przegrana. Zgodzila sie na zachowanie wiekszej ostroznosci, wypila z mistrzem filizanke herbaty, a potem opuscila jego komnate.

Coz, tak to wyglada. Skrzywila sie i wyruszyła przez korytarze do swojego pokoju.

Jesli Denelor nie poprze jej, nie ma szansy przekonac innych starszych czarodziejow.

Miala kilku sprzymierzencow wsrod uczniow, a takze nieliczni mlodsi czarodzieje, tacy jak

Zed, zgadzali się z nią. Jednakże ogólnie rzecz biorąc sprawa Shany wyglądała zdecydowanie beznadziejnie.

Wepchnęła dłoń do kieszeni i zgarbiwszy się szła do swego pokoju. Korytarze były przeważnie puste. O tej porze dnia ludzie przeważnie bawili się przed kolacją. Ci, którzy byli naprawdę potężni, chcieli upodobnić się do elfów najbardziej, jak było to możliwe, pomyślała cynicznie. To ich wygodne życie, te kregi towarzyskie, małe intrygi - czynili wszystko za pomocą magii, zamiast rekoma niewolników i na mniejszą skalę, lecz tylko na tym im zależało. Łącznie z manipulowaniem ludźmi, którym nie chciało się myśleć za siebie. Dlatego wytracała ich z równowagi, ponieważ bali się, że ja nie można pokierować, i że ma taka moc... moc, jaka chcieliby władać.

Przyglądała się i nasłuchiwała. Kilka dni spędzonych w pomieszczeniach dla niewolników nauczyło ją wiele w tej dziedzinie i dostrzegła już mechanizmy życia w cytadeli. Życie w cytadeli przypominało życie w jednym z wielkich dworów elfów. Na szczycie znajdował się Parth Agon, główny czarodziej - najsilniejszy, a nie najstarszy - któremu podobala się obecna sytuacja i który nie życzył sobie, by mu burzył jego małe królestwo. Pod nim znajdowali się czarodzieje, którzy mieli takie same poglądy jak ci na najwyższych stanowiskach. A poniżej, na samym dole, byli ci, którzy może nie podzielali ich opinii - ale nie widzieli powodu, żeby narazić się.

Tuż przed spotkaniem podzieliła się tymi spostrzeżeniami z Zedem, który tylko wzruszył ramionami. - Wielu tutaj ludzi wymknęło się śmierci w ostatnim momencie - zauważył. - Może nie chcą być zmuszeni do tego, by żyć każdego dnia w strachu.

-Ja też nie chcę! - krzyknęła. - Ale nie mam zamiaru pozwolić na to, by odwiodło mnie to od postąpienia w sposób, który uważam za słuszny!

-Powtórzysz mi to, kiedy będziesz miała za plecami pościg - odrzekł Zed, a potem odszedł lekkim krokiem i znikł w labiryncie korytarzy. Zed miał do tego talent; jeśli nie chciał, aby go znaleźiono, potrafił zniknąć tak doskonale, jak Ojciec Smok...

Szukała go przez całą drogę do pokoi uczniów, ale bez większego przekonania. Nie zobaczyła go, co oznaczało, że prawdopodobnie wciąż nie miał ochoty na towarzystwo. Ogarnięta chwilowo poczuciem odrazy do nich wszystkich, Shana również nie była pewna, czy ma ochotę widzieć się z nim. Mimo to, kiedy dotarła do swej komnaty po rozmowie z Denelorem, pomieszczenie wydało jej się wyjątkowo ciasne. Zateskniła za widokiem nieba, bezlistnego drzewa zimą, czegokolwiek, co nie znajdowało się wewnątrz murów cytadeli. Zastanawiała się, czyby nie zwolnić kilku ze swej własnej grupki popleczników, tych, których uczyła tego, co odkryła na temat mocy klejnotów - lecz za bardzo przypominało jej to zabawy w manipulowanie ludźmi, w jakie bawili się starsi czarodzieje. Zamiast tego zamknęła drzwi i zaczęła niespokojnie krzątać po przytłaczającym ją pokoju. Nie zwiększył się od jej chodzenia.

-Chce cos zrobic! - powiedziala do czterech scian, nie przerywajac chodzenia w te i z powrotem jak zwierz w klatce. - Chce czegos dokonac tam na zewnatrz! Chce robic wiecej niz robi rod...

Mysl ta zaskoczyla ja i sklonila do zawahania sie i zatrzymania. Potarla glowe, a potem usiadla na lozku, zeby zastanowic sie jeszcze troche nad tym pomyslem.

Dlaczego nie mialaby czegos zrobic? Prawdopodobnie potrafilaby, i to zupełnie sama. Nie potrzebowała ich współpracy ani nawet ich pomocy. Mając klejnoty, może rzeczywiście zrobić niemal wszystko. A z pewnością mogła sięgnąć myślami niemal wszędzie.

Była to lekka przesada, lecz klejnoty naprawdę pomagały, dawały jej zasięg i siłę, jakich nie miałaby bez nich. Nie była od nich uzależniona, lecz były cudownie użytecznym narzędziem... co dziwne, najprzydatniejsze były najmniej cenne kamienie. Biorąc pod uwagę fakt, że rod uważał, iż prawda jest dokładnie coś przeciwnego, było to dla niej raczej śmieszne.

Po dłuższych doświadczeniach odkryła pewne prawidłowości. Formy krystaliczne zwiększały moc, a soczewkowate skupiały ją. Z pewnymi konkretnymi rodzajami kamieni pracowało jej się lepiej niż z innymi, ale to co było dobre dla niej, nie musiało koniecznie działać u innych. Jej najbardziej odpowiadały kryształy kwarcu, polszlachetne agaty i bursztyny - drogocenne kamienie jak rubiny i szmaragdy w jej rękach nie przynosiły większego pożytku poza błyszczaniem w świetle.

Prowadziło to do komicznej sytuacji. Nie obawiała się już, że odkryje jej skarbiec.

Nikt nie chciałby tych kamieni, które były dla niej najcenniejsze; rozdwojonej na końcu włóczni z przezroczystego kwarcu, dość pospolitej; nieregularnej kuli z wypolerowanego bursztynu, doskonale przejrzystego, bez zamkniętych w niej nasion czy kawalczków lisici; czy garści rozmaitych kamieni kszycowych. Mając je, nagle poczuła pewność, że potrafilaby sięgnąć poza te mury, wpłynąć na prawdziwy świat poza nimi.

Albo przynajmniej zobaczyć, co się tam dzieje...

Oparła się plecami o ścianę i wzięła kryształową włócznię z kuferka przy łóżku, na którym ją zostawiła. Podsunęła ją w miejsce, gdzie padało na nią światło z magicznej lampy i tułąc ją w dłoni spojrzała w głąb niej, poza odbicia na powierzchni. Kiedy czuła się już gotowa, sięgnęła umysłem tak jak Alara nauczyła ją czynić, gdy uczyła się rozmawiania z myślami - lecz wysłała swe myśli w głąb kryształu, a nie na poszukiwanie konkretnej osoby.

Teraz zamknęła oczy i pograżyła swój umysł w kompletnej ciszy, rozpoznając i wykluczając wszystkie myśli najbliższej jej. Nie było ich wiele; większość czarodziejów wolało cały czas przebywać pod osłoną tarcz myślowych. Choć początkowo nie rozumiała tego, teraz wydawało jej się to rozsądnym środkiem ostrożności i gestem uprzejmości w sytuacji, gdy tyłu dookoła mogło usłyszeć twoje myśli - a niektórzy nie potrafili jeszcze zamknąć się przed

nimi.

Przesunęła swoją jazn na zewnątrz cytadeli, do lasu, w poszukiwaniu punktu, z którego mogłaby się rozejrzeć. Jej umysł rozposcierał się jak delikatna sieć, w którą łapała zablakane myśli.

Po chwili znalazła, co chciała; pochwyciła myśl, uczepiła jej się i spoglądała już przez oczy chytrego gorskiego kota, który czaił się przy ścieżce zwierzyny.

Patrzyła z niemym zachwytem. W okolicy leżała zima, padało trochę śniegu, lecz niewiele - podobna ilość deszczu spadała tam latem. Keman był na wyznach, gdzie było więcej śniegu, ale on potrafił latać, a ona nie. Ona sama nie opuszczała cytadeli od czasu swego przybycia do niej.

Nigdy przedtem nie widziała tyle śniegu. Ziemia była biała, pokryta śniegiem tak daleko, jak kot mógł sięgnąć wzrokiem. Kot przycupnął na grubym konarze jakiegoś zimozielonego drzewa, którego górne gałęzie tak uginały się pod ciężarem śniegu, że zasłaniały te, która wybrał kot, tworząc naprawdę świetną kryjówkę.

Powstrzymała swe podniecenie, żeby nie spłoszyć swego tymczasowego nosiciela, lecz ogarnęła ją zrozumiałe uczucie triumfu. Wysunęła się poza cytadela i po raz pierwszy nawiązała kontakt z umysłem istoty, o której istnieniu w tym miejscu przedtem nie wiedziała.

Następny skok - dalej...

Wysunęła się z kota i znowu sięgnęła na zewnątrz; nasłuchiwała innych myśli - i pochwyciła pierwsze, na jakie natrafiła.

Tym razem stwierdziła, że spogląda na świat oczami elfa.

Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Dłonie, na które patrzyła, były długie, smukłe i równie blade, co jej kamienie księżycowe. Elfowie widzieli świat nieco inaczej niż ludzie; wszystko co żyło, miało migoczącą otoczkę, jakby powietrze drzące z upału.

Martwe przedmioty były jej pozbawione. Jakby tego nie było dość, obok niej siedziała elfia dama o manierach nauczycielki i obserwowała każdy jej ruch.

Znalezienie się w umyśle elfa było takim zaskoczeniem dla niej, że niemal zgubiła myśli elfiego władcy - a raczej elfiej damy. Szybko opanowała się i zaczęła rozglądać się po otoczeniu.

To była dziewczyna, nie kobieta. Taki był jej pierwszy wniosek. Dziewczyna w wieku zbliżonym do jej własnego. Odziana była w połyskliwe jedwabie w kolorze opalizującej zieleni i poruszała się z wyszukany wdziękiem, ćwicząc ten rodzaj ruchu, który Shana zawsze uważała za naturalny dla elfów.

Jej nosicielka zajmowała się rzeźbieniem kwiatów - termin ten Shana zaczerpnęła z pamięci dziewczyny. Nie układaniem - to było coś innego, coś, co dziewczyna zostawiała niewolnicom. Dziewczyna... Znała już imię dziewczyny i była tego tak pewna, jak swego własnego imienia. Sheyrena an Treves.

A więc Sheyrena delikatnie kształtowała płatki żywego kwiatu znajdującego się przed nią. Rozdmuchiwała je, delikatnie przetwarzając magią ich kształt i czyniąc płatki cieńszymi, tak że zmieniały się w cieniutkie jak pajęczyna barwne siateczki. Ukończyła pracę nad dwoma z czterech płatków czegoś, co kiedyś było zwykłym makiem. Teraz wyglądał, jakby zrobiono go z jedwabiu, z przejrzystego, ciemnoczerwonego jedwabiu, który układał się wokół ciemnego środka w staranne fałdy. Na oczach Shany skończyła trzeci płatek i zaczęła czwarty.

Shana starannie wszystko obserwowała. Nie miała pojęcia, że coś takiego było możliwe. Poza tym było to absurdalnie proste. Już miała kilka pomysłów, jak inaczej można by wykorzystać to zaklecie manipulacyjne.

Kiedy dziewczyna skończyła, zwróciła się do matki, aby ją pochwaliła. Jej twarz miała starannie wyuczony wyraz spokoju. Żadna elfia dama nie może wydawać się inną niż doskonała i doskonale opanowana. Shana pochwyciła tę myśl w chwili, gdy dziewczyna starała wyrazić nadzieję ze swej twarzy.

Biedactwo... Przez chwilę Shanie szczerze było jej żal. - Bardzo dobrze, kochanie - powiedziała Viridina an Treves, kiwając głową powoli i z wdziękiem. Wyraz jej twarzy przesyłał maskę doskonałego spokoju ducha, którą jej córka z takim wysiłkiem starała się naśladować. Reszta jej osoby była równie nieskazitelna. Viridina nosiła srebrną suknię tak swobodnie, że wydawało się, iż stanowi ona nieodłączną jej część.

Bładozłote włosy elfiej damy ułożono nad jednym uchem w wyrafinowaną falę. Było to w równym stopniu dziełem sztuki rzeźbiarskiej, co kwiat, który właśnie przetworzyła jej córka, z tą tylko różnicą, że nie wiadomo było, ile czasu poświęcono na jego wykonanie.

Jej córka pozwoliła sobie na uśmiech akceptujący komplement matki. Viridina odpowiedziała uśmiechem pochwalającym postępowanie córki.

Bardzo młodej córki. Shana gwałtownie zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, oceniając jej wiek. Umysł, jaki dotknęła, należał do dziecka, które miało nie więcej niż dziesięć czy dwanaście lat. To dziecko miało moc - właśnie to ją zwiódło...

Nie, wcale nie to. To dziecko było opanowane. Dysponowało w rzeczywistości bardzo niewielką mocą, lecz nad tą, którą posiadało, miało absolutną kontrolę. A jedyne, do czego może jej użyć, to manipulowanie drobnymi przedmiotami...

Jej zaklęcia zawsze będą należały do kategorii drobiazgów, jak rzeźbienie kwiatów, tkanie wody, albo układanie kompozycji ze światełek - Shana ujrzała to we wspomnieniach jej

lekcji i tego, co potrafiła jej matka. Jej ojciec potrafił dużo więcej; całkiem dobrze radził sobie ze złudzeniami. Jednakże Viridina i jej córka umiały użyć swej mizernej mocy tylko do takich zaklęć, które były dekoracyjne...

Albo do zatrzymania czyjś serca, podszeptając szczerze umysł Shany, wyczuwszy, że dziewczynka uważa siebie za coś gorszego od mężczyzn swojej rasy. Małe rzeczy niekoniecznie muszą być nieważne. Powiedz jej. Pokaż jej.

Odpędziła te pokusy. Nawet jeśli uważa się za gorszą, wciąż należy do rasy elfów, wciąż jest jednym z władców. Gdyby jednak dziewczynka była człowiekiem i była poza tym bezbronna...

Cos, czego przedtem świadomie nie zauważyła, zaniepokoiło inną część jej umysłu. Czyż nie była bezradna, równie bezradna jak niewolnicy? Spójrz na twarz jej matki - i do umysłu jej matki! Shana nie mogła oprzeć się pokusie i ujrzała teraz prawdziwe życie większości panów z elfich klanów.

Rozpieszczano je - jak rozpieszcza się rasowa klacz hodowlana. Chroniono je - jak cenny klejnot. Nie pozwalano na wybór własnego losu, tak samo jak niewolnikom. Nie dawano zupełnie swobody, dopóki nie poczęły i nie urodziły żywego dziecka...

Przyszłość, jaka oczekiwała te dziewczynki była równie ponura, jak przyszłość niewolnicy. Malżeństwo bez miłości z kims, dla kogo stanowi wartość tylko jej potencjalna moc, posag, jaki dostanie od ojca, przymierze, jakie reprezentuje i dziedzic, którego może urodzić. Życie, które spędzi zamknięta w "buduarze", w pokojach dla kobiet, pozbawiona możliwości robienia cegokolwiek, co ma znaczenie. Damy nie powinny męczyć się i rzeczywiście, niewiele z nich cokolwiek robiło. Większość spędzała długie godziny na muzyce, rzeźbieniu kwiatów, lub bawieniu się w podobnie bezsensowne zabawy.

Takie właśnie życie znosiła matka dziewczynki przez ostatnie czterysta lat - i nie widac było końca. Nie kończące się pastelowe pasmo egzystencji, w ciasnym kregu, w bezpieczeństwie. Shana wzdrygnęła się i wycofała nieco.

Dziewczyna wzięła następny kwiat i zaczęła pracę nad nim. Tym razem była to dzika róża. Dotknęła pierwszego płatka i utknęła z niego cienka mgielka bardzo bladego różu.

Shana nie mogła tego już dłużej znieść. Dlaczego nie miałyby przynajmniej zasugerować, co mogłyby zrobić. To przecież nie mogło zaszkodzić? Któregoś dnia może jej się przydać. Gdyby miała dość odwagi, by skorzystać z informacji... Dlaczego nie? Jeśli dziewczynka jej nie wykorzysta, nic się złego nie stanie, a jeśli użyje - ktoś dostanie to, na co sobie zasłużył. Zasugeruje tylko możliwości.

Pewien rodzaj porywczego upojenia nakazał jej uczynić to, ukryć sugestie głęboko w umyśle dziewczynki: "Jeśli możesz zmienić płatek kwiatu, co jeszcze możesz zmienić?" Dziewczynka zdawała się nie zauważyć, że cokolwiek się wydarzyło. Z pewnością jej matka niczego się

nie domysliła. Nadal tworzyły artystyczne kwiatki i układały je starannie w wyszukane bukiety na wieczorny bankiet, bowiem magicznie uformowane kwiaty były zbyt ważne i delikatne, by je powierzać niewolnikom. Kiedy goście pana Trevesa ujrzały je i dowiedziały się o umiejętnościach jego córki, może padła propozycja małżeństwa...

Shana nie mogła już dłużej tego wytrzymać. Wycofała się z umysłu całkowicie i podryfowała z powrotem do bezpiecznej cytadeli, zanim ktokolwiek zauważył jej ingerencję. Skupiła się i przebudziła ostrożnie z transu, przyspieszając bicie serca i pozwalając na swobodniejszy przepływ krwi w żyłach. Gdy ponownie otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że wie, co skłania smoki do zmieniania swoich kształtów i przybierania postaci ludzi i elfów. To odmienny rodzaj mocy...

I upajające doświadczenie. Dość uzależniające...

Wraz z upływem czasu nabrała wprawy w czytaniu umysłów odległych elfich panów i ich dam. Ludzkie umysły oczywiście nadal były zamknięte przed nią z powodu obroz, jakie nosili niewolnicy. Obroze te mogły funkcjonować, i czyniły to, w sposób uniemożliwiający czytanie w myślach ich posiadaczy, a jednocześnie zatrzymywały rozwijające się zdolności psychiczne. Jednak myśli elfich władców stały otworem przed jej wścibskim umysłem, z czego w pełni korzystała. Shana poznała wszystkich sąsiadów na terytoriach graniczących z dziką krainą, w której znajdowała się cytadela.

Dowiedziała się także, co jeszcze może zrobić przy pomocy magii. Moc nie musiała być przytłaczająca, żeby być skuteczna - coś tak "prostego", jak zdolność rzeźbienia kwiatów elfiej paniątki, może być równie przerazająco skuteczne, jak wezwanie błyskawicy. I dużo mniej męczące.

Kiedy zaczęła nadchodzić wiosna, Shana nabrała zwyczaju poświęcania całego wolnego czasu na obserwowanie oczami innych, przeważnie elfów, tak jak zeszłej jesieni cały czas spędzała na myśkowaniu po korytarzach cytadeli. Cel miała ten sam: wiedza. Teraz wiedziała dość dużo o tym, co potrafili starzy czarodzieje i była na drodze do odtworzenia pewnych ich umiejętności. Nie wiedziała natomiast, do czego są zdolni elfi władcy. Chciała - nie, musiała - wiedzieć, zarówno po to, by wiedzieć, co zrobić, gdy kiedyś się z nimi zetknie, jak i po to, by określić, czy zdoła je sama naśladować. Oto byli jej nauczyciele, wszyscy nauczyciele, jakich mogła potrzebować. Rozpoczęła naukę przez obserwację.

Nawet starsi czarodzieje nie znali niektórych sztuczek, jakich uczyła się od elfich magów - a jeśli je znali, nie pokazywali żadnych z nich swoim uczniom. A co równie ważne jak magia - przynajmniej według Shany - uczyła się tego, jak myślał elfi panowie. Co okazało się niezmiernie podobne do sposobu myślenia starszych czarodziejów...

Shana nakazywała sobie zachowanie cierpliwości. Była jedyną osobą w tej grupie, która przyzwyczajona była do myślenia o klejnotach w kategoriach źródeł magii.

Jasnowlosy, rozczochrany Kyle zmarszczył czoło i spojrzal na karnelian w dłoni. "Słyszała", że bładzi po omacku, próbując użyć kamienia i nic nie osiąga, jakby usiłował ciąć drewno młotkiem.

Popatrzył na nią i strzasnął włosy zasłaniające mu oczy. - Ale co mam zrobić, jeśli nie wydobywam z tego więcej mocy? - spytał nadasy.

Shana westchnęła, a ciemnowłosa Elly przewróciła oczami i wzruszyła ramionami.

Elly, kilka lat młodsza od Kyle, opanowała już podstawy i pracowała nad finezją.

Shana pozwoliła jej wyjaśnić. Może będzie słuchał uważniej kogoś, kogo zna.

-Klejnoty w kształcie soczewki skupiają moc, Kyle - powiedziała Elly powoli i wyraźnie. - To kryształy zwiększają moc. Używasz kamienia o szlifie kaboszonowym; mogłbyś przeciąć aż do przyszłej wiosny i nie uzyskalbyś więcej energii, niż weni włożył.

Ten kamień skoncentruje moc do punktu...

Ktoś zalotnął w drewniane drzwi pokoju, który Shana i jej mały krąg wybrali na miejsce spotkania. Rozmowy ucichły, a Shana drgnęła w poczuciu winy. Nie była jedyną osobą, która podskoczyła. Nie robili właściwie nic złego, lecz żaden ze starszych czarodziejów nie wiedział o ich spotkaniach. Nie zakazano im ich - ale gdyby starsi czarodzieje wiedzieli, mogliby zakazać.

Posługując się zasadą, że o czym władze nie wiedza, tego nie mogą zakazać, Shana dołożyła dużych starań, aby nie dowiedzieli się o lekcjach. Nie widziała przyczyn, dla których miałyby podzielić się wiedzą, jaką zdobywała, z ludźmi, którzy nie mieli zamiaru jej użyć - a przynajmniej nie zamierzali użyć jej w żadnym pożytecznym celu.

Tak więc spotkania odbywały się w jednym z pustych pomieszczeń w labiryncie korytarzy wijących się w głąb żywej skały cytadeli. Jedynymi osobami, które o nim wiedziały, byli jej koledzy uczniowie - i Zed.

-Shano! - To był głos Zeda, stłumiony przez drzwi, lecz rozpoznawalny. - Shano!

To ja! Muszę ci coś powiedzieć! To ważne!

Shana skoczyła na równe nogi i pośpiesznie otworzyła drzwi. Zed wślizgnął się jak tylko rozwarła je trochę i zamknął je za sobą. - Posłuchajcie - powiedział, rozglądając się wokół z osobliwie pełnym przejęcia wyrazem twarzy. - Czy zamierzacie naprawdę zacząć robić coś w sprawie tego, co tam się dzieje na zewnątrz, czy nadal będziecie siedzieć z założonymi rękoma? A może stać was tylko na czczone gadanie, a nie na czynny?

-Czemu pytasz? - zadała pytanie Shana, czując dreszcz podniecenia i wyczekiwania.

-Poniewaz dowiedzialem sie, ze jeden z nadzorcow pana Trevesa ma zamiar zlikwidowac okolo tuzina dzieciakow, dlatego - odparl Zed z gniewem wyczuwalnym w glosie. Po jego twarzy jak cien przebiegl ulotny grymas wscieklosci. - A te kloce, ktore sa tu u wladzy, nie zamierzaja absolutnie nic uczynic, aby ich powstrzymac!

Kyle zbladl; jego samego nieomal zlikwidowano, a uszedl z zyciem tylko dlatego, ze matka przemycila go do lasu i zostawila tam. - Dd... dlaczego nie? - wyjakał. - Juu... juz przedtem interweniowali na ziemiach Trevesa! Ccc... co ich teraz powstrzymuje?

Zed oparl sie o drzwi i zalozyl rece na piersi. Po uprzednich uczuciach zniknal wszelki slad, jakby ich nigdy nie bylo. - Poniewaz - przeciagał gloski - tym razem dzieci sa czystej krwi ludzmi. Maja ludzka magie, dlatego maja byc usuniete. Mistrz Parth nie widzi powodu, dla ktorego mialby pomagac byle ludziom, szczegolnie ze nadzorcy juz zamkneli wszystkie dzieci bez obroz, tak ze trzeba by je porwac sila.

-Mistrz Parth nie jest jedynym wyjsciem, jakie mamy - powiedziala bezceremonialnie Shana, czujac zimny gniew gromadzacy sie tuż pod mostkiem. - Poza tym ja jestem gotowa cos zrobic. - Rozejrzala sie wokol, a w jej oczach malowalo sie wyzwanie. - A reszta was?

-Mozesz na mnie liczyc - odezwal sie natychmiast Kyle, chociaz byl wciaz bladý i wygladal na wystraszzonego nie na zarty.

-I na mnie - dodala Elly w mgnieniu oka po, nim.

Nie bylo klotni ani wahania. Reszta poszla w slady Shany, a decyzje pomocy padaly w odstepach nie dluzszych niz uderzenia serca jedna od drugiej.

-Doskonale - rzekl Zed z zadowoleniem i pochwala w glosie. Odsunal sie od drzwi i przylaczyl do nich. Reszta uczniow spojrzala na niego z wyczekiwaniem.

-Posluchajcie, co sie wydarzy. Nadzorcy nie wiedza naprawde, ktore dzieci maja zdolnosci czarodziejow, wiec zgromadzili wszystkie dzieci z okolicy, ktore nie maja obroz i beda je jutro badac. Ja wiem, ktore to sa, tak samo wszystkie dzieci. Jesli zadzialamy szybko i wspolnie, powinno nam sie udac wydostac z zagrody, zanim nadzorcy stwierdza, ktorych dzieci naprawde szukaja. Wiec na poczatek, czy ktoreś z was widzialo zagrode, w ktorej przetrzymuje sie niewolnikow w posiadlosci Trevesa?

Kyle znal ja, Shana wiedziala o tym. Kyle niemal na pewno ja widzial; byl w niej, zanim zabrala go matka, zeby go podrzucic czarodziejom.

Kyle nie wahal sie. Chwycil kawalek wegla drzewnego i skrawek papieru i zaczal rysowac mape dla pozostalych. Po chwili wszyscy nachylali sie nad rysunkiem, ukladajac i odrzucajac plany.

Shana odwrocila sie do Zeda i ujrzala, ze usmiecha sie od ucha do ucha.

-Zaplanowales to, prawda? - powiedziala oskarzycielskim tonem, szepczac, aby inni nie doslyszeli. - Zrobiles to, wiem, ze to twoja sprawka...

-Nie dokladnie to - przyznal - ale wiedzialem, ze cos podobnego sie wydarzy.

Mam juz dosc sposobu, w jaki Parth odnosi sie do czystej krwi ludzi. Mam dosc tego, ze nie wtraca sie do sytuacji, ktore chocby w najmniejszym stopniu wygladaja na ryzykowne, i mam takie uczucie juz od dawna. A po tym, kiedy zobaczylem, jak postepujesz, mialem nadzieje, ze podbudujesz odwage niektorych uczniow, zebysmy mogli stworzyc grupe do dzialania. Jeden czy dwoch to bez znaczenia, ale grupa juz cos moze.

-Probowalam podbudowac odwage niektorych mistrzow - powiedziala kwasno - ale nic z tego nie wyszlo.

Jedyna odpowiedzia Zeda byla parskaniecie. Potem nachylil sie nad ramionami skulonych uczniow i przyjrzel sie naszkicowanej przez Kyle mapce.

-Dobra... - powiedzial, a wszyscy ucichli tak szybko, ze Shane skrecilo z zazdrosci.

-Posluchajcie, co ja bym zrobil...

Trzaskal ogien, w calym pokoju palily sie wonne swiece, rzucajac cieple swiatlo, ktorego nie mogl zastapic zaden wyczarowany blask. Parth Agon pociagnal lyk skradzonego wina i skrzywil sie nad kielichem. Nie z powodu bukietu wina - ten byl doskonały. Zupelnie co innego zostawilo kwasny smak w jego ustach. Dokladnie rzecz biorac, nowa uczennica, Shana.

Obracal w dloniach kielich, przygladajac sie blyskom swiatla na matowej metalowej powierzchni nie widzac ich nawet naprawde. Shana stanowila problem, najprawdopodobniej wkrótce jeszcze wiekszy. W jakis sposob nauczyla sie zaslaniac swoj umysl nawet przed nim. Jakos zdobyła moc, by utrzymywac te tarcze pomimo wszelkich jego prob przebicia jej. Samo to bylo wystarczajacym powodem do niepokoju. Parth zdobył władze i utrzymywał ja dzieki temu, ze przez caly czas dokladnie wiedzial, co inni mysla.

Shana stanowila niepokojaca biala plame w tej wiedzy. Co wiecej, zaczela uczyc starannie dobrany krag rowiesnikow, jak osiagnac dokladnie to samo. Biala plama rozszerzala sie. Nie byl z tego zadowolony. A w zadnym wypadku nie bylo to jeszcze wszystko...

Ona wywiera zly wplyw, rozmyslal, sciskajac puchar w obu dloniach i garbiac sie w fotelu. Zadaje pytania, na jakie mistrzowie nie chcieliby raczej odpowiadac - a on bardzo zyczylby sobie, zeby tego nie robila. Dlaczego na przyklad czarodzieje pozostaja w ukryciu; dlaczego nigdy nie wtracaja sie, chyba ze nie ma najmniejszych szans, ze zostana wykryci - i dlaczego nie chca pomagac ludziom, nawet tym, ktorzy dysponuja czarodziejскими zdolnościami, jak oni sami. Sugerowala, ze sa tchorzami, leniami, albo jednym i drugim. Zachecala uczniow do tego, by zastanowili sie nad bezposrednim zadzialaniem przeciwko

elfom. Uczniom nie podobały się odpowiedzi, jakich udzielali im mistrzowie. Albo brak tych odpowiedzi. Było całkiem możliwe, że zaczną wkrótce działać samodzielnie.

Ta myśl nieubłaganie prowadziła do następnej: Tracę panowanie.

To była najgorsza myśl ze wszystkich. Zaciśnął dłonie na zimnym metalu pucharu i zazgrzytał zębami ze starannie powstrzymywanej wściekłości. Plomyki świec zamigotały w lekkim przeciągu.

Działała przeciwko niemu. Jednak to tylko dziecko - nie może tego robić na własną rękę. A więc, kto kryje się za nią? Kto w cytadeli może ją tego uczyć? Chyba nie Denelor... to niemożliwe. Ten leniwy duren nie mógł nauczyć jej nawet połowy tego, czego nauczyła się tej zimy.

Lecz jeśli nie był to Denelor, w takim razie, kto?

Przebiegł w myślach całą listę starszych czarodziejów i nie potrafił znaleźć żadnego związku między któryś z nich a Shana. Połowa z nich nawet nie wiedziała o jej istnieniu. Błądzili w swych małych zaswiatach złudzeń, transu i marzeń. A pozostałych nie obchodziło jej istnienie. Odgrywali swoje role w tancu władzy i potęgi we wnętrzu mikrokosmosu cytadeli i ani trochę ich nie obchodził świat zewnętrzny. Żaden z nich nie zgodziłby się na ryzyko powierzenia swego bezcennego bezpieczeństwa w ręce tych nierozważnych dzieci, gdyby tylko wiedzieli, do czego dąży ich uczniowie.

Rozprawienie się z nimi - co w rzeczywistości oznaczało rozprawienie się z ich przywódczynią, Shana - stanowiło niejaki problem. Tak naprawdę jeszcze niczego nie zrobiła, tak samo oni. Parth nie mógł udowodnić, że nawet o tym myślała, a nawet gdyby mógł, myślenie nie jest jeszcze przestępstwem. Dopóki nie dokonają jakiegos jawnego czynu, który naprawdę, w sposób nie ulegający wątpliwości narazi cytadela na niebezpieczeństwo, mógł ją tylko obserwować.

A nawet gdyby przyłapał ją na czymś, na przykład na pomaganiu polelfom w ucieczce do cytadeli bez zezwolenia jej mistrza, i tak istniały granice kary, jaka mógł, czy osmieliłby się jej wyznaczyć. Nie mógł wypędzić jej z cytadeli; elfi władcy wkrótce złapaliby ją. Jak tylko rozpoczęliby przesłuchiwać ją, dowiedzieliby się o mieszancach.

Pragnął, aby to nie puchar znajdował się w jego dłoniach, lecz kark Shany. Dalby wiele, żeby moc po prostu zadusić ten kłopot - na co nie mógł sobie pozwolić, nawet gdyby przyłapał ją na goracym uczynku. Istniały odnośne prawa i to podzieliło czarodziejów pod koniec wojny. Gdyby ją przyłapano i gdyby cała społeczność cytadeli uznała ją za winną działania na niekorzyść cytadeli, to najgorsze co mogli jej zrobić, to odesłać z powrotem na pustynię, z której przyszła.

Nie mógł również "pozbyć" się jej. W rzeczywistości niczego nie zrobiła, a innym z pewnością nie spodoba się, że zrobił użytek z prawa na podstawie zaledwie podejrzeń.

Chcialbym wiedziec, czego ona chce! Chcialbym wiedziec, kto kryje sie za nia!

Nigdy przedtem w swoim zyciu nie czul sie tak sfrustrowany. Od chwili, gdy dotarl do cytadeli i zostal ochranianym pupilkiem najstarszego w tamtych czasach czarodzieja, jego zycie bylo jednym pasmem wspinaczki ku wyzszym stanowiskom wladzy. Nikt nigdy nie rzucil mu wczesniej wyzwania. Nie podobalo mu sie to uczucie.

Siedzial zgarbiony w swoim fotelu przez reszte popoludnia, probujac wymyslic jakis sposob, aby pozbyc sie dziewczyny, albo zapanowac nad nia, i nic mu nie przychodzilo do glowy. Swiece wypalily sie do konca, jego wlasny uczen - nie ktorys z tych mlodych buntownikow - przyszedl wymienic je, a on wciaz nie mogl znalezc rozwiazania problemu.

Wreszcie zmuszony byl przyznac, ze bedzie musial zostawic ja w spokoju. Postawil pusty puchar na malym stoliku obok swego fotela i wyprostowal sie nieco, usilujac nabrac dystansu do emocji, jakie obudzily sie w nim. Jedna dlonia pogladzil sie po brodzie, zmuszajac sie do zaakceptowania takiego wyjscia.

Niespiesznie zdecydowal sie dac jej spokoj. Dopoki nie sciagnie uwagi elfow na mieszancow. Wtedy bedzie mogl wystapic przeciw niej.

Pokiwal glowa do siebie i napelniwszy puchar, podniosl go znowu. To dziwne, ale decyzje przyszlo mu podjac wcale nie tak trudno, jak sie spodziewal. To nie koniec, a zaledwie jego odwleczenie. Dziewczyna byla nierozwazna, podejmowala szalone ryzyko. Jesli szczescie mu dopisze, ktoregos dnia zaryzykuje o raz za duzo. A wtedy - bedzie moja. Scisnal w palcach nozke pucharu, az zgiela sie w pol ze zgrzytem udrezonego metalu. Parth Agon nawet tego nie zauwazyl.

-Drodzy przodkowie, nudzi mi sie - rzekl Valyn, ciskajac ksiazke na wyscielane siedzenie na oknie i spojrzal na ponury, ciemny las sosnowy za szybami.

Dwor Cheynara nie przypominal zadnego, jaki do tej pory Valyn widzial. Nie posiadal jarzacych sie swiatel sufitowych, jakimi mogla pochwalic sie wiekszosc zbudowanych przez elfow domow, w ktorych bywal. Zamiast nich oswietlenie zapewnialo za dnia naturalne swiatlo wpadajace przez okna i swietliki. A w nocy Valyn musial albo zapalac swoje wlasne magiczne swiatelka, albo zadowalac sie latarniami i swiecami.

Najwyrazniej w tym majatku oszczedzano magie.

A przeciez Cheynara uwazano za jedna z poteg wsrod sprzymierzencow i podwladnych Dyrana, z ktora nalezy sie liczyc.

Tego dnia Valyn zastanawial sie nad zapaleniem swiatelka, mimo iz minelo ledwie poludnie. Niebo za oknem bylo matowe, ciemne i szare. Krople wody kapaly przez galezie, a w powietrzu pomiedzy drzewami a oknem unosila sie mgielka deszczu.

Cien kichnal i wytarl nos. - Sadzilem, ze masz sie czegoś nauczyć od pana Cheynara - zauwazył, pociągając nosem. - Od czasu, gdy tu przyjechalismy, siedzimy tylko w tych pokojach, albo jedziemy na przejazdke w deszczu. - Cien znowu pociagnal nosem.

-Jedzimy w deszczu i lapiemy katar - odrzekł Valyn, natychmiast czując się winny. - Przykro mi, Cieniu. To moja wina, że się przeziebiles. Nie powinniśmy byli wczoraj wyjeżdżać. Nie chciałem upierać się przy przejazdce jak rozkapryszony dzieciak, ale po prostu nie mogłem już dłużej znieść siedzenia w domu...

-Wiem, wiem... - Cien wysmarkał nos i pociagnal dobry łyk gorącej herbaty.

-To nie twoja zasługa, że elfowie nie przeziebiają się. Szkoda tylko, że ja też nie jestem na to odporny.

Valyn przepraszająco wzruszył ramionami. - Szkoda, że nie umiem tego wyleczyć.

-Znow spojrzal na zewnątrz. Ponury las nie zmienil się ani trochę. - Szkoda, że nie mamy nic do roboty. Choćby cokolwiek.

-Uważam, że powinniśmy się cieszyć, że pan Cheynar nie zwraca na nas zbyt wiele uwagi - stwierdził Cien, siadając obok Valyna na oknie. - Dzięki temu dużo łatwiej nam nie wchodzić mu w drogę.

Valyn kątem oka spojrzal na swego kuzyna. Cien tak szybko wrocil do siebie po chłoscie, aż nawet Valyn był zdumiony, chociaż od tamtej pory wydawal się bardziej cichy niż zazwyczaj. Być może tylko z powodu kataru.

Cien oparł złożone ramiona na parapecie i wsparłszy na nich podbródek przygladł się mokrym sosnom, jakby widział w nich coś fascynującego. - W sumie - rzekł przeciągając głoski - wydaje mi się, że wole już nudzić się. To dużo miłsze, niż odpowiadać na wnikliwe pytania nadzorców pana Cheynara, dotyczące mojego pochodzenia.

Valyn w myślach wymierzył sobie kopniaka za to, że mógł być takim osłem. Jasne, że lepiej nudzić się, niż być zauważonym! Każdy głupi powinien być się tego domyslić!

Dopoki nikt nie będzie zwracać uwagi na niego ani na Cienia, istnieje bardzo niewielka szansa, że pan Cheynar skontaktuje się z Dyraniem i być może przekaze rysopis "straznika" Valyna. Nie istnieje również możliwość, że Cien zostanie przesłuchany przez ludzi Cheynara.

Kiedy tylko przybyli, Cheynar przyjął Valyna w swoim gabinecie z taką samą chłodną uprzejmością, z jaką według wyobrażeń Valyna traktował swych podwładnych.

Ledwo spojrzal na zapieczętowany list od pana Dyrana, jaki podał mu Valyn. Rzucił pakiet w kat biurka i nachylił się nad szerokim blatem z czereśniowego drewna, by przyspilić Valyna do krzesła spojrzeniem ostrym jak sztylet.

-Chce, zebys jedno zrozumial, Valynie - powiedzial glosem calkowicie wypranym z uczucia.
- Teraz jestes w moim majatku, a nie twojego ojca. Bedziesz wykonywac moje polecenia.
Czy jest to jasne i zrozumiale?

-Tak, panie - szepnal Valyn najpokorniejszym tonem. Cheynar odsunal sie i wyprostowal z przeblyskim zadowolenia na twarzy. - W takim razie bedziemy swietnie sie rozumiec - stwierdzil beznamietnie. - Bardzo mi przykro, ale w tej chwili po prostu nie mam czasu, zeby zajmowac sie znajdowaniem ci rozrywek. Wydarzylo sie cos waznego i musze poswiecic temu cala uwage. Nie powinienem byl nawet marnowac czasu na spotkanie z toba, ale chcialem upewnic sie, ze zrozumiesz, jak sprawy tu sie maja. Rozumiesz?

-Calkowicie, panie - odrzekl Valyn, spogladajac na swe zacisniete dlonie. - Swietnie - odparl na to Cheynar. Valyn podniosl teraz glowe, uslyszawszy skrzypiecie drewna po kamieniu. Cheynar wstal, najwyrazniej nie mogac doczekac sie, kiedy Valyn wyjdzie. - Tuz za drzwiami stoi niewolnik - rzekl - zaprowadzi cie do twoich komnat. Jestem pewien, ze bedziesz z nich zadowolony.

Nie czekajac na odpowiedz, Cheynar odwrocil sie i wyszedl, opuszczajac nieco zdumionego Valyna, ktory jeszcze przez chwile ogladal sie za nim. w organizowaniu sobie rozrywek. Nieraz dochodzil do wniosku, ze przyczyna ponurego charakteru Cheynara byla sama jego posiadlosc. Znajdujacy sie na granicy pustkowi dwor otaczaly z trzech stron wysokie, zielonkawoczarne sosny o gestych, zwisajacych galeziach, ktore zaslanialy slonce przez wiekszosc dnia, a w nocy dawaly schronienie chyba setkom sow. Z jakiejs przyczyny, przynajmniej od chwili gdy Valyn przyjechal, codziennie padal deszcz, chocby przez czesc dnia.

O lowach nie warto bylo nawet wspomnac. Wyjatkiem byly jastrzebie akcipitery Valyna, ktore mialy dosc krwiozerczy charakter i rzucaly sie w najgestsze zarosla w poscigu za zdobycza. Jednakze jastrzebie nie chcialy latac przy tak paskudnej pogodzie, a po tym, jak jeden z krogulcow zaatakowal go, ze wscieklosci, ze uciekla mu ofiara, Valyn nie zamierzal dalej ryzykowac. Straszne szpony krogulca minely jego twarz o wlosek i tylko interwencja Cienia uspokoila jastrzebia.

Nie bylo polowania z ogarami. Cheynar nie trzymal myśliwskiej sfory. Jego psy strzegly niewolnikow, a nie mial ich az tak duzo, by poswiecac kilka z nich na takie blahostki, jak lowy.

Jedyna zabawa i cwiczeniem, jakie im pozostalo, byly konne przejazdki - wsrod zimnych, ciemnych sosen, z ktorych bez przerwy kapala woda, nawet jesli akurat nie padal deszcz.

Poza tym niewiele bylo do roboty. Valynowi czesto sie wydawalo, ze w posiadlosci ojca nudzil sie. Teraz dopiero wiedzial, co to znaczy prawdziwa nuda. "Z drugiej strony, pan Cheynar mogl poswiecic nam cala swa uwage" - pomyslal ze zgorzknieniem i zobaczyl, ze Cien kiwa glowa.

-Zawsze może być gorzej, bracie - Cien powiedział na głos i kichnął znowu.

-Na przykład można mieć katar... - dokuczał mu zartobliwie Valyn. Wyjął chustkę do nosa i podał mu ją. - Albo jeździć po tej okolicy z katarą. Albo powstrzymać mojego krogulca, żeby ci nie wydrapał oka.

-Albo być osobą czy osobami, którym pan Cheynar rzeczywiście poświęca uwagę - poprawił go Cien i nachylił się bliżej, sycząc głos. - Czcigodny pan nie jest szczęśliwy w tej chwili. Wygląda na to, że na jednej z jego farm hodowlanych były jakieś kłopoty.

-Och? - Nagle Valyn uznał, że widok za oknem fascynuje go w równym stopniu, co Mero. Prawdopodobnie nikt im się nie przyglądał, a przynajmniej Mero nie wykrył nikogo, ale na wszelki wypadek dobrze było co jakiś czas zachowywać środki ostrożności. - Jakiego rodzaju kłopoty?

-Kiedy tylko przybyliśmy, otrzymał wiadomość, że w ostatniej stawce młodzieży znajdowała się nieznaną ilość osobników obdarzonych zdolnościami czarodziejskimi - poinformował go Cien, podczas gdy obaj wpatrywali się uparcie w ociekającą wodą do swego gabinetu. Nie mówił nic do tej pory, ponieważ kazał komus nas śledzić.

Teraz albo nie stac go na dalsze śledzenie nas, albo jest przekonany, że jesteśmy niegroźni.

-Mam szczerą nadzieję, że to drugie - odrzekł pośpiesznie Valyn. - Tak więc były tam dzieci o umiejętnościach czarodziejów... Mieszance?

Mero potrząsnął głową. - Nie. Czystej krwi ludzie. W tym majątku nie ma szans, żeby urodził się mieszaniec. On sterylizuje wszystkie nalożnice, a elfów, których przyłapie na korzystaniu z jakiegokolwiek innej kobiety poza bezpłodnymi konkubinami, wyrzuca bez złamanego grosza.

-Czystej krwi ludzie! - Valyn zamyslił się przez chwilę. - Domyslam się, że oznakami były latające w powietrzu przedmioty i reszta typowych objawów?

Cien odwrócił głowę tylko na tyle, by jego kuzyn mógł dostrzec pochwalający uśmiech. - Twój ojciec wyuczył cię lepiej, niż się spodziewałem.

-Mój ojciec nie wie, że ja o tym wiem - poprawił go Valyn. - Większość elfich panów w moim wieku jest przekonana, że magia ludzi to mit i sadzę, że mój ojciec chce, aby tak to zostało. Więc, co się stało z tymi dziećmi?

-Ach, właśnie to przyciąga całkowicie uwagę Cheynara - szepnął Cien, a w jego głosie pobrzmiwało zadowolenie. - Wygląda na to, że znikły wprost z zagrody dla niewolników, zanim jeszcze zdolano je rozpoznać. Mniej więcej około tuzina. Tej nocy położyły się razem z resztą, następnego poranka już ich nie było. Można by niemal powiedzieć, że znikły. - Ze

co? - Valyn z trudem powstrzymał się od podniesienia głosu. - Jak mogły...

-Ktos im pomógł. - Cien oblizal wargi, a Valyn poczul dreszcz emocji. - Val, do czasu, gdy przybyliśmy, slyszalem magie. Szczerze mowiac, calkiem sporo, ale nie na terenie tej posiadlosci. Tam w lesie. Sadze, ze calkiem rozsadne jest zalozenie, iz ma to cos wspolnego ze zniknieciem dzieci z pomieszczen dla niewolnikow.

-A wiec sa jeszcze inni polefowie? - szepnal Valyn, pol do siebie, pol do Cienia.

Kiedy nie otrzymal odpowiedzi, odwrocil sie i zobaczyl, ze kuzyn przyglada mu sie powaznie, mimo zaczerwienionego nosa i calej reszty.

-Nie wiem, Val - odrzekl Cien. - Nie jestem jeszcze tak dobry, zeby ustalic, kto i co tam jest. Wiem jednak, ze dzieci nie ma, ze magia ma cos z tym wspolnego i ze Cheynar jest naprawde bardzo zaniepokojony. Tylko tyle moge ci powiedziec.

-Wystarczy - stwierdzil Valyn, podniecony samym pomyslem. - Dla mnie to wystarczy, zeby cos zrobic. Nie moglem cie uczyc, poniewaz nie wiedzialem naprawde, co mozesz. Ale jesli tam jest czarodziej dosc dobry, zeby wykrasc dzieci, jesli uda mi sie podpatrzec go, bede mogl zaczac pokazywac ci, co ty masz robic.

-Wiesz... - odezwal sie nagle Cien, marszczac brwi i spogladajac gdzies w odlegla przestrzen - w takim razie badz gotowy do obserwacji, poniewaz slysze go... ich... a oni sa tuz niedaleko w tych lasach!

Rozdzial XVIII Keman zatrzymal sie na srodku drogi z grzywa i ogonem rozwianymi przez chlodny wiosenny wiatr i uniosl nagle glowe, uslyszawszy w myslach niespodziewany, melodyjny trel.

Magia - elfi wladca? Tutaj? To przypominalo mu kogos, kogo znal...

Wtedy zorientowal sie, czemu wydawalo mu sie to takie znajome. Ostatnia osoba, ktorej spodziewalby sie na tej ziemi. Na ogien i deszcz, to Shana! Ona zyje! Nic jej sie nie stalo!

Teraz Keman juz wiedzial, co znaczylo wyrazenie dwunogow: "Wlosy stanely mi deba na karku" - jesli to bylo wlasciwe powiedzenie. Czy wlosy moga stawac deba?

Czujac magie Shany z tak bliska po raz pierwszy od miesiecy, takie wlasnie odniosl wrazenie. Wlosy jego grzywy rzeczywiscie stanely na sztorc, a kiedy rozgladal sie, skad to dochodzilo, jego ogon tez uniosl sie nieco.

To ona! - pomyslal, najpierw oszolomiony, a potem przytloczony lawina czystej radosci. To ona! Znalazlem ja? Znalazlem ja!

Rzeczywiscie byla to magia Shany, co do tego nie bylo watpliwosci. Byla jednakze

znacznie, znacznie silniejsza niż wtedy, gdy wypędzono ją z leża. Silniejsza, a także bardziej opanowana. Wyczytał to ze złożonej i pełnej zasugerowanej potęgi melodii oraz ogólnego wrażenia, iż przychodziło jej to bez wysiłku. Zmiana była zdumiewająca.

Wszystko to zapowiadało interesujące czasy dla rodu i leża, kiedy wróca. Gdyby wtedy była taka silna, nie wypędzono by jej - a teraz nie będa w stanie znowu jej przepędzić! Nikt teraz nie byłby w stanie nic jej zrobić...

Jednak teraz nie było to tak ważne. Najważniejsze było, że w ogóle ją znalazł. Nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy, kiedy dowiem się, co się jej przydarzyło! Potrząsnął głową i wierzgnął z radości. Całe jego zniechęcenie i przygnębienie znikło, odmienione przez te odkrywczą chwilę.

Rozejrzył się szybko, pchany samą siłą przyzwyczajenia. Zapadał zmrok, a od wielu dni nie widział nikogo na tym szlaku przez pustkowia. Absolutnie nie ma sensu utrzymywać postaci jednoroga, która przybrał, by odpędzać drapieżniki i myśliwych. Nie teraz, gdy nikt nie mógłby go dostrzec. Nie myślał dłużej, podskoczył i zmienił się w powietrzu, z westchnieniem ulgi ponownie przybierając postać członka rodu.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się, jak jego matka może to znosić. W każdej innej postaci czuł się jakby w zbyt ciasnej skorze. Az do tej chwili nie miał wyboru. Kilkakrotnie, kiedy wydawało mu się już, że jest bezpieczny, wylaniał się zza zakretu i stawał twarzą w twarz z człowiekiem w obrozie wysłanym w jakiejś sprawie swego pana - albo napotykał całą ich karawane. Przez te obrozy nie sposób było ich wyczuć, nie można było zorientować się, gdzie są. Tak więc Keman przebywał w postaci, która choć niezwykła, była jednocześnie dość groźna, by trzymać ciekawskich z daleka.

Znowu doszła go uwodzicielska pieśń magii, tym razem dłuższa, jakby Shana robiła coś, co wymagało poświęcenia sporo czasu. Przyłączyły się również inne, słabsze melodie. A więc nie jest sama. Nie, wyczuwał - hmm - szesć lub siedem innych czarodziejów i mnóstwo innych ludzi. Ludzi, ale bez obrozy i młodych, jak mu się wydawało. Keman zorientował się co do kierunku i odleciał, bijąc mocno skrzydłami. Unosił się tuż nad wierzchołkami drzew. Przy każdym wymachu skrzydeł chciał przyłączyć się do chóru melodii zgrabnie zbudowanej magii i wyspiewywać z radości. Nie mógł w to uwierzyć - wreszcie, wreszcie ją odnalazłem! I nikt już nigdy mi jej nie odbierze!

To była pociągająca zima. Majątek lorda Dyryana okazał się równie skąpy w informacje, jak miasto, a u jego rywali znalazło się niewiele więcej. Keman w przebraniu młodego elfiego pana był praktycznie niewidzialny - a w niektórych przypadkach zmienienie się w postać ludzkiego niewolnika było jeszcze lepsze, jako że w większości majątków niewielką uwagę przywiązywano do niewolników, dopóki albo pracowali, albo przynajmniej nie byli nieobecni przy wyznaczonym im zadaniu. Żadna jednakże z tych postaci nie pomogła Kemanowi w poszukiwaniu wieści o Shanie, bowiem równie dobrze mogłaby zniknąć w dziurze prowadzącej do środka ziemi.

Wreszcie, z braku innych mozliwosci, Keman udal sie na pustkowia. Pogloski mowily, ze zyja tam "dzicy ludzie", a Shana mogla uciec do nich. Jedno bylo pewne, z powodu terenu i dzikich zwierzat podrozowanie tymi nielicznymi drogami, jakie prowadzily przez ow kraj, bylo dosc trudne.

Wszystko to dowodzilo, ze w rzeczywistosci elfi wladcy nie panowali nad tym swiatem tak dokladnie, jak im sie wydawalo.

Elfowie nie podrozowali tymi szlakami chetnie, a ludzie wcale, chyba ze wydano im taki rozkaz. Co roku karawany ginely z nieznanych przyczyn i niejeden podrozny wystarczajaco glupi, lub zdesperowany, by wedrowac samotnie, nie docieral do miejsca przeznaczenia. Elfowie twierdzili oficjalnie, ze przyczyna strat byla tylko zla pogoda i dzikie zwierzeta, lecz pogloski mowily o ogromnych bandach ludzkich rozbojnikow, ktorym przewodzil jakis nieznany czy bezimienny elfi wladca, i ktorzy napadali na nieostroznych podroznych, by rabowac i zabijac.

Po katach powtarzano szeptem rowniez inne wiesci, ktore glosily, ze tym bandytm przewodzil nie elfi pan, lecz inni ludzie, i ze ludzie ci poprzysiegli, iz zgina raczej, niz beda nosic obroze.

Szczerze mowiac, przez caly czas swego pobytu w tej okolicy Keman nie widzial "ogromnych band ludzi", czy to w obrozach, czy bez nich. Widzial natomiast rezultaty ingerencji elfow w pogode i ekologie; straszliwe burze, ktore potrafily spasc nie wiadomo skad, chloszczace okolice wiatrem, ulewnym deszczem i gromami, lub zasypujace ja warstwami sniegu i lodu. Nigdy przedtem nie widzial tylu jednorogow, czarnych i bialych - domyslal sie, ze przynajmniej polowa zyjacych i rozmnazajacych sie jednorogow znajdowala sie wlasnie tutaj, na tych pustkowiach. A jednorogi w zadnym przypadku nie byly najdzikszyimi drapiezcami, jakie nawiedzaly owe lasy. Napotkal wiele stworzen, ktorych nawet nie umial nazwac, kolejne dowody nieudanych elfich eksperymentow przeprowadzanych w nadziei stworzenia istot, ktore mozna bylo wyslac do zabijania setek ludzkich pionkow w zaaranzowanych przez elfow bitwach. Najwyrazniej niczego sie nie nauczyli po jednorogach.

Strat na drogach nie trzeba bylo tlumaczyc "ogromnymi bandami rozbojnikow".

Elfia ingerencja i obojetnosc wystarczaly az w nadmiarze, by okolice te nadal byly nieprzyjazne.

Robilo sie coraz ciemniej, lecz Keman zmienil swe oczy, przystosowujac je do nocnego widzenia, zarowno po to by korzystac z dostepnego swiatla, jak i by widziec rzeczy dzieki cieplu, jakim promieniowaly. Dzieki temu drugiemu mogl spogladac przez galezie drzew w dole w szczegolny sposob. Won sosny buchala do niego z galezi poruszonych jego przelotem, jakby lecac tworzył malenka wichure.

Magiczna piosenka ucichła, lecz Keman wiedział już, dokąd ma się udać. Jego własny zasięg rozmawiania myślami był ograniczony, lecz kiedy tylko zaczął przypuszczać, że Shana może go usłyszeć, zaczął wołać ją w myślach. Najpierw nie było odpowiedzi, tak jak zresztą się spodziewał, lecz kiedy zbliżył się, usłyszał odpowiedź i to dużo wcześniej, niż przypuszczał. "Keman?" Głos rozbrzmiewający w jego głowie pełen był niedowierzania. Złamywał się nieco, jakby oszłomiony. "Kemanie, czy to... To ty! Na ogień i deszcz, nigdy nie sadiłam... gdzie jesteś?" Jej głos brzmiał jeszcze lepiej niż jej magia; jej myśli były silne i wyrazne. Przez moment pomyślał sobie, że Alara dumna byłaby z jej opanowania. "Na północny wschód od ciebie i zbliżam się - odrzekł zarożumiałe, czując się dumny z siebie. - Czyżbyś naprawdę myślała, że pozwolę, by cię wypędzono i nawet nie spróbuję cię odnaleźć? Szukam cię od czasu zanim jeszcze spadł śnieg i..." "Kemanie, że między nami są ludzie - przerwała, ostrzegając go. - Polelfowie i ludzie. Nie mogę ich zostawić. A oni nie mogą cię zobaczyć, wiesz przecież. Wiesz, co by się stało z tobą i z przybraną matką. Już wystarczająco niedobrze się stało, że elfi panowie mają smoczą skórę. Przynajmniej większość z nich nie ma zielonego pojęcia, co to jest. Jeśli jednak ktokolwiek, nawet wrogowie elfich władców, ujrzy prawdziwego smoka..." "To żaden problem, nie martw się - zapewnił ją. - Wiem, jak sobie poradzić. Bądź gotowa na to, że wkrótce odnajdę cię dawno zaginiony przybrany brat. Szukał cię od czasu, gdy ludzie porwali cię z pustyni. Umm... brat polelf, czy człowiek?" Chwile trwała cisza, w czasie której potężne uderzenia skrzydeł zmniejszały dzielącą ich odległość. "Polelf. Może jeszcze będę musiała zabrać cię ze sobą do cytadeli... nieważne, potem ci wyjaśnię. Wymyśl tylko przekonującą historię o tym, jak mnie odnalazłeś, dlaczego zacząłeś mnie szukać i jak wytropiłeś mnie po opuszczeniu pustyni. Powiedziałam im, że zylam na pustyni i opowiedziałam im również, że byłam dzieckiem przygarniętym, lecz nigdy nie wspominałam o tobie, ani o Alarze". "W porządku - odrzekł, szukając w lesie na horyzoncie wyjątkowo dużego zgrupowania źródeł ciepła. - Wydaje mi się, że cię widzę, powiedział, kiedy taka właśnie grupa pojawiła się tuż przed nim. Wyladuje i przyjdzie".

Na tym zakończył wysyłanie myślowych komunikatów. Całą uwagę będzie musiał poświęcić na lądowanie wśród gestych drzew. Prawde mówiąc, przez chwilę nie był nawet pewien, czy mu się to uda...

Wtedy dostrzegł polanę, w miejscu gdzie jeden z lesnych olbrzymów zwałił się, pociągając za sobą całe pasmo pomniejszych drzew. Na owej ścieżce zniszczenia było akurat dość miejsca, by zdołał zanurkować jak po zwierzyne i zahamować łopotem skrzydeł, podchodząc do zgrabnego lądowania i nie nadziewając się po drodze na galezie...

Chwile później był już w postaci polelfa. Czaił się w mroku, wyglądając zza pnia drzewa i starając się wymyślić sposób, jak by tu najlepiej zbliżyć się do obozowiska. Pod tym kątem nie widział Shany, lecz z miejsca, w którym siedział skulony, można było dostrzec wyraźnie trzech lub czterech innych osobników, dwóch mieszanców i jednego człowieka. Plomienie ogniska rzucały migotliwe cienie na ich twarze. Wydawali się bardzo młodzi, przynajmniej jemu - szczególnie człowiek nie mógł mieć więcej niż tuzin wiosen. Obawiał się podejść wprost do nich, bał się bowiem, że ich przestraszy.

Mieszkańcy prawdopodobnie potrafili to samo, co Shana, a nie miał ochoty dać się zasypać gradem kamieni - albo, co gorsza, mogą być w stanie zranić go, lub nawet zabić swoimi zdolnościami. Nie chciał jednak również zakraść się do nich, to też bowiem mogło być źle zrozumiane.

Ktoś rozwiązał ten problem za niego.

-Nie ruszaj się - usłyszał przy swoim uchu szorstki, opanowany głos, a jednocześnie coś bardzo ostrego dzgnęło go w zebra. - Bądź wdzięczny za to, że twoje uszy są nieco mniej szpiczaste od uszu elfich panów, bo nie stałbyś już tu żywy.

Czysty, beznamienny chłód owych słów wywołał dreszcz, który przebiegł go po plecach i zmroził krew w żyłach. Keman przelknął ślinę i chrząknął. - Ja... um... ja szukam kogoś - zaczął, zastanawiając się jednocześnie nad tym, czy powinien odwrócić się.

Doszedł jednak do wniosku, że raczej nie powinien.

-Jasne, że szukasz - odezwał się głos z leciutką drwiną.

-Nie, naprawdę. - Szukam mojej siostry, to znaczy, przybranej siostry i przybyłem z daleka - wybelkotal rozpaczliwie. - Az z dalekiej pustyni. Szukam jej od jesieni. Porwali ją ludzie...

-Z pustyni? - Nacisk ostrza dzgającego go w zebra zelzał nieco. - Jak brzmi jej imię, przybyszu?

-Shana - szepnął, odprezając się, gdy ostry przedmiot zupełnie przestał dotykać jego boku. - Nie było jej od wielu, wielu miesięcy. Inni nie chcieli, żebym szukał jej, bo obawiali się, że elfi władcy mogą nas odkryć, ale musiałem wyruszyć. Szukam jej od bardzo dawna i nigdzie nie było po niej śladu i...

-To dlatego, że od wielu, wielu miesięcy jest z nami - powiedział sucho głos.

-Nie jesteś jeszcze całkowicie bezpieczny, przybyszu, ale już bardziej niż przed chwilą. Wejdzmy do obozowiska, zobaczymy, czy Shana cię pozna.

Keman wyszedł ostrożnie zza pnia drzewa i poszedł po usianym galeziami, podziurawionym korzeniami, nierównym gruncie w stronę kregu światła ogniska. Kiedy tylko zbliżył się, dostrzegł Shana, która wydawała się być pogrążona w poważnej rozmowie z jednym z ludzkich dzieci. Wtedy dostrzegł coś interesującego - większość polefów była w wieku podrastającej młodzieży, a wśród ludzi nie było ani jednego, którego nie można by nazwać dzieckiem. Chociaż Keman nie był fachowcem, według jego osądu nie miały więcej niż po dziesięć lat, a kilkoro nawet mniej.

Chociaż Shana sprawiała wrażenie osoby całkowicie zagłębionej w rozmowie, Keman widział, że kątem oka szybko rozgląda się dookoła. Bez wątpienia wypatruje go.

Nie odnowił jednakże psychicznego kontaktu z nią. Jeśli nie będzie wiedziała, kiedy zamierza się pojawić, jej zaskoczenie będzie tym prawdziwsze i bardziej przekonająco tego, kto go wziął do niewoli. Keman również nie wątpił, że właśnie jego należy przekonać o swej prawdziwości. Był osobą doświadczoną w sprawach lasu i świata. To on czuwał na straży, gdy pozostali kulili się wokół ogniska. Jeśli Kemanowi powinie się noga, on to dostrzeże.

Kiedy wchodził w krąg światła ogniska, pod jego stopą trzasnęła gałązka. Wszyscy podnieśli głowy, a na ich twarzach malowały się różne odmiany zaskoczenia i niepokoju. Ułamek uderzenia serca później, Shana wstała skokiem i rzuciła mu się na szyję.

-Kemanie! - krzyknęła, kiedy złapał ją niezrecznie. - Och, Kemanie, Kemanie...

A potem wybuchnęła płaczem, czego się po niej zupełnie nie spodziewał. Niezdarnie trzymał ją w objęciach, podczas gdy właściciel głosu zachichotał i wyszedł zza nich w krąg światła rzucającego przez ognisko.

-Zdaje się, że jesteś tym, za kogo się podajesz - powiedział młody polelf, odrzucając z oczu ciemne, długie włosy i obdarzając połusmiechem niedawnego jenca. Keman miał bardzo dziwne wrażenie, kiedy spoglądał w głębokie, zasmucone oczy młodego mężczyzny, stwierdzając, że połusmiech jest wszystkim, na co cokolwiek może liczyć...

-W porządku, pojednania rodzinne są wspaniałe, ale mamy problem, Shano - powiedział inny młody mężczyzna. Powiedział to jednak nie z tym lekceważącym poczuciem własnej wagi, jak zwykle towarzyszy podobnym słowom, lecz jakby szczerze się czegoś bał. - Mamy tuzin ludzkich dzieci obdarzonych czarodziejskimi zdolnościami i nie mamy dokąd ich zabrać. Co mamy z nimi teraz zrobić, skoro już je uwolniliśmy?

Jedną z najmłodszych dziewczynek przytuliła się do niego i spojrzała na niego przestraszonymi oczami, a on otoczył ją ramieniem.

-On ma rację, Shano - rzekł poważnie strażnik Kemana. - Wiesz, że nie możemy zabrać ich do cytadeli, a są za małe, żeby przetrwać na tym pustkowiu o własnych siłach, a nawet gdyby potrafiły, elfi władcy wytropiliby je, nim jeszcze zmieniliby się pora roku. One niemal nie widziały świata zewnętrznego i z całą pewnością nie wiedzą, jak radzić sobie w puszczy!

Jedno z pozostałych dzieci zaczęło cicho płakać, a dziewczyna polelf wstała, żeby je pocieszyć.

Shana odsunęła się od Kemana i wytarła oczy, wracając do ważniejszych spraw.

-Dlaczego nie możemy zabrać ich do cytadeli? - spytała, rzucając wyzwanie tonem głosu i postawą. - Dlaczego nie? Kto wam to powiedział? Kto ustanowił przepis, że nie wolno nam wpuszczać ludzi pełnej krwi?

Drugi młody mężczyzna bezradnie szukał słów przez chwilę, a ten, który złapał Kemaną, odsunął się o krok w zdumieniu. - Nie możemy - wykrztusił ten drugi.

-Nigdy tego nie robiono. Czarodzieje nigdy by...

-Czarodzieje zrobili to w przeszłości - powiedziała triumfująco. - I nie ma też przepisu, który by tego zakazywał. Jest to jeden z powodów, dla których cytadela jest tak wielka. Połowa ludzi zamieszkujących ją była ludźmi czystej krwi, posiadającymi zdolności czarodziejskie, a wcale nie mieszancami! W moim pokoju są dokumenty, które to potwierdzają!

Drugi chłopiec otworzył usta ze zdumienia, a Kemanowi wydało się, że dostrzegł błysk pochwały w oczach tego pierwszego. Ona rzeczywiście im przewodzi, pomyślał ze zdumieniem. To ona układała plany i myślała o wszystkim.

Shana zmieniła się. Już w leżu była zbuntowana, lecz w sposób chaotyczny. Wciąż była buntowniczką, lecz teraz miała już plany bojowe, które miały doprowadzić ją tam, gdzie chciała - i ogień i deszcz nie będą mogły jej powstrzymać.

-Posłuchaj - powiedziała nieco cichszym głosem. - W tej chwili największym problemem jest zmylenie elfich panów. Zdecydowanie scigają nas. Zed przyłapał ich na próbie odnalezienia nas magia, a ja też ich obserwowałam. Rozdzielmy więc grupę. Jeśli wy zabierzecie dzieci do cytadeli i przemyćcie je pod osłoną nocy, mistrzowie nie będą mieli wyboru w sprawie wypuszczenia ich, będą bowiem już wewnątrz. Skorzystajcie z jednego z tych tuneli, które wam pokazałam, zamiast wejścia frontowego, a nie zorientują się, póki nie będzie za późno.

-A tymczasem co ty będziesz robić? - spytał pierwszy czarodziej tak od niechcienia, że Keman podejrzewał, iż zna już odpowiedź.

-Keman i ja odciągniemy pościg - powiedziała pewnie, chociaż wyczuwał jej drżenie. - Sadzę, że wspólnie zdołamy przekonać ich, że wszyscy jesteście wciąż z nami. Będzie to wymagało nieco pracy, lecz myślę, że pod pewnymi względami pojdzie nam łatwiej, niż gdybyśmy wciąż byli razem.

Keman pokiwał głową, czując, że w tym momencie przydałby się pokaz wsparcia z jego strony. - Shana i ja robiliśmy już przedtem coś podobnego, gubiliśmy wrogi pościg. Robiliśmy to przez całe życie - rzekł zgodnie z prawdą. - Zatrzemy wasze ślady i zostawimy wyraźny tylko swój ślad. Wierzcie mi, łatwiej jest dwójgu ludziom udawać dwa tuziny, niż dwóm tuzinom udawać dwoje. Sadzę, że poprowadzimy ich na pomoc, a potem zgubimy.

-Jak? - spytał pierwszy sceptycznie. Shana uśmiechnęła się.

-Och, uwierz mi, Zed. Pomyślała sobie, że urosły nam skrzydła i że odlecieliśmy.

Keman kaszlnął, żeby zatuszować fakt, że omal nie zadławił się, słysząc to zdanie.

Kiedy spojrzeli na niego z zaciekawieniem, zaczerwienił się.

-Tam... tam dalej jest tuzin jednorożców - zaimprovizował pośpiesznie. - Shana zawsze miała nad nimi władzę. Jeśli popędzimy je przez nasz ślad, nawet demon nie zdołałby potem nas wytropić.

Zed wzruszył ramionami, lecz Keman dostrzegł na chwilę w jego oczach podziw.

-W porządku. Jeśli wy możecie zająć się tym, sądzę, że ja mogę wziąć na siebie mistrzów, kiedy już dowiedzą się o dzieciach. Może uda mi się nawet przeciągnąć na naszą stronę Denelora i Agravane. Żaden z nich nie umie oprzeć się dziecku. Kiedy zaczynamy?

-O swicie - powiedziała zdecydowanie Shana. - Szczególnie jeśli spadnie deszcz i zmyje wasz trop. "No, Kemanie - usłyszał w myślach młody smok. - Jak sobie ostatnio radzisz z wzywaniem deszczu?" "Poradzę sobie - odpowiedział trzeźwo. - Nie jesteś jedyną osobą, która czegoś się nauczyła." "Ty też nie. Ten pomysł z wykorzystaniem jednorożców jest całkiem dobry i możemy również zastosować go, jeśli będziemy mieli okazję. No więc - odrzekła z tą samą powagą, która wydawała się czymś niewiarygodnie obcym dla Shany, która znalazła do tej pory - najwyższy czas, żebyśmy sobie pokazali nawzajem, czego się nauczyliśmy".

Keman uściskał ją, a był to gest, który zauważył u dwunogów, lecz którego nie miał okazji wypróbować. Ku jego zaskoczeniu, było to miłe uczucie. Bardzo miłe. Sprawilo, że nie czuł się już... tak samotny. "Zgadzą się - odpowiedział, a odrobina owego ciepła przenikła do jego myśli i zabarwiła je pewnością siebie. - Pokażmy im wszystkim".

Spojrzała na niego zdziwiona, a potem powoli uśmiechnęła się.

Valyn przykucnął i przyjrzał się przez chwilę zabloconemu gruntowi. Po plecach ściekał mu deszcz kapiący z rąbek kapelusza. Nie widział powodu, żeby magia chronić się przed zmoknięciem. I tak było tu już za dużo magii. Poza tym nie powinien się w ogóle znajdować na tym pustkowiu. Gdyby ktoś wykrył jego obecność, natychmiast dowiedziano by się, że jest tu mag elf i wtedy mogliby zapolować na niego. W końcu pogłoski od dziesiątków lat głośniły, że w tej okolicy grasuje elfi władca jako przywódca bandy ludzi z obrożami. Pochwycenie takiego wyrodka byłoby równie korzystne, jak złapanie nieznanego osob, które uwolniły niewolników - a nawet mógł ich wypuścić taki właśnie wódz.

Ani jemu, ani Cieniowi nie potrzebowałoby tego. Cheynar nie wiedział, że Cien jest mieszancem, lecz gdyby postanowił być bezwzględny i ponownie użyć zaklęć wymuszających wobec Valyna...

Mógłby wygadać się, pomyślał żalostnie. Teraz wiedział, dlaczego Cheynar nieczęsto używał magii. Oszczędzał ją na czas, kiedy naprawdę zależało mu na tym, by dowiedzieć się, o czym ktoś myśli i co ukrywa, a to potrafił rzeczywiście dobrze. Gdyby nie zaprzestął przesłuchiwanie mnie, powiedziałbym mu o Mero, wiem, że zrobiłbym to.

-Większa grupa udała się w tym kierunku - powiedział, wskazując reka. - Sadzę, że jeśli szczęście nam dopisze, ulewa zmyje trop na długo zanim Cheynar i pozostali mogliby go znaleźć. Jednak poleł?a, która my chcemy odszukać, poszła tedy, a przynajmniej na to wygląda, i nie czyni żadnych wysiłków, by zatrzymać swój ślad.

-Ona spełnia rolę przynęty - powiedział Cien beznamiętnie, patrząc przez deszcz w kierunku wskazanym przez Valyna. - Jestem tego pewien. Ona jest spośród nich najlepsza. Valynie, ja ją muszę odnaleźć, albo nigdy nie dowiem się, jakie są moje możliwości, ponieważ nikt z pozostałych nie zaufa komus...

Przerwał i zaczerwienił się z zaskoczenia. Valyn wstał i niezgrabnie poklepał go po ramieniu. - Wiem - rzekł nieco smutnie. - Jestem dla ciebie zawada, prawda?

Gdybym teraz zawrócił...

-Nie możesz i obaj o tym wiemy - odrzekł zaciękle Mero. - Gdybyś teraz wrócił, nieważne, czy jesteś dziedzicem, czy nie, twój ojciec... nie wiem dokładnie, co on by ci zrobił. Może nawet zdobyłby się na to, by cię zabić. Z całą pewnością zada ci wiele cierpienia i, wiesz sam, co on potrafi. Rzuci na ciebie czary, a kiedy skończy, nie będziesz już więcej Valynem. Nie masz wyboru. Ale to ona ocaliła ludzi i to ona przekonała pozostałych, żeby zabrali dzieci do... tam gdzie są inni czarodzieje. Jeśli ktokolwiek miałby zaakceptować nas obu, to ona. A ja bez ciebie nie pójdę.

Valyn przełknął ślinę, pozbywając się grudy w gardle, która łąka moment mogła zdławić jego słowa. Cheynar przyłapał go na śledzeniu z oddali ruchów i działań młodych czarodziejów, podczas gdy on sam i jego ludzie nie zdołali wyczytać niczego, lub bardzo niewiele.

Cheynar nie czuł się tym rozbawiony. Valyn powinien był natychmiast powiadomić go o wszystkim, czego się dowiedział i obaj o tym wiedzieli. Zastosował więc swoje najsilniejsze, przymuszające zaklęcia, aby wydobyć z Valyna wszystko, co tylko mógł, a potem zostawił go w jego pokoju, zlanego potem i leżacego bezradnie, kiedy wydawało mu się, że już wszystkiego się dowiedział. Myślał, że wie, gdzie znajdują się banicy i co robią, oraz poznał fakt, że Valyn szpiegował ich dla własnych celów.

Cheynarowi wydawało się, że wie, dlaczego to czynił, że Valyn pracował dla Dyra, a może nawet działał na własną rękę przeciwko zarówno Dyranowi, jak i Cheynarowi. Było to logiczne założenie; nie po raz pierwszy syn występował przeciwko ojcu.

Cheynar sam tak postąpił, sprzymierzając się z Dyranem i w końcu odbierając ojcu posiadłość.

Dzięki niech beda przodkom. Cheynar mylił się co do Valyna, a niecierpliwość nakazywała mu podjąć poscig. Gdyby przesłuchiwał Valyna chwile dłużej...

Ale nie uczynił tego. Cien przyszedł nieco później, nie umiał powiedzieć o ile później, wciąż bowiem był otepiały od efektów zakleć Cheynara - i zdołał go dobudzić.

Dopiero wtedy dokładnie zdał sobie sprawę z tego, jakimi skutkami to zaowocuje, kiedy pan Cheynar powróci z polowania, niezależnie od jego powodzenia.

Po pierwsze, kiedy tylko odzyska siły po zużyciu magii, znow weźmie się za Valynę i tym razem nie przestanie, dopóki nie dowie się wszystkiego, co wie młody elfi mag.

Dowie się, że Cien nie jest wyszkolonym strażnikiem, za jakiego się podawał. Dowie się, dlaczego Cien towarzyszy Valynowi - i kim jest Cien. A wtedy będzie miał w swych rękach mieszanka.

Następnie doniesie lordowi Dyranowi o wszystkim, co uczynił Valyn - być może przekaze mu Cienię, a może nie. Może sam postanowi pozbyć się niebezpiecznego mieszanka. Nie odgrywało to większej roli. W chwili gdy Cheynar wróci, Cien będzie zgubiony, a wraz z nim i Valyn.

Dygocząc jeszcze i chwiejąc się na nogach, Valyn ułożył plany i spakował wszystkie rzeczy, jakie według niego mogą mu być potrzebne - i tak samo postąpił Mero.

Rankiem, twierdząc, że udają się za panem Cheynarem na jego polecenie, wyruszyli na pustkowia z plecakami i koniami.

Już po kilku godzinach od zagłębienia się w lasie stracili konie - jednego w czasie rozbijania obozowiska porwał coś, czego nawet nie dostrzegli, tylko usłyszeli, a drugi złamał nogę w czasie ucieczki przed tym, co schwytało pierwszego. Ale nie stracili plecaków.

Może to i nawet lepiej. Jeśli kiedykolwiek konie - albo ich resztki - zostaną odnalezione, może to skłonić poscig do założenia, że Valyn i Cien również padli ofiarą owego nieznanego drapieżcy. Młody i zapalczywy elfi czarodziej mógł przecież postanowić ruszyć tropem Cheynara dla dobra swego ojca, niezależnie od tego, czy miał polecenia, czy nie. Dzięki temu zachowują przynajmniej pozory niewinności, co może rozwiać podejrzenia Cheynara co do powodów, dla których opuścili majątek tak nagle.

Utrata koni zmusiła ich do pieszej wędrowki, lecz dała im także niespodziewaną przewagę. Cheynar i jego łowcy mineli już miejsce, w którym rzeczywiście znajdowali się czarodzieje i obecnie daleko ich wyprzedzali. Valyn i Cien, pieszo, ale z lepszymi informacjami, odnaleźli ich obozowisko tuż zanim z olowianego, posepnego nieba zaczął lać deszcz.

Wkrótce już zmyje wszelkie ślady po grupie. Z drugiej strony, tropy dziewczyny były tak wyraźne, że prawdopodobnie wytrzymałyby potop - a to, sadząc po jej dotychczasowych poczynaniach, musiało być celowe.

Valyn podciągnął plecak nieco wyżej na ramiona i z łukiem w ręku podążył śladami

dziewczyny podczas gdy Cien idący blisko za nim tropił ją myślami. Przynajmniej pod tym względem Valyn miał przewagę nad Cieniem; jedna z wymaganych od młodych panów rozrywką było polowanie, więc Valyn miał znacznie większe doświadczenie w posługiwaniu się luką niż Cien. Prawde mówiąc, samo to, że Cien w ogóle umiał się posługiwać bronią, było wbrew przepisom. Tylko wojownicy, gladiatorzy i zbrojcy, wszyscy starannie uwarunkowani i noszący w swych obrotach specjalne zaklęcia przymuszające, mieli prawo używać i umieć się posługiwać czymś więcej niż prostym nożem kuchennym. Fakt, że Mero posiadał broń, nie wzbudził żadnych podejrzeń w majątku Cheynara, ponieważ zakładano, że jest zbrojcem/straznikiem - lecz w posiadłości Dyrana kara za to mogła być śmierć.

Tak więc Valyn poszedł pierwszy, na wypadek, gdyby natknęli się na coś równie groźnego, jak to, co zabiło ich konie. A jeśli strzała zakończona elfim grotem nie zdoła zabić napastnika, magia zdoła z całą pewnością.

A może to złudzenia? Valyn przyjrzał się tropom zostawionym przez stworzenie, które zabiło ich konie i miał dość dobre wyobrażenie o jego szybkości. Jeśli on lub inny jemu podobny potwór zaczął się na nich, nie był pewien, czy zdążyłby wystrzelić choć raz.

Nie zamierzał jednak powiedzieć tego Mero. Młodzieniec i bez tego już czuł się zaniepokojony przebywaniem w nieoblaskawionej puszczy. Mero doskonale znał życie w czterech ścianach; był mistrzem w intrygach i sposobach unikania niemal wszystkiego. Tutaj czuł się poważnie zagubiony.

-Jak daleko ona jest przed nami? - spytał przez ramię. Widział, że Mero zawzięcie brnie przez zarośla, zgarbiony, ze spuszczone głową i najwyraźniej w złośliwym stanie.

Nie mógł w tym momencie powstrzymać swojej logicznej i analizującej części osoby, by nie dodać: I nie zwraca najmniejszej uwagi na to, co się dzieje dookoła niego, tylko na grunt tuż przed sobą.

-Przypuszczam, że dogonimy ją tuż po zmierzchu - powiedział Mero stłumionym i niewyraźnym głosem. - Prawdopodobnie wtedy rozbije oboz. Watpie, czy Cheynar przed jutrzejszym dniem będzie wystarczająco blisko, by odnaleźć jej trop. Znajduje się w tej chwili na zachód i południe od tego miejsca, absolutnie przekonany, że podąża jej śladem, podczas gdy tak naprawdę tropi koze.

Valyn stłumił wybuch śmiechu.

-Pomyślałem sobie, że lepiej cię poinformować - ciągnął Mero z odrobiną zaledwie urazy w głosie - że w pobliżu nie ma niczego niebezpiecznego jeszcze przez... w każdym razie nie będzie wystarczająco długo, aby się tym martwić. Czuwam cały czas. Nie jestem tak bezużyteczny, jak ci się wydaje.

Valyn zaczerwienił się, zastanawiając się nad tym, czy Cien nie podsłuchiwał jego poprzednich myśli. Potem przypomniał sobie zeszłą noc... i odezwał się słowami, których nie chciał

naprawde powiedziec, lecz mimo to powiedzial.

-Zalozylsmy oczywiscie, ze nie bedzie potrafilo ukryc swego umyslu przed toba - odparl. - Ten stwor wczorajszej nocy potrafil. A w kazdym razie nie wiedziales o jego obecności, dopoki nie rzucil sie na konia!

-Nie szukalem go! - odrzekl urazony Mero, podnoszac glowe, by spojrzec wrogo na kuzyna. - Teraz szukam!

-Gotow jestes dac glowe za swa zdolnosc "zobaczenia" go? - spytal Valyn po chwili ciszy, jaka zapadla miedzy nimi. - Przykro mi, Mero, ale ja nie jestem. W tej chwili nie dalbym glowy za nic.

Znow cisza. Valyn obejrzel sie przez ramie i zobaczyl, ze Mero brnie znow ze spuszczonej glowa. Potem dobiegla go cicha odpowiedz.

-Ja tez nie.

Valyn sprawdzil strzaly w kolczanie i napiecie cieciwy. - W takim razie postarajmy sie zrobic wszystko, co w naszej mocy - zaproponowal lagodnie, czujac sie winny, ze w ogole rozpoczel te dyskusje, nawet jesli mial racje. - Znajdźmy te dziewczyny najszybciej jak mozemy, bo najwyrazniej lepiej radzi sobie, niz my obaj razem!

Zasluzyl sobie tym na slaby smiech i czujac sie troszke lepiej, ponownie skupil sie na tropieniu.

Shana przyczaila sie i chwycila luk lezacy obok niej, czujac zimny dreszcz strachu, ktory przebiegl po jej plecach jak lodowata blyskawica. Zbadala mrok poza zasiegiem swiatla ogniska wzrokiem i umyslem. Ktos tam byl w ciemności i obserwowal ich. Ktos, kogo jeszcze chwile temu tam nie bylo...

Albo ktos, kto do tej pory przeslanial swoja obecność, co oznaczalo dzialanie magii, takiej magii, jaka mogli poslugiwac sie tylko elfi wladcy i mieszancy. Ludzie mogli skrywac swe mysli, jesli mieli moc, albo jesli nosili obroze, lecz tylko elfia magia byla w stanie ukryc obecność kogos. Najwieksi sposrod czarodziei potrafili w dawnych czasach nawet zamaskowac zdradzieckie odglosy uzywania magii. Elfowie umieli robic to bez wysilku, lecz rzadko chcialo im sie. Oznaczalo to, ze intruz byl albo elfem, albo czarodziejem potezniejszym od wszystkich, jakich Shana znala.

Nie, zaczekaj! Ogarnal ja jeszcze wiekszy chlod, a rece zacisnely sie mocniej na luku.

Nieznane przeslanialo podwojna obecność. Bylo ich tam dwoch. Jeden z nich przesunal sie, a wtedy do jej nozdrzy dotarl ostry zapach poruszonych wilgotnych lisci. "Tak - glos pelen wahania rozlegl sie w jej myslach, zanim zdazyla zabarykadowac sie przed nim. - Jest nas dwoch. Usilowalismy cie odnalezc. Niezmierne potrzebna jest nam twoja pomoc".

Głos brzmiał niepewnie, nierówno pod względem tonu i siły, jakby mowiacy nie był przyzwyczajony do porozumiewania się w ten sposób. Strach Shany jednakże nie zmniejszył się wcale i nadal była cała spięta. Nigdy jeszcze nie spotkała się z przypadkiem, by elfi władca korzystał z usług człowieka lub mieszanka o czarodziejskich zdolnościach, co jednakże nie oznaczało, że coś podobnego nie mogło się wydarzyć - w końcu w starych pamiętnikach były pewne podejrzenia. Czyżby to, jej najgorsza obawa, miała się okazać rzeczywistością?

-Wyjdźcie tak, żebym mogła was zobaczyć - powiedziała na głos. "Shano, jeden z nich jest..." - zaczął Keman, gdy para czająca się w mroku weszła w krąg światła ich ogniska. W jego blasku dostrzegli ciemne włosy, lekko szpiczaste uszy, zielone czy - i skryta w cieniu towarzysza postać o białobłond włosach, ostro zakończonych uszach, alabastrowobladej skorze, kanciastych rysach i zielonych oczach, "...elfim władca" - dokńczył niezdarnie Keman. No cóż, jedno było pewne, elfi władca nie wyglądał zbyt władczo w tej chwili. Mokre włosy spadały mu na twarz, zasłaniając to, czego nie przesłaniał mrok. Obaj przedstawiali bardzo oplakany widok; przemoczeni, brudni, znuzeni, w ubraniach podartych przez ciernie i bladej na twarzy z zimna.

W oczach polelfa Shana dostrzegala coś, co mogło trafić jej do serca: nadzieje i więcej niż odrobine desperacji. "Moim przyjacielem i kuzynem" - poprawił wyniosłe polelf.

Wystąpił naprzód, stając pomiędzy młodym elfim panem a Shana. - Valyn i ja przybyliśmy, by szukać pomocy. On ocalił mnie tyle razy, że już straciłem rachubę - ciągnął mieszaniec na głos. - Nie jest taki, jak inni, a w tej chwili grozi mu takie samo niebezpieczeństwo, jak nam. Może nawet większe. Odległości potężny luk, szczególnie wsparty jej czarami, z łatwością mógł wypuścić belt, który przeszyje ich obu naraz. Obaj cofnęli się o krok, mierzeni otwarciem wrogim spojrzeniem Shany.

-Dokładnie to właśnie powiedziałbys, gdyby on wykorzystywał cie do odnajdowania czarodziejów - zauważyła, grając na zwłokę, podczas gdy Keman przygotowywał się do szybkiej przemiany, gdyby zaszła potrzeba. - Pojawiacie się nie wiadomo skąd w chwili, gdy ja wiem, że śledza mnie elfowie, i twierdzicie, że powinnam wam pomóc, ponieważ grozi wam niebezpieczeństwo. A mnie to wygląda na pulapkę. W tej chwili nie widzę żadnego powodu, aby wam uwierzyć. Przecież ty możesz być z łatwością pod jego kontrolą.

Reakcja polelfa zaskoczyła ją. Zaklął i zerwał z szyi swą obróżę, rzucając ją na ziemię.

-Masz! - rzekł gniewnie. - Czy to cie przekonuje? Do diabła, jesteśmy zmarznięci, głodni, zmęczeni, w takich samych opalach jak wy, i jesteśmy bezradni!

-Wszystko to może być udawane - odparła chłodno. - On może panować nad tobą w jakiś inny sposób niż przez obróżę. Akurat tak się składa, że obróżę są dogodnym nośnikiem zakleć przymuszających i warunkujących.

Elfi władca, Valyn, wysunął się zza swego towarzysza, chociaż jego twarz wciąż skrywał cien. - Wygląda na to, że sporo wiesz na ten temat - powiedział niesmiało. - Mero twierdzi jednak, że posiadasz znacznie silniejsze zdolności psychiczne niż on. Dlaczego więc nie przeczytasz jego myśli i nie sprawdzisz, że to co mówi, jest prawdą? Na mych przodków, jeśli o to chodzi, możesz zajrzeć również do moich myśli, proszę bardzo!

To ją zaskoczyło. Shana spojrzała na Kemana, który wzruszył ramionami.

-Potrafie ich przypilnować, jeśli to cie martwi - odpowiedział cicho. - Nie zdołają mi się wymknąć, niezależnie od tego jak są dobrzy.

Shana osobście wątpiła, czy potrafiłby ich powstrzymać, lecz zachowała swe wątpiwości dla siebie. Keman przebywał wśród elfów przez wiele miesięcy i widział nieco z tego, co potrafili. Jeśli sądził, że umie skontrolować atak potężnego elfiego maga, być może tak było.

A być może nie umiał. Naprawdę nie sposób było powiedzieć. W tej chwili jednak sytuacja była patowa; nie mogli zaufać tym nieznanym, a jednak nie mogli też ich odpedzić.

Pokiwała głową z ociąganiem.

-W porządku - powiedziała, opuszczając łuk. A do Kemana rzekła "Mam nadzieję, że wiem, co robie. I mam również nadzieję, że to, co powiedziałeś, to nie były przechwałki".

Chwile później otworzyła je, uśmiechając się jak głupia.

-Chodźcie tu i ogrzejcie się - powiedziała do nich, a wtedy najpierw Mero, a potem jego kuzyn wyraźnie odprezyli się. - Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Mero uśmiechnął się niepewnie i odsunął się na bok, by pozwolić kuzynowi przejść.

Valyn odgarnął z oczu ociekającą wodą włosy i uśmiechnął się, a wtedy dopiero Shana naprawdę go zobaczyła.

Zaczerwieniła się i zagapiła się na niego, a potem szybko odwróciła wzrok. Mimo iż był przemoczony, brudny i znudzony, nigdy w swoim życiu nie widziała kogoś tak niewiarygodnie przystojnego...

I nie miała zielonego pojęcia, co w związku z tym zrobić.

Rozdział XIX Wiemy, gdzie są elfowie, gdyż zdradza ich atmosfera, dźwięk mocy, gdziekolwiek byliby, a obecność ich ludzkich niewolników poznajemy po specyficznej pustce myślowej, jaką powodują obroże.

Cytat ten pochodził wprost z pamiętnika Kalamadei.

Niezależnie od tego, gdzie się znajdowali ani też jak wprawni i potężni byli, nie potrafili skryć

tych bliźniaczych wskazówek.

W ciągu kilku ostatnich dni Shana miała dość okazji, by sprawdzić prawdziwość tego pamiętnika. Smok-czarodziej nie mylił się. Niezależnie od tego, pod jakimi osłonami kryli się elfi władcy, ten słaby szum magii, wykrywalny tylko dla kogoś kto sam był magiem, nie ustawał, przypominając brzęczenie ula z oddali.

Spoglądała nie w płomień małego ogniska, lecz przez nie, badając zmysłami czarodzieja teren, który już przebyli.

Jedna drużyna - dwie...

Na ogień i deszcz! Trzy drużyny poscigowe za nimi! Jakież to gniazdo szerszeni poruszyła?

A może cały ten poscig nie miał nic wspólnego z uratowaniem dzieci, a raczej z ich obecnym towarzystwem?

Mozna by pomyśleć, że do tej pory powinno mi już przejść, pomyślała niespokojnie Shana, starając się ze wszelkich sił nie wpatrywać w rzeźbione, doskonałe rysy twarzy Valyna i absolutnie nie mogąc się powstrzymać od tego. Od czasu gdy Valyn przyłączył się do nich, upłynęło wiele dni. Nawet tygodni. Wciąż jednak na jego widok czuła się... dziwnie. Nie rozumiała tego. I nie była z tego zadowolona. Tylko, że jej się to podobało.

Na ogień i deszcz, jestem strasznie zakłopotana!

Nie chodziło o to, że Valyn jest piekielnie przystojny. Shana widziała pod dostatkiem przystojnych elfów; szczerze mówiąc, wszyscy elfowie byli wystarczająco przystojni, by większość ludzi wprawic w zazdrość. Znała jednakże również wielu mieszanców, którzy byli równie przystojni, jak elfi władcy. Na przykład Zed. Większość polelfów była dość fascynująca, by każdemu zawrócić w głowie...

Prawde mówiąc, od czasu, gdy dostała się do niewoli, nie spotkała się z brakiem atrakcyjnych młodych mężczyzn. Żaden z nich nie wywarł na niej najmniejszego wpływu.

Więc czemu na widok Valyna tak się denerwowała?

Za każdym razem gdy spoglądała na niego, czuła się speszona i dziwnie oniesmielona. Za każdym razem gdy on spojrzał na nią, wiedziała, że czyni to. Czuła spojrzenie jego oczu na sobie tak wyraźnie, jakby były bliźniaczymi słońcami, których blask padał na nią. Rozpaczliwie pragnęła przypodobac mu się, uczynić go dumnym z niej. I tak było od czasu owej pierwszej nocy, jaka spędzili wokół ogniska obozowego.

Kiedy przyglądał jej się, czuła na zmianę uderzenie żaru do głowy i chłód, a kiedy mówił do niej, traciła watek tego, co sama mówiła. W porównaniu z nim, jego kuzyn Mero był ledwie cieniem, którego imieniem go nazwano. Przyglądała mu się przy każdej okazji za dnia i sniła

o nim w nocy.

Im dalej zagłębiali się w puszcze, tym silniejsze były jej uczucia - a jednak śmiertelnie bała się powiedzieć mu, co do niego czuje, jakby zdradzenie tego miało zniszczyć wszystkie marzenia, jakie snuła każdej nocy.

Może właśnie o to chodziło. Dopóki odnosił się do niej z wyniosłością, mogła marzyć, ile chciała. Gdyby powiedziała mu, co czuje, musiałby jakos na to zareagować - a jego odpowiedź, tak czy inaczej, zmieniłaby wszystko między nimi.

Nawet nie wiedziała, jak poradzić sobie z tym, co ich teraz łączyło... ani, czy w ogóle ich coś łączyło.

Posepnie wpatrywała się w jego nieskazitelnie piękny profil po drugiej stronie ogniska, obserwując jak rozmawia z Kemanem i swym kuzynem. Jego mowa, jak wszystko inne, co go dotyczyło, była dworna i uprzejma, a głos, którym przemawiał, był równie melodyjny, co głos niejednego człowieka podczas śpiewu.

Gdyby mu się zwierzyła, albo wysmiałby ją, albo potraktował poważnie. Tak czy inaczej, marzenia skończyłyby się. Chciała jeszcze przez jakiś czas pomarzyć, wyobrazić sobie wszystko, co byłoby możliwe między nimi...

Nie miała natomiast ochoty mieć do czynienia z rzeczywistością. W końcu jak wielkie istnieje prawdopodobieństwo, że wyda się atrakcyjną szlachetnie urodzonemu elfiemu władcy? Z całą pewnością jemu naprawdę podobają się damy pełnej krwi elfiej, podobne do tych, którym się potajemnie przyglądała. Z pewnością marzył nie o włosach koloru jesiennych liści, lecz o jedwabistych i złotych jak słońce. W mniej rozpaczliwej sytuacji same jej maniere wystarczyłyby, aby go odstąpił. Nie miała żadnych manier, o których warto by wspominać. Była nieokrzesana i bezpośrednia, dość twarda, by samodzielnie przeżyć pustynię. Delikatna elfia paniąka najprawdopodobniej zemdlalaby na sama myśl o takiej wędrowce - a elfia dama nigdy o niczym nie mówiła wprost.

Powinna była wiedzieć o tym, przecież dość długo przyglądała im się ich oczami.

Rozgrywały partie podstępów i insynuacji, które różniły się od zabaw ich panów tylko ilością użytej mocy.

Mimo to, dlaczego właściwie nie miałyby być dla niego pociągająca z tych samych przyczyn? Czyż nie mogły mu się znudzić niesmiała elfie paniąki i ich udawana niewinność? Dlaczego nie miałyby zafascynować go jej wytrzymałość i awanturnictwo?

Na pewno może mieć dość wiecznej, lodowato posagowej doskonałości elfich kobiet.

Długie spojrzenia, jakie jej bezustannie posyłał, mogą okazać się tesknymi spojrzeniami.

Czy to miłość? Jej jedyną wiedzą, na której mogła się oprzeć, było to, co od czasu do czasu przeczytała w archiwach cytadeli, lub książki, z których wraz z Kemanem uczyła się języka elfów. Te ostatnie niewiele mówiły o "miłości" - to uczucie odgrywało bardzo niewielką rolę w małżeństwach elfów. Rzadko elfowie przyznawali się do miłości, a jeszcze rzadziej mogli kierować się nią w swym postępowaniu. Złożoność elfiej polityki zazwyczaj czyniła miłość niemożliwą.

Co do archiwów - coż, była w nich obfitość romansów i ballad, które w większości pominięto całkowicie na rzecz zapisów historycznych. Pragnęła faktów, nie fantazji; środków prowadzących do władzy, nie czegoś, co odwraca uwagę. Teraz załowała, że nie przeczytała przynajmniej kilku z nich. Mogła tylko wpatrywać się w Valynę na tyle potajemnie, na ile potrafiła, zastanawiać się i snuć marzenia.

Nie można było powiedzieć, żeby nie miała nic innego do roboty; Pan Cheynar i jego drużyna wciąż polowali na nich - a kiedy nie była zajęta z Kemanem zostawianiem fałszywych tropów i zagłębianiem się wciąż dalej w puszcze, uczyła Cienia, jak ma używać zdolności. W każdym razie usiłowała go uczyć. Valyn strasznie ją rozpraszał - a Cien choć był dość miły, zdawał się mieć do niej niechęć za uwielbienie dla jego kuzyna.

Może po prostu jest zazdrosny. Nie mogła być jednak pewna; chciał, żeby go uczyła, lecz teraz czasami zachowywał się tak, jakby nie wierzył całkiem w to, co mówiła.

Bez względu na przyczynę, za każdym razem gdy próbowała pokazać mu coś, przyglądał jej się, jakby podejrzewał, że coś przed nim ukrywa. Potem jeżył się i zachowywał złośliwie wrogo, kiedy usiłowała poprawić go. Mimo iż zazwyczaj było jej go żal, ponieważ nielato jest żyć w cieniu kogoś tak widowiskowego, jak Valyn, czasami miała dość jego podejścia i coraz częściej denerwowało ją to, w jaki sposób on reagował niepokojem na wiele rzeczy.

Bardzo życzyła sobie w duchu, żeby wreszcie zdecydował się, czego chce. Czuliła się nieswojo, kiedy przyglądał się jej spod tej jego potarganej, ciemnej czupryny. Miała już serdecznie dość tego, że patrzy na nią jak niespokojny jastrząb, za każdym razem gdy powiedziała coś miłego Valynowi, lub gdy rzuciła kątem oka spojrzenie elfiemu władcy.

Ich znajomość zaczęła się całkiem dobrze, lecz szybko zaczęła się psuć. Znużona rezerwa Valyny, nerwami Cienia, obrzydliwa deszczowa pogoda i stała świadomość pościgu, była już bliska powiedzenia im obu, aby sami się o siebie zatroszczyli i zostawili ją i Kemana w spokoju.

Tyle tylko, że oznaczałoby to, że najpewniej nigdy już nie ujrzy Valynę. Nawet jeśli przeżyje pościg, nie ma gdzie się udać. Z całą pewnością nie może starać się o przyjęcie do cytadeli. Nawet, gdyby ją odnalazł, nigdy by nie dostał się do środka; najprawdopodobniej zabiłby go natychmiast po dostrzeżeniu.

Nie ma odpowiedzi, pomyślała, wbijając posepnie wzrok w płomień ogniska. Żadnej

odpowiedzi.

Valyn spoglądał w zarzace się węgle w sercu ogniska - pierwszego, jakie rozpalili w ciągu minionych trzech dni. Albo w żaden sposób nie mogli zasłonić go, aby nikt go nie dostrzegł, albo nie było dość suchego drewna, by podsycać ogień nie wysyłając zdradzieckiej smugi dymu. Oczywiście mogłoby użyć swojej magii, żeby wszystkich ich ogrzać, lecz byłby to inny zdradliwy znak, tak wyraźny dla niektórych "oczu", jak rozpalenie ognia. Lepiej dygotać z zimna, niż sprowadzić na siebie pana Cheynara.

Tego wieczoru jednak natknęli się na rumowisko skalne, które mogli nakryć galeziami sosnowymi jak dachem, a w pobliżu, pod zwalonym drzewem zachowało się nieco suchego drewna, dość, by rozpalic ogień i podsycac go do zmierzchu. Po zapadnięciu zmroku, dym, jaki będzie się wznosił z ognia, do którego dorzuci zielonych galezi, nie będzie miał znaczenia.

Ognisko oznaczało gorącą kolację składającą się z gotowanego mięsa, zamiast korzonków i surowych ryb, jakimi żyli przez ostatnie trzy wieczory. Powinni być z tego powodu zadowoleni, a nie byli. Wszyscy czworo kulili się wokół jasnego ognia, jakby spragnieni jego ciepła - a jednak odsuwali się od siebie, za bardzo starając się nie dotykać się.

Niewidzialne prądy szarpały nimi w tę i w tamtą stronę, prądy uczuć, które mogły rozdzielić ich, zanim jeszcze za bardzo mieli okazję zorientować się, jak dobrze mogłoby współdziałać. Na przykład: Valyn bardzo dobrze wiedział, co Shana do niego czuła.

Jakże miałby nie wiedzieć? Nawet bez zdolności czytania w myślach nie mógł nie dostrzec jej zauroczenia. Nie po raz pierwszy był obiektem pożądania młodej dziewczyny i nie zawsze tylko dla prestiżu, jakim było wzięcie jej do swego łóżka. Niejedna nałoznica prawdziwie i szczerze kochała go - albo sama była o tym przekonana. Przynajmniej pożądała go. Z pewnością tęskniła do niego.

Jednak to szczególne zauroczenie było niebezpieczne. Shana była ładną dziewczyną, na swój sposób. Trochę za ognistą jak na jego gust, lecz należała do tego typu młodych dziewczyn, jakie Dyran bez ociągania porwałby i umieścił w swym haremie...

I na tym dokładnie polegał problem. Dyran zagarnął kiedyś kobietę bardzo do niej podobną. Jej matkę, Serinę. Valyn nie pamiętał Seriny, ani zamieszania, jakie wywołała w haremie jej ucieczka, lecz oczywiście dowiedział się o tym w czasie, gdy dorastał. Była kims w rodzaju legendy, w każdym razie na tyle, by jej historia zaintrygowała go, chociaż nigdy nie mógł dowiedzieć się, dlaczego uciekła. Potem od matki Mero dowiedział się prawdy. Serina nosiła w swym łonie dziecko mieszanej krwi, takie jak Mero, a o jej stanie doniesiono Dyranowi. Wydano rozkazy, żeby ją zabić, lecz dowiedziała się o nich sama porę, by uciec. Wszyscy przypuszczali, że zginęła na pustyni. Po tym, co powiedzieli mu Shana i Keman i sadząc po tym, co wiedział o Serinie Daeth, nie miał żadnych wątpliwości, kim musiała być matka Shany. W ciągu ostatnich szesnastu czy siedemnastu lat uciekła tylko

jedna ciezarna konkubina - dodawszy do tego fakt, ze tylko kobieta tak zdumiewajaco piekna jak Serina Daeth moglaby wydac na swiat corke taka, jak Shana - i ostateczny fakt narodzin malenkiej Shany oraz nastepnie ocalenie przez smoka - mogli dojsc tylko do jednego wniosku. Shana byla jego przyrodnia siostra.

Co oznaczalo, ze nawet, gdyby zakochal sie w niej, byla dla niego absolutnie zakazana.

I nawet smok nie sklonilby go do myslenia w inny sposob.

Smok. Nie, nawet Keman nie zdolalby go przekonac. Zreszta nie sadzil, zeby Keman mial na to ochote - ale kto wie, jak rozumuja smoki?

Valyn tego z cala pewnoscia nie wiedzial, nawet spedziwszy wiele dni z jednym z nich. Nigdy by nie domyslil sie, ze Keman nie jest polelfem, gdyby Shana i jej przybrany brat nie postanowili powiedziec im obu. Niemniej jednak juz wczesniej zaczynal cos podejrzewac, kiedy Keman znikal tuz o zachodzie slonca i wracal wkrótce potem.

Probował w jakis sposob sledzic go, lecz Keman zawsze mu sie wymykal. Potem Shana przylapala go na sledzeniu brata - i wtedy wlasnie postanowili pokazac mu, co tu sie naprawde dzieje, aby Keman mogl oddalac sie na polowanie i pozywanie sie bez koniecznosci wymykania sie.

Ujrzenie na wlasne oczy jednego z legendarnych smokow wstrzasnelo nim nieco.

Zanim jeszcze Keman zmienil postac, powiedzieli mu, ze przybrana matka Shany byla smoczyca, ale poczatkowo sadzil, ze Shana i jej "przybrany brat" chca zakpic sobie z niego. A potem Keman udowodnil w najbardziej niezbity z wszystkich mozliwych sposobow, ze mimo wszystko smoki istnieja.

Kiedy Keman po raz pierwszy zmienil ksztalt na ich oczach, Valyn byl tak zaszokowany, tak straszliwie zaskoczony, ze malo brakowalo, a uleglby pokusie wywnioskowania, iz albo zachorowal i ma goraczkowe przywidzenia, albo Shana i Keman sa niezrównanymi iluzjonistami. Jednakze nigdy nie czul sie zdrowszy - a Keman byl w dotyku calkiem solidny i materialny, co dowodzilo, ze nie jest zadnym zludzeniem.

Teraz wiec Valyn wiedzial, dlaczego Keman i Shana nie mogli wrocic do kryjowki czarodziejow - przynajmniej tak dlugo, dopoki smok nie nauczy sie ukrywac te sposrod swych mysli, ktore zdradzilyby, kim jest naprawde. Przez to byl mniej wiecej w tej samej sytuacji, co oni, poniewaz nie bylo mowy, aby mogl sam tam sie udac, dopoki i jesli w ogole, nie nauczy sie nasladowac zdolnosci czarodziejskich i nie znajdzie sposobu stworzenia i utrzymania zludzenia, ze jest mieszancem.

A prawdziwi mieszancy byli przywiazani do swych "braci". Cien nie opuscilby go;

Shana nie zostawilaby Kemana.

Z tego też powodu musieli przebywać w puszczy - a Keman i Shana mieli zdecydowaną przewagę nad nim samym i Mero. Oni wiedzieli, jak tu utrzymać się przy życiu, a nawet dobrze sobie radzić. On i Mero, nawet jeśli nie byli całkowicie bezradni, wyraźnie byli poszkodowani. Kiedy wraz z Mero wybierał się na polowania, czy obozowanie w lesie, odbywało się to w stosunkowo obłaskawionych lasach majątku i w towarzystwie tuzina niewolników, którzy zajmowali się wszystkim, co było im potrzebne.

Poza tym mieli dostęp do nieomal wszystkich wygod, z jakich mogli korzystać w domu.

Szansa na ich samodzielne utrzymanie się przy życiu w tej okolicy nie przedstawiała się najlepiej.

Gdyby musieli opuścić Shana i Keman, wraz z Cieniem mogliby równie dobrze stanąć i zaczekać, aż przyjdzie któraś z tych bestii, żeby ich pozrec. To Shana głównie znajdowała pożywienie, szczególnie korzonki i podobne rzeczy. Poza tym, chociaż uczyła Cienia, jak wykorzystywać swoją moc do tropienia co osobliwszych bestii, które polowały w tych lasach, Valyn nie był przekonany, czy jego kuzyn ma już wystarczająco dużo doświadczenia. Spudłował do tego ostatniego jednoroga i nawet w ogóle nie zorientował się, że w okolicy jest drzewolaz.

Ognisko trzaskalo i skwierczalo. Valyn dorzucił kłode do ognia i przyglądał się, jak kora zajęła się ogniem.

Gdyby Shanie przyszło do głowy, żeby ich zostawić - a tak może się stać, jeśli ją odtraci - podejrzewał, że ani on sam, ani Cien nie mają zbyt wielkich szans na przetrwanie w tej okolicy. Keman nieraz przybierał swą smoczą postać, aby odstraszyć drapieżniki, których ani on, ani Mero nie zdołali dostrzec, czy w jakis sposób wyczuć. Raz, czy dwa razy Shana wezwala małe stado jednorogów, by stratało ich ślady w celu ich zatarcia.

Najczęściej to Shana lub Keman znajdowali i ubijali zwierzyne, która wszyscy jedli. Do tej pory, jedyny wkład, jaki wraz z Mero zdołali wnieść, polegał na rozpalaniu ognisk i budowaniu szalasów. Valyn westchnął i wpatrywał się w płomienie, które gasły i zmieniały się w żarzące węgielki. Problem leżał w tym, iż nie miałby absolutnie nic przeciwko przespaniu się z tą dziewczyną, dopóki nie przeszłoby jej zauroczenie - gdyby tylko nie była jego przyrodnią siostrą. Na nieszczęście nie był w stanie udowodnić tego.

On był całkowicie pewny - ale nawet jeśli była córką Seriny, nie dowodziło to jeszcze, że Dyran jest jej ojcem!

A nawet gdyby mógł przedstawić zadowalające ją dowody, nie był absolutnie przekonany, że miałoby to dla niej jakies znaczenie. Często wydawało się, że zupełnie nie jest zaznajomiona z pojęciami, które on uważał za dość podstawowe, i miał przygnębiające wrażenie, że nawet gdyby o tym wiedziała, nie sprawiłoby to jej żadnej różnicy.

Podczas gdy on... coż, na sama myśl o pojsciu do łozka z własną siostrą skóra mu cierpła.

Tego typu rzeczy wydarzały się wystarczająco często we wczesnych dniach elfiego osadnictwa w tym świecie. Valyn właściwie zastanawiał się, czy to właśnie przypadkiem nie było przyczyną tak nielicznych obecnie narodzin. Pewne było, że spolcowanie i małżeństwa pomiędzy bliskimi krewnymi spowodowało narodziny niejednego prawdziwie potwornego potomstwa, jak i inne kłopoty - co wystarczyło, by wpoić każdemu obecnie żyjącemu elfowi szczerą niechęć do samej myśli o kazirodztwie.

Tak więc nie było mowy, żeby uzyskała od niego to, co wydawało się, że od niego pragnie - a to wpędzi ich w kłopoty i to większe jeszcze, niż już mieli.

Cien zaczął już mieć dość jej sposobu bycia i zaniedbywania jego lekcji. Groziła im, że porzuci ich z powodu jakiegoś drobiazgu i to nie raz.

Gdyby tylko wymyślił jakiś sposób zatrzymania jej przy nich - jakas wieź, której nawet ona nie chciałaby zerwać. Jakiego rodzaju wieź musiałaby to być? Najwyraźniej przyjazn nie wystarczała; musiałoby to być coś mocniejszego, coś bardziej oficjalnego.

Gdyby tylko istniał jakiś sposób, by wciągnąć ją do "rodziny" i sprawić, by poczuła, że powinni być razem.

Wyczuwał, że odczuwała tę potrzebę posiadania rodziny, że przynajmniej częściowo powodem jej nieszczęścia - i częściowo przyczyną jej zakochania - był fakt, że była bardzo samotna. W końcu nie miała już nikogo z wyjątkiem Kemana. Nie wytworzyły się żadne silne więzi między nią a innymi czarodziejami.

Gdyby tylko udało mu się w jakiś sposób okazać jej, że ma o niej wielkie mniemanie i bardzo chciałby, żeby coś ich wszystkich łączyło - nawet jeśli ani trochę nie jest w niej zakochany.

Nie rozumiałaby przysięgi braterstwa ani przysięgi krwi, a nie chciał proponować czegoś, co mogłoby zostać niewłaściwie zrozumiane.

Szkoda tylko, że nie wybrała sobie Cienia na obiekt swej miłości. Wydawało się, że lubi go, a on lubi ją, a przynajmniej tak się zwierzył swemu starszemu kuzynowi. Mimo to czuł się przy niej niespokojnie, a często odnosiło się wrażenie, że i ona jest nie mniej zaniepokojona w jego towarzystwie.

Gdyby tylko poznali się, może polubiliby się bardziej. Wtedy nawet nie przyszłoby jej na myśl, żeby ich opuścić. W jaki sposób zmusić ją do zostania? I wtedy wymyślił...

Zareczyny. U smoków było coś podobnego, więc to zrozumie. Gdyby zareczył ją z Cieniem, to włączyłoby ją do rodziny Valyna i chroniłoby wszystkich. Było to doskonale rozwiązanie - lepsze nawet niż większość elfich małżeństw, gdyż znała Cienia i wydawało się, że istnieje między nimi pewna więź przyjazni i serdeczności. Wytlumaczył to jej jako przymierze klanowe. Jeśli obserwowała elfich władców, zrozumie to. Jeśli zgodzi się na to, może nawet

zacznie przenosic czesc swego milosnego zaslepienia na Cienia, a przynajmniej bedzie poczuwala sie do obowiazku wlasciwego uczenia go. Potraktuje powaznie ten obowiazek - a Valyn nie bedzie juz tak odwracac jej uwagi. Nie bedzie juz tak sklonna do ucieczki i porzucenia ich.

Czul sie niezmiernie zadowolony z siebie, ze wymyslil tak eleganckie rozwiazanie.

Elfie wychowanie sklonilo go do pysznienia sie przez chwile, ze znalazl rozwiazanie, ktore nie mieszalo jego samego w te sprawe. Poza tym przeciez lubila Cienia, o czym nieraz mu mowila. Gdyby miala zostac zareczona z nim - i gdyby tylko Mero postaral sie byc tak czarujacy, jak Valyn wiedzial, ze potrafi byc - moze stwierdzilaby, ze nie tylko jej zauroczenie przenosi sie z Valyna na Mero, lecz takze zmienia sie w cos wiecej niz tylko zauroczenie. To byloby dobre dla wszystkich.

Skoro Mero potrafil oczarowac polowe kobiet w haremie, mimo ich doswiadczenia, z pewnoscia zdola oczarowac jedna mloda dziewczynke bez absolutnie zadnego doswiadczenia.

Westchnal i rozluznil sie, czujac, jak opuszcza go napiecie. Dostrzegl, ze Shana siedzaca po drugiej stronie ogniska podniosla glowe i spojrzala na niego. Poslal jej usmiech, a ona odpowiedziala rowniez usmiechem.

Tak, sadze, ze to podziala, pomyslal sobie. Sadze, ze to stanowczo podziala. Poprosze ja o to jutro.

Shana nie byla zupełnie pewna, czy uslyszala dobrze, co Valyn powiedzial. Nie to spodziewala sie uslyszec, kiedy zaprowadzil ja na ubocze w czasie poludniowego postoju, nad brzeg strumienia, nad którym sie zatrzymali, gdzie szum wody zagluszal ich glosy. Mieli mnostwo innych zmartwien. Wygladalo na to, ze Cheynar i jego tropiciele znalezi jakis sposob na odnalezienie ich sladow - Cheynar zblizal sie juz od tyłu, choc dzielilo go od nich jeszcze kilka dni podrozy, a z obu bokow zblizaly sie jeszcze dwie inne grupy. Zaczynalo im brakowac juz miejsc ucieczki. Niewiele juz zostalo przed nimi dzikich obszarow i wkrótce zmuszeni beda albo zawrocic i ryzykowac natkniecie sie na Cheynara, albo wejda na teren wlosci jakiegos elfiego pana. Shana miala niejakie pojecie o tym, gdzie sie znajduja, ale tylko niejakie, bowiem od dosyc dawna podrozowali juz na oslep. Kiedy rozpoczynali te wedrowke, Shana byla pewna siebie i swych umiejetnosci, lecz teraz byla roztrzesiona.

Pogoda nadal byla paskudna, chociaz tego dnia wyjatkowo byla dosc ladna - a ktoregos dnia beda musieli wreszcie zadecydowac, gdzie sie przyczaja. W tym momencie nadal nie bylo mowy o cytadeli.

Ze wszystkich mozliwych momentow do podjecia tego wlasnie tematu, nie byl to akurat ten, ktorego na zdrowy rozum Shana mogla sie spodziewac.

-Co bys chcial? - zapytala z niedowierzaniem. - Chcesz, zebym co zrobila?

Z Mero? - odgarnęła włosy za uszy i wbiła w niego wzrok.

Valyn siadł na wystającym korzeniu, plecami do olbrzymiego pnia wierzby, i gestem wskazał podobny korzeń naprzeciwko, jakby nie spieszyło im się ani trochę. Przybrał owy wyraz twarzy cierplivej starszej osoby, jaki widywała aż nazbyt często na twarzach czarodziejów, kiedy zamierzali traktować ją jak dziecko.

Shana stała po prostu z otwartymi ustami, czując się zbyt oszolomiona, by je zamknąć.

-Proszę, usiadz - powiedział Valyn, uśmiechając się z ośniewającym wdziękiem.

-Dostaje skurczu w karku od patrzenia w górę na ciebie.

Shana usiadła, a raczej opadła na korzeń, jak ładujący jastrząb, jakby w każdej chwili miała odlecieć zaniepokojona. Dokładnie tak się czuła.

-Uważam, że ty i Mero powiniście się zareczyć, Shano - rzekł poważnie Valyn, nachylając się nieco. - Nazwijmy to przymierzem klanowym. Wiesz, co to oznacza.

Przecież żadne z nas nie wierzy w te romantyczne ballady. Wiemy natomiast, jak naprawdę ważne są przymierza jakie dają oparcie i potęgę. Mogłoby to wiele znaczyć, i nie tylko dla naszej czwórki, ale także ogólnie dla ludzi i polelfów. Posłuchaj, Mero zna rasę elfów; zna ich naprawdę dobrze, spędził przecież całe swoje życie wewnątrz jednego z klanów, zachowawszy swe zdolności psychiczne. Może bardzo pomóc, nie tylko polelfom z cytadeli, lecz także w posunięciach skierowanych przeciw elfim panom na rzecz mieszanców i ludzi obdarzonych czarodziejskimi zdolnościami.

-A ty? - wyjąkała. Ona również nachyliła się, a wtedy on odsunął się nerwowo.

-Ty mogłabyś pomóc w równym stopniu. Może nawet więcej! Jesteś przecież elfim władcą...

-I właśnie dlatego twoi czarodzieje nigdy nie zaakceptują mnie samego - odrzekł Valyn, zmarszczywszy lekko brwi w wysiłku przekazania jej, jak ważny jest jego pomysł.

-Lecz kiedy będziesz zareczona z Cieniem, coż, Cień jest moim kuzynem. To są wiezy krwi. Wtedy zrozumieją i zaakceptują.

-Załoczywszy oczywiście, że dadzą ci szansę wytłumaczenia się - odpowiedziała ostro. Valyn potrząsnął głową z pewnością siebie. - Och, z całą pewnością dadzą.

I posłuchaj mnie. Po prostu, przypuszczam, że bez znajomości faktu, iż łączy nas więź krwi, mogą nie zechcieć tak łatwo mi uwierzyć.

Shana odwróciła spojrzenie od niego i wbiła wzrok w spienione fale potoku. - Więc mówisz, że pozwolą ci wejść do środka, a w każdym razie zbliżyć do cytadeli. I co potem?

-Potem powiem im, że czas najwyższy zacząć działać, by obalić elfich władców - odparł Valyn, chociaż nie zabrzmiało to już tak pewnie. - Pokażę im, że jeśli tego nie uczynią, któregoś dnia klany dojdą do wniosku, że oni istnieją naprawdę, są czymś więcej niż drobna niedogodność i postanowią pozbyć się ich. I to potrafię udowodnić. Sądzę, że jeśli powiem im, że będa musieli wystąpić przeciwko klanom i powiem im, co klany czynią w celu zwiększenia władzy nad ludźmi, w jaki sposób wylapują obdarzonych mocą i zabijają ich lub sterylizują, wtedy może uwierzą mi. Jeśli tylko połączysz swój los z moim i Cienia.

-Ale... - zaprotestowała.

-Te zareczyny sa rowniez dla twego bezpieczenstwa, Shano - ciagnal. - W koncu nie masz gwarancji, ze nie uciekniemy po prostu i nie zostawimy cie na tym pustkowiu.

Milczala wciaz, wrzac ze zlosci. Po co ma sie martwic? Doskonale poradzilaby sobie bez zadnego z nich - prawde mowiac, gdyby nie oni, prawdopodobnie moglaby juz w tej chwili udac sie do cytadeli.

-Poza tym Mero znacznie lepiej radzi sobie z samoobrona od ciebie, czy twego przybranego brata, to znaczy pod wzgledem silowym, nie magicznym.

Lepiej niz smok cztery razy dluzszy od konia? Jak moglby lepiej radzic sobie od kogos takiego? Poza tym to nie Mero odpiedzal wieksze drapiezniki...

Szczerze mowiac, musiala jednak przyznac, ze gdyby znalezi sie w sytuacji, w ktorej Keman nie moglby zmienic postaci, Mero rzeczywiscie bylby znawca. Nie bylo mowy, zeby Keman zdolal obronic sie w walce wrecz, a i ona nie byla w tym taka dobra. Ani ona, ani Keman nie potrafili poslugiwac sie zadna bronia oprócz noza. Zwierzyne, ktora przynosila z polowania, zazwyczaj chwytala we wnyki, albo usypiala i bezbolesnie zarzynala, a Keman na swoja zdobycz polowal w smoczej postaci. Zarowno Mero jak i Valyn byli mistrzami lucznictwa, przynajmniej w jej oczach, a Mero wspominal takze o innych umiejetnosciach. Moze ten pomysl mimo wszystko byl cos wart...

Ale dlaczego nie moglaby zareczyc sie z Valynem? Valyn ciagnal swe przemowienie, ignorujac, lub po prostu nie dostrzegajac jej reakcji: - On moglby wiele nauczyc was oboje, na przyklad jak zyc wsrod elfich wladcow, na wypadek, gdybyscie kiedykolwiek byli do tego zmuszeni. On ma naprawde niesamowite szczescie, wiecie, ze nigdy go nie zlapano. Za podawanie sie za osobe wyzszej rangi niz w rzeczywistosci, groza bardzo surowe kary. Gdybyscie musieli kiedykolwiek ukrywac sie wsrod elfow, lepiej byloby, gdyby Mero byl z wami.

A z drugiej strony doskonale moglaby sobie radzic czytajac w myslach, by dowiedziec sie, czego od niej sie oczekuje.

-Poza tym - kontynuowal przekonywajaco - pomysl, jakie znaczenie twoje zareczyny i przymierze z elfim klanem beda mialy dla polelfow, i dla ludzi! Moglibysmy stac sie osrodkiem skupiajacym tych, ktorzy pragna zmienic stan rzeczy! Nasza czwórka razem moze tak wiele dla nich uczynic! Nie przekonamy ich jednak, jesli nie bedzie nas laczyla jakas oficjalna przysiega wiernosci. Mlodzi elfowie, ktorzy moga sprzyjac naszej sprawie, beda podejrzewac, ze wykorzystujesz mnie albo kontrolujesz, a ludzie i mieszcacy beda pewni, ze ja kontroluje ciebie.

Przez caly czas, gdy wyglaszal te przemowe, Shana wpatrywala sie w niego, najpierw z oglupialym zdumieniem, a potem z przerazeniem. Nie mogla uwierzyc, ze on rzeczywiscie wierzy w to, co jej powiedzial. To brzmialo jak jakis wykret. Ale wykret od czego?

Przeciez chyba nie mogl domyslac sie, co ona naprawde do niego czuje? Wiec dlaczego

tak bardzo stara sie wcisnac jej Cienia?

Cien nauczyl go zastosowania jego magii w sposob nasladujacy zdolnosci czarodziejow, w tym umiejtnosci ukrywania swych mysli. Nigdy nie potrafila dobrze czytac w jego myslach, a obecnie prawie wcale nie byla w stanie wykryc, czy w ogole mysli.

Zmuszalo ja to do domyslow na temat tego, do czego on moze zmierzac. Jednoczesnie wrazenie, ze cos przed nia ukrywa, cos dosyc waznego, sprawialo, ze natychmiast zaczela poddawac w watpliwosc jego motywy.

W glebi serca czula sie nieco urazona. Podczas calej przemowy obserwowala go bardzo uwaznie. Bardzo uwaznie trzymal sie nieco z dala od niej, nawet kiedy chcial cos jej podkreslic. Tak, jakby nie chcial zbliczyc sie za bardzo do niej z jakiegos powodu. Za kazdym razem, gdy ich spojrzenia spotykaly sie, on odwracal wzrok. Za kazdym razem, gdy probowala zbliczyc sie nieco, on odsuwal sie.

On jej nie chcial. Nie czul sie zainteresowany ani troche. Po tym wniosku pojawilo sie rozczarowanie, a nastepnie nieco gniewu. Ale dlaczego nie? Czego jej brakowalo?

Jego ojcu przeciez calkiem podobali sie ludzie!

Wtedy zmuszona byla przyznac, w jaki sposob jego ojcu "podobali sie" ludzie - i w jakim kontekscie.

Odpowiedz byla doprawdy bolesnie prosta. Nie musiala nawet szukac jej daleko.

Ona byla mieszancem, a on elfim panem. Znajdowala sie daleko ponizej niego - moze nie byla zupełnie zwierzeciem, ale czymś calkiem mu bliskim. Z pewnością nie przyszlaby mu do glowy nawet mysl o fizycznym kontakcie ze stworzeniem takim, jak ona, za wyjatkiem związku najprymitywniejszego i najprostszego rodzaju. Za bardzo wdal sie w swego ojca. To doprowadzilo ja do innych wnioskow. On rzeczywiscie wiedzial, co ona czuje. Mimo to uwazal, ze jest go niegodna. Wiec zaproponowal jej w zamian Cienia, majac nadzieje, ze w ten sposob zaspokoi zwierze w rui. Bez wzgledu na to, jak pieknych slow uzyl, by to opisac, pewna byla, ze tak wlasnie myslal.

Początkowo jej jedyna reakcja byla straszliwa wscieklosc. Zawrzala w niej - i zagasla rownie szybko, jak sie rozpalila. Ogarnal ja potem wstyd, wstyd, ze dostrzegl jej zainteresowanie, wstyd, ze rzucono jej cos na pocieche... ochlap z panskiego stolu. Tak, jakby nagradzal swego wiernego psa.

Nasunela jej sie okropna mysl. Czy ja mam byc nagroda dla Cienia?

Potem, po wstydzie, znow gniew, lecz tym razem zimny i wyrachowany. Przygladala sie strumieniowi migoczacemu wesolo w sloncu, ktory tak bardzo kontrastowal z mrokiem w jej wnetrzu.

Pomyslała sobie, że może poradzić mu, żeby się zabrał i poszedł sobie. Mogłaby powiedzieć mu, że ona i Keman wybierają się w jedną stronę, a on i Cien mogą sobie wybrać każdą inną drogę, pod warunkiem, że nie będzie to ta sama, co ich. Powinna właśnie tak postąpić. Dostałby nauczkę...

Co do jednego miał jednak rację, co do losu mieszanców i ludzi z czarodziejskimi zdolnościami. Gdyby na to przystała, zyskałaby siłę, aby coś zacząć wreszcie robić.

W końcu wieży działają w obie strony. Skoro zareczyły wiązać ją z Cieniem, wiązały również Cienia z nią. A zgodnie z jego własnymi słowami, również z Valynem. Byłaby stale w jego towarzystwie, tak czy inaczej. Szczerze mówiąc, może jeszcze pozalować, że związał ją ze swym kuzynem...

Poza tym, naprawdę posiadał moc, jakiej pewno nawet się nie domyślał, moc, która mogła rzeczywiście zaważyć na sposobie, w jaki traktowano ogólnie ludzi, nawet zanim jeszcze będzie możliwy wybuch jakiegokolwiek powstania. Valyn był synem i dziedzicem lorda Dyrana. Gdyby zechciał, Valyn mógłby zdobyć posłuchanie wielu innych władców oraz, co równie ważne, ich następców.

Młodszy elfowie byli znacznie elastyczniejsi niż ich ojcowie, a niektórzy nie stracili jeszcze swych ideałów. Dużo więcej natomiast było takich, którzy nie zgadzali się ze starszymi po prostu dlatego, że byli oni starsi i przy władzy.

Istniała możliwość podburzenia synów, by zaangażowali się w tę sprawę, a nawet z tego powodu zagrozili buntem...

Z tego, co mówił Keman, była to jedna z wielu możliwości. Niektórzy z młodszych synów - aż tego co sama widziała być może także córki - byli całkowicie gotowi zaangażować się w każdą sprawę, tak długo, jak będą mogli wychodzić z własnymi osobistymi pretensjami.

Gdyby Valyn został ich rzecznikiem, było całkiem możliwe, że zdolaliby przyciągnąć nawet sporo takiej niezadowolonej młodzieży... A ci, którzy nie przyłączają się dla własnych celów, może dadzą się namówić z samej czystej nudy.

Wnioski te tak ją sama zdumiały, że przez chwilę nawet zapomniała o gniewie, jaki czuła do Valyna. Pomyslała ze zgorzknieniem, że od czasu, gdy znalazła się w cytadeli, nauczyła się polityki. Było to coś, czego przedtem z pewnością nie rozumiała. Okropnie dużo z tego, co smoki robiły w leżu, teraz zaczynało mieć dla niej sens. Ich polityka nigdy nawet w połowie nie była tak skomplikowana, jak machinacje w cytadeli, a sadzać po wszystkim, co opowiedział jej Keman, ta nawet nie mogła się równać z polityką wśród elfów.

Więc Valyn chce się bawić w politykę, czyż nie tak? "zareczyły" pozostaną tylko słowem, bez względu na to, co Valyn sobie wyobraza. Już niedługo Valyn pozaluje, że nie jest na miejscu Cienia.

Odwrocila sie zacisnawszy zeby w grymasie uśmiechu i dala Valynowi odpowiedz.

Tylko blysk czerwieni tam, gdzie nie powinno byc tej barwy, ostrzegł Shane, ze w dolinie za ich plecami bylo cos zlego. I nagle odniosla niemile wrazenie, ze lepiej byloby nie probowac obserwacji doliny magicznym wzrokiem.

Kalamadea tez mial cos do powiedzenia w tej sprawie.

Jesli elfi panowie wiedzieli, ze ktos moze szukac ich wewnetrznym spojrzeniem, zawsze zastawiali pulapki z zaklec na osoby obdarzone magicznym wzrokiem. Takie pulapki spoczywaja calkowicie uspione az do chwili, gdy uruchomi je dotyk sondy - a wtedy zaklecie przymuszajace chwyta obserwatora w peta, z ktorych niewielu potrafilo sie do tej pory wyrwac, obezwladnia i pozbawia przytomnosci az do czasu, gdy elfi wladca zechce przyjsc po swoja zdobycz.

Sposrod nas wszystkich tylko garstka potrafi skutecznie rozbroic takie pulapki, albo zerwac magiczne peta na tak dlugo, by ocalic ofiare - lub samych siebie. A dokonano tego dopiero po dlugich naukach i cwiczeniach. Mam nadzieje, ze nigdy nie bede zmuszony sprawdzic w praktyce tej wiedzy. "Kemanie? - zawolala spiesznie. - Co to byl za blysk czerwieni w dolinie? Czy moglbys spojrzec cieplnym wzrokiem i zobaczyc, czy byly to tylko zwierzeta, albo ptaki?" Mlody smok siedzial na skale powyzej niej, zmieniwszy wczesniej postac na tyle, by przypomniec skale. Poniewaz elfi wladcy podazali za nimi, Shana uznala za stosowne sprawdzac co jakis czas szlak za soba. "Czy to jest to, co mi sie zdaje?" - spytala w nadziei, ze odpowie przeczaco. "To elfowie, Shano, - odrzekl Keman. - Przynajmniej sadze, ze to elfowie. Maja konie, a wiekszosci ludziom nie wolno ich dosiadc".

Zamknela oczy i usilowala przypomniec sobie, czy zablocila szlak na dnie doliny wystarczajaco, by zmylic poscig przez jeszcze jakis czas. Czy plynal tam strumien?

Doszla do wniosku, ze tak. Plynal. A poniewaz wszyscy i tak juz byli przemoczeni do suchej nitki, postanowila, ze przez dobry kawal drogi pojda w gore strumienia woda, zeby zmylic tropy. Mieli wiec troche czasu...

Niewiele jednak. Za malo na odpoczynek, ktorego tak pragnela... "Sadze, ze powinniśmy oddalic sie stad - zasugerowal Keman. - I to szybko". "Sadze, ze masz racje" - odrzekla posepnie.

Valyn doniosl, ze tuz za nimi znajduje sie nastepna grupa scigajacych - lecz nie ta, ktora dostrzegli Shana i Keman. Wygladalo na to, ze w tej byl elfi mag... ktos, kto swoich ograniczonych zdolnosci uzywal do "czytania" ich tropow. Valyn wykryl go tylko dlatego, ze "wyczul" magie za ich plecami, a nastepnie poszedl osobiscie sprawdzic, co to bylo.

Bylo to nieroztropne posuniecie, o czym teraz juz wiedzial. Wtedy wydawalo mu sie rozsadne.

-Jestes pewien, ze cie nie zauwazyli? - zapytal Keman, a Shana zacisnela wargi i spojrzala na niego z rozdrazzeniem. Wiedzial, o czym ona mysli. Gdyby go zobaczyli...

Ale nie zobaczyli, pomyslal sam rozdrazniejszy. Byl lepszym magiem od tego podwladnego posuwajacego sie ich tropem. Teraz, kiedy zastanowil sie nad tym, doszedl do wniosku, ze wlasciwie powinna byc zadowolona, ze przejal inicjatywe w taki sposob.

-Nikt mnie nie zobaczył i nie byłem wystarczająco blisko, by ktoś mnie zobaczył - odrzekł urażony. - Nie jestem niemowleciem. Już przedtem polowałem...

-Ale nigdy przedtem nie byles ofiara - przerwała dziewczyna. - Jak daleko sa za nami?

-Niedaleko - wymamrotal z niepokojem. - Ale zatarlem nasz slad. Nigdy nie zdola go odczytac na podstawie tego, co tam zostawilem.

-Wyczyta za to fakt, ze ktos zatarl go magia - odparla. - Mam tylko nadzieje, ze nie odnajdzie go jeszcze przez jakis czas. - Podniosla glowe i spojrzala w olowiane niebo. Wciaz mzylo i struzki deszczu sciekaly jej po twarzy. - Mam nadzieje, ze ta wstretna pogoda zajmie sie kazdym innym tropem, jaki zostawiamy. - Nastepnie bez slowa odsunela na bok ociekajaca woda galaz i ruszyła ścieżka wydeptana przez zwierzęta, która prowadziła na północ. Valyn wahal sie przez moment, a potem poszedl jej sladem. Cien deptal mu po pietach, a Keman zamykal pochod, nadawszy swym stopom ksztalt jelenich racic, by zmylic slady. Mieli nadzieje, ze rowniez zmyla poscig.

Chcial zaprotestowac mowiac, ze potrzebny im jest odpoczynek, lecz wymykali sie teraz dwom grupom myśliwych, a nie miał pojęcia, ilu jeszcze może tam być.

Najwyraźniej Shana również tego nie wiedziała.

To już nie był tylko poscig za dziećmi. Cheynar nigdy nie wyslalby w tym celu wiecej niz jednej grupy. To byly lowy na czarodziei - Cheynar wiedzial, lub jakos domyslil sie, ze dzieci same nie uciekly. A skoro zakladal obecność czarodziei o pełnej sile...

Valyna ogarnal strach mrozacy krew w zylach. Nie bedzie dla nich pardonu ani tez ucieczki, jesli tylko bedzie zalezalo to od Cheynara.

Cheynar juz nie lubil ludzi, a jesli chodzilo o czarodziei, "nienawisc" nie byla odpowiednim slowem na opisanie odczuc elfiego pana. A jesli chodzi o to, co robi, gdy ich zlapie...

Valyn sprobował nieco przyspieszyć kroku.

Shana zamknela oczy i pomyslala o bezlitosnym, palacym zarze pustynnego slonca, o lagodnym cieple swego lozka w cytadeli i usilowala czarami przyblizyc je nieco, by ulzyc sobie w niedoli. Poniosla kompletna kleske.

Tulili się do siebie, przemoczeni i żalśni, przykucnięci pod mizerną osłoną zwalonego drzewa i byle jakiego szalasu z sosnowych gałęzi. Wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Kemana, który na oczach zafascynowanego Valyna zmienił się w coś na kształt małego smoka. Shana była przyzwyczajona do widoku jego przemian, lecz Valyn i Cien widzieli to tylko raz - i byli wtedy zbyt wstrząśnięci, by rozmyślać o mechanice zmiany kształtu. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że ubranie Kemana było częścią jego ciała, dopóki nie wchłonął go teraz za drugim razem, tuż przed samą przemianą. Gapili się, podczas gdy ona zbierała materiał na szalasy, a gniew, że jest jedyną pracującą osobą, wystarczył, żeby zrobiło jej się ciepło na jakimś czasie.

Teraz Keman leżał na wierzchu kłody, wypatrując drapieżców i śledząc umysłem poczynania scigających ich elfów. Było mu idealnie wygodnie, bowiem dopasował swą przemianę materii do chłodu, a deszcz spływał po jego łuskach. Pozostała trojka przytulała się do siebie na dole pod nim.

Shana z zalem pomyślała, że też chciałaby mieć taką moc. Ponieważ weszła do szalasu na samym końcu, miała kompletnie przemoczone ubranie i dygotała, pomimo bliskiego sąsiedztwa Mero i Valyna. Szczerze mówiąc, czuła się tak żalśnie, że nie doceniała nawet bliskości Valyna. Potarła nos, który wydawał jej się zdrewniały z zimna i kaszlnęła, a złowieszcze drapanie w gardle zwiastowało następne nieszczęście.

Mero kichnął i wytarł nos wierzchem dłoni.

-Nic ci nie jest? - Z troską Valyn spytał kuzyna.

Shana stłumiła kolejny wybuch kaszlu i wściekle spojrzenie. Jednak jej gniew roztopił się w ogólnym fatalnym samopoczuciu, tak że ledwo powstrzymywała się od rozplakania nad sobą. Nie chciała rozkleić się właśnie teraz. Wiele czasu i wysiłku włożyła w to, by sprawić wrażenie osoby twardej i zaradnej. Bez sensu byłoby obroczyć to wszystko wniwecz, ulegając słabości i roniąc łzy... Ale tak naprawdę, miała ochotę zalać się i rozplakać w tej chwili. Było jej zimno, czuła się niedźwie - i miała wrażenie, że zaraz jakas okropna choroba zwali ją z nog - a Valyn martwił się, bo jego głupi kuzyn raz kichnął.

-Wydaje mi się, że znowu się przeziebalem - powiedział Mero przez zapchany nos.

W innych okolicznościach Shana nawet współczułaby mu, sądząc bowiem po głosie, czuł się tak samo fatalnie, jak ona.

-Shano... - rzekł Valyn nie odwracając się (głównie dlatego, że nie był w stanie; tak ciasno byli upakowani, że żadne z nich nie mogło się ruszyć). - Shano, czy możemy coś na to poradzić? Nie możemy pozwolić, żeby Mero zachorował, teraz gdy Cheynar nieomal depta nam po piętach.

Znowu to samo. Jakby nie czuła tego w pełni, w każdej chwili, na jawie i przez większość chwil snu. Miała wrażenie, że kły i pazury zaciskają się już nad nią, gotowe rozszarpać ją,

kiedy tylko zamknie oczy. Strach był tak nieodstępnym towarzyszem u jej boku, że czuła jego metaliczny smak w jedzeniu, a serce zaczynało lomotac za każdym razem, gdy usłyszała dźwięk, którego nie potrafiła natychmiast wyjaśnić. Taki sam strach w głosie Valyna nie wystarczył, żeby ją ulagodzić - on nie myślał o nikim, z wyjątkiem Mero, nawet w ogóle nie zwrócił uwagi na to, że też jest chora.

-Nie - odparła krótko, była bowiem w bardzo złym humorze i wreszcie straciła panowanie nad sobą. - Nie, nie możemy. Nic więcej nie poradzę. Wszystko, czego się nauczyłam, dotyczyło ataku lub obrony. Przykro mi, ale nikt mnie nie nauczył, jak wyczarować z powietrza schronienie.

Powiedziałaby więcej, lecz przerwał jej atak kaszlu. Valyn wykreślił głowę, by spojrzeć na nią przez ramię, a wyraz jego twarzy przeszedł z rozdrażnienia w z troskanie.

-Nic ci nie jest? - spytał. Pokreśliła przecząco głową i zadygotała jeszcze mocniej, przez sosnowe galezie przeciekła bowiem strużka zimnej wody i spłynęła jej po karku.

Pomimo zdecydowanej chęci, by nie okazać słabości, ku jej ostatecznemu upokorzeniu z kącików oczu zaczęły jej płynąć łzy.

Może będa wyglądały jak krople deszczu, pomyślała żalownie. - Prawdopodobnie rozchorowałam się na to samo - powiedziała mimo sciskania w gardle. - Nie sądzę, żeby pogoda wkrótce miała się zmienić. - Nie mogła już dłużej ukrywać urazy w głosie. - To wy, elfowie, jesteście za to odpowiedzialni. Za każdym razem, gdy kombinujecie coś przy wzorach pogody, nawala coś innego. Ta okolica nigdy nie powinna zmienić się w las deszczowy, a na to się zapowiada. Na dokładkę utknęliśmy w jego środku. - Valyn wydawał się zaskoczony jej nagłym wybuchem, więc powściągnęła gniew i złagodziła ton, starając się mówić nieco mniej oskarżycielskim tonem. - Przynajmniej Cheynar nie będzie się poruszał zbyt szybko przy tak okropnej pogodzie.

Zdołała powstrzymać łzy i usmiechnąć się drżąc. Valyn zaniepokojony zmarszczył brwi, gdy znowu kaszlnęła, czując bolesny ucisk w piersi.

-Nie możemy pozwolić sobie na to, żebyś ty też zachorowała - zauważył łagodnie.

-Cheynar nie jest tak daleko za nami. Jeśli rozchorujesz się, kto będzie polował, znajdował miejsca na obozowiska i był naszym przewodnikiem po tej okolicy?

-Watpie, żeby ktorekolwiek z nas miało jakiś wybór - odparła. - Czy myślisz, że gdybym mogła wyczarować wielki dom z ciepłymi łózkami i gorącymi napojami, nie zrobiłabym tego?

Na myśl o tym, kolejna łza pociekła po jej policzku, a jej ścieżka była jedynym ciepłym miejscem na jej skórze.

Valyn zacisnął szczęki i spojrział na nią z bliska. - Okropnie wyglądasz - stwierdził.

-I przypuszczam, że Cien ma goraczkę. Oboje będziecie chorzy jeszcze przed zmierzchem.

No i co ja mam na to poradzić? odparła w myślach. I kogo by to obchodziło?

Najwyraźniej Valyna obchodziło choć trochę. - Dość tego - powiedział z przekonaniem. - Nie mam wyboru, musimy wydostać się stąd i wrócić w jakąś bardziej cywilizowaną okolicę.

-Racja - odrzekła, a w jej głosie pobrzmiewała nuta sarkazmu. Zaczął padać odrobine silniejszy deszcz, akurat wystarczająco, by następna strużka zimnej wody przeciekła przez galezie i spłynęła jej po karku. - Podejże po prostu do drzwi lorda Dyrana i spytam go, czy zechciałby udzielić nam wszystkim gościny. W końcu powinien szaleć z radości na nasz widok, na widok własnego syna, który się go wyrzekł, dwóch mieszanców i smoka.

Ku jej zaskoczeniu, Valyn uśmiechnął się lekko. - Niezupełnie to miałem na myśli - powiedział słodkim i rozsądnym tonem, który tak ją irytował. - Ale prawie. Stare przysłowie mówi, że najlepsze miejsce schronienia znajduje się na terytorium wroga.

Spróbujmy więc.

-Chcesz powiedzieć, że byśmy zawrócili w stronę Cheynara i usiłowali ukryć się wśród jego niewolników w majątku, albo coś w tym rodzaju? - spytała przerażona.

-Nigdy nam się to nie uda! Pokreślił głową. - To lekka przesada na terytorium wroga, a poza tym, Cheynar ma za wielu specjalistów od wykrywania czarodziejów. Myślę, że powinniśmy złożyć wizytę pewnej mojej przyjaciółce. Jej posiadłość znajduje się w zasięgu lotu Kemana. Gdybyśmy wyruszyli nocą, mogłoby przenosić nas po jednym i nikt nie zauważyłby nas. Ona jest właśnie takiego typu osoba, która skłonna byłaby przyjąć i ukryć nas dla samego dreszczu emocji ukrywania uciekinierów.

-Przyjaciółka? - powiedziała Shana wznoszącym tonem, który zalał się w ataku kaszlu. Zastanawiała się, czy Keman przysłuchuje się wszystkiemu i czy uważa tak samo jak ona, że to samobójstwo. - Jakże to przyjaciółka przygarnęłaby nas? A może nie powiesz jej, kim jesteśmy? Ostrzegam cię, że po rozmowie z Cieniem nie sadzę, abymy wraz z Kemanem mogli uchodzić za ludzi, lub elfów przy bliższym przyjrzeniu się. Nie uda ci się przedstawić nas mieszanców jako elfów, jeśli będziemy chorzy, ponieważ elfowie nie chorują zbyt często, a jeśli będziemy mieli goraczkę, możesz pożegnać się z wszelkimi złudzeniami, że weźmą nas za ludzi. Nie będziemy w stanie utrzymać iluzji - a twoja magia może zostać rozproszona i zostawi zdradzieckie ślady. - Coz... ta kobieta nie jest po prawdzie przyjaciółką. - Zaczzerwieniał się, a Shana odniosła osobliwe wrażenie, że o pewnych sprawach, dotyczących tej jego przyjaciółki, nie miał ochoty opowiadać nikomu. - Mogę jednak niemal przysiąc, że Triana nie odda nas w ręce pozostałych elfów. Jest kobieta, której nie nazwałbym konformistką i nie traktuje swych ludzi tak, jak niemal wszyscy inni. Nie jest raczej w łaskach u żadnego z dostojników, a jedynym powodem, dla którego jeszcze nie skonfiskowano jej posiadłości, jest fakt, że nigdy nie bawi się w politykę.

Nie jest konformistka? Prawdopodobnie oznacza to, że robi rzeczy, jakich nie powinna. Aha! To tłumaczyłoby rumieniec. Mimo woli drgnęły jej usta i musiała zwalczyć przyływ zazdrości.

Valyn przerwał, jakby szukał właściwych słów. - Zobaczymy, czy zdołam ci wyjaśnić to. Starszyzna tak bardzo sprzeciwiała się temu, by została głowa klanu, iż nigdy im tego nie wybaczyła. Teraz ona nienawidzi Rady w równym stopniu, co oni nią gardzą.

-Przerwał znowu, żeby się zastanowić. - Nie wiem dokładnie, jak zareaguje na widok mieszanców, ale wiem tyle, że utrzymuje kontakty towarzyskie ze swymi ludźmi, wszyscy w jej dworze są młodzi i jeszcze nigdy nie widziałem, żeby skrzywdziła czy uwarunkowała kogośkolwiek niewolnika. Mimo to większość z nich jest fanatycznie do niej przywiązana, przynajmniej ci, których widziałem.

-Brzmi zbyt dobrze, by mogło być prawda - powiedziała zgryźliwie Shana.

-Mówisz "ci, których widziałem", tak więc od razu nasuwa się na myśl pytanie, a co z tymi, których nie widziałeś?

Valyn kaszlnął i znowu się zaczerwienił. - Muszę przyznać, że również nie widziałem, aby ruszyła choć palcem dla kogokolwiek i w jakiegokolwiek innej sprawie poza własną przyjemnością. Prawda jest, że większość czasu poświęca na obmyślanie rozrywek. A jej przyjęcia... coż, są otoczone specyficzną sławą. Byłem obecny na kilku. Sława ta ani w części nawet nie oddaje rzeczywistości.

To powiedziało jej wszystko, co powinna wiedzieć. Nie sądziła, żeby miała za bardzo polubić te Triane. Zdawało się jednak, że nie mają innego wyboru. Shana zacisnęła szczęki tak mocno, że aż ją rozbolewały, żeby i spróbowała wymyślić jakieś niewinne pytanie, zamiast jednego z tuzina tych, jakie nasuwały jej się.

Cien podniósł głowę znad ramion. - Więc jak mamy się tam dostać? Musiałem tego nie dosłyszeć. I jak ominiemy Cheynara i jego wesołą drużynę? - spytał Mero przez nos.

-Sądzę, że Keman zdoła nas przenieść pojedynczo - odparł Valyn. - Mogłoby zaryzykować zabranie nas wszystkich, gdybym nie obawiał się, że Cheynar wyczuje moją magię, którą uczyniłbym nas tymczasowo lżejszymi.

-Absolutnie nie - zaprotestowała natychmiast Shana. - Cheynar nie wie na pewno, że jesteś z nami i nie widzę powodów, aby pozwolić mu dowiedzieć się o tym.

-Zastanowiła się przez chwilę, choć z powodu lupiacego bólu za kośćmi policzkowymi coraz trudniej jej to przychodziło. - Chciałabym jednak coś zrobić, zanim tam się udamy. Chcę mieć brzechwy do strzał, których grotami będą skrawki pazurów Kemana. Na wypadek, gdyby twoja przyjaciółka okazała się niezbyt przyjazna.

Valyn wzdrygnal sie na mysl o tych skrawkach szponow. Shana poczula jego drzenie, chociaz usilowal je ukryc. Nie mogla go za to winic. Kiedy pewnego dnia z zalem stwierdzila, ze to szkoda, ze nie maja elfich grotow, o ktorych wspominaly kroniki, Keman zaproponowal jej czubki swoich pazuirow. Valyn powatpiewal w skutecznosc tych okrawkow, dopoki przypadkowe zadrapanie jednym z ostrych odlamkow nie zaognilo sie natychmiast i wywolalo u niego wstrzas, ktory zatrzymal ich na kilka dni w jednym miejscu. Przez to wlasnie Cheynar zdolal ich dogonic.

Mimo, iz skrawki szponow wydawaly sie Valynowi zlým znakiem, Shana byla przekonana, ze okaza sie wazna bronia przeciw elfom i nie miala zamiaru zrezygnowac z nich. "Powiedz mlodemu elfiemu panu, ze moze zaniec dwoch z was dzis w nocy, a ty i ja prawdopodobnie zdolamy przybyc przed switem, jesli nie zejdziemy ponizej chmur".

Keman mowil z calkowita pewnoscia siebie, co dodalo Shanie otuchy. Nie byla pewna, czy zdola uniesc chocby jedno z nich w locie. "Wazysz nie wiecej niz duzy dworog, albo maly jelonek, siostrzyczko - zasmial sie.

-Wydaje mi sie, ze dam sobie rade".

Przekazala informacje Valynowi, ktory westchnal z nie mniejsza ulga. - W takim razie wszystko bedzie dobrze - powiedzial.

Mero powiedzial cos niedoslyszalnie, kichnal i znow sprobował - Valyn powinien poleciec pierwszy - rzekl przez zapchany nos.

-Ale ty jestes chory... - zaczel Valyn.

-A ty jestes elfem - odparl Mero. - Poza tym ona cie zna. Jej sluzba nie osmieli sie przeszkodzic ci, a ty wytlumaczysz nasza obecność. - Znow kichnal, a Shana musiala stlumic spazm kaszlu. Mero usmiechnal sie blado i powiedzial cos, co prawdopodobnie mialo byc zartem. - Jesli nie przyjmie nas, zabijesz mnie, dobrze? Lepsze to, niz chorowanie tu w blocie.

Shana przegrala zmaganie z atakiem kaszlu i calym jej ciałem wstrzasaly gwałtowne kaszlniecia. Kiedy ustaly, wychrypiala: - On ma racje. Ale jest inne wyjście.

-Mianowicie? - spytal zaniepokojony Valyn.

-Pustynia - odrzekla. - Keman i ja potrafimy tam przezyc, a skoro my mozemy, wy tez mozecie.

-Jesli zdolamy przebyc te odleglosc. Jesli zdolamy przebyc ziemie mojego ojca tak, zeby nie wyczul mojej obecności - odparl posepnie Valyn. - Jesli zdolamy wymknac sie jemu i jego lowcom.

Jego posepność udzieliła się i jej. Shana warknęła: - Coż, lepsze to, niż żaden plan!

Nie odpowiedział na jej wybuch, ale też i nie spodziewała się żadnej odpowiedzi.

Skuliła się ponownie pod pniem drzewa, spróbowała tak się umocnić, żeby kapalo na nią jak najmniej i zasiadła do oczekiwania na zachód słońca.

Wydawało się, że to najdłuższe oczekiwanie w jej życiu.

Valyn trzymał się z całej siły grzebienia na grzbiecie smoka i starał się nie spoglądać w dół. Uczynił tak raz i niemal stracił równowagę oraz skapa zawartość swego żołądka.

Niebo było przesłonięte chmurami, lecz były to nisko wiszące chmury i Keman szybko wzniósł się nad nie, nawet obciążony dodatkową wagą Valyna na swym grzbiecie. Wznosili się wysoko i mknęli na południe, w stronę ziem elfów, a księżyc oświetlał jasno białe wypukłości w dole. Za dzień lub dwa miała być pełnia, a na tej wysokości w czystym powietrzu jego blask był wyjątkowo silny. Dopóki lecieli nad pustkowiem, nie było tak źle, bo chmury pod nimi nie wyglądały realnie i Valyn był w stanie przekonać siebie, że to tylko niezwykle zrecznie stworzone złudzenie. Jednak kiedy dotarli nad ziemie Cheynara, a potem dalej, zasłona chmur wreszcie rozstała się i Valyn popełnił fatalny błąd, spoglądając w dół... W końcu mocno zacisnął powieki i miał nadzieję, że nie zhanbi się za bardzo.

Sądził, że Keman kaze mu usiąść na smoczych ramionach, tuż za karkiem i przed skrzydłami - natomiast Keman kazał mu usadowić się za skrzydłami, tuż przed zadem.

Teraz już rozumiał dlaczego - mięśnie przedniej części ciała stale pracowały, więc mogłyby stracić równowagę i spaść - podczas gdy tutaj mięśnie prawie wcale się nie ruszały. I całe szczęście, gdyż w żaden sposób nie mógł się przymocować. Nie było siodła ani żadnych pasów, tylko własne nogi i sztywne kolce przed nim. Nogami ścisnął z całej siły tułów smoka. Miał uczucie, że kiedy stanie na twardym gruncie, nogi będą go bolały jeszcze przez tydzień.

Ziemie Triany znajdowały się na zachód od majątku Cheynara, na zachód i nieco na południe. Pomiedzy jej włościami a puszcza na granicy ziem Cheynara było bagno, na które nawet Keman nie miał śmiałości się wybrać. Następnie na południe rozciągały się ziemie Dyrana i pustynia, która graniczyła z jego terytorium i pana Berenela. A na zachód - za pustynia...

Ziemie smoków. Prawdziwych smoków. Dosiadam prawdziwego smoka... tak jakby.

Przez chwilę pomyślał o wszystkich bajkach, na jakich się wychował, o historiach ze smokami i o oswojeniu sobie smoka na wierzchowca. Pomyślał też o tym, jak bola go już ręce i nogi od trzymania się, i jak jeden ze splaszczonych kolców na grzbiecie Kemana kłuje go w...

Nieważne.

Sposob, w jaki Keman poruszał się, również nie był, ściśle mówiąc, przyjemny. Valyn zawsze zakładał, że lot będzie gładki.

Akurat.

Normalny dla Kemana ruch - w absolutnie nieruchomym powietrzu - to seria podskoków przy wymachach skrzydeł. Komplikowały to skrety w bok i raptowne spadki, gdy napotykał turbulencje i prądy ciepłe i tylko czasem, bardzo rzadko, lot przerywały błogosławione chwile łagodnego szybowania, gdy Keman dawał wypocząć skrzydłom. Gdyby Valyn miał skłonności do choroby lokomocyjnej, podróż okazałaby się prawdziwą katastrofą. A gdyby szalała prawdziwa burza zamiast deszczu, który im dokuczał, wicher zerwałby Valyną z grzbietu smoka, zanim jeszcze przelecieliby mile.

Gdyby tylko mieli pojęcie, jak jazda na smoku jest bolesna - i jak niewiele trzeba, by skłonić go do polubienia jazdy konnej w normalnym siodle. Albo do jazdy na grelu.

Nawet na narowistym grelu...

Nikt, kto sam nie spróbował jazdy na smoku, nie powinien już więcej mieć ochoty do opisywania tego jako czynu godnego romantycznego bohatera.

Valyn odważył się spojrzeć przed siebie i dostrzegł mrok i cienie drzew usiane wielobarwnymi światełkami. Co więcej, zobaczył wysmukłą, zabarwioną na różowo kolumnę światła wznoszącą się wdzięcznie z ciemności poniżej. To mogła być tylko oświetlona wieża, którą Triana zbudowała na ostatnie przyjęcie, ta z olbrzymią, miękko wyciosaną platformą na szczycie, która była niemal jednym wielkim łozem, otoczonym oknami i nakrytym przeszklonym dachem...

Valyn zaczerwienił się, mimo iż nikt nie zobaczyłby go w tej chwili. Na tym przyjęciu wydarzyły się rzeczy, o których nie wspominał nawet Cieniowi. Pod wieloma względami Triana i Dyran mieli bardzo wiele wspólnego.

Niemniej jednak sama wieża była dowodem na to, jak Triana pod żadnym istotnym względem nie przypominała pozostałych elfich władców. Niemal każdy inny władca, jakiego znał Valyn, mieszkał w dworze całkowicie odcięty od reszty prawdziwego świata. Odnosiło się wrażenie, jakby próbowali stworzyć swe własne małe światy, nie tknięte przez rzeczywistość za ich progiem. Pałac Triany był ze szkła od posadzki do sufitu, a sama właścicielka często wchodziła na wieżę, kiedy była sama, żeby przyglądać się burzy, gwiazdom lub spokojnie płynącym po niebie obłokom.

Przynajmniej tak twierdziła.

Keman przestał podrygiwać i rozpoczął długie zniżanie lotem ślizgowym. Jego celem była

sama wieża, albo miejsce w jej pobliżu. Wyladuje tuż przed dworem, Valyn wejdzie do środka, porozmawia z Triana...

Miejmy nadzieje, że akurat nie będzie w trakcie przyjęcia...

...i dzięki temu raz na zawsze ustala, czy mają gdzie się schronić. Miejmy nadzieje, że tak. Nie skłamał, mówiąc, iż Triana może udzielić im schronienia z czystej przekory, albo dla dreszczu emocji. Nie powiedział natomiast, jak kapryśna jest Triana. Jeśli będzie w złym humorze - ich przybycie może go poprawić, ponieważ rozproszy jej nuda.

Z drugiej strony, może równie dobrze wypędzić Valyna, nie dając mu nawet dojść do słowa.

Valyn wyrwał się z zamyslenia, zdawszy sobie sprawę, że grunt zbliża się bardzo szybko - a on nie miał zielonego pojęcia o tym, jak smok ładuje. Rozpaczliwie wtulił głowę w ramiona i trzymał się z całych sił, gdy Keman gwałtownie załopotał skrzydłami jak sokoł pod koniec lotu nurkowego, młocąc powietrze olbrzymimi, blonistymi skrzydłami z hukiem przypominającym grzmoty i wzbijając przed sobą chmury zeschłych liści i innych smieci.

Opadł na ziemię z szarpnięciem, które rzuciło Valyna do przodu. Nie mogąc się utrzymać, elfi władca stoczył się z barków Kemana i z hukiem wylądował w trawie na siedzeniu, co nie przysporzyło mu dumy ani godności.

Jednakże nim zdolał się odezwąć, obok niego coś zaczęło się wic, tak że poczuł się zmuszony odwrócić wzrok, w takim stanie bowiem, w jakim znajdował się jego zoladek, przyglądanie się Kemanowi w trakcie zmiany kształtu byłoby ostateczną dla niego obrazą. Kiedy odwrócił się ponownie, spostrzegł wielką - bardzo wielką krowę, która przyglądała mu się poważnie ciemnymi oczami.

-Wkrótce wroce - zapewnił młodzika już w chwili, gdy krowa przyłączyła się do stada swych siostr. Krowa obejrzała się przez ramię i pokiwała łbem, a później spuściła go i zaczęła pozerac trawę tak szybko, jak tylko zdołała ją odgryzać.

Nie miał pojęcia, że smok potrafi również zmienić pleć. Ciekawy był, czy tylko zewnętrznie, czy również... Nieważne.

Podmuch upalnego wiatru przyniósł dźwięk melodii wraz z leciutką wonią egzotycznych perfum i zapachem kwiatów. Dom Triany zawsze otaczała muzyka; wyczarowywanie dźwięków było jednym z jej talentów. Kiedy muzyka nie była stworzona magią, posiadała całą masę ludzi wyszkolonych na minstrelach, zarówno śpiewaków jak i grajków, tak by nie zabrakło jej muzyki zarówno dniem, jak i nocą. Valyn spieszył w stronę niedalekich świateł i muzyki, a kiedy zbliżył się do dworu, dostrzegł dwie rzeczy, które napelniły go mieszanym uczuciem ulgi i niepokoju. Nie było śladu gości, co oznaczało, że Triana nie wydawała okolicznościowego przyjęcia. Na szczycie wieży paliło się światło, a w pokoju na gorze widac było poruszająca się samotna postać - co oznaczało, skoro tylko Triana udawała się tam samotnie, że znajdowała się tam, że jest w stosunkowo dobrym humorze, że nie spi - i

prawdopodobnie nudzi jej sie.

Prawdopodobnie okrutnie nudzi jej sie, poniewaz wiekszosc jej zwyklego towarzystwa zajeta byla - jesli ich ojcowie przypominali choc troche Dyrana - rozmaitymi probami wyjasnienia tajemnicy "smoczej skory".

A przyjaciele Valyna moga okazac sie dokladnie tym, czego potrzebowala, by zlagodzic te nude. Natomiast, co zamierzala z nimi zrobic, nikt nie potrafil sie domyslic...

V'dann Triana er-lord Falcion krazyla po waskiej sciezce jaka prowadzila po wewnetrznej stronie okien jej wiezy i spogladala na swiatla swego dworu w dole. Ogarnieta byla niepokojem, który nie pozwalal jej przestac krazyc od chwili, gdy weszla na gore. Ludzila sie nadzieja, ze spacerowaniem wyczerpie energie zrodzona z nerwow, lecz wysilek nie skutkowal.

Do diabla, nudzi mi sie. Musze cos zrobic.

Moze powinna zawolac na dol i polecic, zeby przyslano na gore Rafe...

Na przodkow! Nie tylko jest znudzona, ale i traci pamiec. Popsula go wczoraj, a Mentor nie skonczyl jeszcze szkolic nowego ogiera dla niej.

Nie tylko znudzona, ale i sfrustrowana zastanowila sie nad pozostalymi mozliwosciami, skrecajac w dloni jedwabiste pasmo dlugich do bioder, bladozlotych wlosow.

Na pewno nie kolejne przyjecie. Nie urzadzi zadnego, dopoki nie przestana wysylac swych dzieci na poszukiwania jaszczurczych skor. W tej chwili mogli przyjsc na przyjecie tylko ci, ktorzy raczej nie chcialaby widziec. Przynajmniej nie bez towarzystwa mnostwa zabawniejszych ludzi dookola. Istniala granica, do jakiej gotowa byla tolerowac glupote dla zabawy.

Przez chwile zastanawiala sie, czy nie przylaczyc sie do polowania; w koncu nie tak wielu elfich wladcow z jej mozliwosciami udalo sie na te poszukiwania. Jedna pogloska i strzep skory, który ja potwierdzal, nie sa wystarczajaco wazne, by zasluzyc na uwage glowy klanu, lecz wystarczajaco znaczace, jesli prawdziwe, by klany wyslaly podwladnych i mlodszych synow na poszukiwanie. Gdyby to ona znalazla je...

Nie, to glupi pomysl. Gdyby odnalazla te tak zwane "smoki", co zrobilaby z nimi?

Zapolowala na nie sama? Nie nalezala do tego rodzaju glupcow, ktorzy uwazali, ze narazanie swego zycia to dobry sposob na zwalczanie nudy. Wyslalaby swych podwladnych na polowanie? A potem co? Zbila majatek?

Nie potrzebowala majatku. Juz go miala. Tak dlugo, jak ludzie nie przekraczali rozsadne granicy w okradaniu jej, czego wiecej bylo jej potrzeba? Ojciec wybral najlepszych

możliwych ludzi do zarządzania wszystkim, zanim spadł z konia - a ona umieściła ich na najlepszych stanowiskach dla siebie. Dopoki jej się dobrze powodzi, im też.

Jeśli jeden z nich znajdzie te głupie rzeczy samodzielnie, to doskonale. Poza tym, po co się tym przejmować?

Miała podejrzenia, że i tak to jest oszustwo. Po cichu gratulowała autorowi, kimkolwiek był. Wszyscy zdawali się zapomnieć, że skory można było stworzyć magicznie. W końcu jednorogi, grele i mnóstwo innych zwierząt zostało tak właśnie zrobionych. Potrzeba było tylko cierpliwości, odpowiedniego materiału wyjściowego i bardzo potężnego maga. Spojrzała w dół na rozświetlony wodny ogród i zachichotała na myśl o tym, że ktoś tyle czasu marnuje na cudzy żart. Przypominało to coś, co sama zrobiłaby.

Przygotowanie czegoś takiego, wraz z dziką dziewczyną i całą resztą, zajęłoby jej lata, ale kogo to obchodzi? Jeśli to było oszustwo, to genialne. Żałowała, że sama o tym nie pomyślała wcześniej. A to jest intrygująca myśl...

Nie udaloby jej się, gdyby miało się okazać, że to rzeczywiście oszustwo - lecz gdyby cała sprawa po prostu przycichła, lub okazała się prawdą, może powinna spróbować sama wykrecić podobny numer. Będzie można pekać ze śmiechu na widok tych starych dostojników uganiających się jak głupcy za czymś, co nigdy nie istniało! Mogłaby coś takiego zrobić również, gdyby udało jej się zwabić jednego z młodzieńców, którzy byli potężnymi magami, aby pomógł jej przygotować coś przypominającego afere ze smoczą skórą... Kogoś jak, powiedzmy... Valyn.

Dobiegł ją delikatny, melodyjny dźwięk dzwonka mowiącej rury, która znajdowała się przy wejściu na schody. Wiadomość? Dzwonek obudził jej ciekawość, więc zebrała faldy jedwabnej sukni bursztynowego koloru w jedną dłoń i podeszła do rury po wyscielanej poduszkami posadzce. Niewolnicy wiedzieli, że nie należy jej przeszkadzać, kiedy jest na gorze, chyba że z ważnych powodów. Może to będzie coś podniecającego.

-Tak? - powiedziała do rury.

-Przybył pan Valyn z wizyta - przekazał rozbrzmiewający echem głos z dołu, zniekształcony przez rurę tak, że nie sposób było poznać, do kogo należy. - Mówi, że to bardzo ważne.

Valyn? Jak dobrze się składa! Najpierw myślała o nim, a teraz pojawił się...

Jeszcze można by pomyśleć, że zdobyła moc czarodziejów! Triana знаła Valyną dość dobrze - przypominał większość tych, którzy przybywali na jej przyjęcia. Wiedziała, że znajduje pewną satysfakcję w samym przebywaniu w jej towarzystwie. Nawet jeszcze nie dopuściła go do wewnętrznego kregu, a wciąż był jednym z najchętniej odpowiadających na jej zaproszenia - wyglądało na to, że nawet najbardziej powierzchowny kontakt z kims o jej sławie jest dla niego przezyciem.

Ona natomiast uważała jego idealizm i zapal za dość czarujący. Oczywiście nie na dalszą metę, lecz raz na jakiś czas miło było się odświeżyć. Dlatego też stworzyła specjalny obraz swojej osoby tylko dla niego, obraz, którym rozbawiłaby niezmiernie niektórych z jej bliskich znajomych.

Zdumiona zastanawiała się, w jakie kłopoty mógł popaść, że zmuszony był przybyć do niej po pomoc. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym dowiedzieć.

-Przyslij go na górę - poleciła i zaczęła na niego, poświęcając czas - jaki zajęło mu wspiecie się po wszystkich czterystu stopniach na szczyt wieży - na starannym przybraniu pozycji wyglądania przez okno, niby po to, by przyjrzec się rozjarzonym ogrodom w dole.

Nigdy nie przestawało jej zdumiewać, że ktoś tak niewinny i - coż - łatwowerny jak Valyn, może być tak elegancki. Taka naiwność powinna iść w parze z niezgrabnością, a nie wdziękiem. Właśnie wdzięk zawsze zauważała najpierw...

Fakt, że był obszarpany, rozczochrany i brudny, dotarł do niej dopiero po tym, kiedy już wszedł do komnaty. Tak ją to zaskoczyło, że zupełnie mimowolnie wstała na równe nogi.

-Na przodków i praojców! - wykrzyknęła. - Valyn, w imię rozsądku, gdzie ty się podziewałeś? Coś ty z sobą zrobił?

-Byłem... zajęty - powiedział z wahaniem. - Właśnie dlatego musiałem cię zobaczyć. Wpadłem w niezłe tarapaty.

-Też tak myślałam, sądząc po twoim wyglądzie - odparła sucho. - Przypuszczam, że za dużo sobie obiecuje, zakładając, że nie przyszły one za tobą pod moje drzwi?

-Watpie, czy już to uczyniły, przynajmniej jeszcze nie teraz - odrzekł Valyn, pozwalając jej pociągnąć się na poduszki obok niej, chociaż bardzo uważała, żeby nie dotknąć go w żaden inny sposób. I tak naprawdę nie miała na niego ochoty. Był już podbitym terytorium, i niczym się nie różnił od wszystkich innych zółtodziobów, jakich uwiodła. Natomiast jego kłopoty... tym może warto się zająć.

-Może byś zaczął po prostu od początku - zaproponowała, odsuwając się i przybierając odpowiednio uważny wyraz twarzy.

Wkrótce po tym, jak zaczął, nie musiała już udawać. Kiedy już skończył, w głowie jej się kreciło z podniecenia.

-Pomogę ci - powiedziała całkiem szczerze, kiedy zadyszany zbliżył się do końca opowieści. Jego oczy nie tyle rozblysły, co zapłonęły. Przerwała mu, zanim zdolał zabrać się do dziękowania jej. - Idź po resztę swoich przyjaciół i sprowadź ich tutaj, a ja wzmocnię tarczę i osłony. Może nie jestem mistrzynią magii, ale jestem niezłą i nikt nie zdoła was tu odnaleźć bez przerywania moich linii obrony. Szczerze mówiąc, watpie, czy ktoś będzie was tu szukał

- dodala w zamysleniu. - Tak sa przyzwyczajeni myslec o mnie jako o pustoglowej sybarytce, ze watpie, by ktorykolwiek z tych starych durniow nawet wzial mnie pod uwage przy ukkladaniu listy potencjalnych macieli, chyba ze zartem.

Valyn plynnie wstal i podal jej reke, by pomoc jej wstac. Zaprotestowala gestem.

-Chce zostac na gorze i ulozyc jakis plan - rzekla zgodnie z prawda. - Prosze, wez to...

Zacisnela dlon na chwile i skupila sie na zakleciu wezwania, a kiedy otworzyla ja ponownie, lezal na niej jeden z sygnetow z krwistoczerwonym kamieniem, ktore trzymala w swym biurku. Jeszcze byl cieply od podrozy. Jak wszystkie jej sygnety, byla to prosta pieczec wyrzezbiona z sardonyksu, z herbem jej klanu, ze stojacym na tylnich nogach bazyliszkiem.

-Prosze - powiedziala, podajac mu go. - Oddaj go mojemu stolnikowi i powiedz mu, zeby zajal sie wszystkim, o co poprosisz. W tej chwili nie ma tu nikogo poza mna; zajmij tyle pokoi, ile bedziesz potrzebował. Valyn usmiechnal sie do niej w bardzo szczery, olsniewajaco piekny sposob i skloniwszy sie nad jej dlonia, ucalowal delikatnie jej wierzch i wzial sygnet. - Nigdy nie zdolam zlozyc ci wystarczajacych podziekowan... - rozpoczel.

Przerwala mu zartobliwym gestem. - Idz juz. Idz stad, i nie badz takim niemadrym chlopcem. Wiesz doskonale, jaka przyjemnosc sprawi mi wystrychniecie tych staruchow na dudka. To jeszcze jedna okazja, zeby zabawic sie ich kosztem.

Zauwazyla z pewna przyjemnoscia, ze Valyn poznal ja na tyle, by wiedziec, kiedy usunac sie z wdziakiem, zanim zacznie ja draznic. Kiedy juz wyszedl, osunela sie na miekkie poduszki, pieszczac tkanine omdlala dlonia i zmieniajac ja z kremowego atlasu w czarny aksamit dotykiem oraz kilkoma wyszeptanymi slowami. Kolejnym slowem zgasila swiatlo i w zamysleniu przygladala sie gwiazdom plonacym na niebie za szklanym sufitem.

Czarodzieje i mieszancy! - A oto ona udziela im schronienia. Coz za cudowny zart!

Przypomniala sobie teraz "Cienia" - krecil sie w tle podczas ostatniej wizyty Valyna... nie opuscil komnat Valyna ani razu w ciagu calego pobytu. Oczywiscie, teraz juz wiedziala dlaczego.

Zachichotala i przeciagnela sie zmyslowo na aksamitnych poduszkach. Ach, przodkowie i praojcowie! Jakze Rada chcialaby dostac w swoje szpony te grupke! Troje mieszancow, wszyscy obdarzeni czarodziejskimi zdolnosciami, i wyrodny elfi pan, ktory pomaga im od tygodni!

Sama mysl o sprzeniewierzeniu sie starszym tak drastycznie spowodowala dreszcz emocji, z jakim nie moglo sie rownac nic, czego doswiadczyła tego lata. Nie wystarczy jej to na dlugo - a nie mogla wrecz powstrzymac sie od rozmyslania o innych mozliwosciach.

Potem zastanowila sie. Jesli ci czarodzieje potrafia czytac w myslach, czy zdolalaby

naklonic ktoreś z nich, aby poczytało trochę w cudzych myślach dla niej? Miło byłoby mieć własnego oswojonego czarodzieja. Wystarczy pomysleć o wszystkich rzeczach, jakich mogłaby się dowiedzieć w ten sposób...

Może powinna popracować nad omotaniem Cienia Valyna. To nie powinno być zbyt trudne, szczególnie jeśli zacznie, dopóki jest wciąż jeszcze trochę chory. Ludźmi tak łatwo manipulować, kiedy są młodzi. Cień nie powinien być wyjątkiem.

Z tego, co pamiętała, był całkiem przystojny. Stanowczo odmienny od nieżyjącego Rafe. Oczywiście, nie był kims w jej zwykłym guscie - ale czynne uwodzenie zamiast poddawania się uwodzeniu, bycie stroną dominującą, a nie uległą, może okazać się podniecające.

Prawdę mówiąc, może nawet uda jej się odseparować go od małej drużyny Valyna.

Znała Valyna; miał zbyt miękkie serce, by uwarunkować niewolnika, a temu pozwalał na wszystko w stopniu wręcz niewiarygodnym. Jeśli podbije Cienia, może uda jej się naklonić Valyna, by się z nim rozstał.

Wtedy będzie mogła poddać go swojemu własnemu warunkowaniu - i będzie miała zupełnie własnego czarodzieja.

To dopiero była możliwość. Ciekawa była, jak daleki był zasięg jego umysłu.

Oplacaloby się go utrzymywać, nawet gdyby potrafił czytać tylko w myślach osób w sąsiednim pokoju - lecz jeśli mógł sięgnąć dalej, otwierał się przed nią bezmiar nowych możliwości.

Nigdy przedtem nie miała ochoty bawić się w politykę, ponieważ nie miała takich chwytów na niektórych spośród starszyny, jakie uważała za niezbędne. Jednakże gdyby miała czarodzieja do wykrywania ich sekretów, polityka mogłaby okazać się wielce satysfakcjonującą areną.

I ostatnia myśl - trzeźwiaca, lecz stanowiąca rozwiązanie problemu, jaki dreczył ją od lat.

Cieniowi udało się uniknąć wykrycia bez pomocy Valyna - a potem, kiedy już mu pomagał, nie odkryto go, dopóki Valyn nie został przyłapany na śledzeniu czarodziejów.

Ciekawa była, ilu jeszcze innych polełfów ukrywa się pod złudzeniami?

Nie musiałoby to być złudzenie pełnej ludzkości. Mogło być złudzeniem wyglądu osoby o pełnej krwi elfiej. Mogłaby się założyć, że Valynowi nawet to nie przyszło do głowy.

Bawiła się włosami i rozważała pomysły ze wszystkich możliwych stron. Było to doskonale logiczne. Ile elfich dam, obawiających się, że zostaną porzucone przez potężniejszego małżonka, zwróciło się po pomoc do ludzkich służących, po płodność, jakiej brakło im

wladcom?

Jakiz elfi wladca moglby sprzeciwiac sie otrzymaniu meskiego dziedzica, ktorego tak rozpaczliwie potrzebowal?

Polelf nie musial nawet udawac posiadania mocy magow - mialby ja...

Jesli juz o to chodzi, zastanowila sie nad tym, ilu elfich panow uwazanych za poteznych magow, jest w rzeczywistosci mieszancami albo synami mieszancow?

To byla dopiero zaskakujaca mysl.

Jednakze nie Dyran. Tego byla pewna. Nigdy by nie zaszczul tej naloznicy na smierc, gdyby sam byl polelfem...

Chyba, ze nie wiedzial o tym; chyba, ze jego matka utrzymywala to w tajemnicy nawet przed nim. Co za mysl!

Kiedy rozwazala wszystkie znane jej zaklecia rozpraszajace zludzenia, na jej wargi wyplynal zlosliwy usmieszek. Wyobrazcie sobie rzucenie zaklecia na niego we wlasciwym momencie - powiedzmy - na posiedzeniu Rady - i bum! oto lord Dyran, mieszaniec!

Bawila sie tym pomyslem przez chwile, a potem z zalem zrezygnowala z niego. wrogow w ciagu tych lat, zeby przynajmniej raz rzucono na niego podobne zaklecie rozpraszajace iluzje. Valyn wykazywal wszelkie cechy czystej rasy, a gdyby rzucono na niego jakies zludzenia, zauwazylaby to. Zabawny pomysl, lecz malo prawdopodobne, aby okazalo sie to czyms wiecej niz tylko zabawnym pomyslem. Miala natomiast inny, rownie interesujacy pomysl. Dla kobiety bedacej glowa klanu zawsze problem stanowilo znalezienie partnera, ktory nie probowalby sam zasiasc na tronie klanu, a takze wydanie na swiat potomka, ktory nie usilowalby rzucic jej wyzwania, kiedy podrosnie.

Nie mogla jednakze rowniez urodzic idioty czy slabeusza. To byloby katastrofa w rownym stopniu. Gdyby splodzila dziecko z elfim wladca o znacznie slabszej mocy, jej potomstwo najprawdopodobniej mialoby niewielka moc, i albo dziedzic, albo klan zostalby w koncu wyzwany na pojedynek. Przy slabym nastepcy skonczyloby sie na linii kadetow pilnujacych tronu klanu, albo zmuszeni byliby sprzymierzyc sie z klanem, ktory najpewniej zywcem pozarlby ich.

A gdyby dziecko splodzil czlowiek? Nikt nie pytal glowy klanu, kim sa ojcowie ich dzieci, jesli nie mialy ochoty ujawniac malzenstwa albo zwiazku. A jesli niektore z nich plodzily dzieci z ludzmi?

Wtedy latwo byloby rzucac na nie zludzenia! I dosc latwo utrzymywac je.

A caly czas, podczas dorostania dziecka, dama miala na wlasnosc rozkwitajacego

czarodzieja związanego z nią najsilniejsza wieża, jaka istnieje, wieża między matką a dzieckiem. Gdyby ta wież przestała wystarczać jako czynnik kontrolujący, groźba wydania powinna go trzymać w ryzach.

Coż za niesamowita myśl!

A jaka intrygująca...

I kiedy Triana wpatrywała się w gwiazdy, przyszła jej do głowy najbardziej intrygująca myśl ze wszystkich.

A może sama powinnam tego spróbować...

Przepelniona uraza Shana wetknęła nos w książkę na widok Triany sunacej obok drzwi biblioteki. Słowa na stronie książki rozmywały jej się przed oczami, bo tylko z trudem hamowała gniew. Dzisiaj rano Triana znowu zrobiła z niej durnia przed wszystkimi i nie zostawiła jej innego wyjścia, jak udawać, że sama śmieje się z żartu. Delikatna pobłażliwość elfiej pani nie umknęła jej uwadze, zgodnie z zamierzeniami, i Shana miała jej już serdecznie dosyć - a ogólny zły humor spowodowany przeziebieniem, które wciąż jej dokuczalo, nie polepszył sytuacji. Kiedy poskarżyła się na zachowanie Triany, Valyn stwierdził, że za bardzo się przejmuje. Postanowiła więc unikać Triany jak tylko było to możliwe, co w domu tej wielkości nie było wcale takie trudne.

Biblioteka była najlepszym miejscem do schowania się i Shana błogosławiła dar przewidywania swej przybranej matki, która nauczyła ją pisanej wersji języka elfów.

Przodkowie Triany zgromadzili niezłą kolekcję pouczających ksiąg, wraz z tomami dotyczącymi magii - i Shana właśnie znalazła w nich odpowiedź na niektóre ze swych pytań.

Dlaczego elfowie niszczyli czarodziejów jednego po drugim, zamiast wszystkich naraz? I skąd czerpali moc do niektórych rzeczy opisywanych w starych kronikach - jak na przykład budowania dworów w ciągu jednej nocy?

Pokreśliła się jeszcze trochę w zbyt miękkim, wyscielonym aksamitnymi poduszkami fotelu i jeszcze raz przeczytała ostatni ustęp tego rozdziału. Tak, odpowiedź znajdowała się tutaj. Okazała się przerazająco prosta. Jeśli mag był nieostrożny, można było skraść mu moc. Moc wracała potem, zwykle przed upływem dnia, lecz tymczasem mag był bezradny. Sztuka polegała na tym, by znaleźć się w pewnej odległości od ofiary - zazwyczaj w zasięgu wzroku. O ile znano się ofiarze, nie trzeba było jej widzieć, lecz niezbędne było przebywanie w niewielkiej odległości. Pierwszy raz ujrzała to zaklecie oraz opis jego wykonania i rezultatów ot tak po prostu wydrukowane.

Więc dlatego zabijali czarodziejów po jednym - aby można było również skraść ich moc.

Bez wątpliwości wszyscy elfi władcy strzegali się oczywiście przed podobnym wypadkiem,

kiedy znajdowali się w towarzystwie swych rodaków. Było to jedyne zaklecie demokratyczne pod względem skutków - słabszy mógł łatwo okraść silniejszego, jeśli tylko wiedział jak.

Teraz Shana już wiedziała, jak starzy czarodzieje i elfi władcy w przeszłości byli w stanie rzucać potężne zaklęcia, które wymagały więcej mocy, niż mógł posiadać jeden czarodziej - jak to, za pomocą którego można było przenosić wielu ludzi z jednego miejsca w drugie. Stanowiło ono bardziej skomplikowaną wersję tego czaru, jakim czarodzieje posługiwali się obecnie, by wykraść elfom towary. Kradli tę moc. Lub, jak w przypadku czarodziejów, pożyczali ją. Być może w przeszłości elfi panowie współpracowali w podobny sposób, lecz z pewnością obecnie nie.

Fakt, iż nie używano go od tak dawna, że zapis o nim "wypadł" z ksiąg nie był w rzeczywistości zaskakujący. Podobnie jak wymyślny "tajny cios" w szermierce, który raz użyty i poznany staje się bezużyteczny, każdy teraz bowiem strzeże się przed nim, wykradanie mocy nie było już skuteczną bronią, ponieważ wszyscy spodziewali się jej użycia, kiedy znajdowali się wśród innych, być może wrogo nastawionych elfich władców.

Co nie znaczy, że strzegli się przed nią przez cały czas...

Nikt nie może strzec się przez cały czas. Szczególnie, jeśli chronienie się przed tym czymś wymaga wysiłku.

I z pewnością nie znaczyło to, że Cien, Valyn, czy nawet Triana strzegli się tego podstępu.

Shana zamknęła księgę i zastanowiła się nad wyjściami, jakie miała.

W tej chwili wyglądało na to, że wielkie plany Valyna, by pomóc ludziom i mieszancom spełzły w zasadzie na niczym. Tak więc, skoro miało być zrobione, sama musiała się wziąć do roboty. Pośpiesznie pokiwała głową do siebie. Powinna była wiedzieć, że nic dobrego nie przyjdzie z zadawania się z tymi dwoma. Nie może już nic na to poradzić, więc będzie musiała teraz z tym żyć. Może gdyby udało jej się wykonać to "zadanie", zwróci na siebie uwagę Valyna.

Otworzyła ponownie księgę i starannie przejrzała tekst, a następnie postanowiła wykonać kilka małych eksperymentów. Doszła do wniosku, iż prawdopodobnie zdoła zaczerpnąć mocy w tak niewielkiej ilości, że pozostanie to prawie całkowicie niezauważone. Biorąc pod uwagę jak ją wykorzystano, dobrze im tak, pomyślała z uraza.

Szczególnie Cieniowi przyda się nauka, a zaraz potem Trianie.

Od chwili gdy przybyli do tego domu, Triana zachwycała się Cieniem i prawie całkowicie ignorowała pozostałych. Wyleczyła go nawet z przeziębienia - nie zważając na Shane, która czuła się równie źle. Jak można było się spodziewać, wyglądało na to, że Cien przestawał myśleć, kiedy tylko piękna elfia pani była w pobliżu.

Shana skrzywiła się z pogardą. Mezczyzni! Kompletnie bezużyteczni!

Valyn naklonił go do zarczyn - była to prosta ceremonia obrzędowa, której sam przewodniczył - ale jeśli spodziewał się, że przez to zakochają się w sobie szalenczo, rozczarował się poważnie. Shana nie miała zamiaru postępować zgodnie z założeniami tego akurat planu.

Reakcja Cienia również niezupełnie była taka, jaka przewidywała Shana. Podeszła potem do Cienia, zamierzając powiedzieć mu szczerze, że nie interesuje jej ani trochę, kiedy on odszedł, nie dając jej nawet dojść do słowa.

Znow trochę kipiała wewnątrz ze złości, zalu i frustracji. Pokreciła się niespokojnie w fotelu. Planować sobie, że się kogoś porzuci, to jedno - ale kiedy osoba, która zamierzało się puścić w trąbę, miała to samo na myśli, nie odbijało się to najlepiej na twoim poczuciu dumy... Wygłosiła też małe przemówienie, choćby po to, by ocalić twarz, lecz niewatpliwie wypadło blado. Cien wcale nie zareagował, to potrafiła zauważyć.

W takim razie, niech bierze sobie Triane. Ona wybierze władzę. Ona dokona wielkich czynów, podczas gdy on będzie marnował czas na robienie z siebie błazna dla kobiety, która porzuci go, kiedy tylko znudzi jej się.

Pierwsze zadanie: wyleczyć się z tego przekletego kataru.

Letni wiatr potargał włosy Valyna, który popędzał zwawego, małego walacha Triany do galopu. Dzięki jeździe konnej pragnął pozbyć się niepokoju i frustracji. Nic nie układało się zgodnie z jego planami czy życzeniami. Kiedy tylko dotarli do bezpiecznej przystani, wszyscy w grupie zamiast zjednoczyć się i zacząć układać plany zmagania z elfimi władcami i czarodziejami, rozeszli się w pogoni za własnymi zainteresowaniami, zapomniawszy lub porzuciwszy ważniejsze zadania.

Brodząc wśród słodko pachnących kwiatów na łące, kierował koniem zrecznymi ruchami dłoni i lekkim naciskiem na wodze, zastanawiając się przy tym, gdzie popełnił błąd.

Rzucił urok zarówno na Shane, jak i Mero, by skłonić ich do zarczyn - lecz czar nie podziałał. Przynajmniej nie wywołał nic więcej poza zgodą na zarczyn. Kiedy ceremonia zakończyła się, odeszli razem - Valyn był przekonany, że zaczęli być parą i że jego uroki podziałały. Jednakże wkrótce potem dostrzegł Shane w bibliotece sama, a Mero z Triana. Zarczyn jakby nie miały miejsca.

Skierował konia na celowo zarosniętą ścieżkę, gdzie przeszkody pojawiały się niespodziewanie. Kon z wysiłkiem przeskakiwał najwyższe z nich i wymagał zachęty do podjęcia takiego wysiłku. Valyn kierował walachem umiejętnie, a kon reagował odpowiednio - lecz nawet szybkość i radość, jaka dawała jazda torem przeszkód nie mogła zatrzymać niemiłego uczucia, że w którymś momencie postąpił niewłaściwie i teraz dokuczalo mu to. Kon przeskakiwał przeszkodę za przeszkodą, lecz Valyn nie mógł zostawić swych zgryzot w

tyle.

Nie był szczególnie zadowolony z tego, że Mero spędza tyle czasu z Triana. Jego kuzyn zapewnił go, że usiłuje przekonać Triane do ich punktu widzenia, nakłonić ją do całkowitego opowiedzenia się po ich stronie, lecz nie wyglądało na to, aby za bardzo zajmowali się agitacją. Jesteś głupi, powiedział sobie stanowczo, sprowadzając spienionego konia do stępa i pozwalając mu ochłonąć. Mero po prostu dociera do niej przez kwestie, które ona najlepiej rozumie. Ona ma dobre serce. Valyn wiedział, że Mero ją przekona, kiedy tylko nakłoni ją do wysłuchania go. To tylko kwestia czasu.

Nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że zostawalo im go coraz mniej.

Triana uśmiechnęła się do Mero, siadła na kanapie obok niego i spowijając go delikatnie swym urokiem uzależniła go jeszcze mocniej od swej woli. Rzeczywiście nie musiała naprawdę warunkować większości swoich niewolników. Na wszystkich, z wyjątkiem najniebezpieczniejszych lub obdarzonych najsilniejszą wolą, nie musiała rzucać żadnego zaklęcia poza urokiem. To była jej najsilniejsza magia, ta poważnie niedoceniana magia uroków. Subtelne sieci mocy, które utkała, były powodem, dla którego nikt ze starszyzny nigdy nie wziął sobie na cel jej majątku lub jej samej - dla którego nikt na serio nie rzucił jej wyzwania od czasu, gdy doszła do władzy - i dla którego jej niewolnicy byli fanatycznie przywiązani do niej.

Dla Mero odsunęła na bok całą stajnię faworytów. Pierwsze tygodnie odgrywały niezmiernie ważną rolę w tkaniu tak skomplikowanego zaklęcia, jak to, które teraz tworzyła. Każda fałszywa nuta mogła zmusić ją do ponownego splecenia fundamentów. Kiedy już sieć zostanie zarzucona i mocno zaciągnięta, będzie mogła uczynić z ofiara wszystko, na co miała ochotę, lecz do tego czasu musi być bardzo ostrożna.

Mero uśmiechnął się do niej z zadowoleniem, wpatrując się w nią niezmiernie uważnie zeszklonymi oczami. - Co będziemy dziś robić? - spytała go. - Jestem pewna, że przemierzylismy już każdy fragment moich posiadłości. Niemal każdego dnia jeździliśmy na konne przejażdżki, polowania z sokolami i łowy. Czy chciałbys jeszcze coś zobaczyć, lub zrobić?

Mero przechylił głowę na bok w zamysleniu, a jego oczy nabrały nieco przytomniejszego wyrazu. Triana zatrzepotała rzesami, rozkoszując się skutkami swojego flirtowania. Jeszcze nie zabrała go do swego łoża - zostawi to na moment, w którym rzuci urok. Do tego czasu będzie całkiem miło igrać z nim, najpierw uwodzić, a potem wycofywać się.

Valyn pewno myśli, że śpi z nim każdej nocy, pomyślała ze starannie ukrywanym rozbawieniem. I nie jest mu to w smak. Ciekawa była, czy przypadkiem nie zaczynają ujawniać się jego uprzedzenia - przyjazn z człowiekiem czy mieszancem jest dozwolona, lecz śpienie z nim już nie.

Biedny gluptas, nie dostrzegal nawet, jak bardzo ta niechlujna polel? a czcila kazde jego slowo. A nawet jesli dostrzegl, z jakiegos powodu udawal, ze nie widzi tego. Triana nie bawila sie tak swietnie od czasu przyjecia w Dzień Pełni Lata zeszlego roku, kiedy kazdy obecny okazal sie czyjims kochankiem, wszyscy zdradzali siebie nawzajem na prawo i lewo i nikt o tym nie wiedzial, poki nie przyjechali na zabawe i nie polalo sie wino!

Mero mrugnal oczami, jakby probowal pomyslec o czyms. - Ja, wiesz, pewnie tobie to wyda sie nudne, ale naprawde chcialbym zobaczyc, jak wyglada posiedzenie Rady - powiedzial wreszcie. - Watpie, czy zdolalbym dostac sie na nie sam; nie wiem ja, nie wiem nawet gdzie sie odbywa. Poza tym i tak nie jestem jeszcze na tyle wprawny, by samodzielnie stworzyc zlodzenie maskujace. Ty potrafilabys, a poniewaz jestes glowa klanu, moglabys udac sie tam, prawda?

Triana uniosla brwi w zdumieniu. A wiec wciaz jeszcze myslil samodzielnie. Nie spodziewala sie, ze pozostalo mu jeszcze tyle wlasnej woli. Najwyrazniej bedzie musiala zachowac ogromna ostroznosc podczas zauroczenia go. - Moglabym. Ale po co? - spytala od niechcienia. - Czy jest jakis sens tam jechac?

-Wiele mozna sie dowiedziec o wrogu, obserwujac jego zachowanie wsrod siebie rownych - rzekl powoli Mero. - Chcialbym ujrzec Dyrana w towarzystwie rownych mu osob. Widywalem go tylko jako pana i wladce, a odnosze wrazenie, ze to on jest prawdziwym wrogiem, z ktorym przyjdzie nam sie zmierzyc.

Ciekawe, ze nadal myslal o Dyranie jako o wrogu, co znaczylo, ze nie przestal zaprzatac sobie glowy "sprawa" Valyna. Coz, nie zaszkodzi, jesli ulegnie jego kaprysowi.

-Mam wlasna loze na galerii - powiedziala, bawiac sie wlosami i spogladajac niesmialo przez rzesy. - Nie korzystam z niej zbyt czesto, lecz, czemu nie? - Wstala szybko i podala reke Mero wdziecznym gestem. - Wstan, prosze. Nie moge zajac sie toba, dopoki siedzisz.

Wstal poslusznie, prezentujac gre pieknych muskulow pod koszula. Jego sylwetka, lekka i mocna, bardziej odpowiadala gustom Triany niz nadmiernie wysmukle ciala elfich mezczyzn. A takze masywne postaci ludzkich mezczyzn, jesli juz o to chodzi.

Rzeczywiscie potrzebny jej byl wlasny, maly czarodziej, zadumala sie i rozpostarla staranna mgielke iluzji, ktora rozjasnila jego ciemne wlosy do barwy srebrnoblond, wyszczuplila jego cialo, wydłużyla uszy i wybielila cere na bladly alabaster. Kiedy juz go wytresuje, moze okazac sie najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek mialam.

Ukonczywszy dzieło odstepila o krok i zmierzyla je krytycznym spojrzeniem.

-Sadze, ze wystarczy, - rzekla, kiwajac glowa. - Jesteś gotowy? Chodz, wlasnie odbywa sie posiedzenie Rady.

-Jak tam sie dostaniemy? - spytal, gdy odwrocila sie, nie czekajac na jego odpowiedz.

Szybkim krokiem poszła pierwsza w stronę gabinetu swego ojca. - Pan Dyran zmuszony jest spędzić tydzień w podróży, by tam dotrzeć, lecz pan Leremyn mieszka jeszcze dalej, a wraca do domu co wieczór. Na czym polega ta sztuczka?

-Każdy z pierwotnych dostojnych panów miał wbudowaną na stałe magiczną szafę w swoim dworze. - powiedziała przez ramię do młodzieńca, który truchtem spieszył za nią korytarzem z białego marmuru, chcąc ją dogonić. - Prowadzi ona tylko do jednego miejsca: budynku Rady w stolicy. Nie można tego zmienić, a gdybyśmy spróbowali ją przenieść, zaklęcie przestanie działać. Panowie tacy jak Dyran, którzy w rzeczywistości są nuworyszami, nie posiadają takich urządzeń. Kilka z nich uległo zniszczeniu podczas wojny czarodziejów, lecz większość nadal funkcjonuje. Założenie było takie, że mając szafy, panowie mogli mieszkać w swoich majątkach i zarządzać nimi, nie rezygnując z zasiadania w Radzie. Oczywiście ci, którzy nie mają takich komod, muszą mieszkać w stolicy w sezonie posiedzeń Rady, ale to już ich własny problem.

-Dlaczego po prostu nie zbudują sobie własnych? - spytał Mero, gdy przerwała paplanie na dość długo, by otworzyć drzwi gabinetu.

-Ponieważ to wymaga zbyt wiele mocy - wyjaśniła. - Dawni władcy skonstruowali komody w tym samym czasie, co dwory i każdy spośród nich, każdy z tych dwudziestu, miał swój udział w tworzeniu czarnej każdej szafy. Trwało to rok i w ciągu tego roku zupełnie nie byli w stanie używać magii do czegokolwiek poza budowaniem owych szaf, tak wiele mocy potrzeba było.

W podtekście ukrywała się sugestia, iż obecnie elfi panowie w Radzie nie ufali sobie wystarczająco ani by dzielić się mocą, ani leżeć bezradnie w trakcie powracania do sił, tylko po to, by zbudować następne komody. Zastanawiała się, czy dotarło to do Mero.

Prawdopodobnie tak, domyśliła się, spoglądając na jego zadumaną twarz. Odsunęła bladą różową zasłonę ukrywającą szafę i podała mu jedną z sardonyksowych pieczęci z szuflady delikatnego biurka z rzeźbionej brzozy, które stało naprzeciw niej.

-Proszę - powiedziała. - Nie zgub tego. Komoda tutaj działa tylko w jedną stronę, a ta w budynku Rady nie będzie wiedziała, gdzie cię odesłać, jeśli nie będziesz miał tego przy sobie.

Posłusznie schował drobiazg do kieszeni, a Triana otworzyła przed nim drzwi.

Wewnątrz było zaledwie dość miejsca na dwie osoby.

-Wchodź - rzekła i weszła za nim, zamykając drzwi za sobą i chichocząc, gdy polaskotał ją dla żartu.

Kiedy wrócili o zmierzchu, przy wychodzeniu z komody Mero szarmanckim gestem podał jej rękę, lecz nie widac było po nich śladu wesołości. Pokój był już przygotowany na ich

powrot; zapalono światła i zaciągnięto zasłony, tak jak lubiła. Dotykaniem rozwiła rzucone na niego złudzenie. Jego twarz zamigotała i zmieniła się, powracając do podstawowej iluzji, jaka było oblicze człowieka pełnej krwi.

Spojrzał na nią zadumany, a ona uśmiechnęła się. Odpowiedział uśmiechem, lecz nic nie rzekł, a Triana domysliła się, że posiedzenie Rady musiało dać mu prawdziwe wyobrażenie o polityce elfów - i sile lorda Dyra.

Tematem, jaki przedstawiono na Radzie, był spor dwóch spośród pomniejszych władców - dość prosty, jak się powierzchownie wydawało, lecz z którym wiązał się prestiż i dobrobyt co najmniej poł tuzina członków Rady. A pozostali oczywiście zakładali się o wynik sporu. W miarę swoich sił, Triana na bieżąco komentowała, kto dokładnie zamieszany jest w co, kogo właśnie zdradzają, a kto prawdopodobnie okaże się wiarygodny, jeśli tylko wiatr zawieje mu w oczy. Dyran, który jak zawsze był kryty po obu stronach, tak z pewnością ze żadną ze stron o tym nie wiedziała, kontrolował obie połowy konfliktu mistrzowska reka.

Gdyby Mero miał wybierać dzień na odwiedzenie Rady, nie mógłby wybrać lepiej, pomyślała z zadowoleniem, polecając Mero zająć miejsce i wzywając sługę, by podał im spóźniony posiłek. Był to zupełnie inny dzień niż ten, który w całości spędzili na wyklocaniu się o kontyngenty handlowe i podatki od zbiorów owsa.

Czuła lekkie zawroty głowy i poznała, co to oznacza. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Mero - rzekła, przerywając zamyslenie młodego polelfa - pojde się przebrać.

Zaraz wróce.

Ucałował jej dłoń, kiedy wstała, na co ona posłała mu ośniewający uśmiech, a następnie odwróciła się i wyszła z gabinetu.

Nie miała zamiaru naprawdę się przebrać. Chciała natomiast wzmocnić urok, a do tego potrzebny był jej jeden z talizmanów, w których przechowywała moc. Niezależnie od stworzenia złudzenia dla Mero, komoda użyła jej mocy do przetransportowania ich, więc Triana czuła się wyczerpana. Bez względu jednakże na to, jak bardzo była wyczerpana, na jedno nigdy nie pozwoliłaby - na to, by któryś z niewolników brał do ręki jej talizmany. To byłoby prośenie o nieszczęście. Nigdy nie można było być pewnym, że któryś z nich nie ma dość szczątkowej mocy czarodziejskiej i siły woli, by skorzystać z energii zmagazynowanej w talizmanie i rozproszyc czary swej obroży.

Nie pobiegła; to byłoby poniżej jej godności. Przyspieszyła jednakże kroku na tyle, na ile mogła, żeby nie wyglądało to na bieg, a stuk jej obcasów rozlegał się echem po białym, marmurowym korytarzu. Weszła do pokoju bez zbytecznego rozgłosu. Wewnątrz nikogo nie było i całe szczęście. Usiłowała nie dopuścić do tego, by ktokolwiek - nawet najmniejszy niewolnik - dowiedział się, gdzie przechowuje swoje talizmany.

Zdjęła kluczyk przymocowany do przegubu i otworzyła właściwą szufladkę wykładanej białą

laka szkatulki na klejnoty. Zaczęła szukać wśród talizmanowej biżuterii, aż znalazła naszyjnik z bursztynu, który pasował do jej kremowożółtej sukni. Włożyła go pośpiesznie przez głowę i natychmiast poczuła się lepiej; już nie tak, jakby była zaledwie cieniem samej siebie. Wyczerpanie mocy zawsze sprawiało, że czuła się, jakby następny podmuch wiatru mógł ją porwać ze sobą.

Kiedy wracała do Mero, jej kroki rozbrzmiewały śmiałym echem po całym korytarzu. Wydawało jej się, że słyszy gdzieś przed sobą męskie głosy, lecz nie przykladała do nich wagi. Zbliżywszy się do drzwi usłyszała jednak donośny trzask, a potem łomot dwóch ciał o posadzkę.

Na przodków! Coż to ma znaczyć! Kto osmieliłby się... Gwałtownie otworzyła drzwi, w samą porę, by dostrzec, jak Mero dostaje kopniaka w zębra i uderza o ścianę, pociągając za sobą jedno z jej małych krzeseł z rzeźbionej brzozy. Krzesło nie przetrwało zderzenia. Mero tak, choć w nie najlepszym stanie.

Zgromadziwszy moc, Triana raptownie odwróciła się ku temu, kto napastował Mero. Ogromny, muskularny, ciemnowłosy mężczyzna przeszedł obok niej elastycznym krokiem, ignorując ją i zbliżając się do Mero z krwiozerczym błyskiem w oczach.

Z zaskoczeniem niejaki rozpoznała go. Był to człowiek imieniem Laras, jeden z jej stajni, niewolnik pierwotnie przeznaczony na gladiatora, zanim zagarnęła go dla własnych celów. Gdyby był nieco bystrzejszy, może awansowałaby go na zastępcę Rafe, lecz jego tepota umysłowa wykluczała to. Niemniej wyglądało na to, że uważał się za jej faworyta. Zawsze był skłonny do zazdrości, a jego wybuchy złości były niepohamowane i dobrze znane niewolnikom, lecz nigdy do tej pory nie widziała, żeby tak stracił panowanie nad sobą.

Przez chwilę tętno jej podskoczyło, a serce zabiło mocniej. Walczył o nią! Jak w dawnych czasach, kiedy elfi panowie staczali pojedynki o względy wybranki serca. Ale to było dawno temu - na długo zanim elfowie przybyli do tego świata.

Jakie to podniecające - walcza o nią! Nie znalazła żadnej kobiety, o którą mężczyźni biliby się...

Lecz potem, kiedy dotarł do niej rozmiar zniszczeń dokonanych do tej pory (dwa połamane krzesła, zdruzgotany stół i strzaskana większość bibelotów), wpadła w gniew.

Laras postąpił wbrew uwarunkowaniu i tresurze i niszczył jej własność. Tego nie można było tolerować. Nawet jeśli powodowała nim zazdrość o nią...

Weszła do pomieszczenia, czując mrowienie mocy w koniuszkach palców.

-Laras! - krzyknęła, a jej głos najwyraźniej przedostał się przez mgłę wściekłości, która go spowijała, bowiem zaczął się odwracać. Kiedy ujrzał, że to rzeczywiście ona, na jego wargi zaczął wypływać uśmiech.

Zignorowała jego uśmiech. - Był bardzo niegrzecznym chłopcem, Laras - powiedziała chłodno. - Muszę teraz zagwarantować, że nie zrobisz tego nigdy więcej.

W chwili gdy twarz Larasa wykrzywił grymas, a wzrok rozpaczliwie biegł od jednego kąta do drugiego, szukając miejsca, gdzie mógłby się schować, Triana zadziałała. Bez namysłu przywołała bojowy ogień i na miejscu spaliła go na popiół.

Okazała miłosierdzie. Nawet nie miał czasu, by krzyknąć.

Teraz wbiegli inni niewolnicy, przybyli jednak za późno, by zapobiec temu, co się stało. Stawali w drzwiach akurat w chwili, gdy Triana ukarała Larasa za jego zarozumiałość. Większość z nich cofnęła się przed jej wściekłym spojrzeniem. Nikt nie popełnił błędu i nie próbował uciekać; byłoby to jednoznaczne z przyznaniem się do winy.

A także samobójczym posunięciem, biorąc pod uwagę jej obecny nastrój.

-Kto do tego dopuścił? - warknęła, wiedząc bardzo dobrze, że nikt nie odpowie.

Chłostała ich wszystkich spojrzeniem i z satysfakcją dostrzegła, iż zbledli. Bywało, że karała wszystkich za przewinienia, nie tylko winnych. Miała ochotę uczynić to teraz i zaakcentować lekcje posłuszeństwa, której im właśnie udzieliła.

Ale - był jeszcze jeden świadek. Nie mogła okazać gniewu przy Mero. Nie teraz, gdy usiłowała zaimponować mu wdziękiem i łagodnością.

-Zajmijcie się sprzątnięciem i umeblowaniem pokoju - poleciła, wiedząc, że wszyscy w zasięgu głosu natychmiast rzucą się do pracy. Jej wybuchy gniewu były zbyt nieprzewidywalne, by ryzykować. - Przypilnujcie, by wszyscy w majątku dowiedzieli się o tym. Nie życzy sobie, aby podobny incydent się powtórzył.

Wybrała na chybił trafił jednego ze słuzących i nakazała mu zająć się Mero. Pospieszył do mieszanka i pomógł mu podnieść się. Podczas gdy niewolnik oglądał obrażenia Mero, Triana stała w pobliżu, przybrawszy zatroskany wyraz twarzy.

Na szczęście dla polelfa, Laras nawet nie zaczął jeszcze go okładać. Wszystkie zranienia okazały się powierzchowne, więc niewolnik pomógł mu stanąć na nogach. Trianie sprawiło przyjemność, że zareagował wstrząsem i atakiem mdłości - przebiegł ją miły dreszczyk poczucia siły, lecz nie chciała, by to uczucie długo trwało. Wzięła go pod rękę, kiedy tylko niewolnik wypuścił go i ponownie zarzuciła na niego urok, w celu wprowadzenia go w poprzedni stan rozbawionego zadowolenia. Musi być przekonany, że to ona ochroniła go przed niewolnikiem, który oszalał, nierozsądnym człowiekiem, z którym nie można było dojść do porozumienia.

Nie musiała nawet niczego mówić; wystarczyło, że zamruczała czule i użyła magii, a zanim odprowadziła go do jego komnat na odpoczynek, miał już równie metny wzrok, jak zawsze.

On jest więcej niż zauroczony, pomyślała przepelniona zadowoleniem. Jest niemal w niej zakochany. Wszystko świetnie pójdzie - szczególnie, jeśli uda jej się wymyślić, jakby pozbyć się Valyna i pozostałych dwoje. Na stałe, jeśli to możliwe. I to szybko.

Keman chodził w te i z powrotem po parkiecie z twardego drewna swego olbrzymiego, luksusowego pokoju i trapił się. Od czasu do czasu spoglądał przez okno, lecz nie znajdował odpowiedzi w widoku eterycznie oświetlonych ogrodów.

Wszystko szło nie tak, jak powinno. Shana cały czas przebywała w bibliotece, a kiedy już opuszczała ją, odnosił wrażenie, że ukrywa coś przed nim. Valyn, tak jakby stracił cały uprzedni zapał dla sprawy ludzi i polelfów, zachowywał się, jakby nie był już pewien, gdzie jest jego miejsce. A Mero - Mero zmienił się nie do poznania. Nie zwracał uwagi na Shane, nie ćwiczył już łączonej magii, tylko magii elfów, a Valyn powiedział, że nawet już nie zwierza się swemu kuzynowi. A wszystko to wina Triany...

Ona próbuje nas poroznić, pomyślał rozpaczliwie Keman, kopniakiem odtracając na bok pokryty szmaragdowym aksamitem podnozek. Próbuje doprowadzić do rozpadu grupy i zabrała się do Mero jako najsłabszego spośród nich.

Keman usiłował przebudzić go; próbował uswiadomić mu, czego Triana zmierza, lecz odpowiedzi na wszelkie wysiłki młodego smoka było wzruszenie ramion. Mero nawet nie kłocił się. Po prostu ignorował jego argumenty.

Wreszcie Keman postanowił odciągnąć Triane od celu, czyniąc z siebie obiekt zabawy dla niej. Przypuszczałem, że to będzie łatwe, wspomniał z zalem. Miała przecież tylu mężczyzn - powinna bez oporów zainteresować się każdym, który ładnie wygląda, prawda? Pomyślał sobie, że kiedy Mero dostrzeże, iż został porzucony dla nowego podboju, zobaczy, jaka naprawdę jest ta elfia kobieta. Przynosił jej prezenty, próbował zajmować ją rozmową, gdy wyraźnie spieszyła na spotkanie z Cieniem i czynił wszystko, co było w jego siłach, by ją oczarować. Na nieszczęście z dziedziny uwodzenia znane mu były tylko smocze sposoby zdobywania partnerki.

Zaczerwienił się, wspomniawszy swe niezdarne próby uwiedzenia i jej. Podejście, które smoki uważały za subtelne - kilka prezentów, po których zaakceptowaniu padło bezpośrednie pytanie "Czy będziemy parzyć się na ziemi, czy w powietrzu?" - okazało się stanowczo niestosowne według elfich standardów. Triana wysmiała go. Znow się oblał rumieńcem przypomniawszy sobie reakcję Triany. Nawet nie powiedziała "nie" - po prostu wysmiała go.

Nie mogła być to wina jego wyglądu - postanowił pojawić się w postaci elfa pełnej krwi i prawdę mówiąc, wzorował się na kilku młodych elfich panach, których uważano za szczególnie przystojnych. Przyczyna musiały być jego maniery.

Przynajmniej rozbawił ją. Westchnął. Jednak nie dokonał niczego innego poza rozbawieniem

jej. Nic, co chciał powiedzieć, nie dotarło do Mero. Mero śmiał się z niego wraz z Triana.

Poszedł wtedy do Valyna, lecz nie pomogło mu to ani trochę, a nawet zmartwiło jeszcze bardziej. Valyn był bezradny, jeśli chodziło o kuzyna. A Shana była rozgniewana. Bardzo rozgniewana. Można było to poznać po tym, że unikała wszystkich i wszystkiego i zamykała się w bibliotece. Podejrzewał, że Cien powiedział jej coś, albo zrobił coś, co ją rozgniewało, lecz nie miał pojęcia, co to mogło być.

Kiedy zapytał ją, co się stało, zachowała się tak, jakby nic ją nie obchodziło. Przez to nie potrafił znaleźć rozwiązania tego, co w sposób oczywisty - przynajmniej dla niego - stanowiło problem. Przestał krzyczeć i zaskoczony unosił głowę, gdy ktoś wszedł do pokoju nie zastukawszy nawet we framugę. Gość potem zamknął drzwi za sobą i stanął w mroku, gdzie nie sięgało światło pojedynczej kuli Kemana. Mimo to nie sposób było go nie poznać. Keman był zaskoczony ujrzawszy, że to Mero.

-Kemanie, czy możesz poświęcić mi chwilę? - zapytał mieszaniec wahaniem, niespokojnie przestępując z nogi na nogę, jakby nie był pewny, czy jest mile widziany, i posłał smokowi, pełen zakłopotania uśmiech. - Zdaje się, że wpakowałem się w niejakie kłopoty.

Keman spojrzał na niego, a potem na drzwi. Mero pokiwał głową i odwrócił się, żeby je zamknąć na klucz za sobą. - To powinno wystarczyć, żeby nikt nam nie przeszkadzał - powiedział Mero. Kiedy odwrócił się, Keman wreszcie zauważył śmiech na jego twarzy i natychmiast domyślił się po sposobie jego poruszania, że następne kryły się pod jego ubraniem.

Co to, na ogień i deszcz?! Ktoś go pobili!

-Co ci się stało? - wybelkotal wstrzasnięty smok. Mero pokustykał do niego i rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby usiąść.

-Pewien mężczyzna ze starego haremu Triany doszedł do wniosku, że nie podoba mu się, iż go odsunieto - powiedział od niechcenia młodzieniec i ostrożnie usiadł na jednym z foteli Kemana. - Wywnioskował, że jeśli mu już nie będzie, Triana powróci do starych przyzwyczajen. Pani nie zgadzała się z jego podejściem... i teraz właśnie zgarniają go do małego woreczka, żeby później wyrzucić.

Twarz i dłonie młodzieńca zadawały klam spokojnemu tonowi jego słów; ręce mu drżały, a na pobludłej twarzy malował się wyraźnie wymuszony uśmiech.

Spojrzał na Kemana, który powoli zasiadał na fotelu naprzeciwko niego, a jego pociemniałe oczy przepelniało uczucie, którego Keman nie potrafił rozszyfrować.

Cierpienie. I coś jeszcze. - Nigdy do tej pory nie widziałem, żeby elfi władca zabił kogoś - rzekł ze smutkiem. - Byłem świadkiem tego, jak wyrządzali krzywdę wielu ludziom, lecz nigdy nie widziałem, żeby zabili kogoś. A ona zrobiła to tak, jak ty czy ja rozgnietlibyśmy

karalucha.

Keman nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc czekał, aż Cien zacznie mówić dalej.

Wreszcie mieszaniec rozluźnił ramiona, westchnął i opadł na oparcie fotela.

-Elfi władcy, elfy pełnej krwi, są zabawni pod tym względem. Potrafią cię przekonać, że coś czują, kiedy nic nie czują, ale nie potrafią cię przekonać, że coś czują, kiedy jest to prawda.

Keman usiłował nadążyć za logiką tego zdania. - Nic z tego nie rozumiem - odrzekł, potrząsając głową w zakłopotaniu.

-Oni nie potrafią okazywać uczuć, oduczono ich tego - odparł Mero, przeczesując dłońmi włosy. - Powinienem być wiedzieć, doprawdy powinienem być wiedzieć, że kiedy Triana zachowuje się, jakbym był jedynym mężczyzną we wszechświecie, udaje.

Valyn jest taki właśnie, a byłem z nim przez całe swoje życie, więc powinienem być wiedzieć. Im silniejsze są uczucia elfiego władcy wobec czegoś, tym chłodniejszy staje się na zewnątrz. Wychowała się wśród nas - zauważył...

Mero uśmiechnął się. - Ona nic nie ukrywa, prawda? Nie, Valyn coraz bardziej przypominał posag, i to powinno było mi coś powiedzieć. A nie powiedziało.

Keman nic nie odrzekł, tylko spoglądał z uwagą.

-Wątpię, czy miał taki zamiar, ale ten facet, który zamierzał mnie roztrzaskać na drobny mak, uczynił mi w rzeczywistości przysługę. Przerwał coś, co najprawdopodobniej było rzuconym na mnie nie dokończonym urokiem, Kemanie. Przepraszam, że zachowywałem się jak idiota z powodu Triany. Teraz rozumiem, co próbowałeś mi wtedy powiedzieć. Czy wiesz, że naprawdę zdołałem przekonać siebie, że gdybym jakimś sposobem zrobił z siebie rzeczywiście dobrą imitację elfiego pana, zechciałaby mnie?

Keman przechylił głowę na bok. - Domyslałem się, że coś podobnego się dzieje. Nie mnie jednak powinieneś przeproszać! Shana bardzo się na ciebie gniewa, chociaż nie rozumiem zupełnie dlaczego. Valyn też nie jest zbyt szczęśliwy z tego powodu.

Mero potarł skronie opuszkami palców. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem, co dolega Shanie. Nie jestem pewien, czy to w ogóle ma coś wspólnego z Trianą, a jeśli nawet tak, to tylko częściowo.

-Ja również nie zawsze ją rozumiem - odrzekł z zalem Keman, kiedy Mero spojrzał na niego.

Mero westchnął. - Naprawdę nie zwracałem uwagi na was wszystkich. Triana zabierała mnie wszędzie ze sobą, jakbym był jej kochankiem, czy partnerem. Polowaliśmy i

urządzaliśmy przejazdki po wszystkich zakątkach jej majątku, popisywała się przede mną magicznymi sztuczkami. Kiedyś zbudowała górę i poleciliśmy oboje na jej szczyt na piknik.

-Pamiętam to. Potem spała przez dwa dni - powiedział z roztargnieniem Keman.

-Nie wiedziałem, że elfowie muszą spać po rzucaniu czarów.

Mero nie zwrócił na to uwagi. - Myślałem, że to znaczy, że ona mnie kocha, więc zacząłem ją prosić o zabieranie mnie tam, gdzie mogli udawać się tylko elfi panowie.

I tak się stało; zabrała mnie na pojedynek gladiatorów i na posiedzenie Rady. Naprawdę sądziłem, że coś dla niej znacze. - Zwiesił głowę. - Powinienem być się domyslić. To wszystko było kłamstwo, podstęp. Jest taka sama, jak wszystkie kobiety w haremie, gdzie jedna druga usiłuje wyeliminować i wspiąć się na stanowisko faworyty. Ani jedna z nich nie troszczy się o drugą osobę, tylko o to, co ta osoba może dla niej zrobić.

-Czego ona może chcieć? - spytał rozsądnie Keman.

Zaskoczony Mero podniósł wzrok. - Nie wiem - przyznał. - Tyle czasu byłem z nią i nadal nie wiem.

-To musi być coś ważnego, skoro tyle czasu ci poświęca - zauważył Keman.

-I używa uroku, aby cie zdobyć... nany, że Valyn rzucił na mnie urok, żeby skłonić mnie do zareczyn z Shana. Elfowie bez przerwy robią coś takiego.

-Nie znam się na tym - rzekł Keman z ociąganiem. - Ale nie sądzę, aby było to prawda. Mogła potraktować cie na wiele innych sposobów, łącznie z ignorowaniem cie.

Gdyby chciała zapanować nad tobą, mogłaby zamienić obrożę, jaką nosisz na jedną ze swoich. Włożyła mnóstwo czasu i wysiłku w to zaklecie, a więc, czy nie sądzisz, że dlatego, iż chce czegoś ważnego od ciebie?

-Taki jest właśnie cel uroku - odrzekł zadumany Mero, spoglądając w pociemniałe okno za Kemanem. - Może masz rację. Wiem, że właściwie pokłociłem się z Shana z tego powodu. Ona wciąż powtarzała, że Triana czegoś chce ode mnie, a ja jej nie wierzyłem.

-Czy będziesz w stanie teraz swobodnie myśleć, skoro już o tym wiesz? - spytał Keman, bojąc się usłyszeć odpowiedź. - Jeśli czegoś chce od ciebie, nie zrezygnuje teraz.

-Sądzę, że dam sobie radę - powiedział Mero po długiej chwili zamyslenia.

-Naprawdę tak sądzę. A jeśli dam sobie radę, będę w stanie dowiedzieć się, czego ona chce.

-Czy to taki dobry pomysł? - zapytał Keman z powatpiwaniem.

-Wydaje mi się, że będę musiał - powiedział Mero, krzywiąc się. Potem wstał i dorzucił: - Dzięki, Kemanie. Dziękuję, że nie powiedziałeś, że bym się odczepił.

-W porządku - odparł smok, zaskoczony ciepłym uczuciem, jakie wzbudziły w nim słowa Mero. - Sądzę, że potrzeba było ci kogoś, kto cię posłucha.

-Jesteś odpowiednią do tego osobą, Kemanie - powiedział przez ramię Mero, kierując się już ku drzwiom. - Mamy wiele wspólnego. Dzięki.

Wyszedł, zanim Keman zdolał powiedzieć "nie ma za co", lecz przyjemność, jaka młodemu smokowi sprawiło tych kilka słów, trwała jeszcze długo.

Rozdział XXII - Spróbuj jeszcze raz - zachęcała Triana, a Mero zrobił wroga minę, choć wiedziała, że nie do niej. Marsowa mina przeznaczona była dla gładkiego rzecznego otoczaka z kwarcu, spoczywającego przed nim na chłodnym blacie stołu z białego marmuru.

Nic się z nim nie działo i to właśnie stanowiło problem. Mero i trudności z opanowaniem zaklecia tworzącego złudzenia.

Triana dbała o to, żeby nie mieć znudzonej miny i skoncentrowała uwagę na utrzymywaniu wyrazu zainteresowania i zapalu. - Ja... - zaczęła.

Mero przerwał jej. - Chwileczkę! Wydaje mi się, że już mam...

Rzeczny otoczek zaczął jarzyć się delikatnym, blade złotym blaskiem, który ledwo odróżniał się od słonecznego światła wpadającego przez okna za nim. Blask wzmościł się, a potem całkiem zniknął.

Kamyk natomiast wciąż świecił, jarzył się blaskiem odbitym od połyskliwej powierzchni wypolerowanego złota. Wszelkie pozory wskazywały, że pospolity kwarcowy kamyk zamienił się w podobną grudkę litego złota.

-Cudownie! - pochwaliła Triana. - Dokładnie właśnie tak! Udalo ci się, stworzyłeś doskonałe złudzenie! - Cień rzucił jej spojrzenie i rozpromienił się z dumy.

-Wkrótce dorównasz każdemu z nas. - W duchu śmiała się, zaniedbał bowiem niemal zupełnie swe zdolności czarodziejskie i skupił się całkowicie na mocy magicznej, jaką odziedziczył wraz z elfią krwią. Jego próby uczynienia z siebie pełnej krwi elfa były śmieszne.

Przypomina nadzorców i im podobnych, pomyślała z pogardą. To głupcy, którzy cały czas próbują stać się kimś, kim nie są - marnując wysiłki na znalezienie "sztuczki", dzięki której ich magia stanie się silniejsza. Widziała, jak stosowali wszystko, począwszy od wegetarińskiej diety i celibatu do nawrócenia się na którąś ze starych ludzkich religii. Cały ten czas, który marnowali, mogli poświęcić na odkrycie tego, co potrafią najlepiej i

wzmocnienia właśnie tego. Gdyby Mero miał choć trochę rozumu, uczyłby się teraz, jak łączyć swoje zdolności magiczne, a nie zaprzeczał całkowicie posiadaniu mocy czarodziejskiej.

Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Ważne było, że jej wpływ na niego nie uległ zmniejszeniu. Incydent z Larasem nie wyrządził szkody urokowi. Wręcz przeciwnie, panowała nad nim jeszcze mocniej niż przedtem.

Nadal wychwalała jego mizerne osiągnięcie, a on rosił w dumę w blasku jej pochwał, rozpraszając, a następnie odnawiając złudzenie. Może oddać pozostałych troje w ręce starszyny? Jeśli dobrze to zaaranżuje, będzie wydawało się, że zostali odkryci przez kogoś z zewnątrz. Mogłaby ukryć Mero i pozwolić ludziom Cheynara zabrać pozostałych - wtedy nie miałby do kogo zwrócić się z wyjątkiem niej. Uśmiechnęła się nad jego ramieniem do drzew za oknem. To nie był taki zły plan. Prawde mówiąc, powinna łatwo to osiągnąć, polecając ludziom Cheynara przybyć w czasie, gdy ona będzie na przejazdce albo łowach z Mero.

Będzie zmuszona to uczynić, aby całkowicie odsunąć od niego jego kuzyna i tych pozostałych. Jeśli nie pozbedzie się ich, Mero nigdy nie zerwie kompletnie więzi z nimi.

Była o tym absolutnie przekonana.

A potem, kiedy już go odizoluje, rzuci go swojemu haremowi. Młodzieniec wybije się na sam szczyt, ale będzie musiał wykorzystać wszystkie swoje umiejętności, łącznie z czarodziejskimi. Powinien być wystarczająco zajęty, żeby więcej już nie myśleć o Valynie i pozostałych.

Z niecierpliwością oczekiwała na te chwile, a tymczasem kiwała głową i obsypywała go pustymi słowami pochwały.

Będzie bardzo zabawnie...

Shana chwyciła przechodzącego Mero za ramię i wciągnęła go do biblioteki, zanim zdążył zaprotestować, czy wyrwać się. Zatrzęsła szybko drzwiami, zamknęła je na klucz i odwróciła się, przyciskając do nich plecy.

Mero stał tam, gdzie przedtem, z wyrazem znudzonej pobłażliwości na twarzy.

-Dobrze, Shano - rzekł tonem znudzonej cierpliwości. - O co ci chodzi? Coz Triana znowu zrobiła?

-Nie chodzi o to, co zrobiła, tylko o to, co zamierza zrobić - odparła rozgniewana Shana, odrzucając włosy z oczu. - Daje ci własny apartament, prawda? Tuż obok własnego?

Cien beztrąsko wzruszył ramionami, a Shana miała ochotę go udusić. Złożył ręce na piersi

i westchnal teatralnie zanim odpowiedział. - Sadze, ze nie ma sensu zaprzeczac, skoro juz wiesz. Wiec co z tego?

Jego znudzona mina rozgniewala ja i sklonila do wykrzyczenia pierwszej rzeczy, jaka jej przyszla na mysl. - A to z tego, ze odgradza cie od nas! Prawie wcale cie juz nie widzujemy! Ona chce, zebys trzymal sie z daleka od nas, zeby moc manipulowac toba.

Przeciez od tygodni nie odezwales sie nawet slowem do Valyna! - Nie to zamierzala powiedziec. Chciala, zeby jej slowa zabrzmialy nieco rozsadniej, lecz nie mogla sie powstrzymac.

Dostrzegla, ze zawstydzil sie troche, kiedy wspomniala o Valynie, ale poza tym nie wzruszylo go to.

-Ona nie chce, zebys mial z nami cokolwiek do czynienia, Mero - ciagnela, usilujac zmusic go do reakcji, probujac przeniknac jego obojetnosc. - Ona nas zdradzi, wiem, ze tak jest, nas wszystkich z wyjatkiem ciebie, a potem zamierza cie wykorzystac...

Jedyna reakcja byl wyraz odrazy, jaki odmalowal sie na jego twarzy. Przerwal jej pelna przejecia przemowe. - Doceniam twa troske o mnie, ale watpie czy naprawde wlasnie to cie teraz martwi. Jestes po prostu zazdrosna, Shano. Ona jest piekna i dobrze wychowana, jest twoim przeciwnostwem i po prostu jestes o nia zazdrosna! - Poki stala z ustami otwartymi, wsciekla za taka niesprawiedliwosc, on ciagnal dalej bez litosci. - Zal mi ciebie, naprawde zal. Ona chetnie zostalaby twoja przyjaciolka, gdybys tylko nie trwala w przekonaniu, ze ona ma zle zamiary po prostu dlatego, ze jest tak piekna! Wiesz, ze ona pod wieloma wzgledami podziwia ciebie, uwaza, ze twoja sila i samodzielznosc sa fascynujace. Moglabys zaprzyjaznic sie z nia, Shano, gdyby tylko zawisc nie zzerala cie tak bardzo!

Shana zacisnela dlonie w piesci, az kostki jej pobielaly, poczula tez, ze uszy jej czerwienieja z mieszaniny wstydu i wscieklosci. Wstydu - bo zazdroscila Trianie, jakzeby nie miala? Triana byla cudowna, a Shana stojac obok niej czula sie jak mloda jalowka z zabloconymi nogami i skoltunionym ogonem. A wscieklosci - bo elfia pani zawladnela Cieniem kompletnie. Nie bylo mowy, zeby Triana chciala sie przyjaznic! Te tak zwane gesty przyjazni byly rownie falszywe, co szklane rubiny. Kazdy z nich byl zatrutym cukierkiem - pod lagodnymi slowami krylo sie szyderstwo. Nikt jednak - a przynajmniej zaden mezczyzna - w to nie uwierzy. Nikt z nich nie spojrzy, co kryje sie pod powierzchnia.

-Nie o ciebie sie martwie - odparla gniewnie. - Tylko o to, co wyrzadzasz nam!

Mielismy obmyslac sposoby, jak pomoc ludziom i polelfom, a nie zrobilismy niczego od czasu przybycia tutaj. Caly czas spedzasz z nia! Zaczales zaniedbywac swoja magie czarodziejska, probujac popisywac sie przed nia. Wiem, ze nie uczysz sie niczego o laczeniu swoich zdolnosci - pozwoliles, zeby wszystko sie zmarnowalo, wszystko czego

usiłowalam ci nauczyć. Mówię ci, Cieniu, ona zamierza zdradzić nas i ciebie - nas wszystkich!

Kiedy szukała na jego twarzy jakichkolwiek oznak, że jej słowa dotarły do niego, ogarnęła ją pokusa użycia swych zdolności psychicznych w stosunku do niego. Gdyby tylko zdołała zmusić go do posłuchania - a jeśli nie posłucha, może uda jej się go kontrolować... - To dziecinada - oświadczył wyniosłe Mero. - Nie mam zamiaru marnować ani chwili więcej na wysłuchiwanie twoich infantylnych oskarżeń.

Nachylił się i chwycił ją za ramię, zanim zdążyła cofnąć się. - I nie próbuj na mnie swoich czarodziejskich sztuczek... - ostrzegł, sciskając ją mocniej za ramię i odciągając od drzwi. - Jestem na to przygotowany, więc nic nie osiągniesz. - Powiedziawszy to, przekreślił zamek i wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi z hukiem i zostawiając ją kipiącą ze złości.

Miała ochotę kopnąć, wrzeszczeć, pobiec za nim i wbijać mu trochę rozsądka do głowy.

Nie uczyniła niczego podobnego. Zmusiła się natomiast do uspokojenia w takim stopniu, że mogła już jasno myśleć. Uczyniła to oddychając głęboko i świadomie opróżniając umysł, czując odpływ gorącej krwi z policzków i ocieplenie lodowato zimnych dłoni.

Doszła do wniosku, że musi zastanowić się nad tym w sposób obiektywny, kiedy już się opanuje. Podeszła do swego ulubionego fotela w bibliotece i zwinęła się w nim, przyglądając czubkom drzew kolyszającym w dole. Miał tam silny, ciepły wicher, tego rodzaju wiatr, który zapowiadał burzę. W porządku, będzie obserwować Triane i wtedy nie ma mowy, żeby ta zrobiła coś takiego, przed czym ona razem z Kemanem nie zdołałaby uciec. Tak jej się zdawało. Gdyby oboje obserwowali ją, wymknęliby się. Jeśli Valyn jej nie uwierzy, jego strata. Ocali go, gdy Triana zdradzi ich wszystkich, a wtedy uwierzy jej.

Pozwoliła sobie na krótkie marzenie o tym, jak wyrwie Valyna z rąk ludzi Cheynara i ucieka z nim w mrok nocy - i o jego późniejszej wdzięczności...

Wtraciła się jednak rzeczywistość i ukłucie bólu spowodowane sposobem, w jaki Cien ją potraktował. Jestem naprawdę zazdrosna o Triane, Cien ma rację. To, jak go omotała i wykorzystywała, było wstretne - wysysała z niego siły bez jego wiedzy, bo inaczej byłby bardziej zaawansowany w swoich magicznych naukach...

Nagle zdała sobie sprawę z czegoś i policzki zapłonęły jej ze wstydu. Ona sama wykorzystywała pozostałych w dokładnie ten sam sposób, choć nie do takiego stopnia.

Podkradła im moc po trochu - i rozważała możliwość użycia swoich zdolności psychicznych do manipulowania Cieniem. Manipulowania nim tak samo, jak Triana, choć w inny sposób.

Szczerze mówiąc, w ciągu minionego roku używała swoich zdolności do manipulowania bardzo wieloma ludźmi.

Wzdrygnęła się, zdawszy sobie sprawę, jak bliska była tego, by stać się kimś takim, jak Triana. Bardzo wiele nauczyła się od czarodziejów w cytadeli - lecz ani razu żaden z nich nie powiedział niczego o moralności. Czarodzieje przypominali swych elfich rodziców - wszelkie środki były dopuszczalne, dopóki osiągnano pożądaną cel.

Nie tego uczyła ją Alara.

Tak nie powinno być, powiedziała sobie stanowczo. Nie wiem, jak powinno być, lecz wiem, jak nie powinno. Nie wolno używać swojej mocy do manipulowania przyjaciółmi, którzy ci ufają. To byłoby zdradzenie ich zaufania.

Przyjrzała się długo i krytycznie temu, co uczynił z niej miniony rok i nie spodobało jej się to.

Robię się równie złą, jak elfowie. Gorsza, bo wiem, że nie powinnam tego robić.

Przyglądała się chwiejącym się gwałtownie galeziom i próbowała znaleźć takie wyjście z tego zamieszania, które byłoby właściwe. Cien nie słuchał przestrogi. Valyn w ogóle nie słuchał jej za bardzo. Keman był kompletnie niewinny. W porządku, ostrzegła wszystkich i tylko Keman jej uwierzył. Więc jeśli spełniają się najgorsze podejrzenia, co może zrobić?

Spojrzała na księgę na podłodze, tę którą czytała ostatnio. Kiedy wpatrywała się w nią, przyszło jej na myśl, że może coś zrobić. Nie było to całkowicie etyczne, lecz stanowiło eleganckie rozwiązanie...

Mogłaby, tak sądziła, skrócić wystarczająco dużo mocy Trianie i pozostałym, by przenieść całą trójkę konspiratorów stąd do cytadeli. To właśnie może zrobić. A przynajmniej tyłu z nich, ilu uda się zgromadzić w jednym pokoju. Co oznaczało, że lepiej będzie zacząć ćwiczyć czary na małych przedmiotach. Gdyby zdołała skrócić dość mocy...

Zacisnęła dłoń na niemal zapomnianej brylce bursztynu ze swojego skarbca.

Odruchowo ścisnęła ją w dłoni, wyjęła potem, spojrzała na nią i zaczęła się śmiać.

Glupia! Oczywiście, że będzie miała dość mocy! Może użyć swoich kamieni, żeby ją wzmocnić! Dlaczego przedtem nie przyszło jej to do głowy? Dlatego, że byłam zbyt zajęta atakami zazdrości o Triane.

A to było absolutnie eleganckie rozwiązanie. Zdola pobrać z samej Triany dość energii, by przenieść ich do cytadeli, a tym samym elfia pani nie będzie na siłach ścigać ich ani też ich zatrzymać.

Jeśli zamierza tak postąpić, powinna natychmiast zacząć ćwiczyć. Gdy pokój nagle pociemniał, podniosła głowę i ujrzała, że chmury burzowe, które wyczuła wcześniej, płynęły, zasnuwając niebo niczym granatowo-czarne obłoki atramentu.

Powinna sie przygotowac do wykorzystania tego, poniewaz nie bedzie to jedyna nadciagajaca burza.

-Tak, lordzie Cheynarze - rzekla gladko Triana do obrazu na scianie. Kiedy z kims rozmawiala, wolala lezec wygodnie, podczas gdy inni umieszczali ekrany telesonow w blatach swoich biur. - Widzialam pewne slady wskazujace na to, ze czarodzieje, jakich szukasz, znajduja sie na terenie mojego majatku. Czy moglbys powtorzyc mi dokladnie, jaka bedzie nagroda, gdybym przypadkiem ich znalazla? - Zatrzepotala do niego rzesami. - Zdaje sie, ze wylecialo mi to z glowy. Mysl o czarodziejach na wolnosci jest po prostu przerazajaca, wiesz o tym, panie.

Cheynar westchnal niecierpliwie i wyjasnil od poczatku stosunkowo prosty schemat nagrod. Triana niewinnie rozwarla oczy i udawala uwage. - Polece swym lowcom szukac ich bardzo pilnie, moj panie - rzekla do niego. - Naprawde przypuszczam, ze jakos udalo im sie wymknac tobie i wejsc na moja posiadlosc. Zbyt wiele bylo dziwnych przypadkow, na przyklad brakujacego bydla i temu podobnych rzeczy, ktore zaczynaja miec sens, kiedy zalozy sie, iz ktos sie tu ukrywa.

Zanim Cheynar zdolal przejac inicjatywe i zasugerowac, by to jego ludzie poszukali zdrajcow, oswiadczyla przepaszajacym tonem, ze jest zmeczona i przerwala rozmowe.

No tak, pomyslala, usmiechnawszy sie z zadowoleniem, doskonale sie dzis spisalam.

Ziarno zostalo zgrabnie zasiane. Plony powinny lada moment byc gotowe do zzeccia.

A teraz Mero...

Wstala i poszla poszukac go do jego nowych pokoi, przestronnego, osobnego apartamentu, ktory mu przydzielila obok jej wlasnego. Gral w warcaby z jednym z niewolnikow, kiedy weszla, lecz zerwal sie na rowne nogi z niezmiernie satysfakcjonujaca szybkooscia. Niewolnik rowniez zerwal sie i szybko zajal miejsce z boku stolu, gotow na rozkazy.

Mero wspolpracowal wspaniale. - Nie wiedzialam, ze grasz w warcaby - rzekla sunac przez pokoj i zajmujac miejsce, ktore niewolnik pospiesznie zwolnil. - Prawde mowiac kiedys nienajgorzej sama gram. Lubie gry strategiczne. No tak, lecz w najlepsze gry strategiczne gra sie prawdziwymi ludzmi, tak jak w tej, ktora szykuja twoi przyjaciele.

-Co takiego? - powiedzial Mero, sciagajac brwi ze zdumienia i wracajac na swoje miejsce.

-Nie powiedzieli ci o tym? - rzekla niewinnym glosem i zaslonila usta smukla dlonia, jakby za wiele powiedziala. - Och, nie zwazaj na to, co powiedzialam. Pewno to i tak nic waznego.

-Pewno nie - powiedzial Mero podnoszac jeden z pionkow i przesuwajac go uwaznie, jakby cala uwage poswiecil wylacznie grze. - Oni stale ukkladaja niedowarzone plany i odrzucaja je.

Ale do tej pory zawsze wtajemniczali cie w nie, moj drogi? pomyslała Triana z zlosliwa satysfakcja. Nigdy nie pomijali cie przy ukladaniu planow. A teraz zaczyna wygladac na to, ze konspiruja bez twego udzialu, a moze nawet przeciwko tobie.

Zacisnela mocniej wokol niego siec uroku, zalujac bardziej niz kiedykolwiek, iz nie ma czarodziejskich mocy, by kontrolowac jego mysli. Jedyne, co mogla zrobic w tym momencie, to manipulowac nim poprzez dzialania innych.

Wykonala ruch pionkiem i przyjrzała sie ciemnej czuprynie schylonej nad plansza naprzeciwko. Była przekonana, ze jak do tej pory manipulowanie nimi wszystkimi nieze jej idzie. Specjalne traktowanie, specjalne pokoje i czeste podarunki sprawialy wrazenie, ze wyroznia go, co oczywiscie bylo prawda. A to bez watpienia spowodowalo pewna zazdrosc i zawisc. Zachecala go do uwazania sie za w pewnym sensie lepszego od pozostalych - co powinno znalezc odbicie w jego odnoszeniu sie do nich.

Z cala pewnoscia takie odnosilo sie wrazenie. Wiedziala, ze kilkakrotnie natknal sie na troje swoich przyjaciol rozmawiajacych z przejeciem o czyms, i ze przerywali rozmowe w chwili, gdy wszedl do pokoju, zmieniajac temat na bardziej niewinny.

Kazdy, kto mialby chocby odrobine wnikliwosci, bylby pewien, ze to on byl tematem rozmowy przed chwila. Oczywiscie bylo to prawda, choc prawdopodobnie nie w takim sensie, jak przypuszczal.

A co do Shany - czulosc, jaka obdarzala chlopca i naloznice, ktore posylala mu na noc, byly niewatpliwie przyczyna ponurych spojrzeń, jakimi dziewczyna go mierzyla.

Ten zwiazek z pewnoscia bliski byl wygasniecia, jesli juz nie wygasl.

Mero wykonal swoj ruch i wyprostowal sie w krzesle. Wciaz mial zmarszczone brwi.

Wybrala pionek i przesunawszy go dokonala bicia.

A teraz zasugerowala mu, iz w niektore plany nie wtajemniczono go. W tym momencie powinny go przechodzic zimne dreszcze.

Znow wykonal ruch i z wymuszonym, triumfalnym usmiechem pobil jej damke.

-Obawiam sie, ze przegralas, pani - rzekl uprzejmie. - Jakiego dostane fanta?

Poslala mu usmiech, od dawna bowiem planowala juz te chwile. - Mysle, ze to wystarczy - powiedziala, zsuwajac z palca pierscien z berylem i podajac mu go.

-Przeciez to tylko partia warcabow. Jesli chcesz grac o wyzsze stawki, bedziesz musial zagrac w co innego.

Przyjął pierścien i ucałował dłoń, która mu go podala. - Być może zagram - odrzekł, rozchmurzając się. - I być może, jeśli przegram, będę uważał się za zwycięzcę, hmm?

Zasmiała się cichutko. - Ależ, Mero, stajesz się prawdziwym dworzaninem! Nie miałam pojęcia, że potrafisz być tak szarmancki!

Wypuścił jej dłoń z ociąganiem. - Nigdy przedtem nie miałem powodów, by postępować szarmancko, o pani - odparł - lecz zapewniam cię, iż będę nosił ów pierścien nie jako znak zwycięstwa, lecz oznakę szacunku.

Właśnie taka miała nadzieję, ty głuptasie - pomyślała z radością, przyglądając się, jak przymierza pierścien na każdy palec po kolei. Beryl ten zawierał jedno z jej najlepszych zakleć. Kiedy już założy pierścien, nigdy już nie uwierzy w złe słowo skierowane przeciw niej. A kiedy weźmie go do swego łoża, będzie należał do niej całkowicie. Gdyby poleciła mu rzucić się ze skały, zrobiłby to. Sadziła, że to powinno być stawka w następnych kilku partyjkach.

-Hmm - mruknął Mero, kiedy okazało się, że pierścien nie pasuje na zaden z jego palców. - Będę musiał dopasować go do swoich rozmiarów. - Kiedy chciała zabrać go, machnął przecząco dłonią i wrzucił drobiazg do kieszeni. - Nie kłopotz swojej pięknej głowy, o pani. Po tym, czego mnie nauczyłaś, dopasowanie pierścienia będzie dziecinna zabawka. Zajmij się tym później, i nie martw się, nigdy nie zdejmę go z palca.

Odsunęła się na oparcie krzesła, przyglądając się, jak ustawia pionki do nowej partii.

Och, nie będę się martwić, drogi Cieniu, pomyślała, nie podnosząc oczu znad planszy, by nie zdradził jej kryjacy się w nich błysk zadowolenia. Była to ostatnia rzecz, o jaką martwiłaby się.

Cień otworzył okno w swym pokoju i upewnił się, że nikogo nie było w ogrodzie na dole. Szybkie myślowe rozejście się wykazało również, że w okolicy nie czaił się żaden obserwator, ani człowiek, ani mag.

Oczyszczył stół i ostrożnie, bez dotykania go ciałem odgalił łapki przytrzymujące beryl.

Gdy kamień wyskoczył już z uchwytu, wziął go w skrawek jedwabiu, zaniósł do okna i cisnął nim z całych sił.

Mały beryl szybko zniknął z pola widzenia. Jedwabna szmatka spadła na ziemię z furkotem.

Pokiwał głową z zadowoleniem i wrócił do stołu. Brosza do spinania płaszcza dostarczyła innego, nowego beryla odpowiedniej wielkości i kruszcu. Wylupiał kamień z oprawy i umieścił go w pierścieniu, zmiekczywszy magią łapki na dość długo, by mógł mocno zacisnąć je na kamieniu. Potem wygładził miejsce na broszy, z którego go wyjął i wygrawerował na

zmiekkczonym metalu zarys liscia, upewniajac sie, ze nie pozostawil sladow zmian.

Tak. Polozył brosze obok pierscienia i przyjrzał się im obu krytycznie. Powinno wystarczyć.

Ostatnie dni były dla niego udreka; szczególnie bolaly go te okropne słowa, jakie powiedział Shanie. To dobra dziewczyna i zasługuje na coś więcej, lecz nie miał innego wyjścia, chcąc przekonać Triane, że jest wciąż pod jej urokiem.

To uderzenie w głowę, które otrzymał w czasie bojki, najwyraźniej rozproszyło urok.

Pierwsze, co zauważył, to że czułości Triany nie wydawały mu się mile, lecz drażniły go.

Potem zdał sobie sprawę po raz pierwszy od wielu tygodni, że może samodzielnie myśleć. Wtedy przypomniał sobie, że zatrzymali się tu tylko na jakiś czas, jak w tymczasowej kryjówce, a pierwotnie mieli zamiar udać się do cytadeli Shany, nakłonić czarodziejów do poparcia ich sprawy i działać na rzecz uwolnienia niewolników oraz ocalenia wciąż ukrywających się mieszanców.

Nic podobnego się nie wydarzyło. Zamiast tego pograżył się w rozkosznym śnie z Triana w roli głównej, nie dbając już o przyjaciół, ich sprawę i wszystko, co kiedyś uważał za ważne. Shana wydawała mu się jednocześnie dziecinna i głupio, pyszałkowato arogancka. Teraz, mimo iż wciąż wydawała mu się arogancka, zdał sobie sprawę, że nie zachowywała się dziecinnie w kwestii Triany. Podejrzewała o coś elfia dama i miała wszelkie ku temu powody.

Opowiedział Kemanowi o swoim związku z nią od niechcienia - lecz kiedy miał okazję się nad tym zastanowić i przyjrzeć Trianie niezmaconym wzrokiem, wpadł w gniew. Ona go wykorzystywała. Przynajmniej to musiał przyznać Shanie, że nigdy nie wykorzystwała go. Triana bawiła się nim. Nie wiedział jeszcze, na czym polega jej gra, lecz pewien był, że coś knuje.

Wtedy to postanowił dowiedzieć się, do czego tak naprawdę ona zmierza - a najlepszym sposobem na to było wprowadzić ją w błędne przekonanie, że nadal jest oczarowany i zauroczony.

W tym celu musiał nadal udawać przed przyjaciółmi.

Nie chciał przyznać się, jak bardzo sprawiło mu to ból. Szczególna przykrość sprawiło mu to, że musiał powiedzieć Shanie tyle nieprzyjemnych rzeczy prosto w twarz.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ją lubi, a widok dziewczyny kulacej się pod uderzeniami jego obelg sprawił, że poczuł się jak ostatni lajdak.

Niemniej jednak wyglądało na to, że zbliża się punkt kulminacyjny. Skorzystawszy z sugestii Triany, przygotował plansze do szachów, a nie do warcabów do drugiej gry - która

przegrała. Był pewien, że rozmyślił - wykonał bowiem kilka bardzo niezrecznych posunięć, dzięki którym mogła zwyciężyć, a które ona całkowicie zignorowała. Zrobiła niewinna minę, zatrzepotała rzesami i poleciła mu wybrać fant. Wybrał to, czego spodziewała się, według jego domysłów. W końcu trzymała go na odległość od wielu tygodni, z rozmysłem rozpalając w nim krew, a potem odtracając. Teraz wiedział już dlaczego. Owijała go swym urokiem, a fizyczne spełnienie miało zakończyć czar.

Chciała upewnić się, że haczyk mocno tkwił, zanim wyciągnie rybę z wody.

-Pragne ciebie - powiedział przebiegle.

El?a wdziękowała się i robiła niesmiałe uniki, ale on nalegał. Długo oczekiwane spotkanie nastąpiło po kolacji w jego komnatach.

Dzieliło ich od tego jeszcze kilka godzin - lecz przecucie mu mówiło, że tak pośpiesznie udala się do swoich pokoi, ponieważ chciała coś zrobić. Na przykład powiadomić kogoś przez teleson, że ma "dziką dziewczynę", której wszyscy szukają.

Miał szczerzy zamiar wykrzyknąć, co ona knuje.

Jedną z dobrych stron bycia sługą, pomyślał ze zgorzknieniem, jest fakt, że nikt nie zważa na to, co robisz. Ostatnim razem kiedy tu był, Valyn dostał bardzo podobne pokoje. Cien przez większość czasu nie opuszczał apartamentu, nie chcąc ryzykować, że ktoś rozproszy złudzenie, za którym się chował. A ponieważ Cien nie spotkał jeszcze dworu elfów, który nie byłby usiany tajnymi przejściami, kiedy znudziło mu się czekanie, zaczął szukać drzwi do nich.

Znalazł je bez trudu. Jak zwykle, korytarze prowadziły do niemal każdego pomieszczenia w budynku. Jeśli tylko wszystkie przejścia w gościnnych pokojach funkcjonowały podobnie...

Przyjrzał się uważnie kominkowi i odnalazł takie same małe rzeźbione galki, jak w tym drugim pokoju. Przekrecił każdą z nich po kolei...

Płyta w ścianie obok kominka odsunęła się bezgłośnie. Wślizgnął się do środka i zamknął drzwi za sobą.

Poczekał chwilę, żeby jego oczy mogły przyzwycząć się do ciemności. W środku nie było całkiem ciemno; po obu stronach korytarza znajdowały się otwory do podglądania, którymi wpadało światło. Czuciło się ciężki, wilgotny zapach stęchlizny, a posadzkę pokrywała gruba warstwa kurzu, niczym opadł śnieg. Najwyraźniej nie używano tych przejść zbyt często. Był ciekaw, czy sama Triana wie o ich istnieniu. Powstrzymał się od kichnięcia i ostrożnie ruszył przed siebie, dokładając staran, by wzbijać jak najmniej kurzu. Zasłonił usta i nos chusteczką, czyniąc z niej filtr przeciw pyłowi.

Triana nie należała do osób, które chciałyby udawać się do gabinetu za każdym razem, gdy

trzeba z kims porozmawiac. W jej pokoju znajdował sie prawdopodobnie teleson.

Cale szczescie, ze do celu nie bylo daleko - mimo ostroznosci wciaz wzbijal tumany kurzu. Pyl unosil sie w powietrzu, a chusteczka nie byla w stanie zatrzymac wszystkiego.

To bedzie jego sypialnia... jego garderoba... lazienka Triany... Kiedy dotarl do pokoi Triany, uslyszal czyjs glosy. Glos Triany i czyjs jeszcze. Brzmialo to jak zwykla rozmowa, nie jak glos kogos wydajacego polecenia podwladnemu. Byc moze Triana rozmawiala z Valynem, lecz nie sadzil, zeby tak bylo. Glos mial zbyt glebokie brzmienie, by nalezec do Valyna.

Przyspieszyl nieco kroku i po kilku chwilach juz mogl uslyszec pojedyncze slowa.

Natychmiast poznal glos Cheynara i wiedzial, ze jego podejrzenia okazaly sie prawda.

Triana rzeczywiscie miala teleson w swych pokojach i rzeczywiscie kontaktowala sie z dostojnikami. - ...dosc juz tego owijania w bawelne, moja pani - warknal Cheynar w chwili, gdy Cien stlumil kolejne kichniecie i zatrzymal sie. - Przejdzmy moze do rzeczy, dobrze?

Czy masz wieści o tych zdrajcach, czy nie?

Cien zamarl w bezruchu, ledwo smiejac odetchnac. A wiec Triana rzeczywiscie rozmawiala z Cheynarem o ich obecności tutaj! Shana miala racje; od samego poczatku zamierzala ich zdradzic.

-Coz, moj panie - rzekla powoli Triana - na pewno ktos mieszka w moich lasach. Jesli nie twoi renegaci, z pewnoscia inni dzicy ludzie. Przyznaje, ze sa za chytry dla mnie i moich slug, wiec bylaby wdzieczna za pomoc w wyploszeniu ich.

Cien ostroznie dotknal jej mysli i uslyszal, jak myśli: "Zbiore druzynie myśliwska odlacze sie od nich i wroce na spotkanie ludzi Cheynara. Prawdopodobnie powinnam jednak uspici Mero i ukryc go gdzieś, dopoki nie odejda. Pewno chcialby rzucic sie na pomoc, albo zrobic cos rownie bohaterskiego i glupiego. A przeciez nawet nie zaczal jeszcze byc uzyteczny dla mnie".

-To sie da latwo zrobic - odparl Cheynar. - Moge przyjechac za dwa dni. Czy to wystarczajaco wczesnie?

-Doskonale, moj panie - odpowiedziala Triana glosem promieniejącym z zadowolenia. A pomyslala: "Bede miala wiecej, niz dostac czasu, by wszystko przygotowac, laczenie z obozowiskiem, ktore maja znalezc ludzie Cheynara, tak, aby wszystko wygladalo, jakby cala trojka mieszkala tam od jakiegos czasu. Ciekawa jestem, jak Dyran zareaguje, kiedy dowie sie, ze jego syn jest zdrajca?" - W takim razie zobacze cie za dwa dni, pani - powiedzial Cheynar.

-Ale z pewnoscia, moj panie - odrzekla Triana. - Z pewnoscia.

Na zewnątrz księżyc w pełni zeglował z niezmaconym spokojem nad czubkami drzew. Wewnątrz, w apartamencie, jaki Shana dzieliła z Kemanem, panowała atmosfera, której bynajmniej nie można było nazwać spokojną.

-Nie jestem głupia i nie jestem przewrażliwiona - mówiła cierpliwie Shana, powściągając ze wszelkich sił swój gniew grozący wybuchem w obliczu niedowierzania Valyna. - Przysięgam, że nie mówię tego z zazdrości o Triane. Słyszales, co powiedział Keman! Słyszales, co Mero mu powiedział! On kompletnie nie ma uprzedzeń i z całą pewnością nie ma powodów czuć się zagrożony tylko dlatego, że Triana ma ładną buzię.

-Ja powiedziałbym "uwodzicielska natura" - wtracił Keman. Shana zdusiła jęk.

Usiłowała cały czas pomijać w rozmowie te akurat cechy ich bylej gospodyni, wiedząc, jak odbije się to na jej wiarygodności.

Valyn zareagował tak, jak można było się spodziewać. Przybrał tę wyniosłą pozę, której tak nie cierpiała i rzekł głosem wręcz ociekającym słodkim rozsądkiem; - Ale ty tak, Shano i nic na to nie możesz poradzić. To całkowicie naturalna reakcja. W końcu jesteś gościem w jej domu, nic dziwnego, że czujesz się nieswojo wobec niej. Czujesz, że musisz z nią współzawodniczyć, a jednak nie jesteś w stanie. Rozumiem to. Niemniej jednak to jeszcze nie dowód, że Triana jest zła.

Shana miała ochotę potrząsnąć go za ramiona i wrzasnąć do niego: Nie jestem zwierzęciem, żebym denerwowała się tylko dlatego, że znalazłam się na terytorium innej samicy! Pochamowała swój gniew i powtórzyła to, czego najwyraźniej nie dosłyszał.

-Keman nie jest kobieta, bynajmniej nie czuje się przez nią zagrożony, a mimo to...

Przerwał jej dziwny dźwięk, który sprawił, że spojrzała przez ramię Valyna. Zupełnie niespodziewanie zobaczyła drzwi pojawiające się w ścianie obok kominka, a następnie otwierające się. Utknęła w pol zdania i gapiała się nie domknawszy ust. Valyn odwrócił się na krzesle w samą porę, by ujrzeć Cienia wylaniającego się z niskich drzwi, zanoszącego się kaszlem i otrzępującego ubranie z kurzu.

Pierwszą jej myślą było: "Jak on się tu znalazł?" A drugiej towarzyszyło niemiłe uczucie sciskania w dolku. Czyżby w każdym pokoju były tajne drzwi? Czy w taki sposób budowano wszystkie elfie domy? Jeśli tak - w żadnym budynku już nigdy nie będzie się czuła pewnie! Pomysleć, że ktoś może zakręcić się z nienacka i wyskoczyć z pustej ściany!

Valyn oprzytomniał pierwszy. - Co ty tam robiles? - spytał zdumiony.

-I dlaczego...

-Musiałem się dowiedzieć czegoś - odrzekł Cien, przerywając mu. - Posłuchaj, jest mi naprawdę przykro, jesteśmy w tarapatkach. Byłem idiota, a Shana od samego początku

miała racje. - Miał ponura mine, lecz patrzył im w oczy bez wahania. - Trianie zależało na mnie, a ja wpadłem w jej sidła z glupkowskim uśmiechem na twarzy i otwartymi ramionami. Zauroczyła mnie, żeby zrobić ze mnie swego własnego, oswojonego czarodzieja, a was zamierza rzucić ludziom Cheynara. Podsluchalem jej rozmowe przez teleson dzis po poludniu. - Przerwal, zeby zaczerpnac tchu i roztargnionym gestem pocieral skron, jakby bolala go glowa. - Przykro mi. Przepraszam. Teraz musimy uciekac stad, ale jak to zrobimy?

-Poczekaj chwile! Skoro podsluchales rozmowe dzis po poludniu, dlaczego czekales do tej pory, zeby nam o tym powiedziec? - zapytal Valyn, a w jego glosie pobrzmiwalo oskarzenie, to samo, co w jego oczach.

-Do tej pory nie moglem wymknac sie - odpowiedzial zalosnie Cien. - Nie chcialem, zeby dowiedziala sie, ze ja podsluchalem, wiec musialem zachowywac sie, jakby nic sie nic zmienilo. Cheynar nie bedzie tu wczesniej niz za dwa dni. Nie sadzilem, zeby kilka godzin w te, czy tamte, miało znaczenie.

-On ma racje - powiedziala Shana, zaskoczywszy nawet siebie sama, kiedy wszyscy zwrocili oczy ku niej. - Gdyby przybiegl do ktoregos z nas dzis po poludniu, a Triana spodziewala sie, ze bedzie z nia, wiedzialaby, ze cos sie stalo. Valynie, ty byles na przejazdce, ja w bibliotece, a Keman...

-Weszył wśród niewolników - podpowiedział Keman. - Szukałem informacji, które udowodniłyby Valynowi, że nie jesteś przewrażliwiona, Shano. - Uśmiechnął się z zazenowaniem. - Dowiedziałem się mnóstwa rzeczy, ale wygląda na to, że nie będą już potrzebne.

-Widzisz? - powiedziala Shana, odwracajac sie ponownie do Valyna. - Gdyby wtedy poszedl nas szukac, Triana zauwazylaby jego nieobecność, a my zmarnowalibysmy tylko czas, probujac sie odnalezc nawzajem. - Uniosła brew, spoglądając na Cienia, który poważnie pokiwał głową. szac jeszcze te glupote. Musimy jednak uciekac stad i to natychmiast - juz wkrótce bowiem Triana odkryje, że mnie nie ma i nie będzie z tego powodu szczęśliwa.

Shana postanowila nie pytac, co zrobil. Miala wrazenie, ze w calej tej aferze ucierpiala jego duma, i ze prawdopodobnie przygotowal niespodzianke dla Triany, ktorej przeznaczeniem bylo ulagodzic jego urazona dume. Na nieszczęście tego typu "niespodzianki" zazwyczaj powodowaly mase klopotow.

Powinna sie na tym znac, bowiem nie raz ulegala pokusie podbudowania swej urazonej dumy.

-Na przodków! - szepnal Valyn. - Szkoda, że nie ostrzegles nas troche wczesniej, Mero! Jak teraz zabierzemy...

-Niczego nie potrzebujemy. - Shana przerwała mu z uśmiechem zwycięskiej zemsty na ustach. - Nie ruszajcie się tylko z miejsca. Wbrew temu, co myślicie, ja nie siedziałam naburmuszona w bibliotece. Prawde mówiąc, byłam bardzo zajęta...

Jej dłoń odnalazła bursztynową kulę i zacisnęła się na niej mocno.

-Niech nikt się nie rusza... - ostrzegła.

Była szybsza niż tchnienie, pochwyciła potrzebna jej moc i bezlitośnie wydarła ją Trianie... Przepuściła ją przez bursztyn, wzmocniła trzykrotnie i splótła z niej ścieżki czarnej, szeptała słowa rozpoczynające zaklęcie transportujące... I nazwała miejsce przeznaczenia.

-Cytadela...

Ostatnia rzecz, jaką zobaczyła, był Valyn otwierający usta ze zdumienia, w chwili gdy pokój wypełniło światło tak jaskrawe i nagle, jak blask błyskawicy... Złodek jej podszedł do gardła...

...i znikli.

Triana wdziękowała się przed lustrem, przyglądając perłowobiałą suknię na piersiach i płaskim brzuchu. Zadaniem ledwo przejrzystego materiału było bardziej kusić, niż odsłaniać. Przy obiedzie Mero miał pierścien, a ona już dopilnowała, by posiłek naszpikowany był substancjami uchodzącymi za afrodyzjaki. Po jej zaklęciu, kolacji i ujrzeniu tej sukni, Mero powinien być gotowy do zerwania.

Zastukała do jego drzwi, a następnie weszła bez czekania na odpowiedź i zamknęła za sobą drzwi na zamek. Nie życzyła sobie, żeby ktoś jej przeszkadzał, nie dziś wieczorem. Wszystko wskazywało, że Mero nie jest niedoswiadczony, więc nie mogła się doczekać chwili, gdy wypróbuje jego umiejętności.

Mero nie czekał na nią w salonie, co nie powinno budzić zdziwienia. Oczywiście jest w sypialni, a biorąc pod uwagę jego romantyczną naturę, prawdopodobnie przyściemnił światła i być może uperfumował powietrze kadzidłem - zaweszyla i odniosła wrażenie, że czuje lekki zapach kwiatów.

-Cieniu... - szepnęła, a potem zatrzymała się w zdumieniu. Łóżko było zasłane, pokój nietknięty, jedno i drugie - puste.

Coż to... Teraz już szczerze zdziwiona, pchnięciem otworzyła drzwi na oścież i normalnie weszła do sypialni.

Nic. Ani żywego ducha. On się chowa za drzwiami, zamierza wyskoczyć i schwytac mnie... Ale nie chował się. Nie było go nigdzie w apartamencie.

Powoli odwróciła się, jakby nie mogąc uwierzyć, że ktoś mógł umówić się z nią, a potem nie zjawić się na spotkanie. Odwróciwszy się ujrzała mały skrawek papieru przypięty do poduszki. Nachyliła się i odczytała go.

Amatorka, brzmiały słowa napisane zgrabnym charakterem pisma. Nic więcej.

Dopiero po chwili dotarło do niej, co miał na myśli - ale w chwili, gdy zaswitało jej to w głowie, została tak zaskoczona, że poczuła pustkę w myślach...

A wtedy było już za późno.

W chwili, gdy ogluszona zdumieniem stanęła jak wryta, ktoś wyciągnął magiczną "reke" i wyszarpnął z niej moc, wyrrywając ją z siłą nie tylko magiczną, lecz także fizyczną. Na przodków...!

Nogi się pod nią ugięły; potknęła się, a potem upadła na łóżko. Usiłowała wezwać pomoc, lecz mogła tylko otwierać usta, jak wyjęta z wody ryba. Jedynym "dźwiękiem" był odgłos zaklęcia, które odebrało jej moc, drażniący uszy brzęk, niczym muzyka szalonych minstrelów.

Kto... pomyślała, rozpaczliwie usiłując odzyskać władzę nad swoim ciałem. W jaki sposób...

Lecz ten wspaniały twór, który służył jej tak doskonale przez wszystkie lata, nie reagował. Nie mogła poruszyć nogami, ledwo mogła ruszyć rękoma. W chwili, gdy wyciekł z niej ostatek mocy i już zaczynała tracić przytomność z osłabienia, spróbowała sięgnąć jedną ręką po dzwonek, by wezwać niewolnika. Pole widzenia zawęziło jej się, a przed oczami zaczęły tanczyć iskry.

Czuła już bliskość dzwonka - już go niemal miała.. A wtedy... dźwięk, przytłaczający... ryk lawiny... trzask gromu... Zaklęcie transportujące? I wtedy zapadła się w ciemność.

Rozdział XXIII

Strach...

Shana czuła skurcze żołądka i mdłości, była dezorientowana i kreciło jej się w głowie. Czyżby spadała? Strach... pomruk gromu...

Dźwięk, niekonczący się ryk, kakofonia dźwięków, ogluszająca, otaczająca ją...

...gdzie ja jestem...

Nic... nie czern, nic... wszędzie dookoła niej. Zawroty głowy... mdłości... grom walący w zmysły... Wpadła w panikę, nie mogła przypomnieć sobie, gdzie... co... i spadała

na ziemi z loskotem, ładując siedzeniem na trawniku w jaskini cytadeli. Pozostałym nie dopisało większe szczęście podczas ładowania, kiedy bowiem przestało jej się kręcić w głowie i mogła już się rozejrzeć, ujrzała ich wokół siebie w różnych pozach, całkowicie zdezorientowanych.

Kaszlnęła, a potem chrząknęła. W pobliżu, tam gdzie widac było masywny zarys cytadeli pod ścianą jaskini, rozległy się okrzyki. Zaskoczenie, niepokój, zamieszanie; cała cytadela została postawiona na nogi. - Ja... nie twierdziłam, że to ciche zaklecie - powiedziała słabym głosem na widok ludzi wybiegających z budynku.

Valyn miał dość przytomności umysłu, by rozproszyc magię nadająca Cieniowi wygląd czystej krwi elfa i rzucić pospiesznie złudzenie polelfiego wyglądu na siebie samego. Shana dostrzegła, jak rysy twarzy ich obu rozplywają się i przekształcają w tej samej chwili. Watpiała, by w ogólnym zamieszaniu, po wygasnięciu skutków zaklecia transportującego, ktokolwiek zauważył leciutki podmuch muzyki towarzyszący jego magii.

W tej chwili nawet nie chciała myśleć o rzuceniu następnego czar. Nic dziwnego, że dawni czarodzieje nie czynili tego za często. Wiedziała, że będzie to trudniejsze od prostej wersji, dzięki której wraz z innymi okradali elfich władców - lecz nie podejrzewała czegoś podobnego. Pierwszy dotarł do nich Zed, a biegł, jakby grunt mu się palił pod nogami. Kiedy ujrzał, kim są ci, którzy walają się po całym trawniku, zwolnił kroku, a potem zatrzymał się obok Shany. Na jego twarzy odmalowała się dziwna mieszanka zaskoczenia, niepokoju i zgryźliwego rozbawienia...

-No cóż, Shano - rzekł, spoglądając najpierw na nią, potem na Valynę i znowu na nią - muszę przyznać, że masz talent do efektownych wejść.

Nie mogę w to uwierzyć. Jedyny raz, kiedy jestem pewna, że to, co zrobiłam jest właściwe, okazuje się, że postąpiłam kompletnie źle.

Shana zasłoniła twarz rekoma. Keman usiadł obok niej i pocieszająco poklepał ją po ramieniu.

Nie mogła uwierzyć w to, jakich kłopotów narobiła. Po prostu w głowie jej się nie mieściło. Postawiła na głowie całą okolice i w ciągu jednego popołudnia zniweczyła setki lat dochowywania tajemnicy.

Jak ona to zrobiła?

-Hej - powiedział Zed. Kiedy podniosła głowę, podał jej kubek gorącej herbaty.

-Mogło być gorzej - ciągnął przykucnąwszy obok niej. - Nie wiedziałas, że można śledzić zaklecie transportujące? Nie było powodu, dla którego miałabys wiedzieć o tym, a mogę się założyć, że wykrycie cytadeli przez elfich panów było tylko kwestia czasu.

-Ale to przeze mnie dowiedzieli sie - odezwalasie zalosnie. To nie przypadek ani los, tylko moj glupi czyn.

-No to co? - Zed wcale nie byl za bardzo zmartwiony. - Wielu z nas chcialo wreszcie zmierzyc sie z elfimi wladcami, a teraz nie mamy juz wyboru. Musimy walczyć, bo inaczej zostaniemy starci w proch.

-Jesli myslisz, ze od tego poczuje sie lepiej, to sie mylisz - odpowiedziala z gorycza.

Wyszczeryl sie w usmiechu. - Wiesz, nie jestesmy tak calkiem bezradni, a kazdy, kto boi sie walczyć, moze spakowac swoje rzeczy i isc sobie do puszczy, albo na pustynie. - Przerwal na moment, a potem dodal. - Poza tym, chociaz inni moze ci o tym nie powiedza, ja zrobie to. Elfowie maja tylko ogolne wyobrazenie o tym, gdzie sie znajdujemy. Nie znaja dokladnego polozenia cytadeli. Dzieki temu bedziemy mieli zupełnie niezla przewage taktyczna, kiedy juz znajda sie w okolicy i sprobuja nas znalezc.

-Ale ja nie tego chcialam - zaprotestowala zalosnie. - Nie chcialam zmuszac nikogo do niczego. - Katem oka spojrzala na Cienia i Valyna, ktorzy siedzieli na jedynym krzesle w pokoju na jej niewielkim kufrze. - Chcialam tylko przeniesc sie z przyjaciolmi w jakies bezpieczne miejsce.

Zed wzruszyl ramionami. - No wiec, nie wyszlo ci. Mimo tego co mowia wszyscy inni, uwazam, ze jestesmy przygotowani do walki z elfimi wladcami. Pod warunkiem, ze nie bedziemy walczyć z nimi wszystkimi naraz.

W tym momencie Cien podniosl glowe. - Dzieki przeslicznej Trianie sledzilem poczynania Rady - powiedzial - na wypadek, gdyby czarodzieje postanowili nic nam nie mowic. Ich zdania w tej sprawie sa podzielone. Prawde mowiac, jest jak zwykle.

Niektorzy twierdza, ze to sztuczka kogos innego, niektorzy sa przekonani, ze to nic waznego, a inni po prostu chca wykorzystac sytuacje do rozgrywek politycznych. Sposrod tych, ktorzy chca nas wytepic, wiekszosc sadzi, ze jest nas nie wiecej niz tuzin. Ta garstka kloci sie, kto ma dowodzie i kto ma komu skladac meldunki, skad maja pochodzic wojska i kto ma ich dostarczyc. To jest naprawde zabawne. Oni debatuja, a tymczasem Dyran, Cheynar i kilku jeszcze innych wyprzedzili ich dawno i zblizaja sie do nas.

Shana byla zaskoczona. Po pierwsze, nie wiedziala, ze zasieg Cienia jest tak daleki, po drugie, dziwilo ja postepowanie elfich panow. Wydawalo sie tak absurdalne...

Zed jednak pokiwal glowa. - Tego wlasnie sie spodziewalem. W czasach wojny czarodziejow byli zjednoczeni. Dzis sa tak bardzo przyzwyczajeni do zdradzania sie nawzajem, ze stalo sie to ich druga natura. To jest wlasnie bron, dzieki ktorej tym razem wygramy.

-Wygramy? - pisnela Shana. - Bede szczesliwa, jesli przezyje! Nie widzieliście, co oni

potrafia...

Valyn wreszcie oprzytomniał na tyle, by wrócić się do rozmowy. Był bardzo przytłumiony. Tak jakby w chwili, gdy jego plan zawiodł a Shana przejęła dowodzenie, opuściła go cała energia i ambicja.

-Shano, nie spisuj nas na straty, zanim jeszcze spróbujemy! - Wrócił się do Zeda. - Nawet sojuszników można jeszcze bardziej poroznić ze sobą - powiedział powoli. - Przynajmniej w odłamie Dyrana. W tej kłisce nikt nikomu nie ufa. Jeśli uda nam się ich szybko pokonać, wystraszymy pozostałych, i sądzę, że w tym momencie wśród członków Rady będzie dość elfów dbających wyłącznie o własną skórę i dobrobyt, aby udało nam się nakłonić ich do prosby o zawieszenie broni, zanim domyśla się, ilu nas jest naprawdę.

-To właśnie miałem nadzieję usłyszeć - doszedł ich głos od strony drzwi. Denelor, stary nauczyciel Shany wszedł w ślad za swymi słowami. - Wiecie, zglebiałem zapisy historyczne - rzekł, pocierając palcem zmęczone oko - i zauważyłem coś, co dotyczy elfich władców. Od czasu wojny czarodziejów każda najmniejsza nawet prawdziwa, nie magiczna walka została stoczona rekoma ludzi. Nie lubicie nadstawiać własnego karku, prawda chłopcze?

Mówiąc to wbił wzrok prosto w Valyna i dopiero po chwili do Shany dotarło, że sformułowanie ostatniego pytania było znaczące.

Valyn zbladł, zacisnął pięści i rozejrzał się wokół, jakby szukając drogi ucieczki.

-Uspokój się, drogi chłopcze - rzekł znudzonym tonem Denelor. - Poza wydobyciem z ciebie informacji nie zamierzam ci nic zrobić. Młody człowieku, podaj mi krzesło, proszę. Jestem za gruby, żebym miał ochotę stać długo. Ty jesteś Mero czy Keman?

-Mero - powiedział Cien, wstając z krzesła i zajmując miejsce na podłodze.

Beztrzęsła maniera Denelora sprawiła, że wyraźnie odprezył się. - Keman to ten na łóżku. Skąd wiedziałeś, że Valyn jest elfem?

Denelor posłał mu zmęczony uśmiech.

-Sądzę, że z dwóch powodów. Jeden to jego imię. Wiem co nieco o wszystkich ważniejszych elfich władcach i ich następcach, a poza tym "Valyn" to nie ludzkie imię.

Drugim było zamieszanie wywołane jednoczesnym zniknięciem dziedzica Dyrana i jego osobistego niewolnika, oraz fakt, że tak szybko sprawę zatuszowano. Wywnioskowałem z tego, że młodzieniec prawdopodobnie albo uciekł, albo został uprowadzony, z tym, że bardziej prawdopodobne było to pierwsze. Nie wszyscy zakopaliśmy się pod górą i ignorujemy świat na zewnątrz, Shano. - Przypuszczałnie powiedział to z powodu wyrazu zaskoczenia, jaki musiał malować się na jej twarzy.

Denelor zasiadł w krzesle z westchnieniem. - W każdym razie, po cichutku obserwowałem posunięcia naszych sąsiadów, złożyłem wszystkie fakty razem, dodawszy delikatny poblask złudzenia, jakim jesteś otoczony i wyciągnąłem wniosek, iż V'kass el-lord Dyran i Valyn, który zmaterializował się wraz z Shana, to jedna i ta sama osoba.

-Obdarzył Valyna serdecznym uśmiechem. - Kiedyś, jeśli będziesz miał ochotę na rozmowę, musisz powiedzieć mi co cię, chłopcze, skłoniło do ucieczki z domu.

-Czy ktoś jeszcze wie o nim? - spytała z niepokojem Shana.

-Nie - odrzekł Denelor, złożywszy ręce na brzuchu - i nie zamierzam im powiedzieć. To nie jest ważne. Chłopiec, który ukrywa swego polełfięgo przyjaciela-krewnego i to przez wiele lat, a potem rzuca wszystko i ucieka z nim, nie jest typem, który zdradziłby nas. Ważne jest natomiast to, co możesz nam powiedzieć o naszych przeciwnikach.

-Miałeś rację mówiąc - że nie chcę ryzykować własnym życiem. - Powiedział Valyn powoli, znów odzyskując spokój. - To szczerą prawdą. Dlatego właśnie wendeta nigdy nie przechodzi w zamach. Kiedy ma się przed sobą potencjalnie tak długie życie, jak każdy z nas, nikomu nie uśmiecha się przerwać je przedwcześnie. Jeśli zdołamy pokonać wojska dowodzone przez lorda Dyra i przekonać ich, że równie łatwo pokonamy każdego przeciwnika, Rada najprawdopodobniej zechce wystąpić o zawarcie pokoju. Szczególnie jeśli... Przerwał, a wyraz jego twarzy wyraźnie zdradzał, że rozdarty jest między chęcią kontynuowania, a chęcią przemilczenia reszty.

-Szczególnie jeśli zdołamy zabić jednego, lub więcej elfich przywódców i udowodnić wyraźnie reszcie, że niesmiertelni mogą zginąć. Czy to chciałeś powiedzieć, chłopcze? - spytał cicho Denelor.

Valyn z ociąganiem pokiwał głową. - Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, mistrzu Denelorze - odezwał się bardzo rzeczowo Zed. - Istnieje niewiele rzeczy, które mogłyby zabić elfiego władcę. Magia, jeśli przedostanie się przez jego osłonę. Miecz, noż, trucizna, jeśli ktoś zdoła zbliżyć się wystarczająco blisko. Pocisków potrafią pozbyć się na odległość, więc strzały odpadają.

Z wyjątkiem pocisków elfów, a tego nie mamy...

-Mamy coś podobnego - przerwała Shana. "Kemanie, czy powinniśmy powiedzieć im, kim jesteś?" Keman lekko wzruszył ramionami. "Nie widzę przeszkód. Po tym, co narobiła mama i ja, sekret już niemal i tak wyszedł na jaw". "W takim razie, do dzieła. Proszę tylko, nie zajmij całego pokoju".

-Tak? - powiedział Denelor, odwracając się znów do Shany. - A co to jest... słowo daje!

Keman, który wrócił do swego prawdziwego kształtu, chociaż zmniejszonego do mniej niż jednej czwartej rzeczywistych rozmiarów, pokazał zęby w uśmiechu. Łózko Shany

zatrzeszczalo i grozilo zarwaniem, wiec szybko zsunal sie z niego na podloge.

Zed i Mero pospiesznie zesli mu z drogi, a Zed wybaluszył oczy wielkie i okragle jak kubki do wina. Shana nie mogła sie powstrzymac i wybuchła cichym smiechem, widzac, jak ktos zazwyczaj tak niewzruszony jak Zed jest kompletnie zbity z tropu.

-Smocze pazury, mistrzu Denelorze - powiedzial Keman, wymawiajac szeleszczace spolgloski z lekkim sykiem. - Mozesz spytac Valyna o ich skutecznosc. Ze skrawkow moich szponow mozna zrobic groty strzal, tak samo jak z elfich pociskow.

Przenikaja magiczne zapory i sa nadzwyczaj trujace dla osob elfiej krwi.

Znow powrocil do postaci polelfa, a Zed ostrocznie przesunal sie z powrotem na swoje miejsce, chociaz obserwowal mlodego smoka z widoczna obawa.

-Slowo daje - rzekl stlumionym glosem Denelor. - To... powiedzialbym, zdumiewajace. Ale... w tobie nie ma magii, zadnego sladu zdradzajacego... w jaki sposob...

-To nie zludzenie, mistrzu Denelorze - powiedziala Shana. - To prawdziwa zmiana postaci. Mozna rzucic na niego zaklecie rozpraszajace, a wciaz bedzie wygladal tak samo. To smocza magia, dar zmieniania ksztaltow rzeczy, lacznie z nimi samymi.

Denelor wytarl czolo rekawem. - No tak - rzekl po dluzszej przerwie. - Sadzilem, ze przyjde tu, aby skonsultowac sie z wami w sprawie obecnej sytuacji, a nastepnie zanieosc dostojnikom jakies konkretne dane, ale zdaje sie, ze zaniose im wiecej, niz sie spodziewalem. No tak. - Siedzial jeszcze przez chwile, przygladajac sie kazdemu z nich po kolei, a potem westchnal straszliwie gleboko. - Zabierzmy sie do roboty, dobrze? Nie ma sensu marnowac czasu.

Valyn skradal sie od drzewa do drzewa, wtapiajac kolorem ubrania w otoczenie.

Zakradal sie na tyly wroga.

Dzieki niech beda przodkom! Wreszcie mial cos do roboty. Cos, na czym sie znal.

Czul sie tak bardzo bezuzyteczny. Ostatnio o niczym nie potrafil sam myslec, po prostu jego umysl nie funkcjonowal prawidlowo. Za kazdym razem, gdy Shana wychodzila z jakas nowa genialna propozycja, czul sie coraz bardziej nie na miejscu. Zakladal, ze bedzie odgrywal kluczowa role w calym tym powstaniu... A tu... Nie tylko nie byl czynnikiem decydujacy, ale nawet nie byl za bardzo potrzebny.

Nie bylo to mile uczucie. Oprocz tego, przez cale zycie uwazal kobiety za istoty bezuzyteczne - oczywiscie nie w sposob swiadomy, lecz - byla to jedna z rzeczy "oczywistych", takich jak fakt, ze slonce zachodzi na zachodzie. Shana postawila ten stan rzeczy na glowie. Czasami niemal byl przekonany, ze ktoregos dnia stwierdzi, ze slonce

wcale nie zachodzi.

W porównaniu z tym, fakt że występuje przeciw Dyranowi, nie był wart nawet zastanawiania się.

Dziwnie było myśleć o ojcu jako o wrogu. A mimo to, wcale nie dziwnie. Od samego początku zawsze byli wrogami, choć dopiero teraz wrogość wyszła na jaw. Zamierając w bezruchu za pniem drzewa, pomyślał że tak naprawdę nigdy nie znalazł swego ojca. To dziwne, lecz czuł się bliższy staremu Denelorowi, niż swemu własnemu ojcu.

Jeśli już o to chodzi, nigdy nie dane mu było zaznać poczucia więzi rodzinnej, jaką ludzie i polelfowie brali za rzecz oczywistą. Nawet Mero zawsze był kims w rodzaju przedłużenia jego samego. Cieniem, którego imię nosił. Nigdy nie wydawało mu się, aby Mero miał własne życie czy własną wolę, a przy jednej z nielicznych okazji, gdy zbuntował się - w sprawie zarczyn z Shana, Valyn nawet nie zawahał się użyć uroku, by zmienić jego zdanie.

Prawdę mówiąc, jedyny raz, kiedy Mero uczynił coś wbrew woli Valyna, a ten nie użył uroku, by podporządkować go sobie, był w sprawie Triany.

Czy stało się tak dlatego, że uważał, iż nie powinien, a może dlatego, że nie chciał doprowadzić do frontowego starcia z Triana? zapytał siebie trzeźwo.

Czuł się bardzo wyobcowany i osamotniony, obserwując czułość, jaką darzyli się Shana i Keman i więź między starszymi czarodziejami a dziećmi, które adoptowali. W takich związkach było miejsce na kłótnie i niezgodę, i na to, by każda strona szła w swoją własną stronę. Takiej wolności zdawało się brakować w tym, co łączyło jego i Cienia. Bez wątplenia byłoby lepiej dla nich obu, gdyby tam była.

Nie były to mile rozmyślenia i z przyjemnością porzucił je zbliżywszy się do obozowiska wroga.

Po prostu nie potrafił poradzić sobie z uczuciami.

Obozowisko nietrudno było znaleźć. Ludzie w armii zachowywali się hałasliwie i wyraźnie bali się lasu, zasłaniając ten strach czynieniem jeszcze większej wrzawy.

Większość z nich nigdy nie była na tych pustkowiach, lecz słyszała straszliwe opowieści o bestiach i potworach, które ponoć krążyły po nich. Nie mieli pojęcia, że ich obawy miały się właśnie ziszczyć.

Valyn odszukał to osobliwie puste miejsce, w którym przejawiała się obecność stworzenia, któremu nadał imię "porywacza". Żył ich kilka w lesie, lecz ten akurat gnieździł się bardzo blisko linii marszu elfich władców. W rzeczy samej, był to ten sam stwór, który porwał jego konia pierwszej nocy spędzonej w puszczy. Nie był on ani trochę tak groźny, jak mu się wtedy wydawało - rzadko polował na dwunogie ofiary i nigdy nie zabijał więcej, niż był w

stanie zjesc - lecz oni o tym nie wiedzieli.

Podczolgal sie na tyle do legowiska, na ile pozwolila mu odwaga i znieruchomial w miejscu, gdzie jeszcze byl bezpieczny, bowiem porywacz kierowal sie ruchem ofiary w czasie lowow. Nastepnie wyslal delikatna niteczke magii i stworzyl zludzenie tlustego kuca tuz za bariera zwalonych pni drzew i kolczastych zarosli, ktore zaslanialy legowisko stwora. Zludzenie bylo tak kompletne, ze slychac bylo nawet szelest lisci i odglos konskich zebow wrywajacych kepy trawy. Porywacz rzucil sie na ofiare tak szybko, ze wygladal jak rozmyta smuga, lecz "kuc" odskoczyl i odwrocil sie, by spojrzec na niego zaskoczonym wzrokiem. Potwora bardzo trudno bylo dostrzec po tym, gdy przestal sie poruszac, zdolny byl bowiem do zmiany zabarwienia skory, by wtopic sie idealnie w otoczenia.

Porywacz znow skoczyl. I znow kucyk uciekl, a drapiezczy musialo sie wydawac, ze nie jest swiadom grozacego mu niebezpieczenstwa.

Trzy kolejne skoki oraz ucieczki i porywacz znalazl sie w zasiegu wzroku uwiazanych wierzchowcow. Konie wyczuly zagrozenie i zaczely rzec i tupac nerwowo w chwili, gdy Valyn rozproszyl swoje zludzenie. Glodny, rozzloszczony niezrozumialym zniknieciem ofiary i juz bardziej oddalony od swego legowiska niz to bylo w jego zwyczajach, porywacz dostrzegl spetane konie i ulegl pokusie.

Tym razem zdobycz nie wymknela mu sie. Jedno nieszczesne zwierze znalazlo sie w paszczy porywacza, a uwiazane stado rozpierschlo sie w panice, gdy drapiezca zerwal sznury pazurami i szybko powrocil do swego leza. Linki, ktorymi powiazane byly konie, pekly i zwierzeta rozbiegly sie na cztery wiatry. Niektore przegalopowaly przez obozowisko, rozrzucajac sprzety i tratujac ludzi i ekwipunek w panice. Inne pomknely w las, zostawivszy koniuchow krzyczacych za nimi.

Valyn dyskretnie wycofal sie, zanim ktoremus z elfich wladcow przyszloby do glowy poszukac sladow magii i zasmial sie cicho pod nosem.

Mero czekal cierpliwie, polozywszy sie na konarze drzewa, ktore to stanowisko wybral natychmiast po tym, gdy dowiedzial sie, gdzie zamierza rozlozyc oboz. Znajac tak dobrze strukture obecnej hierarchii i polozenie najlepszych miejsc do obozowania, ze musial sie dlugo zastanawiac nad ustaleniem tego, gdzie poszczegolni dowodcy rozkazaliby rozbic swe namioty i jak ich znalezc w tej okolicy.

Przed nim rozciagal sie wspanialy widok na oboz. Niezbyt daleko pan Cheynar spacerowal przed swym namiotem pod galeziami drzewa. Po uplywie jakiegos czasu, ktory prawdopodobnie wydawal sie elfiemu wladcy nieprzyzwoicie dlugi, pojawila sie osoba, na ktora czekal. Cheynar zaczynal odprezac sie, a wtedy Mero tknal jego umysl, tylko odrobinke. To znacznie bezpieczniejsze niz uzycie magii, na ktora elfowie mogli zastawic pulapki. "Glupia baba, caly czas mizdrzy sie przed lustrem, mysli sobie, ze to zabawa. Nie powinienem nigdy ufac kobietom u wladzy, nie powinienem pozwalac kobiecie dowodzic

wojskami." - Nie spieszylo ci sie, Triano - warknal. - Nie moglas sie zdecydowac, jaka suknie nalozyc?

Triana, ubrana dosc praktycznie w skorzana zbroje bardzo podobna do zbroi Cheynara, zmarszczyla brwi. Jej spoznienie spowodowane bylo kolejna zasadzka Valyna, ktora zostawila obozowisko w pozalowania godnym stanie i zdziesiatkowala wierzchowce. A zajmowanie sie konmi mialo byc przeciez obowiazkiem Cheynara.

Mero siegnal do jej umyslu. "Jak on smie! Odrazajacy samiec! Nie mozna mu ufac, szuka sposobnosci, by skrasc moje wojska, a potem moj klan, probuje mnie skompromitowac, zrobic ze mnie durnia..." - Tak sie sklada, moj panie Cheynarze - powiedziala ostro - ze musialam dopilnowac, by dostawa koni, ktora ty straciles przez swa nieudolnosc, zajeto sie wlasciwie.

Ja nie zostawiam waznych spraw podwladnym!

Mero znow siegnal. "Zarozumiala suka! Powinna siedziec w kobiecych komnatach, tam gdzie jej miejsce! Pewno rozgladala sie, ktorego by tu niewolnika wziac sobie do lozka!" - Doprawdy? Interesowaly cie konie, a moze koniuchy? - Cheynar usmiechnal sie zlosliwie. - To nie mogly byc konie, nie trzymamy tu ogierow...

Trzask dloni uderzajacej w policzek, na dzwiek ktorego wszyscy w obozie odwrocili glowy, zabrzmial jak muzyka w uszach Mero.

Shana lezala na wznak na swym lozku w cytadeli, zupełnie sama. Miala zamkniete oczy i wszelkie zewnetrzne oznaki wskazywaly, ze jest pograzona we snie.

W rzeczywistosci byla bardzo, bardzo zajeta.

Jej wrodzone zdolnosci w polaczeniu z praktyka, jakiej nabrala w poslugiwaniu sie wzmacniajaca moca swych kamieni i krysztalow sprawily, ze nawet starsi czarodzieje nie mogli jej dorownac w uzywaniu zaklec poruszajacych przedmioty. Jesli doda sie do tego jej umiejtnosc lewitowania przedmiotow, trzeba przyznac, ze w gruncie rzeczy byla niewidzialnym, niewyczuwalnym sabotazysta. Dlatego tez podjela sie zadania urozmaicania zycia elfom, ktorzy ich scigali.

Na poczatku ograniczala sie do prostego sabotazu. Teraz polowala na grubsza zwierzynie.

Dzieki myslom Mero znalazla namiot Dyrana. Potwierdziwszy jego umiejscowienie mogla do niego "zajrzec", a nawet zagladnac do szkatulek, "przeczytac" nie otworzone dokumenty i przegladac sterty papierow, nie ruszajac ich.

W taki oto sposob z zamkniatego pudelka w namiocie Dyrana znikly listy, a pojawily sie pod sterta rozkazow na przenosnym biurku Triany. Tajne meldunki Cheynara do Rady znalazly sie wsrod korespondencji Dyrana. Cala masa cennych drobiazgow nalezacych do roznych

podwładnych odnalazła się wśród osobistych rzeczy lorda Berenela.

W bagażu Berenela pojawiła się spora ilość złotych monet zabranych ze skarbca pod salą Rady.

Po dokonaniu tego wszystkiego zostało jej jeszcze trochę sił, więc zakończyła ćwiczenie rozrzucając papiery w namiotach wszystkich elfich władców, tak jakby ktoś w nich grzebał.

Potem, ryzykując wiele, skontaktowała się z umysłem Cheynara. "Coś jest nie w porządku", szepnęła mu w myślach. "Nikommu nie możesz ufać. Dyran jest potężnym magiem, a nawet Triana może ukrywać coś oprócz tego, kogo chciałaby znaleźć w swym lożu. Może powinieneś sprawdzić namiot..." Przycmione oświetlenie sali zgromadzeń w cytadeli pozwalało odpocząć zmęczonym oczom Shany. Pozostała czwórka sprawiała wrażenie równie znudzonych; nawet Keman ciężko pracował, podsłuchując najlepiej jak potrafił myśli elfich władców.

Cwórka młodych ludzi na prośbę Denelora po raz pierwszy wzięła udział w naradzie wojennej w sali zgromadzeń czarodziejów. Do tej pory lekceważono ich wysiłki, lecz skutek, jaki wywierali na spowolnienie tempa marszu elfów i zakłócanie ich planów, przekonał wreszcie starszych czarodziejów, że znają się na tym, co robią. - ...i sądzę, że to działa - zakończyła zmęczonym tonem Shana. - Sądzę, że może uda nam się pozbyć ich bez zadawania osobście choćby jednego ciosu. Przez ostatnie dwa dni nie posunęli obozowiska, a wczoraj Cheynar był tak bliski wyzwania Dyrana na pojedynek, że gotowa byłam się zakładać, kto wygra.

Denelor wygładził tunikę i pokiwał głową. - Nie ma wątpliwości, że to co robicie, rozprasza ich uwagę. Nawet więcej. Nasiona nieufności, które zasialiscie, zakwitają właśnie, tak że sami znajdują powody do sprzeczek. Nie mogę natomiast pojąć, dlaczego do tej pory jeszcze nie poszli w kompletną rozsypankę.

Valyn, który milczał aż do chwili obecnej, odezwał się wreszcie. - Z powodu Dyrana - rzekł cicho.

Wszyscy obrócili głowy w jego stronę.

-Czy zechciałbyś wyjaśnić to, chłopcze? - powiedział Denelor.

-To z powodu Dyrana - powtórzył Valyn. - Czyżbyście nie zauważyli, że gdy inni rzucają się sobie do gardła, on nigdy nie wpada w złość, nigdy nikogo nie oskarża? Z tego był znany przez całe swe życie. Może zdradzić swych sprzymierzeńców, ale nigdy, przenigdy nie wpada w gniew przy nich. Swoją wściekłość zachowuje dla niewolników... i dla mieszanców.

Denelor pokiwał głową w zamysleniu, jakby słowa Valyna potwierdziły jego własne domysły. - Mów dalej, chłopcze. Najwyraźniej wiesz o czymś, czego my nie znamy.

Valyn zmarszczył brwi. - Zawsze potrafił trzymać ludzi w garści. Jest tego mistrzem. Ani groźby, ani przekupstwo i uroki nie mają znaczenia, on wie, jak pokierować każdym. To on łagodzi spory i znajduje ocalające twarz wyjaśnienia dla rzeczy niewytłumaczalnych. Nie wiem, dlaczego tak mu zależy na znalezieniu nas, ale jest zdecydowany i nie pozwoli, by ktokolwiek, czy cokolwiek stało mu na drodze.

-Czy Dyran jest naszym prawdziwym wrogiem? - spytał Garen Harselm, a w jego zielonych oczach zabłysło zimne wyrachowanie.

-To ma sens - rzekł w zamysleniu Lukas Madden, głaszcząc brodę. - Nawet bardzo. Ale czego Dyran się po tym spodziewa?

Valyn wzruszył ramionami. - Wiem dużo na temat pana Dyrana, lecz naprawdę nie znam go - powiedział szczerze, a Shana zatrzymała oddech, obawiając się, że zdradzi się. Tylko Denelor wiedział, kim jest Valyn i Shana bała się tego, co mogłoby się stać, gdyby któryś z pozostałych czarodziejów odkrył dziedzica Dyrana w swych szeregach. Sprawa ludzkich dzieci, które uratowała wraz z Zedem, narobiła niezłego szumu - a przecież były to dzieci, za małe, by być szpiegami czy zdrajcami, dość małe, by wpasować się w rytm życia cytadeli i nauczyć się wierności czarodziejom. Ale całkiem dorosły elfi władca?

Pierwsze, o czym pomyślał, to o zdradzie, a potem o tym, jakby wykorzystać Valyna jako zakładnika.

Tak więc Valyn stał się w cudowny sposób polelfim kuzynem, jak Mero, którego nazwano imieniem dziedzica Dyrana i umieszczono w jego służbie do czasu, gdy panicz został wysłany na wychowanie do pana Cheynara. Tam, obawiając się wykrycia, obaj uciekli. Zaden z innych czarodziejów nie wiedział tyle o elfich panach co Denelor, więc zaakceptowano te historie bez jednego komentarza.

-Musimy wyczarować jakąś sztuczkę, której nie wytłumaczy nawet Dyran - powiedział stanowczo Parth Agon. - Im dłużej skłonimy ich do kłocenia się, tym więcej czasu będziemy mieli. - Uśmiechnął się blade. - Muszę przyznać, że według mnie to ironia losu, iż ta sama taktyka, która zgubiła naszych poprzedników, może teraz okazać się naszym zbawieniem.

-Tylko jeśli uda nam się nadal nią posługiwać - ostrzegł Denelor. - Połączone wojska wszystkich sprzymierzonych z łatwością mogą zdobyć cytadela, mimo wszelkich zabezpieczeń, jeśli kiedyś poznają dokładne jej położenie. Przegralismy wojnę przez arogancję i zbytnią pewność siebie. A według starych kronik poprzednim razem my padliśmy ofiarą sprowokowanych sporów. Musimy być zgodni.

Przed zakończeniem przemowy spojrzął wprost na każdego czarodzieja. - Niech nauka, jaka dała nam historia, nie pójdzie na marne, dobrze? - powiedział łagodnie.

Proszę, pomyślała Shana tak mocno, że groziło jej to bólem głowy. Proszę, posłuchajcie go.

Zapadła chwila ciszy...

A potem Parth chrzaknal i odezwalo sie na raz pol tuzina glosow, kazdy z innym planem.

Aha, wiec to z panem Dyranem nalezy sie liczyc, tak? Garen Harselm opuscil narade wojenna ze stanowczo odmiennymi pogladami niz jego koledzy czarodzieje. Po drodze do swoich komnat rozwazal w myslach wszystkie mozliwe wyjscia. Oni wszyscy zdecydowani byli sprzeciwic sie elfim panom - nawet stary Parth zebrał sie na odwage teraz, gdy nie bylo innego wyjscia, jak uciec, lub zostac i walczyć.

I prawdopodobnie zginac. Denelor miał racje. Historia powinna nauczyc czegos czarodziejow. Historia pokazala, ze sprzeciwianie sie elfom to samobojstwo.

Garen otworzył drzwi, niedbalym gestem zapalil lampy w swoim mieszkaniu i przyjrzał sie rzeczom zgromadzonym w ciagu calego zycia, ktore stloczył w trzech zagraconych pokojach. Nie bylo ich az tak wiele. Nic niezastapionego. Bardzo niewiele rzeczy, bez ktorych nie moglby sie obejsc.

Kilka przedmiotow chcialby zabrac ze soba - ksiazke, lub dwie, ulubiona szate, rzezbiona rybe, ktora lubil trzymac w dloni w czasie rozmyslania...

Jednak... nie. Nic z tego nie bylo warte obciazania sie. A gdyby zauwazono go na korytarzu z torba, posypalyby sie pytania, na ktore nie mogl odpowiedziec.

Tak wiec odwrocil sie od przedmiotow zgromadzonych w ciagu dlugiego zycia kolekcjonera i zamknal znow drzwi. Potem zszedl do labiryntu jaskin za cytadela, udajac sie w kierunku wyjscia, co do ktorego byl niemal calkiem pewien, ze tylko on wie o jego istnieniu.

-Lordzie Dyranie? - rzekl pokornie i niesmialo czlowiek, ktory stal na strazy, przerywajac skupienie swego pana. Bez watpienia przyklad poprzednika nauczyl go czegos. Poprzednika, ktorego popiolny inny niewolnik zmiatal wlasnie do paleniska.

-Tak? - powiedzial Dyran, nie podnoszac wzroku znak listu.

Bylo to oczywiscie kolejne pismo do Rady. Wszyscy tam to przekleci glupcy, ktorzy nie potrafia przerwac klotni na dosc dlugo, by rozprawic sie z prawdziwym problemem.

Nie mogl jednak byc jednoczesnie tu i tam - a kiedy juz zmiadzzy to zagrozenie, rozprawi sie z Rada w wolnej chwili.

Dlaczego nikt z nich nie potrafil zrozumiec, ze mieszancy sa bardziej niebezpieczni od kazdego elfiego wladcy? Gdyby wiedzial, ze wszystkie te kradzieze przez tyle lat sa dzielem polelfow, a nie dzikich ludzi ze zdolnosciami czarodziejskimi, nie zostawilby jednego drzewa w calej puszczy.

-Lordzie Dyranie, jakis pan przyszedl z wizyta - powiedzial straznik z godna pochwalą uprzejmoscia. - Mowi, ze przybyl zaoferowac przymierze.

Przymierze? Dyran podniosl glowe, poczuwszy przyplyw zaciekawienia. Czyzby juz gromadzili sie wokol jego sztandaru, mimo iz wojna jeszcze nie wygrana? - Wprowadz go - rzekl straznikowi - i dopilnuj, by nam nie przeszkadzano.

Kiedy jednak gosc wszedl do namiotu Dyrana z twarza oslonieta kapturem plaszcza, Dyran zmarszczyl brwi. Otaczala go magiczna poswiata, leciutka oznaka zludzenia. Jesli to jakas sztuczka...

Jednym slowem pokonal i rozproszyl zaklecie, a mezczyzna zasmial sie cicho i zsunal kaptur, tak ze zloty blask magicznego swiatelka padl na jego twarz.

Nie moglo byc pomylki co do tych rysow. Mieszaniec! Dyran natychmiast otoczyl sie tarczami i ukradkiem siegnal pod stol, by pochwycic ukryty tam noz.

-Czego chcesz ode mnie, czarodzieju? - zapytal chlodno. Przybysz jednak nie uczynil wrogich gestow, prawde mowiac, nie poruszyl sie wcale. Na jego brodatej twarzy nadal malowal sie spokoj, a nawet bezdusznosc. - Nie o to chodzi, czego chce od ciebie, moj panie - rzekl spokojnym, wywazonym tonem. - Raczej o to, co moze ci zaproponowac.

Dyran otworzyl oczy szerzej ze zdumienia, ale tylko na moment. Potem on rowniez zaczal sie usmiechac. - A wiec to tak - powiedzial, wypuszczajac z dloni rekojesc sztyletu i odchylajac sie w krzesle. - Jeden z czarodziejow postanawia sprzedac kolegow. Czyz nie tak?

-Moj panie, protestuje - odparl przybysz glosem przepelnionym ironia i rozlozyl puste rece. - Po prostu postanowilem zaoferowac swe uslugi komus, kto doceni je. Wybor jest prosty, przynajmniej mnie tak sie wydaje. Moze postanowic sluzyc tobie, zyc i najprawdopodobniej prosperowac, albo moze sprzeciwic sie tobie wraz z pozostalymi i zginac, jak starzy czarodzieje dawno temu. A tak przy okazji, na imie mam Garen Harselm.

-Zainteresowales mnie - powiedzial Dyran i wskazal jeden z zydeli po drugiej stronie stolu. - Siadz prosze. A teraz, jakie dokladnie "uslugi" proponujesz, Garenie?

Garen zahaczyl zgrabnie stopa zydel i przysunal go sobie, po czym usiadl na nim.

Jesli czul sie rozczarowany, ze nie zwracano sie do niego "panie", Garen nie dal po sobie tego poznac. - Po pierwsze, oferuje uslugi czarodzieja. Ty, oczywiscie, jestes uznanym mistrzem elfiej magii, lecz ja moze zapewnic ci druga polowe rownania. Moc czarodziejow. Zdolnosc poznania tego, o czym mysla wrogowie, poznania tego, co robia, poruszania przedmiotami bez potrzeby rzucania zaklecia...

-Dosc, Garen, wiem, co potrafia czarodzieje - stwierdzil Dyran z cieniem niecierpliwosci w

glosie. - Wiem rowniez, ze nie wszyscy czarodzieje sa rownie zdolni we wszystkich aspektach tych mocy.

Garen wzruszyl ramionami. - Nie spodziewam sie, ze uwierzysz mi, jesli powiem, ze jestem w rownym stopniu mistrzem swoich mocy, co ty swoich. Oczywiscie, kiedys sadze, sa dla ciebie nadzwyczaj wazne. - Podniosl w gore palec. - Polozenie twierdzy czarodziejow. - Podniosl drugi palec. - Miejsce, w ktorym znajduje sie twoj syn i dziedzic.

Tylko lata powsciagliwosci i podejrzenie, ze czarodziej zamierza powiedziec, iz wie, gdzie jest Valyn, powstrzymaly Dyrana od zdradzenia sie.

-A czego chcesz w zamian za to wszystko? - spytal gladko, unoszac dluga, elegancka brew.

Garen rozlozyl rece. - To proste, moj panie. Mozliwosc sluzenia ci. W koncu, czyz nie lepiej jest zyc w sluzbie, niz umrzec na watplivej wolnosci?

-Rzeczywiscie - oparl Dyran usmiechajac sie. - Wiec... gdzie jest ta twierdza?

Dyran czekal, wciaz usmiechajac sie, gdy tymczasem Triana, Cheynar, Berenel i pozostali zajmowali miejsca. Tylko Triana wygladala porzadnie - lecz przeciez byla nocnym stworzeniem i prawdopodobnie nie spala, gdy otrzymala jego wezwanie. - Moi panowie - powiedzial - i pani. Pozwolicie, ze podziekujecie wam, ze odpowiedzieliście na moje wezwanie na dzisiejsze wieczorne zebranie. - Usmiechnal sie jeszcze bardziej, gdy Berenel stlumil ziewniecie. - Wiem, ze jest pozno, lecz mysle, panie Berenelu, ze uznasz, iz przyjscie tutaj bylo warte przerwania twego wypoczynku.

-Lepiej, zeby byla to prawda - burknel Berenel, otulajac sie plaszczem. - To juz trzecia noc z kolei, kiedy cos wyrywa mnie z lozka.

-Powinna byc ostatnia, moj panie - orzekl Dyran, skinawszy po przyjacielsku glowa, a w myslach dodal: i bedziesz mogl powrocic do swoich polowan na smoki, moj panie, podczas, gdy ja siegnie po zwierzchnictwo nad cala Rada. - Mialem dzis wieczor bardzo niezwyklego goscia - ciagnal. - Czarodzieja.

Zasmial sie z szybkiego westchnienia Triany i Cheynara. - Tak, nie przeslyszeliscie sie. Mieszanca. Zaproponowal mi zdradzenie polozenia twierdzy czarodziejow i swoje uslugi. Propozycja, ktora nadzwyczaj trudno byloby odrzucic, nie sadzicie?

-W zamian za co? - zapytal ostro Berenel. - I skad wiedziales, ze nie klamal?

-W zamian za zapewnienie bezpieczenstwa i moja opieke, i oczywiscie, nie wiem, czy mowil prawde. Z latwoscia mogl mnie oklamac, zarowno wtedy, gdy mowil z wlasnej woli, jak i wtedy, gdy spalilem mu rece. - Dyran zlozyl dlonie przed podbrodkiem i zamyslil sie. - Oczywiscie, istnieje taka mozliwosc. Sadze jednak, ze w obu przypadkach powiedzial

prawde. Watpie takze, czy manipulowal moim umyslem, wiecie, ze mialem juz wczesniej do czynienia z czarodziejami, a bol calkowicie udaremnia im wladanie ich moca.

-Gdzie on jest teraz? - spytala Triana glosem, w ktorym Dyran wyczul niepokoje.

Przygladal jej sie z ukosa przez chwile. Cos tu sie dzialo. Kiedy skonczy juz z tym, bedzie musial chyba zajac sie dama. Ona cos ukrywa... potrzebny. - Widzac, ze Triana skrzywila sie, wskazal na nia palcem w gescie upomnienia. - Jestes bardzo mloda, moja pani. Rozumiem, ze nie pochwalasz tego, ze obiecalem temu renegatowi bezpieczenstwo, a potem pozbylem sie go.

Triana pokiwala glowa lekko, z ociaganiem, jakby nie chciala przyznac sie do tej niecheci.

-Po pierwsze, nigdy nie obiecywalem mu, ze bedzie bezpieczny - powiedzial jej Dyran. - To on tak zakladal. A po drugie, czlowiekowi, ktory zdradzil swych przyjaciol, swoj wlasny rodzaj, nigdy nie mozna zaufac - a czarodziejowi, mieszancowi, po trzykroc nie mozna. Kazdy, kto raz zdradzil, znow to uczyni, kiedy gwiazdy zaczną sprzyjac nowemu panu. Pamietaj o tym, moja pani. Mieszancy sa zdradzieccy z natury i staja sie coraz bardziej tacy z kazdym rokiem, jaki dodaja do swego wieku. Jak jednorogi, zawsze zwroca sie przeciwko swym panom.

-Tym razem, Dyranie, zgadzam sie z toba - powiedzial z naciskiem Berenel.

-Wiec, gdzie jest ta ich "twierdza" i co zrobimy w tej sprawie?

Mam was, moi oporni sprzymierzency, pomyslal z satysfakcja Dyran, rozwijajac mape przed nimi. Mial ich wszystkich w garosci. I pomyslec, ze to jego najzawzietsi wrogowie przyczynili sie do tego!

-Tu jest twierdza - rzekl, wskazujac na punkt, ktory starannie wyznaczyl na podstawie wskazowek zdrajcy. - A oto, co zrobimy...

Rozdzial XXIV To dziwne, pomyslal Keman, lecac nad obozowiskiem wroga, ufajac w to, ze dzieki bezksiezycowej nocy pozostanie nie zauwazony. To bardzo dziwne...

Mimo iz ogien plonal w kazdym palenisku, a przy namiotach wszystkich dowodcow palily sie pochodnie, w obozie panowal bezruch. Absolutny bezruch. Keman juz wiedzial z doswiadczenia, ze zawsze mozna dostrzec jakis ruch w uspionym obozowisku. Przybywali i odchodzili straznicy i poslancy - ludzie musieli wychodzic na strone - konie poruszaly sie przez sen.

Zaczerpnal gleboko tchu i zaweszl. Zapach dymu. Nic wiecej. Zapach tez nie byl taki, jaki powinien. Powinno byc czuc inne wonie - gotowanych potraw, koni, ludzkiego potu.

Znizyl lot, zeby lepiej sie przyjrzec.

Nie ma strazy. To pierwsze zauwazył. Oczywiście mogli ukryć się, lecz po co? Byстрыm okiem rzucił na biwakujących żołnierzy. Przy ogniskach spoczywały jakieś kształty, lecz również nie poruszały się. Ludzie nie leżą w śnie jak kłody, przewracają się z boku na bok i krecą...

Leżą jak kłody... Wyostrzył wzrok i skupił go na tych tobołach. To były kłody! Pnie drzew, wiązki gałęzi i trawy... Gdzie są wojownicy?

Wzniósł się silnymi uderzeniami skrzydeł i zawisł w powietrzu, przeszukując las w dół, zmieniając znowu oczy tak, by widziały zarówno ciepłych, żywych ciał...

Znalazł to, czego szukał. Podróżowali w mroku i ciszy przez las, jakimś cudem widząc mimo bezksiężycowej nocy i egipskich ciemności pod drzewami. Całe wrogie wojsko, maszerujące wzdłuż linii prowadzącej wprost do cytadeli.

Jego serce zamarło na chwilę.

Na ogień i deszcz!

Rytm wymachów jego skrzydeł zalał się - a potem, gdy wstrząs ustąpił miejsca panice, Keman wzbił się w niebo z rozpaczliwym pospiechem. "Shano!" - zawołał, sięgając najdalej, jak tylko potrafił.

Proszę, proszę, niech mnie usłyszy, niech odpowie...

Wzniósł się jeszcze wyżej, a potem rozpoczął najszybszy, na jaki było go stać, lot do cytadeli. "Shano!" Zazwyczaj Keman zmieniał postać w czasie lądowania, by nie przerażać ludzi, lecz kiedy skontaktował się z Shana i podniósł alarm, poprosiła, by został w smoczniej postaci po powrocie. Jedynym wejściem, w jakim zmieszciliby się w tej postaci, było to główne.

Podchodząc do lądowania zobaczył, że złudzenie maskujące je znikło, natomiast samo wejście było rozświetlone jak w biały dzień setkami lamp i pochodni.

Słyszał płaczące i uciszane dzieci; z wnętrza grotty dochodziły dudniące echem głosy ludzi wykrzykujących polecenia. Siwy dym snujący się bladymi pasmami z otworu jaskini niosł smak czegoś innego niż drewna i oliwy.

Wąski, lecz nieprzerwany szereg ludzi opuszczał jaskinie i udawał się na północ - grupy po dwoje lub troje dzieci i jeden dorosły, wszyscy objuczeni tobołkami.

Przecisnął się obok takiej gromadki, a ludzie nawet nie spojrzeli na niego, choć większość dzieci widziała go tylko raz, czy dwa i to z oddali. Dzieci potykały się pod ciężarem swych pakunków, zaspane, dezorientowane, z oczami sklejonymi snem. Dorosli byli przytomni, lecz posepni i wystraszeni.

W cytadeli wrzalo. Wiekszosc doroslych i niemal doroslych czarodziejow biegala w te i z powrotem, noszac jakies rzeczy. Zamieszanie z poczatku wydawalo sie Kemanowi zupelnie bezsensowne i chaotyczne, lecz po chwili przygladania sie dostrzegl, ze jest w tym jakis cel.

Niektorzy zanosili male, brazowe paczuszki do tuneli i wracali z pustymi rekoma.

Niektorzy nosili wieksze pakunki do cytadeli, a wracali z malymi, brazowymi zawiniatkami. Inni szli do tuneli i wracali obladowani...

Niektorzy podsycali ogniska papierami i ksiazkami.

Przybiegla Shana z plecakiem na ramionach, i okropnie potarganymi wlosami, i z twarza blada z napiecia i strachu.

-Mozesz dzis jeszcze latac? - spytala, a kiedy skinal glowa, chwycila go za kolce na karku i z wycwiczona lekkoscia podciagnela sie do miejsca tuz przed skrzydlami.

W czasie krotszym niz westchnienie usadowila sie na jego grzbiecie.

-Dokad lecimy? - spytal w jezyku rodu, podbiegajac znow do wyjścia z jaskini.

Czul suchosc w pysku i sciskanie w dolku. Mimo to nie mogl powstrzymac sie od myśli, ze gdyby okolicznosci byly laskawe, a nie tak przepelnione panika, zamruczalby cichutko... w strachu i niepokoju dobrze bylo miec znow przy sobie Shane. Dobrze i sensownie.

-Nigdy nie uda im sie wyprowadzic wszystkich na czas, wiec bedziemy spelniac role tylnej strazy - odpowiedziala, gdy wymineli kolejna grupke dzieci, wyslizgneli sie przez otwor wyjsciowy i znalezi sie na polance na zewnatrz. Zauwazywszy jego zaskoczenie, dodala: - Urzadzimy akcje opozniajaca wroga, ale nie sami. Pamietasz to stado jednorogow, ktore napotkalismy?

-Najwieksze stado, jakie kiedykolwiek widzialem - odrzekl niedbale. - Nie wiedzialem, ze sa wsrod nich osobniki na tyle towarzyskie, by utworzyc stado podobnych rozmiarow. To musi byc jakas odmiana tej rasy. Trzymaj sie...

Rozpedzil sie krotko i wybil mocno w powietrze, lopoczac skrzydlami z calych sil, by wyrownac brak pradow wznoszacych. Wznoszac sie wyczuwal, jak Shana porusza sie wraz z nim i jak sprawiala wrazenie, ze jest jednocia z nim - w odroznieniu od Valyna, ktory byl nieruchomy i bezwladny jak worek ziarna. Do czasu, gdy zlupal tchu na tyle, by kontynuowac rozmowe, wiedzial juz, czego ona chce.

-Jestes jedyna istota, o ktorej slyszalem, ze potrafi opanowac te potwory - powiedzial przez ramie. - Czy jestes jednak pewna, ze potrafisz opanowac cale stado?

-Coz - odkrzyknela w huku wiatru wywołanego jego lotem - dowiemy sie wnet.

Udalo im sie.

Potrafila.

Bez pomocy jego nocnego wzroku nigdy by nie znalezi stada jednorogow, lecz kiedy juz je umiejscowili, Shanie nie trzeba bylo wiele czasu, by je pobudzic i zawladnac ich umyslami. Keman zalowal, ze Shana nie moze zobaczyc jednorogow tak, jak on potrafil - blade swiatlo gwiazd migoczące na sierści koloru kosci sloniowej i hebanu, polyskujace na drugich, wysmuklych, ostrych rogach...

Mozna bylo niemal zapomniec o klach i pazurach i o tym, ze potrafiły zabic nawet porywacza tym rogiem.

I oczywiscie z tej odleglosci nie mozna bylo zobaczyc oblakanych, pomaranczowoczarnych oczu.

Keman zmuszony byl unosic sie w powietrzu najpewniej jak potrafil, poniewaz Shana cala uwage poswiecila na pilnowanie, by cale stado bylo posluszne jej rozkazom i zaden z nich nie bryknal. Gdyby choc jeden wyrwal sie na wolnosc, cala reszta pojdzie w jego slady. Stado szlo spokojnie, potulnie jak stado dwurogow - i tak wlasnie mialo byc. Staral sie zachowywac cisze myslowa najlepiej jak potrafil, wiedzac, ze najmniejsze nawet odwrocenie uwagi z jego strony moze wszystko zmarnowac...

Wszystko jednak szlo tak gladko, jakby zostalo zaplanowane i przecwiczone. Az do chwili, gdy do stada doszedl wiatr od armii.

Keman dostrzegl, jak w dole najpierw jeden jednorog, a potem tuzin podnosi gwaltownie glowy i weszy podejrzliwie. Cale stado stanelo jak wryte, a ogier przewodnik stada parsknal i zaczal grzebac kopytem.

A potem zaczal zawracac...

Och, nie... Shana traci nad nimi kontrole...

Reszta stada zaczela wierzgac niespokojnie, podczas gdy ogier wahal sie, zrobil krok naprzod, potem cofnal sie, spuscil leb i zarzal wsciekle. Byl to glos protestu, buntu przeciw nieslyszalnemu rozkazom Shany.

Keman rozpaczliwie przeszukiwal w pamieci wszystko, co wiedzial i czego nauczyl sie o jednorogach - i zdobył sie na poslanie wlasnej mysli ogierowi.

Naprawde nie byla to nawet mysl, a raczej obraz. Obraz przedstawiajacy dwunogow zabierajacych jego klacze. Jego samice. Kradli je i oddawali innemu ogierowi. Shana pochwycila ten obraz i dodala zludzenie woni obcego ogiera do tego, co przekazywal Keman.

Ogier gwałtownie podniósł łeb i zaweszył, szukając tego, którego zapach pozornie wyczuł - i wydal wrzask wściekłego wyzwania, który rozbrzmiał niczym fanfara.

Stanoł dęba i znowu zarżał, a jego stado zarazone podnieceniem przywódcy zaczęło się kłócić niespokojnie. Keman poczuł, że Shana powstrzymuje go, co doprowadzało go do jeszcze większej furii.

A potem ogier popędził przed siebie, mając na myśli tylko krwawy mord, nie pozadając niczego więcej, jak tylko zabić tych, którzy osmielili się skraść jego klacze. Wszelkie uprzednie protesty poszły w niepamięć. Reszta stada poszła w jego ślady, zarazona jego wściekłością. Woni człowieka stała się dla nich wonią wroga, a zadzia krwi doprowadziła ich do stanu nieopanowanego szalu. Poprzez las w dole Keman popędził spienioną falą czarnych i srebrnych grzyw i ogonów, a tetent kopyt, kwiki i rzenie dochodziły wyraźnie nawet do wysokości, na której leciał.

Jednorogi natknęły się na zwiadowców i powaliły ich, strącając ich na krwawy pył, zanim zdążyli jeszcze ogłosić alarm.

Keman przyspieszył i wyprzedził stado, docierając do nadchodzącej armii przed rozszalałymi jednorogami. Na dole pierwsze szeregi żołnierzy spojrzęły w niebo, zastanawiając się, czy zbliża się burza.

Stado zetknęło się z frontem wojska i zaczęła się prawdziwa rzeź.

Keman nie czekał, by zobaczyć coś więcej niż pierwsze zderzenie; skręcił i pomknął na północ, czując okropne mdłości i niejaki wyrzut sumienia. Nie był nawet pewien, z czyjego powodu ma większe poczucie winy i kogo mu bardziej żal - wojska ludzkich niewolników, czy jednorogów. "Zaluje, że byłam do tego zmuszona", dobiegła go przytłumiona myśl Shany. "Wiem", odparł Keman, czując ulgę, że nie jest osamotniony w poczuciu winy. "Ja też zaluje". Wydal westchnienie, które powtórzyła jak echo. "Coż, jeśli dobrze znam jednorogi, przynajmniej połowa stadaprzeżyje - a jeśli niewolnicy mają choć trochę rozumu w głowach, uciekna". "Jeśli beda mieli wybór", przypomniała mu Shana posepnie. "Ich panowie mogą im go nie dać. Jednorogi przegalopują wprost po nich. Nie mam pojęcia, czy jednorogi beda w takim szale, że zawroca i spróbują roznieść w strzępy całe wojsko, czy rozpięzchną się, jak tylko ludzie zaczną się bronić". Znowu westchnęła. "Przynajmniej dajmy pozostałym trochę czasu, by zapieczętowali co się da, zniszczyli resztę i wynieśli się stamtąd". "Dokąd pojedziemy? - spytał. - I jak do tego doszło? W jaki sposób elfowie dowiedzieli się o nas?" "Udamy się na północ, do starej fortecy ludzi - powiedziała, gdy skręcił na jej polecenie na północ, łapiąc prąd ciepły i wzbijając się dzięki niemu wyżej. - Jest w ruinach, lecz ma studnie, znajduje się na szczycie wzgórza i nadaje się do obrony, czego nie można było powiedzieć o naszej cytadeli. Za dużo tam było zakamarków i tuneli, żeby dało się je zablokować. Dawni czarodzieje zamierzali urządzić na nowym miejscu drugą cytadelę, ale nie dane im było tego uczynić z powodu zarazy". "Gdzie się tego dowiedziałas?" - spytał. "To było w tych starych kronikach, które znalazłam - odparła. -

Tych w starych tunelach".

Wiele rzeczy było w tych starych kronikach, o których nie powiedziała mu zbyt dużo. Nie bardzo wiedział dlaczego. Może dlatego, że nie miała za wiele czasu...

Nadal nie mieli go za dużo, szczególnie jeśli zamierzali iść śladami uciekających czarodziejów.

Niemożliwość obrony cytadeli niepokoiła go od pierwszej chwili, gdy tylko ją ujrzał. Wiele dróg ucieczki oznacza również wiele dróg wejścia dla wrogów. Był to jedyny aspekt, w jakim cytadela różniła się od domu, który zbudowałby smok...

Miał nadzieję, że w tym nowym miejscu było mniej wejść. "A co do tego, jak to się stało... - ciągnęła tłumiacz gniew - ktoś nas zdradził. Jeden ze starszych czarodziejów. Nie było go, gdy podniosłeś alarm i nie pojawił się do chwili, gdy opuściłam twierdzę. Jesteśmy zmuszeni założyć, że powiedział elfom wszystko o nas - ilu nas jest i co potrafimy. Ponieważ był obecny na naradzie wojennej, może nawet powiedział o tobie. Straciliśmy wszelką przewagę, jaka dawało nam zaskoczenie".

Uczucia, które nadchodziły wraz z jej myślami, powiedziały mu, że nie była nastawiona zbyt optymistycznie do nowego schronienia. Nie winił jej za to. Nie sprawiało wrażenia niczego innego, niż czym było w rzeczywistości - ostatnim miejscem, gdzie będa się bronić do upadłego. "Shano - powiedział z powagą - chciałbym, żebyś przeprosiła w moim imieniu pozostałych, gdy wylądujemy". "Przeprosiła? - odrzekła zaskoczona. - Za..." "Zamierzam odejść na jakiś czas - powiedział jej. - Niewiele mogę teraz dla was zrobić, skoro wrogowie wie o mnie, lecz mogę zrobić coś, o czym nie wie, a jeśli wyrusze natychmiast, zdąży wrócić na czas, by przydać się".

Zaczerpnął głęboko tchu, a Shana czekała wyczekująco w milczeniu. W głowie klebiło jej się od niewypowiedzianych przypuszczeń. "Mogę sprowadzić pomoc - rzekł.

-Pomoc rodu".

Keman opuścił Shane o swicie. W pełnym świetle dnia wszedł na obszar powietrzny nad leżem, zmęczony, lecz zdecydowany wreszcie zaznać satysfakcji. I rozpaczliwie lekają się o los przyjaciół. Rozpacz dodała mu siły na godne zaprezentowanie się. "Kto nadlatuje? - zadał rytualne pytanie strażnik, który nie rozpoznał go. "Kemanore! - odkrzyknął Keman, a po myślowej odpowiedzi zawołał wyzywająco:

Wracam, by zaznać prawa do wyzwania!" Pomartwiczył się chwilę nad tym, pomyślał z zadowoleniem, gdy odpowiedź wartownika została zagłuszona w ogólnym zamieszaniu.

Krzył przez chwilę, zastanawiając się nad wyborem najlepszego miejsca, a potem wylądował na szczycie jednego z klifów oceniających leżę. Usadowił się tam wczepiwszy w skałę pazurami i ogonem i przyjął postawę wyzywającą. Wzniósł wysoko głowę, zjeżył

grzebien na grzbiecie, nadal kryze i rozpostarl skrzydla, czekajac na odpowiedz.

Zobaczyl, ze na dole kilka smokow wyszlo ze swych legowisk i podnioslo glowy ku niemu. Swiadomie poslal swa odpowiedz straznikowi w trybie "otwartym", slyszalnym dla wszystkich w lezu - i wygladalo na to, ze wszyscy go uslyszeli. Coraz wiecej smokow albo pojawialo sie na dole, albo wystawialo lby z otworow w scianach kanionu. Kilku czlonkow rodu zebralo sie w grupe - przypuszczal, ze dyskutowali, kto ma udzielic mu odpowiedzi. Wreszcie padla odpowiedz. "Leze poznaje Kemanorela".

Znal ten glos. To Keoke.

Dostojny z trudem wzbil sie w powietrze, a nastepnie wzniosl sie powoli i z widocznym wysilkiem, by zawisnac w powietrzu tuz naprzeciwko skaly Kemana.

Keoke powinien czesciej latac. Ojciec Smok porusza sie lepiej od niego. "Leze uznaje prawo - rzekl Keoke. - Przeciw czemu wystepujesz?" Keman wyprostowal sie jeszcze bardziej, starajac sie wydac jak najwyzszy i rozpostarl skrzydla w sloncu. "Rzucam wyzwanie starym obyczajom nakazujacym milczenie i izolacje - odparl. - Rzucam wyzwanie prawu, ktore jest niepisane. Rzucam wyzwanie tym, ktorzy pragneliby, zeby rod spoczywal pograzony w haniebnej bezczynnosc, gdy inni potrzebuja ich pomocy. Przeciwko temu wystepuje, o Dostojny! Czy leze wyslucha mnie, czy mam isc gdzie indziej?" Ostatnie zdanie bylo podyktowane obyczajem, lecz calkiem niepotrzebne. Zadne leze nie chcialoby przyznac sie do haniebnej odmowy na zgodne z prawem wyzwanie rzucone obyczajowi - mimo iz z tego szczegolnego prawa rzadko korzystal ktokolwiek poza szamanem. Alara mogla rzucic podobne wyzwanie z powodu Shany...

Tymczasem jednak mogla utracic leze, gdyby przegrala w pojedynku.

No tak, Keman juz sam wybral wygnanie. I nie na darmo byl synem szamanki. Tym razem leze i rod przynajmniej ujrza swe obowiazki, nawet jesli nie zechca ich przyjac do wiadomosci.

Keoke wisial w powietrzu jeszcze przez chwile, zanim odrzekl, powoli i niechetnie: "Leze wyslucha cie". "Natychniast - powiedzial Keman szybko, zanim Dostojny zdazyl wyznaczyc pozniejszy termin. - Pospiech jest tu niezbedny".

Keoke zostal wytracony z rytmu lopotania skrzydlami, jakby nie spodziewal sie zadania Kemana. Keman jednakze mial prawo domagac sie natychmiastowego posluchania, wiec Keoke odpowiedzial jeszcze niechetniej: "W takim razie teraz. Zawezwem mieszkancow leza".

Nastepnie bez jednego slowa Dostojny usunal sie na bok, robiac obrot przez czubek skrzydla i rozpoczel lot spiralny na dno kanionu. Keman zaczekal do chwili, gdy wyladowal, a potem odbil sie od krawedzi skalnego urwiska i polecial wprost za nim. Zwinal skrzydla w locie nurkowym i zalopotal nimi w ostatnim momencie, wzbijajac tumany piachu i kleby

pustynnego zielska, by wyhamować i wylądować widowiskowo na szczycie skały wznoszącej się w pobliżu środka kanionu.

Keoke nastroszył kryzę, jakby spragniony podziwu, ale nie odezwał się ani słowem.

Odwrocił się tylko i zrobił krok w stronę jaskini zgromadzeń.

-Nie - powiedział głośno Keman. - Nie w ciemności. Nie w miejscu, gdzie rodzą się sekrety. Tu na gorze. W świetle, gdzie jest miejsce prawdy.

Keoke odwrócił się do połowy i spojrzał przez ramię, strosząc ironicznie grzebien nad jednym okiem.

-Czy nie uważasz, że to odrobine melodramatyczne, Kemanie? - powiedział łagodnie.

Keman położył po sobie grzebien grzbietowy z zaszewienia, lecz zanim zdolał odpowiedzieć, odezwała się zza jego pleców Alara. Serce mu drgnęło, gdy usłyszał głos swej matki. Tak bardzo bał się, że będzie na niego zła, za to co zrobił - a jednak nie miał przecież innego wyboru... - Melodramatyczność jest przywilejem młodzieży i pasjonatów, Keoke - oświadczyła. - Uważam jednak, że on ma rację. Należy to przedyskutować jawnie, a nie w ukryciu. Rod przyzwyczaił się do ukrywania się. Być może powinniśmy zmienić sposób myślenia, który prowadzi do ukrywania się.

W chwili, gdy Keman odwrócił się do matki z zaskoczeniem i wdzięcznością, spojrzała na niego w górę i posłała mu pozbawiona słów falę miłości i serdecznego powitania, a potem rzekła: - W tej sprawie jestem po twojej stronie, Kemanie. Przykro mi tylko, że nie mogłam uczynić tego wcześniej.

Spuścił głowę ku niej, a ona musnęła go lekko po grzebieniu czubkiem skrzydła i po cichu posłała mu podtrzymującą na duchu falę swego poparcia. Kiedy zaczęli przybywać pierwsi członkowie rodu, razem odwrócili się by stawić im czoło, on na skale, ona poniżej niego. - ... i tak przedstawia się sprawa - powiedział Keman, przesuwając spojrzeniem po twarzach słuchaczy i stwierdzając, że trudno mu wyczytać coś z obliczy rodu, które stały się mu obce po takim długim czasie spędzonym wśród elfów i mieszanców. - Niczyja to wina, lecz elfowie wiedzą o naszym istnieniu. Zbliża się koniec potrzeby życia w tajemnicy, bowiem sekret już się wydał. Rod podjął się odpowiedzialności wobec Lashany, która srodze zaniedbano, a także wobec polelfów za wtracanie się w ich sprawy. Czyz byłiby w takim niebezpieczeństwie, gdyby nie proroctwo, które zechcieliśmy szerzyć?

Sadzę, że nie. Rzucam wyzwanie starym obyczajom, domagam się położenia im kresu i zadam, by rod przybył z pomocą polelfom, natychmiast, poki nie jest za późno.

-Ja odpowiem na to wyzwanie! - rozległ się żeński głos, którego nie poznawał, choć sadzać po zaskoczonym drgnieniu Alary, ona poznała. - Czy zgadzasz się walczyć w jego obronie?

-Kto przemawia? - zawołał niecierpliwie Keoke. - Kto przyjmuje wyzwanie?

-Ja! - odparł ten sam głos, a smoki stłoczone wokół Kemana rozstąpiły się, by pozwolić przejść tej, która podjęła wyzwanie. Przez chwilę, gdy młoda smoczyca roztracała tłum i przepychała się na przód, Keman nie poznał jej, tak bardzo zmieniła się, gdy go tymczasem nie było. Potem zdradziło ją ubarwienie, specyficzny, pochmurny wyraz oczu i wiecznie nadęta mina.

-Myre? - rzekł zdumiony.

-Coż to, nie sądzisz, że twoja siostra ma dość rozumu, by dostrzec, jakim durniem jest jej brat? - zadrwiła Myre, mówiąc zupełnie jak Rovylern. Rzuciła z ukosa zawstydzone spojrzenie Alarze, lecz nie pokazała po sobie, że zamierza wycofać się. Nie ruszyła się z miejsca, łapy wparła w ziemię zawzięcie, a najeżone kolce na grzbiecie zdradzały wrogie zamiary. - Mieszkańcy nie mają prawa domagać się od nas czegokolwiek - oświadczyła pogardliwie. - Żadne dwunożne zwierze nie ma takiego prawa. Mózg ci rozmiękł, bracie, jeśli sądzisz, że jesteśmy coś winni zwierzętom. Rod służy tylko rodowi. Rod odpowiada tylko przed rodem. Tak powinno być. "Kiedy odszedł, Rovylern zmienił metody terroryzowania z przemocy fizycznej na słowną, a Myre opuściła moje łezki i przeniosła się do Lori i jej syna, stając się w każdym calu takim zabijaką, jakim on był", szybko powiedziała Kemanowi Alara. "Ona i Lori dobrały się jak w korcu maku, a Rovylern zawsze kreci się w tle. Myre potrafi zastraszyć niemal każdego. Jedyną różnicą między Rovym a Myre polega na tym, że ona bardzo uważa, żeby nie przyłapano jej na dreczeniu kogos. Czasami myślę - zakończyła z goryczą - że urodziłam odmienca".

-Jakie wyzwanie rzucasz mi, siostrze? - zapytał spokojnie Keman. - Próba sił fizycznych byłaby jawnie niesprawiedliwa, nie sądzisz? - Smoczyce po dorosnięciu zazwyczaj były dużo większe od samców, a Myre nie stanowiła wyjątku od tej reguły.

-Pojedynki na magię - powiedziała Myre, a Kemanowi wydawało się, że dostrzegł osobliwy, chytry wyraz na jej twarzy, gdy to powiedziała. - Twoja magia przeciwko mojej. Tutaj i teraz.

-Zgoda... - rzekł bez zastanowienia - i dopiero słysząc stłumione jęki wokół, zdał sobie sprawę, że popełnił poważny błąd.

Było już jednak za późno, by się wycofać, założywszy oczywiście, że mógł to uczynić.

Walka w rzeczywistości była wykluczona, był niewielki nawet jak na samca, a Myre, choć nie osiągnęła jeszcze pełni rozmiarów, już była dużo większa od niego, ale jeśli odrzuci magię, co mu zostanie? Zeskoczył ze skały na ziemię i stanął z nią twarzą w twarz. Reszta rodu wycofała się daleko od obszaru walki, a Keman próbował nie zauważać rozpaczliwego spojrzenia matki, która odchodziła na bok. Przy Shanie nauczył się rzeczy, których nie mogła znać. Miał nad nią przewagę, jakiej nawet się nie spodziewała. Pobić ją. Musi.

Mimo to chytry wyraz w jej oczach nie uległ zmianie na widok jego przygotowan do pierwszego starcia.

-Rozpocznijcie walke... - powiedział Keoke.

Aaaa!

Keman zadygotał w chwili, gdy przebiegł go kolejny wstrzas, który trzymał go w pozycji wyprostowanej, choć nie widział już i ledwo słyszał.

...musze wytrzymac... boli... boli...

W chwili, gdy spróbował wyrwać się z chwytu Myre i nie powiodło mu się, odgłosy tłumu rodu stały się coraz mniej wyraźne.

-Dosc! - ryknął Keoke, a jego głos zabrzmiał tak, jakby dochodził z drugiego końca wszechświata...

Ból ustąpił, a Keman upadł w kurz bezwładnie jak szmata. Do jego uszu słabo dochodził zwycięski wrzask Myre, lecz nie obchodziło go to już. Leżał po prostu tak jak padł, z głową przewróconą na bok i zamkniętymi oczami, a gorzki smak kleski dławił go i sprawiał nie mniej cierpienia, niż ból pobitego ciała.

Przeżyje - prawdę mówiąc, już wkrótce niemal zupełnie wróci do zdrowia, bowiem smoki szybko zdrowiały po zadanych magia ranach. W tej chwili nie był pewien, czy o to właśnie mu chodzi.

Przegrał. Powiedział Shanie, że sprowadzi pomoc - i przegrał. Myre nawet nie oszukiwała; nie musiała. Magia, jaką on znalazł, nie mogła równać się z bojową magią rodu.

A ona tylko taka znalazła.

Gdyby był w postaci polelfa, rozplakałby się.

Jak będzie mógł im teraz spojrzeć w twarz? Jak może teraz wrócić i powiedzieć im, że pomoc, którą obiecał, nie nadejdzie?

Ale jeśli nie wróci - nie będzie mieli nawet jego.

Wygnano go w sposób już nieodwracalny; równie dobrze mógł być martwy. Gdyby chciał podejść do kogoś z rodu, udawaliby, że go nie ma.

Zaczekał, dopóki nie ucichnie wrzawa, póki nie oddała się ostatni członkowie rodu, zostawiając "martwego", by mógł zniknąć dyskretnie z areny. Przynajmniej będzie mógł na osobności pozbierać się i wynieść wraz ze sobą kleskę. W końcu otworzył oczy i powoli podniósł się na nogi, obolałe do szpiku kości. Czuł się, jakby każda jego łuska oddzielnie

obito, a następnie podpalono.

W kanionie było zupełnie pusto; nie było nawet śladu, że ktoś tu mieszka. Z jakiegoś powodu na ten widok poczuł się gorzej. Wbrew prawu ludził się nadzieją, że przynajmniej Alara zostanie.

Być może tak jest nawet lepiej. Teraz ma swobodę czynienia wszystkiego, co uważa za konieczne. Uczyni to samotnie - lecz nie musi już obawiać się krytyki nikogo z rodu.

Nie można potępiać ducha, powiedział sobie. Nie można ukarać kogoś, kto już nie żyje. Nie mógł niczego innego przynieść Shanie, więc przyniesie jej to, co zostało z jego życia.

Chociaż gotów był zrezygnować, nie odbierze jej tego. Cokolwiek pozostało mu jeszcze do uczynienia, uczyni. Choć pewno to nie wystarczy, by ją uratować.

Wzniósł skrzydła i rozpostarł je ku słońcu - a potem rzucił siebie i swą klęskę w zimny, nieczuły nieboskłon.

Alara wspinała się po tylnej ścianie klifu, żeby nie zauważył jej nikt z rodu. W tej chwili ze złości ledwo mogła myśleć - z pewnością nie była na tyle przytomna, by wymyślić na oczekaniu przekonujące kłamstwo.

Keman powinien lecieć bardzo wolno, a wkrótce bez wątpliwości będzie musiał zatrzymać się, żeby zapolować. Walka na pewno straszliwie go wyczerpała. Wysłędzenie go nie powinno być trudne.

Alara wrzała z gniewu na rod swego leża - i rod w ogóle. Keman miał rację; nie mylił się od samego początku. Na jego wyzwanie powinno odpowiedzieć się prawidłowo - odpowiedzialnym przyjęciem go. Rod powinien był go ochronić. Nigdy nie powinni byli dopuścić do pojedynku.

Wdrapała się na płaski szczyt skały i zatrzymała się na chwilę, by odpocząć w słońcu i wchłonąć trochę energii, jaka dostarczało. Będzie jej potrzebna; czeka ją długi lot.

Jedyną rzeczą, jaka spowodowało to żałosne wydarzenie, było zmuszenie jej do ustalenia skali jej wartości. Jaki jest cel bycia szamanką leża pełnego zabijaków, którzy postępowali według własnego widzimisie, ponieważ nikt ich nie powstrzymywał, i tchorzy, którzy zrzekli się swych obowiązków, ponieważ są zbyt leniwi i samolubni, by pomyśleć o czymkolwiek poza swymi przyziemnymi potrzebami? Jakież szanujące się szaman zostałby na służbie takiego rodu?

Co było ważne? Postępować zgodnie z nakazami sumienia, niezależnie od tego, co robią inni. Postępować tak, jak postąpił Keman - wystąpić w obronie tego, co jest właściwe.

Poprzec dziecko, które miało dość odwagi, by uczynić to wszystko i hanba tym, którzy tego

nie zrobia.

Wspiela sie na krawedz urwiska, balansowala tam przez chwile i zebrala sie do odlotu. "Alaro, zaczekaj".

Alara z drgnieniem zatrzymala sie w polowie skoku i odwrocila sie, by zobaczyc, kto stal za nia.

Keoke wdrapywal sie mozolnie po scianie urwiska, a za nim ujrzala glowy i pyski tuzina innych. Zacisnela pazury na skalach i zawziecie wyprostowala sie na widok smokow wypelzajacych zza krawedzi i otaczajacych ja.

-Nie probujcie powstrzymac mnie - ostrzegla. - Keman mial racje, od samego poczatku mial racje i zaden idiotyczny pojedynek z zabijaka nie udowodni, ze jej nie mial. Ide w jego slady, mam zamiar pomoc jemu i mojej wychowanicy, tak jak powinnam uczynic, kiedy tylko uciekl na poczatku, a leze moze poszukac sobie innego szamana. Nic, co moglibyscie powiedziec czy zrobic, nie zmieni mojego zdania.

-Zmienic twoje zdanie? - powtorzyl za nia Keoke, ktory ku jej absolutnemu zdumieniu, byl wyraznie zaskoczony. - Zmienic twoje zdanie? Na ogien i deszcz, nie chcemy, zebys zmieniala zdanie Alaro! Chcemy isc z toba!

-Chcecie... co - Mrugnela oczami, usilujac zrozumiec cos z tego, co powiedzial Keoke.

-Chcemy isc z toba - powtorzyl cierpliwie. - Myre wygrala, to prawda, lecz nie miala racji, a wygrala tylko dlatego, ze przygotowywala sie do podobnego wyzwania od czasu, gdy tylko wprowadzila sie do Lori. Ona zamierza rzadzic lezem. Wszyscy wiemy o tym! Wiemy tez, ze Keman mial racje, lecz nie jestesmy wystarczajaco liczni, by stanowic wiekszosc.

-Niedobrze mi sie robi na mysl o tym lezu - rzekla Orola z wyraznym wstretiem.

-Niedobrze mi sie robi na mysl o tych ograniczonych umyslowo leniach, ktorym wydaje sie, ze nie potrzeba nam nic wiecej, jak napelniac brzuchy i siedziec na sloncu niczym stado tlustych owiec. Mam juz powyzej uszu tych malostkowych nonsensow, na ktore marnowalismy czas...

-Znudzila nam sie bezczynnosc - pisnela jedna ze smoczyc, jedna z mlodocianych doroslych, mniej wiecej w wieku Kemana. - Za kazdym razem, gdy ktos z nas chce zrobic cos tam... - machnela czubkiem skrzydla w ogolnym kierunku ziem elfow - ...slyszymy tylko, ze musimy utrzymywac nasze istnienie w tajemnicy. Coz, nie jest to sekret i nie jest nim juz od jakiegos czasu, wiec nie widzimy zadnego powodu, dla ktorego mielibysmy chowac sie w jaskiniach i miec nadzieje, ze nas nikt nie znajdzie!

Ze wzburzenia nastroszyla kryze, lecz Keoke uspokoil mloda smoczyce jednym spojrzeniem. -Przede wszystkim chodzi tu o to, ze Keman mial racje. Przynajmniej w

pewnym stopniu rzeczywiście jesteśmy odpowiedzialni za niebezpieczeństwo, w jakim znaleźli się teraz polefowie, a całkowicie ponosimy odpowiedzialność za to, co przydarzyło się Lashanie. Dwunogi nie są myślącymi zwierzętami; są nam równi. Ludzie byli na tym świecie jeszcze przed nami; to ich świat, a my i elfowie jesteśmy w nim intruzami. Jesteśmy winni jego prawowitym mieszkańcom chociaż próbe naprawienia wyrządzonej im krzywdy, skoro przywłaszczyliśmy sobie część ich świata. Najstarsze obyczaje uczyły nas, że musimy brać na siebie odpowiedzialność i postępować tak, jak nam ona nakazuje, lecz my nie uczyniliśmy niczego takiego. Po prostu bawiliśmy się tymi istotami, jak gdyby były pionkami na planszy do gry. Ale to nieprawda i najwyższy już czas, żebyśmy potraktowali ich tak, jak się należy. A przynajmniej chociaż spróbowali tego. "Niemal całe swe życie czekam, by usłyszeć te słowa z ust kogoś z rodu, Keoke", zagrzmiął głęboki, a jednak łagodny myślowy głos.

Jak jeden z nich spojrzał w górę w chwili, gdy między nimi, a słońcem pojawił się cień półtora raza większy od tego, jaki mógł rzucić którykolwiek spośród nich - i ostatnia istota, jaka Alara spodziewałaby się ujrzeć, wylądowała lekko i z wdziękiem na szczycie skały obok niej.

Ojciec Smok Isnił swymi pełnymi barwami, purpura i szkarłatem, równie dziarski i młodo wyglądający, co najsprawniejsi spośród nich. Nakrył czule Alare swym szkarłatnym skrzydłem, a reszta smoków gapiała się na niego z zaskoczeniem...

Nawet Keoke.

-Czekalem - powtorzył, strosząc kryzę i mierzając wszystkich spojrzeniem swym ogromnych oczu - setki lat, by usłyszeć te słowa, Keoke. - Jego wzrok padł teraz na wszystkich po kolei, a Alara dostrzegła w jego oczach wyraz zupełnie inny od tego, jaki przyzwyczaiła się w nich widzieć. Podniecenie, wyczekiwanie, zapal. - Wiele, wiele lat temu, kiedy na początku badałem ten świat dla potrzeb naszego rodu, przybrałem postać czarodzieja mieszanej krwi i nie tylko chodziłem wśród nich, lecz także pracowałem z nimi. Byłem wśród tych, którzy zorganizowali pierwsze powstanie i pozostałem z nimi aż do końca walk, i to nie jako obserwator, nie jako osoba, która tylko wtraca się w ich sprawy. Byłem jednym z nich. A gdyby nie padli ofiara zdrady, prawdopodobnie wciąż byłbym jednym z nich.

Dumnie unosił głowę, a Keoke wbił w niego wzrok, jakby sądził, że źle usłyszał. - "Byles wśród czarodziejów? - spytał oszolomiony Keoke. - Naprawdę?"

-Naprawdę. Pomagałem zaplanować to powstanie - rzekł Ojciec Smok. - Przez wiele lat, od chwili gdy zdałem sobie sprawę, że czarodziejów znowu przybywa, miałem nadzieję, że zbiorą się na odwagę i zbuntują się przeciw elfom. Zamierzałem przyłączyć się do nich, gdybym tylko mógł, w każdej postaci, w jakiej tylko bym mógł. - Milczał przez chwilę, a potem kontynuował. - Nie mogłem z czystym sumieniem skorzystać ze swego stanowiska głównego szamana i polecić wam pomoc polefom - lecz skoro już sami zdecydowaliście się na to... - pokazał wszystkie zęby w uśmiechu - ...wierze, że pozwolicie mi przyłączyć się do

was.

Shana z niepokojem wpatrywała się w niebo. Jak dotąd elfi panowie nie wysledzili jeszcze nowej kryjówki uciekających czarodziejów. Pulapki, jakie zostawili w cytadeli z pewnością były przyczyną śmierci pewnej ilości popieczników (a jeśli szczęście im dopisało, także jednego czy dwóch elfów), a także, jak mieli nadzieje, zdeorganizowały i opóźniły poscig. Stada jeleni i innych zwierząt, które przegoniła przez ślady zostawione przez nich, również powinny wszystko opóźnić.

Niemniej jednak, było to tylko opóźnienie i wszyscy o tym wiedzieli. Znajdowali się obecnie na samym skraju terytorium objętego mapami i mieli dobry powód ku temu.

Od tego miejsca rozciągała się okolica tak niegospinna, że nikt z wyjątkiem młodych i zdrowych nie miał szans jej przebyć. Gdyby mieli czas, może udaloby im się ją przebyć z dziećmi, starcami i wszystkimi innymi, cierpliwie badając ją dzień po dniu i wyznaczając bezpieczne szlaki. Nie mieli jednak na to czasu. Wrog nadchodził, więc musieli bronić się albo tu, albo już nigdzie. Wielu z nich pogodziło się z myślą, że będzie to daremna obrona.

Shana nie powtórzyła pozostałym tego, co powiedział jej Keman. Nie chciała rozbudzać w nich nadziei tylko po to, by znowu ją druzgotać. Chciała wierzyć w to, że uda mu się przekonać rod - lecz pamiętała, aż za dobrze, jak ją potraktowali. Wpierw musiałby przekonać ich, by porzucili odwieczną tradycję życia w tajemnicy. Potem musiałby nakłonić ich do zadziałania na rzecz istot, które nie należały do rodu.

Prawdopodobieństwo dokonania obu tych rzeczy nie wydawało jej się zbyt wielkie.

Gdybym zdołał sprowadzić ich, powiedział Keman, czekaj na mój powrót za dwa dni. Najpóźniej, trzy. Dzisiaj mijal trzeci dzień od chwili, gdy odleciał, a Shana wyczekiwała na niego od poranka drugiego dnia.

Forteca była zrujnowana w takim stopniu, w jakim odmalowywała ją pogłoska - zewnętrzne mury były nienaruszone, lecz tylko dlatego, że zbudowano je z bloków kamiennych szerokości wzrostu większości mężczyzn. Wewnątrz tego muru zachowały się tylko skorupy budynków - i tych kilka pomieszczeń, które wykuto w skale samej góry. Wiatr, pogoda i upływ lat zajął się dachami i wszelkimi sprzętami.

Studnia jednakże wciąż była czysta, a kiedy zbudowano nową bramę z bali, mury zewnętrzne mogły wytrzymać atak całej armii. Teraz każdy, kto był na tyle wypoczęty, by krążyć towary czarami, w tym również Shana, pracował jak długo starczało mu sił.

Miejsca ochronione przed wpływami pogody, lub te, które można było takimi uczynić, zapelniano do granic możliwości. Nikt nie troszczył się o to, czy uruchamiały magiczne alarmy - a wielu elfich władców kłócących się ze spokojnym zarożumiałstwem o to, czy czarodzieje stanowią niebezpieczeństwo, pewnego dnia odkryje, że okradziono ich podczas tych kłótni.

Nie wezma ich wiec glodem, chyba ze elfi panowie znajda sposob na zapobiezenie kradziezom, pomyslala trzezwo Shana. Elfowie nie wypedza rowniez czarodziejow pragnieniem. Beda zmuszeni sila zdobyc twierdze buntownikow. Mam nadzieje, ze nie przyjdzie im to latwiej, niz sie spodziewam.

Niemniej jednak legendarna bron elfow byla czymś strasznym - i nie byla wcale pewna, czy uda im sie obronic przed nia po raz drugi. Zbyt wiele tajemnic przepadlo wraz ze starymi czarodziejami, a chociaz wrogow bylo mniej, ich samych rowniez.

Co najgorsze, najbystrzejszy i najnieustepliwszy wrog czarodziejow znow przewodzil przeciwnikom. Oni nie mieli tak doswiadczonego wodza.

Dyran nie zatrzyma sie, poki nie zetrze ich w proch.

Znow spojrzala w niebo, szukajac na niebieskim tle niebieskiej plamki, jaka bedzie Keman... A zamiast tego ujrzala trzy... cztery... tuzin... Przewodzila im jedna plamka, znacznie wieksza od pozostalych, wystarczajaco duza, by mogla dojrzec skrzydla, dluga szyje, gietki ogon...

Serce skoczylo jej do gardla. Zacisnela palce tak mocno na szczycie muru, ze cala dlon jej zbielala.

Zblizaly sie z kazda chwila. Tak, byl wsrod nich i maly Keman - naprawde wcale nie taki maly, lecz przytloczony rozmiarami pozostalych. Po ciezkim wymachiwaniu skrzydlami poznala, ze jest zmeczony lotem, lecz utrzymuje tempo narzucone przez Ojca Smoka. Prowadzil bowiem sam Ojciec Smok, ktorego przechodzace w szkarlat luski koloru krolewskiej purpury lsnily poteznie w sloncu - a teraz widziala juz szkarlat Alary - zielen Keoke - szafranowa zolc Oroli - zielonozolte ubarwienie Liany... Razem co najmniej tuzin smokow, tuzin razy wiecej, niz Shana spodziewala sie zobaczyc. "Czy lowy tu dobre, przybrana corko? - spytala Alara glosem cieplym i rozbawionym. - Obawiam sie, ze przyprowadzilam kilku bardzo glodnych gosci o dosc niepokojacych apetytach". "Chyba... chyba tak, przybrana matko" - wykrztusila wreszcie. "Nie bedziemy leniwymi gosciami, obiecuje ci, moje dziecko - rozlegl sie kolejny myslowy glos, bardzo gleboki i serdeczny. - Rozumiemy, ze pewni nieproszeni goscie sa w drodze do was. Bedzie nam milo pomoc wam oddalic ich". "Mozesz mowic do mnie Kalamadea, dziecko - odpowiedzial ze smiechem.

-Sadze, ze to imie moze nie byc ci calkiem obce..." Dotknela bursztynowej kuli, ktora nosila w kieszeni, pochodzacej ze skarbcza tego samego Kalamadei, smoka, ktory podajac sie za czarodzieja pomogl dowodzic w ostatniej wojnie czarodziejow. "A wiec Zguba elfow znalazla moje przeslanie i moj skarbiec? Doskonale. Mozesz zatrzymac klejnot, Shano - ciagnal, uslyszawszy jej mysl. - Lepszy czynisz z niego uzytek, niz ja czynilem. Och, i powiedz swoim przyjacielom, ze zblizamy sie, zeby nikt nie wzial nas za przerosniete gesi, nadajace sie na obiad, i nie zestrzelil nas, dobrze?" "Tak jest!" - odparla i odwrocila sie, przykladajac

dłonie do ust, by krzyknąć ku fortecy w dół słowa, których nigdy nie spodziewała się zawołać.

-Nadchodzą smoki! Nadchodzą smoki!

Nad ich głowami trzasnął piorun, który wstrząsnął kamieniami fortecy, a Keoke wraz z Liana i Shana odruchowo spojrzeli w górę. Smoki były w postaciach członków rodu - co oznaczało, że potrzebna była wiele miejsca. Na szczęście górne piętro fortecy nakryte sklepieniem w kształcie kopuły zostało skonstruowane z myślą o smokach.

-Można by pomyśleć, że powinnam być już do tego przyzwyczajona - powiedziała Shana, spoglądając na łapę Keoke, która trzymała ją pod jej podolku.

-Dlaczego? My nie jesteśmy - odparł Keoke. - Nigdy nie przyzwyczałem się do wzywiania błyskawic. Wiesz, muszę przyznać, że nigdy nie spodziewałem się, że przylece czarodziejom z pomocą tylko po to, by spędzić czas na hodowaniu pazurów...

-I podsuwanie ich do przycinania - przypomniała mu Shana. - Te skrawki szponów są jedną z naszych najcenniejszych broni, panie, i każdy o tym wie. Proszę się nie martwić, powinniśmy mieć wystarczająco dużo skrawków, gdy tylko skończę z dwójkiem was. Możemy wykonać ograniczoną ilość strzał, i szczerze mówiąc, jeśli zużyjemy je wszystkie, będzie to oznaczało, że walka trwa dłużej, niż ktokolwiek z nas przewidywał.

-No tak, dziecko, niewiele możemy zrobić w tym momencie, to prawda. - Znowu nad ich głowami przetoczył się grom, aż kamienie pod nimi zadrżały od niego.

-Dokonałiscie już przecież mnóstwo - powiedziała Shana. - Nie wytrzymałibysmy ani dnia oblężenia, gdyby nie to, co zrobiliście z fortecą. Teraz zaczynam wierzyć, że zwyciężymy, a przynajmniej sprawimy, że wykurzenie nas stąd będzie kosztowało ich zbyt drogo.

-Szczera prawda - westchnęła Liana i wyciągnęła lewą łapę do przycięcia pazurów.

Smoki nie marnowały czasu wprowadzając w czyn swoją świeżo podjętą decyzję o udzieleniu pomocy. Po wylądowaniu - i pozarciu ogromnej ilości pożywienia, co na krótko wpędziło zaopatrzeniowców w rozpacz, dopóki nie zdali sobie sprawy, że potem smoki będą mogły polować na własną rękę - czterdziestu smoczych sprzymierzeńców zabrało się do przetwarzania fortecy przy pomocy swoich zdolności i magii w budowlę mogącą oprzeć się oblężeniu.

Nawet dla Shany był to pierwszy kontakt z magią smoków, poza zmienianiem kształtów. Nadal nie miała pojęcia, w jaki sposób osiągały to, co robili. Zdawało się, że miało to jakiś związek z dogłębnym zrozumieniem... materii... które pozwalało im zmieniać postać substancji nieożywionej, takiej jak skała. Wiedziała tylko, że po wypędzeniu wszystkich polellów i ludzkich dzieci rozmieścili się dość równomiernie w fortecy i zaczęli kształtować ją, nadając kamieniom takie formy, jakich sobie życzyli.

Kiedy skonczyli, forteca stala sie cudem. Na szczycie murów znajdowały się osłonięte parapetami przejścia, nakryte lukowatymi sklepieniami i usiane otworami strzelniczymi oraz obserwacyjnymi. Szczyty były wypuszczone na zewnątrz i nachylone pod ostrym kątem - żeby obserwatorzy mogli widzieć wszystko aż do samego podnoża murów i żeby - cokolwiek uderzyło w nie - odbiło się raczej niż wpadło do środka - a krawędzie zaokrąglono w taki sposób, by narzędzia obleźnicze nie miały o co zahaczyć. Pomiedzy murami obronnymi a pojedynczym wewnętrznym budynkiem znajdowała się teraz idealnie czysta przestrzeń. Budynek połączony był z murami na wysokości trzeciego piętra za pomocą pomostów, a poniżej drugiego piętra nie było żadnych otworów poza jednymi drzwiami na parterze. Również i on nakryty był zaokrąglonym, kopulastym sklepieniem, które miało ułatwić odbijanie pocisków. Wewnątrz na każdym piętrze znajdowała się tylko jedna olbrzymia sala. Nigdzie nie znalazłoby się ani jednego spojenia, pęknięcia ani szczeliny. Cała forteca wyglądała jakby wykuto ją z pojedynczej, jednolitej bryły skalnej. Oczywiście oznaczało to, że nie miała słabych miejsc, które mogliby zaatakować oblegający wrogowie - co niewątpliwie niemilosiernie denerwowało elfich panów.

Jedynie defekty, co każdy mógł zauważyć w tym projekcie, to po pierwsze brak palenisk. Został on jednak szybko naprawiony przez zainstalowanie piecyków z kominami wychodzącymi za okno. A po drugie: nie było osobnych pokojów. Ten drugi problem mogłoby okazać się problemem tylko wtedy, gdyby zmuszeni byli mieszkać tu przez bardzo długi czas.

Tymczasem jednakże przemiana ich schronienia wydawała się istnym cudem, a wielu czarodziejów wkrótce zaczęło entuzjastycznie twierdzić, że obecna forteca jest lepsza od cytadeli.

Shana nie posunęłaby się aż tak daleko w zachwycie - urządzenia sanitarne w cytadeli były dostosowane do potrzeb ludzkich, podczas gdy to, co zawierał projekt wykonany przez smoki, można było w najlepszym przypadku uznać za fragmentaryczne i prymitywne - lecz pomimo tego, do tej pory nie widziała miejsca lepiej nadającego się do przetrzymania obleżenia.

A znajdowali się właśnie w stanie obleżenia. Dyran dotarł ze swym wojskiem na miejsce dwa dni po tym, jak smoki ukończyły przebudowę, a z każdym dniem przyłączało się do niego więcej elfów. Kradzieże udowodniły ostatecznie wszystkim elfim władcom, niezależnie od rozmiarów włości, że odległość nie gwarantuje bezpieczeństwa, a straty, jakie poniosł Dyran, oraz rozmiary cytadeli, kiedy już ją odnaleziono, przekonały wszystkich, iż zagrożenie jest prawdziwe i dużo poważniejsze, niż im się wydawało.

Dyran nadal dowodził, choć trzymał się na tym stanowisku czysta siła woli. Shana modliła się o jego obalenie, lecz naprawdę nie wierzyła, że utraci pozycję - doprawdy, tylko śmierć lub nieudolność usunęłaby go z drogi, a nie mogli zbyt wiele liczyć na to drugie. Jeśli chodziło o ataki magiczne, większość z nich odpierano po pierwszej próbie, kiedy czarodzieje domyślili się, co zostało zrobione i jak temu zapobiec. Przeciwno reszcie wzniesiono skuteczne

osłony. Dotychczas nie ponieśli wielu ofiar - chociaż było dziesięciu zabitych i dwukrotnie więcej rannych. Najgorsze było wyczerpanie. Trzymali całodobową straż nad obozowiskiem, w nadziei, że unikną zaskoczenia i również przez cały dzień i noc obserwowali elfich władców.

To było dzieło Ojca Smoka; on to dowodził stroną polelfów, tak jak Dyran był dowódcą strony elfich panów. Shana nawet nie musiała wspominać o starych pamiętnikach, czarodzieje sami ustąpili miejsca smokowi, kierując się tym, że już jest dowódcą i raz już to przeszedł. Ojciec Smok sprawiał wrażenie zaskoczonego i z początku nie chciał przejąć roli dowódcy, lecz nie dano mu za bardzo wyboru. Inne smoki nie miały ochoty słuchać rozkazów dwunogów, a gdy tylko zakończono prace nad przebudową fortecy, groził wybuch strasznego chaosu, jeśli nie weźmie wszystkiego w garść.

To samo było w przypadku obserwacji umysłów elfich władców. Elfowie strzegli swych myśli, lecz czasami były przecieki, a każde potknięcie elfów oznaczało kolejną dawkę potencjalnie ważnej informacji.

Na plus należało odnotować, że elfowie nie wiedzieli, iż mają do czynienia z więcej niż jednym smokiem. Rod wylatywał noca na łowy, a wracał przed świtem, dokładając staran, by nie pokazywać się. W przypadku gdy szamani musieli widzieć niebo, by rzucać czary związane z pogodą - tak jak teraz - wylatywali z pozostałymi i po prostu nie wracali, chowając się gdzieś w pobliżu.

Elfowie bawili się czarami pogodowymi. Pierwszy raz posmakowali prawdziwej magii pogody. Zaznali "przyzywania burzy" na pełną skalę z rak szamanów. Lub raczej z ich łap.

Poza murami w tej chwili nie było żadnego czarodzieja. Ulewny deszcz, który przemoczył wszystko w zasięgu wzroku i walił w nie osłonięte głowy, doprowadzając do oglupienia, skłaniał wszystkich do pozostania pod dachem. Elfy obozowiska nie miały takiego szczęścia; ludzie, kiedy nie walczyli, kulili się smetnie w szalaszach, jakie udało im się zмайstrować, pod plachtami plotna lub drzewami, prawie połowa namiotów bowiem zawaliła się, a reszta groziła zawaleniem w każdej chwili. Paliki namiotów nie chciały trzymać się w rozmokniętym i błotnistym gruncie, a gwałtowne podmuchy wiatru zrywały płocienne namioty i wywracały je na drugą stronę w mgnieniu oka. Elfi władcy też nie byli całkowicie odporni; wielu z nich dzieliło kwatery, ponieważ słabsza magia elfów, takich jak Cheynar, nie stanowiła zabezpieczenia przed wiatrem i żywiołami. Ulewny deszcz zrujnował i zwałił również ich luksusowe namioty.

Czarodzieje jednak nie mogli jeszcze odetchnąć. Pomimo deszczu, pomimo błyskawic lizających ziemię wokół fortecy, Dyran wciąż napierał. Ci, którzy obserwowali oboz, donosili, że był on teraz zupełnie inną osobą od tego Dyrana, któremu przyglądali się od tak dawna. Ten Dyran był nieublagany, nie przyznawał się do niepowodzenia i nie pozwalał, by coś długo mu przeszkadzało - stał się osobą fanatyczną, a nawet opętana. Valyn przycichł bardzo, gdy obserwator powiedział im o tym - a Shane ciekawilo dlaczego. Jednakże kiedy nie

zwierzył się ani jej, ani Cieniowi, przestała o tym myśleć.

Valyn ostatnio odsuwał się coraz bardziej od wszystkich; był zamysłony i zamknięty w sobie i nawet Denelore nie potrafił wyciągnąć go z tej skorupy. Pewno musiał się czuć bardzo niepotrzebny, większość starszych czarodziejów bowiem znalazła się na magii bojowej równie dobrze, jeśli nie lepiej, a on sam miał zbyt miękkie serce, by zająć miejsce wśród strzelców wyborowych na murach. Cien z kolei pomagał dużo bardziej - był pełen pomysłów i zawsze pierwszy na ochotnika do każdego zadania. Rozkwitł od czasu romansu z Triana, a w miarę upływu czasu Shana coraz częściej polegała na nim, bowiem jako łączniczka ze smokami i jedyna osoba, która miała jakieś doświadczenie w prawdziwej walce, stała się de facto przywódca tego małego powstania.

-No proszę - powiedziała Shana, kończąc przycinanie szponów Liany. - Powinno już wystarczyć. Nie ma sensu zakanczać wszystkich strzał w fortecy smoczymi pazurami, bo przecież nie wyrządza ludziom większej szkody niż zwykła stal.

-Czy mogę więc zapytać, co robicie? - rzekł od niechcienia Keoke, a następnie przemienił się w postać polelfa, chwając się przez moment, nim uchwycił równowagę na dwóch nogach. Liana poszła za jego przykładem, choć nieco wolniej.

Shana zgarnęła ostrożnie skrawki pazurów do koszyka przeznaczonego dla czarodziejów wykonujących strzały. - Dajemy strzały naszym trzem, lub czterem najlepszym strzelcom, a kiedy tylko któryś z elfów znajdzie się w zasięgu, biora go na cel. Co najmniej zaniepokoiło ich to.

-Po ujrzeniu, co przydarzyło się temu pacholce Dyrana, nie dziwi się - stwierdziła Liana, wyglądając przez szczelinę okienną. - Nie była to ładna śmierć. Shano, burza zaczyna się rozpraszac. Wydaje mi się, że elfowie odzyskują panowanie.

Shana stłumiła jęk. - Musiało się tak stać wcześniej czy później. Miałam tylko nadzieję, że później. Ciekawe, co zamierzają zrobić teraz.

Dowiedziała się bardzo szybko, mianowicie gdy zadyszany Cien wbiegł po schodach.

-To Dyran - wysapał w chwili, gdy od strony murów doszły ich niewatpliwe odgłosy bitwy. - Rozpoczął kolejny atak. Tyle, że tym razem... tym razem wziął masę nie uzbrojonych niewolników, głównie dzieci, i pędzi ich przed wojownikami jak tarcze. Musimy strzelać do nich, żeby trafić wojowników.

Shana poczuła zółć podchodzącą jej do gardła i przez chwilę sądziła, że robi jej się niedobrze. - Czy Valyn wie o tym? - spytała, wiedząc, że młody elfi pan zareaguje jeszcze gorzej niż ona sama.

-Był na murach - powiedział z zalem Cien.

Shana potrzaskała głowę. Było jej go żal, lecz uczucie żalu nie odpędzi wojska spod bram. Nie pomoże też nic, jeśli będzie zbyt chora z obrzydzenia sytuacją i niezdolna walczyć.

-W każdym razie chcę, żebyś tam poszła - powiedział Cien, przestawiając się kuzynem, tak samo jak uczyniła to Shana. - To znaczy, Ojciec Smok chce. Ja też mam pojechać. I reszta smoków. Uważa, że powinniśmy zobaczyć, czy nie daliby się znaleźć jakiegoś sposobu ominięcia niewolników lub usunięcia ich najpierw z drogi.

-Jasne - odrzekła, nie marnując już więcej czasu na myślenie o Valynie.

-Idziemy!

Członkowie rodu przyjęli postaci polelfów i wyszli z Cieniem na mury. Nietrudno było dostrzec Ojca Smoka, jako że wokół niego aż wrzało, a posłancy wybiegali i nadbiegali ze wszystkich stron murów obronnych.

Shana pomyślała, że wygląda na straszliwie spiętego, a na jego twarzy maluje się wyraz udreki, szczególnie widoczny w oczach.

Przypomniawszy sobie niektóre zapisy w jego pamiętniku, nagle zrozumiała, dlaczego. Nie po raz pierwszy Dyran zastosował taki właśnie manewr.

Ostatnim razem czarodziejom również nie udało się uratować niewolników.

-Nie wiem - mówił do Denelora, gdy mała grupka zbliżyła się. Wokół jego ust widoczne były zmarszczki napięcia. - Żadna nasza broń nie dosięgnie ich nie zabijając dzieci. Gdyby rod zmienił postać, moglibyśmy podleciec i użyć naszych zdolności zadawania wstrząsów...

Denelor stanowczo potrzaskał głowę. - Nie, nie, musimy trzymać wasze istnienie jak najdłużej w tajemnicy. Poza tym, przez to znaleźlibyście się w zasięgu magii elfów. Dyran nie użył niektórych ze swych najstraszniejszych broni, ponieważ nie mają wpływu na kamień. W przypadku żywego ciała, nawet chronionego łuska, może być zupełnie inaczej.

-Czego się obawiamy? - dopytywała się Shana. - Mogą strzelać do nas z łuków ile chcą, ale nie wyrządzą nam żadnej krzywdy za tymi murami.

-Martwie się o zbliżenie do tych murów - odparł nieobecny tonem Parth Agon.

-Boję się, że zdołają podejść wystarczająco blisko, by przystawić do nich drabiny lub pusczyć w ruch maszyny obleźnicze.

-A może pozbylibyśmy się drabin i maszyn obleźniczych? - zaproponowała Shana. - Możemy przecież wezwać ogień. Powinnismy przez to zyskać nieco na czasie.

Twarz Ojca Smoka rozchmurzyła się, a Denelor i Parth pokiwali głowami.

-Powinnismy zyskac sporo czasu - powiedzial.- Byc moze wystarczajaco duzo, by znow rozpoczac ulewe. Zajmiecie sie tym, panowie?

-Natychmiast - odparl Denelor. Parth juz ruszyl i zatrzymywal sie po kolei przy kazdym czarodzieju na chwile rozmowy. Denelor pospiesznie zszedl na dol. Shana oslonila oczy dlonia i dostrzegla smugi dymu podnoszace sie z miejsc, gdzie stal sprzet oblezniczy. Niewolnicy pospieszyli gasic pozar, lecz przy stosunkowo niewielu maszynach oblezniczych i wielu czarodziejach, kilku moglo skupiac sie na jednej. Wkrotce z miejsc pozarow buchaly juz wsciekle plomienie i kleby gestego, czarnego dymu.

-Dziekuje ci, malenka - powiedzial cicho Ojciec Smok.

Shana, zaskoczona, odwrocila sie ku niemu.

Spogladal na wznoszace sie plomienie, lecz najwyrazniej nie przygladal im sie. - To... przywodzi mi na mysl wiele wspomnien. W wiekszosci niezbyt milych. Obawialem sie, ze historia powtorzy sie tutaj... tylu zabitych...

-Tylko jesli bedziemy zbyt glupi, by przeszlosc niczego nas nie nauczyla - powiedziala z naciskiem. - Nie pozwolimy, zeby tak sie stalo, nikt z nas, nawet Parth Agon.

Nie widziales, co on caly czas robi? Gdy tylko wybucha osobista sprzeczka, on tam juz jest. Jesli nie mozna nic zrobic, a do tej pory udawalo mu sie, pilnuje, by zwasnieni ludzie zostali rozdzieleni i oddani pod czyjas obserwacje, zeby nie narobili klopotow. Cala wode i jedzenie oczyszczamy przed uzyciem, wiec nie moga nam zniecka podeslac zarazy. Poza tym, pracujemy wszyscy razem.

Ojciec Smok odwrocil sie nieco i usmiechnal do niej. - Racja.

-Potrzeba nam kogos, kto zna sie na prowadzeniu wojny - zauwazyla. - To znaczy ciebie. Dlatego jestes nam potrzebny i dlatego wybralismy cie na wodza. - Potem pokazala zeby w lekkim usmiechu. - Poza tym, stary Parth sam powiedzial, ze nikt nie bedzie sprzeciwial sie wodzowi, ktorego zeby sa tak dlugie, jak on jest wysoki!

Ojciec Smok rzeczywiscie zasmial sie pod nosem. - Bystre spostrzezenie. No tak, wyglada na to, ze powinienem wywiaczac sie ze swych obowiazkow. Watpie, czy ktokolwiek inny wie wiecej o lordzie Dyranie, a on w rzeczy samej jest naszym najbardziej nieublaganym wrogiem...

Znow skierowal wzrok na wrogie wojska, lecz Shana dostrzegla, ze wyraz spiecia, jaki malowal sie na jego twarzy uprzednio, zastapilo zamyslenie - a wysuniety podbrodek zdradzal, iz ponownie zdecydowany byl uczynic wszystko, by ten konflikt nie zakonczyl sie tak, jak poprzedni.

Stare wspomnienia wciaz przynosily bol. Z bolem jednak mozna sobie poradzic.

Postanowił właśnie tak uczynić.

Shana uśmiechnęła się i odbiegła lekkim krokiem, by pomóc jednemu z tych, którzy starali się nie dopuścić do ugaszenia płonącego tarana.

Valyn wytarł usta wierzchem drżącej dłoni i chwiejąc się odszedł od wychodka. Jego pierwszą reakcją, gdy ujrzał bezbronnych, płaczących dzieci pedzonych przed wojownikami niczym ludzką tarczą, było przerażenie. Druga - kiedy usiłowały zawrócić i uciec, a wojownicy z tyłu mordowali tych, którzy nie chcieli brać udziału we własnej zgubie - były nagłe, gwałtowne wymioty.

Valyn całe życie polował, lecz nigdy nie widział, jak umiera inna rozumna istota. Do czasu tej wojny nigdy nie był świadkiem gwałtownej śmierci dorosłej osoby, a co dopiero dziecka.

Zbiegł z murów, by poszukać bezpiecznego schronienia w fortecy, a kiedy już tam się znalazł, poddał się swej słabości.

Z zewnątrz wciąż dochodziły odgłosy bitwy, stłumione wieloma warstwami kamienia, a nawet nabraly siły, gdy elfi władcy odzyskali panowanie nad pogodą i odpędzili burzę, która przeszkadzała im.

Przycisnął plecy i głowę do zimnej, kamiennej ściany, otulił się ramionami i zadygotał - ponieważ tylko on jeden spośród tu wszystkich naprawdę znalazł swego ojca. To okrucieństwo to załedwie początek.

Widział już to wcześniej - nawet istniała elfia nazwa na ten obłęd, dziwne opętanie jakimś przedmiotem lub sprawą, które nachodziło ich po życiu przez wieki. Shi maładia. Poznał, że jego ojca ogarnęło to szalenstwo, gdy opisano mu zmienione zachowanie jego ojca. Dyran nie był już przy zdrowych zmysłach, tak jak to rozumieli polelfowie.

Według pojęć elfów był wystarczająco zdrowy na umyśle, lecz gdy coś wywoływało atak choroby, brak mu było poczucia równowagi oraz jakiegokolwiek opamiętania.

Nastąpią jeszcze gorsze rzeczy, jedna okropność po drugiej, aż czarodzieje poddadzą się, nawet jeśli znajdowałiby się na wygranej pozycji. A potem, niezależnie od warunków, na jakie Dyran przystanie, zlamalby je i zabił ich wszystkich równie bezlitośnie, jak smok zabija jelenia na obiad. Pomyślał z rozpaczą, że Shana wciąż mówiła o doprowadzeniu do rozejmu, lecz nie istniało po prostu nic, co skłoniłoby Dyrana do przestrzegania warunków rozejmu. Po prostu nie dbał o to. Inni może dotrzymaliby umowy, nawet Cheynar. Ale nie Ojciec. Nie teraz.

Valyn dwukrotnie widział swego ojca w takim nastroju - w obu przypadkach, gdy natknął się na niespodziewany opór. Raz w trakcie wprowadzania sprzymierzenia do Rady, a drugi, gdy prowadził negocjacje w sprawie własnego małżeństwa. W obu przypadkach nie zrezygnował, poki nie tylko nie wyeliminował opozycji, ale także nie pogrzebał jej. W drugim

przypadku, kiedy dziewczyna sama wykonała niespodziewany manewr i uciekła z kims innym, nie spoczał, dopoki zarówno dziewczyna jak i jej kochanek nie byli martwi.

Nikt wtedy niczego nie podejrzewał. Elfowie nie dokonywali zamachow na zycie innych elfow - a oba zgony uznano za tragiczne wypadki... lecz Valyn nie byl tego pewien. Istniały pewne niepokojące oznaki - a tuż przed kazdym z tych "wypadkow" jego ojciec szkolil i wysylal szczegolnego "straznika". Straznika, który wracal po wypadkach i przechodzil w stan spoczynku.

Ludzkie zycie nie warte bylo tego, by o nim wspominal przed elfim panem.

Polelfowie byli traktowani gorzej niz robactwo. Nie istniala rowniez przysiega dosc mocna, by zmusic nia Dyra na do przestrzegania warunkow traktatu. Dopilnuje juz, by wszyscy zostali wybici do nogi.

Chyba, zeby w jakis sposob powstrzymac Dyra na. Chyba, zeby udalo sie go jakos ulagodzic, wyrwac z tego obsesyjno-maniakalnego cyklu i przekonac, ze on osobiscie stracilby zbyt wiele, kontynuujac walke. Chyba, zeby udalo sie wyprowadzic go z tego... stanu... do punktu, w którym znow potrafilby myslec racjonalnie.

Byc moze istnieje jedna osoba na tyle mu droga, by przekonac go do zaprzestania bezcelowej walki. Jedna osoba, ktorej nie zabilby z miejsca.

Przynajmniej tak sobie wmawiam, pomyslal Valyn. Odsunal sie od kamiennej sciany.

Nie trzasl sie juz, natomiast byl bardzo zdecydowany.

Kilka dni temu ulozyl niepewny plan, ale zeby go uscislic, poprosil Cienia, zeby skradl pewien beryl z namiotu Dyra na. Elfi wladca, zajety wiekszymi zagrozeniami, nie pomyslal o tym, ze zamknieta skrzynia nie stanowi przeszkody dla zdecydowanego czarodzieja. Szczegolnie takiego, który wiedzial dokladnie, gdzie moze znajdowac sie taki maly klejnot. Valyn siegnal do kieszeni i poczul cieplo kamienia ogrzanego wlasnym cialem. Byl to jeden z talizmanow Dyra na, klejnotow, w których przechowywal czesc swej mocy, na wypadek gdyby czul sie oslabiony. Co wiecej, byl to jeden z pierwszych sposrod tych kamieni, klejnot, z którym pracowal przez wieki, przedmiot tak zestrojony z nim, jak malo który inny. Dopoki Valyn go posiada, cokolwiek Dyra n sprobujecie uczynic, powinno odbic sie z powrotem ku niemu.

Gdyby Dyra n probowal uderzyc go, sam tez poczulby to, pomyslal Valyn. Podjal decyzje i zszedl na dol, zeby poszukac Zeda. To powinno wystarczyc, by Dyra n zastanowil sie. Moze zdola uzyc berylu do zawladnicia swym ojcem. Warto przynajmniej sprobowac.

Zed byl w towarzystwie kolejnego z mlodych smokow (w postaci polelfa) i obaj zawziecie przerabiali czubki szponow na grotach strzal. Zed skonczyl wlasnie osadzanie ostatnich skrawkow na grotach, kiedy wszedl Valyn.

-Zed? - rzekł niesmiało Valyn. - Czy mogłbyś wyswiadczyć mi przysługę?

Bardzo wielka przysługa...

-Sadze, że tak - oparł Zed, odkładając ostatni grot na stercie obok młodego smoka wytwarzającego strzały.

Zed brał zielone, krzywe, praktycznie bezużyteczne galazki, toczył je w dłoniach i zmieniał w idealnie proste, gładkie brzechwy, formował naciecie na grot, mocował w nim ostrze i podawał swe dzieło następnie dziecku-czarodziejowi, by obwiązać je i opierzyć. Zed wstał, krzywiąc się nieco z powodu protestu zdrewniałych mięśni.

-Czego potrzebujesz, Valynie? - spytał czarodziej, wsuwając długie włosy za uszy gestem, który wydawał się już przyzwyczajeniem. Valyn gestem polecił mu pojsc za sobą, a kiedy znaleźli się w odosobnionym kacie, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć, odwrócił się do niego twarzą.

-Po pierwsze - powiedział spokojnie elfi władca - sadze, że powinieneś wiedzieć, że nie jestem mieszancem.

-Nie jesteś? - rzekł zdumiony Zed. - Ale...

-Jestem pełnej krwi elfem - przyznał się Valyn. Potem, poki Zed jeszcze nie oprzytomniał po tym stwierdzeniu, dodał: - Dyran jest moim ojcem. Jestem jego dziedzicem. - Potem pośpiesznie przedstawił swe rozumowanie, które skłoniło go do odszukania Zeda. - Znasz wszystkie wyjścia i wejścia do tej fortecy. Muszę wydostać się na zewnątrz, a kiedy znajdę się już w obozie, fakt, że jestem elfem, powinien zapewnić mi bezpieczeństwo do czasu, gdy znajdę ojca.

-A potem co? - spytał Zed.

-Potem spróbuję z nim porozmawiać - rzekł Valyn z dużo większym spokojem i pewnością siebie niż naprawdę czuł.

Zed podrapał się po głowie. - A jeśli nie zechce rozmawiać? Co wtedy zrobisz?

Wyjdiesz po prostu? Nie wiem, Valynie, nie sadze, żeby pozwolił ci na to.

-Sadze, że najprawdopodobniej on mnie nie doceni, Zed. - Valyn zastanawiał się nad tym, jak wiele ma zdradzić młodemu czarodziejowi. - Mam pewną jego rzecz, która powinna dać mi nad nim przewagę. Myślę, że zdołam go zlikwidować. Jeśli nie uda mi się skłonić go do rozsądnej rozmowy.

Zed przyglądał się Valynowi przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział. - Powiedz mi więc, dla samej ciekawości: gdyby Dyran zastosował wszystkie sztuczki, zburzył mury i znalazł

cie tutaj, co zrobiliby z toba?

-Prawdopodobnie zabilby mnie - oparl Valyn na tyle nonszalancko, na ile mogl sie zdobyć.

-A gdyby Dyranowi udalo sie sprowadzić wszystkich elfow z Rady?

-Bylby w stanie zgromadzić kazdy ulamek mocy, jaka moga posluzyc sie dostojni panowie, wewnetrznej i zmagazynowanej, a nastepnie zburzyc mury obronne.

-A... czy jest to prawdopodobne? - spytal ostroznie Zed.

-Z kazdym dniem coraz bardziej - odrzekl uczciwie Valyn. - Im dluzej to trwa, im wiekszym zagrozeniem wydajemy sie, tym staje sie to prawdopodobniejsze. Stac ich na to, by nadal rzucac do ataku wojownikow, az ostatni zdolaja wspinac sie na mury po cialach zabitych. Moga zmeczyc was magia, a potem zrobic cos niespodziewanego.

Moga udaremnic wasze kradzieze, a wtedy wezma was glodem.

Zed przygryzal przez chwile dolna warge, a potem wydawalo sie, ze podjal decyzje.

-Chodz - powiedzial. - Pokaze ci wyjscie na tylach. "Wyjscie na tylach" okazalo sie malutka klapa prowadzaca do szybu, ktory z kolei laczył sie z tunelem wychodzacym gdzieś na dnie doliny. Przypuszczalnie poza liniami wroga. Szyb byl gladkim, okraglym, pionowym tunelem glebokim na kilka pieter, za szeroki, by wspinac sie nim na gore, zaparlwszy sie nogami i plecami. Valyn stworzył swiatelko i spuscil je na dno, ktore rzeczywiscie wydawalo sie bardzo odlegle. Jedynym sposobem na wspinaczke w tym szybie bylo zejście po linie - a własnie taka wisiala tuż za drzwiami na pierscieniu wpuszczonym w kamien. Valyn spojrzal na przepasc, potem na line i westchnal.

-Nie powiedzialem, ze bedzie lekko - rzekl Zed. - Powiedzialem tylko, ze to tylne wyjscie. Mozesz zawsze poprosic ktoregos z lepszych magow, zeby przetransportowal cie do obozu.

-Nie, dziekuje - odpowiedzial Valyn, omotujac sie lina w pasie, by spuscic sie na niej. - Musze udac sie tam po cichu. Nie chcialbym oglaszac swego przybycia.

Nachylil sie tyłem nad przepascia i wyprobowal line. Wydawala sie wystarczajaco mocna.

-Zaczekam, az zejdziesz na dol - powiedzial cicho Zed. - Musze wciagnac line, kiedy juz dotrzesz na miejsce. - Niedopowiedzenie bylo oczywiste: Nie bedzie potrzebował liny do powrotu. Bedzie albo jencem, albo posrednikiem w negocjacjach.

Valyn rzucil spojrzenie w dol jeszcze raz. Spadek byl bardzo dlugi, a kamien oslizgly od wilgoci.

-Lepiej będzie, jeśli będę miał już to za sobą - stwierdził. Zauważysz dziwne i zaniepokojone spojrzenie, jakim obdarzył go Zed, dodał: - Nie martw się, zamierzam wygrać. Prawde mówiąc, mam zamiar wypić z toba butelkę wina za zwycięstwo!

Uśmiechnął się do Zeda i zstąpił za krawędź.

W obozie panowały niewiarygodny brud i niedza. Sam smród wystarczył, żeby Valyna zemdlilo. A los niewolników Dyrana nieomal skłonił go do zawrócenia i ucieczki.

Tu, wśród wojowników, którzy mieli zarabiać na jego zwycięstwo, oblakancze i zawzięte pragnienie Dyrana, by zetrzeć w proch wroga, rzucało się w oczy bardziej niż gdziekolwiek indziej.

Oboz sprawiał wrażenie, jakby już nastąpiła katastrofa i nie zostało nikogo, kto mógłby naprawić szkody. Nikt nie podnosił namiotów zwałonych burza. Nikt nie czyścił zalanych dołów szamba, których zawartość wylała się na oboz. Ranni wojownicy doczłgali się do obozu, lecz nikt się nimi nie zajmował. Żołnierze zbyt chorzy, by walczyć, lub uprzednio ranieni, leżeli w takich schronieniach, jakie udało się im, czy ich przyjaciółom zmagistrować, zanim Dyran znowu nie nakazał iść do ataku. Wielu rannych i chorych konało, a niektórzy już umarli. Nikt nie zabierał ciał.

Valyn przytknął chusteczkę do nosa i udawał wyniosłą obojętność na nieszczęście dookoła. Wedrował przez zrujnowany oboz, z wielką uwagą ignorując wszystko, co nie znajdowało się na jego drodze. Żaden elfi pan nie przejąłby się tym, że ludzie leżeli i konali we własnych odchodach. Rozumowali następująco: skoro umierali tutaj, najwyraźniej nie umierali tam, na linii frontu, gdzie powinni.

Valyn przez chwilę zastanawiał się nad tym, gdzie są posiłki dla tych wojowników, a potem doszedł do wniosku, że biorąc pod uwagę śmiertelność na murach, drużyny pomocnicze ubrano w zbroje i rzucono na pole walki razem z pozostałymi.

Namiot Dyrana nietrudno było zauważyć. Był to jeden z nielicznych wciąż stojących, cały i nie tknięty przez burzę. Rozbito go na szczycie zbocza, naprzeciw fortecy czarodziejów, na równym poziomie z kamienną budowlą. Złotoszkarlatny pawilon stanowił nieodparty cel. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, nic bowiem, co czarodzieje czy smoki cisnęli w jego kierunku, nie dotknęło go nawet. Valyn nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, gdy zdołał wejść po kamienistym zboczu i nie zatrzymał go nikt, kto go znał. Przyszło mu w tym momencie do głowy, że być może polełfowie pominęli doskonałą okazję, by zabić Dyrana - wystarczyłoby tylko przybrać złudzenie wyglądu pełnej krwi elfa...

Nie, to nie poskutkowało; na obrzeżu obozu najprawdopodobniej była bariera rozpraszająca złudzenia. Ojciec może jest oblakany, ale nie jest głupi.

Przy wejściu do namiotu stało dwóch strażników. Valyn obu poznał i wziął się w garść. Jeden z nich rozpoznał go.

-Panicz Valyn? - powiedział.

Był spokojny. Nie zaskoczył go widok syna swego pana. Tak, jakby strażnik nic nie wiedział... Hmm. Widocznie nie jest powszechnie wiadome, iż dziedzic "znikł".

-Zaczekam na swego ojca wewnątrz, jeśli mogę - odpowiedział równie spokojnie, jakby codziennie spacerował na polu bitwy, żeby spotkać się ze swym ojcem.

-Oczywiście, paniczu Valynie - odparł natychmiast człowiek i przytrzymał mu podniesioną kłapę namiotu.

Valyn schylił się i wszedł do środka. Kiedy jego oczy przystosowały się do półmroku, dostrzegł bez większego zdziwienia, że namiot był w równym stopniu skromnie urządzone, co dwór luksusowo.

Nie było tu niczego, co mogłoby odwrócić uwagę Dyrana od jego obsesji. Tutaj był wojownikiem, obrońcą klanów.

Zasłona przedzielała namiot na dwie części, mieszkalna i publiczna. W części publicznej stało przenosne biurko i krzesło, stół z mapami, stojaki na zbroje i oręż, oraz skrzynie na dokumenty. W prywatnej części było łóżko, następne krzesło, kufry z ubraniami, dwie skrzynie do przechowywania rzeczy i nic więcej.

Valyn ledwo miał czas dostrzec to wszystko, gdy dźwięk kroków na zewnątrz ogłosił przybycie kogoś do namiotu.

Przytrzymując zasłone, odwrócił się akurat w samą porę, by stanąć twarzą w twarz ze swym ojcem, który właśnie pojawił się w wejściu do namiotu.

Dyran zamarł, a zasłona wejściowa opadła za nim.

-Witaj, ojciec - powiedział spokojnie Valyn.

Dyran przyglądał mu się, jakby ledwo poznawał, kto go przywitał. Następnie powoli sięgnął rękawice, jedną po drugiej, i rzucił je w ścianę. Odziany był w wymyślnie grawerowaną złotą zbroję, na którą nałożył szkarłatną opanoczone z rodzimym herbem. U pasa miał miecz, lecz nie nosił hełmu, a włosy splecione w warkocz spływały mu na plecy. Po chwili zrobił dwa kroki naprzód i założył ręce na piersi.

-Doskonale wiem, gdzie byłeś, Valynie - rzekł obojętnym tonem. - Przypuszczam, że ludziłem się, spodziewając, iż nabrąles rozumu w sprawie tego robactwa.

-Miałem nadzieję usłyszeć, że doszedłeś do podobnych wniosków w stosunku do moich przyjaciół, ojciec - odparł Valyn, naśladując postawę ojca. - Miałem nadzieję, że zdasz sobie sprawę z bezsensowności twojej zemsty. Nie my zaczęliśmy to...

Wyraz twarzy Dyrana - lub raczej jego brak - nie ulegl zmianie; tylko jego oczy zmienily sie. Byl w nich niebezpieczny blask, niczym zarzace sie wegla... Jak blask w oczach szykujacego sie do szarzy jednoroga.

-Czy tylko to masz mi do powiedzenia? - zapytal Dyran bardzo cicho i bardzo lagodnie. - Czy postanowiles opowiedziec sie przeciwko swej rasie, po stronie tych zwierzat?

-Oni nie sa zwierzetami. Nie musi byc stron - powiedzial Valyn. - Nie musi byc wojny, szczegolnie nie pomiedzy nami...

W czasie gdy to mowil, swiatlo w oczach Dyrana nasilalo sie. Uczynil dwa kroki w strone swego syna, az stanal na odleglosc reki od niego.

-Nie - szepnal Dyran. - Nie bedzie wojny miedzy nami. - Swiatlo w jego oczach rozblysko gwaltownie. - Splodzillem jednego syna. Moge splodzic nastepnego...

Valyn zostal ostrzezony na chwile krotsza od uderzenia serca - lecz i to wystarczylo.

W chwili, gdy jego ojciec sprobował zmiesc go z powierzchni ziemi pelna sila swej znacznej potegi magicznej, Valyn skoczyl naprzod. Sciskal w dloni mocno beryl, i w momencie gdy dosiegal go cios, chwycil Dyrana za ramiona i przycisnal do piersi w morderczym uscisku, a moc wybuchu objela ich obu...

Forteca zatrzesla sie w posadach od sily eksplozji. Potem dotarla fala uderzeniowa, zbijajac ich z nog, mimo ze wiekszosc czarodziejow byla oslonieta i schowana za kamiennymi parapetami na szczycie murow.

Shana podniosla sie na nogi i z przerazeniem popatrzyła na oboz elfow.

Caly czubek sasiedniego wzgorza, gdzie stal namiot Dyrana, znikl. Z miejsca, w ktorym niegdys sie znajdowal, wciaz podnosil sie klab dymu, a wszedzie na zboczach widac bylo pozary w suchych zaroslach, spowodowane plonacymi odlamkami. Zaczal spadac na nich deszcz kolejnych odlamkow, ladujac na przestrzeni pomiedzy walami obronnymi, a wewnetrznym budynkiem oraz na wojownikach pod murami.

-Na potomstwo demonow! - rzekl Zed zduszonym glosem. - Valyn...

Gdzies cos we wnetrzu Shany krzyknelo z bolu. Cos innego domagalo sie odpowiedzi na pytanie, co Valyn tam robil. Jednakze reszta jej osoby zauwazyla, ze na polu bitwy pod murami zapanowal zamet. Wojownicy zostali zbici z nog, natarcie zatrzymalo sie, a wsrod elfich dowodcow zapanowalo zamieszanie.

-Sprowadzcie pozostalych - krzyknela. - I smoki! Czas, by ich zaatakowac!

-Ale... - zaprotestowal Zed. - Valyn...

-Później - odwróciła mu. - Idź już!

Kiedy została sama na murach, pozwoliła sobie na jedną chwilę refleksji.

Valyn, ty głupcze... och, Valyn... Łzy bezsilności pociekły jej po policzkach, gdy przyglądała się wznoszącej się i rozwiewającej chmurze dymu.

Kiedy jednak pozostali przyłączyli do niej, by ruszyć do ostatecznego natarcia, na jej suchych policzkach nie widac było śladu łez.

Przed zapadnięciem zmierzchu przybył sam pan Berenel ze sztandarem rozejmu.

Shana nie wyszła mu na powitanie, pozostawiając negocjacje w rękach Kalamadei (w postaci czarodzieja), starego Partha Agona i Denelora. Sama natomiast znalazła cichy, ciemny kąt w twierdzy, skuliła się, odwracając twarz do ściany, nakryła kocem i czekała, aż popłynie łzy.

Nic z tego. Tylko straszliwy głuchy ból i jeszcze gorsze wyrzuty sumienia. To jej wina, myślała w otepieniu, to ona sprawiła, że czuł się tak niepotrzebny i nawet nie spróbowała znaleźć mu jakiegos zajęcia. Odepchnęła go po prostu z drogi. To wszystko jej wina...

Usłyszała czyjes kroki, a potem głos w ciemności. - Shano? Przydałby mi się przyjaciel, na którego ramieniu mogłbym się wyplakac.

Podniosła głowę i kierując się domysłem, chwyciła Mero za rękę, pociągając go do siebie. Objął ją, a ona przytuliła go do piersi, żeby mógł wyszlochac swoje samooskarżenia.

Potem wreszcie i w jej oczach pojawiły się łzy i płakali oboje.

Kiedy już zabrakło łez, rozmawiali, wspominając Valyna. Mero oczywiście miał więcej wspomnień i wreszcie tylko on mówił, a Shana słuchała. Opowiadał o tym, jak głęboko Valyn przeżywał - i jak niewiele z tego potrafił okazac. I jak bezużyteczny musiał czuć się ostatnio, kiedy ona i Cien mieli tyle zajęć, a Valyn nie mógł zrobić nic pozytecznego.

Nigdy go nie znalazłam, pomyślała, słysząc historie, które zaskakiwały ją, a czasami budziły żal. Sadziłam, że go znam, lecz wydaje mi się, że widziałam tylko to, co chciałam dostrzec. Wtedy znowu rozplakała się, nie wiedząc nawet czemu.

Potem nastąpiła długa chwila, w której dzielili milczenie. Ciszy tej nie przerwało żadne z nich, lecz "odgłos" pobliskiego zaklecia transportującego.

Shana natychmiast wstała skokiem, obawiając się zdrady, i pobiegła wraz z Mero w stronę schodów, tworząc po drodze światelko. Forteca sprawiała wrażenie niemal całkiem opustoszałej, a ich kroki rozbrzmiewały pustym echem w okragłej klatce schodowej. W połowie schodów spotkał ją Zed.

-Wszystko w porządku - zapewnił ich, a potem przerwał zaspany. - Pan Berenel posłał po przedstawiciela Rady. Zamierzają podpisać traktat. Wszyscy są już tam... "Nie chcieliśmy wam przeszkadzać - powiedział bezzwłocznie. - Domysliłem się, że przybycie pana Asrevila sprowadzi was, jeśli będziecie chcieli przyjść".

Spojrzał niesmiało najpierw na jej twarz, potem na Mero i znowu na Shana, a Shana uśmiechnęła się blade. - Wszystko w porządku - rzekła. - Przyjdziemy.

-Doskonale - odpowiedział z widoczną ulgą. - Naprawdę jesteś nam potrzebna teraz.

Pokiwała głową i ruszyła w dół po schodach, świadoma faktu, że zarówno Mero, jak i Zed szli za nią, mając wrażenie, że dzieli ich znacznie większa przepaść, niż odległość kilku stopni...

Naprawdę jesteś nam teraz potrzebna...

Zastanawiał się, na ile rzeczywiście była im potrzebna. A na ile potrzebowali widzialnej Zguby elfów?

Gdzie w tym wszystkim miejsce dla zwykłej Shany?

-Więc, ile mamy jeszcze czasu, zanim zmuszeni będziemy odejść? - Shana spytała Denelora, gdy elfi władca znikł znowu, ku swej aż za bardzo widocznej uldze.

Denelor spojrzał w traktat. - Teoretycznie rzecz biorąc, sześć miesięcy. Osobście jednak wolałbym jak najszybciej zaszyć się na pustkowiach tak głęboko, żeby elfowie nie wiedzieli, gdzie mają zacząć mnie szukać, na długo przed upływem tych sześciu miesięcy. Ty jednakże, powinnas zniknąć w przeciągu kilku następnych dni. Oni rzeczywiście cię nienawidzą, wiesz o tym.

Shana wzruszyła ramionami znużonym gestem. - Kogoś muszą obwiniąć, a ja jestem oczywistym celem.

-Nigdy nie sądziłam, że nasze proroctwo uderzy tak blisko od domu, Shano - powiedziała z zalem Alara. Ona i pozostałe smoki znajdowali się w postaciach polelfów, aby nie zdradzać swych sił w czasie negocjacji.

Zed przechylił głowę na bok. - Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że mogłiscie głosić prawdziwą przepowiednię? - zapytał. - Chciałem powiedzieć, spojrzcie sami, Shana pasuje do niej idealnie.

Shanie na chwilę krew zastygła w żyłach. - Czysty zbieg okoliczności - odpowiedziała pośpiesznie. - Każde z nas pasowałoby do niej. Tak się złożyło, że ja po prostu najbardziej rzucam się w oczy.

Pozostali jednak spojrzeli na nia dziwnie i poczula wtedy rosnacy miedzy nimi dystans.

Tak wiec znow mnie wypedzaja. - Pojde na zwiady - zaproponowala pospiesznie - skoro i tak mam szybko sie stad wyniesc. Udam sie najpierw troche na polnoc, a potem skrece na zachod i zobacze, co tam znajde. - Poslala im wymuszony usmiech.

-Jak to dobrze, ze potrafimy rozmawiac myslami, latwiej mi bedzie skladac wam meldunki. A posrod nas wszystkich, ja najbardziej nadaje sie do wykonywania zwiadu.

-Pojde z toba - zglosil sie szybko Keman.

-I ja - rzekli Alara i Ojciec Smok jednoczesnie.

Kiedy spojrzala na nich z ukosa, Ojciec Smok rozesmial sie. - My tez jestesmy wygnancami, coreczko - powiedzial do niej pogodnie, jakby wszystko to wydawalo mu sie bardzo zabawne. - Niektorzy czlonkowie rodu bardzo zdecydowanie sprzeciwiali sie temu, bysmy wam pomogli. Tak oto, po raz drugi w mym zyciu, prowadze gromade buntownikow ku nowej ojczyźnie.

-Ale... - zaczela. Uciszył ja jednak i rzekl: - Sprawí nam to przyjemnosc. Rodu nie cieszy zycie pozbawione przeciwnosci. "Chcialbym tez pojsc z wami, jesli mnie zabierzecie". Nie spodziewala sie tego myslowego glosu, wiec obejrzala sie i spojrzala uwaznie na Mero, ktory wzruszył ramionami. "Jesli pojde z wami, nie bede miał czasu na ponure rozmyslania. Sadze, ze przydam sie.

Poza tym... czulbym sie straszliwie samotny bez ciebie".

Powoli pokiwala glowa na zgone. - Chcialabym miec cie przy sobie, Mero.

-Odrzekla. - Dziekuje. "Bylabym okropnie samotna, gdybys nie towarzyszył mi..." Usmiechnal sie niesmialo, a ja zaskoczylo to, jak milo poczula sie na widok tego usmiechu.

-Coz, wyruszmy wiec o poranku, zgoda? - powiedzial Ojciec Smok.

Spojrzala najpierw na jednego, a potem na drugiego i nagle przestala miec uczucie, ze po raz drugi wygnano ja.

-Nie jestem wygnancem, ale zwiadowca. To nie takie zle. A moi przyjaciele i rodzina beda przy mnie.

-O poranku - potwierdzila, a Mero skinal glowa. - O poranku otworzy sie przed nami caly nowy swiat.

3 Rozdzial II 18 Rozdzial III 45 Rozdzial IV 62 Rozdzial V 74 Rozdzial VI 91 Rozdzial VII 106 Rozdzial VIII 120 Rozdzial IX 134 Rozdzial X 149 Rozdzial XI 164 Rozdzial XII 177

Rozdział XIII 195 Rozdział XIV 209 Rozdział XV 224 Rozdział XVI 240 Rozdział XVII 255
Rozdział XVIII 274 Rozdział XIX 288 Rozdział XX 301 Rozdział XXI 317 Rozdział XXII 330
Rozdział XXIII 344 Rozdział XXIV 358 Rozdział XXV 373 Document Outline Rozdzia I
Rozdzia II Rozdzia III Rozdzia IV Rozdzia V Rozdzia VI Rozdzia VII Rozdzia VIII Rozdzia IX
Rozdzia X Rozdzia XI Rozdzia XII Rozdzia XIII Rozdzia XIV Rozdzia XV Rozdzia XVI
Rozdzia XVII Rozdzia XVIII Rozdzia XIX Rozdzia XX Rozdzia XXI Rozdzia XXII Rozdzia
XXIII Rozdzia XXIV Rozdzia XXV

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/